

KARIN
SLAUGHTER

PRZYWILEJ
SKORY



REBIS

Szef policji Jeffrey Tolliver dowiaduje się, że jego podwładna Lena Adams została zatrzymana na terenie sąsiedniego okręgu pod zarzutem morderstwa i potrzebuje pomocy. Jeffrey wraz ze swoją żoną Sarą – lekarzem sądowym – postanawiają zająć się tą sprawą. Krok po kroku zbliżają się do rozwikłania zagadki. Z przerażeniem odkrywają, że pozornie spokojne miasteczko na Południu to siedlisko zła, oplecione misterną siecią zdrady i korupcji. Kiedy krąg podejrzanych się zacieśnia, a na światło dzienne wychodzą ukryte dotychczas mroczne tajemnice, Sarze i Jeffreyowi zaczyna grozić śmiertelne niebezpieczeństwo...

Karin Slaughter to autorka thrillerów i opowiadań. Jej książki, bestsellery „New York Timesa” i Book Sense Top Mystery Pick, przełożono na 23 języki. W Polsce ukazały się: *Zasłepienie*, *Płytkie cięcie*, *Zimny strach*, *Fatum* i *Niewierny* (REBIS, 2007). Wszystkie te powieści cieszyły się dużą popularnością wśród czytelników.

PRZYWILEJ SKORY



REBIS

www.rebis.com.pl



Cena 29,90 zł

**KARIN
SLAUGHTER
PRZYWILEJ
SKÓRY**

Przekład Zbigniew
A. Królicki



DDM WYDAWNICZY REBIS
Poznań 2008

Tytuł oryginału
Skin Privilege

Copyright © 2007 by Karin Slaughter AU
rights reserved

Copyright © for the Polish edition by REBIS Publishing House Ltd.,
Poznań 2008

Redaktor
Elżbieta Bandel

Projekt i opracowanie graficzne okładki oraz fotografia na okładce
Zbigniew Mielnik

Wydanie I

ISBN 978-83-7510-154-6

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 061-867-47-08, 061-867-81-40; fax 061-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

Skład ZAEIS Gdańsk, tel.
058-347-64-44

Dla Barb, Sharon i Susan - za wszystko

PROLOG

Co oni jej dali? Co wstrzyknęli jej w żyły? Z trudem udawało jej się utrzymać otwarte oczy, lecz słyszała wszystko aż za dobrze. Przez głośnie, rozdzierające uszy dzwonienie słyszała nierówną pracę silnika i dudnienie, z jakim opony toczyły się po wybojach. Mężczyzna siedzący obok niej na tylnym siedzeniu mówił cicho, niemal jakby śpiewał dziecku kołysankę. W tonie jego głosu było coś uspokajającego i gdy mówił, zaczynała powoli opuszczać głowę na piersi, aby znów ją poderwać na dźwięk krótkich, lakonicznych odpowiedzi Leny.

Ramiona bolały ją od wykręconych za plecami rąk. A może nie bolały. Może tylko myślała, że powinny, i dlatego jej mózg wysłał sygnał, że bolą. Ból był tępy pulsowaniem w rytmie bicia jej serca. Próbowała skupić się na czymś innym, na przykład na toczącej się obok niej rozmowie lub na tym, dokąd Lena jedzie. Jednak wciąż zapadała z powrotem w swoje ciało, spowijając się kokonem każdego nowego odczucia jak niemowlę wtulające się w koc.

Tył ud piekł ją od skóry siedzenia, chociaż nie wiedziała dlaczego. Przecież nie było upału. Czuła chłodny powiew na karku. Przypomniała sobie, jak siedziała w chevette ojca podczas długiej wycieczki na Florydę. Samochód nie miał klimatyzacji, a był środek sierpnia. Wszystkie cztery okna były otwarte, lecz nic nie łagodziło skwaru. Radio trzeszczało. Nie płynęła z niego muzyka, gdyż nie byli w stanie wybrać odpowiadającej wszystkim stacji. Jadący z przodu rodzice kłócili się o trasę, cenę paliwa i o to, czy przekroczą dopuszczalną prędkość. Za Opeliką matka kazała ojcu zatrzymać się przed sklepem, żeby kupić zimną colę i krakersy pomarańczowe. Wszyscy krzywili się, wysiada-

jąc z samochodu, ponieważ skóra ramion i ud lepiła się do siedzeń, jakby upał przykleił ich ciała do plastiku.

Poczuła gwałtowne szarpnięcie, gdy Lena zatrzymała samochód. Silnik wciąż pracował, jego cichy pomruk wibrował w uszach.

Było jeszcze coś - nie w samochodzie, ale w oddali. Znajdowali się na boisku piłkarskim. Rozpoznała tablicę wyników, krzyczącą wielkimi literami: NAPRZÓD, MUSTANGI!

Lena obróciła się i obserwowała ich oboje. Siedzący obok mężczyzna poruszył się. Wepchnął broń za pasek dżinsów. Nosił kominiarkę, taką jaką widuje się na horrorach, odsłaniającą tylko oczy i usta. Jednak to wystarczyło. Znała go i niemal mogłaby wymówić jego nazwisko, gdyby tylko była w stanie poruszyć wargami.

Mężczyzna powiedział, że chce mu się pić, i Lena podała mu duży styropianowy kubek. Biel kubka była intensywna, prawie oślepiająca. Nagle poczuła, że gardło ma wyschnięte jak jeszcze nigdy w życiu. Na samą myśl o wodzie łzy stanęły jej w oczach.

Lena spoglądała na nią, usiłując wyrazić coś bez słów.

Mężczyzna nagle prześlizgnął się po siedzeniu, przysuwając się tak blisko, że poczuła ciepło jego ciała i subtelny piżmowy zapach płynu po goleniu. Poczuła jego dłoń na swojej szyi, lekko opierającą się na karku. Miał miękkie, delikatne palce. Skupiła się na jego głosie, wiedząc, że mówi coś ważnego i powinna go słuchać.

- Zamierzasz wysiąść? - mężczyzna zapytał Lenę. - Czy chcesz zostać i usłyszeć, co mam do powiedzenia?

Lena była odwrócona do nich plecami, może chwyciła już za klamkę. Teraz się odwróciła.

- Powiedz mi.

- Gdybym chciał cię zabić - zaczął - już byś nie żyła. Wiesz o tym.

- Tak.

- Twoja przyjaciółka...

Powiedział jeszcze coś, lecz tak gwałtownie, że zanim jego słowa dotarły do jej uszu, straciły sens. Mogła tylko spojrzeć na Lenę i po jej reakcji osądzić, jak sama powinna zareagować.

Strach. Powinna się bać.

- Nie krzywdź jej - błagała Lena. - Ona ma dzieci. Jej mąż...
- Taak, to smutne. Jednak sama dokonała wyboru.
- Nazywasz to wyborem? - warknęła Lena.

Powiedziała więcej, lecz do niej dotarło tylko przerażenie.

Wymiana zdań trwała jeszcze chwilę, a potem poczuła nagły chłód. Wnętrze samochodu wypełnił znajomy zapach - ciężki i gryzący. Znała go. Wdychała go już, lecz umysł nie potrafił jej wyjaśnić kiedy i gdzie.

Drzwi się otworzyły. Mężczyzna wysiadł z samochodu i stał obok, spoglądając na nią. Nie był smutny ani zły. Wyglądał na zrezygnowanego. Widziała to już kiedyś. Znała go - te zimne oczy w otworach maski, te wilgotne usta. Znała go przez całe życie.

Co to za zapach? Powinna pamiętać ten zapach.

Wymamrotał kilka słów. Coś zabłyśło w jego dłoni - srebrna zapalniczka.

Teraz rozumiała. Panika posłała falę adrenaliny do jej mózgu, rozpraszając mgłę, docierając do serca. Płyn do zapalniczek. W kubku był płyn do zapalniczek. Polał nim całe jej ciało. Była mokra - ociekała nim.

- Nie! - krzyknęła Lena, rzucając się na niego.

Zapalniczka upadła na jej podołek, płomień zapalił płyn, a ten ubranie.

Rozległ się przeraźliwy skowyt - dobywający się z jej własnego gardła, gdy siedziała, patrząc bezsilnie, jak płomienie liżą jej ciało. Konwulsyjnie poruszyła ramionami, jak dziecko podkurczając palce rąk i nóg. Znów pomyślała o tej wycieczce na Florydę przed laty, w duszącym skwarze i przeszywającym, nieznosnym bólu, gdy jej ciało stapało się z siedzeniem.

PONIEDZIAŁEK

P O POŁUDNIU

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Sara Linton spojrzała na zegarek. Dostała to seiko w prezencie od babci w dniu, gdy skończyła szkołę średnią. W dniu, w którym babcia Em ukończyła liceum, tylko cztery miesiące dzieliły ją od małżeństwa, półtora roku od urodzenia pierwszego z sześciorga dzieci i trzydzieści osiem lat od utraty męża za sprawą nowotworu. Dalsze kształcenie ojciec Emmy uważał za stratę czasu i pieniędzy, szczególnie w wypadku kobiety. Emma nie spierała się - były to czasy, gdy dzieciom nawet nie przychodziło na myśl spierać się z rodzicami - lecz postarała się, żeby cała czwórka jej dzieci, które przeżyły, uczęszczała do college'u.

- Noś go i myśl o mnie - powiedziała babcia Em tamtego dnia na terenie szkoły, zapinając srebrną bransoletkę na przegubie Sary. - Dokonasz wszystkiego, o czym marzyłaś, i chcę, żebyś wiedziała, że ja zawsze będę przy tobie.

Jako studentka uniwersytetu Emory Sara wciąż spoglądała na ten zegarek, szczególnie podczas zajęć z biochemii, genetyki stosowanej i anatomii człowieka, które zgodnie z jakimś niepisanym prawem były zawsze prowadzone przez najnudniejszych i najmniej wygadanych wykładowców, jakich można było znaleźć. W szkole medycznej niecierpliwie zerknęła na ten zegarek w sobotnie ranki, stojąc przed laboratorium, czekając, aż profesor przyjdzie i otworzy drzwi, żeby mogła dokończyć doświadczenia. Podczas stażu w szpitalu Grady'ego patrzyła na jego biały cyferblat, który rozmazywał się w jej zmęczonych oczach, i usiłowała dojrzeć wskazówki i obliczyć, ile jeszcze pozostało jej do końca trzydziestosześciodzinnej zmiany. W klinice dziecięcej Heartsdale uważnie obserwowała wskazówkę jego sekundnika, zaciskając palce na cienkim przegubie dziecka, licząc

pulsujące pod skórą uderzenia serca, usiłując rozpoznać, czy „wszędzie boli” to poważny objaw czy jedynie dowód na to, że dzieciak nie chce tego dnia iść do szkoły.

Sara nosiła ten zegarek przez prawie dwadzieścia lat. Szkło było wymieniane dwukrotnie, bateria wiele razy, a bransoletka raz, ponieważ Sara wzdrygała się czyścić ją z zaschniętej krwi kobiety, która umarła w jej ramionach. Nawet na pogrzebie babci Em Sara bezwiednie dotykała gładkiej koperty zegarka, z twarzą zalaną łzami wywołanymi świadomością tego, że już nigdy nie zobaczy miłego, szerokiego uśmiechu babci ani błysku w jej oczach na wieść o najnowszych osiągnięciach najstarszej wnuczki.

Teraz, patrząc na zegarek, po raz pierwszy w życiu Sara była zadowolona z tego, że babcia nie stoi przy niej, nie widzi gniewu w jej oczach, nie czuje upokorzenia płonącego w jej sercu jak szalejący pożar, gdy siedziała w sali konferencyjnej oskarżona przez rodziców zmarłego pacjenta o niedopełnienie obowiązków. Wszystko, na co Sara pracowała, każdy uczyniony przez nią krok, którego nie mogła uczynić babcia, każdy sukces i stopień naukowy, wszystko to obracała teraz wniwecz kobieta, która była bliska nazwania Sary zabójczynią dziecka.

Prawniczka pochyliła się nad stołem, unosząc brwi i wydymając wargi, gdy Sara zerknęła na zegarek.

- Doktor Linton, czy ma pani bardziej naglące spotkanie?
- Nie.

Sara starała się zachować spokój, opanować wściekłość, którą prawniczka najwidoczniej usiłowała podsycać przez cztery ostatnie godziny. Wiedziała, że tamta nią manipuluje, usiłuje sprowokować i skłonić do powiedzenia czegoś okropnego, co na zawsze zostanie zapisane przez pochylonego nad maszyną do stenografowania człowieczka w kącie. Świadomość tego nie powstrzymywała Sary. Prawdę mówiąc, jeszcze podsycala jej gniew.

- Przez cały czas zwracałam się do pani doktor Linton. – Prawniczka zajrzała do leżącej przed nią otwartej teczki. - Może powinnam Tolliver? Widzę, że sześć miesięcy temu ponownie wyszła pani za swojego byłego męża Jeffreya Tollivera.

- Może być Linton.

Pod stołem Sara tak mocno kołysała nogą, że o mało nie spadł jej but. Założyła ręce na piersi. Szczęka bolała ją od zaciskania zębów. Nie powinna tu być. Powinna być teraz w domu, czytać książkę lub rozmawiać przez telefon z siostrą. Powinna przeglądać karty pacjentów lub zaległe periodyki lekarskie, których jakoś nigdy nie miała czasu czytać.

Powinna się cieszyć zaufaniem.

- A więc - ciągnęła prawniczka.

Ta kobieta na początku przesłuchania podała swoje nazwisko, ale Sara nie zapamiętała go. W tym momencie myślała tylko o minie Beckey Powell, matki Jimmy'ego. Kobiety, którą Sara tyle razy trzymała za rękę, przyjaciółki, którą pocieszała, osoby, z którą godzinami rozmawiała przez telefon, usiłując przełożyć na prostą angielszczyznę medyczny żargon onkologów z Atlanty i wyjaśnić, dlaczego jej dwunastoletni syn umrze.

Od chwili gdy weszli do tego pomieszczenia, Beckey spoglądała na Sarę jak na morderczynię. Ojciec chłopca, mężczyzna, z którym Sara chodziła do szkoły, nawet nie potrafił spojrzeć jej w oczy.

- Doktor Tolliver? - naciskała prawniczka.

- Linton - poprawiła Sara i kobieta uśmiechnęła się, co robiła za każdym razem, gdy udało jej się zdobyć kolejny punkt przewagi. Robiła to tak często, że Sara miała ochotę zapytać ją, czy cierpi na jakąś niezwykłą odmianę zespołu Tourette'a.

- Siedemnastego rano, dzień po Wielkanocy, otrzymała pani wyniki badania laboratoryjnego komórek blastycznych, które poleciła pani wykonać Jamesowi Powellowi. Czy to się zgadza?

James. W jej ustach zabrzmiało to tak dorośle. Dla Sary on zawsze pozostanie sześciolatkiem, którego poznała przed laty, chłopcem lubiącym się bawić swoimi plastikowymi dinozaurami i czasem gryźć kredki. Z jaką dumą powiedział jej, że ma na imię Jimmy, tak jak jego tato.

- Doktor Tolliver?

W końcu odezwał się Buddy Conford, jeden z prawników Sary.

- Skończmy z tymi bzdurami, złotko.
- Złotko? - powtórzyła prawniczka. Miała jeden z tych niskich, zmysłowych głosów, które większość mężczyzn uważa za nieodparte. Sara widziała, że Buddy jest jednym z nich, tak jak widziała, że uroda przeciwniczki pobudza go do rywalizacji.
 - Buddy uśmiechnął się, dowiódłszy swego.
 - Pani wie, jak się nazywa.
 - Proszę poinstruować swoją klientkę, żeby odpowiadała na pytania, panie Conford.
 - Tak - powiedział Sara, przerywając te wymianę złośliwości.
- Przekonała się, że adwokaci potrafią być bardzo elokwentni przy stawce trzystu pięćdziesięciu dolarów za godzinę. Byli gotowi rozdzielać włos na czworo, podczas gdy zegar tykał. A Sara miała dwoje prawników: Melinda Stiles reprezentowała Global Medical Indemnity, firmę ubezpieczeniową, której Sara w trakcie swojej pracy zawodowej zapłaciła prawie trzy i pół miliona dolarów. Buddy Conford był jej prywatnym adwokatem, którego zatrudniła, by chronił ją przed firmą ubezpieczeniową. Wydrukowane drobnym drukiem zastrzeżenie we wszystkich umowach Global przewidywało ograniczoną odpowiedzialność firmy w przypadku, gdy poniesione przez pacjenta szkody były rezultatem świadomego zaniedbania. Buddy miał wykluczyć taką ewentualność.
 - Doktor Linton? Ranek siedemnastego?
 - Tak - odpowiedziała Sara. - Według moich notatek wtedy otrzymałam wyniki badań laboratoryjnych.
- Sharon, przypomniała sobie Sara. Prawniczka nazywała się Sharon Connor. Takie niewinne imię dla takiej okropnej osoby.
 - I co ujawniły pani wyniki badań?
 - To, że Jimmy najprawdopodobniej miał ostrą białaczkę mieloblastyczną.
 - A rokowanie?
 - To nie moja rzecz. Nie jestem onkologiem.
 - Nie. Skierowała pani Powellów do onkologa, pani przyjaciela z college'u, doktora Williama Harrisa z Atlanty?
 - Tak.

Biedny Bill. On również został wymieniony w pozwie i teraz musiał wynająć sobie adwokata, żeby walczyć ze swoim towarzyszem ubezpieczeniowym.

- Przecież jest pani lekarzem?

Sara nabrała tchu. Buddy kazał jej odpowiadać tylko na pytania, nie stwierdzenia. Bóg wie, że sownie płaciła mu za tę radę. Może powinna zacząć jej słuchać.

- Z pewnością jako lekarz wie pani, czym jest ostra białaczka mieloblastyczna?

- To zespół zaburzeń charakteryzujący się zamianą normalnego szpiku kostnego przez komórki nowotworowe.

Connor dopowiedziała z uśmiechem:

- Zaczynający się, gdy pojedyncza somatyczna komórka krwiotwórcza ulega transformacji do komórki niezdolnej do normalnego różnicowania?

- Komórka traci zdolność apoptozy.

Następny uśmiech, następny zdobyty punkt.

- A szanse przeżycia wynoszą pięćdziesiąt procent.

Sara trzymała język za zębami, czekając na morderczy cios.

- I czas odgrywa decydującą rolę w leczeniu, zgadza się? W wypadku takiej choroby, która dosłownie zwraca komórki ciała przeciwko sobie, według pani wyłącza apoptozę będącą normalnym genetycznym procesem obumierania komórek, czas odgrywa decydującą rolę.

Czterdzieści osiem godzin nie uratowałyby chłopcu życia, ale Sara nie zamierzała wypowiedzieć tych słów, żeby zapisano je w akcie oskarżenia i później rzucono jej w twarz z całą gruboskórnością, do jakiej była zdolna Sharon Connor.

Prawniczka przekładała papiery, jakby szukała notatek.

- Pani uczęszczała do Emory Medical School. Jak łaskawie poprawiła mnie pani wcześniej, ukończyła ją pani nie tylko jako jedna z pierwszych, ale jako szósta.

Buddy sprawiał wrażenie znudzonego tą retoryką.

- Już ustaliliśmy osiągnięcia doktor Linton.

- Ja tylko próbuję zebrać je w całość - skontrowała kobieta. Podniosła jedną kartkę, przesuwając po niej wzrokiem. W końcu odłożyła ją. - A więc, doktor Linton, miała pani tę informację - wynik badań laboratoryjnych będący niemal pewnym wyrokiem śmierci - tamtego ranka siedemnaste-

go, a jednak podzieliła się pani z Powellami tą informacją dopiero dwa dni później. A to dlatego, że...?

Sara jeszcze nigdy nie słyszała tyłu zdań rozpoczynających się od „a”. Doszła do wniosku, że gramatyka nie była mocną stroną uczelni, która wydała tę złośliwą prawniczkę.

Mimo to odpowiedziała.

- Pojechali do Disneylandu z okazji urodzin Jimmy'ego. Chciałam, by cieszyli się tym wyjazdem, bo wiedziałam, że mogą to być ich ostatnie wspólne wakacje. Postanowiłam nie mówić im, dopóki nie wrócą.

- Wrócili wieczorem siedemnastego, jednak pani powiedziała im dopiero rano dziewiętnastego, dwa dni później. - Sara otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale kobieta nie dopuściła jej do słowa. - I nie przyszło pani do głowy, że mogli natychmiast wrócić, żeby podjąć leczenie i może uratować życie swego dziecka? - Najwyraźniej nie oczekiwała odpowiedzi. - Moim zdaniem, gdyby Powellowie mogli wybrać, to woleliby mieć dziś swego syna żywego zamiast jego fotografii na tle Magicznego Królestwa.

Przesunęła rzeczony zdjęcie po stole. Prześlizgnęło się obok Beckey i Jima Powellów, obok prawników Sary i zatrzymało się kilka cali od miejsca, gdzie siedziała Sara.

Nie powinna była patrzeć, ale spojrzała.

Jimmy stał oparty o ojca. Obaj mieli uszy Myszki Miki i trzymali w rękach zimne ognie, a za nimi maszerowały krasnoludki Królowy Śnieżki. Nawet na zdjęciu było widać, że chłopiec jest chory. Miał ciemne kręgi pod oczami i był tak chudy, że jego ręka wyglądała jak gałązka.

Wrócili z wakacji dzień wcześniej, ponieważ Jimmy chciał już być w domu. Sara nie wiedziała, dlaczego Powellowie nie zadzwonili wtedy do niej do kliniki i nie przyprowadzili Jimmy'ego, żeby mogła go zbadać. Może rodzice chłopca nawet bez badań i ostatecznego rozpoznania wiedzieli, że dni, kiedy mieli normalne, zdrowe dziecko, skończyły się. Może przez jeszcze jeden dzień chcieli mieć go dla siebie. Był takim cudownym chłopcem - miłym, mądrym, wesołym - wszystkim, na co mogą liczyć rodzice. A teraz odszedł.

Sara poczuła łzy napływające do oczu i tak mocno przygryzła wargę, że zmieniły się w łzy bólu, a nie żalu.

Buddy z irytacją chwycił zdjęcie.

Pchnął je z powrotem ku Sharon Connor.

- Może pani poćwiczyć początek tej przemowy w domu przed lustrem, kochana.

Connor z krzywym uśmiechem wzięła fotografię. Stanowiła żywy dowód na to, że teoria o opiekuńczych skłonnościach kobiet to kompletna bzdura. Sara niemal oczekiwała, że zobaczy między jej zębami gnijący ochłap.

- Doktor Linton - zaczęła adwokat. - Czy tamtego dnia, kiedy otrzymała pani wyniki badań Jamesa, wydarzyło się coś szczególnego?

Dreszcz przebiegł po plecach Sary, ostrzeżenie, którego nie mogła zignorować.

- Tak.

- Mogłaby pani powiedzieć, co to było?

- Znalazłam kobietę zamordowaną w łazience naszej miejscowej restauracji.

- Zgwałconą i zamordowaną. Zgadza się?

- Tak.

- To sprowadza nas do pani dodatkowej pracy koronera tego okręgu. O ile wiem, pani mąż - były mąż w czasie, gdy doszło do tego gwałtu i morderstwa - jest komendantem policji hrabstwa. Jednak w kryzysowych sytuacjach pracujecie razem.

Sara czekała na coś więcej, lecz ta kobieta najwidoczniej chciała tylko, żeby ten fakt został zanotowany.

- Pani mecenas? - nalegał Buddy.

- Jedną chwileczkę - wymamrotała prawniczka, kartkując grubą teczkę.

Sara spoglądała na swoje dłonie, żeby się czymś zająć. Grochowata, trójgraniasta, haczykowata, główkowata, czworoboczna, półksiężycowata, łódkowata... Wyliczyła wszystkie kości dłoni, a potem zaczęła wymieniać ścięgna, starając się skupić na tym swoją uwagę, żeby nie wpaść w pułapkę tak zręcznie zastawianą przez prawniczkę.

Na stażu w szpitalu Grady'ego łowcy głów nagabywali ją tak często, że przestała odbierać telefony. Partnerstwo. Sześciocyfrowe zarobki i premie na koniec roku. Stanowisko chirurga w dowolnym szpitalu. Asystenci, laboratoria, sekretarki, nawet własne miejsce parkingowe. Proponowali jej wszystko, a jednak w końcu postanowiła wrócić do domu,

do Grant, żeby praktykować medycynę za znacznie mniejsze pieniądze i jeszcze mniejszy szacunek, ponieważ uważała, że lekarze powinni służyć wiejskim społecznościom.

Czy był to przejaw próżności? Sara widziała w sobie przykład dla dziewcząt w miasteczku. Większość z nich widywała tylko lekarzy - mężczyzn. Jedynymi kobietami pełniącymi ważne funkcje były pielęgniarki, nauczycielki i matki. Przez pięć pierwszych lat w klinice dziecięcej Heartsdale Sara prawie połowę czasu traciła na przekonywanie młodych pacjentów - i często ich matek - że naprawdę ukończyła szkołę medyczną. Nikt nie wierzył, że kobieta może być dostatecznie mądra, dostatecznie dobra, żeby zająć takie stanowisko. Nawet kiedy Sara odkupiła klinikę od odchodzącego na emeryturę współnika, ludzie wciąż byli sceptycznie nastawieni. Minęły lata, zanim zdobyła sobie szacunek społeczności.

I wszystko na nic.

Sharon Connor w końcu oderwała wzrok od papierów. Zmarszczyła brwi.

- Doktor Linton, została pani zgwałcona. Zgadza się?

Sara miała wrażenie, że ślina wysycha jej w ustach.

Poczuła ściskanie w gardle i pot oblewający jej ciało, gdy zmagą się z nieuzasadnionym wstydem, którego nie czuła, od kiedy ostatnio przesłuchiowano ją w sprawie gwałtu. Tak jak wtedy wzrok jej zamglili się nagle i przestała widzieć cokolwiek, słyszała tylko te słowa dzwoniące jej w uszach. Buddy zerwał się na równe nogi, wykrzykując coś, grożąc palcem prawnicze i Powellom. Siedząca obok niego Melinda Stiles z Global Medical Indemnity nie odzywała się. Buddy uprzedził Sarę, że tak będzie, że Stiles będzie siedziała cicho, pozwalając adwokatowi przeciwnej strony nękać Sarę i odzywając się tylko wtedy, gdy jej zdaniem mogły być zagrożone interesy Global. Jeszcze jedna kobieta nie pasująca do stereotypu.

- I chcę, żeby to znalazło się w tym cholernym stenogramie! - zakończył Buddy. Odsunął krzesło od stołu i usiadł.

- Odnotowano - powiedziała Connor. - Doktor Linton?

Sarze rozjaśniło się w oczach. Usłyszała szum w uszach, jakby nurkowała i nagle wynurzyła się na powierzchnię.

- Doktor Linton? - powtórzyła Connor.

Wciąż używała tego tytułu, który w jej ustach brzmiał jak zniewaga, a nie coś, na co Sara pracowała przez całe swoje życie.

Sara spojrzała na Buddy'ego, a on wzruszył ramionami i potrząsnął głową na znak, że nic nie może zrobić. Przewidział, że to przesłuchanie nie będzie niczym innym jak zarzucaniem wędki, a życie Sary będzie przynętą.

- Doktor Linton, czy potrzebuje pani kilku minut na opanowanie emocji? Wiem, że trudno pani mówić o tym gwałcie. - Wskazała na leżącą przed nią grubą teczkę, najwidoczniej akta procesowe. Ta kobieta przeczytała je całe, znała każdy obrzydliwy szczegół. - Z tego co zrozumiałam, atak na panią był bardzo brutalny.

Sara odkaszlnęła i postarała się, by jej głos był nie tylko wyraźny, ale silny i nieustraszony.

- Tak, był.

Głos Connor przybrał niemal pojednawczy ton.

- Pracowałam w biurze prokuratora okręgowego w Baton Rouge. Szczerze mówiąc, w ciągu dwunastu lat pracy w prokuraturze nie spotkałam się z równie brutalnym i sadystycznym czynem, jakiego pani doświadczyła.

- Skarbie - warknął Buddy - może otrze pani te krokodyle łzy i przejdzie wreszcie do rzeczy?

Prawniczka zawahała się i podjęła przerwany wątek.

- Do protokołu: doktor Linton została zgwałcona w łazience szpitala Grady'ego, gdzie pracowała jako lekarz na izbie przyjęć. Napastnik najwidoczniej wtargnął do damskiej toalety przez otwór w suficie. Doktor Linton była w jednej z kabin, gdy dosłownie spadł na nią.

- Odnotowano - rzekł Buddy. - Jeszcze jakieś pytanie, czy po prostu lubi pani wygłaszać przemówienia?

- Doktor Linton, fakt, że została pani brutalnie zgwałcona, miał ogromny wpływ na pani decyzję o powrocie do hrabstwa Grant, prawda?

- Były też inne powody.

- Jednak powiedziałaaby pani, że najważniejszym z nich był gwałt?

- Powiedziałabym, że był jednym z wielu powodów składających się na moją decyzję o powrocie.

- Czy to do czegoś zmierza? - zapytał Buddy.

Prawnicy znów wymieniali poglądy, a Sara sięgnęła po stojącą na stole karafkę z wodą i nalała sobie szklanę, usiłując powstrzymać drżenie rąk.

Raczej wyczuła, niż zobaczyła, że Beckey Powell poruszyła się nerwowo, i zaczęła się zastanawiać, czy zrobiła to z poczucia winy, znów dostrzegłszy w Sarze ludzką istotę, a nie potwora. Miała nadzieję, że tak. Miała nadzieję, że Beckey będzie tej nocy bezsennie rzucać się na łóżku ze świadomością tego, że obojętnie, jak bardzo jej adwokatka będzie obwinięła Sarę, nic nie przywróci życia jej synowi. Nic nie zmieni faktu, że Sara zrobiła dla Jimmy'ego wszystko, co mogła.

- Doktor Linton? - ciągnęła Connor. - Wyobrażam sobie, że w świetle brutalnego gwałtu, którego pani doznała, wejście do toalety i znalezienie tam seksualnie napastowanej kobiety było niezwykle ciężkim przeżyciem. Szczególnie że minęło prawie dziesięć lat od chwili, gdy została pani zgwałcona. Czy to pytanie? - warknął Buddy.

- Doktor Linton, pani i pani były męż - przepraszam, męż - staracie się teraz o adopcję, prawda? Ponieważ w rezultacie tego brutalnego gwałtu, którego pani doznała, nie może pani urodzić własnego dziecka?

Reakcja Beckey była znamienita. Po raz pierwszy, od kiedy to się zaczęło, Sara uważnie spozrzała na tę kobietę. Zobaczyła, jak wzrok Beckey łagodnieje, błysk radości ze szczęścia przyjaciółki, który jednak zgasł równie szybko, jak się pojawił, i Sara niemal mogła przeczytać w jej myślach: „Nie masz prawa być matką, skoro zabiłaś moje dziecko”.

Connor podniosła znajomo wyglądający dokument, mówiąc:

- Doktor Linton, pani i pani męż, Jeffrey Tolliver, wypełniliście wnioski o adopcję w stanie Georgia trzy miesiące temu. Zgadza się?

Sara usiłowała sobie przypomnieć, co mówili podczas wymaganego przez stan kursu dla rodziców, który przez kilka ostatnich miesięcy zabierał każdą minutę ich wolnego czasu. Jaki obciążający dowód ta prawniczka wyciąśnie z tego niekończącego się, pozornie niewinnego procesu?

Podwyższone ciśnienie Jeffreya? Okulary do czytania, które powinna nosić Sara?

- Tak.

Connor przekładała kolejne papiery.

- Jedną chwileczkę - powiedziała.

Pomieszczenie było ciasne i duszne. Nie miało okien ani obrazów na ścianach, na które można by się gapić. W kącie stała usychająca palma o smutnie oklapniętych liściach. Nic dobrego z tego nie będzie. Nic nie przywróci życia dziecku. Żaden wyrok uniewinniający nie przywróci nadszarpniętej reputacji.

Sara spojrzała na swoją dłoń. Więzadła grzbietowe śródreżne, nadgarstkowo-śródreżne, więzadła między kośćmi nadgarstka...

Odwiedziła Jimmy'ego tydzień przed jego śmiercią i godzinami trzymała jego kruchą dłoń, gdy z wysiłkiem mówił o grze w piłkę, jeździe na deskorolce i wszystkich rzeczach, za którymi tęsknił. Wtedy Sara zobaczyła to, tę zapowiedź śmierci w jego oczach. Był lustrzanym przeciwieństwem nadziei, jaką widziała w oczach Beckey Powell, mimo że ta знаła diagnozę i zgodziła się przerwać kurację, żeby nie przedłużać cierpień Jimmy'ego. To właśnie ta nadzieja nie pozwalała mu się poddać, ta odczuwana przez każde dziecko obawa przed rozczarowaniem matki.

Sara zabrała Beckey do kawiarni, gdzie siedziała w zacisnym kącie z tą zaskoczoną kobietą i trzymała ją za rękę tak jak chwilę wcześniej Jimmy'ego. Opisała Beckey, w jaki sposób to nastąpi, jak śmierć zabierze jej syna. Najpierw staną się zimne jego nogi, a potem ręce, gdy krążenie osłabnie. Zsinieją mu wargi. Jego oddech stanie się nieregularny, czego nie należy uważać za oznakę cierpienia. Będzie miał trudności z przełykaniem. Może stracić kontrolę nad pęcherzem. Będzie błądził myślami, lecz Beckey powinna nadal do niego mówić, odwracając jego uwagę, ponieważ wciąż będzie przytomny. Aż do ostatniej chwili będzie jej Jimmym. Jej zadaniem jest przejść z nim całą tę drogę, a potem - co będzie najtrudniejsze - puścić go sam. Będzie musiała być silna, żeby pozwolić mu odejść.

Connor odchrząknęła i czekała, aż Sara się skupi.

- Nie obciążała pani Powellów za badania laboratoryjne

i prywatne wizyty po tym, jak postawiła pani diagnozę - powiedziała. - Dlaczego, doktor Linton?

- W istocie wcale nie postawiłam diagnozy - sprostowała Sara, starając się skupić. - Mogłam jedynie powiedzieć im, co podejrzewam, i odesłać ich do onkologa.

- Pani przyjaciela z college'u, doktora Williama Harrisa - uzupełniła prawniczka. - I nie wystawiła pani rachunku Powellom za badania laboratoryjne i kolejne prywatne wizyty po odesłaniu ich do onkologa.

- Nie zajmuję się rachunkami.

- Ale kieruje pani swoim personelem, czyż nie? - Connor odczekała chwilę. — Czy muszę pani przypominać, że zeznaje pani pod przysięgą?

Sara powstrzymała ciętą replikę cisnącą się jej na usta.

- Zgodnie z oświadczeniem kierowniczką pani biura, Nelly Morgan, kazała jej pani spisać na straty sumę prawie dwóch tysięcy dolarów, jakie winni byli pani Powellowie. Prawda?

- Tak.

- Dlaczego, doktor Linton?

- Ponieważ wiedziałam, że poniosą ogromne koszty leczenia Jimmy'ego. Nie chciałam dołączać do gromady wierzycieli, których, jak wiedziałam, będą mieli. - Sara spojrzała na Beckey, choć ta unikała jej wzroku. - Ponieważ właśnie o to chodzi, czyż nie? Koszt badań. Rachunki ze szpitala. Radiolodzy. Apteki. Musicie być winni fortunę.

- Doktor Linton - przypomniała Connor - jest pani tu po to, by odpowiadać na moje pytania, a nie zadawać swoje.

Sara nachyliła się do Powellów, usiłując nawiązać z nimi kontakt, przemówić im do rozsądku.

- Nie wiecie, że to nie przywróci mu życia? To wszystko nie ożywi Jimmy'ego.

- Panie Conford, proszę poinstruować swoją klientkę...

- Czy wiecie, z czego zrezygnowałam, żeby tu praktykować? Czy wiecie, ile lat poświęciłam...

- Doktor Linton, proszę nie zwracać się do moich klientów.

- Właśnie dlatego musieliście szukać specjalisty w Atlancie - powiedziała im Sara. - Przez takie oskarżenia zamknę-

to tu szpital i dlatego w promieniu stu mil jest tylko pięciu lekarzy, których stać na to, żeby prowadzić praktykę.

Nie podnieśli oczu, nie zareagowali.

Sara opadła na krzesło, wyczerpana. Tu nie mogło chodzić tylko o pieniądze. Beckey i Jimmy chcieli czegoś więcej, jakiegoś wyjaśnienia, dlaczego ich syn umarł. To smutne, lecz nie było żadnego wytłumaczenia. Ludzie umierają - dzieci też - i czasem nie ma kogo o to winić i nie można tego powstrzymać. A całe to oskarżenie oznaczało jedynie, że za rok lub pięć lat zachoruje następne dziecko, następna rodzina będzie zdruzgotana i nikogo nie będzie stać na to, żeby im pomóc.

Nie będzie kto miał ich trzymać za ręce i wyjaśnić, co się dzieje.

- Doktor Linton - ciągnęła Connor. - Co do faktu, że nie wystawiła pani Powellom rachunku za badania laboratoryjne i wizyty: czy nie jest faktem, że czuła się pani winna śmierci Jimmy'ego?

Wiedziała, jakiej odpowiedzi na to pytanie oczekuje od niej Buddy, wiedziała, że nawet Melinda Stiles, milcząca prawniczka z ramienia Global Medical Indemnity chce, żeby zaprzeczyła.

- Doktor Linton? - nalegała Connor. - Nie czuła się pani winna?

Sara zamknęła oczy i zobaczyła Jimmy'ego leżącego na szpitalnym łóżku, rozmawiającego z nią o jeździe na deskorolce. Wciąż czuła dotyk jego zimnych palców w swojej dłoni, gdy cierpliwie wyjaśniał jej, czym się różni heelflip od ollie.

Stawy międzypaliczkowe. Staw śródręczno-paliczkowy. Staw mający torebkę, dystalny, stawy promieniowo-łokciowe...

- Doktor Linton?

- Tak - przyznała w końcu, ze łzami spływającymi po policzkach. - Tak. Czułam się winna.

Sara przejechała przez centrum Heartsdale. Wskazówka prędkościomierza jej bmw 335ci ledwie dochodziła do dwudziestu pięciu mil. Minęła sklep z galanterią, odzieżowy

i z artykułami żelaznymi. Przy pralni Burgessa zatrzymała się na środku pustej ulicy, zastanawiając się, czy jechać dalej.

Przed nią znajdowała się otwarta brama Grant Institute of Technology. Po głównym podjeździe kręcili się studenci przebrani za gobliny i superbohaterów. Halloween nadeszło i minęło poprzedniej nocy, lecz studenci lubili przedłużać każde święto do tygodnia. W tym roku Sara nawet nie fatygowała się kupowaniem ciastek. Wiedziała, że żaden rodzic nie pošle swego dziecka, żeby zapukało do jej drzwi. Od kiedy wniesiono oskarżenie o zaniedbanie obowiązków, spotykała się z ostracyzmem wszystkich mieszkańców miasteczka. Nawet pacjenci, których leczyła wiele lat, ludzie, którym naprawdę pomogła, unikali jej wzroku w supermarkecie czy w drogerii. Zważywszy na atmosferę, Sara uznała, że nie byłoby rozsądnie wkładać kostium czarownicy i iść na kościelną zabawę jak co roku od szesnastu lat. Urodziła się i wychowała w okręgu Grant. Wiedziała, że w tym

Spędziła osiem i pół godziny na tym przesłuchaniu, podczas którego roztrząsano każdy szczegół jej życia. Ponad setka rodziców podpisała zezwolenia upoważniające Sharon Connor do przejrzania kartotek medycznych ich dzieci, w większości w nadziei, że w rezultacie skorzystają na tym finansowo. Melinda Stiles, która stała się zadziwiająco pomocna z chwilą, gdy zostały same, wyjaśniła Sarze, że zwykle tak się dzieje. Oskarżenie o zaniedbanie zamienia pacjentów w sępy, wyjaśniła, i w miarę swego rozwoju sprawa Powella ściągnie ich jeszcze więcej. Global Medical Indemnity przeprowadzi obliczenia, ważąc ewentualne straty i siłę argumentów Sary, po czym zdecyduje, czy zawrzeć ugodę. W wyniku której to wszystko - upokorzenie i upodlenie - okazałoby się niepotrzebne.

Jeden ze studentów na ulicy krzyknął i Sara drgnęła, przy czym noga zsunęła jej się z hamulca. Młody człowiek miał na sobie kostium Chiquita Banana, włącznie z niebieskimi rybaczkami i żółtym sznurowanym gorsecikiem odsłaniającym włochaty i wydatny brzuch. To zawsze ci brzuchaci przy pierwszej okazji przebierają się za kobiety. Czy Jimmy Powell byłby takim niemądrym młodzieńcem?

Gdyby żył, czy miałby zgarbioną posturę i chude ciało swego ojca, czy okrągłą twarz i miłe usposobienie matki? Sara wiedziała, że miał bystry umysł Beckey, jej upodobanie do żartów i kiepskich rymów. Wszystko inne miało na zawsze pozostać niewiadomą.

Sara skręciła w lewo, na parking kliniki. Parking jej kliniki, tej, którą kupiła przed laty od doktora Barneya, pracując po godzinach jako koroner, żeby zebrać na to pieniądze. Szyld był wyblakły, schody wymagały malowania, a boczne drzwi zacięły się w ciepłe dni, ale to wszystko było jej.

Wysiadła z samochodu i własnym kluczem otworzyła frontowe drzwi. Tydzień wcześniej zamknęła klinikę, wściekła na rodziców, którzy podpisali upoważnienia w nadziei na zysk, wściekła na swoje miasto za tę zdradę. Widzieli w Sarze jedynie bankomat, jakby była tylko pośrednikiem umożliwiającym dostęp do milionów dolarów tkwiących w kufrach firmy ubezpieczeniowej. Nikt nie widział konsekwencji tego skoku na kasę, faktu, że stawki ubezpieczeń lekarzy pójdą w górę, lekarze pozamykają praktyki i opieka medyczna, na którą wielu już nie mogło sobie pozwolić, wkrótce stanie się niedostępna dla większości. Nikt nie przejmował się życiem tych, których stracają w drodze do bogactwa. Niech myślą o tym podczas ponad półtoragodzinnej jazdy do Rollings, najbliższego miasta, w którym przyjmuje

Sara nie zapalała świateł, przechodząc przez frontowy hol kliniki. Pomimo chłodnej październikowej pogody w budynku było ciepło, więc idąc do toalety, zdjęła żakiet i położyła go na kontuarze.

Z kranu popłynęła lodowato zimna woda. Sara pochyliła się, by obmyć sobie twarz i pozbyć się tego brudu, który przywarł do jej skóry. Potrzebowała długiej kąpieli i kieliszka wina, lecz żeby mieć to wszystko, musiałaby wrócić do domu, a w tej chwili nie miała jeszcze na to ochoty. Chciała być sama i odzyskać równowagę ducha. Jednocześnie pragnęła być z rodzicami, którzy w tym momencie przebywali gdzieś w Kansas, dokładnie w połowie dawno zaplanowanej podróży przez całe Stany. Tessa, jej siostra, była w Atlancie, w końcu robiąc użytek ze swojego dyplomu

uniwersyteckiego i doradzając bezdomnym. A Jeffrey... Jeffrey był w domu, czekając, aż Sara wróci z przesłuchania i opowie mu o wszystkim, co się działo. Najbardziej chciała być teraz z nim, a jednocześnie wcale nie chciała się z nim widzieć.

Spojrzała na swoje odbicie w lustrze i ze zgrozą uświadomiła sobie, że się nie poznała. Włosy miała ściągnięte z tyłu tak mocno, że dziwiła się, iż nie popękała jej skóra na twarzy. Ostrożnie sięgnęła i poluzowała opaskę, krzywiąc się z bólu, gdy wyrwała kilka włosów. Na wykrochmalonej białej bluzce były widoczne plamy od wody, ale Sara nie przejmowała się tym. Czowała się śmiesznie w garsonce, która zapewne była najdroższym strojem, jaki kiedykolwiek posiadała. Buddy nalegał, żeby włożyła ten dopasowany czarny kostium, aby podczas przesłuchania wyglądała jak bogata lekarka, a nie jak córka małomiasteczkowego hydraulika, która została pediatrą. Powiedział jej, że na sali sądowej będzie mogła być sobą. Pokaże Sharon Connor swoje prawdziwe oblicze wtedy, kiedy zrobi to największe wrażenie.

Sara nienawidziła tej przewrotności i tego, że w ramach strategii obrony musiała zmienić się w arogancką sukę o męskim wyglądzie. W ciągu całej swojej kariery zawodowej unikała wykorzystywania swojej kobiecości do zdobycia miejsca w męskim klubie medycyny. A teraz jeden pozew sądowy skłonił ją do robienia tego wszystkiego, czym gardziła.

- Wszystko w porządku?

Jeffrey stał w drzwiach. Miał na sobie grafitowy garnitur, ciemnoniebieską koszulę i krawat. Na jednym biodrze miał przypięty do paska telefon komórkowy, a na drugim kaburę.

- Myślałam, że jesteś w domu.

- Zostawiłem mój samochód pod sklepem. Podrzucisz mnie do domu?

Skinęła głową i oparła się ramieniem o ścianę.

- Masz. - Wręczył jej stokrotkę, którą zapewne zerwał na zarośniętym podwórzu. - Przyniosłem ci to.

Sara wzięła kwiatek, który niewiele różnił się od chwastu, i położyła go na krawędzi zlewu.

- Chcesz o tym porozmawiać?

Przesunęła stokrotkę, układając ją prostopadłe do kranu.

- Nie.

- Chcesz być sama?

- Tak. Nie. - Szybko pokonała dzielącą ich odległość, zarzuciła mu ręce na szyję i wtuliła twarz w jego ramię. - To było takie straszne - szepnęła. - Mój Boże, to było po prostu okropne.

- Będzie dobrze - pocieszył ją, masując dłonią jej kark. - Nie daj im się pognębić, Saro. Nie pozwól, żeby odebrali ci pewność siebie.

Wtuliła się w niego, szukając pewnego oparcia w jego ciele. Przez cały dzień był w pracy i roztaczał woń posterunku - tej dziwnej mieszaniny oliwy, palonej kawy i potu. Od kiedy jej rodzina rozsypała się po świecie, Jeffrey był jedynym stałym elementem w jej życiu, jedyną osobą, która była na miejscu, żeby pozbierać wszystko w całość. Kiedy się nad tym zastanowić, tak było od szesnastu lat. Nawet kiedy Sara rozwiodła się z nim, nawet kiedy przez większość czasu starała się myśleć o wszystkim, tylko nie o Jeffreyu, on wciąż tkwił w jej podświadomości.

Lekko musnęła wargami jego szyję, powoli, aż jego skóra zareagowała. Przesunęła dłonie w dół aż do talii i przyciągnęła do siebie w sposób nie budzący żadnych wątpliwości.

Wyglądał na zaskoczonego, lecz gdy pocałowała go w usta, odpowiedział równie entuzjastycznie. W tym momencie Sara nie tyle potrzebowała seksu, ile łączącej się z nim intymności. Wiedziała, że przynajmniej to jedno może robić dobrze.

Jeffrey odsunął się pierwszy.

- Jedźmy do domu, dobrze? - Odgarnął jej kosmyk włosów za ucho. - Ugotuję kolację, a potem położymy się na kanapie i...

Pocałowała go znowu, przygryzając wargę, przyciskając się mocniej. Nigdy nie trzeba go było długo zachęcać, lecz gdy jego dłoń chwyciła za zamek spódnicy, Sara uciekła myślami do domu: stosu upranych rzeczy do poskładania, ciekącego kranu w łazience dla gości i porwanej wyściółce na półkach w kuchni.

Sama myśl o zdejmowaniu rajstop była przytłaczająca.

Znowu się odsunął z nikłym uśmiechem.

- Chodź - powiedział, biorąc ją za rękę i wyprowadzając z łazienki. - Zawiozę cię do domu.

Byli w połowie holu, gdy zadzwonił jego telefon komórkowy. Jeffrey wzruszył ramionami, jakby potrzebował pozwolenia Sary, żeby odebrać telefon.

- No już - ustąpiła, wiedząc, że inaczej ten ktoś znów zadzwoni albo, gorzej, przyjdzie go szukać. - Odbierz.

Nadal niechętnie, ale odpiął telefon od paska. Zobaczyła, jak zmarszczył brwi, widząc numer dzwoniącego, po czym odebrał.

- Tolliver.

Sara oparła się o kontuar i z dłońmi na biodrach usiłowała wyczytać coś z jego twarzy. Zbyt długo była żoną policjanta, by nie wiedzieć, że nie ma czegoś takiego jak zwykła rozmowa telefoniczna.

- Gdzie jest teraz? - zapytał Jeffrey. Kiwnął głową i nadal słuchając, napiął ramiona. - W porządku - powiedział, spoglądając na zegarek. - Mogę tam być za trzy godziny.

Zakończywszy rozmowę, tak mocno ścisnął telefon w dłoni, że Sara obawiała się, że aparat pęknie.

- Lena - rzucił krótko, zanim Sara zdążyła go zapytać, co się dzieje.

Lena Adams, detektyw z jego posterunku, miała zwyczaj wpadać w tarapaty i wciągać w nie Jeffreya. Już samo jej nazwisko wywoływało dreszcz niepokoju.

- Myślałam, że ona jest na urlopie - powiedziała Sara.

- Był wybuch - odparł Jeffrey. - Leży w szpitalu.

- Wszystko z nią w porządku?

- Nie - powiedział, kręcąc głową, jakby nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. - Została aresztowana.

TRZY DNI WCZEŚNIEJ

ROZDZIAŁ DRUGI

Lena trzymała jedną ręką kierownicę, a drugą przeszukiwała stacje radiowe. Krzywiła się, słysząc w głośnikach pisk pustogłowych dziewczyn: kiedy głupota stała się dobrze sprzedającym się talentem? Poddawała się, gdy dotarła do kanałów z muzyką country. W bagażniku wozila zmieniacz na sześć płyt, ale miała powyżej uszu każdej z nich i wszystkich znajdujących się na nich piosenek. W rozpaczy sięgnęła za oparcie fotela, szukając na podłodze jakiejś płyty CD. Natrafiła na trzy puste opakowania z rzędu, klnąc coraz głośniejszy przy każdym kolejnym. Już miała zrezygnować, gdy czubkami palców dotknęła leżącej pod fotelem kasety.

Jej ośmioletnia celica miała jeszcze odtwarzacz magnetofonowy, ale Lena nie miała pojęcia, co się znajduje na tej kasecie ani nawet w jaki sposób znalazła się w jej samochodzie. Mimo to wepchnęła ją w otwór i czekała. Nic się nie stało, więc pokręciła gałką, zastanawiając się, czy kasetka jest pusta czy uszkodzona przez upały poprzedniego lata. Jeszcze mocniej podkręciła głośność i o mało nie dostała zawału, gdy samochód wypełnił się łoskotem bębnowym na początku *Bad Reputation* Joan Jett.

Sibyl. Jej siostra bliźniaczka nagrała tę taśmę dwa tygodnie przed śmiercią. Lena pamiętała, jak słuchała właśnie tej piosenki prawie sześć lat temu, gdy wracała autostradą do okręgu Grant po wizycie w federalnym laboratorium stanu Georgia w Macon. Była to podróż bardzo podobna do tej, którą odbywała dzisiaj: prosta międzystanowa droga wiodąca szpalerem kudzu, z nielicznymi przemykającymi nią osiemnastokołowymi ciężarówkami i przyczepami mieszkalnymi transportowanymi do czekających na nie rodzin. Kiedy Lena na całe gardło wtórowała Joan Jett, jej

siostra była już w okręgu Grant, torturowana i mordowana przez sadybę.

Wyjęła kasetę z odtwarzacza i wyłączyła radio.

Sześć lat. Wydawało się, że nie minęło wiele czasu, a jednocześnie jakby minęła wieczność. Lena dopiero zaczęła dochodzić do tego, że myśl o zamordowanej siostrze bliźniaczce nie była pierwszą, jaka przychodziła jej do głowy po przebudzeniu. Zazwyczaj dopiero później, gdy zobaczyła coś zabawnego lub usłyszała w pracy jakąś zwariowaną historię i notowała w myślach, żeby opowiedzieć o tym siostrze, w następnej chwili uzmysławiała sobie, że Sibyl już nie ma i nie może tego usłyszeć.

Dla Leny Sibyl zawsze była całą jej rodziną. Ich matka umarła trzynaście dni po ich urodzeniu. Ich ojciec, policjant, został zastrzelony przez człowieka, którego zatrzymał za przekroczenie prędkości. Nawet nie wiedział, że jego młoda żona jest w ciąży. Ponieważ dziewczynki nie miały żadnych innych krewnych, wychował je Hank Norton, brat ich matki. Lena nigdy nie myślała o wuju jako o członku rodziny. Hank był ćpunem, kiedy była dzieckiem, i ponurym, nadętym dupkiem, gdy była nastolatką. Lena uważała go raczej za opiekuna, kogoś ustalającego zasady i dzierżącego władzę. Od początku chciała tylko wyrwać się spod jego opieki.

Ponownie wepchnęła kasetę do odtwarzacza i skrzyła głośność do cichego, gniewnego pomruku.

/ don't give a damn about my bad reputation...

Siostry śpiewały to jako nastolatki, niczym swój hymn przeciwko Reese, zapadłej mieścinie, w której mieszkały, dopóki nie były dość dorosłe, żeby się z niej wynieść. Ze swą smagłą cerą i egzotyczną urodą, jaką zawdzięczały meksykańskiemu pochodzeniu babki, obie nie były zbyt lubiane. Inne dzieci były okrutne i Lena rozprawiała się z nimi po kolei, podczas gdy Sibyl była zajęta nauką, ciężko pracując na stypendia potrzebne jej, aby kontynuować edukację. Po szkole średniej Lena przez chwilę kręciła się bez celu, a potem wstąpiła do akademii policyjnej, gdzie Jeffrey Tolliver wyłowił ją z gromady rekrutów i zaproponował pracę. Sibyl uzyskała już stanowisko profesora w Grant Institute

of Technology, co znacznie ułatwiło Lenie decyzję przyjęcia tej posady.

Lena zaczęła wspominać swoje pierwsze miesiące pracy w Grant. Po Reese Heartsdale wydawało się wielką metropolią. Nawet Avondale i Madison, pozostałe miasta okręgu, robiły wrażenie na przyjeźdnej z małego miasteczka. Większość dzieciaków, z którymi Lena chodziła do szkoły, nigdy nie wyjechała poza granice stanu Georgia. Ich rodzice pracowali po dwanaście godzin dziennie w fabryce opon lub pobierali zasiłek dla bezrobotnych, na którym siedzieli i pili. Wakacje były dla bogatych - ludzi, którzy mogli sobie pozwolić na opuszczenie kilku dni pracy i mimo to starczało im na zapłacenie rachunku za prąd.

Hank miał bar na przedmieściu Reese i kiedy przestał wstrzykiwać zyski z niego w swoje żyły, Sibyl i Lena wiodły względnie wygodne życie w porównaniu ze swoimi sąsiadami. Jasne, dach ich domu zapadał się, a chevrolet z 1963 roku, od kiedy pamiętały, stał na kołkach na podwórzu z tyłu domu, ale zawsze miały co jeść i co roku przed rozpoczęciem szkoły Hank jechał z dziewczynkami do Atlanty i kupował im nowe ubrania.

Lena powinna być wdzięczna, ale nie była.

Sibyl miała osiem lat, gdy Hank w pijanym widzie potracił ją samochodem. Lena i jej siostra rzucały sobie starą piłkę tenisową. Lena przerzuciła i kiedy Sibyl wybiegła na podjazd i pochyliła się, żeby podnieść piłkę, zderzak cofającego się samochodu Hanka uderzył ją w skroń. Nie było wiele krwi - zaledwie skaleczenie tuż pod linią włosów - ale wyrządził poważną szkodę. Sibyl straciła wzrok i obojętnie w ilu spotkaniach Anonimowych Alkoholików Hank wziął udział i jak bardzo starał się być pomocny, w podświadomości Leny zawsze tkwił obraz jego samochodu potrącającego siostrę i zdziwiona mina padającej na ziemię Sibyl.

A jednak była tutaj, poświęcając jeden ze swych cennych dni urlopu, by sprawdzić, co u tego starego drania. Hank nie dzwonił od dwóch tygodni, co było dziwne. Choć rzadko odpowiadała na jego telefony, niemal codziennie zostawiał jej nagrane wiadomości. Ostatni raz widziała go trzy miesiące temu, kiedy - nieproszony - przyjechał do Grant, aby pomóc jej w przeprowadzce. Wynajmowała dom

Jeffreya, po tym jak odkrył, że poprzedni najemcy, dwie dziewczyny z college'u, traktowały to miejsce jako swój prywatny burdel. Przenosząc pudła, Hank powiedział do niej najwyżej tuzin słów, a Lena była równie rozmowna. Gdy odjeżdżał, poczucie winy skłoniło ją do zaproszenia go na obiad w nowo otwartej smażalni za rogiem, ale zanim zdążyła dokończyć zdanie, on już się wymówił i wsiadał do swojego sfatygowanego mercedesa.

Powinna była wiedzieć, że coś jest nie tak. Hank nigdy nie tracił okazji, by spędzić z nią chwilę, obojętnie jak niemiłą. To, że wtedy zaraz odjechał do Reese, powinno dać jej do myślenia. Przecież była detektywem, do licha. Powinna zauważyć, że dzieje się coś niezwykłego. I powinna zadzwonić do niego i sprawdzić, co się z nim dzieje w ciągu tych dwóch tygodni, jakie minęły od jego wizyty.

W końcu to Charlotte, jedna z sąsiadek Hanka, zadzwoniła do Leny i powiedziała jej, że powinna przyjechać i zająć się wujem.

- Żle z nim - powiedziała.

Kiedy Lena próbowała ją przycisnąć, Charlotte wymamrotała coś o tym, że musi zająć się dzieckiem, i odłożyła słuchawkę.

Wjeżdżając w granice miasteczka Reese, Lena czuła, że sztywnieje. Boże, jak ona nienawidziła tej dziury. W Grant przynajmniej czuła się na swoim miejscu. Tymczasem tu zawsze miała być sierotą, awanturnicą, siostrzenicą Hanka Nortona - nie, nie Sibyl, lecz Lena, ta zła.

Minęła trzy kościoły, jeden po drugim. Przy boisku piłkarskim stał wielki billboard z napisem głoszącym: „Dzisiejsza przepowiednia: Jezus króluje!”

- Chryste - mruknęła i skręciła w lewo w Kanuga Road, jadąc na wewnętrznym autopilocie bocznymi uliczkami do domu Hanka.

Lekcje miały się skończyć dopiero za godzinę, ale spod liceum i tak odjeżdżało dość samochodów, by spowodować korek. Lena zwolniła, słuchając zduszonych dźwięków konkurujących ze sobą radiostacji i podrasowanych wozów z piskiem zdzierających opony na asfalcie.

Facet w niebieskim mustangu starego typu, z ręczną skrzynią biegów i metalową deską rozdzielczą, która może

odciąć ci głowę jeśli uderzysz we właściwe drzewo, zatrzymał się na sąsiednim pasie. Lena obróciła głowę i zobaczyła nastolatka, który otwarcie się na nią gapił. Złote łańcuchy na jego szyi skrzyły się w słońcu, a imbirowo rude włosy były tak nażelowane, że wyglądał jak coś, co prędzej można znaleźć na dnie morza niż w małym południowym miasteczku. Nieświadomy tego, jak głupio wygląda, kiwając głową w rytm płynącego ze stereofonicznych głośników rapu, znacząco do niej mrugnął. Lena odwróciła głowę, myśląc, że chętnie zobaczyłaby, jak ktoś wysadza tego rozpuszczonego białego dupka w centrum Atlanty w piątkowy wieczór. Byłby zbyt zajęty sikaniem w majtki, żeby cieszyć się *gangsta life*.

Skręciła w następną ulicę, wybierając dłuższą drogę do Hanka, chcąc uciec od dzieciaków i ulicznego ruchu. Hankowi pewnie nic nie jest. Lena wiedziała, że jedyną cechą, jaką dzieliła z wujem, jest skłonność do ponuractwa. Hank pewnie miał po prostu chandrę. Pewnie będzie zły, widząc ją w progu, naruszającą jego prywatność. Nie mogłaby go za to winić.

Biały cadillac escalade stał zaparkowany na podjeździe za starym mercedesem Hanka. Lena podjechała celicą do krawężnika i zgasiła silnik, zastanawiając się, kto odwiedził wuja. Może Hank urządził u siebie spotkanie AA. W takim wypadku miała nadzieję, że kierowca escalade był ostatnim wychodzącym, a nie pierwszym z przychodzących. Jej wuj był równie uzależniony od samopomocowych bzdur jak od prochów i alkoholu. Wiedziała, że Hank potrafi jechać sześć godzin, żeby wysłuchać jakiegoś mówcy lub wziąć udział w jakimś spotkaniu, po czym przejechać sześć kolejnych godzin, żeby otworzyć bar dla wczesnopołudniowych pijaczków.

Przyjrzała się domowi i pomyślała, że od czasów jej dzieciństwa zmienił się jedynie stan jego rozpadu. Dach był jeszcze bardziej zapadnięty, a farba na deskach obłaziła tak mocno, że jej białe płatki utworzyły kredową linię wokół domu. Nawet skrzynka pocztowa pamiętała lepsze dni. Najwyraźniej ktoś potraktował ją kijem baseballowym, lecz Hank - jak zawsze pomysłowy - z powrotem przytwierdził ją taśmą klejącą do zbutwiałego słupka.

Trzymając w dłoni kluczyki, Lena wysiadła z samochodu. Ścierpła po długiej jeździe i zrobiła skłon w przód, żeby rozprostować nogi.

Huknął strzał i Lena poderwała się, sięgając po broń i przypominając sobie, że jej glock jest w schowku na rękawiczki. Niemal natychmiast uświadomiła sobie, że ten huk to tylko trzaśnięcie frontowych drzwi.

Zatrzasnął je krępy, łysy mężczyzna o bicepsach jak armatnie kule i usposobieniu, które wyczuła z odległości dwudziestu kroków. Miał dużą pochwę z myśliwskim nożem na prawym biodrze, a w tylnej kieszeni spodni portfel na grubym metalowym łańcuchu zwisającym ze szlufki przy pasie. Zbiegł po rozklekotanych frontowych schodach, licząc plik pieniędzy, które trzymał w grubych łapskach.

Podniósł głowę, zobaczył Lenę i prychnął lekceważąco, po czym wsiadł do białego cadillaca. Dwudziestodwucalowe koła pojazdu wzbity chmurę kurzu, gdy wyjechał tyłem z podjazdu i wykręcił obok jej samochodu. Escalade był prawie jard dłuższy i co najmniej dwie stopy szerszy. Dach miał tak wysoko, że zasłaniał jej widok. Boczne szyby były mocno przyciemnione, ale przednie okna były otwarte, więc mogła dobrze się przyjrzeć kierowcy.

Zatrzymał się tak blisko, że znalazła się między dwoma samochodami, i przeszył ją spojrzeniem paciorkowatych oczu. Czas zwolnił bieg i zobaczyła, że mężczyzna jest starszy, niż sądziła, a jego ogolona głowa nie była próbą nadażania za modą, lecz dopełnieniem dużej czerwonej swastyki wytatuowanej na nagim przedramieniu. Nastroszone czarne włosy koziej bródki i wąsów zakrywały mu część twarzy, lecz i tak dostrzegła drwiące skrzywienie jego grubych, wilgotnych warg.

Lena dostatecznie długo była w policji, by rozpoznać kryminalistę, a kierowca dostatecznie długo był kryminalistą, żeby rozpoznać w niej policjantkę. Żadne z nich nie zamierzało ustąpić, lecz po chwili przerwał impas, kręcąc głową, jakby chciał powiedzieć: „Co za pieprzona strata”. Jego biały podkoszulek damskiego boksera odsłaniał prężące się mięśnie, gdy wrzucił bieg i odjechał.

Lena stała i spoglądała za nim. Pięć, sześć, siedem... liczyła sekundy, stojąc na swojej pozycji na środku ulicy.

czekając, aż cadillac skręci i jego kierowca przestanie widzieć ją w lusterku.

Gdy samochód znikł za rogiem, podeszła do celiki od strony pasażera i wyjęła sześciocalowy składany nóż, który trzymała pod siedzeniem. Wsunęła go do tylnej kieszeni spodni, po czym wyjęła glocka ze schowka na rękawiczki. Sprawdziła bezpiecznik i przypięła kaburę do paska. Nie miała ochoty ponownie spotkać tego człowieka, szczególnie nieuzbrojona.

Idąc w kierunku domu, starała się nie analizować powodów, dla jakich ktoś taki mógł przebywać w domu jej wuja. W takim miasteczku jak Reese nie jeździ się takim samochodem, pracując w fabryce opon. I to pewne jak cholera, że nie wychodzi się z czyjegoś domu, wymachując plikiem forsy, jeśli się nie wie, że nikt nie spróbuje ci jej odebrać.

Trzęsły jej się ręce, gdy szła w kierunku domu. Futryna była popękana od zbyt gwałtownego trzaśnięcia, a może kopnięcia. Kawałki zbutwiałego drewna i zardzewiałego metalu sterczały wokół klamki, więc Lena pchnęła drzwi czubkiem buta.

- Hank? - zawołała, powstrzymując chęć sięgnięcia po broń.

Mężczyzna odjechał, lecz wciąż wyczuwało się jego obecność. Stało się tu coś złego. Może wciąż się działo.

Praca w policji nauczyła Lenę szacunku dla swojego instynktu. Każdy nowicjusz uczy się słuchać swoich przeczuć. Tego nie uczą w akademii policyjnej. Albo słuchasz instynktu, który jeży ci włosy na karku, albo podczas pierwszego wezwania pakuje ci kulę w pierś jakiś ćpun, który myślał, że chcą go dopaść obcy.

Lena wyjęła glocka, kierując jego lufę w podłogę.

- Hank?

Żadnej odpowiedzi.

Ostrożnie przeszła przez dom, nie wiedząc, czy został splądrowany, czy też Hank przez jakiś czas nie trudził się sprzątaniem. W powietrzu unosił się nieprzyjemny odór jakichś chemikaliów, jakby spalonego plastiku, zmieszany ze zwykłym smrodem nałogowo palonych przez Hanka papierosów oraz kurzego tłuszczu z potraw, które zamawiał co wieczór. Na kanapie w salonie leżały porzucane gazety.

Lena pochyliła się i sprawdziła daty. Większość była sprzed miesiąca.

Zachowując czujność, poszła korytarzem. Drzwi sypialni jej i Sibyl były otwarte na oścież, łóżka poślane. Pokój Hanka wyglądał zupełnie inaczej. Pościel była skotłowana w nogach łóżka, jakby ktoś rzucał się na nim w złym śnie, a na środku materaca widniała brzydka brązowa plama. W łazience było brudno. Fugi pociemniały od pleśni, z sufitu zwisały kawałki mokrego tynku.

Z glockiem gotowym do strzału stanęła przed zamkniętymi drzwiami kuchni.

- Hank?

Brak odpowiedzi.

Zawiasy zaskrzypiały, gdy pchnęła drzwi.

Hank pólleżał na krześle przy kuchennym stole. Przed nim leżały sterty broszur Anonimowych Alkoholików, a obok nich zamknięta metalowa kasetka, którą Lena pamiętała z dzieciństwa.

Jego zestaw.

Narkomani lubią swój sprzęt niemal tak jak swoje prochy. Pewien typ strzykawki, jedna z żył... mają swoje przyzwyczajenia w uzależnieniach oraz sposób postępowania, z którym prawie tak trudno im zerwać jak z nałogiem. Potrząsnąć woreczkiem, wystukać proszek, zapalić zapalniczkę, oblizać wargi, zaczekać, aż proszek zmieni się w płyn, a płyn się zagotuje. Potem strzykawka. Czasem samo myślenie o strzale wystarczy, żeby w połowie odlecieli.

Zestaw Hanka składał się z metalowej ciemnoniebieskiej kasetki, z obłazącą farbą, spod której widać było szary podkład. Klucz trzymał w szufladzie ze skarpetkami, na co mogła wpaść nawet siedmioletnia dziewczynka. Chociaż teraz kasetka była zamknięta, Lena widziała jej zawartość, jakby wieko było otwarte: igły, aluminiowa folia, zapalniczka, filtry oderwane z papierosów. Łyżkę, której używał do podgrzewania proszku, znała równie dobrze jak własną kieszeń. Ściemniałe srebro, ozdobna rękojeść zgięta w pętlę, w którą można wetknąć palec wskazujący. Hank przydybał ją kiedyś na oglądaniu jej i stłukł jej tyłek. Lena nadal nie wiedziała, czy zrobił to, ponieważ ruszała jego rzeczy, czy nie chciał, żeby ćpała.

Z bronią w ręku opierała się o kuchenny blat, gdy Hank wreszcie się poruszył. Spojrzał na nią zmętniałymi oczami, ale wiedział, że jej nie widzi, nie może skupić wzroku ani myśli. Ślina ciekła mu z otwartych ust. Nie założył sztucznej szczęki, nie kąpał się i nie czesał chyba od tygodni. Podwinięte rękawy koszuli ukazywały maleńkie blizny po igle sprzed wielu lat oraz nowe ślady - ropiejące, poszarpane dziury - w miejscach, gdzie przepychacz do rur, talk czy co tam do diabła domieszano do tego gówna, które pakował sobie w żyły, wywołał infekcję.

Uniosła lufę pistoletu w górę. Miała wrażenie, że stoi z boku i to nie jej ręka trzyma broń, nie jej palec spoczywa na spuście, nie jej głos mówi:

- Kim, kurwa, był ten facet?

Hank otworzył usta i dostrzegła ciemnoczerwone dziąsła w miejscu zębów, które spróchniały, ponieważ narkotyki zżerały go od środka.

- Mów! - warknęła, podsuwając mu glocka pod nos.

Wysunął język na brodę, usiłując coś powiedzieć. Musiała trzymać broń oburącz, żeby nie trzęsła się w jej rękach i nie wypaliła. Minęło kilka minut, a może godzin - Lena nie umiała tego ocenić. Straciła poczucie czasu i nie wiedziała, czy to terazniejszość, czy może jakoś uwięzła w przeszłości przed trzydziestoma laty, gdy była zaledwie przestraszonym dzieckiem, zastanawiającym się, dlaczego wujek tak się uśmiecha, gdy krew płynie mu z nosa i uszu. Poczowała, że swędzi ją skóra od panującego w domu gorąca. Wokół Hanka unosił się nieznośny smród. Pamiętała ten zaduch z dzieciństwa, wiedziała, że nie dbał o czystość i nie kąpał się, ponieważ warstwa brudu zatykała pory ciała, co przedłużało działanie narkotyku.

Lena niechętnie odłożyła broń na kuchenny blat, stojąc plecami do niego i usiłując powstrzymać napływające falą wspomnienia: Hank nieprzytomny na podwórzu, pracownice opieki społecznej przychodzące, żeby je zabrać. Sibyl płacząca, Lena wrzeszcząca. Nawet teraz gorące łzy spływały jej po policzkach i nagle znów była tamtą małą dziewczynką, tą bezsilną, bezradną dziewczynką, której jedyną nadzieją w życiu był bezużyteczny pieprzony ćpun.

Odwróciła się i tak mocno uderzyła go w twarz, że bezwładnie upadł na podłogę.

- Wstań! - krzyknęła, kopiąc go. - Wstań, kurwa!

Jęknął i zwinął się w kłębek, co przypomniało jej, że nawet nieprzytomne ciało robiło, co mogło, żeby się ochronić. Miała ochotę tłuc go pięściami.

Walić po twarzy, aż nikt nie będzie w stanie go rozpoznać. Ile nocy przeleżała bezsennie, wypłakując sobie oczy i czekając, aż wreszcie wróci do domu? Ile razy rano znalazła go leżącego w kałuży własnych wymiocin? Ilu obcych ludzi nocowało w ich domu - paskudnych, złych ludzi o lubieżnych uśmiechach i grubych, natrętnych palcach - kiedy Hank odlatywał i był obojętny na wszystko?

- Czy to był twój diler? - zapytała Lena, czując wzburzenie w żołądku mdłości. - Twój dostawca?

Wyszeptał coś i drobne jak mgła kropelki krwi trysnęły na brudne linoleum.

- Kto to? - wrzasnęła, pochylając się nad jego zwiniętym w kłębek ciałem, chcąc usłyszeć słowa, poznać nazwisko diler. Wytropiłaby go, zabrała do lasu i wpackowała mu kulę w łeb. - Kim był ten mężczyzna?

- On był... - wyrzęził Hank.

- Podaj mi jego nazwisko - rozkazała Lena, klękając przy nim i tak mocno zaciskając pięści, że paznokcie wbijały się w ciało. - Powiedz mi, kto to jest, ty głupi pierdoło.

Uniósł głowę i zobaczyła, że próbuje skupić wzrok. Kiedy powieki zaczęły mu opadać, złapała go za tłuste żółte włosy i poderwała głowę tak, że musiał na nią spojrzeć.

- Kto to jest? - powtórzyła.

- Ten człowiek...

- Kto to? - spytała Lena. - Kto to jest?

- To on - wymamrotał Hank, zamykając oczy, jakby trzymanie ich otwartych było ponad jego siły. Mimo to dokończył: - To on zabił twoją matkę.

**PONIEDZIAŁEK
WIECZOREM**

ROZDZIAŁ TRZECI

Od chwili gdy stopa Jamesa Oglethorpe'a po raz pierwszy dotknęła ziemi Georgii, ludzie próbowali podzielić ten stan na swoje idealne kawałeczki. Pierwszą próbę podjęto w 1741 roku, kiedy zarząd powierniczy postanowił podzielić ziemię na dwie kolonie: Savannah i Fredericę. Kiedy Georgia stała się królewską kolonią i przyjęła anglikanizm jako oficjalną religię, terytorium podzielono na osiem parafii. Po wojnie wywoleniczej ziemie plemion Creek i Cherokee na południu zabrano, by umożliwić ekspansję białych, a później zabrano jeszcze ziemie Cherokee na północy.

W połowie dziewiętnastego wieku nie było już żadnego indiańskiego terytorium, więc chłopcy zabrali się do dzielenia istniejących okręgów. Gdy nadszedł rok 1877, w Georgii było 137 okręgów - i tyleż małych ośrodków władzy politycznej, że poprawiono konstytucję stanu, by powstrzymać ten proces, a w 1945 roku poprawiono ją ponownie, żeby usunąć luki, które w międzyczasie pozwoliły na utworzenie 16 kolejnych okręgów. Ostatecznie zatwierdzono ich liczbę na 159, a każdy miał swojego przedstawiciela w zgromadzeniu stanowym, swoją stolicę, podatki, szkoły, sędziów, system polityczny i miejscowego, wybieranego szeryfa.

Jeffrey niewiele wiedział o okręgu Elawah, poza tym, że jego założyciele najwyraźniej zapożyczyli tę nazwę od Indian, których wykopali z ich ziemi. Zanim dojechał z Sarą do granicy miasta, zapadła noc, i z tego, co widzieli, to miejsce nie było czymś, o czym warto byłoby pisać do domu. Lena nie należała do tych, które chętnie gawędzą o swoim dzieciństwie, i jadąc przez Reese, stolicę okręgu Elawah, Jeffrey zrozumiał dlaczego. Nawet mrok nocy nie zdołał skryć przygnębiającej nijakości miasteczka.

Jeffrey studiował historię Stanów Zjednoczonych na uniwersytecie Auburn, ale w żadnym podręczniku nie znajdziesz informacji, że są takie miejsca na Południu, które wciąż nie doszły do siebie po wojnie secesyjnej. Bieżąca woda, kanalizacja, podstawowe potrzeby, które inni Amerykanie uważają za rzecz oczywistą, są luksusami dla ludzi mieszkających po niewłaściwej stronie Reese. Sylacauga w Alabamie, rodzinne miasto Jeffreya, było biedne, ale nie aż tak. Reese było jak jątrząca się rana, którą widać dopiero wtedy, kiedy w wyniku jakiegoś nieszczęścia zostanie zdarty strup.

- Tam na lewo - powiedziała Sara, odczytując wskazówki, które dał Jeffrey owi szeryf.

Jeffrey skręcił, zerkając na Sarę, gdy światło latarni rozjaśniło wnętrze samochodu. Przebrała się w dżinsy i sweter, lecz twarz wciąż miała smutną. Nie był pewien, czy z powodu tego przesłuchania w związku z oskarżeniem o niedopełnienie obowiązków, czy przez tę historię z Leną. Zdziwił się, kiedy wyraziła chęć towarzyszenia mu. Z pewnością nie była fanką Leny. Chociaż obie kobiety przez te wszystkie lata traktowały się uprzejmie, powodem kilku najwłaściwszych kłótni, jakie wybuchły w niedawnej przeszłości między Jeffreyem a Sarą, była młoda detektyw - jej upór, zapalczywość, to, co Sara uważała za brak troski o własne bezpieczeństwo, a Jeffrey za cechę dobrego policjanta.

Częściowo to Jeffrey ponosił winę za złą opinię Sary o Lenie. W domu mówił o niej tylko w kontekście jej porażek. Nigdy nie rozmawiał z Sarą o tym, co Lena robiła dobrze: jak potrafiła przeprowadzić dochodzenie czy o tym, że czasem nawet uczyła się na własnych błędach. Popelniwszy kilka poważnych błędów na początku swojej pracy, Jeffrey był wyrozumiały. Prawdę mówiąc, w Lenie widział siebie samego, kiedy był w jej wieku. Może Sara czuła to samo, bo nie była wielką fanką Jeffreya Tollivera, którego znała przed dziesięcioma laty.

Gdyby Jeffrey miał zgadywać, powiedziałby, że Sara postanowiła pojechać z nim, ponieważ nie chciała zostać sama. A może po prostu chciała wynieść się z miasta. Jeffrey też nie był zbyt zadowolony z tego, w jaki sposób obywatele okręgu Grant traktowali jego żonę. Przez ostatnie dwa mie-

siące uzupełniał w myślach listę osób, którym już nigdy nie anuluje mandatu za przekroczenie prędkości.

- To tam - powiedziała, wskazując boczną uliczkę wyglądającą na ślepy zaułek.

- Jesteś pewna?

Sara ponownie zajrzała do notatek.

- Powiedział, że przy smaźalni w prawo.

Zwolnił i wyciągnął rękę nad głowę, szukając włącznika oświetlenia kabiny.

- Tu - powiedziała, wciskając guzik obok lusterka.

Bmw Sary płynęło po szosie jak masło, ale nadmiar bajerów doprowadzał Jeffreya do bólu głowy. Wziął od niej notatki i podniósł je do światła.

- Nie żebym nie mogła odczytać twojego charakteru pisma - powiedziała. - Kaligrafujesz jak nauczyciel pierwszoklasistów.

Wskazała na wyświetlacz GPS na desce rozdzielczej, na którym przez pół ostatniej godziny widniał napis: „Brak danych dla tej pozycji”.

- Ile dopłaciłaś za to urządzenie?

- A co to ma wspólnego z twoim charakterem pisma?

Nie odpowiedział, spoglądając na swoje notatki. Wyraźnie napisał w nich „przy smaźalni w prawo”.

Jeffrey oddał kartkę papieru Sarze i skręcił w prawo. Jechał powoli, ostrożnie pokonując wyboje. Już miał zawrócić, gdy Sara dostrzegła znajomy niebieski znak drogowy z literą H. Kawałek dalej zobaczyli jasne światła parkingu, a za nim coś, co mogło być tylko szpitalem.

Centrum medyczne okręgu Elawah znajdowało się naprzeciw Dunkin' Donuts i Kentucky Fried Chicken, obu zamkniętych o tej porze. Budynek szpitala był koszmarem architekta. Częściowo zbudowany z betonu, częściowo z pustaków i częściowo z cegieł, ten piętrowy budynek wyglądał jak skopany przez chuliganów kundel. Nieliczne samochody rozproszone po parkingu w większości były furgonetkami z kołami oblepionymi błotem po niedawnym deszczu. Na chromowanych zderzakach widniały nalepki NASCAR i ryba - symbol pierwszych chrześcijan. Jechali prawie trzy godziny, żeby się tu dostać, ale nie mieli cienia wątpliwości, że wciąż są na Południu.

Jeffrey zajął wolne miejsce przy drzwiach do izby przyjęć. Nie wysiadł z samochodu i nie wyłączył silnika. Tylko siedział tam, myśląc o tych skąpych informacjach, jakich mu udzielono. Lena była zamieszana w jakąś eksplozję. Leżała w szpitalu. Została aresztowana.

Co zrobiła tym razem?

To były słowa Sary - Sary, która nie mogła zrozumieć, dlaczego Jeffrey bronił Leny przez te wszystkie lata; która nie wiedziała, jak to jest rosnąć bez korzeni, kiedy nikt nie spodziewa się po tobie niczego innego jak popełniania tych samych błędów, które popełnili twoi rodzice. Gdyby tak było, Jeffrey umarłby jako bezużyteczny pijak jak jego ojciec, a Lena... Nie wiedział, co stałoby się z Leną. Uratowało ją tylko to, że nie zamierzała brać przykładu z Hanka Nortona. Co do innych osób w jej życiu, to Jeffrey poznał tylko jedną z nich, jej byłego chłopaka, byłego więźnia, byłego neonazistę, którego nędzny tyłek Jeffrey z radością znów posadził w więzieniu.

- Hej - powiedziała łagodnie Sara. - Wszystko w porządku?

- Taak. - Obrócił się do niej. - Posłuchaj, wiem, co myślisz o Lenie, ale...

- Zatrzymaj to dla siebie - przerwała mu. Patrzył na jej twarz, próbując wyczytać z niej, czy jest urażona lub rozzłoszczona tą prośbą. Nie dostrzegł żadnego z tych uczuć, a Sara nawet zdołała się uśmiechnąć. - Załatwmy to i wracajmy do domu.

- Dobry plan.

Zgasił silnik i wysiadł z samochodu. W powietrzu unosił się zapach dymu z papierosów i Jeffrey ujrzał dwóch sanitariuszy opartych o ambulans i zbijających baki w oczekiwaniu na następne wezwanie. Jeden z nich pomachał ręką Jeffreyowi, który odpowiedział mu skinieniem głowy, obchodząc samochód, by otworzyć Sarze drzwi.

- Nie jestem pewien, co będzie - ostrzegł ją.

- Mogę zaczekać w samochodzie - zaproponowała. - Nie chcę ci przeszkadzać.

- Nie będziesz mi przeszkadzać - odparł, chociaż ta myśl też przyszła mu do głowy. Otworzył tylne drzwi i wyjął marynarkę. - Możesz ją zbadać. Upewnić się, że wszystko w porządku.

Sara zawahała się. Wiedział, że ostatnio nie czuła się jak lekarz, bo przez to oskarżenie o niedopełnienie obowiązków przestała ufać swoim instyngtom.

- Naprawdę, nie jestem...

Jeffrey nie naciskał.

- W porządku - rzekł. - Chodź.

Szklane drzwi rozsunęły się, gdy weszli na izbę przyjęć. W poczekalni nie było nikogo poza starym mężczyzną na wózku inwalidzkim i siedzącej przy nim młodej kobiety. Oboje mieli maski chirurgiczne i wpatrywali się w telewizor zawieszony pod sufitem. Jeffreyowi przypomniały się podawane ostatnio w mediach ostrzeżenia przed nową odmianą wirusa grypy, który może zabić wszystkich. Rejestratorka za kontuarem nie nosiła maski, lecz widząc jej kwaśną minę, odgadł, że unoszące się wokół zarazki bałyby się do niej zbliżyć.

Otworzył usta, żeby się przedstawić, lecz kobieta nie dopuściła go do głosu, z trzaskiem rzuciła książkę na kontuar i powiedziała:

- Wypełnić. Potem za żółtą linią do księgowości, aby ustalić formę płatności, i z powrotem tutaj. Mamy już dwie godziny spóźnienia, więc jeśli nie macie dobrego powodu, by tu być, lepiej wrócić do domu i spróbować to przespać.

Jeffrey wyjął odznakę i położył ją na kontuarze obok książki.

- Przyszedłem zobaczyć się z szeryfem Valentine'em.

Kobieta przesunęła językiem po dolnych zębach, co wyglądało, jakby natarła sobie dziąsła koką. W końcu z głośnym westchnieniem zabrała książkę i odwróciła się do swojego komputera, kilkoma kliknięciami wywołując pasjansa, którego najwidoczniej stawiała.

Jeffrey spojrzał na Sarę, jakby ona była w stanie rozszyfrować układy panujące w tym szpitalu. Wzruszyła ramionami i Jeffrey już zaczął podejrzewać, że zostali spławieni, gdy rejestratorka wydała następne głośne westchnienie i powiedziała:

- Za zieloną linią do windy, potem na drugie piętro i za niebieską linią do pokoju pielęgniarek. Może będą wiedziały, o co chodzi.

Spojrzał w dół. Pod nogami zobaczył pięć namalowanych

linii. Dwie prowadziły w głąb korytarza, jedna do windy, a ostatnia, czerwona, do wyjścia znajdującego się niecałe trzy metry dalej.

Jeffrey zabrał odznakę i schował ją do kieszeni. Pozwolił, by Sara szła przed nim do windy. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, drzwi windy otworzyły się, gdy podeszli. Podłoga kabiny była różowawa od brudu, a w powietrzu unosił się słaby odór sosnowego dezodorantu i wymiocin.

Sara przystanęła.

- Może lepiej chodźmy po schodach?
- A co z niebieską linią? - zapytał półzartem Jeffrey.

Wzruszyła ramionami i wsiadła. Poszedł za jej przykładem i wcisnął guzik drugiego piętra, notując w pamięci, że są tylko dwa przyciski zamiast trzech. Oboje stali nieruchomo, czekając, aż zamkną się drzwi. Te nie drgnęły, więc ponownie wcisnął guzik. Nadal nic się nie działo. Nacisnął guzik pierwszego piętra i drzwi się zamknęły. Gdzieś w górze zawarczała maszyna i kabina ruszyła w górę.

- Nie powinnam była tu przyjeżdżać – powiedziała Sara.
- Nie podobało mu się to, że czuła się tu tak nieswojo.
- Chcę, żebyś tu była. - I dodał, starając się, żeby zabrzmiało to bardziej przekonująco: - Jesteś mi potrzebna.
- Wcale nie - upierała się - ale doceniam kłamstwo.
- Saro...

Odwróciła się i spojrzała na tablicę ogłoszeń przytwierdzoną do ściany kabiny. „Amfa to śmierć!” - ostrzegał jeden z plakatów, ukazujący zdjęcia pięknej jasnowłosej nastolatki, która po zaledwie roku zażywania metamfetaminy zmieniła się w otepiłą bezzębną staruchę, której nieskazitelna niegdyś skóra była pokryta ropiejącymi wrzodami. Ostatnie dwie cyfry numeru telefonu na dole były częściowo zamazane niezdatnym rysunkiem skrepta. Większość pozostałego miejsca zajmował plakat opisujący poszczególne kroki resuscytacji krążeniowo-oddechowej. Ten był zabazgrany typowymi bohomazami znajdowanymi w takich miejscach: nieprzyzwoitymi rymowankami, numerami telefonów łatwych kobiet oraz adresowaną do różnych osób wiadomością, że mogą się cmoknąć.

W końcu drzwi windy otworzyły się z jękiem i brzękiem

dzwonka. Powitał ich słabo oświetlony korytarz i Jeffrey odgadł, że pogaszono światła, żeby pacjenci mogli spać. Tablica awaryjnego wyjścia naprzeciw windy paliła się ciepłym czerwonym blaskiem, wskazując drzwi na samym końcu korytarza. Jeffrey rozejrzał się wokół, przytrzymując otwarte drzwi kabiny i zastanawiając się, czy nie są na niewłaściwym piętrze.

- Tu jest linia - szepnęła Sara, wskazując pojedynczy niebieski pas na podłodze.

Jeffrey zobaczył, że linia biegnie w prawo, mija schody awaryjne i niknie za rogiem. Spojrzał na korytarz po lewej, lecz ujrzał tylko następne sale i drugą tablicę z napisem „wyjście awaryjne”.

Poszli za niebieską linią do dyżurki pielęgniarek. Gdy tylko tam dotarli, uświadomił sobie, że korytarz tworzył zamknięty krąg i gdyby poszli w lewo, trafiliby w to samo miejsce.

- Właśnie dlatego ludzie nienawidzą szpitali - powiedział Jeffrey do Sary. - Jeśli nie pogorszą twojego stanu zdrowia, to doprowadzą cię do szaleństwa.

Sara przewróciła oczami, a Jeffrey przypomniał sobie, jak po raz pierwszy powiedział Sarze, że nienawidzi szpitali. Odpowiedziała niemal odruchowo: „Wszyscy nienawidzą szpitali”.

Dyżurka pielęgniarek była długa, otwarta z obu stron i zapchana do niemożliwości wykresami oraz stosami kolorowych kartek papieru. Było tam jedno biurko z lampą rzucającą jasne światło na bibularz. Na nim leżała gazeta z częściowo rozwiązana krzyżówką. Widząc niedojedzoną paczkę krakersów obok otwartej puszki dietetycznej coli, Jeffrey domyślił się, że ktoś siedzący tutaj został wezwany w połowie posiłku.

Sara oparła się o ścianę i założyła ręce na piersi.

- Pielęgniarka pewnie jest na obchodzie.
- No to chyba zaczekamy tutaj.
- Myślę, że szeryf by tego chciał.

Obrzuciła go dziwnym spojrzeniem, jakby zdziwiona, że to go obchodzi.

Już miał coś powiedzieć, gdy za plecami usłyszał szum splukiwanej toalety.

- Pielęgniarka chyba zakończyła obchód.

Czekali oboje, Sara oparta o ścianę, Jeffrey przechadzając się i czytając wywieszki przyklejone do drzwi niektórych sal. „Nie podawać wody”. „Nie podawać pokarmów stałych”. „Wyprowadzać do toalety”. Chryste, w szpitalach wiedzą, jak cię zdołować.

Usłyszał plusk wody w umywalce, a potem znajomy pisk zasobnika z papierowymi ręcznikami. Po kilku sekundach drzwi otworzyły się i wyszedł z nich siwowłosa mężczyzna w mundurze. Stanął jak wryty na widok Jeffreya.

- Komendant Tolliver?

- Jeffrey - poprawił go, podchodząc, by uścisnąć mu dłoń. Sekundę za późno uświadomił sobie, że nie rozmawia z szeryfem. Insignia na ciemnobrązowym mundurze z brązowo-szarymi aplikacjami identyfikowały go jako zastępcę. - To moja żona, doktor Sara Linton.

- Donald Cook. - Mężczyzna uścisnął dłoń Jeffreya i skinął głową Sarze. Miał donośny basowy głos i zdawał się nie przejmować tym, że może obudzić kogoś z pacjentów. - Przepraszam, jeśli musieliście czekać.

Jeffrey od razu przeszedł do rzeczy.

- Co z moją detektyw?

- Nie sprawia żadnych kłopotów - odparł Cook. - Cicha jak mysz.

W innej sytuacji Jeffrey zażartowałby z pomyłki.

- Jest poparzona? Wasz szeryf mówił, że doszło do jakiejś eksplozji...

- Nawdychała się trochę dymu, ma kilka zadrapań i skaleczeń. Doktor mówi, że nic jej nie będzie.

Jeffrey oczekiwał, że Sara przycisnie go, żeby powiedział coś więcej o stanie zdrowia Leny, ale ona tylko stała i słuchała. To było niepodobne do niej. Szpital był żywiołem Sary. Spodziewał się, że przynajmniej poprosi o kartę Leny albo spróbuje znaleźć lekarza prowadzącego.

Z drugiej strony, Sara zazwyczaj nie towarzyszyła mu podczas pracy. Jeffrey domyślił się, że nie chciała mu przeszkadzać.

- Może mi pan powiedzieć, co się stało?

- Lepiej porozmawiać o tym z Jakiem. - Zastępca wrócił za biurko i z jękiem opadł na fotel. Podniósł słuchawkę

telefonu, mówiąc: - Przepraszam, że nie ma krzesel dla wszystkich. - Założył okulary do czytania, żeby widzieć cyfry na telefonie. - Zeszłej nocy mieli tu ćpuna, który zarzygał wszystkie krzesła. Łatwiej było je wyrzucić i zamówić nowe.

- Żaden problem - powiedział Jeffrey. Wepchnął ręce do kieszeni i z trudem powstrzymał chęć krążenia po pokoju.

Chociaż Sara zatrzymała swoje zdanie dla siebie, widział, że jest zdziwiona tą sytuacją tak samo jak on. Uzbrojony strażnik pilnujący Leny zakrawał na żart. Powinien siedzieć na korytarzu przed jej pokojem, a nie zajadać krakersy i chodzić do kibla, kiedy tylko mu się zachce. Sara miała rację. Jeffrey powinien sam poszukać Leny, zamiast bawić się w dyplomata.

Cook niepotrzebnie podniósł dłoń w uciszającym geście, mówiąc do telefonu:

- Jake? Tak, jest tutaj. Taak, przywiózł ze sobą lekarza. - Kiwnął głową i rozłączył się, mówiąc Jeffreyowi: - Jake powiedział, że właśnie wjeżdża na parking. Był w domu na kolacji. Myśleliśmy, że potrwa trochę dłużej, zanim pan się tu dostanie.

- Za co została aresztowana? - A kiedy tamten nie odpowiedział, Jeffrey podsunął mu kilka możliwości: - Niszczenie własności? Nieudzielenie pomocy?

Cook skrzywił wargi w uśmiechu.

- Niezupełnie.

Jeffrey wiedział, co oznaczało to „niezupełnie” - oskarżyli ją o jakieś drobne przewinienie, żeby zyskać na czasie i oskarżyć o coś dużego. Znow zerknął na żonę, czując się na rozdrożu. Przywożenie tu Sary chyba nie było najlepszym pomysłem. Wszystko w tym szpitalu zapewne przypominało jej o oskarżeniu o niedopełnienie obowiązków, o tym, że gdzieś tam w okręgu Grant rozkładano na czynniki pierwsze jej życie osobiste i zawodowe.

Jeffrey z trudem znow skupił się na Lenie.

- Czy możemy pójść i zobaczyć się z nią?

- To może nie być dobry pomysł - powiedział Cook, wyciągając z paczki krakersa. Jeffreyowi zaburczało w brzuchu i uświadomił sobie, że nie jadł kolacji. Cook pewnie też

to usłyszał, gdyż podsunął mu opakowanie: - Chce pan jednego?

Jeffrey odmownie pokręcił głową, a Cook podsunął paczkę Sarze, która również podziękowała.

Zastępca szeryfa usiadł, przeżuując krakersa. Patrzył na Jeffreya z uniesionymi brwiami.

- Kiepska sytuacja.

Jeffrey wiedział, że stary bawi się z nim. Zapewne był śmiertelnie znudzony swoją rolą niańki. Rzucanie Jeffreyowi kości i obserwowanie, czy się na nią rzuci, najwyraźniej uważał za lepszą zabawę od rozwiązywania krzyżówek. Jednak zastępca nie brał pod uwagę tego, że pies może ugryźć. Jeffrey spojrzął na zegarek i uznał, że stracił już dość czasu. Gdyby chciał się tak bawić, to mógłby robić to w zaciszu swojego domu.

- Naprawdę chciałbym się z nią zobaczyć - powiedział zastępca.

- Ten wybuch został wywołany celowo - rzekł ostrzegawczo Cook.

Jeffrey usłyszał, że stojąca za nim Sara poruszyła się.

- Ach tak? - spytał.

- Yhm.

Nie zdołał się powstrzymać.

- I uważacie, że spowodowała go moja podwładna?

- Jak już mówiłem...

- Powiniennem porozmawiać o tym z Jakiem.

- Właśnie - odparł Cook i okruchy krakersa obsypały mu mundur. Ni stąd, ni zowąd oznajmił: - Pracowałem z Cahdnem Adamsem.

Jeffrey odgadł, że miał na myśli ojca Leny.

- Dobry był człowiek, ten Cal - ciągnął Cook. - Dostał dwa razy w głowę od zatrzymanego za przekroczenie prędkości. Strasznie to przeżyłem.

Jeffrey nie odpowiedział, ale aż za dobrze wiedział, co się czuje, tracąc kolegę policjanta. Taka strata dręczy cię przez resztę życia, być może dotkliwsza od utraty członka rodziny lub małżonka.

Cook wciąż odchyłał się razem z krzesłem, z palcami splecionymi na brzuchu.

- Wzięliście mnie za szeryfa, co?

- Proszę? - spytał Jeffrey. Myślami był gdzie indziej. - Taak - odparł, zrozumiawszy pytanie. - Mój błąd.

- Noszę ten mundur prawie czterdzieści lat - dumnie oznajmił Cook. - I w końcu próbowałem startować na szeryfa. Przegrałem z Jakiem.

Jeffrey wiedział, że stanowisko szeryfa jest obsadzane w drodze wyborów. W duchu podziękował losowi, że nie musi co dwa lata prowadzić kampanii, żeby utrzymać swoje stanowisko. Posada szeryfa jest niezła, jeśli zdoła się ją zdobyć. Pensja i dodatki należą do najlepszych w organach

- Jake Valentine - powiedział Cook i zachichotał. - To brzmi jak nazwisko gwiazdora jakiejś opery mydlanej. Chłopak zaledwie trzy lata temu został odstawiony od matczynego cycka.

Jeffrey nie miał ochoty plotkować o szeryfie. Chciał się dowiedzieć czegoś więcej o eksplozji, czy była celowo wywołana, kto jeszcze został ranny i co, do diabła, miała z tym wspólnego Lena. Wiedział, że Cook nie poda mu tych odpowiedzi na srebrnym półmisku.

- Zna pan Hanka Nortona? - zapytał.

- Jasne. To nic niewarty gnój.

Jeffrey uświadomił sobie, że poczuł ulgę, słysząc, że zastępca szeryfa mówi o wuju Leny w czasie teraźniejszym.

- Czy Hank ma kłopoty? - zapytał.

- Trzy tygodnie temu złapano w jego barze kogoś handlującego amfą. Zamknęliśmy lokal, ale Norton był tak nawalony, że wątpię, czy to zauważył.

- Myślałem, że jest czysty.

- A ja myślałem, że moja żona jest dziewicą, kiedy się z nią żeniłem. -

Cook zreflektował się, przypomniawszy sobie o obecności Sary. - Przepraszam panią. - Oparł łokieć na biurku i następne słowa skierował do Jeffrey'a. - Widzisz pan, Norton od zawsze był ćpunem. Chyba zaczął, kiedy miał szesnaście lub siedemnaście lat. Potem nie da się długo trzymać z daleka od prochów.

- Speed, tak?

- Na to wygląda.

Brzęknął dzwonek windy i Jeffrey usłyszał metaliczny zgrzyt rozsuwających się drzwi. W korytarzu odbiły się

echem kroki dwóch osób. Dwoje ludzi prowadziło ożywioną rozmowę ściszonymi głosami. Gdy podeszli bliżej, Jeffrey zobaczył, że jedną z nich jest pielęgniarka. Drugą osobą musiał być Jake Valentine.

Młoda pielęgniarka chłonęła każde jego słowo, gdy szeryf opisywał długą szamotaninę z pijanym kierowcą. Cook miał rację co do Valentine'a. Ten wyglądał na osiemnastolatka. Był tak wysoki i chudy, że pas musiał zapinać na ostatnią dziurkę, a jego koniec niczym jęzor wychodził ze sprzączki. Rzadkie włoski nad górną wargą imitowały wąsy, a mokre miejsce na czubku głowy sugerowało, że przed przyjściem do szpitala daremnie próbował ujarzmić niesforny kosmyk włosów. Był co najmniej pięć centymetrów wyższy od Jeffreya, lecz zgarbione plecy i zgięta jak u żółwia szyja niweczyły tę przewagę. Jeffrey się domyślał, że matka tego chłopca codziennie przypominała mu, żeby się nie garbił.

- Jake! - wykrzyknęła pielęgniarka, dając mu kuksańca.

Cook jęknął, co wskazywało na to, że o jeden raz za dużo słyszał opowieść szeryfa o pijanym kierowcy.

- Jake, jest tu komendant policji, który chce się z tobą widzieć.

Valentine sprawiał wrażenie zdziwionego widokiem Jeffreya stojącego przed pokojem pielęgniarek. Jeffrey zastanawiał się, dlaczego udaje. Nawet gdyby Cook do niego nie dzwonił, na korytarzu nie było aż tak ciemno.

- Jake Valentine - rzekł szeryf, wyciągając rękę.

- Tolliver. - Jeffrey odwzajemnił gest. Pomimo swego wyglądu młodzieniec mocno uściśnął mu dłoń. - To moja żona, doktor Sara Linton. Sara z wymuszonym uśmiechem uściśnęła podaną dłoń. Pielęgniarka weszła za kontuar i Valentine gwałtownie spowaźniał, jakby ktoś przekreślił włącznik.

- Przykro mi, że spotykamy się w takich okolicznościach.

- Może nam pan powiedzieć, co się stało?

Valentine wskazał swojego zastępcę.

- Sądziłem, że Don przedstawił sprawę.

- Pomyślałem, że tobie zostawię tę przyjemność – odparł Cook i mrugnął do Jeffreya.

- Daria - rzekł Valentine do pielęgniarki - masz coś przeciwko temu, żebyśmy weszli do twojego gabinetu?

- Bardzo proszę - odparła, przeglądając kartę jakiegoś pacjenta. - Daj mi znać, gdybyście czegoś potrzebowali.

- Właściwie - rzekł Jeffrey - chciałbym wiedzieć, jak się ma moja detektyw, Lena Adams.

- Nieźle - odpowiedziała pielęgniarka. - Nawdychała się trochę dymu. Za kilka dni będzie jak nowa.

- Dobrze - rzekł Valentine, jakby to on zadał to pytanie. - Tędy.

Cofnął się, dając Jeffreyowi i Sarze znak, żeby szli przed nim.

- Mogę zostać tutaj, jeśli... - zaczęła Sara.

- Nie, w porządku - przerwał jej Jeffrey.

Widząc, jaka przez cały czas jest milcząca, nie chciał zostawiać jej teraz samej. Puścił Sarę przodem, a idąc korytarzem, ukradkiem sprawdzał nazwiska pacjentów na wszystkich mijanych drzwiach.

Gdy szli, Valentine powiedział ochryplym szeptem:

- Znaleźliśmy ją przed szkołą średnią zeszłego wieczoru. Mieszkam naprzeciwko. Z mojego salonu zobaczyłem płomienie.

Jeffrey zwolnił kroku, żeby młodzieniec go dogonił, a nie deptał mu po piętach jak niesforny szczeniak.

- Sądźmy, że to był cadillac escalade. Nie miał tablic ani dowodu rejestracyjnego, więc mamy problem z ustaleniem, do kogo należał. Stał zaparkowany na środku boiska. Komendant straży pożarnej mówi, że są wyraźne ślady środka łatwopalnego, zapewne benzyny.

- Chwileczkę. - Jeffrey zatrzymał się, próbując coś wyjaśnić. Powiedziano mu, że był wybuch i Lena została ranna. Jeffrey zakładał, że eksplozja nastąpiła w jakimś budynku. - Ten cadillac został podpalony? To spowodowało wybuch?

- Właśnie - kiwnął głową Valentine. Wciąż ściszym głosem wyjaśnił:

- Samochód stał na samiułkowej białej linii. Nigdy nie widziałem, żeby coś się tak paliło. Będą mieli cholerny kłopot z identyfikacją ciała. Fred Bart, nasz koroner, mówi, że nawet zęby potrzaskały od gorąca.

Sara przystanęła dwa metry dalej.

- W escaladzie było jakieś ciało?
- Tak, proszę pani, na tylnym siedzeniu - potwierdził szeryf.

Sara zacisnęła wargi i wbiła wzrok w podłogę. Nie wyglądała na zaskoczoną czy zaszokowaną tą wiadomością. Jeffrey wiedział, co myśli. No i stało się. Na skutek uporu albo lekkomyślności działania Leny w końcu doprowadziły do czyjejś śmierci.

Valentine błędnie zinterpretował jej milczenie jako niezrozumienie.

- Mówię chaotycznie, prawda? Przepraszam, ale zakładałem, że Don...
- Don powiedział, że wyjaśnienia zostawi panu - rzekł Jeffrey.
- No tak. - Valentine ponownie kiwnął głową, lecz zrobił to w sposób sugerujący, że niezbyt wierzy w to, co mówi Jeffrey. - Wejdźmy tam - rzekł, wskazując zamknięte drzwi.

Jeffrey odwrócił się, pewien, że ten człowiek zartuje. Stali przed zamkniętym magazynkiem na pościel.

- Tu będziemy zupełnie sami - wyjaśnił szeryf, chociaż Jeffrey nie widział nikogo w pobliżu.

Sara założyła ręce na piersi. Z wyraźnym niepokojem spoglądała na drzwi schowka.

- Jest pan pewien, że to konieczne? - zapytał Jeffrey.
- Nie będziemy musieli się obawiać, że kogoś zbudzimy. - Valentine wyciągnął rękę i otworzył magazynek. - Ja za wami.

Cała ta otoczka spod znaku płaszcza i szpady irytowała Jeffrey'a, ale postanowił na razie nie spierać się z szeryfem. W tym momencie najważniejszą sprawą było ustalenie, w jakie bagno wpakowała się Lena. Namacał włącznik i zapalił światło. Po prawej leżały stopy pościeli, po lewej ręczniki. Pozostała przestrzeń mniej więcej dwa metry na metr. Nawet cele w okręgowym więzieniu były większe.

Sara najwyraźniej chciała zostać na zewnątrz, ale Jeffrey skinął na nią, żeby weszła pierwsza. Potem podążył za nią, a Valentine z tyłu, zamykając drzwi. Schowek stał się jeszcze mniejszy.

- No cóż - zaczął szeryf, błyskając zębami w uśmiechu. Teraz mówił normalnym głosem. Oparł się o jeden

z regałów, jakby byli grupką kumpli gawędzących przed meczem. - Wczoraj około jedenastej wieczorem oglądałem telewizję, gdy zobaczyłem płomienie buchające przed szkołą. Najpierw zadzwoniłem po straż pożarną, myśląc, że znów pali się budynek. Już raz dzieciaki próbowały spalić szkołę, ale spryskiwacze ugasiły pożar, na szczęście, ponieważ nasza straż pożarna składa się z samych ochotników i trwało całe wieki, zanim dotarli na miejsce. W każdym razie ubrałem się i poszedłem zobaczyć, co się tam dzieje. Szybciej było pójść, niż pojechać. Jak już mówiłem, mieszkam naprzeciwno.

Opowieść była tak składowa, że Jeffrey się zastanawiał, ile razy już ją powtarzał. Usiłował dojść do najważniejszego.

- Tak więc zobaczył pan samochód płonący na boisku?

- Właśnie - przytaknął Valentine. - Miniona noc była ciemna jak smoła, ale płomienie strzelały wysoko i zobaczyłem, że ktoś siedzi na trybunach. Podszedłem, myśląc, że to jakiś głupi dzieciak urządził sobie zabawę, i zobaczyłem pannę Adams, pańską podwładną. Siedziała na pierwszej ławce, cała pokryta sadzą i w ogóle. Nogę trzymała opartą na kanistrze.

- Była poparzona?

- Nie, ale okropnie pobita - odparł szeryf. - Miała sińca na twarzy, jak po uderzeniu, krew płynęła jej z ust i okropnie rzeziła. Rany, nigdy nie widziałem czegoś takiego, ale może oglądałem za dużo reportaży telewizyjnych, bo pierwsze, co mi przyszło na myśl, to: „Ta kobieta właśnie spaliła swojego męża”. No wie pan, jakby popchnął ją lub uderzył o jeden raz za dużo i wyszła z siebie, ot tak... - Pstryknął palcami. - No to usiadłem przy niej i próbowałem nakłonić ją do rozmowy.

- Co powiedziała? - zapytał Jeffrey.

- Nic - przyznał szeryf. - Próbowałem wszystkich sztuczek, jakie przyszły mi do głowy, ale nie chciała mówić.

Jeffrey mógł sobie wyobrazić reakcję Leny na te „sztuczki” Valentine’a. Facet miał szczęście, że nie roześmiała mu się w twarz.

- Dopiero rano - ciągnął szeryf - kiedy przeszukaliśmy szkolny parking i znaleźliśmy jej toyotę celicę, ustaliliśmy nazwisko. W schowku na rękawiczki znalazłem odznakę i pomyślałem sobie, że co mi szkodzi zadzwonić?

Jeffrey nie skomentował tego, że szeryf dopiero rano przeszukał parking.

- Nie miała przy sobie żadnych dokumentów?

- Nie, proszę pana. Nie znaleźliśmy przy niej nic poza szminką. Prawo jazdy było w toycie, a odznaka w schowku na rękawiczki, jak już panu mówiłem. Nie miała niczego w kieszeniach ani ukrytego w... - Zająknął się i zarumienił, po czym dokończył: - ...ciele.

- Nie miała broni?

Oprócz glocka Lena czasem nosiła w tylnej kieszeni spodni duży składany nóż, ale Jeffrey nie miał teraz ochoty dzielić się tą informacją z sze: - Nie, proszę pana. Żadnej broni.

- Czy był tam jeszcze ktoś ranny?

- Nie. Tylko ofiara w cadillacu i ona na trybunie.

- Czy była obłana benzyną? A może inny środek łatwopalny na butach lub ubraniu?

- Nie. Ale kanister był pusty.

- Miała zapalki lub zapalniczkę?

- Nic poza szminką, którą sprawdziłem, wysuwając do samego końca, ale to była zwyczajna szminka.

- Czy na kanistrze były jej odciski palców?

- Nie mam pojęcia. To stary kanister, bardzo zardzewiały. Posłaliśmy go do laboratorium FBI w Macon, ale sądzę, że pan wie, ile to u nich trwa.

Jeffrey skinął głową. Jeśli sprawa nie miała najwyższego priorytetu, laboratorium nie znajdzie czasu, by go zbadać, wcześniej jak za sześć miesięcy. Starał się, by następne pytanie zabrzmiało uprzejmie.

- Bez urazy, ale o co ją pan oskarżył?

- O nic takiego - przyznał Valentine. - Będę z panem szczerzy, komendancie, w końcu obaj siedzimy w tej samej robocie i w ogóle. Nie mamy na nią wiele, ale sądzę, że zgodzi się pan, że okoliczności są bardzo podejrzane, a ponadto ona nie chce nam pomóc, odpowiadając na pytania.

Jeffrey musiał przyznać, że mając taką niechętną do współpracy osobę znaną na miejscu zbrodni, sam zapewne postąpiłby tak samo.

- O co ją pan oskarżył? - zapytał ponownie.

Valentine uprzejmie zrobił zmieszaną minę, wliczając na palcach.

- Stawianie oporu. Utrudnianie śledztwa. Brak świadectwa tożsamości.

Jeffrey ponownie skinął głową. Wiedział, że Lena była do tego zdolna. Do licha, nie potrafiłby zliczyć tych przypadków, kiedy utrudniała śledztwo w okręgu Grant - i to w sprawach, które sama prowadziła.

- Wyznaczono kaucję? - zapytał.

- Sędzia był dziś rano w szpitalu.

Jeffrey pospiesznie policzył w myślach, ile pieniędzy ma na swoim koncie. Wypłatę dostanie dopiero w przyszłym tygodniu. Musiałby poczekać do rana, aż otworzą bank, żeby przenieść pieniądze z lokat na konto osobiste i podjąć je z bankomatu.

- Gdzie mam wpłacić kaucję?

- Nie wyznaczono kaucji.

Jeffrey starał się ukryć zaskoczenie, ale bardzo szybko zrozumiał, jak się to zapewne stało. Szeryf był nowy na tym stanowisku, ale już miał urobionego sędziego. Jeffrey próbował go przekonać.

- Sądzi pan, że ona gdzieś ucieknie? Urodziła się tutaj. Jest związana z tą społecznością. Od ponad dziesięciu lat jest wyróżnianym funkcjonariuszem mojego wydziału.

- Rozumiem to.

- Nie może pan wsadzić policjantki do więzienia. Rozerwą ją na strzępy.

- Ona nie siedzi w więzieniu - przypomniał mu szeryf. - Leży w szpitalu.

- Powiem tylko, że lepiej, aby miał pan dobry powód, żeby ją aresztować.

Jeffrey też umiał grać w tę grę. Był w policji znacznie dłużej niż Jake Valentine. Pieprzyć miejscowych notabli. Jeffrey miał urobionych sędziów stanowych.

Najwyraźniej Valentine nie był taki głupi, na jakiego wyglądał.

- Nie miałem z tym nic wspólnego, komendancie. Przysięgam na stos Biblii. To nie moja wina, że ona nie wystąpiła o kaucję.

- Jak to?

- Tak jak już powiedziałem. Pańska podwładna nie odzywa się słowem. Jeffrey w końcu zrozumiał.

- Nic nie powiedziała, od kiedy znalazł ją pan na boisku?

- Nic, proszę pana. Ani słowa. Nie poprosiła o szklankę wody, nie zapytała, jaki jest jej stan ani kiedy stąd wyjdzie. Nie chciała rozmawiać z adwokatem wyznaczonym przez sąd, nie odpowiedziała, kiedy sędzia pytał ją, czy jest winna czy nie. Tylko leżała na łóżku, wpatrując się w sufit. Avery był tak rozgniewany - Avery to sędzia - że nie wyznaczył kaucji i nakazał badanie psychiatryczne.

Jeffrey miał zamęt w głowie. Lena istotnie potrafiła być uparta, lecz to milczenie nie miało sensu. Ktoś zginął w pożarze. Jak mogła siedzieć tam i patrzeć, jak samochód płonie?

Sara w końcu się odezwała.

- Może doznała obrażeń gardła, kiedy...

- Lekarz powiedział, że nie ma żadnych medycznych powodów, żeby nie mogła mówić - przerwał jej Valentine. - Problem w tym, że ona nawet nie próbuje.

Jeffrey nadal nie widział sensu w milczeniu Leny.

- Co powiedział psychiatra?

- Z nim też nie chciała rozmawiać - odparł szeryf. - O ile wiem, przez cały ten czas nie odezwała się słowem. Tylko leży i gapi się w sufit. Nawet poprosiłem Darię, żeby próbowała coś z niej wyciągnąć. Nic z tego.

- Czy może to być stres powypadkowy? Szok? - podsunął Jeffrey.

Valentine przyjął to równie sceptycznie jak on sam.

- Powiedział jej pan, że przyjadę?

- Nie. Pomyślałem, że lepiej zostawić ją, żeby dojrzała.

Jeffrey spróbował postawić się na jego miejscu, spojrzeć na sprawę z różnych punktów widzenia.

- Zidentyfikowaliście ciało?

- Aż do dzisiejszego popołudnia samochód był za gorący, żeby go odholować z boiska.

- Czy wasz koroner widział już takie przypadki? - zapytał Jeffrey.

Spalone zwłoki były kluczowym dowodem: tylko to ciało

mogło wyjaśnić im, co się zdarzyło na boisku. W Georgii stanowisko koronera jest obsadzane w drodze wyborów zazwyczaj przez miejscowego przedsiębiorcę pogrzebowego lub kogokolwiek, kto nie obawia się dotknąć zwłok. Rzadko się zdarzało, by zajmował je lekarz medycyny, tak jak Sara w okręgu Grant. Tak więc trudno było powiedzieć, kto tutaj zajmował się

- Fred Bart jest dobry - powiedział Valentine. - Powiadomi mnie o wszystkim, co ustali. Muszę powiedzieć, że nie był zbyt optymistycznie nastawiony. Takie ciało... trudno nawet ustalić, czy to kobieta czy mężczyzna, nie mówiąc już o przyczynie śmierci. - Wzruszył ramionami i uśmiechnął się głupio. - Co ja mówię? Pan z pewnością wie, jak to jest.

Valentine nie odpowiedział na jego pytanie. Jeffrey starał się delikatnie dowiedzieć, jakie kwalifikacje ma Bart.

- Sara jest naszym koronerem. I pediatrą.

- Och. - Valentine oderwał się od regału i uśmiechnął do Sary. - To miłe. Moja żona jest nauczycielką. Wciąż poprawia moje błędy gramatyczne i każe mi siedzieć prosto.

Jeffrey miał więcej pytań, ale coś mu mówiło, że Valentine na nie nie odpowie.

- Co pana skłoniło, żeby do mnie zadzwonić?

- Zdrowy rozsądek - odparł Valentine. Wydawało się, że na tym poprzestanie, ale dodał: - Będę z panem szczerzy, komendancie. Pańska detektyw to chuchro. I wygląda na taką, co nie skrzywdziłaby muchy. Nie sądzę, żeby to zrobiła. W tej historii musi się kryć coś więcej. Pomyślałem, że skoro ja nie zdołałem nic z niej wyciągnąć, to może panu się uda. - Zamilkł na chwilę. - A przynajmniej oszczędzilibyśmy dużo czasu i pieniędzy, gdyby zdołał pan ustalić, kto był w tym samochodzie.

Jeffrey wątpił, aby mu się to udało, ale odparł:

- W porządku. Chodźmy do niej.

Valentine znów puścił Jeffreya i Sarę przodem. Tolliver ze smutkiem odgadł, że zrobił to dlatego, że rodzice zawsze kazali mu okazywać szacunek starszym, a nie z respektu dla rangi.

Gdy szli do pokoju Leny, Jeffrey próbował analizować to, co przed chwilą powiedział im szeryf. Fakty były oczywiste.

Lena została znaleziona na miejscu zbrodni, przy płonącym samochodzie ze spalonym, niemożliwym do zidentyfikowania ciałem. Dlaczego znalazła się na tym boisku? Co łączyło ją z denatem? Co spowodowało eksplozję? W myślach znów usłyszał pytanie zadane wcześniej przez Sarę: „Co zrobiła tym razem?”

Chociaż Valentine był nowicjuszem w tej robocie, Jeffrey nie mógł mieć mu za złe tego aresztowania. W tych okolicznościach on również aresztowałby Lenę. Była główną podejrzaną, a jej milczenie nie pomagało w dochodzeniu. Nie żeby Lena miała opinię skorej do pomocy.

Wciąż pamiętał, jak zobaczył ją pierwszy raz. Było to w sali gimnastycznej akademii policyjnej, gdzie wisiała na linie w pół drogi do sufitu, usiłując dotrzeć na samą górę, chociaż była tak zmęczona, że ledwie mogła się utrzymać. W sali nie było nikogo, a Lena robiła to w swoim wolnym czasie i Jeffrey przez prawie pół godziny patrzył, jak daremnie próbuje dotrzeć na górę, po czym poszedł do biura komendanta i poprosił o

Burmistrzowie trzech miast okręgu Grant zatrudnili Jeffreya jako komendanta policji, żeby odświeżył wydział i wprowadził go w dwudziesty pierwszy wiek. Lena była pierwszą w historii miasta policjantką niezatrudnioną w administracji. Jeffrey polegał na niej we wszystkim, zdecydowany dowieść, że dokonał dobrego wyboru, nawet jeśli czasem fakty temu przeczyły. Kiedy Frank Wallace, jego najstarszy detektyw, przed kilkoma tygodniami zapowiedział, że pod koniec roku odchodzi na emeryturę, Jeffrey nie przejął się tym, uważając, że Lena poradzi sobie z dodatkowymi obowiązkami. Czyżby się co do niej mylił? Czyżby udawało jej się oszukiwać go przez prawie piętnaście lat ich znajomości?

Musiał być jakiś powód tego wszystkiego. Każda zbrodnia ma jakieś wyjaśnienie, jakiś motyw. Jeffrey musiał tylko go odkryć. Szeryf miał rację w jednej kwestii. Lena nie była zimnokrwistą morderczynią.

- Tutaj. - Valentine wskazał zamknięte drzwi i Jeffrey zobaczył nazwisko Leny na tabliczce.

Leżała w narożnym pokoju w głębi korytarza. Gdyby Jeffrey i Sara po wyjściu z windy nie poszli za tą głupią

niebieską linią, znaleźliby Lenę, nie korzystając z pomocy Cooka.

- Może Sara i ja powinniśmy wejść tam sami - zaproponował Jeffrey.

Jeśli Lena zamierzała zacząć mówić, to na pewno nie w obecności człowieka, który ją aresztował.

- No cóż - zaczął Valentine, drapiąc się po brodzie.

Niespiesznie rozważał propozycję. Usłyszeli dzwonek windy w głębi korytarza. Zapewne Cook udał się po kolejną porcję krakersów.

- Po prostu wejdźmy tam - rzekł Jeffrey, zmęczony czekaniem na decyzję szeryfa.

Tak jak korytarz, pokój był pogrążony w półmroku. Lena leżała na łóżku, tak jak mówił Valentine: na plecach, nieruchomo. Ręce miała przywiązane do poręczy łóżka pasami zapinanymi na rzepy. Dłonie opuściła luźno, dotykając palcami materaca. Oczy miała zamknięte i Jeffrey nie wiedział, czy śpi, czy chce zyskać na czasie. Była pobita, tak jak opisał młody szeryf. Na dolnej wardze miała zaschniętą krew. Podrapany policzek. Widocznie ciemne sińce na twarzy powstrzymały ich przed wytarciem krwi i sadzy. Była brudna i pokiereszowana.

Jeffreyowi zabrakło słów. Ucieszył się, kiedy Sara zrobiła krok naprzód i powiedziała pytająco:

- Lena?

Zaskoczona Lena gwałtownie obróciła głowę i zrobiła wielkie oczy na widok Jeffrey'a i Sary. Poderwała się na łóżku, szarpiąc pasy, jakby czuła się zagrożona, zapędzona w kąt. Pościel zawięła się wokół jej nóg, gdy wbijała je w materac, cofając się przed nimi najdalej, jak mogła.

- Nie - szepnęła. - Nie możecie tu być. Nie.

- No cóż. - Krzywy uśmiech szeryfa zdradzał, że jest zadowolony z siebie. - Wiedziałem, że umiesz mówić.

- Nie - powtórzyła Lena, ignorując wszystkich w pokoju oprócz Sary. Syknęła jadowicie: - Wynoś się. Wynoś się stąd.

- Lena... - próbował uspokoić ją Jeffrey.

Nienawistnie patrzyła na Sarę.

- Głucha jesteś? Powiedziałam, żebyś wynosiła się stąd w cholere! Już!

Sara otworzyła usta ze zdziwienia. Jeffrey poczuł, że ogarnia go wściekłość.

- Lena, uspokój się - wycodził przez zaciśnięte zęby.

- Wynocha! - wrzasnęła, szarpiąc pasy. - Zabierz ją stąd! - krzyknęła do szeryfa. - Powiem ci wszystko, co chcesz. Tylko zabierz ją stąd!

Valentine wyglądał na zagubionego. Ruchem głowy wskazał drzwi.

- Może powinna...

- Nie - uparła się Sara. Powiedziała to tak cicho, że Jeffrey nie był pewien, czy naprawdę wymówiła to słowo, dopóki nie odwróciła się do obu mężczyzn, prosząc: - Moglibyście zostawić nas na chwilę same? - A do Jeffrey: - Proszę.

Nie czekała na odpowiedź. Wyjęła kartę Leny z ramki w nogach łóżka i oglądała ją, czekając, aż wyjdą. Jeffrey widział, że zmuszała się do tego, że gdyby tylko mogła, natychmiast wyszłaby z tego pokoju, że wolałaby być gdziekolwiek indziej. Nie był tylko pewien, dlaczego postanowiła zostać.

Po raz pierwszy, od kiedy wszedł do pokoju, Lena zwróciła się do Jeffrey: -

- Zabierz swoją cholerną żonę sprzed moich oczu. Nie chcę jej tu.

Spojrzał jej w oczy, starając się przekazać jej, że te słowa będą miały poważne konsekwencje. Jeffrey mógł znieść wiele, ale prędzej trafi go szlag, niż funkcjonariuszowi jego wydziału ujdzie na sucho obrażanie jego żony.

Sara oderwała wzrok od karty Leny.

- W porządku. Dajcie nam tylko kilka minut.

Wbrew temu, co podpowiadał mu zdrowy rozsądek, Jeffrey zdołał wycodzić:

- Zaczekamy na korytarzu.

Podszedł do drzwi i przytrzymał je otwarte dla szeryfa. Valentine przez kilka sekund gapił się na Lenę, niezdecydowany. W końcu pokręcił głową, jasno dając znać, że nie jest uszczęśliwiony tym wszystkim, po czym wyszedł z pokoju.

Na korytarzu Jeffrey zamknął drzwi i stanął przed nimi - niezupełnie blokując wejście, ale prawie.

- Cóż. - Valentine trzymał dłoń na rękojeści pistoletu.

Najwyraźniej korciło go, żeby wrócić do pokoju. - Tego się pan spodziewał?

Wśród wszystkich scenariuszy, jakie rozważył Jeffrey, tego akurat nie było.

- Gdzie jest wuj Leny, Hank Norton? - zapytał.

Valentine gapił się na drzwi, jakby chciał je wyważyć.

- To najbliższy krewny Leny - nalegał Jeffrey. - Nie skontaktowaliście się z nim?

Valentine kiwnął głową.

- Nie było go.

Zza drzwi dobiegły stłumione głosy, ale Jeffrey nie usłyszał żadnych krzyków. Skinął na szeryfa, chcąc odejść z nim kawałek w głąb korytarza.

- Był pan w domu Hanka?

Valentine nie ruszył się z miejsca.

- Nigdzie nie mogę go znaleźć. Poszedłem do jego domu wczoraj w nocy i ponownie rano. Jego bar jest zamknięty. Coś się tam stało parę tygodni temu...

- Cook mówił mi o tym.

- Taak - rzekł Valentine z podejrzliwą miną.

Najwyraźniej nie ufał swojemu zastępcy. Jeffrey zastanawiał się, jak w ogóle mogą pracować. Biuro było niewielkie, zapewne liczyło nie więcej niż pięciu zastępców. Może umieścił Donalda Cooka w szpitalu, chcąc mieć wroga na oku, ale Jeffrey był gotów się założyć, że stary wyjadacz ma znacznie więcej przyjaciół w mundurach niż jego szef.

- Macie jakieś pomysły, kim mógł być trup w cadillacu?

- Nie słyszeliśmy o żadnym zaginionym. Nie widziano żadnych podejrzanych osobników kręcących się w pobliżu. Nie zgłoszono kradzieży escalade. Nie mamy nic.

Przynajmniej nie obijał się całą noc.

- A Hank Norton?

- On jeździ mercedesem, który jest chyba starszy niż ja.

- Nie o to pytam. - Jeffrey pokręcił głową. - Czy myśli pan, że to jego ciało było w samochodzie?

Valentine wzruszył ramionami.

- Wiem tylko, że badanie DNA zeżre połowę moich funduszy na ten kwartał.

Jego obawy o budżet były uzasadnione, ale Jeffrey ponownie zadał sobie pytanie, dlaczego Valentine'owi wydaje się

nie zależeć na ustaleniu tożsamości ofiary. Może miał już pojęcie, kto to, ale nie zamierzał dzielić się tą informacją.

- Wiem, że powiedział pan, że nie było środka łatwo palnego na jej ubraniu, a czy laboratorium znalazło coś na jej butach?

Valentine nie spieszył się z odpowiedzią.

- Nosiła te... jak im tam... na niskim obcasie.

- Pantofle? - zapytał Jeffrey, dziwiąc się, że Lena na urlopie nosiła coś bardziej eleganckiego niż tenisówki.

- Właśnie, pantofle. Moja żona nosi takie buty, jakie noszą hipiski i lesby. No wie pan, na korku? Nie wiem, jak się nazywają.

Jeffrey próbował naprowadzić go z powrotem na temat.

- Czy znaleźli coś na tych butach?

- Była tylko sadza, ziemia, nic szczególnego. Nie wydawało się, że trzeba je posłać do laboratorium. - Valentine poruszył szczęką i zapytał: - Myśli pan, że powinienem?

Jeffrey wzruszył ramionami. Gdyby to od niego zależało, prędzej wydałby pieniądze na zidentyfikowanie ofiary, niż martwił się butami Leny, ale szeryf o to go nie pytał.

- To zależy od pana.

Za zakrętem Jeffrey znów usłyszał dzwonek windy. Usiłował wymyślić coś, co jeszcze przez chwilę zatrzymałoby ich na korytarzu, chcąc dać Sarze jak najwięcej czasu.

- Gdzie pierwsze?

- Co?

- W windzie są tylko przyciski drugiej i trzeciej kondygnacji - wyjaśnił.

- Gdzie pierwsza?

- Piwnica - odparł Valentine. - Zwariowane, no nie?

- Jak można się tam dostać?

- Trzeba zejść po schodach albo przejść na tyły budynku.

Jeffrey zastanawiał się, z iloma ofiarami śmiertelnymi miał do czynienia koroner.

- Macie tam dużo ciał?

- Ciał? - Szeryf zrobił zaskoczoną minę, po czym zachichotał i wyjaśnił:

- Nasza kostnica jest tam, przy policyjnym parkingu. W piwnicy jest pralnia, magazyny i tym podobne rzeczy.

- To dziwne - rzekł Jeffrey, by zyskać na czasie. - Dlaczego tam?

Valentine wzruszył ramionami, zerknął na zegarek, a potem na drzwi.

- Czy ona będzie potrzebowała psychoterapii? Leczenia farmakologicznego?
- Co, po tym pożarze? - Valentine pokręcił głową. - Nie. Doktor mówi, że za kilka dni wyzdrowieje.
- A najbardziej podejrzani?
- O kim pan mówi?
- Wasi źli faceci - wyjaśnił Jeffrey. - Notoryczni podejrzani.

Valentine potrząsnął głową.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi, komendancie.
- No cóż - zaczął Jeffrey, ponownie starając się, żeby nie zabrzmiało to zbyt protekcyjnie - kiedy coś złego dzieje się w moim mieście, na przykład ktoś ukradnie samochód lub telewizor, zwykle się domyślam, czyja to może być sprawka.
- Och. - Valentine skinął głową. - Taak, rozumiem. Tyle że nie mamy tu wielu samochodów wysadzonych na boiskach.

Jeffrey postanowił zignorować sarkastyczny ton.

- Jacyś podpalacze?
- To wielkemiejskie przestępstwo.
- Najwidoczniej nie.

Valentine podrapał się po brodzie.

- Uważam, że ten, kto to zrobił, usiłował przekazać wiadomość.
- Jaką wiadomość?
- Pańska detektyw jest jedyną osobą, która może odpowiedzieć na to pytanie. A skoro o tym mowa - rzekł, ruchem głowy wskazując drzwi - to myślę, że pańska żona spędziła z nią już dość czasu.

Jeffrey mógł tylko mieć nadzieję, że istotnie tak było. Wrócił za Valentine'em do pokoju. Sara stała oparta o ścianę przy drzwiach łazienki. Łóżko było puste, pasy zwisały z poręczy. Słysząc szum prysznic.

- Namówiłam ją, żeby się umyła - wyjaśniła Sara.
- Rozmawiała z panią? - chciał wiedzieć szeryf.

Sara przecząco pokręciła głową i Jeffrey widział, że mówi prawdę.

- Zatem nic to nie dało - rzekł wyraźnie zirytowany Valentine. Spojrzał na zegarek, a potem na drzwi łazienki. - Jak długo tam jest?

- Niedługo.

Próbował przekręcić klamkę, ale drzwi były zamknięte.

- Jezu, nie przyszło pani do głowy, że byłoby mądrze tam z nią wejść?

Sara otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale Jeffrey uprzedził ją.

- Licz się ze słowami - warknął do szeryfa.

Ten zignorował go, mocno pukając do drzwi.

- Panno Adams? Chcę, żeby pani natychmiast otworzyła te drzwi. - Odczepił od pasa krótkofalówkę. - Cook, jesteś tam? Przyjdź.

Zastępca nie odpowiedział i szeryf naparł ramieniem na drzwi, usiłując jej wyważyć.

Po raz drugi tej nocy Sara otworzyła usta, ale nie odezwała się.

- Cook? - Valentine ponownie spróbował wezwać zastępcę. Ten nie odpowiadał i szeryf rąbnął pięścią w drzwi łazienki. - Panno Adams, niech pani otworzy te drzwi. Liczę do trzech.

Radio zatrzeszczało i Don Cook spytał w swój rozwlekły sposób:

- Co jest, Jake?

- Znajdź zapasowy klucz do łazienki i przywlec tu swoją dupę! - warknął Valentine. Schował krótkofalówkę z powrotem do kabury i znów naparł barkiem na drzwi. - Panno Adams - spróbował jeszcze raz. - Posłuchaj no, wyjdź, to wszystko będzie dobrze.

- Czy ona miała tam coś ostrego? - spytał Jeffrey Sarę.

Valentine odwrócił się, czekając na odpowiedź.

Sara pokręciła głową.

- Nie sędzę.

- Mogła spróbować się zranić?

- Nie mam pojęcia - odparła krótko Sara. - Nie jestem jej lekarzem.

- Kurwa - syknął Valentine. Znów rąbnął w drzwi. - Panno Adams.

- Och nie... - Sara powiedziała to tak cicho, a Valen-

tine tak mocno uderzył w drzwi, że najwyraźniej jej nie usłyszał.

- Co... - zaczął Jeffrey i pytanie uwięzło mu w gardle. Wiedział już, co się stało po drugiej stronie tych drzwi. Cook wszedł do pokoju z kluczem w dłoni.

- Co się dzieje?

Valentine wyrwał mu klucz z ręki i wepchnął do zamka. Po pokoju rozeszły się kłęby pary. Szeryf podszedł do prysznicza i szarpnął zasłonkę. Za nią nie było nikogo.

- Kurwa mać - zaklął Valentine. Nad toaletą jedna z płyt sufitu została odsunięta, odsłaniając ciasny tunel. – Niech to szlag! - wrzasnął szeryf i kopnął w ścianę. – Przeszukaj szpital od piwnic po dach. Wezwij wsparcie. - Cook wyszedł, a Valentine spojrzął na Sarę. - Ty suko - wycedził.

Jeffrey złapał go za kołnierz i uderzył nim o ścianę.

- Jeszcze raz odezwiesz się tak do mojej żony, a będziemy mieli poważny problem. Słyszysz? - Valentine próbował się wyrwać, lecz Jeffrey zacisnął chwyt. - Słyszysz?

Valentine zwiotczał jak złapany za kark kociak.

- Pozwoliła mojemu więźniowi uciec.

Jeffrey nie patrzył na Sarę, ponieważ wiedział, że ona myśli to samo co on. Lena podeszła ją. Temu nie można było zaprzeczyć.

Puścił szeryfa.

- Dupek. - Valentine gwałtownie obciągnął koszulę, marszcząc brwi. Przepchnął się obok Jeffrey'a i wyszedł na korytarz. Jeffrey poszedł za nim do sąsiedniego pokoju. Zobaczył puste, nieużywane łóżko.

- Dała mojemu więźniowi uciec - warknął Valentine. - Nie mogę, kurwa, uwierzyć, że stałem na korytarzu, dając ci się bajerować, podczas gdy twoja żona pozwoliła jej prysnąć.

- Sara zrobiła to nieświadomie.

- Zrób sobie przysługę, dobrze, koleś? - natarł Valentine. - Weź tę swoją żonę, wsiadaj do samochodu i wypierdalaj z mojego miasta.

Jeffreya nie trzeba było długo prosić. Odwrócił się bez słowa i poszedł szukać Sary.

Nadal była w pokoju Leny, przybita.

- Jak mogłam być taka głupia? Jak mogłam...

Wziął ją pod rękę i wyprowadził z pokoju. Wezwano posiłki, raptem dwóch gliniarzy. Obaj wyglądali na starszych od Dona Cooka i równie sprawnych.

Valentine zaczął wydawać rozkazy, a w przerwach wrzeszczeć do radiotelefonu, domagając się liczniejszego wsparcia.

- Macie ją zaraz znaleźć!

Jeffrey nacisnął guzik windy. Spojrzał na korytarz, domyślając się, jak uciekła Lena. Wypchnęła płytę sufitu nad toaletą i przeszła kanałem wentylacyjnym do łazienki po drugiej stronie. Potem zapewne przekradła się schodami do piwnicy. Na parterze drzwi windy znajdowały się naprzeciw izby przyjęć, choć nawet gdyby wybrała tę drogę, wątpił, by kogoś to poruszyło. Rejestratorka zapewne nie oderwałaby się od swoich komputerowych pasjansów.

Drzwi kabiny rozsunęły się. Jeffrey położył dłoń na ramieniu Sary, ponaglając ją, by wsiadła. Kiedy drzwi się zamykały, Valentine i jeden z ochroniarzy przeszli obok windy, zapewne zmierzając do piwnicy.

Jeffrey wcisnął guzik drugiej kondygnacji, ponownie zastanawiając się, dlaczego kabina nie zjeżdża do piwnicy. Może mieli tu windę towarową, o której Valentine zapomniał mu powiedzieć. Lena mogła zjechać nią na dół, ale co potem? W pralni była pościel i ręczniki. Zapewne była tu też szatnia personelu, może szafki ze środkami czyszczącymi. Mogła zdobyć ubranie i gotówkę. Jeffrey domyślił się, że wzięła, co było jej potrzebne, i jak najszybciej opuściła szpital.

- Jak mogłam być taka głupia? - powtórzyła Sara, kręcąc głową. Miała łzy w oczach. Nieskończenie wiele razy widział, jak się złościła, ale najgorzej było, kiedy kierowała ten gniew przeciwko sobie samej.

- Opowiedz mi, co dokładnie powiedziała - zażądał.

- To samo co wcześniej, że powinniśmy odejść. Nawet na mnie nie spojrzała. - Z twarzą pobielającą z wściekłości, otarła łzę grzbietem dłoni. - Przykro mi - powiedziała mu. - To wszystko moja wina.

- Ja wyszedłem z szeryfem na korytarz. - Jeffrey spróbował ją uspokoić. - Mnie też wykorzystała.

- Nie tak jak... - Sara pokręciła głową, nie mogąc do-

kończyć zdania. - Ja ją rozwiązałam, Jeffrey. To ja dałam jej uciec.

- Czy prosiła cię, żebyś ją uwolniła?

- Nie tak. Nie wprost. Powiedziała, że czuje się brudna, cała usmarowana, a ja po prostu podeszłam i rozpięłam pasy. Nie zastanawiałam się. Nawet pomogłam jej wstać z łóżka.

Próbował delikatnie naciskać.

- Czy powiedziała coś jeszcze?

- Przeprosiła mnie. - Sara roześmiała się ze swojej głupoty. - Udawala taką przestraszoną. Drżały jej dłonie i zaciął się głos. Nigdy nie widziałam jej tak zdenerwowanej, nie od śmierci Sibyl. Dałam się nabrać. Boże, ależ ze mnie idiotka.

Jeffrey objął ją, nie wiedząc, jak ją pocieszyć. Był tak zły na Lenę, że nie potrafił zebrać myśli.

- Płyta w suficie. Ze wszystkich ludzi, którzy powinni wiedzieć, że można przejść kanałem wentylacyjnym...

Wiedział, co jej się przydarzyło przed laty w szpitalu Grady'ego, że napastnik zaatakował ją w toalecie, przeszedłszy kanałem wentylacyjnym. Jeśli Lena wbiła Jeffreyowi nóż w plecy, to Sara bezwiednie obróciła go w

- To nie twoja wina, Saro - powiedział. - Nie jesteś policjantką.

- Dlaczego więc tu jestem? - spytała gwałtownie. - Powinnam była zostać w tym przeklętym samochodzie. Powinnam była zostać w domu, gdzie moje miejsce.

Drzwi windy otworzyły się. Dwaj kolejni zastępcy szeryfa biegli przez hol ku schodom.

- Po prostu wynieśmy się stąd - powiedział Jeffrey do Sary, biorąc ją pod rękę.

Byli przy drzwiach, gdy zawołał ich Valentine.

- Czekajcie - zawołał, doganiając ich truchtem. Był zdyszany, zapewne po bieganiu po schodach. Wyciągnął rękę. - Dajcie mi kluczyki do waszego samochodu.

Gdyby nie było tu Sary, Jeffrey kazałby mu się odpieprzyć, a tak bez słowa rzucił mu kluczyki, chcąc jak najszybciej mieć to za sobą.

Valentine zobaczył znaczek bmw na wisiorce i posłał Jeffreyowi spojrzenie, jakim obrzuca się dziwkę na ulicy.

Policjanci nie jeżdżą bmw, przynajmniej nie tam, skąd przybył Jake Valentine.

- To wóz mojej żony - powiedział mu Jeffrey.

Sara urabiała sobie ręce, żeby móc sobie kupić ten wóz. Jeśli o niego chodzi, mogłaby jeździć rolls-royce'em, gdyby chciała.

Valentine nacisnął przycisk na breloczku i zamki otworzyły się. Nagle zastygł.

- Pralnia - rzekł, patrząc gniewnie na Jeffreya. - Pytał pan, co znajduje się w piwnicy.

- Tak luźno gawędziliśmy.

- Nie wciskaj mi pan kitu.

- Będę tam - powiedziała Sara i poszła w kierunku ławek przed wejściem.

Valentine posłał mu jeszcze jedno paskudne spojrzenie, po czym poszedł do samochodu. Jeffrey wiedział, że niczego tam nie znajdzie. Nawet gdyby Lena zobaczyła bmw na parkingu, bez kluczyków nie mogła sforsować zamków ani otworzyć bagażnika. Wybicie okna też na nic by się nie zdało. Jedną z zalet systemu zabezpieczeń było to, że po włączeniu centralnego zamka od zewnątrz, niczego nie można było uruchomić od wewnątrz. Jeffrey został raz przypadkowo uwięziony w środku, kiedy Sara machinalnie włączyła centralny zamek, biegnąc do domu, w którym dzwonił telefon. Gdyby szyberdach nie był otwarty, Jeffrey nie zdołałby się wydostać i utknąłby w samochodzie na dłuższy czas.

Przez otwarte okna szeryf widział puste siedzenia i podłogę, ale mimo to otworzył drzwi i zdjawszy kapelusz, zajrzał do środka, jakby spodziewał się znaleźć Lenę pod deską rozdzielczą. Obszedł samochód i otworzył bagażnik. Nie było w nim nic poza apteczką i kilkoma plastikowymi reklamówkami do recyklingu.

Valentine zatrasnął bagażnik.

- Pewnie wyszedłbym na jeszcze większego dumnia, gdybym wystawił list gończy za zbiegłą osobą, zatrzymaną za „brak świadectwa tożsamości” - powiedział do Jeffreya.

- Można tak zakładać.

Szeryf już stąpał po cienkim lodzie z zarzutami, jakie wniósł przeciwko Lenie. Teraz musiał bardzo uważać. Obaj

wiedzieli, że każdy błąd popełniony na tym etapie mógł unieważnić wszelkie oskarżenia, jakie mógłby przeciw niej wysunąć.

- Cóż. - Valentine rozejrzał się po parkingu. - To jeep Darli. Czerwony chevrolet należy do konserwatorów, bronco do Georga, a tam w rogu stoi ranger Bitty, która przyjechała tu w czwartek, skarżąc się na ból w boku. Okazało się, że to zapalenie wyrostka robaczkowego.

Wymienił wszystkie samochody na parkingu, ale Jeffrey musiał zapytać:

- Gdzie pana radiowóz?

Valentine roześmiał się, ale niewesoło.

- Don ma w bagażniku swoją najlepszą wędkę, więc sprawdził to najpierw. Oba nasze wozy stoją z tyłu. Kazaliśmy personelowi zejść do szatni i sprawdzić, czy coś zginęło z szafek. Kazałem, by ktoś pojechał do Hanka i sprawdził, czy się tam nie pojawiła. - Rzucił Jeffreyowi kluczyki. - Wyliczyłem, że dzięki pańskiej żonie marnującej mój czas i panu zagadującemu mnie na korytarzu, miała nade mną około dwudziestu minut

Jeffrey nie zamierzał spierać się o drobiazgi, takie jak popisywanie się władzą przez Valentine'a, który kazał im wejść do schowka na pościel.

- Co najmniej.

- Chcę o coś zapytać. Nie przejmuj się pan tym, że właśnie pomógł jej uciec?

Ton jego głosu w mgnieniu oka stał się nieprzyjemny. Jeffrey odsunął się od samochodu.

- Niespecjalnie - odparł.

- Tak właśnie robicie, wy, starzy gliniarze, co? - Valentine był wściekły. - Zawsze trzymacie się razem, obojętnie, jakie prawo złamiecie. Trzeba chronić swoich, no nie? - Z każdym słowem mówił głośniejsze. - Nie zdziwiłbym się, gdybyście wymyślili to razem ze starym Donem. Brudne sztuczki, żeby nowicjusz wyszedł na idiotę.

- Powinieneś uważać na to, co do mnie mówisz, Jake - ostrzegł go Jeffrey.

- Mógłbym ją aresztować - rzekł Valentine, gniewnym machnięciem ręki wskazując Sarę. - Powinienem ją aresztować.

Teraz miał niepodzielną uwagę Jeffreya.

- Obaj wiemy, że tego nie zrobisz.
- Taak? Cóż, no to masz.

Valentine użył siły - dosłownie. Zamiast wyprowadzić uderzenie z ramienia, zadał szeroki, zamachowy cios pięścią. Jeffrey miał mnóstwo czasu, by go zablokować i rąbnąć pięścią w brzuch. Powietrze z sykiem uszło z płuc szeryfa, który zgiął się wpół. Byłby się osunął na kolana, gdyby Jeffrey go nie złapał.

- Boże - jęknął szeryf, trzymając się za brzuch. - Jezu...

Sara wstała w ławki. Jeffrey potrząsnął głową, dając jej znać, żeby trzymała się z daleka.

- Stój prosto - rzekł do Valentine'a.

Valentine próbował, ale kolana uginały się pod nim. Jeffrey przytrzymał go za kołnierz, aż spojrzeli sobie w twarz.

- Oddychaj - powiedział, jakby mówił do dziecka. - To minie.

- Puść mnie. - Valentine odepchnął Jeffreya, ale musiał się oprzeć o samochód, żeby nie upaść. - Do licha, jesteś silniejszy, niż na to wyglądasz.

Jeffrey pokazał Sarze uniesioną dłoń, dając jej znak, że wszystko w porządku.

- Gdzie się nauczyłeś tak uderzać?
- Miałem cztery starsze siostry - zdołał wykrztusić szeryf. Co wyjaśniało, dlaczego bił się jak dziewczyna. - Niech to szlag. Nie powinienem być. Nie powinienem cię uderzyć.

Jeffrey nie przypominał mu, że wcale nie zdołał go trafić. Zajął pozycję między Valentine'em i Sarą, po czym rzekł do szeryfa:

- Posłuchaj mnie naprawdę uważnie, Jake. Już raz cię ostrzegałem.

Jeszcze raz zaczniesz grozić mojej żonie, a wdepczę cię w ziemię. Czy to jasr Valentine zakaszła, a potem kiwnął głową.

- Możesz stać?
- Tak sądzę.

Jeffrey zaczął, aż Jake odsunie się od samochodu.

- Przepraszam - powiedział Valentine. - Mam wybuchowy charakter.

- Nie żartuj.
- Powiadomi mnie pan, jeśli się z wami skontaktuje?

Tym pytaniem zaskoczył Jeffreya, co może tłumaczyło szczerą odpowiedź.

- Nie wiem.
- Valentine wytrzeszczył oczy, a potem znów kiwnął głową.
- Dzięki za szczerotę.

Jeffrey patrzył, jak Valentine chwiejnie idzie do frontowych drzwi. Szklane tafle rozsunęły się i wszedł do środka. Sara nadal stała przy ławce, więc Jeffrey dał jej znak, żeby podeszła.

- Co to było? - zapytała.
- Wyjaśnię ci później, Teraz wynośmy się stąd.

Chciał otworzyć jej drzwi, ale powiedziała: „Nie trzeba” i wsiadła sama. Jeffrey obchodził samochód, gdy biały sedan przemknął po parkingu i z piskiem opon zatrzymał się na pustym miejscu parkingowym obok. Po kilku sekundach wysiadł z niego krępy, łysy mężczyzna. Nosił flanelową koszulę z oderwanymi rękawami i dżinsy z plamami po czymś, co wyglądało na olej. Gruby łańcuch, przyczepiony do paska spodni, biegł aż na plecy. Na lewym biodrze nosił największy myśliwski nóż, jaki Jeffrey widział w życiu.

Jeffrey zobaczył, jak mężczyzna wyjmuje nóż z pochwy i kładzie go na siedzeniu, najwidoczniej wiedząc, że nie wolno wносить broni do szpitala. Chociaż wyglądał na takiego, który jej nie potrzebuje. Gdyby Jeffrey miał zgadywać, powiedziałby, że facet waży ponad sto kilogramów, z czego większość to mięśnie.

Sedan zatrzęsł się, gdy trzasnął drzwiami. Na twarzy miał głębokie ślady zadrapań, jakby wdał się w bójkę z tygrysem i przegrał. Wyzywająco spojrział na Jeffreya.

- Na co się, kurwa, gapisz?

Jeffrey wsunął dłoń pod marynarkę. Wprawdzie jego pistolet leżał wepchnięty pod fotel w samochodzie Sary, ale bandzior o tym nie wiedział.

- Chyba nie chcemy tu problemu.
- Pieprzę ciebie i twoje pieprzone problemy - warknął mężczyzna, kierując się ku izbie przyjęć.

Przez szklane drzwi Jeffrey widział Jake'a Valentine'a pochylonego nad kontuarem i rozmawiającego z rejestra-

torką. Oboje podnieśli głowy, gdy mężczyzna wszedł do poczekalni. Valentine zerknął na Jeffreya, lecz ten był za daleko, żeby wyczytać coś z jego twarzy. Powiedział coś do oprycha, wyciągając ku niemu otwartą dłoń, jakby chciał go uspokoić. Zamienili kilka słów, po czym mężczyzna odwrócił się i wyszedł.

- Lachociąg - wymamrotał, mijając Jeffreya, lecz ten nie był pewien, do kogo była skierowana ta zniewaga.

Valentine wyszedł ze szpitala, gdy biały samochód wycofał się, podskoczył na krawężniku i odjechał. Jeffrey zajrzał do wozu, sprawdzając, co z Sarą.

- Twój przyjaciel? - zapytał Valentine'a.

- Miejscowy diler, który chciał zobaczyć jednego ze swoich chłopców - wyjaśnił Valentine. - Powiedziałem mu, żeby przyszedł w godzinach odwiedzin.

Jeffrey obrzucił go badawczym spojrzeniem, zastanawiając się, czy kłamie. Ta ożywiona wymiana zdań nie wyglądała na zwyczajną odmowę odwiedzin, ale też oprych z nożem nie sprawiał wrażenia człowieka, który lubi słyszeć „nie”.

- Masz - rzekł Jeffrey, sięgając do kieszeni i wyjmując kilka wizytówek. Zanotował coś na odwrocie pierwszej z nich, a potem wręczył szeryfowi następną. - Na dole jest mój numer telefonu komórkowego. Zadzwoń, jeśli znajdziesz Lenę Adams.

Valentine czujnie przyjrzał się wizytówce, zanim ją wziął.

Jeffrey schował pozostałe do kieszeni. Wsiadł do bmw i wyjechał z parkingu. Ani on, ani Sara nie rozmawiali wiele, wracając tą samą drogą, którą przyjechali. Valentine mylił się co do dwudziestu minut przewagi. Jeffrey wyliczył, że Lena miała najwyżej piętnaście minut. Teraz zadawał sobie te same pytania co szeryf: Gdzie podziała się Lena? Do kogo mogła się zwrócić?

Do niego. Lena zawsze zwracała się do Jeffreya, kiedy miała kłopoty, czy był to jakiś drobiazg, taki jak podwiezienie do pracy, czy coś tak dużego jak zajęcie się jej byłym chłopakiem, dupkiem i neofaszystą. Jednak tym razem było inaczej. Tym razem posunęła się za daleko. Valentine

miał rację co do jednego: świadomie czy nie, Sara pomogła Lenie uciec. Lena była policjantką i znała prawo lepiej niż większość prawników. Dobrze wiedziała, na co naraża Sarę, i nie przejmowała się tym.

- Co teraz? - zapytała Sara w zaciszu samochodu.
 - Wracamy do domu. - Czuł, że mu się przygląda, dociekając, czy mówi poważnie. - Naprawdę, Saro. Wracamy.
 - Zamierzasz po prostu zostawić tam Lenę na pastwę losu?
 - Po tym, co ci powiedziała? Po tym, co ci zrobiła? - Pokręcił głową, podjąwszy decyzję. - To koniec. Nie obchodzi mnie, co się z nią stanie.
 - Czy widziałeś jej reakcję, kiedy weszliśmy do pokoju?
 - Słyszałem, co powiedziała. - Samo wspomnienie rozpało w nim gniew. - Nie ma o czym mówić, Saro. Wykorzystała cię. Nie zamierzam jej pomóc.
 - Nigdy nie widziałam jej tak przestraszonej. Zwykle doskonale panuje nad sobą.
- Zbył to prychnięciem.
- Może przy tobie.
 - Masz rację. Ona nigdy nie okazuje przy mnie słabości. Zawsze udaje twardą i niepokonaną - nalegała Sara. -W szpitalu nie udawała, Jeffrey. Może robiła to później, ale kiedy zobaczyła nas w swoim pokoju, była przerażona.
 - Dlaczego zatem nie chciała ze mną rozmawiać? Albo z tobą? Byłyście same. Wiedziała, że nie pobiegniesz do szeryfa, żeby wszystko mu powtórzyć. Dlaczego ci się nie zwierzyła?
 - Ponieważ się bała.
 - No to powinna trzymać dziób na kłódkę i nie wciągać cię w to.
 - Doceniam twoją troskę o mnie - ostrożnie powiedziała Sara - ale zastanów się chwilę. Lena wiedziała, że jeśli mnie obrazi, zrobisz właśnie to, co robisz teraz. Nie chodziło jej o mnie. Chciała, żebyś ty opuścił miasto.
- Jeffrey ścisnął kierownicę, nie chcąc przyznać, że Sara może mieć rację.
- Od kiedy stajesz po stronie Leny Adams?
 - Od kiedy... od kiedy zobaczyłam ją tak przestraszoną,

że była gotowa zaryzykować wszystko, żeby skłonić cię do wyjazdu z tego miasta - cicho dokończyła Sara.

Ponownie zobaczył tamtą scenę i reakcję Leny. Sara miała rację: Lena nie udawała wystraszonej. Nie patrzyła Jeffreyowi w oczy, ponieważ wiedziała, że jest zapewne jedyną osobą na świecie, która poznałaby, że ona kłamie.

- Widziałam ją w wielu nieprzyjemnych sytuacjach - powiedziała Sara - ale jeszcze nigdy nie była tak przerażona.

Jeffrey pozwolił tym słowom zawisnąć w powietrzu, raz po raz odtwarzając w myślach odpowiedź Leny, próbując odgadnąć, co miała wspólnego z trupem w spalonym cadillacu.

- Powiedziała, że powinnam się bać - powiedziała Sara.

- Czy mówiła dlaczego?

- Zaczęła się zalić, że wszystko, czego się dotknie, rozpada się jej w rękach. Myślałam, że uważa się nad sobą, ale teraz sędzę, że kiedy jej zachowanie nie wywarło zamierzonego skutku, postanowiła spróbować inaczej. - Sara pokręciła głową. - Ona jest przerażona, Jeffrey, tak przerażona, że gotowa usunąć cię ze swego życia, jeśli będzie musiała. Jesteś jedynym stałym elementem w jej życiu. Co jest tak okropne, że jest gotowa

- Czy przyszło ci do głowy, że ona może mieć rację? - odparował, nie chcąc odpowiadać na jej pytanie. - Może to dobry pomysł, żebym się w to nie angażował.

Odpowiedziała czymś przypominającym śmiech.

- Nie zostawisz tego w spokoju.

- Wydajesz się tego bardzo pewna.

- Siedem, osiem, zero, ABN. - Zamilkła, jakby czekała na odpowiedź.

Czy nie to zapisałeś na odwrocie wizytówki? Numer rejestracyjny tego białego samochodu?

Jeffrey wyjął wizytówkę i sprawdził numer na odwrocie. 780 ABN. Jak zwykle, Sara miała doskonałą pamięć. Spojrzał na żonę. Patrzyła przez okno, zatrzymując swoje myśli dla siebie. Wiedział, że już nie żałuje tego, że poszła razem z nim do szpitala. Żałowała, że on tam był i że Lena znów zdołała go wpłatać w coś niebezpiecznego.

Sara była żoną policjanta i zaraziła się od niego nieufnością do zbiegów okoliczności. Bandzior w białym sedanie

pojawił się niecałe pół godziny po ucieczce Leny. Nawet ze swojego miejsca w bmw Sara musiała dostrzec tatuaż na ramieniu mężczyzny, rzucający się w oczy niczym neon.

Trudno nie zauważyć wielkiej krwistoczerwonej swastyki.

WTOREK

RANO

ROZDZIAŁ CZWARTY

Sara przechadzała się po pokoju hotelowym z przyciśniętą do ucha słuchawką, której przewód ograniczał jej ruchy niczym smycz. Zarówno Sara, jak i Jeffrey z ulgą zobaczyli znak WOLNE MIEJSCA przy motelu Home Sweet Home, jadąc w nocy z Reese, lecz od chwili, gdy Jeffrey otworzył drzwi, Sara żałowała, że się tu zatrzymali. To miejsce wydawało się należeć do jakiegoś równoległego świata. Sara sądziła, że takie nory istnieją tylko na filmach klasy B i w powieściach Raymonda Chandlera. Na samą myśl o wilgotnym dywaniku w łazience wstrząsał ją dreszcz obrzydzenia. Gorzej, gdyż komórki Jeffrey'a i Sary nie łąpały tu zasięgu. Sara zużyła wszystkie nasączone alkoholem gaziki z samochodowej apteczki, zanim odważyła się użyć hotelowego telefonu.

- Co powiedziałaś? - zapytała jej matka.

Była gdzieś w Kansas. Rodzice byli w podróży zaledwie od dwóch tygodni, lecz Sara wyczuła, że Cathy rozpaczliwie chce wrócić do domu.

- Powiedziałam, że tato nie jest taki zły - odparła Sara, myśląc, że to naprawdę ewenement, że staje w obronie ojca.

Cathy i Eddie Lintonowie byli małżeństwem od ponad czterdziestu lat, a jednak Sara od początku wiedziała, że ich wymarzone wspólne wakacje to pomyłka. Jej rodzice niewiele czasu spędzali razem, a już na pewno nie w zamkniętej przestrzeni. Ojciec zawsze coś robił albo kręcił się w garażu, natomiast matka zwykle miała jakieś ważne spotkanie, zbiórkę do zorganizowania lub posiedzenie komitetu parafialnego, w wyniku czego przez długie godziny przebywała poza domem. Ta niezależność była sekretem

ich szczęśliwego małżeństwa. Na samą myśl o nich obojgu uwięzionych w dwunastometrowym winnebago, który kupili na swoją dwumiesięczną podróż po Ameryce, Sarę bolała głowa.

- Nie miałam pojęcia, że on potrafi być taki irytujący - ciągnęła matka. Najwidoczniej była w kuchni przyczepy, gdyż Sara słyszała odgłosy otwieranych i zamykanych szafek. - Czy to tak trudno podłączyć się do kanalizacji? Rany boskie, przecież ten człowiek jest hydraulikiem. - Głośno westchnęła. - Dwie godziny, Saro. Zajęło mu to całe dwie godziny.

Sara trzymała język za zębami, chociaż matka miała trochę racji. Z drugiej strony ojciec zapewne nie spieszył się z robotą, żeby dłużej pożyć.

- Słuchasz uważnie, co do ciebie mówię?

- Tak, mamo - skłamała Sara. Miała na nogach grube skarpety, ale próbowała dużym palcem nogi uwolnić zielony cukierek M&M, który uwiąził w dywanie pod oknem. - Dwie godziny.

Matka milczała chwilę, po czym powiedziała:

- Powiedz mi, co się stało.

Sara zostawiła M&M, do którego wciąż przyklejała jej się skarpetka. Znow zaczęła przechadzać się po pokoju.

- Mówiłam ci, co się stało. Dałam jej uciec. Równie dobrze mogłabym otworzyć jej drzwi i odwieźć ją na lotnisko.

- Nie o to chodzi - nalegała Cathy. - Wiesz, o czym mówię.

Teraz westchnęła Sara. Niemal cieszyła się, że zrobiła z siebie idiotkę zeszłej nocy w szpitalu, ponieważ nagłe zniknięcie Leny dało jej nowy powód, by bezsennie przewracać się na łóżku. Teraz pytanie matki znow przypomniało jej o oskarżeniu o niedopełnienie obowiązków.

- Zdaje się, że zamierzają twierdzić, że ponieważ zostałam napadnięta przed dziesięcioma laty, byłam zbyt rozkojarzona, by powiedzieć Powellom, że Jimmy ma leukemię, i umarł, ponieważ zwlekałam z tym jeden dzień.

- To najśmieszniejsza rzecz, o jakiej słyszałam.

- Ich prawniczka potrafi być bardzo przekonująca. - Sara pomyślała o Sharon Connor, o jej krokodylim uśmiechu ofiary zespołu Tourette'a. - Nawet mnie zdołała przekonać.

Otwarto i zamknięto następną szafkę.

- Nie mogę uwierzyć, że jakaś kobieta może ci to robić - powiedziała Cathy. - To obrzydliwe. Właśnie dlatego kobiety nigdy nie mogą się wybić; inne kobiety zawsze podcinają im skrzydła.

Sara milczała, nie mając ochoty wysłuchiwać jednego z feministycznych przemówień matki.

- Mogę wrócić do domu, jeśli mnie potrzebujesz - zaproponowała Cathy.

Sara o mało nie upuściła słuchawki.

- Nie, nic mi nie jest, naprawdę. Nie psuj sobie wakacji z powodu...

- Kurwa - zakląła matka, co zdarzało jej się niezmiernie rzadko. - Muszę kończyć. Twój ojciec właśnie się podpalił.

- Mamo? - Sara przycisnęła słuchawkę do ucha, ale matka już się rozłączyła.

Sara trzymała słuchawkę w dłoni, zastanawiając się, czy powinna zadzwonić jeszcze raz, ale doszła do wniosku, że gdyby stało się coś naprawdę złego, matka nie byłaby tak rozszoszczona. W końcu odłożyła słuchawkę na widełki i podeszła do dużego panoramicznego okna wychodzącego na parking motelu. Przez większą część poranka Sara nie odsłaniała zasłon, uważając, że samotne przesiadywanie w ciemnym pokoju jest mniej przygnębiające od spoglądania na pusty parking. Teraz rozchyliła poliestrowe zasłonki, wpuszczając cienką smugę światła.

Stojące pod oknem dwa ogrodowe krzesła z białego plastiku i stół wydawały się doskonałym uzupełnieniem przykrego widoku. Sara poprawiła ręcznik, który przewiesiła przez oparcie jednego z krzesel, i usiadła. Poczula zmęczenie, lecz myśl o powrocie do łóżka i zapadnięciu w szorstką, poźółkłą pościel była nie do zniesienia.

Wczesnym rankiem przeszła się ulicą, by napić się kawy, i w końcu kupiła środek czyszczący z dodatkiem wybielacza oraz gąbkę śmierdzącą tak, jakby była używana. Zamierzała zrobić porządek w pokoju, a przynajmniej wyszorować obrzydliwie brudną łazienkę, lecz ilekroć pomyślała o wzięciu w rękę tych środków czystości i użyciu ich, odkrywała, że nie ma na to siły. Co więcej, jeśli zamierzała coś uporządkować, to powinna zacząć od swojego domu.

Próbowała ułożyć listę spraw, którymi powinna się właśnie teraz zajmować: poukładać pranie czekające w składziku, naprawić ciekący kran w łazience, zabrać psy na spacer wokół jeziora. Oczywiście, nie robiła tego wszystkiego od kilku tygodni, od kiedy zamknęła swoją klinikę. Przeważnie siedziała w domu, ponuro rozmyślając o oskarżeniu. Kiedy jej siostra zadzwoniła z Atlanty, Sara rozmawiała z nią o pozwie. Gdy Jeffrey wrócił z pracy do domu, rozmawiała z nim o pozwie. Zaczęła tak obsesyjnie o tym mówić, że w końcu jej matka warknęła:

- Na miłość boską, Saro, rób coś. Nawet pacjenci w domach wariatów muszą wyplatać koszyki.

Niestety, wyjście z domu tylko pogłębiało problem. Czy Sara była w sklepie spożywczym, czy odbierała garnitury Jeffreya z pralni lub grabiła liście na trawniku przed domem, czuła na sobie ludzkie spojrzenia. I nie tylko spojrzenia, ale i ich dezaprobatę. Nieliczne rozmowy ze znajomymi były krótkie, jeśli nie zdawkowe. Sara nie mówiła o nich nikomu - ani Jeffreyowi, ani rodzinie - lecz po każdej takiej rozmowie coraz bardziej pogrążała się w depresji.

A teraz, dzięki Lenie Adams, jej lista klęsk wydłużyła się o jeszcze jedno niepowodzenie. Jak mogła tak się dać podejść? Jak mogła być taka głupia? Sara przez całą noc odtwarzała każdą chwilę spędzoną z Leną, rozbierając je na sekundy, usiłując stwierdzić, czy mogła postąpić inaczej lub w jakiś sposób zmienić przebieg wydarzeń. Nie przychodziło jej do głowy nic poza jej własną potworną nieudolnością.

Lena leżała na łóżku, a pasy nie pozwalały jej się ruszyć. Jak tylko Jeffrey i szeryf wyszli, odprężyła się i rozluźniła ramiona.

Sara przyjrzała jej się i zauważyła sposób, w jaki jej piersi drżały przy każdym wydechu.

- Co się dzieje, Leno? Czego tak się boisz?

- Musicie stąd wyjechać. Oboje - odparła cicho i złowieszczo. Kiedy podniosła oczy, paliło się w nich przerażenie. - Musicz zabrać stąd Jeffreya.

Sarze zaparło dech.

- Dlaczego? Czy grozi mu jakieś niebezpieczeństwo?

Lena nie odpowiedziała. Zamiast tego spojrziała na swoje ręce i na skotłowaną pościel.

- Wszyscy i wszystko, czego się dotknę, wszystko się rozpada. Musicie mnie zostawić.

- Naprawdę myślisz, że cię opuścimy? - Sara użyła liczby mnogiej, ale obie wiedziały, że myśli o Jeffreyu. - Ktoś zginął w tym samochodzie, Leno. Powiedz mi, co ci się przydarzyło.

Lena z rezygnacją potrząsnęła głową.

- Leno, porozmawiaj ze mną.

Znów bez odpowiedzi. Zapewne właśnie wtedy Lena podjęła decyzję, że skoro nie może kontrolować Sary, to może przynajmniej ją wykorzystać.

- Jestem taka brudna - powiedziała tonem wskazującym, że nie chodzi tylko o brud na skórze. - Czuję się taka brudna. - Spojrzała na Sarę. Miała łzy w oczach i choć mówiła opanowanym głosem, dłonie nadal jej drżały. - Muszę się umyć. Muszę to zmyć z siebie.

Sara nie zastanawiała się ani chwili. Podeszła do łóżka i odpięła pasy.

- Nic ci nie będzie - obiecała. - Musisz mi zaufać albo mogę zawołać Jeffreya...

- Nie - powiedziała błagalnie Lena. - Ja tylko... Muszę się tylko umyć. Pozwól mi...

Drżały jej wargi. Wydawało się, że straciła wolę walki. Przesunęła się na skraj łóżka i próbowała stanąć na trzęsących się nogach. Sara objęła ją wpięć i pomogła złapać równowagę.

Sara pomyślała, że Lena udawała to wszystko. Każdy jej ruch sugerował skrajne wyczerpanie. Nic nie świadczyło o tym, że jest zdolna wspiąć się na toaletę i podciągnąć się do kanału wentylacyjnego, nie mówiąc już o wymknięciu się pogoni.

Całkowicie zwiódła Sarę, która przeprowadziła ją przez pokój, idąc tuż za nią, na wypadek gdyby trzeba było ją podtrzymać. Był to odruchowy gest, jeden z tych, których człowiek uczy się podczas pierwszego tygodnia rezydentury. Sara odprowadziła ją aż do łazienki, powłócząc nogami w powolnym rytmie jej kroków.

Kiedy szły, Sara myślała o tym, że Lena nie ma skłonności do narzekania. Należała do tych osób, które prędzej wykrwawia się na śmierć, niż przyznają, że się skaleczyły.

Sara zaczęła się zastanawiać, czy lekarze nie zlekceważyli czegoś, że powinna sprawdzić rentgen klatki piersiowej, osłuchać ją stetoskopem, przejrzeć zapisane jej leki, wykonać badania krwi i osocza. Może w wyniku eksplozji doznała uszkodzenia mózgu albo głębokiego szoku? Może upadła? Może uderzyła się w głowę? Straciła przytomność? Dym w płucach jest śmiertelnie niebezpieczny i zabiera więcej ofiar niż sam ogień. Wtórne infekcje, płyn w płucach, uszkodzenia tkanek - wszelkie ewentualności przelatywały jej przez głowę i nagle uświadomiła sobie, że znów zaczęła myśleć jak lekarz. Po raz pierwszy od miesięcy znów poczuła ,się przydatna.

Lena przystanęła przed drzwiami łazienki i uniosła dłoń, dając Sarze znak, że chce zostać sama. Potem, na moment przed wejściem do środka, Lena odwróciła się do Sary.

- Tak mi przykro - powiedziała i te przeprosiny wydawały się tak szczere, że Sara nie mogła uwierzyć, że to jest ta sama kobieta, która pięć minut wcześniej była bliska hysterii ze strachu i nienawiści. - Tak bardzo mi przykro.

- Wszystko w porządku - zapewniła ją Sara z uśmiechem, dając jej znać, że nie jest już sama. - Możemy porozmawiać o tym później, dobrze? Zawołamy tu Jeffrey'a i razem zastanowimy się, co robić.

Lena skinęła głową, zapewne nie ufając swojemu głosowi.

- Zaczekam tu na ciebie.

I Sara czekała, stojąc przed drzwiami i uśmiechając się jak idiotka, myśląc o tym, jak pomoże Lenie. Tymczasem Lena zapewne zbiegała po schodach, śmiejąc się z tego, jak bardzo Sara ułatwiła jej ucieczkę.

Teraz, siedząc przy plastikowym stole w tym okropnym pokoju motelowym, Sara poczuła, że rumieni się z upokorzenia.

- Głupia - powiedziała, wstając, zanim krzesło wyssało z niej resztki życia.

Cathy miała rację. Sara powinna coś zrobić. Wzięła płyn i dziwnie zalatującą gąbkę, którą kupiła w nocnym sklepiku, i skierowała się do łazienki. Z jakiegoś powodu umywalka znajdowała się na zewnątrz - długi blat ze śladami przypaleń na brzegach, gdzie ludzie kładli papierosy,

żeby - nie wiadomo - umyć sobie zęby? Lepiej się nad tym nie zastanawiać.

Sara spryskała umywalkę płynem i zaczęła ją szorować, starając się nie zetrzeć więcej chromu z plastikowego sitka. Wkładała w to wiele siły, zdzierając wieloletnią warstwę brudu, jakby od tego zależało jej życie.

Pycha poprzedza upadek, pomyślała. Przez tyle lat była ulubienicą nauczycieli - najlepszą studentką na roku, z najlepszymi wynikami, największą liczbą wyróżnień i najjaśniejszą przyszłością - i po co? Emory Medical School przyjęła ją, zanim jeszcze ukończyła szkołę średnią. Szkoła medyczna praktycznie rozwinęła przed nią czerwony dywan, zapewniając wystarczającą pomoc finansową, by jej ojciec z łatwością opłacił różnicę. Tysiące ludzi rocznie ubiegało się o ograniczoną liczbę etatów w szpitalu Grady'ego. Sara nawet nie szukała alternatywnej posady. Wiedziała, że zostanie przyjęta. Była tak cholernie pewna swoich zdolności, swojej inteligencji, że nigdy nie pomyślała, że może nie udać jej się coś, co

Oprócz powstrzymania pięćdziesięciokilogramowej niedosłej absolwentki college'u przed ucieczką z centrum medycznego w Elawah.

- Głupia - powtórzyła Sara.

Zostawiła umywalkę i weszła do łazienki. Zaczęła szorować toaletę, używając umocowanej na ścianie szczotki do czyszczenia miski, starając się nie myśleć, od czego włosie zrobiło się ciemnoszare. Sara przypomniała sobie, jak przed laty matka pokazywała jej, jak sprzątać łazienkę - ile użyć środka czyszczącego, jak delikatnie zmywać porcelanę gąbką.

Sara przykucnęła, myśląc o tym, że pewnego dnia, może wkrótce, będzie pokazywała swojemu dziecku, jak myć wannę lub odkurzać pokój. Jeffrey będzie musiał wyjaśnić, jak sortować pranie, ponieważ Sara zawsze wyjmowała z suszarki oznaczone różowymi zaciekami, uprzednio białe skarpetki. Ona przynajmniej pójdzie z dzieckiem do spożywczego. Jeffrey uważał mrożonki za dobrze zbilansowane dania, co mogło wyjaśnić, dlaczego musiał zażywać leki przeciwko nadciśnieniu.

Nowa myśl przeszyła ją jak pchnięcie nożem. A jeśli

w sklepie spożywczym natknie się na Beckey Powell? Jeśli Beckey wejdzie, gdy ona będzie stała w dziale mięsnym, trzymając dziecko za rączkę? Jak Sara wytłumaczy swojemu synowi lub córce, dlaczego Beckey jej nienawidzi? Jak wyjaśni, dlaczego całe miasto uważa, że jej niekompetencja doprowadziła do śmierci dziecka?

Sara otarła czoło grzbietem dłoni. Czy jej łzawiły od duszącego odoru wybielacza w ciasnej łazience. Chciałaby, żeby Jeffrey był przy niej i nie pozwalał jej myślom wędrować do takich mrocznych miejsc. Od kiedy wypełnili wniosek o adopcję, zaczęli się bawić w „a co będzie jeśli”. „A jeśli trafi nam się chłopiec, który nie lubi grać w piłkę?” „A jeśli będziemy mieli dziewczynkę, która lubi różowy kolor i chce nosić warkocze?”

Sara pomyślała, że w tej chwili jej mężowi nie w głowie takie zabawy. W tamtym samochodzie był trup i Lena była jakoś zamieszana w jego śmierć. Po spotkaniu z Jakiem Valentine'em Jeffrey nie wierzył, by miejscowa policja rozwiązała sprawę tej zbrodni inaczej, niż obwiniając o wszystko Lenę. Wyszedł wcześniej rano, by omówić strategię z Nickiem Sheltonem, swoim przyjacielem pracującym w Biurze Śledczym stanu Georgia. Sara nie została zaproszona.

Pochyliła się nad wanną, spryskała ją środkiem czyszczącym, a potem powtórzyła cały proces. Gąbka niemal wyzionęła ducha, ale Sara nie miała zamiaru przestać, dopóki nie skończy. Złożyła gąbkę i jej krawędzią zaatakowała czarną obwódkę poniżej brzegu, zapewne pochodzącą z lat siedemdziesiątych.

Zakłęta pod nosem, ponownie żałując, że nie jest w swoim domu w Grant. Tam przynajmniej mogłaby schodzić z drogi Jeffreyowi i pozwolić mu robić swoją robotę. Tutaj mogła tylko się postarać, żeby miał kawałek czystego miejsca do położenia szczotki do zębów. W ciągu tej nocy zmieniła się w przykładną panią domu i po co? Żeby Lena z uśmiechem mogła się wydostać z miasta?

Sara wiedziała, że Jeffrey czasem naginał reguły. Gdyby zeszłej nocy był sam, uznałby puste biurko rejestratorki za zachętę do samodzielnego odszukania Leny. Gdyby sam wszedł do jej pokoju, może Lena otworzyłaby się przed nim. Może zamiast uciekać, powiedziała mu, dlaczego musi się

stamtąd wy dostać. I z całą pewnością nie próbowałyby wykorzystać Jeffreya, żeby uciec - za bardzo go szanowała.

W przeciwieństwie do Sary.

Cathy mówiła, że kobiety są swoimi najgorszymi wrogami. Czy Sara była wrogiem Leny? Nie sądziła. To prawda, że nigdy nie rozumiała więzi, jaka łączyła jej męża i trzydziestopięcioletnią policjantkę, ale nie była tak głupia, żeby być o nią zazdrosna. Oprócz tego, że Lena absolutnie nie była w typie Jeffreya, stosunki między nimi zbyt przypominały te łączące starszego brata z niesforną młodszą siostrą, aby niepokoić Sarę.

Może jej niechęć była wywołana błędami popełnionymi przez Lenę. Po śmierci Sibyl Lena wpadła w głęboką depresję. Na pewien czas została nawet zawieszona w obowiązkach. Właśnie wtedy zaczęła się spotykać z Ethanem Greenem. I wtedy straciła całą sympatię Sary.

Jako lekarz Sara powinna to zrozumieć. Żal może prowadzić do depresji, depresja do chemicznych zmian w organizmie uniemożliwiających wyrwanie się z zakłętą kręgu bez pomocy - farmakologicznej, psychoterapeutycznej lub obu. Bóg wie, że w ciągu kilku ostatnich miesięcy Sara doskonale zaznajomiła się z zagrożeniami depresji. Mimo to osobiste doświadczenia nie pomogły jej zrozumieć, dlaczego Lena zadała się z Ethanem.

Sara czytała czasopisma dla kobiet, znała statystyki, badała związki przyczynowo-skutkowe. Depresja prowadzi do podatności. Podatność przyciąga drapieżców. Jak rekiny wyczuwają krew w wodzie. Fakt, że kobieta sprawia wrażenie silnej, bynajmniej nie wyklucza, że stanie się ofiarą przemocy domowej. W niektórych przypadkach czyni to nawet bardziej prawdopodobnym: nie można przez cały czas udawać silnej, w końcu maska

Sara to rozumiała. Akceptowała fakt, że niektóre kobiety - mądre kobiety - zadają się z niewłaściwymi osobami i w końcu idą na kompromis za kompromisem, a potem nie pozostaje im nic innego, jak się poddać. Mimo to Sara nie była w stanie pogodzić się z faktem, że dwudziestoczteroletni chłopak Leny bił ją - nie tylko maltretował, ale po prostu masakrował.

Wyglądało to tak, jakby Lena wpadła w obsesję na jego

punkcie i nie umiała się wyleczyć. Może gdyby Ethan był narkotykiem, Sara lepiej pojmowałaby to uzależnienie. Heroina, amfetamina, opium... to tłumaczyłoby obsesję Leny, jej niezdolność do obycia się bez narkotyku. Gdyby wpadła w sidła jakiejś sekty, można by to złożyć na karb prania mózgu, ale winę ponosiła wyłącznie uszkodzona osobowość Leny. Miała dobrą pracę, pieniądze, krąg przyjaciół. Do licha, miała broń i odznakę. Ethan był awanturnikiem na zwolnieniu warunkowym. Lena w każdej chwili mogła go aresztować. Jako funkcjonariusz policji miała obowiązek zgłaszać każdy przypadek przemocy domowej, nawet jeśli sama była jej ofiarą.

A jednak zostawiła wszystko Jeffreyowi. To Lena powiedziała mu, że Ethan nosi broń w plecaku. Jeffrey nie chciał już omawiać tego z Sarą, ale ona była pewna, że Lena podrzuciła tę broń, że tylko w taki tchórzliwy sposób była w stanie pozbyć się swego oprawcy. Nad głową Ethana wisiał wyrok dziesięciu lat więzienia. Lena podrzuciła mu broń, a potem wezwała Jeffreya, żeby odwalił brudną robotę.

A Jeffrey, oczywiście, przybiegł.

Tylko czy nie dlatego Sara go kochała? Dlatego że nie zrezygnował z ludzi, obojętnie jak trudno było do nich dotrzeć? Nie jej mówić o kobietach pełniących głupstwa w relacjach z mężczyznami. Ona wychodziła za Jeffreya dwa razy, po raz pierwszy opuściwszy go po tym, jak wróciła do domu i zastała go w łóżku z inną. Jednak Jeffrey zmienił się przez te lata od ich rozvodu. Wydoroślał. Ciężko pracował, by odzyskać Sarę, zdobyć jej zaufanie i naprawić ich związek. Kochała tego nowego Jeffreya z pasją, która czasem ją przerażała.

Co skłaniało Lenę do trwania przy Ethanie, obojętnie ile razy ją pobił? Czy była równie zakochana jak Sara, czuła tę samą pustkę w żołądku, kiedy się rozdzielali? Czy tak zgłupiała na jego punkcie, że nie była w stanie odejść?

Sara wrzuciła resztki gąbki do kosza na śmieci i ponownie splukała wannę. Jeffrey będzie zaskoczony, kiedy wróci ze spotkania. Nie pamiętała, kiedy ostatnio tak dokładnie posprzątała swoją łazienkę. Sara nienawidziła większości domowych obowiązków i wykonywała je tylko dlatego, że w takim małym miasteczku jak Heartsdale matka dowie-

działyby się, gdyby zatrudniła gosposię. Cathy uważała, że obowiązki kształtują charakter i opłacanie innych ludzi, a szczególnie kobiet, żeby je wykonywały, świadczy, kim naprawdę jesteś. Natomiast Sara uważała, że purytańska etyka pracy matki jest kompletnie porąbana. Właśnie dlatego Sara ukończyła liceum rok wcześniej niż jej rówieśnicy. Kiedy dorastała, matka sądziła, że odrabianie zadań domowych to jedyne usprawiedliwienie zwalnijące z obowiązku sprzątnia.

Zmywając z rąk środek czyszczący, wróciła myślami do Leny i pragnęła, by Ethana Greena można było równie łatwo pozbyć się z ich życia. Sara tylko raz widziała Ethana. Wytatuowanie tyłu wzorów na ciele musiało trwać wiele godzin. Sara naliczyła co najmniej dziesięć, ale jeden najbardziej utkwił jej w pamięci - duża czarna swastyka na piersi. Co mogło wywołać taką zapiekłą nienawiść? Co mówił o Lenie fakt, że mogła być z takim człowiekiem, pragnąć go, uprawiać z nim seks, że nie odpychał jej ten symbol nienawiści na jego ciele?

Zeszłej nocy, siedząc w samochodzie przed szpitalem, Sara widziała, w jaki sposób skin w białym sedanie patrzył na Jeffreya - rozpoznał w nim policjanta i zlekceważył to. Widziała także czerwoną swastykę na jego ramieniu i poczuła mdłący strach, gdy Jeffrey wyraźnie dał tamtemu do zrozumienia, że nie robi to na nim wrażenia i nie zamierza się cofnąć. Teraz na samą myśl o tym znów czuła lęk.

Zadzwoił telefon i Sara drgnęła. Pobiegła do sąsiedniego pokoju i podniosła słuchawkę.

- Halo? - Czekala, słuchając trzasków na linii i czyjś oddechu. - Halo? - powtórzyła, a potem, bez żadnego konkretnego powodu, zapytała: - Lena?

Rozległ się cichy trzask i dzwoniący rozłączył się.

Sara, drżąc, odłożyła słuchawkę. Spojrzała na zegarek, a potem sprawdziła godzinę na budziku stojącym na nocnym stoliku. Jeffrey wyszedł prawie dwie godziny temu na spotkanie z Nickiem Sheltonem. Powiedział jej, że zadzwoni, wracając, ale nie wiadomo, kiedy to będzie.

Zobaczyła leżące na stole menu z notatkami na odwrocie. Podniosła je i spróbowała odczytać własne pismo.

Jeffrey powierzył Sarze zadanie do wykonania. Uwiel-

biała go za to, że starał się, by poczuła się pożyteczna, ale w rzeczywistości nawet małpa potrafiłaby to zrobić. Po wypadzie na kawę do sklepiu z żywnością i prasą zadzwoniła do Franka Wallace'a, zastępcy Jeffrey'a, z prośbą, by ustalił, do kogo należy biały sedan, którego zeszłej nocy widzieli przed szpitalem. Nawet Frank był lekko zdziwiony, gdy usłyszał prośbę Sary. Jednak spełnił ją i nucąc coś pod nosem, wprowadził numer rejestracyjny do komputera. Sara знаła Franka od dziecka - był kolegą jej ojca, z którym grywał w pokera - ale czuła się trochę niezręcznie, rozmawiając z nim przez telefon, głównie dlatego, że oboje wiedzieli, że nie powinna zajmować się taką policyjną robotą.

Frank w niecałą minutę ustalił właściciela samochodu. Sara gorączkowo zaczęła szukać czegoś do pisania i w jednej z szuflad nocnej szafki znalazła menu restauracji. Właścicielem chevroleta malibu była firma Whitey's Feed & Seed.

Tak więc nazista w białym sedanie miał poczucie humoru.

Sara zakończyła rozmowę z Frankiem i postanowiła wykazać nieco inicjatywy - do czego małpa z pewnością nie byłaby zdolna - i sprawdzić firmę Whitey's Feed & Seed. Po dwudziestominutowej rozmowie z urzędniczką stanowego urzędu dowiedziała się, że prezesem zarządu i dyrektorem Whitey's Feed & Seed jest niejaki Joseph Smith. Zakładając, iż jest to prawdziwe nazwisko, a nie jakaś aluzja do założyciela kościoła mormonów, Sara zadzwoniła do biura numerów. W stanie Georgia było ponad trzystu Josephów Smithów. Dziwne, ale żaden z nich nie mieszkał w

Wynikiem komputerowych poszukiwań Franka był numer skrytki pocztowej jako adres, na który zarejestrowano pojazd, lecz urzędniczka w biurze stanowym podała Sarze miejscowy adres przy Trzeciej Alei 339. Reese niczym nie różniło się od innych miasteczek świata i jego ulice zostały poprowadzone w układzie tworzącym siatkę. Centrum medyczne znajdowało się przy Piątej Alei. Sara wiedziała, że szpital jest niecałe dziesięć minut jazdy od motelu, co oznaczało, że Trzecia Aleja musi być nie dalej jak kilka mil od niego.

Spojrzała na menu, na numer zapisany na liście deserów. Zadzwoiła do matki, wysprzątała łazienkę, poukładała wszystkie rzeczy w walizce i zostawiła na sekretarce siostry trzy wiadomości, aby zechciała zadzwonić do niej, zanim zgłupieje z nudów. Poza zamykaniem motelowego parkingu naprawdę nie miała już co robić.

Na zewnątrz przejechał motocykl, tak głośno warcząc, że zadzwoniła szyba w oknie. Sara spojrzała przez szparę w zasłonkach. Lecz zobaczyła tylko tył wjeżdżającego na główną ulicę motoru. Niebo w górze ciemniało i domyśliła się, że najdalej za kilka godzin zacznie padać.

Sara oddała część menu z zapisanym na nim adresem i zostawiła Jeffreyowi notatkę na dziale przekąsek. Kiedy wczesnym rankiem była w sklepiku, widziała tam kilka miejscowych map. Trzecia Aleja musi być gdzieś w pobliżu.

Złapała leżący na stole klucz od pokoju i opuściła motel, zanim zdążyła się rozmyślić.

LENA

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Opowiedz nam o naszej matce - błagały Hanka Lena i Sibyl, niemal od kiedy zaczęły mówić.

Rozpaczliwie chciały dowiedzieć się czegoś o kobiecie, która umarła tuż po ich narodzinach. Hank zawsze protestował, mówiąc, że musi się zająć barem lub jechać na spotkanie, ale w końcu ustępował i przywoływał z pamięci jakiś letni piknik lub wycieczkę do dawno nieżyjących krewnych. Zawsze coś się działo - a to matka pomogła po drodze jakiemuś obcemu, a to zaopiekowała się chorym krewnym. Anielica Angela zawsze stawiała na pierwszym miejscu dobro innych. Angela chętnie oddała życie, żeby jej bliźniacze córki mogły żyć. Angela patrzyła na Sibyl i Lenę z nieba.

Nawet dla dziecięcych uszu te opowieści były niewiarygodnymi bajkami pełnymi dobroci i światła, lecz Lena i Sibyl nigdy nie znużyły się słuchaniem o hojności i wielkim sercu matki. Sibyl próbowała ją naśladować i być osobą, która dostrzeże w innych tylko dobre cechy. Dla Leny Angela Adams była niedoścignionym wzorem, kobietą, której nigdy nie pozna i nie zdoła dorównać.

A teraz Hank powiedział Lenie, że jej matka nie umarła po porodzie, ale została zabita przez handlarza narkotyków. I nie jakiegoś tam handlarza, ale dostawcę Hanka.

Jedną z pierwszych rzeczy, jakie opowiadał im o matce Hank, było to, że Angela była nieprzejednaną przeciwniczką narkotyków i alkoholu. Po latach przyglądania się, jak jej starszy brat powoli kopie sobie grób, w końcu usunęła go ze swego życia i poprzysięgła nigdy nie wpuścić go z powrotem. Hank wtedy nie przejmował się tym. Miał dwadzieścia sześć lat. Nie potrzebował rodziny, seksu, pieniędzy ani samochodu. Interesował go tylko następny odlot.

Według Hanka pierwszą rzeczą, jaką musiał zrobić mąż Angeli, Calvin Adams, było złożenie obietnicy, że nigdy nie będzie pił ze swoimi kolegami policjantami. Calvin dotrzymał słowa, ponieważ bardzo się kochali, i rzadko pił alkohol, a już nigdy przy swojej młodej żonie. Oczywiście nikt nie wiedział, jak długo zdołałby wytrzymać. Młoda para cieszyła się tylko trzema miesiącami szczęścia, zanim Cal zatrzymał swojego ostatniego kierowcę przekraczającego dopuszczalną prędkość. Kierowca strzelił mu dwa razy w twarz i odjechał. Nigdy go nie złapano. Ojciec Leny zginął na miejscu.

Pierwsze objawy ciąży wystąpiły u Angeli podczas pogrzebu męża. Nieskłonna do okazywania słabości czy emocji zemdląca na grobie męża. Siedem miesięcy później poszła do szpitala, by urodzić bliźniaczki, i nigdy stamtąd nie wróciła. Posocznica jest rzadka, lecz śmiertelna. Minęły dwa tygodnie, zanim infekcja pokonała układ odpornościowy młodej matki, uszkadzając kolejne organy, aż w końcu trzeba było podjąć decyzję o odłączeniu aparatury. Podjął ją Hank Norton, najbliższy żyjący krewny.

Hank często mówił, że była to najtrudniejsza decyzja, jaką podjął w swoim życiu.

Najwyraźniej wszystko to było kłamstwem.

Angela Norton była drobną kobietą o pospolitej urodzie, dopóki się nie uśmiechnęła - wtedy nie sposób było jej nie zauważyć. Miała smagłą cerę po matce z domieszką meksykańskiej krwi, w przeciwieństwie do brata, białego jak śmietana. Inną cechą, której Hank nie dzielił z siostrą, była jej głęboka wiara, dziedziczona po matce katoliczce. Angela myślała tylko o tym, jak pomagać ludziom, a Hank myślał tylko o sobie.

Gdy Lena dorosła, wiedziała, że każda dobra historia ma swoje jasne i ciemne barwy, i teraz widziała, że Hank zawsze odmalowywał się w najciemniejszych.

Angela Norton poznała Calvina Adamsa na odpuście. Organizował loterię fantową na rzecz biura szeryfa i mimo że hazard to grzech, nie przepuściła szansy wygrania kosza z pieczywem, który stanowił główną nagrodę. Angela była nieśmiałą dziewczyną, niemal jeszcze nastolatką, kiedy poznała tego urzekającego młodego zastępcę szeryfa. Bystra

i zabawna, była chyba najmiłszą i najśladszą istotą, jaka chodziła po ziemi.

Matka Angeli i Hanka umarła młodo. Zginęła w wypadku samochodowym. Nie miała innych krewnych, a jej mąż, zawodowy wojskowy, zginął w Wietnamie, kiedy dzieci były małe. Cal był jedynakiem. Jego rodzice umarli, kiedy miał dwadzieścia parę lat. Nie miał w mieście krewnych, żadnych kuzynów, ciotek czy wujów. Lena i Sibyl nie miały rodziny, którą mogłyby odwiedzać.

Calvin Adams był energicznym mężczyzną. Trochę maminsynkowaty w szkole, zaskoczył ludzi, kiedy podjął pracę w biurze szeryfa. Okazał się jednak dobrym policjantem - stanowczym, ale porządnym. Zawsze skorym do wysłuchania obu stron sporu. Nosił odznakę i broń z dumą, ale nigdy się nie wywyższał. Angela i Calvin kochali się, bardzo się kochali, i to, co się im przydarzyło, było tragedią.

Kiedy jego siostra wydała ostatnie tchnienie, Hank zabrał nowonarodzone bliźniaczki ze szpitala, ponieważ nie mógł pozwolić, aby jego krewnie były wychowywane przez państwo. Żałośnie nieprzygotowany, pierwszej nocy zaimprovizował łóżeczka z szuflad komody, wyłożywszy je prześcieradłami i poduszkami, a potem obszedł dom i starannie usunął wszelkie napoje alkoholowe.

Często twierdził, że tamta noc była jego „punktem zwrotnym”, że patrząc na te dwie bezradne dziewczynki śpiące w szufladach jego komody, zrozumiał, że tylko on może uchronić je przed zabraniem przez herod-baby z opieki społecznej. To dało mu siłę do zerwania z nałogiem.

Taką historię opowiedział Lenie. Takimi kłamstwami karmiono ją całe życie. Pamiętała, jak w deszczowe popołudnia odgrywały z Sibyl sceny z opowieści Hanka. Odgrywały tragedię krótkiego życia rodziców, na zmianę grając Angelę, tę najlepszą i najmiłszą. Och, jak ich rodzice się kochali. Och, jak bardzo chcieliby trzymać swoje bliźniaczki w ramionach. Wszystko byłoby inaczej, zupełnie inaczej, gdyby żyli.

Czy naprawdę?

Hank często twierdził, że zerwał z nałogami tej nocy, kiedy przyniósł siostrzenice ze szpitala, ale Lena przejrzała go. Znała prawdę. Minęło osiem lat, zanim naprawdę to

zrobił. Osiem lat całotygodniowych popijaw i niekończących się balang, węszącej wokół policji i kłamstw... nic, tylko kłamstw.

Mieszkała w tym domu i widziała to na własne oczy przez te wszystkie lata, a mimo to nie podejrzewała, że ten narkoman może nie mówić prawdy o jej rodzicach. Dlaczego miałby kłamać o tym, co się stało? Co by przez to zyskał?

Lena wytarła włosy ręcznikiem, siedząc na brzegu łóżka. Przebrała się w jedną ze starych koszul Hanka, żeby wejść razem z nim pod prysznic i trochę go wyszorować. Był tak chudy, że czuła jego kości przez gumowe kuchenne rękawice, które założyła, żeby go wymyć. Wokół nadgarstków i kostek nóg miał otarcia wyglądające na ślady więzów, ale wiedziała, że zapewne zrobił je sobie sam, skubiąc skórę paznokciami i obierając jak pomarańczę.

Mrowienie metamfetaminowe. Speedowa śwędzionka. Metamrówki. Różnie nazywano to zjawisko, powodujące u zażywających metamfetaminę nieodpartą chęć skubania, drapania i zdzierania sobie skóry. W ramach policyjnego programu prewencyjnego Jeffrey dwa razy do roku wygłaszał w liceum pogadankę o narkotykach. Lena doskonale pamiętała ten pierwszy raz, kiedy była zmuszona mu towarzyszyć. Czuła, że serce zaczyna jej bić szybciej, gdy słuchała, jak Jeffrey mówi o chemicznych przyczynach tego objawu, jak wyjaśnia samookaleczenia, które oglądała.

Metamfetamina powoduje podwyższenie ciepłoty ciała, a to z kolei wzmożone wydzielanie potu. Parujący pot usuwa ochronną warstwę tłuszczu pokrywającego naskórek. Ten proces podrażnia zakończenia nerwowe i sprawia, że narkoman ma wrażenie, że coś pełza mu pod skórą. Zrobi wszystko, żeby pozbyć się tego uczucia, użyje każdego narzędzia, jakie będzie miał pod ręką, żeby tylko ulżyć sobie w cierpieniach.

Lena widziała raz, jak Hank użył do tego kolca do lodu, tam i z powrotem przesuwał nim po ramieniu, aż skóra rozeszła się jak worek z cukrem. Teraz, w łazience, widziała tę bliznę, gruby węzeł zaszytego ciała. Na jego ciele było wiele takich blizn, wiele bolesnych pamiątek tego, co był gotów sobie zrobić, byle odlecieć.

A jednak przez te wszystkie lata Hank nigdy, przenigdy tak się nie zaćpał.

Dlaczego? Z jakiego powodu wrócił do tego życia po tak długiej walce, jaką stoczył, żeby z nim zerwać? Co sprawiło, że Hank zrobił to, czym pogardzał? Musiał być jakiś powód. Jakieś wydarzenie, które skłoniło go do zażycia pierwszej dawki.

Czy namówił go diler? Czy Hank kupował narkotyki od człowieka, który zabił matkę Leny?

Lena skończyła suszyć włosy. Usiadła i przejrzała się w lustrze nad komodą. Ciemne loki okalały jej twarz, wciąż mokre na karku. Jak to możliwe, że znów się tu znalazła? Jak to możliwe, że znów jest w tym pokoju, na tym łóżku, susząc włosy po tym, jak znowu zmyła zaschnięte gównem z wychudłego ciała wuja?

Teraz jest dorosła. Ma swoją pracę i swój dom. Nie jest już podopieczną Hanka, zależną od niego pod każdym względem. A więc dlaczego nadal tu jest?

- Lee?

Hank stanął w drzwiach, owinięty postrzępionym szlafrokiem.

Głos uwiązał jej w gardle, ale jakoś zdołała wykrztusić:

- Nie mogę teraz z tobą rozmawiać.

Najwyraźniej nie obchodziło go to.

- Chcę, żebyś wróciła do domu. Zapomnij o tym, co powiedziałem. Wracaj do domu i żyj swoim życiem.

- Czy ten człowiek zastrzelił mojego ojca?

Hank patrzył na ścianę za jej plecami. Lena wiedziała, że wisi tam plakat Ricka Springfieldda, pamiątka z jej młodych lat.

- Powiedz mi prawdę - nalegała. - Powiedz mi, jak naprawdę umarli.

- Twój ojciec został zastrzelony. Wiesz o tym, Lee. Pokazywałem ci artykuł w gazecie. Tobie i twojej siostrze.

Pamiętała to, ale jak mogła mu wierzyć? Jak po tak długim czasie mogła ufać swojej pamięci?

- A co z moją matką? - zapytała. - Powiedziałeś, że on ją zabił.

Z trudem przełknął ślinę.

- Chciałem powiedzieć, że zabiła ją utrata twojego oj-

ca. - Podrapał się po szyi i brodzie. - To nie ten człowiek, którego widziałas, go zabił, ale tacy jak on. Żli ludzie, od których powinnaś się trzymać z daleka.

- Kłamiesz. - Była tego pewna tak bardzo jak niczego innego w swoim życiu.

Zaczął uciskać wrzód za uchem. Wiedziała, że wkrótce zacznie się trząść z głodu.

- Kiedy to się zaczęło? - zapytała. - Kiedy znów zacząłeś brać?

- Nieważne.

- No to powiedz mi dlaczego - zapytała, świadoma tego, że prawie go błaga. - Dlaczego do tego wróciłeś, Hank? Tak ciężko pracowałeś, żeby...

- Nieważne.

- Jesteś stary - powiedziała mu. - Tym razem nie zdołasz z tym walczyć.

Równie dobrze mógłbyś pójść kupić sobie trumnę.

- Po prostu zakop mnie w ziemi - rzekł. - Tam jest moje miejsce.

- Powinam ci współczuć?

- Powinnaś wyjechać - odparł, przez moment przypominając dawnego Hanka, tego, który ustalał zasady, a jak się nie podoba, to fora ze dwora.

- Nie zamierzam, dopóki nie powiesz mi prawdy - odparła Lena. - Nie wyjadę, dopóki nie powiesz mi, dlaczego to sobie robisz.

- Wracaj do Grant. Wracaj do swojej pracy i przyjaciół i zapomnij o mnie.

Wstała z łóżka, ściskając w dłoniach ręcznik.

- Mówię serio, Hank. Nie wyjadę, dopóki nie powiesz mi prawdy.

Unikał jej wzroku.

- Nie ma o czym mówić - rzekł w końcu. - Twoja mama i tato umarli.

Nic nie możesz zrobić, żeby to zmienić.

- Chyba mam prawo wiedzieć, co się stało.

Zacisnął wargi i kręcąc głową, odwrócił się, żeby wyjść.

Lena złapała go za rękę i zatrzymała.

- Powiedz mi, co się stało mojej matce. Powiedz mi, kto ją zabił.

- Ja ją zabiłem! - krzyknął, próbując się wyrwać. -

Chcesz wiedzieć, kto zabił twoją matkę? Ja. Ja to zrobiłem! A teraz wracaj do domu i pozwól martwym spoczywać w spokoju.

Poczuła pod palcami ułamaną igłę i wiedziała, że wbija mu ją jeszcze głębiej. Chciała puścić, ale nakrył jej dłoń swoją i przytrzymał. Miał łzy w oczach i jego twarz złagodniała, jakby na moment zapomniał o głodzie.

- Ty i twoja siostra byłyście światłem mego życia. Nie zapominaj o tym.

Lena wyrwała dłoń. Zobaczyła odrobinę zaschniętej krwi tuż poniżej tętnicy szyjnej, gdzie wkuł się, gdy wycierała głowę.

Odkaszlnęła, usiłując powiedzieć coś przez zaciśnięte gardło.

- Jeśli przebijesz arterię...

- Taak - odparł zrezygnowanym tonem.

- Spuchnie ci szyja - ciągnęła. - Udusisz się.

- Wracaj do domu, Lee.

- Hank...

- Wiem, co się stanie - powiedział jej. - Nie chcę, żebyś wtedy tu była.

Przez dwadzieścia lat, jakie upłynęły, od kiedy Lena ostatni raz odwiedziła okręgową bibliotekę w Elawah, jedyną zmianą było biurko komputerowe wciśnięte pod ścianę między działem romansów a literatury pięknej. Nawet niezdarne dekoracje na Halloween wyglądały tak samo: szkielety z purpurowej bibułki z pomarańczowymi cylindrami, czarne koty z puchatymi ogonami, kotły z magicznymi wywarami. Brakowało jedynie plastikowej dyni z kukurydzą w cukrze, która zwykle stała na biurku. Widząc korzystających z biblioteki, Lena domyśliła się, że bibliotekarka nie uważa ich za godnych poczęstunku. Ta kobieta zdawała się spędzać większość czasu, jeżdżąc w górę i w dół windą towarową ze swoim wózkiem i kwaśną miną, bardziej przerażającą od jakiegokolwiek kostiumu na Halloween.

Kiedy były dziećmi, Sibyl godzinami przesiadywała w bibliotece. Była dobrą uczennicą i zapełniała sobie czas odrabianiem zadań domowych lub czytaniem czasopism po-

pularnonaukowych drukowanych brajlem, które specjalnie dla niej zamawiała panna Nancy, poprzednia bibliotekarka. To Lena kręciła się po sali, mamrocząc pod nosem, dopóki Hank w końcu nie zabrał ich do domu. Traktował bibliotekę jako namiastkę świetlicy szkolnej, każąc dziewczynom siedzieć tam, dopóki nie wyrwie się z baru, żeby zabrać je do domu.

Teraz Lena żałowała swojej młodzieńczej arogancji i braku zainteresowania tym, jak korzystać ze zbiorów. Sibyl, chociaż niewidoma, umiała się posłużyć czytnikiem mikrofilmów. Lena nie mogła sobie poradzić z tym cholerstwem. Jak niesforny kociak poplątała dwie rolki zarchiwizowanych gazet, zanim bibliotekarka znów wyłoniła się z piwnicy. Na widok Leny wyraz permanentnej dezaprobaty na jej twarzy jeszcze się

- Daj mi to, zanim zepsujesz - rozkazała kobieta, wyrrywając jej mikrofilm.

Ze swoją krzykliwą biżuterią, donośnym głosem i niezadowoleniem, była przeciwieństwem panny Nancy. Czując jej zapach - mdląco słodkich perfum, które nie maskowały odoru papierosów - Lena odgadła, że kobieta spędza większość czasu w piwnicy, paląc i ukrywając się przed dziećmi.

To również się nie zmieniło - użytkownicy nie mieli wstępu do piwnicy. Biblioteka mieściła się w dawnym budynku ratusza, opuszczonym na skutek rozrostu biurokracji. Wzniesiona w latach pięćdziesiątych budowla miała wszystkie ówczesne cechy, od podziemnej sali konferencyjnej z niskim betonowym stropem, o który można było rozbić sobie głowę, po schron przeciwatomowy w piwnicy. Lena zakradła się tam kiedyś i była bardzo rozczarowana, gdy znalazła tylko stare spisy wyborcze i akty własności zamiast książek pornograficznych i kościotrupów, które -jak wieść niosła - mogły być ukryte w trzewiach biblioteki. Na uprzednie przeznaczenie tego pomieszczenia bez okien wskazywało jedynie kilka metalowych łóżek ustawionych w kącie oraz półki zapełnione od podłogi po sufit kanistrami z wodą i puszkami z wołowiną.

Lena wyobrażała sobie, że całe to miejsce cuchnie teraz camelami bez filtra, dzięki tej najbardziej jędzowatej bibliotekarce na świecie.

- Nie wiem, po co ci to - warknęła bibliotekarka, trzymając mikrofilm. - Czy chociaż wiesz, czego szukasz?

- Interesuje mnie pewna data - powiedziała Lena, siląc się na cierpliwość. - 16 lipca 1970 roku.

- Nieważne - wymamrotała kobieta w taki sposób, że Lena doszła do wniosku, że bibliotekarka jej nie słuchała. Wydawało się, że interesuje ją tylko to, żeby jak najciaśniej zwinąć mikrofilmy, tak żeby zmieściły się w swoich pojemnikach. Klucz do windy, który miała na łańcuszku na nadgarstku, z irytującym brzękiem miarowo uderzał o blat stołu.

Lena usiadła prosto, robiąc więcej miejsca bibliotekarce i starając się ukryć zniecierpliwienie. W końcu wstała i ustąpiła jej miejsca, żeby uniknąć poszturchiwania kościstym łokciem. Kiedy była mała, w bibliotece panowała cisza - panna Nancy pilnowała tego. Miała zasadę, którą nazywała „szczęściowym głosem”, zgodnie z którą należało mówić tak cicho, żeby być słyszonym tylko w odległości sześciu cali. Za rządów panny Nancy nie było biegania ani rozrabiania i z całą pewnością nie kłębały jak marynarz, usiłując poradzić sobie z czytnikiem mikrofilmów.

Za Leną była grupka nastolatek. Siedziały przy stole z rozłożonymi na nim książkami, ale od kiedy weszła do biblioteki, nie widziała, by któraś z nich robiła coś innego poza chichotaniem. Teraz jedna z nich zauważyła ją i pospiesznie wbiła wzrok w książkę, którą trzymała w dłoniach, ale Lena zauważyła coś jeszcze.

Biblioteka była mała, z szesnastoma rzędami regałów równo rozstawionych w środku. Lena przeszła wzdłuż nich, szukając szczuplej postaci, którą zauważyła za stołem nastolatek.

Znalazła Charlotte Warren w dziale z literaturą dziecięcą. Charlotte najwyraźniej nie chciała być zauważona. Stała z nosem w książce *Pippi Pończoszanka*, gdy Lena podeszła do niej.

- Cześć.

- Och, Lee - powiedziała z udawanym zdziwieniem Charlotte, jakby to nie ona zadzwoniła do Leny, mówiąc, żeby przyjechała i sprawdziła, co z Hankiem.

- Znalazłam Hanka - powiedziała Lena.

Charlotte niespiesznie odłożyła książkę na półkę, ustawiając ją równo z sąsiednimi książkami. Z mysimi blond włosami i łagodnym głosem, przeznaczeniem Charlotte Warren od dziecka była rola typowej amerykańskiej matki, sens życia znajdującej dzięki Oprah i Marcie Stewart.

- Od jak dawna jest taki? - zapytała Lena.
- Chyba około miesiąca.
- Jest w kiepskim stanie.
- Dlatego zadzwoniłam.
- Kto mu sprzedaje?
- Och. - Charlotte odwróciła głowę, poprawiając grube okulary. - Ja nie wiem, Lee. Po prostu zobaczyłam go pewnego dnia, a ponieważ nie wyglądał dobrze, pomyślałam, że powinnaś o tym wiedzieć.

- Nie wiem, co robić - przyznała Lena. - Uparł się, żeby się zabić.
- Był bardzo przygnębiony, od kiedy Sibyl... - Charlotte nie musiała kończyć. Obie wiedziały, co chciała powiedzieć. Bawiła się złotym krzyżykiem na łańcuszku, który nosiła na szyi. - Chciałam przyjechać na pogrzeb, ale dzieci były w szkole i po prostu... - Znowu zamilkła. - Wciąż jesteś w policji?

- Tak - odparła Lena. - A ty wciąż uczysz?
Charlotte uśmiechnęła się słabo.
- Prawie szesnaście lat.
- To dobrze. - Lena usiłowała zmienić temat. - Sibyl uwielbiała uczyć.
- Jestem mężatką. Wiedziałaś? - Lena przecząco pokręciła głowę i Charlotte dopowiedziała: - Mam troje dzieci, a Larry, mój mąż, jest wspaniałym ojcem. Bierze dodatkowe zmiany w fabryce, żeby dzieci miały wszystko, czego im trzeba. Chodzi na ich mecze, szkolne przedstawienia i koncerty. To naprawdę dobry człowiek, Lee. Miałam szczęście.

- Na to wygląda.
- Spotykasz się z kimś?
- Nie - odpowiedziała zbyt pośpiesznie Lena i poczuła, że się rumieni. Charlotte spojrzała jej przez ramię, jakby się bała, że ktoś je podsłucha.
- Muszę odprowadzić moją małą do domu i... - Zaśmia-

ła się, lecz zabrzmiało to jak szloch. - Rany, jesteś do niej taka podobna.

Dotknęła policzka Leny i zatrzymała dłoń odrobinę za długo. Łzy stanęły jej w oczach, a dolna warga zadrżała, gdy Charlotte usiłowała opanować wzruszenie.

- Charlotte...

Charlotte chwyciła dłoń Leny i mocno ją uścisnęła.

- Zaopiekuj się Hankiem, Lee. Sibby chciałaby, żebyś się nim zajęła.

Lena patrzyła, jak Charlotte podchodzi do jednej z siedzących przy stole dziewczynek. Chociaż starsza o kilka lat od Leny i Sibyl, była najlepszą przyjaciółką Sibyl. Od dziecka aż po szkołę średnią były nierozłączne. Godzinami przesiadywały w pokoju Sibyl, razem chodziły do kina, a nawet co roku na wiosnę jeździły razem na Florydę. Straciły ze sobą kontakt, kiedy Sibyl poszła do college'u, ale taka przyjaźń nigdy się nie kończy.

Charlotte miała rację w jednym. Sibyl chciałaby, żeby Lena zajęła się Hankiem. Kochała go jak ojca. Umarłaby z żalu, gdyby widziała, co się z nim dzieje. Gdyby jednak dowiedziała się, że Hank okłamywał je przez tyle lat? Co wtedy by do niego czuła?

- Ustawiony - warknęła bibliotekarka z końca sali.

Machnięciem ręki wskazała czytnik mikrofilmów, jakby miała go dość.

- Dziękuję - powiedziała Lena, choć kobieta już wpychała klucz do zamka, żeby wejść do windy i uciec.

Lena wróciła do czytnika. Mogła załatwić to w inny, lepszy sposób. Mogła zadzwonić do Jeffreya. Mogłaby poprosić go, żeby poszukał nazwiska jej matki w policyjnej bazie danych. Mogła pójść do biura szeryfa i poprosić o akta ojca. Mogła wytropić diler Hanką, przystawić mu lufę do skroni i powiedzieć, że jeśli jeszcze raz choćby porozmawia z jej wujem, jego mózg rozbryźnie się po wnętrzu jego ślicznego, białego samochodu.

Ten diler stanowił problem. Jeffrey chciałby wiedzieć, dlaczego Lena sprawdza matkę. Gorzej, bo zapewne zechciałby pomóc. Przecież nie mogła mu powiedzieć, że jej wuj znów ćpa i powiedział kilka dziwnych rzeczy, które

trzeba sprawdzić. Jeffrey byłby w drodze do Reese, zanim zdążyłaby odłożyć słuchawkę.

Rozmowa z szeryfem Elawah również mogła niepotrzebnie zwrócić uwagę. Hank dużo brał - mógł być obserwowany. Ponadto od śmierci Calvina Adamsa minęło ponad trzydzieści lat. Wszystkie akta zapewne zostały zagubione lub zniszczone.

Musiła skorzystać z tego, co miała, a na początek najlepszym miejscem była biblioteka. Hank okłamał ją w tylu sprawach, że Lena już mu nie ufała. Powinna zacząć od początku i dotrzeć do prawdy. Może kiedy zdobędzie trochę więcej informacji i dowie się, na czym stoi, będzie mogła pójść do Jeffreya i poprosić go o pomoc. Pracowała z nim dostatecznie długo, by wiedzieć, jakie zada pytania. Teraz musiała znaleźć na nie odpowiedzi.

Lena usiadła przy czytniku i przejrzała pierwszą stronę „Elawah Herald”.

MIEJSCOWY SZERYF ZABITY

Siedząc na brzegu krzesła, przeczytała słowo po słowie. Nie pamiętała artykułu, który Hank pokazał jej, gdy była dzieckiem, ale wyglądało na to, że to ten. Były w nim wszystkie szczegóły. Zatrzymał przekraczającego dopuszczalną prędkość. Zginął na miejscu. Brak podejrzanych.

Kręcąc gałkami maszyny, przewinęła tekst aż do następnego numeru, po czym powoli wróciła. „Herald” był tygodnikiem mającym nie więcej niż piętnaście do dwudziestu stron i śmierć jej ojca była największą sensacją. Przez cały następny miesiąc nie schodziła z pierwszej strony każdego kolejnego wydania, wałkowana bez końca. Dwa strzały w głowę. Żadnych podejrzanych.

Wcisnęła guzik szybkiego przewijania w nadziei, że nie będzie musiała zmieniać filmu, aby znaleźć wiadomość o śmierci jej matki. Doszła do 1971 roku i zwolniła przy pierwszym tygodniu marca. Przejrzała nekrologi, szukając nazwiska matki, a potem przeszła do następnego wydania i do następnego. Już miała się poddać, gdy zobaczyła zdjęcie na pierwszej stronie numeru z 19 września.

Hank miał tylko jedno zdjęcie ich matki. Było zrobione

polaroidem, o nienaturalnie jaskrawych barwach. Angela Norton miała siedemnaście lub dziewiętnaście lat. Stała na jakiejś anonimowej plaży na Florydzie, w skromnym jednoczęściowym kostiumie w czarno-białą kratę z dużą kokardą w talii. Włosy miała upięte w kok, a ręce opuszczone. Pozowała. W tamtych czasach nastolatki chciały wyglądać na starsze, dojrzałe i Lenie zawsze podobał się wygląd twarzy matki: te lekko wydęte usta i poważne spojrzenie, niebieski cień do powiek i czarny tusz do rzęs jak u Kleopatry, wyraźnie wskazujący na młodą kobietę stojącą u progu

Na szóste urodziny Leny i Sibyl Hank zamówił portret Angeli u artysty spoza miasta. Ten olejny obraz wisiał w salonie nad kanapą. Był czymś tak stałym w życiu Leny, że rzadko już nawet nań patrzyła.

Teraz jednak uważnie przyjrzała się fotografii matki w gazecie. Angela Adams z domu Norton siedziała na starym fotelu bujanym, w którym Lena rozpoznała mebel z domu Hanka. W ramionach trzymała dwa niemowlęta, zawinięte w koce.

A nad nią widniał nagłówek:

POGRAŻONA W ŻALU WDOVA I JEJ BLIŹNIĘTA

WTOREK

RANO

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jeffrey siedział przy stoliku w głębi City Diner, odsłuchując wiadomości przez komórkę. Podawana tu kawa była z gatunku powalających i kiedy kelnerka przyszła, aby ponownie napełnić mu filiżankę, z uśmiechem odprawił ją machnięciem ręki, obawiając się, że gdyby wypił jeszcze trochę tej czarnej jak smoła cieczy, jego głowa uleciałaby niczym balon w niebo. Już szumiało mu w uszach, co w połączeniu z padającym na zewnątrz deszczem sprawiało, że czuł się, jakby wetknął głowę w gniazdo szerszeni.

Nacisnął trójkę na swoim telefonie komórkowym, przekazując dalej wiadomość od burmistrza Heartsdale, który prosił go o złapanie kilku wandalów kopijących kubły na śmieci na jego ulicy, co zdaniem burmistrza było pierwszym dowodem na to, że bandy oprychów opanowały miasto.

Jeffrey zamknął aparat po odsłuchaniu ostatniej wiadomości od sprzedawcy plastikowego sidingu, który chciał porozmawiać z nim o ekscytujących możliwościach. Nie było żadnej wiadomości od Sary i nie odebrała telefonu, gdy zadzwonił do motelu. Miał nadzieję, że bierze długą kąpiel, lecz zmienił zdanie na wspomnienie brudu, który zeszłej nocy widział na dnie wanny: lepiej żeby poszła zaczerpnąć świeżego powietrza. Martwił się o nią. Była o wiele za spokojna, jeszcze zanim podeszła ją Lena. Budząc się w środku nocy, często znajdował ją leżącą bezsennie, zwiniętą w kłębek, odwróconą do niego plecami.

Niechętnie zostawił ją samą tego ranka, szczególnie w tym obrzydliwym pokoju. Szczerze mówiąc, niechętnie narażał ją na kontakt z takim nędznym otoczeniem, którego istnienia do wczorajszego wieczoru nawet nie była świadoma. Jeffrey w myślach nazywał ten motel „ciupciarnią” - jedna z tych

przystani dla kierowców ciężarówek, dziwek i niewiernych małżonków. Jeffrey spędził w takich motelach wiele nocy z wieloma kobietami, więc znał się na tym. Nawet kompletny głupek od razu by się zorientował, co to za miejsce. Recepcjonista zapytał Jeffreya, na ile godzin potrzebny mu pokój.

Jeffrey zaparkował bmw w dobrze widocznym miejscu, na wypadek gdyby Lena go szukała. Choć z tego co wiedział, mogła teraz być w połowie drogi do Meksyku. Częściowo miał nadzieję, że tam zostanie. Był na nią zły za to, że mu nie zaufała, jeszcze bardziej za to, że wykorzystała Sarę, a najbardziej na siebie, że do tego wszystkiego dopuścił.

Sara miała rację co do jednego - zeszłej nocy Lena była przerażona. Najwyraźniej uznała, że skoro nie udało jej się skłonić Jeffreya do wyjazdu, to najlepiej zrobi, uciekając. Pozostawało pytanie, dlaczego chciała się pozbyć Jeffreya? Co mogło się zdarzyć tak złego, że nie chciała skorzystać z jego pomocy? Ta osoba w escalade została zabita. Mimo to w zimnym blasku dnia Jeffrey nie był w stanie wymyślić niczego - nawet morderstwa - co sprawiłoby, że zwróciłby się przeciwko Lenie. Musiało być jakieś wyjaśnienie, jakiś powód tego, że była zamieszana w tę śmierć. Lena zawsze lubiła ryzykować, ale nigdy świadomie nie narażała nikogo oprócz siebie.

A jednak mimo woli zastanawiał się, czy to ciało Hanka Nortona znaleziono na tylnym siedzeniu spalonego wozu. Tego ranka w drodze na śniadanie Jeffrey zadzwonił na posterunek w Grant i dostał adres Hanka z akt osobowych Leny. Spróbował zadzwonić pod podany przez nią numer telefonu, ale nikt nie odbierał. Zdziwiał, ale nawigacja satelitarna w samochodzie Sary rozpoznała adres. Jeffrey uznał to za znak, że powinien tam pojechać i sprawdzić, czy Hank Norton jest w domu. Ten wyglądał na opuszczony, lecz Jeffrey założył, że powodem było to, iż nie malowano go i nie reperowano od trzydziestu lat. Byłby wysiadł z samochodu i sam sprawdził, lecz po drugiej stronie ulicy stał zaparkowany radiowóz z biura szeryfa okręgu Elawah. Kierowca pomachał ręką do przejeżdżającego

Jeśli Hank był w spalonym samochodzie, to wyjaśniało, dlaczego Lena uciekła. Nieważne, ile było między nimi złej krwi, gdyby ktoś zabił jej wuja, tropiłaby go jak zwierzę.

A jeśli sama go zabiła... Jeffrey zatrzymał się w swych rozważaniach, nie pozwalając, by opadły go ponure myśli. Znając Lenę przez prawie dwadzieścia lat, powinien lepiej wiedzieć, czy była jednym z dobrych czy ze złych graczy.

Zeszłej nocy w szpitalu miała okazję poprosić go o pomoc, ale wybrała ucieczkę. Najwyraźniej wolała zająć się czymś sama. Widocznie wiedziała, że Jeffrey nie pozwoliłby jej na to. Wciąż była zamieszana w zbrodnię detektywem z jego wydziału. Opuściła szpital, ponieważ uciekała przed czymś - czymś, co rozpaczliwie chciała zataić przed Jeffreyem. Czy była tylko zamieszana w tę eksplozję, czy sama ją wywołała, Jeffrey zamierzał dowiedzieć się prawdy. Jake Valentine nie umiałby znaleźć nawet swojego tyłka. Jeśli da się jakoś wyciągnąć Lenę z tego bagna, tylko Jeffrey może to zrobić. Oczywiście, byłoby to znacznie łatwiejsze, gdyby wiedział, co, do diabła, się dzieje.

Przejechawszy obok domu Hanka, Jeffrey zadzwonił do Wydziału Więziennictwa stanu Georgia, by się upewnić, że Ethan Green wciąż siedzi. Zapewnili go, że Ethan Green nadal jest za kratkami, lecz mimo zapewnień miłej kobiety, z którą rozmawiał przez telefon, Jeffrey nie do końca ufał informacjom, jakie uzyskała z komputera. Osobiście zadzwonił do więzienia stanowego i porozmawiał z dyrektorem. Z ulgą usłyszał od niego, że Ethan nadal jest pensjonariuszem więzienia, lecz Jeffrey nie był tak głupi, żeby skreślać go ze swojej listy podejrzanych.

Chociaż twierdził, że się poprawił, Ethan Green od dziecka był skinheadem. Wychował się w rodzinie skinheadów i wielokrotnie był aresztowany ze swoimi przyjaciółmi skinami. Jeffrey widział swastyki i inne obrzydliwe tatuaże na ciele tego młodzieńca. Niemożliwe, żeby Ethan ponownie nie spiknął się ze swoimi zaraz po powrocie do więzienia. Takie zwierzęta mogą przeżyć tylko w stadzie. Pytanie tylko, jak daleko sięgały wpływy Ethana poza murami więzienia? Tamten mężczyzna, którego Jeffrey widział zeszłej nocy w szpitalu, miał czerwoną swastykę na ramieniu. Czy był powiązany z Ethanem? Czy uwięziony skin posłał jednego ze swoich chłopców, żeby dopadł Lenę? To mogłoby wyjaśnić jej strach. Tylko czy tłumaczyłoby fakt, że nie chciała pomocy Jeffrey'a?

Spojrzał na zegarek, zastanawiając się, dlaczego Nick Shelton się spóźnia. Stary wyjadacz z Biura Śledczego południowo-wschodniej Georgii był bardzo zajęty. Miejsce spotkania wybrali w połowie drogi - dostatecznie daleko od Reese, żeby uniknąć wścibskich oczu, i dostatecznie blisko Macon, żeby Nick nie był za długo poza biurem. Zeszłego wieczoru, umawiając się na spotkanie, Jeffrey był dość lakoniczny, ale miał nadzieję, że Nick uzupełni jego wiadomości na temat Jake'a Valentine'a oraz tego, co się dzieje pod rządami nowego szeryfa. Nick właśnie pracował nad sprawą wykraczającą poza granice okręgu i Elawah leżało w jego gestii. Jeśli ktoś może powiedzieć Jeffreyowi, czy skinheadzi działają w tym mieście, to tylko Nick Shelton. Agent Biura Śledczego z wielką satysfakcją pakował złych facetów za kratki i mimo skłonności do kwiecistych przemówień był piekielnie dobrym policjantem.

I spóźnionym o prawie godzinę.

Jeffrey wyjął telefon komórkowy i wybrał numer motelu. Zanim wyszedł, poprosił Sarę, żeby skontaktowała się z Frankiem Wallace'em z Grant, ale oboje wiedzieli, że to tylko pretekst, żeby mógł później zadzwonić i sprawdzić, co u niej słychać. Jeffrey głęboko wątpił, by ustalenie tego, do kogo należy biały sedan, mogło naprowadzić ich na jakiś trop. Sprawdzanie tego rodzaju drobiazgów zwykle pozostawiał młodszym stopniem funkcjonariuszom.

Teraz słuchał, jak telefon dzwoni, a jego niepokój rósł przy każdym sygnale. W końcu Sara podniosła słuchawkę.

- Jeff?
- Jesteś zdyszana - powiedział z ulgą, słysząc jej głos.
- Poszłam na spacer - odparła i zaczęła wyjaśniać dlaczego.

Kiedy doszła do kupowania mapy, ścisnął telefon tak mocno, że aparat o mało nie wyskoczył mu z ręki.

- Tak więc - ciągnęła, najwyraźniej podekscytowana - to miejsce było opuszczone, ale pomyślałam, że pójdę do sądu okręgowego i sprawdzę, kto jest właścicielem tej nieruchomości. Co o tym myślisz?

Jeffreyowi odebrało mowę. Ustalenie właściciela samochodu z względnie bezpiecznego miejsca, jakim był motel,

to jedno. Wchodzenie do potencjalnej kryjówki skinheadów - albo gorzej - to co innego.

- Halo? - powiedziała Sara. - Jesteś tam?

Jeffrey odkaszlnął, usiłując opanować ściskanie w gardle i przemożną ochotę zapytania jej, co, do cholery, wyprawia.

- Jestem.

- Mówiłam, że mogę pójść do sądu...

Przerwał jej w pół zdania.

- Chcę, żebyś została w motelu, Saro. Nie idź do sądu. Nie dzwoń już do nikogo. Po prostu siedź w tym przeklętym pokoju i trzymaj się z dala od kłopotów.

Teraz to ona zamilkła.

- Nie mogę wykonywać mojej pracy i jednocześnie martwić się o ciebie - wycodził przez zaciśnięte zęby.

Milczała chwilę, zanim odpowiedziała.

- W porządku.

Ze sposobu, w jaki to powiedziała, wyczuł, że jest zła, ale w tym momencie nic nie mógł na to poradzić.

- Obiecuj mi, że zostaniesz w pokoju, dopóki nie wrócę.

Znów wahanie. Nagle zrozumiał, że się mylił. Sara nie była zła. Była rozczarowana sobą, ponieważ on się złościł. Niemal słyszał jej myśli i wiedział, że ganiła się za to, że znów zrobiła coś głupiego.

- Wiem, że próbowałaś mi pomóc, ale Saro, Jezu, na myśl o tym, że pakujesz się w... to nie jest Grant. Nie wychowałaś się tutaj. Ci ludzie cię nie znają. To niebezpieczne, Saro. Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

- Tak.

- Dziecino... - Potrząsnął głową, bo zabrakło mu słów. - Proszę, po prostu zostań w pokoju. Wrócę najszybciej, jak będę mógł.

- Nie - powiedziała mu. - Rób swoje. Masz rację. Zostanę w pokoju.

Teraz czuł się jak kompletny dupek. Spojrzał przez okno. Nick Shelton wysiadał z chevroleta.

- To nie twoja wina - powiedział jej. - Słuchaj, właśnie przyjechał Nick.

- W porządku. Zobaczymy się, kiedy wrócisz.

Nie trzasnęła słuchawką, ale Jeffrey wołałby, żeby to

zrobiła. Sara nie była zrędliva. Była uparta, arogancka i wymagająca - wszystko, czego mężczyzna może chcieć od kobiety. W ciągu kilku ostatnich miesięcy widział, jak traci wolę walki i tylko przyjmuje ciosy. Jeffrey chciał, żeby znów zaczęła się złościć. Chciał, żeby powiedziała mu, żeby się odpieprzył, że ona wie, co robi, a on powinien być wdzięczny, że ona traci czas, pomagając mu, zamiast wrócić do domu i zajmować się pacjentami. Chciał, żeby na niego wrzeszczała, żeby wściekała się na Powellów i innych drani próbujących ją załatwić.

Chciał odzyskać swoją błyskotliwą, piękną żonę.

- Hej, szefie. - Nick Shelton wszedł frontowym wejściem. Mokre od deszczu ciemnoblonde włosy oblepiły mu czaszkę. - Przepraszam za spóźnienie.

Jeffrey wstał i uściśnął mu dłoń.

- Nie ma sprawy.

- Leje jak cholera. - Nick zawołał do kelnerki: - Masz dla mnie trochę świeżo parzonej kawy, moja droga?

Posłała mu szeroki uśmiech.

- Jasne.

- Tylko zostaw trochę miejsca w filiżance, dobrze? Może tyle?

Pokazał kciukiem i wskazującym palcem.

- Zaraz wracam - zachichotała i mrugnęła do niego.

Jeffreyowi ledwie mówiła „dzień dobry, ale Nick, w swych obcisłych dżinsach i grubym złotym łańcuchu na szyi, zapewne był bardziej w jej typie.

Policjant z Biura Śledczego odprowadził wzrokiem odchodzącą kelnerkę, posyłając uśmiech aprobaty jej szerokiemu tyłkowi.

- Jest na czym zawiesić oko.

Jeffrey spróbował skierować rozmowę na inne tory.

- Co u ciebie, Nick?

- Haruję jak wół, ot co. - Skubał serwetki w uchwycie na stole, rozrywając je na strzępy. - Władze stanu obcięły mi budżet o połowę ze względu na ten przeklęty program bezpieczeństwa kraju. Mamy gangi, dilerów i morderców wyrastających wszędzie szybciej niż wasy mojej babci, ale federalni zabierają nam kasę na walkę z terrorystami, którzy nawet nie umieliby znaleźć na mapie Elawah czy

okręgu Grant. Do licha, właściwie nie muszą się tu fatygować. Jeszcze kilka lat i sami się pozabijamy.

Jeffrey nie pamiętał rozmowy z Nickiem, w trakcie której nie słyszałby takich narzekań, ale starał się nie podsycać ich swoimi kłopotami.

- Przykro mi, że masz takie problemy, Nick.

- Bob Burg wziął posadę konsultanta na północy i zarabia dwadzieścia razy więcej, niż płacił mu stan.

Jeffrey poczuł, że temat zaczyna go wciągać. Bob Burg był odpowiednikiem Nicka na południowo-zachodnie okręgi Georgii.

- Co się stało?

Nick postrzępionymi serwetkami otarł mokrą od deszczu twarz.

- Chyba doszli do wniosku, że marnują czas, wpadając do domu na chwilę, żeby się zdrzemnąć i zmienić skarpetki. Zwolnili go i dali mi jego teren.

- Wylali Boba?

- Połączyli Biura, żeby zwiększyć operatywność - beznamiętnie zacytował Nick. - Banda głupich, pierdolonych biurokratów. I nie każ mi mówić o premiach, jakie dostali za lizanie tyłków i przykręcanie śruby. - Wyprostował się na widok wracającej kelnerki. - Och, dziękuję, moja droga. Spisałaś się doskonale.

Mrugnął do niej i kobieta zachichotała, po czym odeszła, kołysząc biodrami.

- Nie winię Boba - ciągnął Nick - że się wkurzył, ale zostawił mi pieprzony bałagan do posprzątania. Braki w papierach, niekompletne akta.

- Przykro mi to słyszeć.

Nick zbył to wzruszeniem ramion.

- Co u Sary? - zapytał.

- Dobrze - skłamał Jeffrey, usiłując ukryć smutek.

Nick obrzucił go przenikliwym spojrzeniem znad filiżanki z kawą.

- Słyszałem, że oboje zdążyliście już przysporzyć sobie przyjaciół w mieście.

- Wieści szybko się rozchodzą.

- Nie codziennie superszeryf pozwala uciec więźniowi. - Mrugnął do Jeffrey. - I jeszcze dostaje cios w dółek.

Jeffrey uśmiechnął się mimo woli.

- Sam się o to prosił.
- Nie wątpię.
- Powiedz mi, co o nim wiesz.

Nick podniósł stojącą na stole cukiernicę.

- Jake Valentine - powtórzył, przeciągając słowa. - Nasz kolega Jake był zastępcą chyba ze dwa dni, zanim zgłosił swoją kandydaturę na szeryfa. - Mówiąc, słodził sobie kawę. - Ten stary piernik, Don Cook, chciał tej posady, ale obywatele mieli dość starych pierdzieli siedzących na tyłkach i biorących za to szmal, podczas gdy miasto schodzi na psy.

- Meth? - odgadł Jeffrey.

Nie było w Ameryce miasta, które nie ucierpiało w wyniku zalewu metamfetaminy. Była tania, łatwa do wyprodukowania i niemal całkowicie uzależniająca. Narkotyk rujnował życie wszystkim, w tym kilku funkcjonariuszom policji, którzy nieopatrznie weszli do zaminowanych labo-

- Meth - potwierdził Nick, w końcu osłodziwszy kawę. Wziął śmietankę i dodał: - Trochę zielony, ale to dobry dzieciak.

- Nie wygląda na dostatecznie dorosłego, by prowadzić samochód.
- To prawda, ale chce się nauczyć, a to więcej, niż można powiedzieć o niemal wszystkich innych. Gwarantuję ci, że jeśli zdoła utrzymać się na tej posadzie do czasu, aż mleko obeschnie mu pod nosem, będzie dobrym szeryfem.

- Nie wygląda na to, żeby jego ludzie go popierali.
- Może paru wypięłoby się na niego, ale tylko w ostateczności. Don Cook nie jest taki mocny, jak mu się wydaje - dodał.

- A poprzednik Jake'a?
- Al Pfeiffer. To dobry gość, ale nic tak szybko nie skłania do przejścia na emeryturę jak bomba zapalająca wrzucona przez frontowe okno.

Jeffrey był pewien, że się przesłyszał.

- Co takiego?

Nick kiwnął głową, wlewając śmietankę do filiżanki, aż po sam brzeżek.

- Podpalili mu dom. Żona i wnuk ledwie uszli z życiem.

Stary doznał oparzeń trzeciego stopnia na twarzy i rękach. Stracił jeden palec. Nie było sprawy, ponieważ nikt nie chciał mówić: brak świadków, brak dowodów, nic. A zdarzyło się to w biały dzień, w niedzielę po południu. Przyjmij to jako ostrzeżenie, szefie. Ci faceci nie żartują. Robią za duże pier- Skinheadzi? - zapytał Jeffrey.

- Znów zgadłeś, szefie. - Nick posłał mu ostrożne spojrzenie. - Coś mi mówi, że już grałeś w tę grę.

Jeffrey zrozumiał, że teraz jego kolej.

- Wczoraj w nocy przed szpitalem Elawah widziałem faceta wyglądającego na twardziela. Miał wielką czerwoną swastykę wytatuowaną na ramieniu.

- Stara historia. - Nick machnął ręką jak plotkująca staruszka. - Symbol Skin Brothers. To interesujący odłam nazistów. Powstał w więzieniach w latach pięćdziesiątych. Na zewnątrz integracja, wewnątrz segregacja. Białym chłopcom rządzącym pod całą nie podobali się czarni faceci, więc dawali im to do zrozumienia na wszelkie sposoby. - Nick pochylił się i zniżył głos. - W latach pięćdziesiątych biali stanowili sześćdziesiąt pięć do siedemdziesięciu procent więźniów w więzieniach federalnych i stanowych, zasadniczo zgodnie ze średnią statystyczną populacji, prawda?

- Prawda.

- Teraz wszystko się odwróciło. W niektórych więzieniach ten stosunek ma się jak sześćdziesiąt do czterdziestu a nawet osiemdziesiąt do dwudziestu. Biali są w mniejszości, a większość to czarni i Latynosi.

- Stąd gangi.

- Crips, Bloodsi, Boyz, Tiny Rascals, Nazi Low Riders.

- Co znów sprowadza nas do metamfetaminy - powiedział Jeffrey.

- To szybkie pieniądze, więc zawsze toczy się o nie wojna, bo jakiś dupek chce nabić sobie kabzę. Biali z białymi, czarni z czarnymi, teraz ważne są tylko zielone. Aryanie mówią Low Ridersom, co mają robić, Low Ridersi każą im się odpierdolić, puryści oskarżają oba odłamy, że sprzedają białą rasę... krótko mówiąc, ktokolwiek akurat rządzi, musi przez cały czas mieć oczy dookoła głowy.

- Którzy używają czarnej swastyki?
- Chyba wszyscy poza Skin Brothers. - Przewidział następne pytanie Jeffrey. - I nigdy się nie zgadzają. Posadź kogoś ze Skin Brothers z kimś, powiedzmy, z Low Riders, a jakbyś wepchnął dwa rysie do kartonowego pudła. Tylko jeden ujdzie z życiem.

- Jesteś pewien?

- Są zwaśnieni od tak dawna, że nikt nawet nie pamięta, o co poszło. W ramach ślubowania, jakie składają, wstępując do gangu, przysięgają zabić każdego pierdołę z innej drużyny. Czerwona czy czarna swastyka, wybiera się ją na całe życie. Prędzej zobaczysz pokój na Bliskim Wschodzie niż sojusz tych dwóch gangów.

Jeffrey odetchnął z ulgą. Cokolwiek się działo w Reese, na razie mógł wykluczyć udział Ethana Greena.

Nick odchylił się do tyłu, trzymając w dłoniach filiżankę z kawą.

- Słyszałeś o tej sprawie z Aniołami Piekieł na Zachodnim Wybrzeżu?

Jeffrey przecząco pokręcił głową.

- Powiem ci, że to cholerne skurczybyki. Większość życia przesiedzieli w więzieniu bez szans na zwolnienie i są gotowi załatwić cię z byle powodu. Federalni próbują dobrać się do nich na podstawie przepisów RICO, traktując ich jako zorganizowaną grupę przestępczą. Podczas procesu musieli przykuwać ich do podłogi. Jeden z nich dźgnął swojego prawnika piórem. Ci faceci nie mają nic do stracenia, chcą tylko zyskać trochę czasu, stając przed Sądem Najwyższym i czekając, aż ich liczba wzrośnie. Wiedzą, że nigdy nie ujrzą świata inaczej jak zza krat, i nie obchodzi ich, ile trupów pozostawią za

Jeffrey poczuł, że zimny dreszcz przechodzi mu po plecach.

- Wróćmy do Skin Brothers.

- Formalnie to Brotherhood of the True White Skin, ale tej nazwy nie wymawia się tak gładko.

- Powiedz mi o nich coś więcej.

- Przez ostatnich pięć lub dziesięć lat kierowali nimi dwaj bracia, Carl i Jerry Fitzpatrickowie. Carl siedzi w więzieniu, a Jerry mieszka z resztą rodziny w posiadłości

wartej wiele milionów. Uważa się za pastora głoszącego Dobrą Białą Nowinę.

- Głęboko wierzący?

- Głęboko wierzący sadysta - poprawił Nick. - Osobiście zajmuje się zagubionymi owieczkami. Tropi je i przetrąca im nóżki, żeby reszta stada wiedziała, że lepiej nie zbaczać ze ścieżki. Dorośli ludzie, twardzi jak cholera skinheadzi mający na swoim koncie po dwadzieścia zabójstw, sikają w majtki na myśl o tym, że Jerry mógłby się nimi zająć.

- Nigdy go nie złapano?

- Och, wiele razy był oskarżany, ale niczego mu nie udowodniono. Świadkowie zmieniają zeznania, kiedy wyrywa się im paznokcie, a ich dzieci nagle znikają.

- Gdzie jest ta posiadłość?

- W miasteczku Keene w New Hampshire.

- Dlaczego zawsze czuje się ulgę, kiedy się okazuje, że to Jankesi?

Nick z udawanym zdziwieniem przycisnął dłoń do piersi.

- Rasiści na liberalnej Północy? Jak pan śmie, panie?

- Szokujące - przytaknął Jeffrey, nie po raz pierwszy zastanawiając się, dlaczego reszta Ameryki chce wierzyć, że rasizm występuje tylko na południe od linii Masona-Dixona. Tak jakby Watts i Harlem, przypadki Rodneya Kinga i Abnera Louimy były zaskakującymi anomaliami na ich terenie.

- FBI ma braci Fitzpatricków na swojej liście obserwowanych osób - ciągnął Nick - ale nie wiem, jaki mają priorytet. Całe to antyimigracyjne gówno, które wypłynęło na wierzch, było darmową reklamą dla ugrupowań neonazistowskich. Nagle twierdzenia, że powinniśmy zamknąć nasze granice i pozbyć się ludzi o obco brzmiących nazwiskach, przestały być ekstremistyczną retoryką.

- Jak dobrze, że najpierw wpuściliśmy Fitzpatricków - skomentował Jeffrey. - Za co jeden z nich siedzi w więzieniu?

- Zastrzelił dwóch policjantów.

- W New Hampshire jest kara śmierci?

- Tylko za to przestępstwo - odparł Nick. - Problem w tym, że granicę wieku ustalono na siedemnaście lat. Carl

pociągnął za spust dwa tygodnie przed swoimi siedemnastymi urodzinami. Dożywocie bez możliwości skrócenia kary. Spryciarz z tego naszego Carla. Pod celą spotkał właściwych ludzi, nawiązał odpowiednie kontakty, wyrobił sobie pozycję, po czym, jak to często bywa, zatłukł swojego szefa sztangą i przejął organizację. Typowy karierowicz.

Jeffrey usiłował nie myśleć o tych dwóch zastrzelonych policjantach, o tym, jak ich rodziny, ich dzieci, radziły sobie z tą stratą przez te wszystkie lata.

- Z czego żyją Fitzpatrickowie?

- Siedzą po szyję w metamfetaminie. A nawet po uszy i jeszcze głębiej. Kontrolują wszystko, co przechodzi południowo-wschodnim korytarzem, od Florydy w górę. Niektórzy z tych chłopców to miliarderzy. Jedyne szkopuło, to że umierają przed trzydziestką.

O tym Jeffrey już wiedział.

- I?

Nick najpierw dosypał sobie jeszcze cukru do kawy.

- Twierdzą, że kolor skóry daje im ten przywilej, że jako biali ludzie są lepsi od innych i powinni mieć kontrolę. Uważają, że tego chciał Bóg. - Kelnerka przeszła obok i Nick znów do niej mrugnął. Potem ponownie odwrócił się do Jeffreya. - Lubisz historię, prawda?

- Dostyc.

- Zatem pozwól, że coś ci opowiem - zaczął Nick. - Skin Brothers założył weteran drugiej wojny światowej, żołnierz Gwardii Narodowej z Zachodu, niejaki Jeremia Todd. Twierdził, że był w dywizji, która pomagała wyzwolić Dachau. - Nick znów spróbował kawy, po czym zaczął dolewać do niej śmietanki. Jeffrey powstrzymał chęć wyrwania mu filiżanki i ciśnięcia nią przez salę. - Todd wrócił z Niemiec i zaczął opowiadać na lewo i prawo, że wszystko było rozdmuchane i prasa robi wielkie halo z niczego. Był tam i widział to na własne oczy, i to tylko banda Żydów narobiła zamieszania, usiłując pogrążyć Amerykę.

Jeffrey czuł rosnące obrzydzenie.

- Zaprzeczal Holocaustowi?

- Właśnie.

- A skąd się wzięła czerwona swastyka?

- Jeszcze przed Hitlerem - nie żartuję - oddział Gwardii Narodowej Todda nosił emblematy z czerwoną swastyką.
- Symbolem szczęścia rdzennych Amerykanów - podsunął Jeffrey.
- Yhm - potwierdził Nick. - Wiele południowych i zachodnich dywizji miało indiańskie oznakowania. Oczywiście z rozpoczęciem wojny pozmieniano je, ale dywizja Jeremiaha Todda nosiła je na mundurach aż do początku lat trzydziestych. Wiesz, jacy są wojskowi. Nie rezygnują z tradycji bez walki.
- Jak Todd wylądował w więzieniu?
- Sklep monopolowy albo całodobowy. Napad z bronią palną lub nożem. Nie znam szczegółów. Wystarczy powiedzieć, że palant znalazł się za kratkami w taki sam głupi sposób jak oni wszyscy.
- Rozumiem, że nie żyje?
- Zadzgany w więziennej stołówce za kromkę chleba przed dwudziestoma laty - wyjaśnił Nick. - Najwidoczniej jednak pozostało paru wyznawców. I wygląda na to, że ponieśli dobrą nowinę aż do New Hampshire. W więzieniach obserwuje się odradzanie gangów, szczególnie białych rasistów. Pierwsze, co musisz zrobić za kratkami, to opowiedzieć się po którejś ze stron, żeby nie zadźgali cię czarni bracia, nie zgwałcili Aryanie i nie pobili Latynosi. I nie kończy się to za więzienną bramą. Jeśli jakiś więzień zajdzie im za skórę, potrafią dosięgnąć jego rodzinę na wolności. Jak powiedziałem, większość z nich nie ma nic do stracenia. Co gorszego może im się przydarzyć? Dostaną kolejne dożywocie oprócz tych sześciu, które już mają? Sąd Najwyższy wyznaczy im jedną godzinę spaceru dziennie zamiast dwóch? Wiedzą, że nigdy nie wyjdą, więc jakie to ma znaczenie?
- I rozprowadzają narkotyki za murami?
- W więzieniu i poza nim. Ktoś musi zapłacić za Armagedon, a to pewne jak cholera, że ci faceci nie zamierzają zarabiać kopaniem rowów. - Upił łyk kawy, zanim zapytał: - A co ma z tym wspólnego Lena?
- Nie mam pojęcia - przyznał Jeffrey.
- Chciałbym widzieć minę Jake'a, kiedy zrozumiał, że mu zwiąła.
- Mogę cię zapewnić, że nie było mu do śmiechu.

- Domyślasz się, dlaczego przysnęła?

Jeffrey pokręcił głową.

- Myślisz, że po tych wszystkich latach mam jakieś pojęcie, dlaczego ona coś robi?

Nick zachichotał ze zrozumieniem.

- Zawsze był z niej pistolet.

Jeffrey nie miał ochoty omawiać zalet Leny.

- Skąd tak dużo wiesz o tym ugrupowaniu?

- Pamiętasz Amandę Wagner?

Jeffrey spotkał tę negocjatorkę przed kilkoma laty, kiedy sprawy przybrały tak kiepski obrót, że do Grant wezwano Biuro Śledcze.

- Co to ma wspólne z nazistami?

- Nic. Wagner miała nowy zespół, który stworzyła, by zwalczać poważne przestępstwa wykraczające poza granicę stanu. Rodzaj grupy szybkiego reagowania, która miała być lekarstwem na biurokrację, ha, ha. Ci faceci, Skin Brothers, sprawiali wiele kłopotów na północy, w Cherokee, Rabun, Whitfield. Przez kilka miesięcy wszystkie raporty z terenu przychodziły do niej do Atlanty. Miała namierzyć łobuzów i pokazać nam, czego mamy szukać.

- A czego?

- Głównie czerwonej swastyki. Regularnie jak w zegarku wysyłali metamfetaminę z tych miasteczek, prosto przez korytarz biegnący przez Atlantę, Nowy Jork, Nową Anglię, aż do Kanady. Nie wiemy nawet, ilu ludzi liczy ta organizacja. Szacuje się, że od kilkuset osób po kilka tysięcy. - Zamilkł na chwilę, kręcąc głową. - Ta sama stara historia: szukają nastoletnich chłopców, którzy czują się samotni i niezrozumiani, po czym dają im możliwość wejścia do rodziny oraz system wartości wyjaśniający, dlaczego fakt, że są biali, nie uchronił ich przed ubóstwem. Napelniają ich nienawiścią i dają broń do ręki. Sam to widziałeś, szefie. Tacy chłopcy raz po raz lądują w więzieniu, aż wejdą w coś dużego, a wtedy nagle zostają królami na swoim bloku, zbijając forsy i wydając rozkazy swoim żołnierzom na zewnątrz. Do diabła, spójrz na Carla Fitzpatricka. Myślisz, że inaczej miałby

Jeffrey nagle poczuł obezwładniające znużenie. Nawet nie był pewien, że to ma związek z Leną. Miał tylko prze-

czucie i teraz mówiło mu ono, że mieszanie się w to nie przyniesie niczego dobrego.

- Zamierzasz powiedzieć Amandzie, że teraz działają w Elawah?

- Do diabła, to ona mi o tym powiedziała - odparł Nick. - Rzecz w tym, że równie dobrze jak ja wiesz, że Biuro Śledcze nie może mieszać się w śledztwo, dopóki miejscowi nie poproszą nas o pomoc.

Jeffrey wiedział, że Nick mówi prawdę, a także, że Biuro czasem stara się dobrze przygotować, na wypadek gdyby dane miasto jednak poprosiło o pomoc.

- Zebraliście jakieś informacje o grupie działającej w Elawah?

- Niewiele - przyznał Nick. - Ma zamkniętą strukturę. W wypadku niektórych z tych gangów doskonale wiadomo, kto nimi kieruje, ponieważ herszt chce, żeby wiadano. Nie zostają gangsterami po to, żeby się chować pod matczyną spódnicą. Chcą być znani, odgrywać wielkich, widzieć strach w oczach ludzi, kiedy jadą ulicą.

- Jednak nie w Elawah?

- Nie w Elawah i nie w wypadku tego bractwa - potwierdził Nick. - Fitzpatrick stara się podporządkować sobie kilka kluczowych osób w miasteczku, a w razie kłopotów ściąga pomocników spoza stanu. W ten sposób nikt nie brudzi sobie rąk i jeśli zostaną schwytani, nikt nie wie, kto ich wynajął. Naprawdę poważnie traktują to pieprzenie o Armagedonie. Jezus przyjdzie, by wytępić czarnuchów, a Carl i Jerry Fitzpatrickowie odziedziczą naszą planetę.

Niepokój Jeffreya rósł. Tacy fanatycy zawsze uważają, że nie mają nic do stracenia. Chryste, w co ta Lena się wplątała?

- W Elawah jest dwóch lub trzech specjalistów od brudnej roboty - powiedział Nick. - Nie pytaj mnie o nazwiska, bo ich nie znam. Trochę szperaliśmy, ale niczego nie odkryliśmy. Ten, kto nimi kieruje, trzyma karty przy orderach. Odgrywa Czarnoksiężnika z Oz za kurtyną. Tak działa ta organizacja. Na nic błyskanie odznaką, wywijanie spluwą czy walenie pałą, tu chodzi o duże pieniądze i władzę.

Jeffrey siedział i patrzył, jak Nick znów dosypuje cukru do kawy.

- A co z szeryfem?
- Valentine? - Nick pokręcił głową. - Nie ma mowy, żeby Jake tym kręcił. To zbyt wyrafinowane. Za sznurki pociąga ktoś, kto ma wiele cierpliwości i powiązań.

Miał na myśli kogoś starszego, dojrzałego.

- Cook?

- Kupiłbym to, że Cook mógłby wziąć forszę za przyknięcie oczu, ale współdziałal? - Nick znów pokręcił głową. - Może, ale byłbym zdziwiony.

- A Pfeiffer? Może stał się zbyt pazerny i dlatego rzucili bombę zapalającą?

- Miałoby to sens, gdyby powstała próżnia. Wiesz, jak to jest: skasują faceta i wszystkie karaluchy pędzą zająć jego miejsce. Nie było żadnego takiego wyścigu. Nawiasem mówiąc, jeśli spojrzeć na wykresy stopni czystości, to podskoczyły po odejściu Pfeiffera.

Jeffrey wiedział, że wydziały antynarkotykowe sprawdzają swoją skuteczność, analizując czystość narkotyków sprzedawanych na ulicach. Im słabsze mieszanki, tym lepiej ograniczają dostawy. Im większe stężenie tym bardziej prawdopodobne, że źli faceci wygrywają.

- Jak sądzisz, o jakie pieniądze chodzi? - zapytał Jeffrey.

- Tylko w Elawah?

Jeffrey skinął głową.

- Kurwa, szefie, więcej pieniędzy niż ty i ja zobaczymy w życiu, chyba że w policyjnym depozycie. Przecież zgarnęli tych dwóch w Atlancie, no nie? Złapali ich jadących ciężarówką wyładowaną po dach krystaliczną metamfetaminą. W gazecie napisali, że na ulicy była warta trzysta milionów.

Jeffrey nie był nawet w stanie ogarnąć takiej sumy.

- Ten poprzedni szeryf... Pfeiffer. Dlaczego nie wezwał Biura?

- Będziesz musiał sam go o to spytać. - Nick sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyjął wilgotną kartkę z notesu. - Kiedy powiedziałeś mi, że jesteś w Reese, założyłem, że możesz mieć kilka pytań, na które nie znam odpowiedzi. Przepraszam, że zamokła - rzekł, rozwijając kartkę. - Stary

mieszka daleko stąd, więc będzie ci potrzebna dobra mapa. Pożyczę ci moją, jeśli obiecasz mi ją zwrócić.

Jeffrey spojrzął na adres i stwierdził, że to miasteczko znajduje się co najmniej cztery godziny jazdy od Reese.

- Nie ma telefonu?

- To tak daleko od wszystkiego, że zdziwiłbym się, gdyby miał tam elektryczność.

Jeffrey ponownie spojrzął na kartkę, którą dawał mu Nick. Elawah nie leżało w jego okręgu. To nie jego obywatel. Jake Valentine nie prosił go o pomoc, a nawet gdyby to uczynił, Jeffrey nie mógłby mu jej udzielić. Był tu, żeby pomóc Lenie, a nie załatwić bandę skinheadów. Rzecz w tym, że nie miał żadnego innego tropu. Do głowy nie przychodził mu żaden pomysł poza tym, by skorzystać z rady Sary i pójść do sądu sprawdzić, kto jest właścicielem nieruchomości.

Sara. Nie mógł zostawić jej samej w pokoju motelowym i wyruszyć niemal pod samą granicę Florydy. Oczywiście, jej obecność sprawiłaby, że ta podróż wyglądałaby mniej oficjalnie. Nick wspomniał, że Pfeiffer ma żonę. Sara mogłaby zająć ją czymś, kiedy Jeffrey zada mu kilka nieprzyjemnych pytań.

Nick wciąż trzymał w ręku karteczkę.

- No to jak będzie, szefie? - zapytał.

Jeffrey ponownie się zastanowił, myśląc o przestachu w głosie Leny, kiedy kazała Sarze wynosić się z miasta. Nie zamierzał nikogo oszukiwać, a szczególnie siebie.

- Będę musiał pożyczyć od ciebie tę mapę.

LENA

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Motel Home Sweet Home na przedmieściu Reese był jedynym wyjściem dla Leny poprzedniej nocy. Ten piętrowy budynek z prefabrykatów wyglądał jak sceneria taniego horroru z lat sześćdziesiątych. Od dziecka nazywała go w myślach Domem Schadzek, miejscem, gdzie ludzie niechcący nic wiedzieć o sobie przychodzą, żeby się pieprzyć. Mając szesnaście lat, udawała, że straciła w nim dziewictwo. Facet, Ben Carver, miał trzydzieści dwa lata, co było chyba jedyną atrakcyjną cechą, jaką w nim znalazła. Był nudny i głupi w stopniu graniczącym z niedorozwojem i właśnie miała zamiar z nim zerwać, gdy Hank się dowiedział, że się spotykają. Zabronił jej widywać się z Benem i następnego wieczoru Lena znalazła się z nim w łóżku w Domu Schadzek.

Nie powiedziałyby, że były to trzy najnudniejsze minuty w jej życiu, ale prawie. Wystarczy rzecz, że była daleka od załamania, kiedy Ben nie zadzwonił do niej nazajutrz. Lena była zbyt przerażona, by myśleć o czymkolwiek poza obawą przed zajściem w ciążę. Ben obiecał, że użyje prezerwatywy, ale ona była zbyt zmieszana, żeby to sprawdzić. Sama nie była w stanie się zabezpieczyć. Jedyna apteka w mieście nie chciała jej sprzedać pigułek antykoncepcyjnych. O ile wiedziała, nadal prowadził ją ten sam aptekarz. Założyłyby się, że drań bez wahania sprzedaje viagrę nieżonatym mężczyznom po dziesięć dolców za tabletkę.

Chociaż pigułki antykoncepcyjne też nie były stuprocentowo skuteczne. Zawsze istniała jednoprocetowa możliwość, że pigułka zawiedzie, prezerwatywa pęknie i zanim się obejrzysz, będziesz siedziała na plastikowym krześle w klinice w Atlancie, czekając, aż wywołają twoje nazwisko.

Lena wciąż pamiętała każdy szczegół tamtego dnia - teksturę krzesel, wiszące na ścianach plakaty. Hank czekał na zewnątrz, mamrocząc pod nosem, chodząc tam i z powrotem po parkingu. Nie zgadzał się z decyzją Leny, lecz na swój popieprzony sposób podtrzymywał ją na duchu.

- Nie mnie to osądzać - powiedział jej. - Wszyscy popełniamy błędy.

Tylko czy to był błąd? Niemal każdy jest gotów twierdzić, że aborcja jest w porządku w przypadkach gwałtu, jakby fakt, że kobieta nie miała przyjemności z seksu, znosił wszelkie wątpliwości, jakie może budzić ten zabieg. Związek Leny z Ethanem można było określić różnymi słowami: burzliwy, gwałtowny, brutalny... ale czasem czuły, uczuciowy, niemal pełen miłości. Rzecz w tym, że niemal bez przerwy pragnęła uprawiać z nim seks. Wciąż go dotykała i ciągnęła do łóżka. Czy mogła ustalić konkretny czas i datę tego błędu i powiedzieć, że był lub nie był wspólny? Czy mogła rozdzielić to, jak się czuła, będąc przez niego bita lub kochana?

Czy naprawdę mogła twierdzić, że ich dziecko było pomyłką?

Lena usiadła na łóżku, nie chcąc już o tym myśleć.

Podeszła do umywalki i wyjęła z torebki szczoteczkę do zębów, której nie chciała na noc zostawiać przy umywalce. Bóg wie, co ludzie stawiali na jej popękanej plastikowej misce. Pokój był jeszcze obrzydliwszy, niż pamiętała: dywan zaczepiał się o podeszwy butów, a pościel była tak paskudna, że Lena spała w ubraniu. Właściwie leżała na łóżku przez całą noc, zasypiając i budząc się, przestraszona każdym odgłosem, bojąc się, że upiorny nocny recepcjonista użyje swojego uniwersalnego klucza i spróbuje ją zaskoczyć. Ten motel był jednym z tych miejsc, w których zdarzają się taki Spała z bronią pod ręką.

Zdjęcie z gazety wypaliło się w jej mózgu i kiedy nie bała się, że zostanie zgwałcona lub zamordowana, martwiła się tą historią z matką oraz kłamstwami, jakie opowiadano jej i Sibyl. Teraz było jasne, że Angela Adams nie umarła po dwóch tygodniach, które przeleżała w śpiączce. Żyła jeszcze co najmniej sześć miesięcy po urodzeniu Leny i Sibyl.

W dniu, w którym zrobiono to zdjęcie do gazety, trzymała je w ramionach, pozowała fotografowi i powiedziała reporterowi, że uważa za skandal to, że sprawa zamordowania jej męża pozostała nierozwiązana.

- Kochałam Calvina nad życie - miała podobno powiedzieć. - Powinien być tu teraz jako ojciec tych dwóch ślicznych niemowląt.

Jej słowa były zbyt cukierkowane jak na gust Leny, ale rozumiała zawarte w nich uczucie. Matka kochała je. Była zdruzgotana utratą ich ojca. Trzymała je w ramionach.

Myjąc zęby, Lena krążyła po pokoju. Kiedy naprawdę umarła Angela? I w jaki sposób? Hank powiedział, że oprych wychodzący z jego domu zabił Angelę Adams. Narkotyk osłabił czujność Hanka i była pewna, że powiedział prawdę, a przynajmniej to, co za prawdę uważał.

Tylko czy miał na myśli to, że ten człowiek naprawdę fizycznie zabił jej matkę? Z pewnością był dostatecznie stary, żeby być tutaj, kiedy Calvin Adams został zastrzelony. Może to on kazał przed wieloma laty zlikwidować Calvina, pozostawiając Angelę samotną z dwiema córkami? Może to było zbyt wiele i Angela nie mogła tego znieść? Może uznała samobójstwo za jedyny sposób uwolnienia się od cierpień? Lena potrafiła to zrozumieć. Wiele razy w swoim życiu sama rozważała taką możliwość.

Samobójstwo wyjaśniałoby, dlaczego Hank kłamał w kwestii daty i przyczyny śmierci Angeli. Nie chciał, by dziewczynki dorastały, dźwigając brzemień samobójstwa matki. Lena mogłaby to zrozumieć, jeśli nie wybaczyć. Przynajmniej wtedy te kłamstwa miałyby jakiś sens.

Jeśli jej matka popełniła samobójstwo, byłoby logiczne, że Hank również usiłuje to zrobić. Jako policjantka, Lena często widywała przypadki kolejnych samobójstw w danej rodzinie. Jeśli Hank nadal będzie prowadził taki tryb życia, z pewnością umrze w ciągu miesiąca. Cokolwiek sobie robił, było to niewątpliwie zamierzone. Lena zawsze uważała Hanka za niezniszczalnego. Człowiek o samobójczych skłonnościach nie przeżyłby wstrzykiwania sobie świństw przez dwadzieścia lat. Nie przestajesz nagle czepiać się życia pazurami, chyba że ktoś da ci po temu cholernie dobry powód.

Lena wypluła pastę do umywalki, a potem przepłukała usta wodą z butelki.

Hank zawsze był ostrożny, jakby potrafił wyznaczyć sobie granicę między zażywaniem a nadużywaniem. Chociaż miewał kompletne odloty i otwarte owrzodzenia, z jednym uważał. Jeśli speed był jego religią, to Hank modlił się przed ołtarzem swoich żył. Przez nie wprowadzał dawki do swojego organizmu i zawsze starał się o nie dbać. Nigdy nie wciągał płynu do strzykawki tą samą igłą, którą robił sobie zastrzyk, ponieważ łyżka lub wata mogła ją przytkać i pozostawić większą bliznę. Zawsze używał nowych igieł, świeżych wacików z alkoholem i witaminy E, do maskowania śladów. Nie palił przed zastrzykiem, ponieważ nikotyna utrudniała znalezienie żył i trudno było w nie trafić.

Jasne, czasem głód brał górę nad rozsądkiem: zdradzały to ślady na jego przedramionach i to, jak czasem tracił czucie w rękach i nogach, ponieważ przez zwężone żyły krew nie dopływała do kończyn. Jednak jak na narkomana zawsze był dość ostrożny.

Aż do teraz.

Lena puściła wodę z prysznica, a potem rozmyśliła się, uznawszy, że poczułaby się jeszcze brudniejsza, gdyby weszła bosymi nogami do tej brudnej, szarej wanny. Sprawdziła, czy drzwi są zamknięte, a potem szybko się rozebrała i włożyła czystą bieliznę oraz te same dżinsy, które nosiła poprzedniego dnia. Wyjęła z torby bawełniany podkoszulek i włożyła go, nie odrywając oczu od drzwi.

Hank nie chciał z nią rozmawiać. Wczoraj wyraźnie dał to do zrozumienia. Jakikolwiek miał powód, wiedziała, że jest uparty - równie uparty jak ona. Obojętnie, co powiedziała, jak by go prosiła czy biła, nic nie powie, dopóki nie będzie miał ochoty. A sądząc po tym, jak wyglądał wczoraj, jeśli nie zdarzy się cud, to najprawdopodobniej zabierze swoje

Lena zauważyła swoje odbicie w lustrze nad toaletką. Było nachylone w stronę łóżka, z pajęczyną pęknięć mających wyglądać jak zdobiąca naroża koronka. Patrząc w lustro, już nie widziała Sibyl. Ta na zawsze została uwięziona w tym konkretnym czasie, który nie pozwoli jej się zmienić. Nie będzie miała tych cienkich linii wokół oczu

ani ledwie widocznej blizny na lewej skroni. W jej włosach nie pojawią się siwe nitki, które Lena w zeszłym tygodniu odkryła, patrząc w lustro i - z lekkim zawstydzaniem - wyrwała pęsetą. Nawet gdyby żyła, Sibyl nie miałaby takiego twardego spojrzenia, nieruchomego i zimnego, rzucającego wyzwanie światu.

Sibyl nigdy się nie dowie, że ich matka żyła dłużej, niż sądziły - a przynajmniej dostatecznie długo, żeby je wziąć na ręce. Nigdy się nie dowie, że tak jak Lena zawsze przepowiadała, Hank w końcu się poddał i przestał walczyć z nałogiem. I nie stanie nad jego grobem, przeklinając jego słabość.

Hank miał umrzeć. Lena wiedziała, że nie zdoła wyjść z tego stanu bez opieki medycznej. Ilekroć jednak o nim myślała, nie widziała Hanka z ostatnich dwudziestu pięciu lat, obowiązkowo chodzącego na spotkania AA i spieszącego jej z pomocą, ilekroć go potrzebowała. Widziała narkomana ze swojego dzieciństwa, niewolnika nałogu, przedkładającego prochy nad swoje siostrzenice. Kiedy myślała o jego upadku, czuła gniew, jaki tylko dziecko może odczuwać wobec rodzica: jesteś wszystkim, i i mam na tym świecie, a zostawiasz mnie dla narkotyków, które zniszczą nasze życie.

Właśnie tego nie rozumieją narkomani. Tego, że pieprzą nie tylko swoje życie, ale również życie wszystkich dookoła. Kiedy Lena była dzieckiem, czasem klęczała w nocy przy łóżku i modliła się, żeby Hank w końcu coś schrząnił, zbyt głęboko wbił igłę lub zażył za silną dawkę i wreszcie umarł. Wyobrażała sobie adopcję, nową matkę i ojca, którzy zaopiekowaliby się nią i Sibyl, czysty nowy dom, uporządkowane życie, jedzenie nie z puszek. Widząc teraz Hanka i wiedząc, w jakim jest stanie, Lena mimo woli wspominała te bezsenne noce.

I część jej - bardzo duża część - mówiła: „Pozwól mu umrzeć”.

Lena usiadła na łóżku i zawiązała sznurówki. Rozmyślenia o Hanku nic jej nie dadzą, jedynie skłonią do powrotu do łóżka i użalania się nad sobą. Nie była pewna, co zamierza dziś robić, ale najważniejsze było to, żeby wydostać się z tego nędznego pokoju. Biblioteczne archiwa na mikrofilmach nie obejmowały okresu przed 1971 rokiem. Redakcja gazety

mieściła się na tyłach firmy ubezpieczeniowej, więc Lena nie miała zbyt wielkiej nadziei na to, że przechowują stare roczniki. Mimo to spróbuje porozmawiać z redaktorem tygodnika, którego podstawowym zajęciem było płatne zbieranie przejechanych zwierząt z szosy międzystanowej.

Lena przypuszczała, że mogłaby znaleźć świadectwo zgonu matki we właściwym urzędzie stanowym, ale musiałaby podać numer ubezpieczenia Angeli, miejsce jej urodzenia, a przynajmniej ostatni znany adres, żeby zawęzić krąg poszukiwań. Z własnej metryki знаła daty urodzenia rodziców, ale nic poza tym. Szpital mógł mieć jej adres lub inne informacje potrzebne do obciążenia kosztami, ale potrzebowałaby nakazu, żeby je uzyskać. Chciała spróbować w sądzie okręgowym, lecz według wiadomości przekazanej przez automatyczną sekretarkę, był zamknięty na czas usuwania azbestowych płytek podłogowych.

Ponieważ motel znajdował się obok baru Hanka, Lena zdecydowała, że równie dobrze może zacząć tam. Formalnie Hut nie znajdował się w obrębie miasta Reese. Jak w wielu małych miasteczkach Stanów Zjednoczonych, w Elawah była prohibicja. Jeśli chciałeś kupić alkohol, musiałeś przekroczyć granice okręgu i udać się do Seskatoga, co wyjaśniało, dlaczego ludzie z biura szeryfa przez większość weekendów zajmowali się zeskrobywaniem nastolatków z prowadzącej tam szosy.

Lena otworzyła drzwi swojego pokoju i natychmiast zamknęła oczy, gdy jej siatkówka zaprotestowała przeciwko oślepijącemu światłu. Kilkakrotnie zamruła, żeby odzyskać wzrok, patrząc na podłogę cementowego balkonu. Nieco na lewo od swojej stopy zobaczyła nakreślone kredą małe czerwone X, najwyżej dziesięciocentymetrowe.

Uklękła i przesunęła palcami po czerwonym znaku, zastanawiając się, czy był tu, kiedy zameldowała się w nocy. Było ciemno, ale stareńki neon przed motelem rzucał dostatecznie dużo światła. Jednak wchodząc do pokoju, Lena nie patrzyła na podłogę. Skupiła się na najważniejszych czynnościach: wniesieniu torby, znalezieniu szczoteczki do zębów, pójściu spać.

Spojrzała na czubki swoich palców i zobaczyła, że kreda zabarwiła jej skórę. Ten kredowy znak nie oznaczał niczego

poza tym, że pokojówka nie sprząta za często. I sądząc po stanie pokoju, nie robi tego starannie.

Mimo wszystko Lena rozejrzała się, wstając. Nikt się na nią nie rzucił, więc poszła na balkon i popatrzyła na parking. Poza motocyklem zaparkowanym na miejscu dla inwalidów, jej celica była jedynym pojazdem. Znów spojrzała pod nogi. X. Nie swastyka, nie krzyż. Po prostu miejsce zaznaczone czerwonym X.

Idąc przez balkon w kierunku schodów, Lena wytarła dłonie o spodnie. Patrzyła pod nogi, szukając innych takich znaków, sprawdzając, czy jakiś inny pokój został w ten sposób oznaczony. Nie znalazła niczego niezwykłego, tylko niedopałki papierosów, śmieci oraz kilka liści, choć najbliższe drzewa znajdowały się sześć metrów od motelu, w otaczającym go

Zatrzymała się przy recepcji, żeby kupić kawę. Obok dzbanka stało pudełko z drobnymi i napisem żądającym pięćdziesięciu centów za każdy kubek. Lena wrzuciła do pudełka dolara i napełniając sobie kubek, patrzyła na parking.

- Ładny ranek - powiedział męski głos.

Odwróciła się do recepcji i zobaczyła, że to nie mężczyzna, lecz nastolatek - ten rudowłosy wielbiciel gangsta rapu, którego wczoraj widziała w mustangu przed szkołą.

- Nie powinieneś być w szkole? - zapytała.

- Jestem tu na praktyce - odparł, opierając się o ścianę za kontuarem.

Nosił podkoszulek tak wielki, że ramiona opadały mu do łokci. Miał brzuszek, lecz widząc jego duże dłonie i stopy, wiedziała, że zgubi go w ciągu kilku następnych lat, zmężnieje. Nadal jednak będzie miał te włosy koloru marchewki, a piegi też nigdy nie znikną.

- Jestem Rod - oznajmił jej. - Masz ochotę na ciasteczko z okazji Halloween?

- Nie.

Lenie przypomniały się dekoracje w bibliotece. Halloween miał być za dwa dni. A ona nawet nie pamiętała, jaki jest dzień.

- Jesteś policjantką? - zapytał.

No i diabli wzięli przykrywkę.

- Dlaczego tak myślisz?
- Mówisz jak policjantka.

Posmakowała kawę i powstrzymała odruch wymiotny.

- Skąd wiesz, jak mówią policjanci?
- Widziałem w telewizji.

Lena wzięła resztę z pudełka.

- Nie powinieneś wierzyć we wszystko, co zobaczysz w telewizji.
- Młodszy ogląda telewizję całą noc - powiedział, zapewne mając na myśli recepcjonistę, który gapił się na meldującą się w nocy Lenę tak, jakby była pierwszą kobietą, jaką widzi w życiu. - Ma kasety porno, które trzyma pod kanapą. Pan Barnes o tym nie wie. To właściciel. - Chłopak uśmiechnął się szeroko. - Możesz obejrzeć kilka z nich, jeśli chcesz.

- Nie mam ochoty. - Już miała odejść, ale zmieniła zdanie, doszedłszy do wniosku, że nie zaszkodzi spróbować. - Hej. - Chłopak nadal stał pod ścianą, czekając. - Niedawno widziałam pewnego człowieka - zaczęła, oparłszy kubek z kawą o klamkę, starając się sprawiać wrażenie nie zainteresowanej. - Miał swastykę na ramieniu.

Chłopak oderwał się od ściany. Podniósł głos o trzy oktawy.

- Taką jak u Hitlera?
- Taak.
- Super.
- Uważasz, że to super?
- No cóż, tak, nie, to oczywiście nefajne. - Znowu oparł się o ścianę. - Chciałem tylko powiedzieć, że to dobrze, że się tego nie wstydzi. - Zniżył głos. - W tym mieście są ludzie, którzy trzymają w szafach białe płaszcze.
- Na przykład kto?
- No... - Chłopak doszedł do wniosku, że warto spróbować. - Może wejdziemy do biura i pogadamy?
- Może zadzwoń do mnie, jak obeschnie ci mleko pod nosem?

Lena pchnęła drzwi w tej samej chwili, gdy jakaś kobieta chciała przez nie wejść.

- Chryste - syknęła, gdy kawa Leny oblała jej koszulę. Była w podeszłym wieku, z siwymi włosami przytrzymy-

wanymi niebieską opaską, nieduża - mniej więcej wzrostu Leny - i wkurzona jak diabli. - Patrz, kurwa, jak chodzisz.

- Przepraszam - powiedziała Lena, lecz kobieta wciąż marszczyła się gniewnie, jakby Lena zrobiła to specjalnie.

- Pierdol się - warknęła.

Przycisnęła się obok Leny i weszła do biura. Trzasnęła drzwiami tak mocno, że zabrzęczały obrazki na ścianie.

- Co jej jest? - zapytała Lena chłopaka za kontuarem.

- Jest tu sprzątaczką.

To wyjaśniało, dlaczego motel wygląda jak szczurza nora.

- Zawsze jest taka miła?

Marchewkowłosy wzruszył ramionami, wciąż nie mogąc przeboleć porażki.

- Przynajmniej nie wyżyła się na mnie.

Lena opuściła budynek, wytrącona z równowagi przykrym zdarzeniem, myśląc, że ona też pewnie byłaby wkurzona, gdyby musiała pracować w tym chlewie. Co innego brać takie nędzne fuchy za młodu, ale ta kobieta zbliżała się do sześćdziesiątki. Powinna spędzać emeryturę na Florydzie, a nie sprzątać za pół darmo pokoje motelowe.

Przechodząc przez parking, Lena żałowała, że nie włożyła zakietu, ale nie chciała wracać do tego nędznego pokoju. Słońce już pracowicie rozprasało mgłę i wiedziała, że za kilka godzin będzie zadowolona z tego, że ma krótkie rękawy.

Wylała resztę kawy do studzienki burzowej i rzuciła okiem, by sprawdzić, czy ciecz przeżarła beton, po czym przeszła przez ulicę. Przy hotelu, naprzeciw baru Hanka, znajdował się pawilon Stop 'n' Save. Wrzuciła pusty kubek do kosza na śmieci i weszła do sklepiku, który sprzedawał głównie tanie piwo. Często wymykała się z domu, aby wraz z innymi dzieciakami przesiadywać na jego tyłach.

W środku klimatyzacja była nastawiona na pełną moc w przewidywaniu południowego skwaru. Lena przeszła obok automatu do kawy i wzięła sobie colę. Płacąc za nią, miała niejasne wrażenie, że zna stojącą za ladą kobietę, zapewne z liceum, ale żadna z nich nie miała ochoty rozpocząć rozmowy. Lena wrzuciła napiwek do kubka i wróciła tą samą drogą, którą przyszła.

Stała na chodniku, czekając, aż przejadą pojazdy.

Motel znajdował się dokładnie naprzeciwko i zobaczyła, że jacyś twórczy wandalę potłukli lampki w szyldzie, tak że zamiast Home Sweet Home głosił teraz Ho eet me. Co jeszcze wandalę zrobili w motelu? Czy to oni nakreślili czerwone „X” przed drzwiami Leny? Ten znak ją niepokoił. Zastanawiała się, jak długo tam był i czy ktoś chce w ten sposób przesłać jej wiadomość. Jeśli tak, to ona jej nie rozumiała. Mimo to rozejrzała się, czekając, aż przejedzie kolejna ciężarówka. Czuła lekkie mrowienie i miała przeczucie, że ktoś ją obserwuje.

Najspokojniej jak umiała, Lena spojrzała przez ramię. Sprzedawczyni ze sklepiku patrzyła na nią przez szybę. Candy, nagle przypomniała sobie Lena. Tak miała na imię. Nazywali ją „Corny”, bo ktoś powiedział, że chodzi jakby miała kaczan w tyłku. Czasem Lena myślała, że oddałaby wszystko za to, żeby znowu być w liceum.

Pojazdy przejechały i Lena otworzyła colę, ruszyła przez ulicę, zastanawiając się, jakim cudem z tego głównianego baru Hank zdołał opłacić college Sibyl i wpłacać kaucje za Lenę więcej razy, niż chciałyby przyznać. The Hut był barem trzeciej godziny, czyli takim, w którym wszyscy zaczynają wyglądać dobrze około trzeciej nad ranem. Rozpacz unosiła się tu wszędzie niczym czarna chmura i Lena wdrygnęła się, podchodząc bliżej.

Bar nawet nie miał szyldu - wszyscy wiedzieli, gdzie go szukać. Dach od frontu pokrywały parchy mchu, ale był taki już od piętnastu lat i Hankowi nie chciało się go czyścić. Lampy ogrodowe z pomarańczowymi i czerwonymi żarówkami oświetlały frontowe drzwi, pomalowane tak, by wyglądały na uplecione z trawy. Ściany wewnątrz zdobił podobny wzór, ale farba tak wyblakła, że nie mogłeś tego zauważyć, dopóki ktoś ci nie powiedział. Okna od frontu zamalowano na czarno tak dawno temu, że przybrały wygląd zbutwiałego drewna.

Żółta taśma nalepiona na drzwi była jedyną rzeczą, która wyglądała na nową. Hank nie powiedział jej, że bar został zamknięty. Tylko dwa powody mogły wyjaśniać wizytę funkcjonariuszy biura do spraw alkoholu, tytoniu i broni palnej: albo przyłapano Hanka na sprzedawaniu alkoholu nieletnim, albo na handlu narkotykami.

Lena chwyciła za klamkę, ale drzwi były zamknięte. Pomacała futrynę nad drzwiami, gdzie zwykle leżał zapasowy klucz, lecz teraz go tam nie było. Zaprzestała poszukiwań i poszła wzdłuż ściany budynku. I tak nie musiała się dostać do środka. Biuro Hanka, bardziej przypominające wygodkę, znajdowało się na tyłach baru, nad leniwie płynącym strumieniem.

Lena spróbowała otworzyć drzwi tej szopy, ale i one były zamknięte. Widocznie Hank zamknął je sam, bo nie było na nich żółtej taśmy. Federalni zapewne nie trudzili się uzyskiwaniem nakazu przeszukania szopy. Handel prochami w barze wystarczyłby na nagłówki.

Postawiła puszkę z colą na ziemi i oburącz pchnęła okienko, umieszczone wysoko na ścianie od strony strumienia. Nie ustąpiło. Pomogła sobie kamieniem i niehartowane szkło rozpadło się, przy czym część odłamków wpadła do jej puszki z napojem. Lena znalazła kij i wypchnęła nim sterczące kawałki szkła. Mimo to nie miała ochoty wdrapywać się tędy. Okienko znajdowało się tak wysoko, że chyba nie dosięgnęłaby go bez drabiny. Robiła w życiu głupsze rzeczy, lecz w tym momencie nie mogła sobie przypomnieć jakie.

Rozzłoszczona kopnęła ścianę, wściekła na siebie i tę idiotyczną sytuację. Deski zadudniły głucho, więc kopnęła mocniej, aż posypały się drzazgi. Kilkoma kolejnymi kopnięciami wybiła sporą dziurę w ścianie szopy. Krzywiąc się, sięgnęła i wyjęła różową izolację, kichając od kurzu i zastanawiając się, czy wdycha azbest. Włókno szklane było pokryte czarnymi płatkami pleśni i zwierzęcymi ekskrementami, o których wolała nie myśleć, ale po chwili odsłoniła spód paneli, którymi było wyłożone biuro. Ponownie kopnęła, tym razem sklejkę, która zaskrzypiała, gdy puściły przytrzymujące ją zardzewiałe papiaki.

Kilka minut później Lena była w biurze Hanka.

Otrzepała dzinsy, rozglądając się wokół, usiłując znaleźć włącznik oświetlenia. Odgarnęła pajęczynę i zaraz uświadomiła sobie, że to zwisający sznurek włącznika. Pociągnęła za sznurek i goła żarówka zamigotała, po czym przepaliła się z głośnym hukiem.

Lena znów zaklęła. W samochodzie miała latarkę, ale nie chciało jej się po nią iść. Przy wpadającym przez wybite

okienko świetle spróbowała poszukać zapasowych żarówek. Hank zawsze trzymał je w swoim biurku. Sam zainstalował w biurze prąd, używając trzydziestometrowego przedłużacza, który przeciągnął przez metalową rurkę i podłączył w barze. Światło padło nie po raz pierwszy. Lena znalazła żarówki w dolnej szufladzie biurka i zmieniła zepsutą, usiłując nie myśleć o tym, czego może dotknąć w ciemności. Potłuczone szkło chrzęściło jej pod nogami, gdy wkręcała żarówkę, a gniazdo wydawało suche trzaski, gdy usiłowała znaleźć właściwy kąt. W końcu zapaliło się światło i nagle ciepło sprawiło, że gwałtownie cofnęła rękę. Nie był to przejaw paranoi. Hank kilkakrotnie został porażony prądem przy wymianie żarówki.

Lena rozejrzała się po dusznym pomieszczeniu, powyklejanym plakatami producentów piwa i innych trunków. Spoglądały na nią półnagie kobiety, zmysłowo pieszczące ustami trzymane w dłoniach butelki. Sterta kartonowych pudeł zawierających dokumentację od czasów hucznego otwarcia baru stała pod tylną ścianą, pozostawiając najwyżej trzy metry kwadratowe miejsca na biurko i dwa krzesła. Wokół biurka były rozrzucone pudełka po butach ze stosami kwitów.

Sześć lat temu Lena siedziała na jednym z tych głupich plastikowych krzeseł naprzeciw Hanka, pijąc za dużo Jacka Danielsa i zbierając się na odwagę, by powiedzieć wujowi, że Sibyl nie żyje.

Czy to wtedy znów zaczął brać? Czy to wieść o tym, że jego ukochana dziewczynka, jego ulubiona siostrzenica, nie żyje, tak wytrąciła go z równowagi?

A może zaczął brać sześć miesięcy temu, po tym jak razem z Leną był w klinice aborcyjnej? Stał przed budynkiem, paląc papierosa za papierosem, słuchając gniewnych demonstrantów z ich obrzydliwymi syrenami, wrzeszczących o piekle i potępieniu, skazujących Lenę i wszystkich w klinice na piekło za grzechy.

Czy to przez nią? Czy to jej postępowanie sprawiło, że znów zaczął się kłuć?

Ten facet z czerwoną swastyką też mu w tym pomógł - była tego pewna. Lena powinna znaleźć tego mężczyznę i dowiedzieć się, dla kogo pracuje. Tacy faceci to mięśniaki.

Gdzieś jest ich mózg i kiedy Lena go znajdzie, spali jego pieprzony dom z nim w środku.

Usiadła na fotelu Hanka. Sprężyny zaskrzypiały jak wrota stodoły. Górna szuflada biurka była zamknięta, więc Lena wyjęła składany nóż z tylnej kieszeni spodni i wysunęła ostrze z rękojeści. Zamek dał się łatwo pokonać. W szufladzie znalazła firmową książeczkę czekową Hanka, kilka darmowych kuponów do kasyna Harrah w górach oraz zapasowe klucze do baru. Pozostałe szuflady zawierały dokumenty, przeważnie związane z interesami. Dostawcy trunków, listy płac, podatki i ubezpieczenia. Przejrzała książeczkę czekową i zobaczyła, że ostatnia operacja była wykonana przed trzema tygodniami. Wtedy miał w banku około sześciu tysięcy dolarów.

Kiedy zamknięto bar? Będzie musiała się dowiedzieć w biurze szeryfa. Zastanawiała się, czy ten stary pierdziel Al Pfeiffer nadal trzyma wodze, i uśmiechnęła się na myśl o tym, że wejdzie do jego biura i błysnie staremu pierdole odznaką. Pfeiffer lubił zatrzymywać dziewczęta za przekroczenie dozwolonej prędkości i obszukiwać je z dokładnością ginekologa. Kiedyś zatrzymał Lenę i zaczął te swoje sztuczki, ale zorientowała się, w czym rzecz, i kopnęła go kolanem w krocze. Pfeiffer wpakował ją do mamra bez przedstawienia zarzutów i nie pozwolił zatelefonować. Siedziała w celi sześć godzin, zanim Hank przyszedł na posterunek wypełnić zgłoszenie o

Jego twarz. Boże, wciąż widziała twarz Hanka. Kiedy zobaczył ją wychodzącą z celi, całą i zdrową, na moment łzy stanęły mu w oczach, a z otwartych ust wydobył się zduszony okrzyk. Równie szybko gniewnie zacisnął wargi i klepnął ją w tył głowy, pytając, dlaczego, do cholery, pakuje się w kłopoty i co wyrabia, bijąc policjanta. Nie chciał słuchać jej wyjaśnień. Pfeiffer był jednym z jego kolegów z AA i Hank podziękował mu, że nie postawił Lenie żadnych formalnych oskarżeń.

Jednak jego twarz...

Lena widywała tę przemianę tyle razy, że zaczęła myśleć o Hanku niemal jak o schizofreniku. W jednej chwili kochający opiekun, który zrobiłby dla niej wszystko, w następnej gniewny tyran grożący, że ją stłucze. A teraz nar-

koman - powracający do dawnej roli, czekający na finalne opadnięcie kurtyny.

Oparła łokcie o biurko i wsparła głowę na dłoniach. W szopie było jak w łaźni i czuła, jak pot spływa jej po plecach i pod pasek dżinsów. Mimo to siedziała tam, w dusznym gorącu, słuchając monotonnego szmeru strumienia i myśląc o Hanku, o tym, jak wyglądał pod prysznicem, o ostrych słowach, w jakich kazał jej wyjechać.

Musiało istnieć jakieś wyjaśnienie jego upadku. Czyżby tak przygnębiło go zamknięcie baru? Czy właśnie to skłoniło go do powrotu do dawnego nałogu? Lena rozejrzała się po ciasnym biurze, usiłując postawić się na miejscu Hanka. Nie kochał tego miejsca. Zawsze traktował The Hut jako sposób zarabiania pieniędzy i nic więcej. Czerpał niemal perwersyjną przyjemność z tego, że jako były alkoholik ma siłę przez cały dzień przebywać w pobliżu trunków i nie ulec pokusie. Czyżby przez te wszystkie lata tylko dobrze się maskował?

Podniosła się zza biurka i poślizgnęła na kawałku papieru. Pochyliła się, by go podnieść, i zatrzymała dłoń w powietrzu na widok jasnoniebieskiej kartki z papeterii. Idealnie równe pismo, takie jakiego uczono w szkołach, kiedy jeszcze miało to znaczenie. Z tej odległości łatwo można było odczytać słowa, ale mimo to podniosła kartkę i znów usiadła na fotelu, żeby to zrobić. Musiała przeczytać jeszcze dwa razy, zanim słowa zaczęły nabierać sensu.

Lena przetrząsnęła biurko, szukając reszty listu. Przesunęła pudełka po butach i znalazła pod nimi jeszcze trzy kartki oraz kilka następnych, które wpadły za biurko. Kiedy je poskładała, odkryła, że to nie jeden, lecz trzy listy, wszystkie sprzed ostatnich dwóch miesięcy. Czytając je, miała wrażenie, że czyta czyjś pamiętnik. Ich treść przeważnie była banalna - opisy zakupów w sklepie spożywczym lub odbierania dzieci po szkole. Chwilami jednak były bardzo osobiste, z rodzaju tych, jakie pisze się tylko do bliskich przyjaciół. Lena skończyła i przycisnęła dłonią stosik kartek, szeroko rozstawiając palce, usiłując pojąć ich prawdziwy sens.

Jak mogła być taka ślepa?

WTOREK
PO POŁUDNIU

ROZDZIAŁ ÓSMY

Al Pfeiffer mieszkał tak daleko od Elawah, jak tylko można mieszkać, pozostając jeszcze w stanie Georgia. Dug Rut było nadgranicznym miasteczkiem na skraju Okefenokee Swamp, co oznaczało, że Jeffrey i Sara zapuszczają się w pierwotne mokradła znane głównie z aligatorów i moskitów, równie łatwo mogących zabić człowieka. W liceum Jeffrey i dwaj jego przyjaciele zamierzali przez kilka wakacyjnych tygodni popływać po tych bagnach, lecz w tymże roku na ekrany wszedł film *Wybawienie* i chociaż został nakręcony w górach Georgii na północy, mógł każdego zniechęcić do spływów kajakowych.

Mimo to Jeffrey zapamiętał kilka faktów o tych mokradłach. Wiedział, że tworzą je górne dopływy rzek Suwannee i Saint Marys, które płyną odpowiednio do Zatoki Meksykańskiej i Atlantyku. W ścisłym rezerwacie żyją setki zagrożonych wyginięciem gatunków ptaków i ssaków, a miejscowa roślinność jest z rodzaju tych, jakich można się spodziewać na filmie fantastycznonaukowym. To miejsce jest równie odludne co dzikie i mieszkające tu rodziny zwykły żyć i umierać, nie widując reszty świata. Na początku ubiegłego wieku wciąż mieszkali tu ludzie, którzy nie słyszeli o tym, że wojna domowa się skończyła. Ich życie niewiele się zmieniło po tym,

Podróż była spokojna. Sara nie miała wiele do powiedzenia, kiedy Jeffrey wrócił do motelu. Dziwne, wysprzątała łazienkę, co rzadko robiła w domu, chyba że była wkurzona na Jeffrey'a albo wiedziała, że przyjeżdża jej matka. Wyglądała na dumną z tego, że zasyfiona łazienka zaczęła błyszczeć. Natomiast Jeffrey gapił się na wannę, sikając, i powstrzymywał chęć skierowania w nią strumienia moczu

i zniweczenia trudu Sary. Gdyby chciał mieć żonę czerpiącą przyjemność z mycia toalet, poślubiłby swoją szkolną sympatię w Alabamie.

Sara uprzejmie słuchała, gdy Jeffrey przekazywał jej to, czego się dowiedział od Nicka o Braterstwie, o handlu metamfetaminą, o tym, że Elawah może być przystankiem na szlaku handlowym kartelu. Kiwała głową, ale nie wyrażała swojej opinii. Nie zapytała, co ma nadzieję osiągnąć przez rozmowę z Alem Pfeifferem ani jaki ma to związek z Leną. Trochę liczył na to, że zapyta. Sam nie był pewien odpowiedzi na te pytania. Omówienie ich z Sarą może pomogłoby mu zrozumieć.

Po dwóch godzinach jazdy Jeffrey nie był już pewien, czy nadal są w Georgii. Miejsce kudzu i sękatych sosen zajęły piasek i palmy. Kiedy otworzył okno, poczuł słony zapach morza zmieszany ze smrodem gówna, co powiedziało mu, że w pobliżu jest papiernia. Godzinę później zmienił kierunek, jadąc z powrotem w głąb stanu, ku temu skrawkowi Georgii, który wcina się we Florydę wzdłuż Saint Marys. W tym momencie ledwie widział już szosę. Przednia szyba samochodu była oblepiona różnokolorowymi śladami po rozbryzniętych owadach - niektóre z nich były wielkości męskiej pięści.

Jeffrey już miał przystanąć i spojrzeć na mapę, którą dał mu Nick, gdy zauważył typowe reklamy wskazujące na bliskość granicy między dwoma południowymi stanami: prażonych orzeszków ziemnych, świeżych produktów, fajerwerków i wystrzałowych dziewcząt w strojach topless. Sara powiedziała, że musi skorzystać z toalety, więc zatrzymał się na przydrożnym parkingu za granicą Florydy. Wsiadł z samochodu, żeby się rozejrzeć, i natychmiast wrócił do środka, gdyż w pełnym słońcu nie dało się wytrzymać na zewnątrz. Próbował wrócić myślami do czasów, gdy był dzieckiem i pierwszy tydzień listopada oznaczał konieczność noszenia kurtki oraz nadzieję, że spadnie śnieg i nie trzeba będzie iść do szkoły.

Przekręcił kluczyk w stacyjce i podkręcił klimatyzację, pozwalając, by zimne, sztucznie ochłodzone powietrze dmuchało mu w twarz. Znów rozłożył mapę na kolanach i sprawdził trasę, mrużąc oczy, by odczytać notatki Nicka,

który naniósł ulice i znaki orientacyjne, które kartograf przeoczył lub uznał za nieistotne. Jednak Nick nigdy nie był u Ala Pfeiffera i ta mapa podawała jedynie dokładne instrukcje dojazdu do Dug Rut, a nie do domu byłego szeryfa. Jeffrey miał tylko adres: 8 West Road Six. Dobrze na początek, ale potrzebne będą dokładniejsze dane.

Sara wróciła do samochodu. Dała Jeffreyowi butelkę wody.

- Dziękuję.

- Proszę.

Spojrzał na nią, nie wiedząc, co powiedzieć. Wskazała mapę.

- Wiesz, dokąd jedziesz?

- Muszę zajechać na stację benzynową w miasteczku i sprawdzić, czy mogą mi podać dokładniejsze namiary.

- W porządku.

Opadła na swój fotel i zapięła pas.

Jeffrey czekał, ale nie powiedziała nic więcej. Dał jej mapę. Złożyła ją, gdy wyjechał tyłem z parkingu. Włączył się do ruchu i pojechał za drogowskazami do Dug Rut. Niecałą milę od głównej drogi zrozumiał, skąd się wzięła nazwa miasta. Ta ziemia najwyraźniej była częścią systemu kanałów, które zbudowano na początku ubiegłego wieku, próbując osuszyć bagna. Nowojorski Central Park spotkał ten sam los, ale Okefenokee okazało się zbyt trudne do zniszczenia. Garść pozostałych w Ameryce bagien to zapewne jedyne miejsca na kontynencie, gdzie ziemia zapewnia człowiekowi wszystko, czego potrzebuje do życia: żywność, schronienie, leki i najczystsza wodę pitną na ziemi. Jeffrey zastanawiał się, ile upłynie czasu, zanim to wszystko zostanie całkowicie zniszczone.

Centrum Dug Rut nie było czymś, co warto opisywać. Były tam bar i poczta, ale niewiele więcej. Nieliczne sklepy przy głównej ulicy były pozamykane. Właściciele nawet nie fatygowali się wywieszaniem tablic z napisem „Na sprzedaż”. W tym wszystkim było coś smutnego i zatrzymując się przy znaku stopu, Jeffrey zaczął tracić nadzieję na znalezienie stacji benzynowej.

Zawrócił na środku ulicy i pojechał z powrotem w kierunku poczty. Sara nie ruszyła się z fotela, kiedy zaparkował przed budynkiem, więc trącił ją łokciem.

- Chyba nie sądzisz, że pójde zapytać o drogę? Odebraliby mi certyfikat mężczyzny.

Uśmiechnęła się z przymusem i wysiadła z samochodu. Jeffrey patrzył, jak szła. Dżinsy miała za luźne z tyłu i uświadomił sobie, że znów schudła. Nie podobało mu się to. Sara zawsze była szczupła, ale teraz była za chuda. Kiedy się kochali, czuł jej żebra na swoim torsie. Zanikały jej biodra, a talia robiła się coraz węższa. Z tyłu wyglądała jak nastoletni chłopiec.

Jeffrey zrobił głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze. Osiem lat temu Sara wróciła wcześniej z pracy i znalazła Jeffreya w łóżku z inną kobietą. Nie tylko w łóżku, ale w trakcie. Wyraz twarzy Sary - zdradzonej, zranionej, gniewnej - był największym otrzeźwieniem w jego życiu i Jeffrey użył wszystkich sposobów, jakie zdołał wymyślić, żeby ją odzyskać. Samo skłonienie jej, żeby znów zaczęła się do niego odzywać, było największym wyzwaniem. Kiedy już mogła z nim rozmawiać, nie zaciskając zębów, udało mu się zaciągnąć ją do łóżka. Nie było to takie łatwe jak za pierwszym razem, ale Jeffrey odkrył, że budzenie się obok Sary jest wystarczającą nagrodą. Sześć miesięcy temu praktycznie ubłagał ją, żeby za niego wyszła. Do licha, naprawdę ją błagał, klęcząc na kolanach. Sara z satysfakcją zwlekała z odpowiedzią, ale w końcu powiedziała tak. A teraz nikła w oczach.

Wyszła z budynku poczty i Jeffrey wbił wzrok w mapę, zamiast patrzeć, jak idzie do samochodu.

- Byli bardzo mili - powiedziała, gdy wsiadła. Trzymała w ręku jakiś druk pocztowy, na którym zanotowała wskazówki. - Powiedzieli, że mieszka trzy mile na zachód stąd.

- Dlaczego po prostu nie pojedziemy na Florydę?

Jeffrey usłyszał swoje słowa zapełniające ciszę i wiedział, że wyszły z jego ust, ale nie miał pojęcia, skąd wzięło się to pytanie.

Sara uśmiechnęła się, kręcąc głową, ale podchwyciła temat.

- Pić margaritę na plaży?

- Nacierać olejkami do opalania całe twoje ciało - dodał z rozmarzeniem.

- A potem kremem z aloesem, gdy zejdzie mi skóra. - Sara odwróciła się do niego, wciąż z uśmiechem. - Na głównej musisz skrócić w lewo.

- Mówię poważnie o Florydzie.

- A ja o skrócie w lewo.

Wyciągnął rękę i przesunął palcami po jej wargach.

- Jesteś piękna. Wiesz o tym?

Ucałowała jego palce, a potem położyła jego dłoń na kierownicy.

- W lewo - powtórzyła. - A potem w prawo, drogą zwaną Kate's Way.

Jeffrey ruszył i skręcił w główną ulicę. Zwolnił, gdy dojechali do żwirowej drogi, usiłując odczytać ręcznie napisaną nazwę. Zrobił to jeszcze trzy razy, zanim znaleźli Kate's Way - wyboistą i wąską drogę, która wyglądała na rzadko używaną. Im dalej jechali, tym bardziej zmieniała się sceneria. Ta część Georgii to podmokła równina z ogromnymi, przysadzistymi cyprysami wyrastającymi wprost z wody o barwie herbaty. Mchy jak hiszpańskie koronki zwisały z konarów i słychać było niemilkący chór świerszczy, ptaków i żab, a czasem ryk aligatora, rozdzierający uszy

Częste zakręty sugerowały, że droga biegnie wzdłuż strumienia, który nie znalazł się na mapie Nicka. Jeffrey zwolnił - wołał nie przyspieszać, na wypadek gdyby z przeciwka nadjechał inny samochód. Wyobrażał sobie, że byłaby to ciężarówka prowadzona przez miejscowego, który nie spodziewał się, że ktoś może jechać po jego drodze, publicznej czy nie.

Nie napotkał żadnej ciężarówki i kiedy Sara powiedziała mu, żeby skręcił w prawo, w kolejną żwirową i wyglądającą na nieużywaną drogę, Jeffrey zażartował, że powinni zostawiać okruszki.

Dwie mile dalej była duża, zardzewiała skrzynka pocztowa na zaniedbanym podjeździe i Jeffrey zatrzymał się, żeby sprawdzić numer. Napis był tak wyblakły, że oboje nie zdołali go odczytać, ale pospiesznie sprawdzwszy notatki Sary, doszli do wniosku, że znaleźli się we właściwym mie. Jeffrey ruszył podjazdem. Po chwili zatrzymał się, żeby

przepuścić skaczącego po drodze królika. Przejechał jeszcze kilka metrów i znów zwolnił na widok kilku kur. Gdy ptaki niespiesznie przemaszerowały na drugą stronę, Jeffrey dodał gazu, pozostawiając za sobą chmurę kurzu. Nie chciał zwracać na siebie uwagi, ale może mądrze jest oznajmić swoje przybycie człowiekowi, którego zmuszono do przeprowadzki, obrzucając jego dom bombami zapalającymi.

- No - powiedziała Sara, zaskoczona, gdy zobaczyła dom.

Jeffrey podzielał jej uczucia. Rezydencja Pfeiffera była nieco okazalsza, niż Jeffrey wyobrażałby sobie, gdyby się nad tym zastanowił. Dom stał na wzgórzu, trawa na trawniku była gęsta i zielona, a do strumienia wiodła kamienna ścieżka. Budynek wyglądał jak dawna siedziba plantatora, z dwoma dużymi kolumnami podtrzymującymi balkon na piętrze. Wysokie, sięgające od podłogi po sufit okna wpuszczały popołudniowe słońce, a w bardziej umiarkowane dni dawały przewiew. Obrazu dopełniał ganek, biegnący wokół całego domu.

Jeffrey zaparkował na podjeździe przed frontem budynku.

- Ładnie tu - zauważyła Sara.

- Może zostaniesz w samochodzie? - zaproponował Jeffrey. - Pójdę się upewnić, że to tu.

Otworzyła usta, by coś powiedzieć, po czym zmieniła zdanie i tylko skinęła głową.

Gdy Jeffrey wysiadł z samochodu, usłyszał warkot klimatyzatora dobiegający z boku budynku. Natarczywy dźwięk zagłuszał świerszcze i ptaki, choć szum warko płynącego strumienia zdołał rywalizować z wentylatorem. Jeffrey rozejrzał się, szukając zasilania, i odgadł, że linię elektryczną poprowadzono pod ziemią. To oznaczało, że Pfeifferowi nie brakuje gotówki. Podziemne linie są trzy razy droższe od napowietrznych. Jeffrey zakładał, że facet jednocześnie pociągnął linię telefoniczną. Ciekawe, jak udało mu się otrzymać numer, którego Nick Shelton nie zdołał ustalić. Może na panińskie nazwisko żony lub innego członka rodziny. Najwidoczniej Al Pfeiffer zadał sobie sporo trudu, by mieć pewność, że jest

Jeffrey włożył rękę do kieszeni, usiłując tym zwykłym gestem ukryć swoją niepewność. Wymacał breloczek i uświa-

domił sobie, że zostawił Sarę bez klimatyzacji i możliwości otwarcia okien. Obejrzał się na bmw. Sara pomachała mu, a on odpowiedział jej takim samym gestem.

Poszedł dalej ścieżką. Im bliżej podchodził, tym wyraźniej widział, że to wszystko wygląda na zbyt nowe. Idealna biel winylowego sidingu i nazbyt czysty ganek zadawały kłam sztafażowi starej plantacji. Wchodząc po cementowych schodkach, Jeffrey pojął, że ten dom został zapewne zbudowany przez miejscowego dewelopera, specjalizującego się w tworzeniu kopii Tary. Na takim odludziu nie mogło to być tanie.

Ze swojej emerytury szeryfa, renty inwalidzkiej oraz innych zgromadzonych zysków Al Pfeiffer najwidoczniej żył w luksusie. Z pewnością nie było to miejsce, w jakim Jeffrey chciałby spędzić swoją emeryturę, ale izolacja ma swoje zalety, szczególnie jeśli jesteś jednym z tych, którzy otwierają frontowe drzwi z dubeltówką w garści.

- Czego chcesz?

Jeffrey właśnie podniósł rękę, by zapukać, gdy frontowe drzwi otworzyły się gwałtownie. Śrutówka była wycelowana prosto w jego twarz, pięć centymetrów od jego nosa. Teraz uświadomił sobie, że podnosząc rękę, słyszał cichy trzask przeładowywanej broni. Jednak od tego momentu minęło już kilka sekund, które mogły oznaczać życie lub śmierć, gdyby trzymający broń człowiek był mniej ostrożny. Albo przestraszony. Wciąż zerkał Jeffreyowi przez ramię, sprawdzając, czy jest sam.

Jeffrey trzymał rękę w kieszeni. Odnalazł breloczek i nacisnął przycisk centralnego zamka, mając nadzieję, że bmw jest w zasięgu sygnału.

- Możesz policzyć do trzech, zanim rozwalę ci łeb i później będę zadawał pytania.

- Ty jesteś Al Pfeiffer?

- A kim innym, kurwa, miałbym być?

- Mam...

Jeffrey wyjął rękę z kieszeni, żeby sięgnąć po odznakę. Znieruchomiał, kiedy mężczyzna przysunął się, wciskając mu pod prawe oko lufę remingtona.

- Masz mnie za durnia, chłopcze? - zapytał Pfeiffer, pryskając śliną.

Jeffrey powoli podniósł obie ręce nad głowę. Bardzo chciał spojrzeć przez ramię. Gdzie jest Sara? Czy jest bezpieczna? Serce waliło mu tak głośno, że ledwie słyszał swój głos, gdy powiedział:

- Jestem policjantem.

Tamten pewnie trzymał broń, lecz w oczach miał strach.

- Wiem, kim jesteś.

- W samochodzie jest moja żona. Nie chcę, żeby coś się jej stało.

Tamten zerknął mu przez ramię.

- Gówno mnie obchodzi, kto tam jest. Jeśli wysiądzie, będzie to ostatnie, co usłyszysz.

Jeffrey spojrział wzdłuż lufy śrutówki na Ala Pfeiffera i zobaczył, że ten z trudem opanowuje drżenie rąk. Ujrzał także szkody wyrządzone przez bombę zapalającą. Jeden bok twarzy pocętkowany śladami oparzeń, a lewe oko prawie zamknięte blizną. Biała, starannie wyprasowana koszula z krótkimi rękawami odsłaniającymi strawione przez ogień ciało na przedramionach. Stary miał łzy w oczach, ale Jeffrey nie wiedział, czy są to łzy bólu czy strachu. Z bliska wyglądało to na jedno i drugie.

Jeffrey zrobił krok w tył, odsuwając się od przyciśniętej do jego twarzy lufy.

- Jestem komendantem policji okręgu Grant.

Pfeiffer wycelowal śrutówkę w pierś Jeffreya.

- Możesz sobie być nawet pierdolonym prezydentem Stanów Zjednoczonych. Wynoś się z mojej ziemi.

- Dlaczego boisz się policjanta?

- Nie byłbyś tutaj, gdybyś nie znał odpowiedzi na to pytanie.

- Chcę tylko porozmawiać.

- Czy wygląda na to, że ja chcę rozmawiać z tobą?

- Muszę wiedzieć...

- Widzisz tę wycelowaną w ciebie broń, chłopcze? - Mężczyzna zrobił krok naprzód i wbił lufę śrutówki w pierś Jeffreya. Pfeiffer był od niego dziesięć centymetrów niższy i dwadzieścia lat starszy, ale głos nie drżał mu, gdy powiedział: - Słuchasz mnie, chłopcze? - Nie czekał na odpowiedź. - Powiedziałem ci, że nikomu nie mam nic do powiedzenia. Słyszysz? Nic.

- Jak tylko...
- Wróć i powiedz im, słyszysz? Powiedz im, że Al Pfeiffer kazał ci spierdalać tam, skąd przyszedłeś.

- Gdybyś tylko...
- Wynoś się z mojej ziemi! - wrzasnął stary. - Wskakuj do tego swojego ładnego samochodziku, a jeśli tu wrócisz, posiekam cię na kawałki i rzucę aligatorom. Rozumiesz?

Jeffrey wiedział, że nie ma sensu się spierać, szczególnie że był więcej niż pewien, iż Al Pfeiffer jest gotowy spełnić swoją groźbę.

- Rozumiem.
- Teraz wynocha - powiedział stary, popychając go lufą dubeltówki.

Jeffrey cofał się, nie chcąc odwracać się do niego plecami, dopóki nie będzie musiał. Z wściekłością potrafił sobie radzić, ale strach sprawiał, że ludzie zachowywali się irracjonalnie. Jeffrey nie zamierzał być w zasięgu strzału, gdyby Pfeiffer zdecydował, że nie powinien pozwolić, żeby intruz uszedł cało.

Co też zrobił w tej samej chwili, gdy tylko Jeffrey się odwrócił.

Pierwszy strzał był oddany w powietrze, ale wystarczająco głośny, żeby Jeffrey instynktownie skulił ramiona. Usłyszał krzyk Sary, a potem huk drugiego strzału. Ten był wyraźniejszym ostrzeżeniem - wyrzucił w powietrze fontannę żwiru dwadzieścia centymetrów od nóg Jeffreya. Ten odskoczył, poślizgnął się na luźnym kamieniu i upadł na czworaka.

- Kurwa - zaklął, wstając. Nie, nie będzie się czołgać, bo jakiś wariat ze strzelbą postanowił sobie poćwiczyć strzelanie. Podniósł ręce do góry i wrzasnął: — Będziesz musiał strzelić mi w plecy, jeśli tylko na to cię stać!

Usłyszał trzask przeładowywanej śrutówki.

- Nie! - krzyknęła Sara, tłukąc pięściami o szybę. - Jeffrey!

Szedł w kierunku samochodu, z rękami w powietrzu, sztywno wyprostowany jak ruchomy cel. Patrzył na Sarę. Jej pięści zawisły w powietrzu, centymetry od szyby. Pod deską rozdzielczą był schowany zapasowy klucz. Musiała o tym wiedzieć. Powiedział jej, kiedy go tam schował, a ona

zażartowała, że musiałyby najpierw pojechać do warsztatu, żeby znalazł go mechanik.

Jej wargi poruszały się. Odczytał słowa.

- Szybciej, szybciej, szybciej...

Jeffrey miał wrażenie, że minęły wieki, zanim pokonał tych sześć metrów dzielących go od samochodu. Plecy piekły go, bardziej z powodu namalowanej na nich tarczy niż palącego słońca.

Czas, który zwolnił bieg, kiedy Jeffrey szedł do samochodu, gwałtownie przyspieszył, gdy usiadł za kierownicą. Zaczął gmerać przy pilocie i Sara wyrwała mu go z ręki, po czym sama uruchomiła silnik.

- Jedź - błagała. - Szybciej.

Wrzucił wsteczny bieg i nadepnął na gaz. Obejrzał się i zobaczył, że Al Pfeiffer wciąż stoi na swojej pozycji, na rozstawionych nogach, wyprostowany, ze śrutówką wycelowaną w powietrze. Skurwiel z drwiącym uśmiechem obserwował odwrót. Jeffrey odrobinę zwolnił, wyjeżdżając tyłem z podjazdu, dając mu do zrozumienia, żeby się nie nadymał.

Jeffrey pojechał z powrotem tą samą drogą, którą przyjechali. Samochód podskoczył na garbie, wyjeżdżając na główną drogę. Jeffrey zaryzykował i spojrział na Sarę. Ścisnęła klamkę drzwi tak mocno, że zbieła jej palec.

- Zatrzymaj się - powiedziała mu, gdy tylko minęli pocztę.

Jeffrey zwolnił, bojąc się, że Sara zymiotuje.

- Zatrzymaj się - powtórzyła, otwierając drzwi.

Gwałtownie zahamował. Sara wyskoczyła, nie czekając, aż samochód się zatrzyma. Jeffrey przesunął się po siedzeniach, ruszając za nią.

- Czy...

Odwróciła się i uderzyła go w twarz. Przez dziesięć sekund Jeffrey był zbyt oszołomiony, by zareagować. Jeszcze nigdy go nie uderzyła, nawet nie podniosła na niego ręki.

Potał policzek, dotknął go językiem od środka.

- Może powiesz mi, co to ma znaczyć, do diabła?

Sara chodziła tam i z powrotem, przyłożywszy do ust złożone w trąbkę dłonie. Wiedział, że nie może krzyżeć, kiedy jest taka zła. Słowa więzły jej w gardle i wydobywały się tak ciche, że ledwie słyszalne.

- Saro...
- Ty dupku - szepnęła. - Ty głupi, arogancki dupku. Jeffrey uśmiechnął się, ponieważ wiedział, że to jeszcze bardziej ją wkurwi. Nie miał pojęcia, o co się wściekała, ale wiedział, że jeśli znów go spoliczkuje, będą mieli poważny problem.

Spojrzał na drogę, po której przejechał zielony pikap, zwolniwszy na ich widok. Od kiedy wjechali do Dug Rut nie widzieli żadnego pojazdu. Ten był zapewne największy, jaki przyjechał do miasta, od kiedy zainstalowano znak stopu na końcu głównej ulicy.

Sara zaczęła, aż wóz przejedzie.

- Dlaczego zwolniłeś? - zapytała.

- Kiedy...? - zamilkł.

Podjazd. Zwolnił, kiedy zobaczył ten szyderczy grymas Ala Pfeiffera.

- Nie mogłeś pozwolić, żeby był górą, prawda? Musiałeś zwolnić i prowokować go. - Potrząsnęła głową, ze łzami w oczach. - Jesteś taki sam jak Lena. Bawisz się w te gierki, w takie męskie zawody sikania, jakby to nie była kwestia życia lub śmierci. - Postukała palcem w jego pierś. - Mojego życia, Jeffrey. Twojej śmierci.

Jeffrey próbował to zbagatelizować.

- To były strzały w powietrze. Ostrzegawcze.

- Och, nie masz pojęcia, jaka to dla mnie pociecha.

- Nie możesz pokazywać, że się boisz.

- Ty nie możesz pokazywać, że się boisz - poprawiła go. - On miał broń, Jeffrey. Śrutówkę.

- Byliśmy poza zasięgiem.

- Poza zasięgiem? - powtórzyła z niedowierzaniem. Podniosła palec, powstrzymując słowa, które miały paść z jego ust. - Zamknąłeś mnie w samochodzie. On wycelował lufę w twoją twarz, a ty zamknąłeś mnie w samochodzie.

- Próbowałem cię ochronić.

- A kto miał chronić ciebie? - zapytała. - Nie jestem dzieckiem, Jeffrey. Nie jestem przestraszoną małą dziewczynką, którą trzeba za rączkę przeprowadzać przez ulicę.

- A ja jestem?

Nie odpowiedziała. Wpatrywała się w coś za jego plecami. Zielony pikap wrócił i znów zwolnił, by im się przyjrzeć.

Okna miał przyciemnione, lecz odwróciwszy się, Jeffrey dostrzegł za ciemnym szkłem dwie postacie. Przyszło mu do głowy, że może nie chcieli się tylko pogapić. Może szukali okazji, by dokończyć to, co zaczął Al Pfe - Wsiadaj do samochodu - rozkazał.

Sara się nie spierała, tylko szybko wsiadła do bmw. Jeffrey usiadł za kierownicą, uruchomił silnik i wyjechał na drogę, nie sprawdzając, czy coś jedzie. Spojrzał w tylne lustro i zobaczył, że pikap znów zawraca.

- Zawrócili - powiedział do Sary.

Zapięła pas.

Bmw lekko szarpnęło, gdy wcisnął gaz do dechy. Pikap też przyspieszył. Pot spływał Jeffreyowi po plecach, gdy mknęli krętą drogą. Minęły dwie minuty, zanim pikap skręcił w szutrową drogę. Albo ci faceci stracili zainteresowanie, albo wiedzieli, że nie zdołają dogonić wozu z silnikiem 16. Albo zarówno Jeffrey, jak i Sara mieli paranoję.

- Już za nami nie jadą - powiedział, chociaż sama to widziała w lusterku.

Zacisnęła wargi, patrząc przed siebie.

- Dobrze się czujesz? - zapytał.

- Po co tu przyjechaliśmy?

- Co?

- Po co tu przyjechaliśmy? - Teraz mówiła normalnym tonem, ale wiedział, że jeszcze się nie uspokoiła. - Po co przyjechaliśmy w to miejsce?

- Mówiłem ci. Chciałem porozmawiać z Alem Pfeifferem.

- I co w ten sposób uzyskać?

- Dowiedzieć się, dlaczego opuścił miasto.

- Opuścił miasto, ponieważ ktoś chciał zabić jego i całą jego rodzinę.

Nagle Jeffrey zapragnął, żeby zamilkła.

- To moja praca, Saro. Rozmawiam z ludźmi, którzy nie chcą ze mną mówić.

- O ile pamiętam, żaden z nich dotychczas do ciebie nie strzelał.

Jego milczenie było potwierdzeniem.

- Co to wszystko ma wspólnego z Leną? - spytała.

- Nie wiem.

- Jak to pomoże ci odkryć, kto był w escalade albo dlaczego został zabity?

- Tego też nie wiem.

- Cóż — powiedziała, opuszczając szybę o kilka centymetrów i wpuszczając świeże powietrze. - Zdaje się, że nie wiesz wielu rzeczy.

Zapadła cisza. Jeffrey powitał ją z zadowoleniem, patrząc na pustą szosę, licząc pozostałe mile. Ścisnęło go w gardle na myśl o tej fontannie żwiru i dźwięczącym w uszach huku wystrzału. Dlaczego zwolnił? Jaki pierwotny instynkt kazał mu zdjąć nogę z gazu, rzucić wyzwanie człowiekowi, który o mało go nie załatwił?

Pfeiffer miał remingtona wingmastera, broń używaną przez większość przedstawicieli prawa. Jeffrey skłamał, mówiąc Sarze, że byli poza zasięgiem, kiedy zdjął nogę z gazu. Jeśli Pfeiffer był dobrym strzelcem, a po prawie pięćdziesięciu latach noszenia odznaki zapewne był, mógł z łatwością załatwić Sarę lub Jeffreya.

Musi zabrać stąd Sarę. Miała rację, że jest taki jak Lena - byli podobni do siebie, ponieważ oboje byli policjantami. Są na świecie ludzie, którym nie wolno okazywać swoich słabych stron. Zdaniem Jeffreya Sara była jego słabą stroną. Kiedy zobaczył wycelowaną w siebie broń, pomyślał o jej bezpieczeństwie. Zamknął drzwi samochodu, ponieważ nie chciał, żeby pobiegła w stronę domu i dała sobie odstrzelić głowę. Nie mógł się martwić o swoje bezpieczeństwo, dopóki ona była zagrożona, a jedynym rozwiązaniem tego problemu było odesłanie jej do Grant.

Dlaczego więc Jeffrey zwolnił? Dlaczego naraził życie Sary, żeby dowieść swego? Mogła zginąć.

Minęło co najmniej pół godziny, zanim przestał się czuć tak, jakby serce ścisnęła mu gumowa opaska, a następne pół, zanim zrozumiał, że dłonie kleją mu się do kierownicy, ponieważ bok lewej poszarpał sobie na żwirowym podjeździe.

Jeffrey zjechał na pierwszą napotkaną stację benzynową.

Sara spojrzała na wskaźnik paliwa, jakby go sprawdzając. Nie dlatego się zatrzymał, ale wskazówka była w połowie drogi do E, więc postanowił napełnić bak. Jeśli

Sara zauważyła krew na jego dłoniach i kierownicy, to nic nie powiedziała.

Broń Jeffreya wciąż tkwiła w kaburze wepchniętej pod siedzenie. Wysiadając z samochodu, wyjął ją i przypiął sobie do paska. Gmerał przy pokrywie baku palcami wciąż sztywnymi od ściskania kierownicy i jakoś zdołał wetknąć kran do baku, po czym wszedł do całodobowego sklepiku. Otworzył szklane drzwi i w ostatniej chwili uchylił się, by nie uderzyć głową w krowi dzwonek wiszący na framudze.

- Przepraszam - powiedział sprzedawca, choć grymas na jego twarzy świadczył o tym, że obserwowanie, jak ni czego nie podejrzewający klienci nabijają sobie guzy, jest jedną z jego ulubionych rozrywek. - Pewnego dnia będę musiał go zdjąć.

Jeffrey obrzucił młodzieńca gniewnym spojrzeniem, idąc na tył sklepu. W toalecie przejrzał się w lustrze i zobaczył, że włosy ma mokre od potu, a koszulę brudną od żwiru. Odkręcił kran, chwytając go przez papierowy ręcznik, żeby nie zakrwawić całej armatury. Zimna woda parzyła jak ogień piekielny, ale Jeffrey trzymał dłonie pod kranem, usiłując oczyścić ranę ze żwiru.

- Jezu - mruknął, znów patrząc w lustro.

Potrząsnął głową, zastanawiając się nad tym, co się stało. Zamierzał porozmawiać z Pfeifferem jak policjant z policjantem i uzyskać garść poufnych informacji o sytuacji w Elawah, żeby się zorientować, w co wdepnęła Lena. Czy miał do czynienia ze skinami? Czy Jake Valentine w czymś mu pomoże? Czy można ufać komukolwiek z pozostałych pracowników biura

Pfeiffer został wypłoszony z miasta bombą zapalającą, więc Jeffrey poważnie wątpił, by miał tam jakieś wpływy. Pomijając drwiące grymasy, były szeryf był wyraźnie przerażony, widząc Jeffreya na progu swego domu. Policjant obawia się policjanta tylko z jednego powodu: korupcji. Pytanie tylko, kto jest skorumpowany w biurze szeryfa w Elawah? Jeffrey nie umieściłby Jake'a Valentine'a na czele listy podejrzanych, ale kto wie. I oczywiście był tam jeszcze Donald Cook, którego Nick uważał za zdolnego do brania łapówek. Cook wyraźnie nie był zadowolony ze swojego stanowiska. Nawet nie próbował ukrywać tego, że

uważa swojego szefa za idiotę. To wszystko jednak wciąż prowadziło do najważniejszego pytania Sary: Co to ma wspólnego z Leną?

Nic. Mnóstwo luźnych nitek, które mogą być powiązane ze sobą lub nie. Skinheadzi handlują metamfetaminą, Hank Norton ją zażywał. Ethan Green był skinem, oprych w białym sedanie też. Al Pfeiffer bał się policjantów, Lena uciekła przed nimi.

Ktoś zginął w jej obecności. Musiało być coś, czego Jeffreyowi brakowało, jakaś informacja, która poskładałaby wszystko w całość. Musiał być jakiś powód tego, że Lena opuściła szpital, nie rozmawiając z nim. Mogła być potwornie uparta w wielu sprawach, ale nie była głupia. Musiało istnieć jakieś logiczne wytłumaczenie.

Za pomocą jednego cienkiego papierowego ręcznika z podajnika Jeffrey obmył twarz najlepiej, jak mógł, i wytarł szyję i tors z zaschniętej krwi. Dłoń wciąż boleśnie pulsowała, ale starał się nie zwracać na to uwagi. Wrócił do sklepu.

- Ile płacę? - zapytał Jeffrey, wyjmując kartę kredytową.

- Przykro mi. - Sprzedawca wskazał tabliczkę za swoimi plecami, głosząc: „Ufamy Bogu. Wszyscy inni płacą gotówką”.

- W porządku. - Na szczęście Jeffrey pobrał pieniądze z bankomatu, zanim poprzedniego dnia wyjechał z Grant. Wskazał półkę z lekami za plecami sprzedawcy. - Proszę jeszcze dwa opakowania aspiryny.

- Trzydzieści osiem pięćdziesiąt trzy - powiedział sprzedawca. Rzucił aspirynę na kontuar i wziął od Jeffrey'a banknoty. - Kiepski dzień?

Jeffrey zębami rozerwał opakowanie.

- A jak myślisz?

Sprzedawca zjeżył się.

- Nie musisz wyzywać się na mnie, koleś. - Wybił rachunek i wręczył Jeffreyowi resztę. - Uważaj na siebie.

- Ty też - zdołał wykrztusić Jeffrey, uchylając się przed krowim dzwonkiem w drzwiach.

W samochodzie Sara trzymała swoje myśli dla siebie. Jeffrey wyjechał na drogę i podążył za znakami do autostrady.

Słońce już zachodziło, gdy dotarł do międzystanowej. Aspiryna nawet nie złagodziła bólu głowy. Sara z pewnością była wyczerpana. Zanim przejechali granicę okręgu Elawah, głowa opadła jej na ramię i zaczęła cicho poświsstywać, jak zawsze, kiedy spała.

Jeffrey wziął butelkę wody, którą kupił mu na parkingu, i wypił do dna. Było sporo mądrości w powiedzeniu, że powinieneś uważać, czego pragniesz. Tego ranka myślał, że dobrze byłoby zobaczyć błysk gniewu w oczach Sary. Teraz myślał tylko o tym, że o wiele łatwiej ją kochać, kiedy śpi.

Neon przed motelem ledwie pełnił swoją rolę, gdy zajechali przed swój pokój. Pozostało tylko siedem liter, które miały oświetlać cały parking. Jeffrey zgasił silnik i rozejrzał się. Kilka stanowisk dalej stał zaparkowany czarny dodge ram. Migające światło w biurze świadczyło o tym, że kierownik ogląda telewizję. Kiedy Jeffrey się meldował, chłopak oderwał szklisty wzrok od odbiornika, tak znudzony, że ledwie był w stanie mrugnąć okiem. Jeffrey wyobrażał sobie, że można mieć gorszą pracę. Na przykład na stacji benzynowej, gdzie najlepszą rozrywką jest obserwowanie obcych walących głową w krowi dzwonek.

Wyciągnął rękę i delikatnie potrząsnął Sarą. Zmrużyła oczy, zdezorientowana przez chwilę, po czym usiadła prosto, najwidoczniej przypomniawszy sobie, gdzie są i co się stało.

Nie mógł się powstrzymać.

- Dobrze się czujesz?

Kiwnęła głową, otworzyła drzwi i wysiadła z samochodu. Jeffrey podążył za nią, przeciągając się. Usłyszał jakiś szmer za plecami i sięgnął do kabury.

- Przepraszam za to. - Jake Valentine wyszedł z cienia z otwartą butelką piwa w jednej i przenośną lodówką w drugiej ręce. Drgnął, zobaczywszy Jeffrey'a. - Coś się stało?

- Byliśmy na przejeździe. - Jeffrey nie zdołał wymyślić nic lepszego.

Sara ruszyła do drzwi, rzucając:

- Zostawię was samych.

- Hm, proszę pani? - zatrzymał ją Valentine. - Chcę tylko powiedzieć, że naprawdę mi przykro z powodu tego, co powiedziałem zeszłej nocy. Byłem rozgorączkowany

i w ogóle. Powiniennem uważać na to, co mówię. Nie chciałem pani obrazić. Skinęła głową.

- Dziękuję za przeprosiny.

Jeśli Valentine oczekiwał wylewniejszej reakcji, to wybrał niewłaściwą kobietę. Jeffrey otworzył jej drzwi. Sara ujęła przegub jego ręki i przytrzymała przez moment. Był jej żałośnie wdzięczny za ten gest i wręczył jej klucz do pokoju, co wydawało się mieć symboliczne znaczenie. Uśmiechnęła się do niego - szczerze - i poczuł, że ucisk w piersi, który czuł od kilku godzin, odrobinę zelżał.

- Zajmę tylko minutkę - rzekł Valentine, jakby w obawie, że Jeffrey wejdzie z Sarą do pokoju.

Jeffrey miał na to ochotę, ale został.

- Co się dzieje, Jake? - zapytał, gdy drzwi się zamknęły. - Znalazłeś Lenę?

Valentine zachichotał, postawił lodówkę na ziemi i wyjął następne piwo. Jeffrey zauważył cztery puste butelki wepchnięte w resztki lodu.

- Przyniosłem ci jedno. Jako fajkę pokoju.

- Dzięki - rzekł Jeffrey, przyciskając zimną butelkę do czoła.

Jechał co najmniej osiem godzin, a spał zaledwie dwie. Bolały go mięśnie, łupała głowa i nie miał najmniejszej ochoty rozmawiać teraz z Valentine'em.

Mimo to poszedł w kierunku frontowego wejścia do motelu, sprawdzisz, czy szeryf idzie za nim. Facet najwyraźniej czegoś chciał i Jeffrey zamierzał maksymalnie utrudnić mu tę prośbę. Nazwijmy to rewanżem za ich małe tete-a-tete w schowku na pościel.

Od frontowych drzwi motelu biegł długi tunel na drugą stronę. Jeffrey wcale nie był głodny, ale wiedział, że powinien spróbować coś zjeść.

- Masz pieniądze? - zapytał Valentine'a.

Szeryf wyjął z kieszeni garść monet. Jeffrey wziął, ile potrzebował, i wrzucił do automatu. Popatrzył na batoniki i ciasteczka, zastanawiając się, po czym nie dostanie niestrawności. Wybrał SunChips i nacisnął przycisk.

- Ja też je lubię - wyznał szeryf.

Jeffrey podsunął mu torebkę.

- Chcesz trochę?

Valentine przecząco potrząsnął głową, a Jeffrey usiadł na jednej z drewnianych ławek przed dystrybutorami. Rozerwał zębami torebkę i zjadł kilka chipsów. Były nieświeże.

Valentine stał i przyglądał mu się, najwyraźniej nie wiedząc, co robić. Bez munduru wyglądał jeszcze młodziej. Dżinsy z wysokim pasem i zbyt duża koszulka polo podkreślały jego patykowatą chudość. Lekko przekrzywiona czerwona czapeczka Georgia Bulldog jeszcze pogłębiała to wrażenie. Nawet z wyraźnym wybrzuszeniem kabury nad kostką wyglądał jak początkujący gracz licealnej drużyny koszykówki.

Jeśli Jake Valentine był królem podziemia okręgu Elawah, to piekielnie dobrze to ukrywał.

- Ładny wieczór - mruknął. - Byliście z żoną na przejażdżce?

Jeffrey odkręcił kapsel butelki, ignorując ból dłoni. Nie znosił piwa, ale głowa bolała go tak bardzo, że wypiłby nawet truciznę, byle przestało go łupać.

- A mówiąc poważnie - rzekł szeryf - wciąż ani śladu pańskiej detektyw.

Jeffrey nie był tym zdziwiony. Jeśli Lena nie zapuka do drzwi aresztu, prosząc, żeby ją wpuścili, poważnie wątpił, by ją znaleziono. Poprosił Franka Wallace'a, żeby miał oko na transakcje dokonywane jej kartą, ale zakładał, że żadnych nie było, inaczej Frank by zadzwonił. Prosił również starszego detektywa, żeby pilnował, co się dzieje w Heartsdale, ale obaj zgadzali się, że to bardzo mało prawdopodobne, aby Lena znów pojawiła się w Grant.

Jeffrey spojrział na opuszczony budynek po drugiej stronie motelu, szopę z blaszanym dachem, którą ktoś pomysłowy pomalował tak, by wyglądała jak stodoła.

- Bar Hanka - wyjaśnił Valentine, ruchem głowy wskazując budynek. - Barman sprzedawał amfę. ATF twierdzi, że dostali cynk od tajnego informatora. Powiedzieli mi po fakcie, uważa pan? Dowiedziałem się o tym od Juniora, kierownika nocnej zmiany w motelu, który zadzwonił i zapytał, czy wiem, że bar Hanka otoczyło sześćdziesiąt samochodów policji stanowej.

Jeffrey pociągnął kolejny łyk. Słyszał szmer strumienia

i szum liści drzew rosnących za motelem i barem. Chciał być w domu, pływać na plecach w jeziorze, słuchać śmiechu Sary i jej siostry, tłumionego przez chłodną wodę. Chciał być w łóżku, leżąc na wznak, czując na sobie wargi Sary. Valentine przerwał te rozmyślania.

- Domyślam się, że już wiedziałeś o barze Hanka - rzekł. - Tak jak się domyślam, że to ty przecięłaś policyjną taśmę na drzwiach zaplecza.

- Jasne - odparł Jeffrey, choć wiedział, że to robota Leny. A zatem szukała czegoś. Przecięta taśma była jak odcisk palca. Świadczyła tylko, że ktoś tam był. Nie mówiła, kto i kiedy. Może poszła tam po pieniądze. Może była tam zeszłej nocy, kiedy Jeffrey i Sara próbowali zasnąć.

- W każdym razie... - Valentine wiercił czubkiem buta asfalt. - Byłem w pobliżu i pomyślałem, że...

Jeffrey z westchnieniem podniósł się z ławki, zbyt zmęczony, by rozgrywać to powoli.

- Z pustych butelek w lodówce wnioskuję, że jesteś tu od jakiegoś czasu. Nie masz na sobie munduru, więc usiłujesz wyglądać, jakbyś nie był na służbie, lecz fakt, że nawet trzyletnie dziecko zauważyłoby tę kaburę na kostce, mówi mi, że albo oglądasz za dużo telewizji, albo czegoś się obawiasz. Stawiam na to ostatnie.

Valentine zachichotał, ale Jeffrey widział, że jest wstrząśnięty. Popatrzył na parking i pociągnął długi łyk piwa. Jeffrey wrzucił pustą torebkę po chipsach do kosza.

- Opowiedz mi o Alu Pfeifferze.
- Al przeszedł na emeryturę.
- Dlaczego?
- Chciał spędzać więcej czasu z wnukami.
- A mniej w ogniu?

Valentine zmrużył oczy.

- Dlaczego interesujesz się tym starym?

Jeffrey pociągnął tęgi łyk piwa, powstrzymując dreszcz wywołany jego obrzydliwym smakiem. Valentine nie tylko wyglądał jak nastolatek, ale miał gust nieletniego. Jeffrey założyłby się o swoją pensję, że szeryf nie dał więcej niż trzy dolce za sześciopak.

- Posłuchaj - rzekł Valentine. - Chciałem tylko powiedzieć, że rano przyjeżdża koroner.

W końcu wyjaśnił powód swojej wizyty.

- Ach tak?
- Obejrzy ciało z escalade i powie nam, co jego zdaniem zaszło.
- Dobry plan.
- Wcześniej wspomniałeś, że twoja żona... - Valentine zamilkł. Kiedy zrozumiał, że Jeffrey mu nie pomoże, dodał: - Po prostu odniosłem wrażenie, że ona ma duże doświadczenie.

Jeffrey nie wierzył własnym uszom.

- Ma.
- Byłbym bardzo wdzięczny, gdybyś ją namówił, żeby tam przyszła, zobaczyła ciało i powiedziała nam, co widzi.

Jeffrey usiłował znaleźć w tym jakiś haczyk, zrozumieć, dlaczego Valentine zwrócił się z taką prośbą. Nic nie przychodziło mu na myśl, a piwo bynajmniej w tym nie pomagało.

- Wydawało mi się, że powiedziałaś, że ten facet jest dobry.
- Och, jest, ale taka sprawa... posłuchaj, zapłacimy jej. Zostało nam jeszcze trochę pieniędzy. Powiedz tylko, jaka jest stawka.

Jeffrey wypił resztę piwa i natychmiast poczuł ochotę na następne, ale zaraz pomyślał o ojcu i pożałował, że wypił to jedno.

Valentine źle zrozumiał jego milczenie.

- Mogę się postarać o gotówkę, jeśli...
- Płacą ci?
- O czym mówisz?

Jeffrey przycisnął mu do piersi pustą butelkę.

- W tym mieście coś się dzieje, a ty albo bierzesz w tym udział, albo bierzesz pieniądze za przemykanie oczu.

Valentine zaśmiał się z przymusem.

- Jesteś pewien, że nie mam innej możliwości?

Jeffrey ostrzegł go.

- Posłuchaj, błźnie, tak czy inaczej dowiem się, co się tutaj dzieje, i nie obchodzi mnie, komu nadepnę przy tym na odcisk.

- Chcesz mi znów przyłożyć?

Jeffrey pomyślał o tym, jak spoliczkowała go Sara, jaka bezsilna musiała się czuć zamknięta w samochodzie.

- Może.

Valentine nachylił się i schował opróżnioną przez Jeffreya butelkę do lodówki. Potem wyprostował się i posłał mu leniwy uśmiech, jakby byli starymi przyjaciółmi.

- Powinieneś kiedyś przyjść do nas na kolację.

Jeffrey poszedł tunelem z powrotem w stronę parkingu.

- Dlaczego miałbym to zrobić?

Valentine szedł obok niego.

- Oprowadziłbym cię i pokazał, nad czym pracuję. - Błysnął zębami w tym głupawym uśmiechu. - Jestem zręczniejszy, niż się zdaje.

- Do czego zmierzasz?

- Na tyłach domu budujemy werandę. Po każdej wypłacie kupujemy trochę cedrowych desek. Żona mówi, że minie rok, zanim będziemy mieli wszystko, czego nam potrzeba, ale jesteśmy naprawdę cierpliwi. Nie tak jak niektórzy ludzie, którzy rozrzucają pieniądze, wznosząc rezydencje na bagnach. Nie spieszymy się i robimy to jak należy.

Mówił o Alu Pfeifferze. Jeffrey zastanawiał się, czy Valentine wie o wizycie, jaką złożyli dzisiaj jego byłemu szefowi. Pfeiffer zapewne nadal utrzymywał więzi z tutejszą społecznością, może przyjeżdżał odwiedzić przyjaciół. Ludzie wiedzieli, gdzie mieszka. Byli w kontakcie.

Jeffrey dotarł do swojego pokoju. Pokazał drzwi.

- To nasz pokój.

Valentine uchylił kapelusza.

- Miłego wieczoru, komendancie. Daj mi znać, co powiedziała twoja żona.

Jeffrey patrzył, jak szeryf stawia lodówkę na fotelu pasażera swojego czarnego dodge'a, a potem przechodzi na drugą stronę. Otworzył drzwiczki i pomachał do Jeffreya, zanim wsiadł. Kiedy samochód odjechał, Jeffrey zobaczył recepcjonistę spoglądającego przez okno. Pukając do drzwi, czuł na sobie jego spojrzenie.

Sara nie uśmiechała się, otwierając drzwi, ale co najmniej od czterech godzin nie nazwała go głupim dupkiem, więc może szczęście zaczęło mu sprzyjać.

Pokój był równie zatęchły co przygnębiający - dokładnie

taki, jakim Jeffrey zapamiętał go z poprzedniej nocy. Sara już zdjęła z łóżka ciemną wzorzystą narzutę. Zastanawiał się, ile DNA wbiło się przy tym w powietrze.

- Czego chciał twój nowy najlepszy przyjaciel? - zapytała.
- Żebyś wykonała sekcję zwłok.
- Dlaczego tego chce?
- Dobre pytanie - odparł, siadając na łóżku. Zmienił zdanie i położył się na boku. Spiętrzył sobie poduszki pod głowę i zrzucił buty z nóg. - Dodaj to do długiej listy rzeczy, których nie wiem.

Podeszła do drzwi i sprawdziła zamek, po czym zgasiła światło. W ciemności materac ugiął się, gdy się kładła. Tak jak Jeffrey, nie trudziła się zdejmowaniem ubrania. Czekał, aż zwinie się w kłębek przy nim, ale nie zrobiła tego.

Kiedyś powiedziała mu, że nawet kiedy byli rozwiedzeni, wciąż miała koszmarne sny o telefonie w środku nocy. To było coś, z czego nawet gliniarze nie żartowali, z tego telefonu informującego żonę, dziewczynę lub kochankę, że przyszła twoja kolej. Jakiś naćpany idiota albo głupi pijak wyjął nóż, nacisnął spust i twoi najbliżsi nic nie mogli zrobić, tylko podnieść słuchawkę i czekać na słowa.

Musiała myśleć o tym dzisiaj, kiedy Al Pfeiffer nacisnął spust. Na pewno przeraziła się, że uwięziona w samochodzie będzie musiała patrzeć, jak umiera, nie mogąc mu pomóc.

- Jeff? - Nie był pewien, co spodziewał się usłyszeć, ale jak zawsze zdołała wymyślić coś, czego nigdy by się nie spodziewał. - Myślałam o remoncie patio. Może trzeba wymienić kilka popękanych kamieni i podnieść murek tak, żeby ludzie mogli na nim siedzieć, nie mając kolan na wysokości uszu. - Milczała chwilę. - Co o tym sądzisz?

Obrócił się na plecy. W wąskiej smudze światła wpadającej przez szparę w zasłonie widział jej profil.

- Myślę, że kiedy ostatnio robiłaś coś z cementem, musieliśmy pożyczać młot pneumatyczny od twojego ojca.

- Na worku było napisane, że jest samopoziomujący.

Uśmiechnął się na tę starą wymówkę.

- Chcę przeprowadzić tę sekcję.

Jeffrey nie wiedział, co powiedzieć. W pierwszej chwili

chciał zaproponować, ale tylko dlatego, że prosił ją o to Jake Valentine.

- Nie wiem, czy w ten sposób wyjedziemy stąd prędeż.

Jej milczenie powiedziało mu, że nie da się łatwo od tego odwieść.

Ostrożnie dobierał słowa.

- Mogę poprosić Franka, żeby tu przyjechał i odwiózł cię zaraz po tym, jak skończysz.

- Nie - odparła. - Nie zamierzam cię zostawić.

- A jeśli tego chcę?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, zadzwonił telefon. Jeffrey sięgnął przez nią i podniósł słuchawkę.

- Halo?

- Dlaczego wciąż tam jesteście?

Jeffrey zerwał się tak gwałtownie, że ściągnął telefon z nocnego stolika.

- Lena?

- Nie możecie tam być - powiedziała ochryplym szeptem. - Dlaczego wciąż tam jesteście?

- Gdzie jesteś? - zapytał. - Przyjadę po ciebie. Zaczęła płakać.

Szloch tłumił słowa.

- Dlaczego...? - łkała. - Dlaczego nie zabili mnie?

- Kto? - zapytał, nie rozumiejąc. - O kim mówisz?

- Po prostu wyjedźcie - błagała. - Musicie wyjechać, zanim oni...

- Jacy oni, Leno? Kogo ty się boisz? - Słyszał tylko jej urywany oddech.

- Lena? - Przycisnął słuchawkę do ucha. - Lena? Jesteś tam? Gdzie jesteś?

Powiedz, to po ciebie przyjadę.

Rozłączyła się.

ŚRODA

RANO

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jadąc za radiowozem Jake'a Valentine'a przez centrum Reese, Sara przesunęła kciukiem po smudze zaschniętej krwi na kierownicy bmw. Szok lub trauma, albo oba razem, powaliły ją zeszłej nocy. Tak mocno nie spała od miesięcy. Gdyby Jake Valentine nie załomotał do ich drzwi o siódmej trzydzieści rano, zapewne byłaby jeszcze w łóżku.

Przed sobą, w samochodzie Valentine'a, widziała Jeffreya prowadzącego ożywioną rozmowę z szeryfem. Sara miała szczerą nadzieję, że zdoła uzyskać od niego jakieś informacje. Zdrowy rozsądek podpowiadał, że nie. Jeffrey nie powiedział szeryfowi o nocnym telefonie Leny, ponieważ wiedział, że Valentine ustaliłby, skąd dzwoniła. Ze swej strony Valentine nie mówił, jak przebiega pościg. Tego ranka, gdy w dziennym świetle zobaczył skaleczenia na twarzy i dłoniach Jeffreya, powiedział tylko:

- Nie chciałbym widzieć tamtego faceta.

Sara dopiero wtedy się zorientowała, jaki był pokiereszowany. Zawsze opatrywała Jeffreya. Przez te wszystkie lata dezynfekowała skaleczenia, wcierała w siniaki arnikę w żelu, bandażowała naciągnięte kostki i połamane palce. Po meczu piłkarskim okładała mu lodem kolano, żeby mógł chodzić następnego dnia. Godziny, jakie spędzał, naprawiając różne rzeczy w domu, wynagradzała mu długimi masażami pleców i wszystkim, co zdołała wymyślić, żeby przynieść mu ulgę. Nawet po rozwodzie, kiedy Sara nie mogła znieść jego obecności w tym samym pokoju, pognęła do szpitala, kiedy zabłąkana śrucina utkwiała mu w nodze.

Wczoraj nie widziała, że skaleczył sobie dłoń. Widziała ostrzegawczy strzał w powietrze i drugi, dostatecznie bliski, by serce zamarło jej w piersi. Widziała, jak Jeffrey

poślizgnął się na żwirze, ale nie przyszło jej do głowy go obejrzyć, sprawdzić zadrapania i otarcia. Mogła myśleć tylko o potwornym przerażeniu, jakie czuła za każdym razem, gdy Al Pfeiffer naciskał spust, i o wściekłości, kiedy Jeffrey wyzywająco zwolnił.

Zdjął nogę z pedału. Sara pomyślała, że coś jest nie tak z samochodem. Spojrzała w dół, przestraszona, żeby zobaczyć, co się stało, i wtedy zobaczyła, dlaczego samochód prawie się zatrzymał. Potem popatrzyła na Jeffreya, na jego uniesione kąciki ust, gdy spoglądał na minę Ala Pfeiffera. Boże, ten uśmiech. Sara miała ochotę zetrzeć mu go z twarzy. Jak dwaj chłopcy na placu zabaw, sprawdzający, który wykopie więcej piachu w twarz drugiego, zanim przyjdzie przedszkolanka. Lena była taka sama - wprawdzie nie miała fiuta, którym mogłaby wymachiwać, ale w takie zawody mogła iść z najlepszymi.

Wtedy Sara w końcu zrozumiała, po co naprawdę pojechali na te bagna, dlaczego Jeffrey sprawdzał nawet taki nikły trop mogący doprowadzić do wyjaśnienia zniknięcia Leny. Sara stała przed drzwiami łazienki, kiedy Lena uciekła, ale Jeffrey był na korytarzu. Był niecałe trzy metry od niej i tyle dzieliło go od udaremnienia jej ucieczki.

Jeffrey też został oszukany i jego ego nie mogło tego znieść.

Rok wcześniej Sara ukończyła kurs balistyki na akademii Biura Śledczego w Macon. Właśnie miała w kostnicy dwa przypadki śmiertelnych postrzałów i chciała się lepiej przygotować do badań przestępstw z użyciem broni palnej. Częścią kursu były zajęcia pokazowe na strzelnicy. Instruktor używał różnych rodzajów broni i amunicji, strzelając z różnych odległości do żelowych kukieł, żeby kursanci lepiej zrozumieli charakter ran i rozrzut. Remington wingmaster to jedna z najpopularniejszych śrutówek, używana zarówno przez policję, jak i przestępców. Załadowana grubym śrutem pakuje sześćdziesiąt procent śrucin w cel odległy o dwadzieścia metrów.

Według wyliczeń Sary, kiedy Jeffrey wczoraj zwolnił, znajdowali się około dwudziestu metrów od Ala Pfeiffera. Powinien się cieszyć, że jest żywa i może go spoliczkować.

Jake Valentine włączył migacz. Sara wjechała za nim na

ogrodzony policyjny parking. Stało na nim około pięćdziesięciu ciężarówek w różnym stopniu rozpadu, z maskami zwisającymi jak wywichnięte zuchwy, ze zgniecionymi tylnymi zderzakami. Znając takie miasteczka, odgadła, że większość właścicieli albo nie ma pieniędzy na wykupienie swoich pojazdów, albo wciąż siedzi w więzieniu za jazdę po pijanemu. Zasadniczo policyjny parking był mekką ubezpieczycieli samochodowych.

Samochód szeryfa, podskakując, przejechał po krótkim żwirowym podjeździe i zaparkował na wybrukowanym stanowisku. Sara ujrzała przed sobą duży metalowy hangar wielkości mniej więcej pięć metrów na dziesięć i odgadła, że samochód z wypadku został tam odholowany do badań.

Chociaż to, co się stało z cadillakiem escalade, nie było wypadkiem. Sara starała się nie przesądzać z góry przyczyny, ale samochód płonący na środku boiska nie znalazł się tam przypadkiem. Ktoś go tam zaparkował, celowo podpalił i odszedł, zostawiając w środku ciało.

Pytanie tylko, czy tym kimś była Lena Adams?

Sara wysiadła z samochodu. Zapach benzyny i oleju mieszał się z zaduchem spalin. Z warsztatu nie dobiegały żadne dźwięki. Domyśliła się, że mechanicy mają przerwę śniadaniową.

Jeffrey i Valentine podeszli do bmw. Szeryf strącił nogą grudę błota z koła.

- Wygląda na to, że jeździłeś po bezdrożach, komendancie.
- Wczoraj byłem w Okefenokee - powiedział mu Jeffrey.

Valentine uniósł brwi.

- Ach tak? - rzekł, teatralnie drapiąc się po brodzie. To tyle, jeśli chodzi o pokój i zrozumienie zrodzone podczas jazdy. - Znam kilka osób, które jakiś czas temu przeniosły się na bagna - powiedział Jeffreyowi.

- Twoi przyjaciele?

- Och, tego bym nie powiedział. - I ni z tego, ni z owego, szeryf rzekł:

- Kraina Drżącej Ziemi.

Jeffrey milczał, więc Sara zapytała.

- Słucham?

- Tak nazywali ją Indianie - wyjaśnił Valentine. - Oke-

fenokee, Kraina Drżącej Ziemi. Widzicie, zaledwie około sześciu procent bagnisk jest na stałym gruncie. Reszta to kilkumetrowa warstwa starej roślinności unosząca się na wodzie. Chodzi się po niej jak po dmuchanym materacu, tylko trochę łatwiej. - Zsunął kapelusz na czoło, osłaniając twarz przed słońcem. - Pani też tam była?

- Tak, miałam tę przyjemność.

- Mnóstwo moskitów, aligatorów, a nawet mięsożernych roślin. - Zachichotał, wymieniając te ostatnie, jakby przypomniało mu się coś zabawnego. - Mój tato raz zabrał tam mnie i mojego brata, kiedy byliśmy mali. Trzy dni wiosłowaliśmy, żeby przepłynąć ze wschodu na zachód, i o mało nas to nie wykończyło. Widzieliśmy różne zwariowane rzeczy. - Przeniósł wzrok na Jeffreya i w jego przyjaznym głosie zabrzmiały ostrzegawcze nutki. - To niebezpieczne miejsce.

Jeffrey skrzyżował ręce na piersi.

- Zapewne dla niektórych.

Jednak Sara znów przerwała te zawody w sikaniu. Klasnęła w dłonie, żeby zwrócić ich uwagę.

- No cóż, zapewne ciało jest w środku? - zapytała Valentine'a.

- Tak, proszę pani - odparł, wskazując na biuro obok budynku.

Sara poszła tam, a oni dwaj za nią.

- Jak jazda na bagna? - zapytał ją Valentine.

- Świetna, dziękuję.

Wyprzedził ją, żeby otworzyć drzwi. Zachichotał pod nosem.

- Przypadkiem nie widzieliście Leny Adams łapiącej stopa, co?

Sara uśmiechnęła się z przymusem.

- Obawiam się, że nie.

Valentine odpowiedział uśmiechem i otworzył drzwi.

- Musiałem zapytać.

Zamiast do pokoju z szafkami na akta i biurkami, czego oczekiwała Sara, weszli wprost do pomieszczenia, które niewątpliwie było kostnicą. Na dużym stalowym stole przytwierdzonym do betonowej podłogi leżał otwarty i pusty worek na zwłoki. Zlew i stoliki na preparaty pod ścianą

były bardzo podobne do tych w kostnicy w Grant, lecz jako chłodnia do przechowywania ciał służyła duża zamrażarka z rodzaju tych, jakie są używane w większych restauracjach. Nie zauważyła dyktafonu. Jeffrey będzie musiał robić notatki.

- Nie tak źle - wtrącił Valentine, choć z jego miny wywnioskowała, że jest lekko zawstydzony lokalizacją kostnicy. - Przeważnie mamy tu wypadki samochodowe, nieszczęśliwe wypadki, takie rzeczy. Obsługujemy Seskatogę, Ahlmirę i parę innych okręgów. Mając parking pod ręką, łatwiej przewozić wraki z miejsca na miejsce.

- Oczywiście - powiedziała Sara, czując się tak, jakby go obraziła, chociaż kostnica była więcej niż wystarczająca. Sara miała szczęście, że nie musi wykonywać sekcji w pomieszczeniu do balsamowania zwłok miejscowego domu pogrzebowego. - Gdzie jest samochód?

- Tutaj - powiedział, otwierając następne drzwi.

Po ich drugiej stronie był rozległy, przestronny magazyn. W jednym jego rogu stały szafki na akta i dwa biurka. Pod przeciwległą ścianą leżały narzędzia. Na sześciu hydraulicznych podnośnikach stały samochody, ale w zasięgu wzroku nie było widać mechaników. Wokół leżały porzucane części samochodowe oraz rozbite auta, porzkładane w różnym stopniu w celu oszacowania szkód i ustalenia winnego. Na środku magazynu stał cadillac. Był nakryty szarym brezentem, a pod nim rozłożono plastikową folię, żeby chronić podłogę.

Valentine poszedł w kierunku cadillaca, wyjaśniając:

- Przyholowaliśmy go tutaj, jak tylko ostygł. Szczerze mówiąc, strażacy tylko polewali boisko, czekając, aż ogień się wypali. Niewiele pozostało.

Sara sięgnęła do kieszeni i wyjęła gumkę, którą związała włosy w koński ogon.

- Czy znacie przyczynę pożaru? - zapytała Valentine'a.

Szeryf przecząco pokręcił głową.

- Użyto jakiegoś środka łatwopalnego, ale najgorszy był wybuch zbiornika. Nie są pewni, czy był wywołany czy samoistny, ale wygląd tylnej części świadczy o tym, że bak eksplodował. I wydaje się, że musiał być pełny - Słyszałeś wybuch? - zapytał Jeffrey.

Valentine w zadumie chwycił za róg plandeki i zaczął ją zwijać.

- Kiedy o tym myślę, to chyba tak. Trudno poskładać wszystkie kawałki po fackie.

- Tak sądzę - rzekł Jeffrey w taki sposób, jakby uważał, że tamten kłamie.

Podszedł, żeby pomóc Valentine'owi zwijać plandekę.

Sara wyłączyła się z tej rozmowy: stanęła przed spalonym cadillakiem. Samochód był cieniem swojej dawnej świetności. Opony spaliły się, więc nadwozie spoczywało na czterech okopconych stalowych felgach. Wybuch wyrwał część dachu, lecz - co dziwne, na siedzeniach pozostało trochę skóry i piankowej wyściółki.

- Domyślam się, że tapicerka była impregnowana albo co - podsunął Valentine. - Możemy powiedzieć facetom z warsztatu, żeby rozkręcili nadwozie, kiedy będzie pani gotowa do przeniesienia ciała.

Sara spojrzała na tylne siedzenie. Odcięcie zwłok od skóry zajmie godziny. To będzie jak rozdzielanie dwóch kawałków mokrego papieru toaletowego. Ale trzeba to zrobić.

Zajrzała do samochodu i obejrzała ofiarę. Drobny szkielet niekoniecznie musiał należeć do kobiety. Mógł to być nastoletni chłopiec lub mężczyzna o budowie podobnej do Valentine'a. Obojętnie, kim była ta ludzka istota, niewątpliwie umarła potwornie bolesną śmiercią. Ręce i nogi były podkurczone jak u boksera, jakby ofiara próbowała walczyć z płomieniami. Te kości, które Sara mogła dostrzec, były usiane pęknięciami od gorąca. Lewa dłoń znikła, całkowicie strawiona przez ogień. Włosy spłonęły, gałki oczne pozostały bez powiek w oczodołach.

- Zrobiliście zdjęcia? - zapytała.

Valentine kiwnął głową, a Sara pochyliła się niżej, uważając, by niczego nie dotknąć. Sprawdziła, czy pas bezpieczeństwa jest zapięty. Materiał pasa spłonął - częściowo wtapiając się w ciało - ale zobaczyła tkwiący w objęciu zatrzask i założyła, że ofiara była zapięta.

Czy usiłowała się wydostać? - zastanawiała się Sara. Jak to jest być uwięzionym w płonącym samochodzie, w płomieniach, szarpiąc pas, chwytając za klamkę, rozpaczliwie

próbując się uwolnić? Przerazające, zdecydowała. To musiało być przerażające.

Co najmniej kilkanaście sekund, a może nawet minuta musiała upłynąć, zanim ciało się poddało i organy przestały funkcjonować. Nie licząc oczekiwania przed wybuchem pożaru i eksplozją zbiornika. Nie wiadomo, ile minut ofiara czekała na nieuniknione.

Sara przyglądała się z bliska, starając się nie wdychać charakterystycznego odoru spalonego ciała.

Około siedemdziesięciu pięciu procent skóry spaliło się. Większość leżących pod nią mięśni i ścięgien uległa zwęgleniu, lecz nie została całkowicie zniszczona. Czubek głowy i potylicy były kompletnie strawione, a przez dużą dziurę w lewym policzku ofiary Sara widziała potrzaskane kawałki zębów i krawędź języka. Kość szczęki była niezwykle białą, więc musiała założyć, że zakrywający ją kawałek ciała odpadł podczas transportu.

Na torsie brakowało płata skóry wielkości standardowej kartki papieru i Sara wyraźnie widziała ścianę i zawartość klatki piersiowej. Jama brzuszna była podobnie odsłonięta, wątroba tkwiła niczym kawałek gotowanej wołowiny pod strzypami żołądka, który najwidoczniej eksplodował pod wpływem wysokiej temperatury. Sara pomyślała, że wyglądające jak kawałki zwęglonego korka drobiny, którymi jelita były usiane od zewnątrz, okażą się spalonymi resztkami pokarmowymi z żołądka. Skóra ud stopiła się z siedzeniem, a ścięgna niczym ozdoby choinkowe oplatały nogi. Resztki niebieskich dżinsów i białej bielizny wciąż pozostały tam, gdzie płyny ustrojowe wsiąkły w materiał i wyparowały. Wokół lewej kostki pozostała górna część białej skarpetki. Choć na obu stopach było niewiele skóry, na dużym palcu prawej nogi pozostał kawałek paznokcia. Sara zobaczyła drobinę popękanego, różowego lakieru. Nachyliła się, patrząc z bliska. Obszar łonowy był poważnie uszkodzony, ale była prawie pewna, że widzi

Na moment zamknęła oczy, czując ogromną ulgę, że ofiarą nie jest Hank Norton. To dawało nadzieję, że Lena nie jest tak głęboko zamieszana w tę zbrodnię, jak sądził Jake Valentine.

- Sara? - zapytał Jeffrey. W jego głosie usłyszała niepokój. - Dobrze się czujesz?

- Tak - powiedziała mu, lekko kręcąc głową w odpowiedzi na pytanie oczywiste dla każdego poza szeryfem.

- Paskudna sprawa, co? - rzekł Valentine.

Sara skinęła głową.

- Czy wasz koroner już widział ciało?

- Tylko rzucił okiem na miejscu zbrodni - wyjaśnił Valentine. - Fred mówi, że nigdy nie widział czegoś takiego. Najgorszy przypadek, z jakim się spotkał. Och... - Nagle zamilkł, jakby coś sobie przypomniał. - Kiedy wyjmemy ciało, zadzwonimy po niego, żeby pomógł nam z rentgenem. Ta maszyna ma swoje kaprysy. Może nie zechce pani z nią walczyć.

- Fred to wasz koroner? - spytał Jeffrey.

- Taak - potwierdził Valentine. - Fred Bart. Teraz robi leczenie kanałowe, ale powiedział, że zaraz tu przyleci, jak tylko zadzwonimy.

Sara musiała mieć zdezorientowaną minę, bo szeryf parsknął śmiechem.

- On wykonuje komuś to leczenie kanałowe, a nie leczy się. Fred to jedyny dentysta w mieście. Mówi, że pracą koronera dorabia sobie na swoje hobby. Naprawdę porządny gość, ale wie, kiedy ustąpić pola ekspertom - powiedział z nikłym uśmiechem. - Co przypomina mi, żeby znów pani podziękować, doktor Linton. Wiem, że jeszcze nie rozmawialiśmy o honorarium, ale dziś rano przejeżdżałem obok banku.

Wyjął plik banknotów i Sara poczuła, że się czerwieni. Zakładała, że wyświadcza mu grzeczność. Była różnica między czekiem od okręgu Grant a braniem gotówki od Jake'a Valentine'a. Na myśl o tym czuła niesmak.

Valentine odliczał dwudziestodolarówki, wyjaśniając:

- Zwykle płacimy Fredowi dwieście pięćdziesiąt od sekcji, ale... - Zamilkł, gdy z kieszeni jego spodni wydobyły się pierwsze takty / *Wish I Was in Dixie*. - Przepraszam - powiedział, chwytając pieniądze jedną ręką, a drugą szukając w kieszeni telefonu. Rozpoczął rozmowę zwyczajowym „halo”, ale potem niewiele mówił, tylko słuchał. Po kilku sekundach opadła mu żuchwa.

- Zaraz tam będę - rzucił rozmówcy i zakończył połączenie.
Jeffrey wymienił spojrzenia z Sarą, zanim zapytał szeryfa:

- Coś się stało?

- Muszę iść - odparł Valentine, nagle poważny. - Na autostradzie wydarzył się paskudny wypadek. Facet, z którym chodziłem do szkoły, wpadł pod osiemnastokolową ciężarówkę.

Zaczął wpychać pieniądze do kieszeni, uświadomił sobie, co robi, i podał je Sarze.

- Nie - powiedziała mu, nie biorąc banknotów. - Dziękuję.
Valentine był zbyt zaafierowany, by się dziwić. Znów schował pieniądze.

- Macie coś przeciwko temu, że was tu zostawię?

Sara zostawiła odpowiedź Jeffreyowi.

- Nie ma sprawy. Czy mogę jakoś pomóc?

- Nie - odparł Valentine, trochę za szybko i zbyt piskliwie, jakby się obawiał, że Jeffrey zechce mu towarzyszyć. Widocznie zdał sobie z tego sprawę, gdyż dodał: - Jednak dziękuję za propozycję. - A potem pospiesznie wyszedł, niemal biegnąc do drzwi.

- No cóż, przynajmniej wiemy, dlaczego chciał, żebyś ty przeprowadziła sekcję - rzekł Jeffrey.

Sara spojrzała na ciało i obliczyła czas, jaki zajmie autopsja tej biednej istoty.

- Będziemy tu zajęci prawie przez cały dzień.

- Pytanie tylko, do czego nie chce nas dopuścić? - Usłyszeli, jak radiowóz szeryfa rusza i z chrzęstem jedzie po żwirze. - Ten drań jest albo bardzo sprytny, albo naprawdę głupi - powiedział Jeffrey. - Nie mogę go roz- Policjanci nie słyną z wybitnej inteligencji.

Przeszył ją wzrokiem.

- Czujesz się lepiej.

Sara nie wiedziała, jak traktować tę uwagę. Niezależnie od jego oczywistego sarkazmu, rzeczywiście czuła się lepiej. Czy sprawił to głęboki sen minionej nocy, czy wczorajszy wybuch gniewu, czuła się tak, jakby odzyskała trochę siebie. Weszła do tej kostnicy bez cienia wahania. Badanie

zwłok było jej drugą naturą. Nie zastanawiała się ani nie obawiała, że ktoś powie jej, że się myli, jest głupia lub niekompetentna. Po prostu robiła swoje.

- Gdybym wiedział, że to ci tak pomoże, wcześniej postarałbym się o jakieś zwłoki.

Roześmiała się, ponieważ chyba miał trochę racji.

- Dobry z ciebie mąż.
- Nie zamierzam przeproszać.

Wiedziała, że mówił o poprzednim dniu. A będąc z nim od tak dawna, wiedziała także, że nie nastąpi koniec świata, jeśli trochę pozłosczą się na siebie.

- Ja też nie zamierzam przeproszać - powiedziała.

Skoro już to uzgodnili, Jeffrey wskazał cadillaca.

- Zatem to nie Hank.
- Nie, to kobieta.
- To chyba dobrze.
- Tak - przyznała. - Jednak rodzi się pytanie... Dokończył za nią.
- Kim ona jest i jak jest powiązana z Leną? - Nachylił się, by lepiej

obejrzeć ciało. - Co o tym myślisz?

Sara odpowiedziała szczerze.

- Myślę, że wolałabym być w domu i remontować patio.

Zerknął na nią.

- Jeszcze możesz się wycofać.
- Wiesz, że nie mogę.
- Widziałas to? - spytał, wskazując na szyję ofiary. - Jak sądzisz, co to jest?

Sara już miała zapytać, o czym mówi, ale gdy obróciła głowę, ujrzała błysk złotego łańcuszka wtopionego w ciało. - To jakiś naszyjnik. Naprawdę musimy prześwietlić ciało.

- Mogę odszukać Freda Barta w książce i zadzwonić do niego. Dowiem się, kiedy tu będzie.

Sara uklękła przy samochodzie, sprawdzając, jak jest umocowany fotel. Fred Bart najwidoczniej badał wiele ofiar wypadków samochodowych. Jeśli Jeffrey miał rację i Jake Valentine poprosił Sarę o przeprowadzenie sekcji, żeby mieć ich na oku, Bart zapewne nie będzie zbyt skory do pomocy.

- Możemy zacząć i wyjąć ją, zanim on się zjawi.
- Jesteś pewna, że to kobieta?
- Chyba że zapomniałam podstawy anatomii - odparła. - Jake nie wyglądał na zainteresowanego tym, co stwierdziłam. - Jeffrey wzruszył ramionami. - Czy ponosi mnie wyobrażenia, czy też nic go to nie obchodziło?
- Jeffrey znów wzruszył ramionami, więc dodała: - A może on już wie, kto to jest? I jeśli znów wzruszysz ramionami...
- Nie wiem, Saro. Nie mogę nic ci powiedzieć, ponieważ po prostu nie wiem.

Popatrzyła na niego, zadając sobie pytanie, dlaczego wciąż zapomina, jaki on potrafi być irytująco uparty. Zapewne z tego samego powodu on wciąż zapominał, jaka ona potrafi być wytrwała.

Znów skupiła uwagę na samochodzie.

- Mógłbyś poszukać dużego klucza nastawnego? - Dokładniej obejrzała śruby mocujące fotel. - Po namyśle uważam jednak, że będzie lepiej, jeśli poszukasz palnika.

To miał być długi dzień.

LENA

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Lena zajechała na nauczycielski parking przed liceum i zauważyła, że jej ośmioletnia celica jest tam najlepszym samochodem. Kiedyś kpiła z Sibyl, wytykając jej, że po iluś tam latach zdobywania różnych stopni naukowych jej profesorska pensja w Grant Tech jest zaledwie o pięć tysięcy dolarów wyższa od tej, jaką Lena otrzymuje jako policjantka. Sibyl przypomniała, że Lena ryzykuje życie za roczną pensję o pięć tysięcy dolarów niższą od uposażenia profesora college'u, i wtedy przestało to już być takie śmieszne.

Nie było tajemnicą, że Lena nie błyszczała w liceum Elawah. Uzyskiwała trójki i czwórki aż do szkoły średniej, a ściślej mówiąc, do czasu osiągnięcia dojrzałości, a potem jej oceny zjechały na łeb, na szyję. Dwukrotnie oblała algebrę i dwa razy w ciągu letnich wakacji nadrabiała zaległości, żeby w terminie ukończyć szkołę. Myśl o porzuceniu szkoły nigdy nie przyszła jej do głowy, ale wiedziała od Hanka, że teraz nie kończy jej prawie pięćdziesiąt procent uczniów. Niewielu uczniów widzi sens zakuwania fizyki stosowanej, jeśli niemal na pewno skończą, wożąc gumę w fabryce opon.

Mąż Charlotte Warren pracował w tej fabryce. Oczywiście, teraz nie była już Charlotte Warren. Larry Gibson ukończył szkołę w tym samym roku co ona. Kiedy Sibyl wyjechała do college'u, tych dwoje najwidoczniej zaczęło się spotykać. Troje dzieci później Larry był menedżerem średniego szczebla w fabryce opon, a Charlotte zabijała czas nauczaniem. Byliby na prostej drodze do ziszczenia amerykańskiego snu, gdyby nie fakt, że listy znalezione przez Lenę w biurze Hanka wskazywały na to, że ona jest głęboko nieszczęśliwa.

„Co jest ze mną nie tak? - pisała Charlotte. - Dlaczego nie mogę być szczęśliwa?”

Jednak Lena nie potrafiła się teraz skupić na małżeńskiej niedoli Charlotte. Przyszła tu zdobyć informacje o Hanku i o tym, co skłoniło go do powrotu do dawnego nałogu. Musiała się dowiedzieć, dlaczego je okłamał i co się stało z ich matką. Charlotte Warren mogła znać jego tajemnice. Nie pisze się do kogoś obcego o takich sekretach, jakie Charlotte wyjawiała w swoich listach. Chociaż ostatni list, który Lena znalazła, był datowany ponad miesiąc temu, Charlotte praktycznie otworzyła swoje serce przed Hankiem. Lena była gotowa się założyć, że Hank zrewanżował jej się tym samym. Jeśli nie może uzyskać odpowiedzi od wuja, otrzyma je od jego powierniczki.

Przed wejściem do szkoły nie było strażnika, więc Lena weszła do środka. Na ścianie był wykaz klas i z łatwością znalazła na nim Charlotte

Jak wiele wiejskich szkół, budynek był jednokondygnacyjny z mnóstwem miejsca na rozbudowę, której nie realizowano z powodu braku funduszy. Wzdłuż tylnej ściany, a przed boiskiem stało dziesięć przyczep mieszkalnych pełniących rolę „tymczasowych klas”. Lena przystanąła przy otwartych tylnych drzwiach i popatrzyła na te nędzne przyczepy. Mogli nazywać je tymczasowymi, ale ona wiedziała, że co najmniej dwie pamiętały jeszcze jej szkolne czasy. Część z nich ustawiono na betonowych fundamentach, ale większość na drewnianych wspornikach. Chwasty wyrastały spomiędzy puszek po napojach i pogniecionych kartek, rzucanych pod nie przez uczniów. Rozklekotane drewniane schody wiodły do otwartych drzwi i zastanawiała się, czy mają tam klimatyzację. Pomieszczenia nie mogły mieć więcej jak trzy metry na pięć, a znając ten okrąg, szkoła na pewno upychała w nich dzieci jak sardynki. Nic dziwnego, że tyle z nich nie kończyło szkoły. Lena była w niej zaledwie od piętnastu minut, a już pragnęła stąd wyjść.

Przeszła po betonowym chodniku wzdłuż przyczep, dziwiąc się, że Charlotte wciśnięto zajęcia na tyłach szkoły. Z pewnością z jej stażem pracy mogła otrzymać klasę w głównym budynku. Choć właściwie mogła mówić o szczęściu, mając tę pracę. Sądząc z listów, które znalazła Lena, Hank

był opiekunem Charlotte w grupie AA. deszcze przed rokiem ta kobieta potrzebowała kieliszka dżinu, żeby wstać z łóżka.

- Chce się pani widzieć z dyrektorem? - zawołał nauczycielski głos z otwartych drzwi i Lena zamarła, przypominając sobie, ile razy nauczyciele zadawali jej to samo pytanie.

Choć właściwie nie było to pytanie, bo jeśli dostatecznie ich rozwścieczyłaś i tak szłaś do jego gabinetu.

Przyczepa na końcu była klasą Charlotte i wyglądała na najgorszą z nich. Pierwszy stopień schodów zupełnie zbutwiał i ktoś zastąpił go cementowymi blokami postawionymi na ziemi. Drzwi były otwarte, a zewnętrzne, siatkowe, przekrzywione. W środku Lena zobaczyła dwa długie rzędy ławek i Charlotte pochyloną nad stertą papierów. Oprócz niej w klasie nie było nikogo

Lena stała przed drzwiami, patrząc, jak Charlotte ocenia prace. Teraz, kiedy tu przyszła, nie wiedziała, co powiedzieć tej kobiecie. Czuła się tak, jakby ją zgwałciła, czytając jej listy. Może tak było. Listy Charlotte były bardzo osobiste, przeznaczone tylko dla Hanka. Gdyby było odwrotnie, gdyby Charlotte przeczytała prywatne listy Leny, ta byłaby wściekła.

Teraz jednak było jasne, że Charlotte wie o Hanku więcej, niż powiedziała w bibliotece. Tych dwoje najwyraźniej łączyła głęboka przyjaźń. Bóg wie, że ta kobieta potrafiła dochować tajemnicy. Lena umiała nakłonić ludzi do wyznawania najmroczniejszych sekretów, czy była to kradzież samochodu czy zamordowanie małżonka. Powinna traktować to spotkanie jak przesłuchanie podejrzanej, a nie coś, co dotyczy jej osobiście. Znów usłyszała słowa Jeffreya: „Spraw, by podejrzana poczuła się swobodnie, wciągnij ją w pogawędkę, a potem wyciągnij z niej prawdę”.

Lena zapukała w zewnętrzne drzwi, zanim uświadomiła sobie, że nie są do niczego umocowane. Zaczęły się przechylać na bok i kiedy je chwyciła, kawałek drewna wbił jej się w dłoń.

- Kurwa - syknęła, pozwalając im upaść na ziemię.
- Drzazga? - zapytała Charlotte.

Przeszła przez przyczepę, podczas gdy Lena zmagiła się z drzwiami.

Ssąc dłoń, Lena skinęła głową.

- Wejdz - zaproponowała Charlotte.

Jeśli była zdziwiona, widząc Lenę, to nie okazała tego.

- Dlaczego wsadzili cię tutaj? - spytała Lena, wchodząc. Na ścianach wisiały kolorowe plakaty, a pomieszczenie było czyste i uporządkowane, lecz to nie zmieniało faktu, iż było zaledwie nieco większe od blaszanej puszkii prażącej się w słońcu. Podłoga ugiwała się pod nogami i ktoś próbował uszczelnić okno, oklejając je srebrną taśmą.

Charlotte zamknęła drzwi i włączyła wiszący na ścianie klimatyzator. Musiała podnieść głos, żeby przekrzyczeć jego warkot.

- Chcesz, żebym obejrzała twoją dłoń? - zapytała.

Lena usiadła na brzegu jej biurka i wyciągnęła rękę.

- Nie jest źle - oceniła Charlotte, obejrzawszy drzazgę. W klasie była swobodniejsza niż w bibliotece. Tutaj wyglądała dorosłej, jakby była w swoim żywiole. - Mogę wyjąć ci ją igłą, jeśli...

Lena pospiesznie cofnęła rękę.

- Nie, dziękuję. Sama wyjdzie.

Charlotte uśmiechnęła się i przysiadła na jednej z ławek.

- Wciąż boisz się igieł?

- A ty klaunów?

Charlotte roześmiała się, jakby zapomniała o swoich lękach z dzieciństwa.

- Do wielu rzeczy można się przyzwyczaić.

Tylko nie do uprawiania seksu z mężem, pomyślała Lena. Rozejrzała się po przyczepie, zobaczyła zacieki na suficie i poczuła powiew od kiepsko uszczelnionego okna.

- Kto cię w to wrobił?

- Sue Kuryłowicz. - A kiedy Lena nie zareagowała, wyjaśniła jej: - Pamiętaj ją jako Sue Swallows.

- Łykająca Sue, która obciągała facetom za Stop 'n' Save?

Charlotte znów się zaśmiała - jeszcze jedna rzecz, o której zapomniała.

- Sue jest teraz zastępczynią dyrektora.

- Jezu Chryste, nic dziwnego, że to miejsce to chlew.

- To nie wina Sue - stanęła w jej obronie Charlotte.

Wskazała na pomieszczenie i całą szkołę. - Nie da się założyć świni perel.

- Ona z pewnością wie o tym najlepiej. - Lena potrząsnęła głową. - Nie mogę uwierzyć, że ona jest twoją szefową. Boże, to musi doskwierać.

- Och, nie jest taka zła - mruknęła Charlotte, przyglądając dłonią spódnicę. Teraz bardziej przypominała Charlotte z biblioteki, cichą i pokorną.

- Wiem, że na to nie wygląda, ale przez kilka ostatnich lat Sue była dla mnie prawdziwą przyjaciółką.

- Jak Sibyl?

Zacisnęła wargi.

- Nie. Nie jak Sibyl.

Lena dostrzegła w jej oczach błysk strachu i nieco złagodniała. Takie ostrożne podchody były dla niej czymś nowym, ale mimo to spróbowała.

- Kiedy bar został zamknięty? - zapytała.

- Zdaje się, że dwa tygodnie temu - odpowiedziała Charlotte. - Czytałam o tym w gazecie. Najwyraźniej barman sprzedawał nie tylko alkohol, ale i amfę.

- Deacon? - zapytała Lena, kręcąc głową.

Deacon Simms pracował dla Hanka od trzydziestu lat. Miał ponure usposobienie i wyrok na koncie, co czyniło go idealnym pracownikiem baru i praktycznie wykluczało znalezienie innej pracy. Hank kochał go jak brata.

- Deacon odszedł jakiś czas temu - powiedziała Charlotte. - To był jakiś nowy facet.

Hank nie powiedział jej, że Deacon odszedł, ale nie mówił Lenie o wielu sprawach. Wiedziała, że Deacon ma charakterek - zawsze spierał się z Hankiem - lecz przez te wszystkie lata milion razy zapowiadał, że odchodzi i nigdy nie wróci. Najdłużej udało mu się wytrzymać trzy dni. Wpadał na Hanka na jednym z tych spotkań AA i wszystko szło w niepamięć.

Lena się zastanawiała, czy Charlotte spotkała Deacona na którymś z tych spotkań. Oczywiście, jeśli Charlotte była taka jak Hank, to nie powiedziała by nikomu, nawet gdyby spotkała tam samego papieża pogryzającego darmowe ciasteczka i pijącego kawę. Mimo to spróbowała.

- Czy wiesz, dokąd odszedł Deacon?

- Nie widuję go ostatnio.
- Był taki facet - zaczęła Lena. - Widziałam go przed domem Hanka. Miał swastykę wytatuowaną na ramieniu.
- Na widocznym miejscu? - Charlotte była oburzona. -To obrzydliwe.
Kto to był?
- Miałam nadzieję, że ty mi to powiesz - przyznała Lena.
Tego faceta będzie trudniej znaleźć, niż przypuszczała. Powoli dochodziła do punktu, w którym będzie potrzebowała pomocy, jeśli nie chce jeździć w kółko po mieście, szukając tego oprycha. Musiała tylko wymyślić, jak poprosić Jeffreya o pomoc, nie wciągając w to Hanka. Przecież nie mogła zadzwonić do swojego szefa i poprosić, żeby pomógł jej wytropić dilerę, który dostarczał narkotyki jej wujowi.
- Przykro mi, że nie mogę ci pomóc - łagodnie powiedziała Charlotte.
Lena zbyła te przeprosiny wzruszeniem ramion.
- Jak sądzisz, dlaczego Hank znów zaczął brać?
- Kto wie? - odparła, strzepując ze spódnicy jakiś niewidoczny pyłek. -
Może zmęczyło go odczuwanie pewnych rzeczy.
Mówiła jak ktoś, kto wie, o czym mówi. A Lena, oczywiście, znała prawdę ukrytą w tych słowach.
- Znalazłam twoje listy.
Charlotte znów się zaśmiała, lecz tym razem bez cienia wesołości. Spojrzała na swoje dłonie, potem na podłogę - wszędzie, byle nie na Lenę.
- Pewnie je przeczytałaś?
- Wolałabym nie czytać - przyznała Lena.
Charlotte powoli wypuściła powietrze z płuc.
- W tych listach pisałam o tylu sprawach. Takich, o których nikomu nie powinnam mówić.
- Próbowałaś się zabić.
Jednocześnie skinęła głową i wzruszyła ramionami.
- Dlaczego? - zapytała Lena. - Jeśli tak ci tu źle...
- To co, mam po prostu wyjechać?
- Tak.
- Dla ciebie to takie łatwe - zaczęła Charlotte. - Nie masz dzieci ani domu, który starałaś się uczynić domem, ani męża, który kocha cię tak bardzo, że jest gotowy po-

święcić wszystko, ani... - Powstrzymała się, opanowując emocje. - Kocham mojego męża. Naprawdę, naprawdę go kocham. Nie potrafię ci opisać, jakie byłoby moje życie bez Larry'ego. Trwał przy mnie przez cały ten syf, w jaki wciągnęłam rodzinę. Nawet kiedy... - Zamilkła. - Kiedy zażyłam te tabletki, był tam. To on wezwał karetkę. On był pierwszą osobą, którą zobaczyłam po przebudzeniu w szpitalu. Wziął urlop z pracy, chociaż kosztowało go to awans. Sprzątał dom, gotował dzieciom, robił zakupy, a po nocach dodatkowo pracował w jakimś okropnym motelu, żeby było nas stać na moje wizyty u psychoterapeuty. Robił wszystko, kiedy ja leżałam w łóżku i użalałam się nad sobą.

- Sześć lat temu. - Lena przypomniła sobie datę z listów. - Po śmierci Sibyl.

Charlotte uśmiechnęła się słabo.

- Wiesz, to nawet nie chodziło o nią. Chcę powiedzieć, że oczywiście byłam zdruzgotana. Nie tylko umarła, ale sposób, w jaki została zamordowana, jeszcze pogarszał sprawę. - Zamilkła, biorąc się w garść. - Sibyl była taka łagodna i to, co ją spotkało...

Lena nie chciała o tym myśleć, pamiętać szczegółów.

- Rozumiem - powiedziała. - Wiesz, że rozumiem.

- To sprawiło, że zobaczyłam, jak moje życie toczy się samo, a ja nie zwracam na to uwagi. Czy tobie przydarzyło się coś takiego, Lee?

Lena nigdy się nad tym nie zastanawiała, ale chyba tak.

- Nagle jestem dorosła i zamężna, prowadzę minivana i usiłuję znaleźć czas na odebranie moich dzieci z treningu piłkarskiego, ugotowanie obiadu i wieczór z mężem.

Lena poczuła się przytłoczona od samego słuchania, ale mimo to czuła się zobowiązana powiedzieć:

- To nie brzmi tak źle.

- Właśnie - zgodziła się Charlotte. - Oto wiodę idealne życie, a potrafię myśleć tylko o tym, że jeśli pójdę na jeszcze jedną loterię kościelną albo mecz piłkarski, to chyba się zabiję. A pewnego ranka budzę się i postanawiam zrealizować ten zamiar.

- Czy twój mąż wie o Sibyl?

- Larry wie, że byliśmy sobie bliskie, ale nic poza tym. - W końcu spojrzała na Lenę. - Myślę, że to by go

zniszczyło, gdyby się dowiedział. Nie z powodu, który podejrzewasz, ale ponieważ on wie... wie, że czegoś nam brakuje, i tak bardzo stara się...

- Czy rozmawiałaś o tym z psychoterapeutą?

- Z tym głęboko wierzącym psychoterapeutą, który jest także naszym pastorem? - Słowa Charlotte ociekały sarkazmem. - Och tak. Omówiliśmy to, on pomodlił się za mnie i Jezus zdjął to ze mnie w cudowny sposób. - Łzy popłynęły jej z oczu. - To mój krzyż, który muszę dźwigać, Leno. Jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz, prawda?

- Gdybyś jednak...

Uparcie pokręciła głową.

- Gdyby Larry się dowiedział, byłby zdruzgotany. Niemogę mu tego zrobić. Musisz zrozumieć, że ja naprawdę bardzo go kocham. Uporałby się ze wszystkim, nawet z innym mężczyzną, ale to jest coś, z czym nie mógłby rywalizować, i to po prostu by go zabiło.

Lena starała się poruszać ostrożnie.

- A czy musiałby rywalizować?

Charlotte obrzuciła ją przenikliwym spojrzeniem.

- Chcesz powiedzieć, że to była tylko faza mojego życia? - Gorzki ton świadczył o tym, że słyszała już to wyjaśnienie. - Kochanie kogoś, poczucie więzi, jakby wasze serca były jednym, to nie jest faza.

- Wiem - powiedziała Lena, ponieważ Charlotte chyba to chciała usłyszeć.

- Byłam z innymi mężczyznami, Lee. To nie tak, że nie natrafiłam na właściwego.

- Przykro mi - przeprosiła Lena. - Nie chciałam tego powiedzieć.

Charlotte spoglądała na swoje dłonie. Jej zaręczynowy pierścionek był wielki jak głaz, olśniewający w tej nędznej przyczepie. Mężczyzna nie kupuje kobiecie takiego pierścionka, jeśli nie jest w niej zakochany po uszy.

- Kiedy Larry i ja zaczęliśmy się spotykać, wiedział, że niedawno rozstałam się z kimś. Nie wiedział tylko, że to była kobieta.

Lena nie była niewidoma, ale w końcu okazała się bardziej ślepa niż jej siostra. Kiedy siedząc w szopie, czytała wyznania Charlotte, przypomniawszy sobie, ile razy Sibyl

zamykała drzwi do ich pokoju, prosząc, żeby zostawiła ją samą z Charlotte, żeby mogły się uczyć. Lena nigdy się nie domyślała, czego się uczyły.

Przez całe lata Lena za lesbijskie skłonności Sibyl obwiniła Nan Thomas, kobietę, z którą siostra żyła, kiedy zginęła. Lena przez długi czas nie mogła się pogodzić z myślą, że seksualne preferencje Sibyl się nie zmieniają. W końcu nawet udało jej się niemal zaprzyjaźnić z Nan. Podświadomie jednak wciąż uważała Sibyl za niewinną ofiarę, wyrwaną z normalnego świata. Jeśli wszystko zaczęło się już z Charlotte Warren, to swoje poglądy na to, dlaczego Sibyl się zmieniła, mogła wyrzucić przez okno.

Rzecz w tym, że Sibyl wcale się nie zmieniła. Zawsze taka była, tylko Lena była za głupia, żeby to zauważyć.

- Czy twój mąż wie, że chodzisz na spotkania AA? - zapytała.

- Trochę trudno to ukryć, kiedy zostajesz zawieszona w obowiązkach za pijaństwo. - Zaśmiała się, choć w tym, co mówiła, nie było niczego zabawnego. - To było wtedy, kiedy uczyłam w budynku, a nie tu, w przyczepie. Padłam jak długa na oczach reporterów z gazety. Gdyby nie Łykająca Sue, straciłabym pracę. - Uśmiechnęła się. - Chyba można by się spierać, że był środek roku i jest prawie niemożliwe znalezienie kogoś, kto chciałby uczyć, ale wolę myśleć, że pozwoliła mi nadal uczyć, ponieważ we mni- Mówisz to tak, jakby to wszystko było żartem.

- Och, Lee. Gdybym nie śmiała się z tego, nie mogłabym rano wstać z łóżka.

- Dlaczego zaczęłaś pić?

- Ponieważ był to powolniejszy, bardziej akceptowalny społecznie sposób popełnienia samobójstwa. - I zaraz dodała: - A ponadto znieczulał. Nie chciałam niczego czuć.

- To samo powiedziałaś o Hanku.

- Tak. Zgadza się. - Charlotte przełknęła ślinę. Teraz, kiedy już spojrzała na Lenę, nie mogła od niej oderwać oczu. - Jesteś taka podobna do Sibyl, wiesz?

Lena pokręciła głową.

- Już nie wyglądam tak jak ona.

- W środku - upierała się Charlotte, przyciskając dłoń do piersi. - W środku też zawsze byliście takie same.

Lena musiała się roześmiać.

- Sibyl wcale nie była do mnie podobna. Ja przez cały czas miałam kłopoty. Zapewne jedno z krzeseł przed gabinetem dyrektora nazwali moim imieniem.
- Ona po prostu umiała się lepiej maskować - odparła Charlotte. - Pamiętasz, jak robiła miny do Coacha Hansona na lekcji biologii?

Lena poczuła, że się uśmiecha.

- Robiła z nim, co chciała. Nienawidził jej jak zarazy.
- Pamiętasz tę okropną muzykę, jakiej słuchała? Boże, tak bardzo lubiła Joan Jett.
- Czy to Sibyl... No wiesz, czy to ona... - Lena poczuła, że się rumieni. - Chryste. Nieważne.
- To było obopólne - wyjaśniła Charlotte. - Obie uczyłyśmy się na łóżku. Okno było otwarte i zaczął padać deszcz, więc wyciągnęłam rękę, żeby je zamknąć, i jedno pociągnęło za sobą drugie, i po prostu... tak się

Lena poczuła pustkę w żołądku. Łóżko Sibyl było pod ścianą. Robiły to na jej łóżku.

- Dobrze się czujesz?

Lena kiwnęła głową, usiłując odpędzić obraz, który stawał jej przed oczami.

Charlotte źle zinterpretowała jej reakcję.

- Myślała, że nigdy tego nie zaakceptujesz.
- Miała rację - przyznała Lena, czując znajomy smutek. - Teraz tak, ale nie wtedy, kiedy to miało znaczenie.
- Wiedziała, że ją kochasz, Lee. Nigdy w to nie wątpiła. - Charlotte wstała i podeszła do okna. - Jaka jest Nan?
- Nan? - powtórzyła Lena. - Skąd wiesz o Nan?
- Zadzwoiła do mnie po śmierci Sibyl.
- Och.

Lena zawstydziała się, że sama tego nie zrobiła. Charlotte jakby czytała w jej myślach.

- Miałas mnóstwo na głowie, Lee. Nie przejmuj się.
- Powinam dać ci znać. Byłyście... - Lena nie wiedziała, jak scharakteryzować związek Sibyl z Charlotte. - Powinam była do ciebie zadzwonić. - Nan zrobiła na mnie wrażenie snobki.
- Nan? - Lena wzruszyła ramionami. - Skądże. Czasem

bywa dokuczliwa, ale przeważnie jest w porządku. Mieszkałam z nią przez jakiś czas.

- Hank mówił mi o tym - powiedziała Charlotte. - Uśmieśliśmy się z tego.

Lena znów poczuła pustkę w żołądku.

- Co jeszcze mówił ci o mnie Hank?

- Mówił, że martwi się o ciebie. O tym, że spotykasz się z naprawdę złym facetem, i obawia się, że nie potrafisz się od niego uwolnić. - Zawahała się, po czym dodała: - I o tym, że pojechał z tobą do Atlanty.

Lenę ścisnęło w gardle.

- Czy to dlatego znów zaczął brać? Ponieważ ja...

Nie mogła tego powiedzieć, nie mogła mówić o tym, co zdarzyło się w tej klinice.

- Posłuchaj - ostro rzuciła Charlotte. Zaczekała, aż Lena na nią spojrzy.

- Nie można zmusić kogoś do zażywania narkotyków, tak jak nie można zmusić go, by przestał. Nie masz takiej władzy nad Hankiem ani nad nikim innym. Hank znów zaczął brać ze swoich własnych powodów.

To zabrzmiało jak cytat z jednej z jego broszur dla AA.

- Czy podał ci te powody?

Charlotte znów przecząco pokręciła głową.

- Przeważnie tylko mnie słuchał. Byłam tak zaprzętnięta sobą, że nie dostrzegałam, co się z nim dzieje, dopóki nie było za późno.

- Kiedy znowu zaczął?

- Powiedziałabym, że trzy miesiące temu, może cztery lub pięć, jeśli zaczynał powoli.

- Czy mówił coś o tym podczas waszych spotkań?

- Nie mogę ci powiedzieć, o czym mówił na naszych spotkaniach, Leno. Przecież wiesz. - Uniosła ręce, jakby powstrzymując następne pytanie.

- Mogę ci powiedzieć, że dwa miesiące temu stwierdził, że nie może już być moim opiekunem. Byłam zraniona i nie wypytałam go o to tak, jak powinnam, ponieważ byłam zbyt zła i urażona. Nawet trochę cieszyłam się, kiedy nie pojawił się na następnym spotkaniu i późniejszych. Czasem jeździł na te w Carterson, więc zakładałam, że przeniósł się tam.

Do Carterson było zaledwie pięćdziesiąt mil, niedaleko dla kogoś takiego jak Hank, kto lubił jeździć.

- Kiedy rozumiałaś, dlaczego przestał chodzić na spotkania?
- Kilka tygodni temu. Przemogłam się i poprosiłam znajomą z Carterson, żeby pozdrowiła ode mnie Hanka, a ona odparła, że nie widziała go całe wieki.

- Widziałaś kiedyś przed jego domem białą terenówkę?

- Nie. - I dodała: - Larry i ja chodzimy na spacer po kolacji. Niemal co wieczór przechodzimy pod domem Hanka. Nigdy nikogo tam nie widziałam. Nawet się zastanawiałam, czy nie przyjechałaś i nie zabrałaś go stąd. Jego samochód stał na podjeździe, ale w domu nigdy nie paliły się żadne światła oprócz tego jednego - w kuchni.

Hank zawsze zostawiał zapalone światło w kuchni, żeby zniechęcić złodziei - kiepska strategia, jeśli cała okolica wiedziała o tej sztuczce.

- Kiedy widziałaś go ostatni raz? - zapytała Lena.

- Cztery dni temu. Dlatego do ciebie zadzwoniłam. Był na zewnątrz, próbował naprawić skrzynkę na listy. Ktoś włożył do niej petardę, pewnie któryś z tych dzieciaków z sąsiedniej ulicy za wcześnie rozpoczął Halloween. Larry zaproponował mu pomoc, ale Hank skłął go i kazał nam odejść, więc poszliśmy.

Lena zastanowiła się nad tym.

- Siedział w domu od Bóg wie ilu miesięcy, a wyszedł na zewnątrz z powodu zepsutej skrzynki na listy?

- Był kompletnie naćpany, Lee. Dziwię się, że zdołał utrzymać się na nogach, nie mówiąc o przejściu sześciu metrów do skrzynki. Jego skóra wyglądała okropnie. Najwidoczniej nie mył się od dawna. Każdy głupi zrozumiałby, co robi.

- Czyli?

- Próbuje to zakończyć.

Lenie głos wiązał w gardle.

- Zakończyć swoje życie?

Charlotte wzruszyła ramionami.

- Może swoją udrekę.

- Co się zmieniło? Co wytrąciło go z równowagi?

- Nie mam pojęcia. Naprawdę. Codziennie rano, wstając, skupiam się na tym, żeby się nie napić. Jestem alkoholiczką. My nie słyniemy z altruizmu.

Lena wątpiła, aby to dotyczyło Charlotte.

- Jednak zauważyłaś, że miał problemy, już dwa lub trzy miesiące temu?

- Nie wiem - przyznała Charlotte. - Może dostrzegłam, że był przygnębiony, zaferowany lub dziwny, ale myślałam tylko o sobie. Zaczęła się szkoła i całe to piekło z dziećmiakami drwiącymi ze mnie za moimi plecami i nauczycielami drwiącymi ze mnie w żywe oczy. Walczyłam, żeby zachować trzeźwość. Skupiałam się na tym, co mi w tym pomoże. - Bezradnie rozłożyła ręce. - Zanim się zorientowałam, że coś jest z nim nie tak, było już za późno. Nie chciał ze mną rozmawiać, nie odbierał telefonów, nie otwierał drzwi. Powtarzał, że bym zostawiła go w spokoju i pozwoliła mu robić to, co chce.

Lena знаła tę śpiewkę.

- Wtedy zaczęłaś pisać do niego listy?

- Tak. - Zamilkła, zatopiona w myślach. - Z początku czułam się dziwnie, ale kiedy nie odpowiedział, poczułam się swobodniej. Pisałam, co chciałam. Nigdy przedtem tego nie robiłam, a teraz mogłam wyrazić wszystko, co mi przyszło na myśl.

- Dużo piszesz o Sibyl, o tym, jak to było, kiedy byliście razem.

Niektóre fragmenty tak trudno było jej czytać, że Lena długo wpatrywała się za okno, zagubiona w innym czasie. Charlotte zdołała oddać naturę Sibyl: jej miłe usposobienie, czułe i kochające. Nawet gdy Lena skończyła czytać te listy, wciąż miała to uczucie, tak jakby Sibyl znów żyła.

- Hank jest jedyną osobą, która wie o niej. O nas - powiedziała Charlotte. - To, co czułyśmy do siebie, to była miłość, a nie coś groteskowego. - Oparła się o okno, z rękami splecionymi na brzuchu. - Jednak wiesz co? Dawno temu zapytał, co by było, gdyby nasz związek przetrwał. Wiesz, że mogłam się przenieść do Georgia Tech. Nie zaproponowali mi pełnego stypendium tak jak Sibby, ale już byłam w college'u i całkiem dobrze sobie radziłam. Byłam nieszczęśliwa, mieszkając z rodzicami i dojeżdżając z Milledgeville. Mogłam się przenieść, znaleźć pracę w Atlancie, uzyskać pożyczkę na studia albo coś, ale nie zrobiłam tego.

- Dlaczego?

- Chyba się bałam. Wtedy wszystko mnie przerażało. Atlanta jest taka duża, taka anonimowa. Tu czułam się bezpieczna. Ponadto to zabiłoby moich rodziców.

- Nam łatwiej było opuścić dom niż tobie - spróbowała Lena. - Twoi rodzice byli...

- Moi rodzice już nigdy nie odezwaliby się do mnie, gdybym pojechała za nią do Atlanty. Raz przyłapali nas razem. Wiedziałaś o tym? - Lena przecząco pokręciła głową, wstrząśnięta tym, że Sibyl jej nie powiedziała. - Miałam jesienną przerwę międzysemestralną na pierwszym roku, a Sibyl miała wyjechać do Tech. Moi rodzice mieli przez cały dzień być z wizytą u ciotki Jeannie, ale pokłócili się. Wtedy wciąż się kłócili. Mniej więcej wtedy mama odkryła, że ojciec od około pięciu lat pieprzy panią Ford z kościoła. - Zaśmiała się na to wspomnienie. - No i wrócili wcześniej i zaskoczyli nas... No cóż, możesz sobie wyobrazić na czym. Zadzwonili do baru po Hankę. Był wściekły, ale na nich, nie na Sibyl. Powiedział, że obie jesteśmy dorosłe i to nie ich cholemy interes.

- „Niechaj ten, kto jest bez grzechu...” - zacytowała Lena.

To był jeden z ulubionych cytatów Hanki. Zawsze go przytaczał, zanim powiedział ci, że źle robisz.

- Miałyście szczęście, mając go.

Lena roześmiała się.

- Żartujesz? Kiedy dorastałam, zabiłabym, żeby mieć takich rodziców jak twoi.

- Możesz ich sobie wziąć.

- No dobrze - ustąpiła Lena. - Wtedy źle zrobili, ale nigdy przypadkiem nie zamknęli ci na całą noc drzwi domu, nie zapomnieli cię nakarmić, nie zostawili samej z obcymi ludźmi i, do cholery, nigdy nie spili się tak, żeby potraścić cię samochodem i...

- Co?

- Przecież wiesz, co zrobił Hank.

Charlotte wyglądała na zaskoczoną.

- Co takiego zrobił?

- Oślepił ją. Przez niego Sibyl straciła wzrok. Jak możesz nie...

- Lena, to nie był Hank.

Serce zastygło Lenie w piersi.

- O czym ty mówisz?

Charlotte stała przed nią, zaskoczona reakcją Leny.

- Byłam tam wtedy.

- Nie, nie byłaś.

- Ty, ja i Sibby bawiliśmy się na podwórku przed domem starą piłką tenisową, którą ukradłam mojemu ojcu. Przerzuciłaś piłkę nad głową Sibby, a ona wybiegła na podjazd i...

- Nie - upierała się Lena. - Nie było cię tam.

Mówiąc te słowa, przypomniała sobie jednak tamten dzień: rzuca piłkę nad głową Sibyl, która za nią goni. A po drugiej stronie podjazdu stoi Charlotte Warren, łapie piłkę i odrzuca ją Lenie.

- Nie - potrząsnęła głową, jakby chciała się pozbyć tego wspomnienia. - Nie było cię tam.

- Byłam, Lee. Widziałam cofający się samochód. Krzyknęłam, ale ona się nie zatrzymała. Zderzak uderzył Sibyl w głowę. Zobaczyłam, jak upadła na podjazd. - Gdy to mówiła, tamta scena znów stanęła Lenie przed oczami. Sibyl wybiega na podjazd, Charlotte krzyczy. - Była tylko cieniutka strużka krwi. - Charlotte przesunęła palcem od skroni po policzku, dokładnie tam, gdzie pocięła krew Sibyl. - Zaczęłaś szlochać, wpadłaś w histerię, a Hank wybiegł z domu i twoja matka...

- Moja matka? - Lenie zakręciło się w głowie. Oparła się o biurko. - O czym ty mówisz? Moja matka była tam? Była tam wtedy, kiedy Sibyl...?

- Lee. - Charlotte położyła dłoń na ramieniu Leny. - To nie był Hank. To wasza matka prowadziła samochód. To ona oślepiła Sibyl.

**ŚRODA
WIECZOREM**

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Sara leżała w łóżku, usiłując nie myśleć o tym, co zamieszkuje w materacu pod nią. Sekcja trwała dziesięć bitych godzin i kiedy w końcu wróciła do motelu, o mało nie zapłakała na widok brudnego pokoju. Sara wiedziała, że mają tu sprzątaczkę. Wcześniej rano widziała tę kobietę pchającą wózek ze środkami czyszczącymi i odkurzaczem. Poza posłaniem łóżka nie zrobiła w pokoju zupełnie nic. Sara nie oczekiwała listu z podziękowaniami za wyszorowanie łazienki, ale ta kobieta mogła przynajmniej odkurzyć dywan. Zielony cukierek, który wczoraj rano widziała pod stołem, wciąż tam leżał.

Sara zamknęła oczy i słuchała nucącego pod prysznicem Jeffreya oraz bębnienia wody o plastikową wannę. Oczyszczyła mu skaleczenie na dłoni jakimś środkiem dezynfekującym znalezionym w kostnicy, ale będzie musiał sam ją zabandażować, kiedy wyjdzie spod prysznica. Była zbyt zmęczona, żeby to zrobić, i prawdę mówiąc, jeszcze nie do końca przestała się gniewać za wczorajsze popołudnie. Spędzili cały dzień razem, ale żadne z nich nie zamierzało przełamać lodów i porozmawiać o tym, co się stało.

Jeffreyowi zdawało się to nie przeszkadzać, co jeszcze bardziej złościło Sarę. W tej sytuacji czuła się jak typowa jędzowata żona z telewizyjnego serialu, która zawsze najeżdża na swego biednego, nierozumianego męża. Zawsze wspierała Jeffreya, nawet kiedy uważała, że się myli, więc było nie fair, że ustawiał ją w roli sekutnicy.

A do tego wszystkiego Sara miała złe przeczucia co do Elawah i tego, co wplątała ich Lena. Sekcja, którą przeprowadziła tego dnia, tylko pogłębiła ten niepokój. W ciągu minionych lat w Grant sporo osób zginęło gwałtowną

śmiercią, lecz Sarze trudno byłoby znaleźć okropniejszy przypadek od spalenia żywcem. Zwykle udawało jej się oddzielić ofiarę i zbrodnię. Jeśli masz kroić martwe ciało, nie możesz o nim myśleć jak o żywej osobie. Musisz patrzeć na nie jak na zbiór części składających się w całość: układ krążeniowy, oddechowy, tkanki, narządy, szkielet.

Mimo to, pracując nad ciałem tej kobiety, Sara zaczęła się zastanawiać nad jej życiem, rodzajem śmierci, rodziną, którą zostawiła. Potem zaczęła rozmyślać o sprawcy. Jaki człowiek mógł uczynić coś takiego innej ludzkiej istocie? Z pewnością nie osoba, z którą chciałaby, żeby rozmawiał Jeffrey.

Nie czekali z rozpoczęciem sekcji na przybycie Freda Barta i dobrze zrobili, gdyż dentysta wcale się nie pojawił. Wyjęcie szczątków z pojazdu okazało się łatwe. Kiedy zwłoki znalazły się na stole, Sara odkryła, że ciało tej kobiety zostało tak strawione przez ogień, że nie można było zastosować zwykłych procedur. Piłka Strykera była niepotrzebna, gdyż tył czaszki pękł Sarze w dłoni i mózg wyslizgnął się przez otwór jak pestka z dojrzałej brzoskwini. Nie musiała rozcinać klatki piersiowej, ponieważ nie zostało prawie nic do rozcinania.

Wszystkie żebra poza dwoma były popękane od żaru. Krtań i przełyk były zwęglone, a język wtopiony w resztki szyi. Powierzchnia obu płuc była zwęglona, a pęcherzyki płucne całkowicie zalepione sadzą. Większość mięśni wyglądała jak ugotowana. Szpik kostny był czarny.

Sadza w płucach dowodziła, że kobieta żyła dostatecznie długo, żeby wciągnąć dym w płuca. Sara z pewnością nie była ekspertem od podpaleń, ale założyła, że wybuch baku był wynikiem pożaru, który ogarnął wnętrze samochodu. Siła eksplozji, skierowana w górę i na zewnątrz, niemal całkowicie zniszczyła tył wozu. Kobieta, nawet siedząca na tylnym siedzeniu, powinna móc rozpiąć pas i wysiąść z wozu, zanim doznała poważniejszych obrażeń.

Wszystko świadczyło o tym, że nie została zgwałcona. Sara zastanawiała się, czy ta myśl przyniosła jej ulgę. Ona sama została zgwałcona - i to brutalnie, jak raz po raz przypominała jej pewna prawniczka. Chociaż było to okropne doświadczenie, Sara wyobrażała sobie, że o wiele boleśniej jest spłonienie żywcem.

Najbardziej przerażało ją to, że ta kobieta najwidoczniej wiedziała, co się stanie. Nie było żadnych dostrzegalnych uszkodzeń czaszki - sprawca nie ogłuszył jej, zanim podłożył ogień. Patrzyła, jak płomień pożera jej ciało, i czekała na śmierć.

Szum prysznicza ucichł i Sara obróciła się na brzuch, żalując, że nie zabrała z domu poduszek. Miała na sobie skarpetki, spodnie od dresu i koszulę z długimi rękawami zapiętą pod szyję, choć w pokoju było duszno i śmierdziało smażonymi kurczakami. Resztki dostarczonej pizzy leżały na plastikowym stole i pomyślała, że zjadłaby jeszcze kawałek, ale nie chciało jej się wstać. Poprosiłaby Jeffreya, ale wcześniej wystarczył mu jeden rzut oka na dobrze wysmażone kawałki wołowiny na pizzy, żeby zebrało mu się

Łóżko zakotysało się, kiedy się kładł. Czekala, aż zgasi światło, ułoży poduszki i pościel tak jak zawsze przed snem. Nie zrobił tego.

- Śpisz? - zapytał.

- Tak - skłamała. - Opatrzyłeś sobie rękę? Nie odpowiedział.

- Nie powinienem był zwalniać. - I dodał: - Wczoraj - jakby potrzebowała tego uściślenia, a potem powtórzył: - Nie powinienem był zważać Sara zamknęła oczy.

- Ja nie powinnam była cię uderzyć - odparła Sara, choć mimo usiłowań i zawstyżenia faktem, że uciekła się do przemocy, nie była w stanie szczerze tego żałować.

Mimo to obróciła się na bok i położyła głowę na jego piersi. Głęboko westchnął i poczuła, że opuszczają ją resztki gniewu.

- Pachniesz hotelowym mydłem - powiedziała.

- Mogło być gorzej - przypomniał, choć na szczęście nie wyjaśnił tego dokładnie. - Dzwoniłaś do matki?

- Ucięła sobie drzemkę z tatą - powiedziała Sara i dodała: - O szóstej wieczorem.

Jeffrey roześmiał się, a Sara nie powiedziała mu, że dopiero mając dwadzieścia dwa lata, odkryła, że zwyczajowa „drzemka” rodziców jest przykrywką dla czegoś grzeszniejszego od zwykłego snu. Nie powiedziała mu też, że poinformowała ją o tym jej dziewiętnastoletnia siostra.

Jeffrey splótł swoją dłoń z jej dłonią.

- Może wkrótce my będziemy sobie ucinąć drzemki - rzekł.

Dziecko. Ich dziecko.

- Sprawdziłem automatyczną sekretarkę, kiedy robiłaś notatki z sekcji - powiedział jej. - Z agencji adopcyjnej nie dzwoniли.

- Ja sprawdziłam ją, kiedy byłeś pod prysznicem.

- Zadzwoń - zapewnił ją. - Czuję to.

- Nie mówmy o tym. Nie chcę zapeszyć.

Tak naprawdę mogły minąć lata, zanim trafi do nich jakieś dziecko, chociaż fakt, że zgodzili się na dziecko w wieku od dwóch lat, nie określając rasy ani płci, zdecydowanie przesunął ich w górę listy. Kobieta z agencji powiedziała, że może to być za rok lub za dzień. Mogli tylko czekać - a w tym ani Jeffrey, ani Sara nie byli zbyt dobrzy.

Jeffrey pogłodził jej ramię, a potem bok. Wsunął kciuk pod gumkę spodni.

- Może moglibyśmy sobie uciąć drzemkę teraz - zaproponował.

Podparła się na łokciu, spojrzała mu w oczy i powiedziała głośno i wyraźnie:

- Żadna część mojego nagiego ciała nie dotknie czegokolwiek w tym parszywym pokoju motelowym.

Posłał jej jeden z tych swoich chytrych uśmieszków.

- Czy to jakiś rodzaj gry wstępnej?

Sara znów położyła głowę na jego piersi, nie chcąc dać mu szansy przekonania jej, by zmieniła zdanie.

- Proszę, powiedz mi, że to, co dziś zrobiłam, pomoże ci i będziemy mogli stąd wyjechać.

- Nie wiem, czy mogę to zrobić - przyznał, ponownie gładząc jej ramię.

- Wciąż nie znamy tożsamości ofiary. Gdyby Lena tu została, zapewne do tej pory znaleźlibyśmy prawnika, który by ją wyciągnął.

- Nie wspominaj o prawnikach - poprosiła.

- Jeszcze o tym nie rozmawialiśmy - przypomniał. - O tym, jak poszło przesłuchanie. Jaka przyjęli strategię.

- Wszystko w porządku - powiedziała, ale głos uwiązł jej w gardle.

Na automatycznej sekretarce nie było również wiadomo-

ści od Buddy'ego Conforda. To oznaczało, że firma Global Medical Indemnity wciąż nie zdecydowała, czy medyczna decyzja Sary jest warta obrony, czy należy skapitulować przed żądaniami pogrążonych w żalu rodziców Jimmy'ego.

Po raz pierwszy w życiu pospiesznie zmieniała temat rozmowy, kierując ją znów na Lenę.

- Cieszę się, że to nie Hank był w tym samochodzie.

- No to jest nas dwoje - rzekł. On najlepiej wiedział, jak łatwo byłoby miejscowej policji oskarżyć Lenę o morderstwo, gdyby ofiarą był jej wuj. - Nadal nie wiem, jak Jake zamierza zrobić z tego sprawę bez identyfikacji. Musi być jakiś motyw. Jeśli nie zdoła dowieść istnienia powiązania między Leną a ofiarą, gra skończona.

- Nieznajomość nazwiska ofiary nie zmienia faktu, że ona nie żyje. - Sara przyglądała włosy na jego piersi, żeby nie techtały jej nosa. - A Lena była na miejscu zbrodni. Trzymała nogę na kanistrze z benzyną.

- Zapewne nie zdołają zdjąć odcisków z tego kanistra.

- To nie jest przekonujący dowód na jej obronę.

- Nie mają jej zeznania. Nie odezwała się do nikogo słowem.

Sara już miała zapytać, dlaczego przyznaje Lenie dobrodziejstwo wątpliwości, podczas gdy takie samo postępowanie u kogoś innego niemal na pewno uznałby za przyznanie się do winy, lecz była zbyt zmęczona na kłótnię, jaką to by wywołało.

- Chciałbym znaleźć Hanka - powiedział Jeffrey. - On musi coś wiedzieć.

- Jesteś pewien, że nie ma go w domu? Może tam się ukrywa?

- O ile mogłem stwierdzić, nikogo tam nie było. - I dodał: - Valentine postawił samochód przed jego domem. Jestem pewien, że dobijali się do niego, kiedy zniknęła Lena.

- Może trzeba zapukać tak mocno, żeby drzwi się otworzyły.

Zaśmiał się ze zdziwieniem.

- Chyba małżeństwo z policjantem zaczyna w końcu na ciebie działać.

- Zatem posłuchaj mnie. Obawiam się, że Lena zrobiła coś, co naraziło Hanka na niebezpieczeństwo.

Jeffrey odpowiedział dopiero po chwili.

- A czy przyszło ci do głowy, że mogło być wprost przeciwnie? - Nie odpowiedziała, więc dodał: - Hank zapewne znów zaczął brać. Może wkurzył swojego diler. Może Lena chciała zrobić porządek, a diler nie chciał ustąpić pola.

Popatrzyła na niego, opierając brodę na dłoni.

- Mów dalej.

- Ci faceci nie lubią, jak ktoś im się wpięprza w paradę - ciągnął Jeffrey.

- I nie boją się policjantów.

Po raz pierwszy, od kiedy tu przyjechali, Sara w końcu usłyszała coś, co było logiczne. Łatwo mogła sobie wyobrazić, jak Lena wkurza niewłaściwych ludzi i do diabła z konsekwencjami. Ten sam wzorec, jaki cechował jej związek z Ethanem Greenem - prowokowanie skina-kochanka do momentu, aż ucieka się on do przemocy fizycznej - mógł wystąpić i tu, w okręgu Elawah.

- Nie widziałas Pfeiffera z bliska - powiedział Jeffrey. - Był przerażony. Może myślał, że przystali mnie, żebym dokończył robotę. - Zawahał się, jakby nie do końca przetrwał następny wniosek. - Być może Lena nie chciała ze mną rozmawiać tamtej nocy, ponieważ nie chciała mnie wystawić tym ludziom.

Sara znowu położyła głowę na piersi Jeffreya. Nie potrafiła zinterpretować wątpliwości na korzyść tej kobiety, ale nie chciała kłótni, jaką z pewnością wywołałaby, gdyby to powiedziała.

- Myślisz, że ten mężczyzna, którego widzieliśmy w szpitalu, mógł być dilerem Hanka?

- Jake powiedział, że ten facet to diler.

- Mówił także, że chciał odwiedzić jednego ze swoich chłopców w szpitalu - przypomniała Sara. - Gdyby ten człowiek był dostawcą Hanka i Lena weszła mu w drogę, Jake miał mnóstwo okazji, by ci o tym powiedzieć.

- Wtedy nie byłem na szczycie listy jego ulubieńców - przypomniał jej Jeffrey. - Uważał, że ty i ja pomogliśmy Lenie uciec.

Sara nie chciała się nad tym rozwodzić.

- Sądziś, że Hank mógł jej pomóc?

Wzruszył ramionami.

- Aby wydostać się z miasta, potrzebowała samochodu,

ubrania i pieniędzy. Mogła zdobyć to wszystko sama albo znaleźć pomoc.

- Nie wiem, czy kupuję pomysł, że Hank mógł zorganizować to wszystko.

- Jest stary - przyznał Jeffrey. - A jednak takich śladów na rękach nie zdobywa się w szkółce niedzielnej.

Miał rację. Prawdę mówiąc, miał rację w wielu sprawach. Zastanawiała się, dlaczego nie pomyślał o tym wczoraj. Oszczędziłoby to im obojgu mnóstwa kłopotów, nie mówiąc już o prawie ośmiusetmilowej podróży samochodem.

- Co zatem jest w planie na jutro? - spytała.

- Może zapukać naprawdę mocno do drzwi Hanka. - Zachichotał, wyraźnie wciąż się ciesząc, że to Sara wpadła na ten pomysł. - A nie uzyskawszy niczego w ten sposób, pewnie postaram się dowiedzieć więcej o Jake'u. Mam swoje kontakty w akademii szeryfów w Tifton. Może oni mi wyjaśnią, jakim naprawdę jest policjantem. A potem zadzwonię do Nicka i poproszę, żeby dogłębnie go sprawdził.

- Nie możesz zlecić tego Frankowi z twojego komisariatu?

- Biuro Śledcze może zrobić coś więcej, niż obwąchać faceta - rzekł, używając slangowego określenia rutynowej kontroli, jaką mogli przeprowadzić jego podwładni. - Sporządzenie kompletnego profilu zabiera

- Jake nie mógł być karany, inaczej nie dostałby się do akademii.

- Zamierzam sprawdzić wszystkich jego znajomych.

- Przecież gdyby był znajomym jakiegoś przestępcy, z pewnością byłoby to w jego aktach.

- To zależy.

- A jeśli on ma własne powiązania wśród twoich powiązań i dowie się, że go sprawdzasz?

- Wyobrażam sobie, że nie będzie tym specjalnie zdziwiony.

Wyciągnęła rękę i przesunęła palcami po jego skórze, aż natrafiła na krzywo przyklejony opatrunek. Objęła jego dłoń swoją.

- Sądysz, że Jake jest w to zamieszany?

- Wychował się tutaj. Był zastępcą zaledwie parę lat, zanim awansował.

Myślę, że wie o wszystkim, co się dzieje

w tym mieście. Pytanie tylko, czy bierze w tym udział, czy tylko stoi z boku i patrzy.

- Kiedy wymyśliłeś to wszystko?

Spodziewała się, że odpowie żartem o swojej błyskotliwej inteligencji lub niezwykłych zdolnościach detektywistycznych. Tymczasem zaskoczył ją.

- Ta kobieta - zaczął i rozumiała, że ma na myśli zwęglone ciało, którym zajmowali się cały dzień. - Gdzieś jest ktoś, komu jej brakuje. I albo zbyt się boi, by poprosić szeryfa o pomoc, albo wie, że to daremne, bo Jake nie zechce lub nie może pomóc. - W jego głosie słyszała oburzenie. - Jeśli nie można ufać policji, że zajmie się tobą i zrobi wszystko, jak należy, to jaki jest sens jej istnienia? - Zamilkł, ale wiedziała, że nie oczekuje odpowiedzi. - To nie w porządku, Saro. Po prostu nie w porządku.

Dwadzieścia cztery godziny wcześniej chciała go zabić, lecz w tym momencie myślała tylko o tym, że nigdy nie kochała go bardziej niż teraz.

- Możesz sobie wyobrazić, jak byś się czuła, gdyby coś takiego zdarzyło się w okręgu Grant?

Sara nie mogła sobie czegoś takiego wyobrazić. Poznała Jeffreya na boisku liceum w Grant. Była lekarzem drużyny i oglądała mecz zza bocznej linii. Z jakiegoś powodu odwróciła się i spojrzała na trybuny. Wtedy zobaczyła Jeffreya z Clemem Watersem, burmistrzem. Jeffrey o tyle był od niego wyższy, że Ciem wyglądał przy nim jak karzeł. Było coś w wyglądzie Jeffreya, co zaparło Sarze dech. Nigdy mu o tym nie mówiła, ale na jego widok serce na moment przestało jej bić. A kiedy zobaczyła, jak wchodzi na boisko, ugięły się pod nią kolana. Gdyby jakiś gracz nie dał się w tym momencie sfaulować, zrobiłaby z siebie kompletną idiotkę. A tak była nią tylko częściowo.

Objęła go.

- Nie pozwoliłbyś na to - zapewniła go. - Nie w naszym mieście. Nigdy.

Przycisnął wargi do czubka jej głowy, a potem wyciągnął rękę i wyłączył lampkę stojącą na nocnym stoliku. Sara ułożyła się wygodnie, przytulając do niego. Rozluźniając się, poczuła, że jego mięśnie się napinają.

- Co się stało? - zapytała.

- Czujesz zapach spalenizny?
- Po dzisiejszym dniu niczego innego nie czuję.
- Nie. - Jeffrey znów włączył lampkę. - Mówię serio. Coś się pali.
- Nie czuję...

Wstał z łóżka i wciągnął dzinsy. Sara niechętnie usiadła, wiedząc, że Jeffrey się nie położy, dopóki nie ustali źródła tego zapachu. Zważywszy na stan motelu, nie zdziwiłaby się, gdyby paliła się instalacja elektryczna.

Odsunął zasłony i spojrzął na parking.

- Nic nie widzę.
- Ale to nie znaczy, że wrócisz do łóżka?

Jeffrey włożył wyjętą z walizki bawełnianą koszulkę i otworzył drzwi. Stał w nich, wpuszczając zimno i wężąc.

- Dochodzi z zewnątrz. Wstała.
- Teraz ja też to poczułam.

Włożyli buty i wyszli na parking. Sara spuściła rękawy bluzy od dresu na dłonie, chroniąc je przed nocnym chłodem. Na zewnątrz odór był wyraźniejszy, niż dym obozowego ogniska. Ponadto słychać było trzask płomieni i kierując się tym odgłosem, oboje podążyli tunelem biegnącym na drugą stronę motelu.

Na końcu tunelu zgromadził się tłum gości, wszyscy sprawiający wrażenie zmieszanych tym, że są tu widziani. Obawa przed przyłapaniem przez sąsiadów lub małżonków nie mogła się równać z pragnieniem zobaczenia tego widowiska. Widok był spektakularny: budynek sąsiadujący z motelem spowijały płomienie i słup dymu bił z niego w wieczorne niebo.

Gdy Jeffrey i Sara dotarli do zgromadzonego tłumu, w ogłuszającej eksplozji z budynku wyleciały wszystkie szyby. Jeffrey objął Sarę ramieniem i odwrócił ją plecami do lecących odłamków. Znów rozległ się donośny huk. Frontowe drzwi przeleciały w powietrzu i prześliznęły się po nawierzchni parkingu.

Jeffrey musiał podnieść głos, żeby przekrzyczeć szum płomieni.

- Czy ktoś dzwonił po straż?

- Dwa razy - odpowiedział głos z tumbu.
- To bar Hanka - powiedział Sarze Jeffrey.
- Mam nadzieję, że nikogo nie ma w środku - odparła, osłaniając oczy dłońmi przed oślepiającym blaskiem. Płomienie zdawały się buchać wokół budynku, jakby ktoś rozlał na zewnątrz benzynę i ją podpalił. Kiedy wyleciały szyby, ogień zaczął wdzierać się do środka, podążał po słupach i belkach, tańczył na suficie. Jeśli w budynku były spryskiwacze, to nie działały. Sara się domyśliła, że za pięć minut cały budynek stanie w
Rozległo się przeciągłe wycie, niczym głos ranionego zwierzęcia lub syrena strażacka. Sara zerknęła na drogę, spodziewając się wozu strażackiego, lecz zobaczyła tylko parę powoli przejeżdżających san - Lena - mruknął Jeffrey, idąc w kierunku budynku.

Przez jedno z wyrwanych wybuchem okien Sara zobaczyła jakąś postać, przechodzącą na środek baru. W jasnym świetle widziała, że postać patrzy na coś, co trzyma w rękach.

- Hej, ty!

Jeffrey najwidoczniej zrozumiał to samo co Sara: że ta osoba wewnątrz to jednak nie Lena, ale krępy i barczysty mężczyzna. Kiedy Jeffrey zawołał go ponownie, podniósł głowę, ale nie ruszył do wyjścia.

Jeffrey obejrzał się na Sarę. Kiwnął głową, jakby mówił: „Wiesz, że muszę to zrobić”, po czym pobiegł w stronę budynku.

- Jeffrey! - zawołała. To było zbyt niebezpieczne. Ogień za kilka sekund pochłonie tego człowieka. - Jeffrey!

Odskoczył, gdy wyrosła przed nim ściana płomieni, ale nie zrezygnował. Nie zważając na błagania Sary, obszedł budynek, szukając innego wejścia.

- Nie - szepnęła Sara, bezradnie patrząc, jak Jeffrey wbiega do płonącego baru. Koszula tamtego mężczyzny już stała w ogniu, ale odwrócił się od Jeffreya i jak szalencie pobiegł w głąb budynku. Jeffrey pogonił za nim i obaj znikli.

- Nie - powtórzyła Sara, wypatrując Jeffreya w otwartych drzwiach. Kręciła się bezsilnie po chrzęszczącym jej pod nogami szkle, spoglądając na budynek, wpatrując się

w czarne dziury po wyrwanych wybuchem oknach. Prawie obesła bar i stanęła na skraju lasu, gdy nastąpił kolejny wybuch, tym razem tak silny, że powalił ją na ziemię.

Minęło kilka sekund. Dzwoniło jej w uszach, mózg jakby przestał pracować. Sara potrząsnęła głową i tynk posypał się jej z włosów. Oparła dłonie o twardą ziemię i usiadła. Z budynku strzelały płomienie. Skóra piekła ją od gorąca. Zdołała podnieść się na klęczki, ale nie mogła wstać. Otworzyła usta, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

- Saro! - Jeffrey wybiegł z lasu, poślizgnął się i opadł przy niej na klęczki. - Nic ci nie jest? - Wziął w dłonie jej twarz. - Jesteś ranna?

Nakryła jego dłonie swoimi.

- Myślałam...

Powietrze wypełniło się charakterystycznym wyciem syreny. Tym razem nie było pomyłki - źródłem tego hałasu był wóz strażacki. Z piskiem opon wjechał na parking, a tuż za nim karetka. Strażacy wyroili się jak mrówki, rozwijając węże i przeganiając gapiów dalej od płonącego budynku.

- Saro - powtórzył Jeffrey. - Mów do mnie. Jesteś ranna?

Pokręciła głową, osunęła się na niego i tak mocno objęła w pasie, że dziwiła się, że jeszcze mógł oddychać.

- W porządku - powiedział uspokajająco, gładząc ją po włosach. - W porządku.

Sara nie otwierała ust w obawie, że zacznie szlochać. Była odrętwiała, zawieszona w próżni tłumiącej wszelkie dźwięki i uczucia.

Jeffrey zakaszłał, a ona rozluźniła chwyt, ale nie puściła go.

Myślała, że zginął. Przez moment widziała swoje życie bez niego, poczuła, jakie byłoby, gdyby go utraciła.

- Pobiegł w las - stwierdził Jeffrey, jakby obchodził ją ten przekłety facet, za którym wbiegł do budynku. - Miał coś w rękach. Nie widziałem, co to było.

Jeden z sanitariuszy klęknął przy Sarze i podtrzymał ją ramieniem.

- Nic pani nie jest?

Zdołała kiwnąć głową. Szok. Na pewno była w szoku.

- Może pani oddychać? - zapytał drugi sanitariusz. - Potrzebuje pani tlenu?

Musiła odkasznąć, zanim odpowiedziała.

- Nie.

Najwyraźniej jej nie uwierzył. Próbował nałożyć jej maskę, ale odepchnęła go.

Jeffrey wyglądał na zaniepokojonego.

- Może powinnaś...

- Nic mi nie jest. - Czuła się głupio, że tyle osób krząta się przy niej.

Chwyła Jeffreya za koszulkę, próbując wstać. Praktycznie podniósł ją z ziemi, obejmując w talii. Przytrzymała jego rękę, żeby jej nie puścił.

- Chcę wrócić do pokoju.

O nic nie pytał. Przeprowadził ją przez tłum, wolną ręką torując przejście między ludźmi. Wszyscy gapili się na nich, a Sara spoglądała w ziemię, koncentrując się na równym stawianiu nóg. Trzymała Jeffreya najmocniej, jak mogła.

- Zaczekaj, komendancie.

To był głos Jake'a Valentine'a.

- Nie teraz - powiedział Jeffrey.

Szeryf zdjął swoją baseballową czapkę.

- Gdyby mógł pan tylko...

- Nie teraz - powtórzył Jeffrey, mocniej ujmując Sarę w talii.

Światła automatów z napojami migotały, gdy przechodzili obok nich, sprężarki bzyczały jak rój pszczół. Sara nie zamknęła drzwi, wybiegając z pokoju, i Jeffrey powoli pchnął je jedną ręką. Czuła, jak napięły się jego mięśnie, gdy rozglądał się i sprawdzał, czy w środku nie ma nikogo.

Starał się robić to niepostrzeżenie, ale zasłaniał Sarę własnym ciałem, sprawdzając łazienkę. Kiedy się upewnił, że są sami, odkręcił kurek i zdjął ręcznik z wieszaka.

- Chcę wiedzieć, dlaczego uciekł - powiedział, mocząc ręcznik i wciąż myśląc o tamym mężczyźnie.

Sara usiadła na blacie toaletki. Stopy miała wysoko nad podłogą. Powoli odzyskiwała zmysły. Poczowała bijący od Jeffreya kwaśny odór dymu i potu. Jego koszulka była wilgotna.

- Nie zdołałem mu się dobrze przyjrzeć - powiedział. - Wszędzie było pełno dymu.

- Nie masz trudności z oddychaniem? - zapytała, gdy

obudziła się w niej chłodna profesjonalistka. - Nie ściska cię w piersi albo w gardle? Przecząco pokręcił głową.

- Przysuń się. - Ostrożnie przetarł jej twarz mokrym ręcznikiem, mówiąc: - Za budynkiem jest strumień, a nad nim jakaś szopa. Ten facet sturlał się po brzegu i wpadł do wody. Myślałem, że zaraz go złapię, ale znikł. - Jeffrey wyjął coś z włosów Sary i wrzucił do kosza na śmieci. - Nie wiem, czy upuścił to, co niósł. Cokolwiek to było, uważał, że warto wbiec po to do płonącego budynku. - Wyplukał ręcznik. Zobaczyła plamy brudu i zaczęła się zastanawiać, jak wygląda jej twarz. - Wtedy był wybuch i zobaczyłem, jak upadłaś - zakończył.

Poczuła coś chłodnego na policzkach i uświadomiła sobie, że płacze.

- No, już - rzekł Jeffrey, ocierając jej łzy. - Już dobrze.

Zalała ją fala emocji. Nie przejmowała się sobą.

- Ja tylko... wbiegłeś do tego budynku, a potem zobaczyłam... myślałam, że jesteś...

Posłał jej dziwny uśmiech, jakby przesadzała.

- Już dobrze, dziecino. Nic mi nie jest.

Dotknęła jego twarzy, usiłując powstrzymać drżenie rąk. Wiedziała, że Jeffreya pociąga jej odporność, jej niezależność. Teraz nie potrafiła być taką osobą, nie mogła pozwolić, by choć przez chwilę myślał, że zdołałaby żyć bez niego.

- Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby coś ci się stało.

- Daj spokój - próbował obrócić wszystko w żart. - Miałabyś długą kolejkę facetów chcących zająć moje miejsce.

Sara potrząsnęła głową. Nie potrafiła z tego żartować.

- Nie mów tak.

- Może Nick Shelton w końcu miałby szansę. Mogłabyś mieć dwa podobne naszyjniki.

Pocałowała go i poczuła pył na jego wargach. Nie zwracała na to uwagi. Rozchyliła usta, objęła rękami jego ramiona, a nogami biodra, przyciągając go do siebie. Chciała poczuć każdą część jego ciała, by wiedzieć, że wciąż do niej należy. Nagle ogarnęła ją gorączka i rozdarła mu koszulkę, usiłując ją zdjąć.

- Hej. - Cofnął się z tym samym dziwnym uśmiechem. - Nic nam nie jest, prawda? Jesteśmy cali i zdrowi.

Mówił o nich obojgu, ale nie tym się przejmowała. Przejrzała go - ten uśmiech, który nie obejmował oczu, i to, że za szybko mówił, świadczyły, że martwi się czymś za bardzo, żeby jej o tym powiedzieć. Czubkami palców dotknęła jego warg, a potem szyi i piersi. Kiedy zaczęła manipulować przy zapięciu dżinsów, wreszcie przestał się uśmiechać.

- Nigdy mnie nie opuszczaj - powiedziała, rozpinając mu dżinsy i rozsuwając zamek. Zabrzmiało to jak groźba, ale mówiła to, bo przeraziła ją myśl o życiu bez niego. - Nigdy.

Był gotowy, zanim oplótł go nogami. Pocałował ją, głęboko wsuwając język w jej usta długimi i mocnymi pchnięciami dorównującymi siłą ruchom jej języka. Sara pocałowała go jeszcze mocniej, pieszcząc obiema rękami, aż ściągnął jej spodnie i rozsunął nogi. Zsunęła się na krawędź blatu i opadła na niego całym ciężarem, kiedy w nią wszedł. Znow próbował zwolnić, ale jedną ręką przytrzymała się blatu i napała na niego, przyspieszając.

- Pieprzę... - westchnął i przycisnął ją do lustra, całując i gryząc szyję.

Poczuła jego zęby muskające jej piersi i palce ściskające jej pośladki, gdy pchał mocniej i głębiej. Sara wbiła paznokcie w jego plecy, wiedząc, że Jeffrey dochodzi, i niczego nie pragnąc bardziej.

- Jak dobrze - szepnęła, przyciskając wargi do jego ucha, żeby poczuł jej oddech. - Tak dobrze...

Mówiła, podniecając go słowami, wiedząc, że wyniosą go na szczyt.

Jęknął i mięśnie jego pleców napięły się jak postronki. Sara zacisnęła powieki, skupiając się na ciepłym kwiecie rozkwitającym wewnątrz jej drżącego ciała. Zwolnił i tym razem pozwoliła mu na to, rozkoszując się każdym pchnięciem, pragnąc, by to trwało wiecznie.

Znow zadrżał i opadł na nią, ściskając rękami blat, jakby nie mógł ustać na nogach. Lekko przesunęła palcami w górę i w dół jego pleców. Skórę miał gorącą i lepka, ale chciała czuć każdy jej centymetr. Pocałowała jego ramię, szyję, twarz.

- Jezu - wysapał. - Przepraszam, że nie... - Potrząsnął głową. - Jezu.

Sara przycisnęła wargi do jego warg w delikatnym pocałunku. Na palcach jednej ręki mogła policzyć, ile razy Jeffrey pozwolił sobie skończyć przed nią. Mogła również uczciwie powiedzieć, że nigdy w życiu nie był jej bliższy niż teraz.

Znowu się uśmiechał, tym półuśmiechem, który jednocześnie irytował ją i rozbrajał.

- Założę się, że Nick by tak nie potrafił.

Oparła głowę o taflę lustra, wciąż nie chcąc podjąć tej gry.

- Wiesz, co mówią o niskich facetach, którzy zbytnio chcą sobie to powetować.

Popatrzyła na niego i zobaczyła, że tego potrzebuje.

- Nie oceniaj mnie tak surowo - podjęła grę. - Myślę, że robię to lepiej od Nicka.

Przygłodził jej włosy.

- Czy wiedziałaś, że zakochałem się w tobie właściwie od pierwszego wejrzenia?

Zaśmiała się.

- Tamtego wieczoru miałaś umówioną randkę z inną.

- Nie.

Dała mu kuksańca.

- Musiałeś do niej zadzwonić i powiedzieć, że się spóźnisz.

Musnął wargami jej usta.

- Kocham cię, Saro.

Ścisnęło ją w gardle. Odpowiedziała mu jak zwykle, w żartobliwy sposób, który doprowadzał go do szału przez pierwszy rok ich związku, ponieważ nigdy nie chciała mu powiedzieć, że też go kocha.

- Wiem.

- A wiesz jeszcze coś? - zapytał, zakładając jej kosmyk włosów za ucho. - Jesteś paskudną dziewczuchą. - Sara poczerwieniała, a on się roześmiał.

- Mówiłem dosłownie. Popatrz w lustro.

Odwróciła się i zobaczyła swoje odbicie. Wprawdzie wytarł większość kurzu z jej twarzy, ale i tak wyglądała jak przejechana przez ciężarówkę.

- Muszę być z tobą szczerzy - rzekł. - Nie podoba mi się to, co zrobiłaś ze swoimi włosami.

Odwróciła się.

- Ty też nie jesteś najładniejszą świnią w stadzie.

- No to czemu nie dokończymy tego pod prysznicem? - Zerknął w dół i przesunął dłonie w górę jej ud. - Czy może chcesz mi dać tutaj szansę odkupienia?

- Myślisz, że pamiętasz, jak się to robi?

Oboje drgnęli, słysząc głośnie walenie w drzwi.

Sara zsunęła się z blatu, jednym płynnym ruchem podciągając spodnie i poprawiając koszulę. Serce waliło jej, jakby znów była osiemnastolatką przyłapaną z chłopcem na tylnym siedzeniu buicka, a nie stateczną mężatką mającą prawo przebywać z mężem w tanim motelu.

Znów rozległ się ten łomot, jakby ktoś walił młotem w drzwi. Smuzka światła wpadła przez szczelinę przy górnej framudze, gdzie sklejka wygięła się pod uderzeniem. Wychodzące na parking okno złowieszczo zatrzęszczało.

Sara zapinała koszulę, a Jeffrey wciągał dzinsy.

- Jeśli to Jake Valentine... - zaczął, ale nie zdążył dokończyć zdania.

Szyba rozsypała się, obsypując pokój kawałkami szkła, a zasłony wydeły się, gdy jakiś duży przedmiot z trzaskiem spadł przez nie na plastikowy stolik i runął na podłogę.

Jeffrey opadł na kolana, zasłaniając rękami głowę.

- Co do...

Na zewnątrz koła zapiszczały na asfalcie.

Sara otworzyła usta ze zdumienia. To nie był przedmiot, lecz człowiek. Ktoś wrzucił im przez okno ciało. Odruchowo rzuciła się ku niemu. Jeffrey złapał ją za rękę i szarpnął, przyciągając do podłogi.

- Do łazienki - rozkazał, sięgając pod materac i wyjmując broń. - Już.

Sara na czworakach ruszyła do łazienki, a Jeffrey do drzwi. Złapał za gałkę i przekręcił, ale nie otworzyły się.

Przywarł plecami do drzwi, a potem wzdłuż ściany przesunął się do okna. Błyskawicznie wyrwał i sprawdził parking, po czym znów się schował. Zrobił to dwukrotnie, a Sara za każdym razem wstrzymywała oddech, spodziewając się, że ktoś odstrzeli mu głowę.

Jeffrey obejrzał się.

- Zostań tu - powiedział do Sary, a potem wyskoczył przez wybite okno.

Sara znów wstrzymała oddech, czekając na huk wystrza-

tu. Na czworakach podpełzła do ciała, aby sprawdzić, czy ten ktoś jeszcze żyje. Wszędzie było pełno szkła, które musiała omijać, żeby się nie pokaleczyć. Nie podnosząc głowy, przycisnęła palce do szyi leżącego, ale nie była pewna, czy wyczuwa puls, czy trzęsą się jej ręce.

- Saro.

Wrzasnęła i przywarła do ziemi, ale zaraz uświadomiła sobie, że to tylko Jeffrey.

- Ktokolwiek to był, już uciekł. - Wybił kolbą kilka sterczących kawałków szkła, zanim wszedł przez okno do pokoju. - Czy on nie żyje?

W końcu przyjrzała się temu mężczyźnie. Leżał na lewym boku, twarzą do okna. Z pleców sterczała mu okładana macicą perłową rękojeść składanego noża, wyglądającego na drogą zabawkę. W jego szyi tkwił duży odłamek szkła, lecz z rany ciekła tylko strużka krwi, a nie pulsujący strumień tłoczony przez bijące serce. Mimo to ponownie przycisnęła palce do tętnicy szyjnej, by się upewnić.

- Nic - powiedziała do Jeffreya.

Przyjął to niemal z ulgą.

- Drzwi zostały zabite gwoździami.

Sara przykucnęła i zmówiła w duchu modlitwę dziękczynną za to, że przez okno wrzucono zwłoki, a nie bombę zapalającą.

Jeffrey odchylił głowę zabitego i popatrzył na jego twarz.

- Myślę, że to ten z baru.

- Na pewno - potwierdziła. Nieboszczyk najwyraźniej ucierpiał w pożarze. Oczy miał otwarte, ale bez rzęs. Krótko ostrzyżone włosy pokrywała warstwa sadzy. W koszuli miał kilka wypalonych dużych dziur, przez które było widać oparzenia pierwszego i drugiego stopnia.

Jeffrey zaczął rozdzierać rękaw jego koszuli.

- Nie... - zaczęła Sara, obawiając się, że zatrze ślady, ale zaraz zrozumiała, o co mu chodzi.

Na ramieniu zabitego była wytatuowana duża czerwona swastyka.

LENA

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Lena siedziała przy kuchennym stole Hanka, plecami do ściany, czekając, aż wuj wróci do domu. Zegar nad piecem głośno tykał i Lena musiała powstrzymać chęć dostosowania swego oddechu do jego rytmu. Mercedes stał na podjeździe, więc Hank musiał w międzyczasie wrócić do domu, ale teraz nie było go w pobliżu. W domu nie było nikogo, zarówno szopa, jak sfatygowany stary pikap na podwórku z tyłu były puste. Przejechała obok baru, wpadła do szpitala, a nawet porozmawiała w biurze szeryfa z jakimś starym piernikiem, który wcisnął jej standardową gadkę o dwudziestoczterogodzinnym oczekiwaniu, ale Hank po prostu zniknął. Jego telefon komórkowy leżał na kuchennym stole z rozładowaną baterią. Na automatycznej sekretarce nie było żadnej wiadomości. Metalowa kasetka z jego zestawem do sprycowania się znikła. Nie było mowy, żeby Hank ruszył się gdzieś bez swojego zestawu. Musiał wziąć go ze sobą, co oznaczało, że opuścił dom z własnej woli - lecz nadal nie miała pojęcia, gdzie się podział.

Lena nie wiedziała nawet, co by zrobiła, gdyby się pojawił. Co by powiedziała, gdyby teraz stanął w drzwiach? O co mogłaby go zapytać? Od jej rozmowy z Charlotte w szkole minęły cztery godziny, lecz przez ten czas wcale nie rozjaśniło jej się w głowie.

Hank nie prowadził wtedy samochodu.

Angela Adams oślepiła własną córkę, a potem... co? Odjechała? Zostawiła Hanka, żeby radził sobie z problemem i wziął na siebie winę?

Tego jednego, czego Lena poprzysięgła nigdy mu nie wybaczyć, ten drań nawet nie zrobił. Cały gniew, jaki budził w niej przez większość życia, nadal w niej wrzał, tylko teraz

nie miała przeciw komu go skierować. Czy miała być wściekła na matkę, kobietę, której nawet nie pamiętała? Co było takie złe w Angeli Adams, że Hank wolał, by ludzie uważali, że oślepił własną siostrzenicę, niż powiedzieć dziewczynkom, że ona żyje? Co takiego zrobiła im wszystkim?

Neonówka nad kuchennym zlewem skąpała pomieszczenie w sinym świetle, gdy słońce zaczęło zachodzić. Broszury AA Hanka wciąż leżały porozrzucane na stole i na podłodze, zalegały grubymi stosami na piecu. Zegar wciąż tykał, odmierzając minuty, a potem następną godzinę.

Po tamtym wypadku Sibyl nie pamiętała, jak wybiegła na podjazd, a nawet tego, że grała w piłkę z Leną. Wtedy lekarz powiedział, że to zupełnie normalne w wypadku ostrego urazu głowy, że czasem wspomnienia nigdy nie wracają. Siostry nigdy nie rozmawiały o tym wypadku. Może robiły to jako dzieci, lecz z biegiem czasu zaakceptowały ślepotę Sibyl i jej przyczynę. Rozmowa o wypadku byłaby jak pogawędka o wschodzącym każdego ranka słońcu, o czymś z góry przesądzonym.

Tymczasem Lena winiła Hanka, a on nie zrobił niczego, by wyprowadzić ją z błędu. Ilekroć rzucała mu to oskarżenie w twarz, zaciskał szczęki, spoglądał w dal i czekał, aż skończy.

Charlotte Warren musiała wiedzieć o tym więcej, niż powiedziała - była o trzy lata starsza od Leny i Sibyl. Lepiej pamiętała ten wypadek, gdyż nie był dla niej takim wstrząsem. Mimo to wyjawiała jedynie nagie fakty: samochód potrącił Sibyl, Hank przybiegł z pomocą, a Angela odjechała, nie zatrzymując się, by sprawdzić, co się stało Sibyl, nie fatygując się wyjaśnianiem, co zaszło. Po kilku minutach przyjechała policja, potem karetka. Matka Charlotte zabrała córkę do domu i kazała jej zapomnieć o tym, co się stało, ponieważ z mówienia o tym nic dobrego nie będzie.

Charlotte powiedziała, że wzięła sobie do serca słowa matki. Nawet gdy jej przyjaźń z Sibyl przerodziła się w coś poważniejszego, Charlotte zakładała, że pewne sprawy są zbyt okropne i bolesne, żeby o nich mówić.

Tylko czy to było takie proste? Czy Charlotte i Sibyl naprawdę nigdy nie rozmawiały o tamtym dniu? Lena uznała za prawdopodobne, że jeśli Sibyl nie omawiała tego z siostrą,

to nie poruszała tego tematu również w rozmowach z Charlotte Warren. Sibyl jeżyła się na myśl o tym, że ktoś mógłby się nad nią litować. Przez całe życie starała się być równie samodzielna jak każda widząca osoba. Nigdy się nie poddała i nie wykorzystywała swego kalectwa dla osobistych korzyści. Może nie rozmawiała o wypadku, ponieważ nie chciała, aby ktoś jej współczuł.

Tyle tajemnic, tyle osób chroniących Angelę Adams i nikt nie chciał wyjaśnić dlaczego.

Lena sięgnęła przez ramię po wiszący na ścianie telefon. Słuchawka lepiła się do ręki, przyciski były pokryte warstwą brudu. Wybrała numer Nan Thomas, zdecydowana zapytać kochankę Sibyl, co właściwie jej siostra wiedziała o tamtym okropnym dniu. Zanim telefon Nan zaczął dzwonić, serce waliło Lenie jak młotem. Czekala, licząc sygnały, aż odezwała się poczta głosowa. Rozłączyła się, nie zostawiając wiadomości.

A jeśli Sibyl wiedziała, że to wina matki? Nie. Powiedziałyby coś Lenie. W żaden sposób nie zdołałyby milczeć przez tyle lat i nie powiedzieć, że ich matka była żywa jeszcze długo po tym, jak według Hanka umarła w szpitalu, że zostały okłamane.

Chyba że Sibyl też próbowała chronić Lenę.

- Kurwa - zakląła Lena, przecierając oczy. Była zmęczona, a siedzenie w domu Hanka było jeszcze gorsze od przebywania w tym zasyfionym pokoju motelowym. Z pewnością tu było brudniej.

Wstała i podeszła do tylnych drzwi. Chwyciła za gałkę, ale nie przekreśliła jej. Opuściła dłoń i poszła z powrotem do holu. Zatrzymała się przed łazienką, po czym zawróciła i weszła do kuchni. Nogi krzesła drapały drewnianą podłogę, ale nie przejmowała się farbą.

Przed wieloma laty Hank zrobił to, gdy zabrakło mu miejsca. Kupił w składzie budowlanym poprzycinane kawałki sklejki i kazał Lenie podawać jedną po drugiej przez właz na strych, gdzie je przybijał. Oczywiście, bardzo mądrze wybrał na to środek sierpnia, najgorętszego miesiąca w roku. Kiedy zszedł ze strychu, poprzybijawszy wszystkie kawałki sklejki, zemdlał w holu na skutek udaru ciepłego.

Następnego dnia znów był na strychu, ustawiając pudła

i przestawiając sprzęty. Lena miała wtedy dziesięć, może dwanaście lat. To było zaledwie kilka lat po wypadku. Co umieścił tam Hank? Jakie papiery przez cały ten czas były ukryte nad jej głową? Tyle gówna wałało się wokół, że zupełnie zapomniała o tych dokumentach na strychu.

Lena weszła na krzesło i oburącz pchnęła klapę. Ta stawiała opór, choć nie była zaklejona farbą. Coś na niej stało, może jakieś pudło, i Lena musiała użyć pięści, żeby wybić klapę i strącić to, co ją przyciskało. Kiedy zdołała odsunąć klapę na bok, jej dłoń boleśnie pulsowała i krew ciekła z knykcii. Ze strychu spłynęło w dół stęchłe powietrze, lecz Lena nie traciła czasu na namysły - po prostu wyciągnęła ręce, oburącz chwyciła belki po obu stronach otworu i podciągnęła się.

Na poddaszu było trochę miejsca, ale nie tyle, by stanąć. Nisko pochylona ruszyła w kierunku włącznika światła, wiedząc, że długie i zardzewiałe gwoździe gontów czyhają, by zdjąć jej skalp. Nawet po zachodzie słońca na strychu było gorąco jak w piekle. Kropla potu spłynęła jej po plecach. Wiedząc, że traci czas, włączyła światło. Ku jej zdumieniu żarówka zapaliła się, oświetlając niewielki i zagracony strych. Na podłodze leżała przepalona żarówka i puste opakowanie po nowej, tak więc Hank musiał niedawno tu być. Trudno powiedzieć, co tutaj robił. Wszędzie stały pudła, a podłogę pokrywała warstwa papierów. Na sklejkach leżały szczurze odchody. Usłyszała cichy pisk - jeden z gryzoni protestował przeciwko jej

Nagle poczuła potworny smród, charakterystyczny odór śmierci.

Jako początkująca policjantka Lena miała na swoim koncie wiele telefonów od mieszkających w innych miastach synów i córek, zastanawiających się, dlaczego mama, tato czy babcia nie podnoszą słuchawki. Zwykle był po temu dobry powód i starsi rangą policjanci uważali za dobry trening dla młodych kolegów posyłanie ich, aby znajdowali zwłoki.

Kiedyś Lena znalazła staruszkę siedzącą na fotelu, martwą jak głaz. Na podolku miała niedokończony szal i druty, a w tle trajkotał telewizor. Kobieta śmierdziała moczem i gnijącym mięsem. Lena porzygała się na ganku na tyłach domu, zanim połączyła się z posterunkiem i zameldowała, co zastała.

Teraz, na tym strychu, znów zebrało jej się na wymioty - nie pod wpływem stresu, lecz ze strachu. Wiedziała, jak śmierdzi trup, jak wylewają się płyny, zaczynają uchodzić gazy i rozkładają się tkanki. Wiedziała, w jaki sposób skóra wysycha na kościach, jakby zmarli smażyli się we własnym gównie, czekając, aż ktoś ich znajdzie.

Nowa myśl przyszła jej do głowy i nie chciała odejść: czyżby znalazła matkę? Czyżby Angela Adams była tu przez te wszystkie lata, a jej ciałogniło na strychu, nad mieszkającymi pod nią Leną i Sibyl? Nie. To niemożliwe. Minęło zbyt wiele czasu. Odór już by się rozwiął. Hank na pewno zabrałby stąd ciało.

Lena poczuła, że serce podchodzi jej do gardła. Hank. Zawsze o nim myślała na końcu, nawet teraz. Łzy napłynęły jej do oczu. Podniosła rękę i przytrzymała się krokwi. Po strychu rozszedł się inny dźwięk, odgłos jej płaczu, cichnący jak wycie syreny.

Teraz zobaczyła to na drugim końcu strychu: błądą stopę sterczącą zza pudeł - męską stopę, z rzadkimi włosami wokół kostki, ze skórą o woskowatym połysku śmierci.

- Nie - szepnęła Lena, ponieważ nic więcej nie była w stanie wykrztusić.

W końcu to zrobił. Wlażł tutaj ze swoim zestawem, podgrzał ostatnią torebkę prochów, zrobił sobie ostatni zastrzyk i zabił się. Tak jak zapowiedział. Zrobił to, na co ona miała w duchu nadzieję przez te wszystkie

Teraz mogła wyjechać. Wrócić do Grant. W poniedziałek pójść do pracy, robić swoje, wrócić do domu, zjeść kolację, może obejrzeć jakiś film w telewizji. Mogła zadzwonić do Nan i może ją odwiedzić. Piłyby piwo, siedząc na podwórzu na tyłach domu i rozmawiając o Sibyl, i może Lena zapytałaby kochankę siostry, co dokładnie wiedziała o tym Sibyl. A może nie. Może rozmawiałyby o pogodzie lub jakiejś książce czytanej przez Nan, której Lena nie miała szans zrozumieć. Nan zapytałaby o Hanka, a Lena odpowiedziałaby, że od jakiegoś czasu nie ma od niego wieści i nie wie, co się z nim dzieje.

Lena podpełzła do niego na czworakach. Ramiona dygotały jej tak mocno, że musiała przystanąć w połowie drogi i uspokoić się, zanim poszła dalej. Znów to słyszała, te sło-

wa wypowiedziane cichutkim głosem jakby małej dziewczynki.

- Przepraszam - usłyszała. - To moja wina... nie powinnam cię zostawiać... powinnam wezwać karetkę... powinnam zabrać cię do szpitala... powinnam cię powstrzymać.

Uświadomiła sobie, że to jej głos. Załkała, z trudem łapiąc powietrze na dusznym strychu. Wyciągnęła ręce i odepchnęła pudła tak mocno, że odleciały na bok. Zobaczyła leżącego na podłodze nagiego mężczyznę.

To nie był Hank.

CZWARTEK

RANO

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Jeffrey nigdy nie lubił sypiać poza domem. Nawet kiedy był młodszy i bardziej szalony, nie lubił spędzać całej nocy z kobietą nie tylko dlatego, że do domu mógł wrócić jej mąż. Lubiał wiedzieć gdzie jest łazienka, kiedy budził się w środku nocy. Lubiał wiedzieć, gdzie są włączniki światła i w której szafce znajdzie kieliszki.

Czego nie lubił, to budzić się w domu Jake'a Valentine'a.

Z łatwością znalazł szeryfa na parkingu obok baru Hanka, choć szeryf nie miał tam nic więcej do roboty, jak tylko stać i patrzeć na płonący budynek. Jeffrey znalazł go stojącego obok zastępców, z kciukami zatkniętymi za pasek niebieskich dżinsów. Obserwował dogasający pożar. Valentine nadal miał kaburę przy kostce i śmierdział piwem, które pił z Jeffreyem poprzedniego wieczoru. Kiedy Jeffrey poprosił, żeby Valentine poszedł z nim do motelu, szeryf o nic nie pytał.

- To Boyd Gibson - powiedział, kiedy Jeffrey pokazał mu trupa leżącego na podłodze pokoju motelowego, który zajmowali z Sarą. - Chodziłem z nim do szkoły.

- Nie „Jak, do diabła, ten trup znalazł się w waszym pokoju?” albo „Kto dźgnął go w plecy?” Tylko: „Niech to szlag, jego ojciec będzie załamany”.

Jeffrey zapewne powinien być wdzięczny, że Valentine zaproponował im na noc swój gościnny pokój. Do okręgu Grant było kilka godzin jazdy i Sara znów się wyciszyła - nawet za bardzo, jak na gust Jeffrey'a. Kiedy zapytał, czy nie ma nic przeciwko spaniu w domu szeryfa, tylko skinęła głową i w milczeniu spakowała rzeczy do walizki, którą zabrała z domu. I nie odzywała się podczas krótkiej jazdy do Valen-

tine'ów. Gdy Jeffrey usiadł w łóżku obok niej, oparła głowę na jego piersi i objęła go ramieniem.

Jeffrey nasłuchiwał, czy Sara znów płacze. Robiła to bardzo rzadko, ale zawsze wtedy czuł się tak, jakby serce ściskano mu w imadle. Ale ona nie płakała. Rozmyślała. Zrozumiał to, kiedy podparła się łokciem i powiedziała tonem świadczącym, że podjęła decyzję.

- Nie wyjadę stąd bez ciebie.

Otworzył usta, żeby się spierać, ale uciszyła go, przykładając palce do jego warg.

- Kiedy za ciebie wyszłam - pozwoliła sobie na uśmiech - przynajmniej za ostatnim razem, wiedziałam, że jesteś człowiekiem, który raczej szuka kłopotów, niż ich unika. - A po chwili dodała łagodnie, lecz stanowczo: - Nie mogę cię powstrzymać przez zbawianiem świata, ale przynajmniej nie opuszczę cię, gdy to robisz.

Wtedy poczuł się jak kompletny palant - nie dlatego, że chciał, żeby wróciła do domu, nie dlatego, że wystawił ją na niebezpieczeństwo, ale ponieważ okłamywał ją od chwili, gdy do ich pokoju rzucono te zwłoki.

Jeffrey zobaczył wytatuowanego mężczyznę na podłodze oraz ciemną, czarną krew sączącą się spod perłowej rękojeści składanego noża, który tkwił w jego plecach, ale nic nie powiedział.

- Nie wyjadę stąd bez ciebie - powtórzyła Sara.

Po tym nie było już nic do powiedzenia. Zamknął oczy, ale sen nie przyszedł, więc zaczął nasłuchiwać oddechu Sary. Była wyraźnie niespokojna i po chwili przewróciła się na bok, a potem na brzuch. Minęła co najmniej godzina, zanim jej oddech w końcu się wyrównał i zapadła w sen.

Jeffrey wstał i ubrał się, chociaż nie miał dokąd iść. Rozpaczliwie pragnął wziąć prysznic, ale w domu była tylko jedna łazienka, a nie chciał nikogo obudzić. Nie chciał także kręcić się po domu Valentine'a, więc przysunął sobie składane metalowe krzesło i usiadł przy oknie wychodzącym na ulicę. Poprawił zasłony tak, żeby widzieć przez szparę. Podobnie jak pokój gościnny, salon znajdował się od ulicy i Jeffrey wyobrażał sobie, że szeryf miał prawie taki sam widok, jaki Jeffrey miał teraz, kiedy zauważył pożar na boisku. Przebiegnięcie tam i sprawdzenie, co się stało, nie

powinno zająć mu więcej jak pięć minut. Przynajmniej ta część opowieści szeryfa się zgadzała.

Choć dom był skromny, najwidoczniej żona Valentine'a lub on sam był dobrym ogrodnikiem. Małe lampy ogrodowe umieszczone wokół podwórza od ulicy oświetlały jesienne rośliny i trawnik przyszyty równo jak zielony koc. Mężczyzna może zrobić w domu wiele rzeczy, poczynając od wymiany zbutwiałego obicia sofy, przez wieszanie obrazków, po naklejenie na ścianach obrzydliwej tapety w kwiaty, wybranej przez żonę. Nie żeby Sara miała słabość do dużych kwiatowych wzorów, lecz sądząc po widocznym w domu, rozbuchanym stylu Laury Ashley, Jeffrey domyślał się, że pani Valentine ją miała.

Spróbował myśleć o wszystkich zmianach, jakie razem z Sarą wprowadzili przez lata w swoim domu. Na myśl przychodziła mu tylko ta najnowsza. Zanim odwiedziła ich kobieta z agencji adopcyjnej, Sara namówiła Jeffreya, żeby razem z nią porzucił dom i zobaczył go z perspektywy dziecka. Bawił się z nią w to, śmiejąc się, dopóki nie znaleźli gwoździa sterzącego z szafki pod zlewem. W momencie, gdy zauważył szczelinę szerokości palca w ścianie przy gnieździe elektrycznym, był gotowy rozebrać dom i zbudować go od nowa.

Jeffrey zaczął się zastanawiać, jak wyglądał dom Ala Pfeiffera, zanim wrzucono przez okno bombę zapalającą. O czym myślał stary szeryf, patrząc, jak płonie jego dom? A może był zbyt zajęty swoimi obrażeniami, by zwracać uwagę na to, co traci? Jezu, a może słyszał, jak zabijają gwoździami jego frontowe drzwi i wiedział, co się stanie?

Jeffrey zerknął na śpiącą Sarę. W co on ją wpakował? Albo gorzej, w co wpakowała ich Lena? Zaledwie wczoraj szukał sposobu, aby powiązać wszystkie nici. Dziś wieczór rozwiązanie samo wpadło przez ich okno, podane jak na tacy. Sterzący z pleców Boyda Gibsona składany nóż z perłową rękojeścią należał do Leny.

Jeffrey westchnął, przeciągając się na niewygodnym metalowym krześle. Znowu popatrzył przez okno, obserwując pustą ulicę. Widocznie przysnął, gdyż w następnej chwili przez szparę w zasłonie wpadła smuga światła. Jakiś samochód zajeżdżał pod dom. Kierowca wysiadł i chwiejnie powlókł

się do domu po drugiej stronie ulicy, po czym dwukrotnie upuścił klucze, zanim zdołał otworzyć frontowe drzwi. Po niecałej minucie znów wyszedł z domu i pijackim krokiem poszedł do samochodu. Jeffrey zastanawiał się, czy interweniować, ale mężczyzna usiadł na tylnym siedzeniu. Frontowe drzwi domu uchyliły się: jakaś kobieta wystawiła głowę i spojrzała na pijanego, po czym znów zamknęła drzwi.

Sara się poruszyła i Jeffrey spojrzał, by sprawdzić, czy się obudziła. Nadal leżała na brzuchu, z rozrzuconymi rękami i nogami, korzystając ze zwolnionego przez niego miejsca. Było już dostatecznie jasno, żeby mógł dostrzec jej twarz. Nienawidził się z nią sprzeczać i nie mógł normalnie funkcjonować, kiedy byli źli na siebie. Obserwując ją w kostnicy, jak ostrożnie i z szacunkiem zajmuje się ciałem nieszczęsnej zmarłej, przypomniał sobie wszystkie powody, dla których potrzebował Sary w swoim życiu. Była jedyną osobą, która mogła przebić się przez te wszystkie bzdury i pokazać mu to, co ważne. Była jego sumieniem.

Kiedy Jeffrey po raz pierwszy spotkał Cathy i Eddiego Lintonów, w pierwszej chwili pomyślał, że takich małżeństw już nie ma. Teraz, będąc z Sarą, wiedział, że są.

Podłoga przed sypialnią zatrzeszczała, gdy ktoś przeszedł pod ich drzwiami. Łazienka znajdowała się na końcu korytarza, oddzielając obie sypialnie, i Jeffrey słuchał cichnących kroków na kafelkach. Stuknęły zamykane drzwi.

Ujrzawszy wczoraj wieczorem ich dom, Jeffrey pomyślał, że to niemożliwe, by Jake Valentine brał w łapę - chyba że miał ukrytą w lesie posiadłość. Ten dom zdecydowanie wymagał renowacji. Ściany salonu były wyłożone panelami w kolorze sosny, a szafki kuchenne miały tyle samo lat co cały dom - niezbyt przyjemnie, jeśli mieszkasz na ranchu z lat sześćdziesiątych. Jeśli Jake brał pieniądze za przemykanie oczu, to z pewnością nie wydawał ich na siebie.

Jeffrey usłyszał szum prysznica. Zastanawiał się, czy to szeryf czy jego żona. Myra Valentine nie była szczególnie przyjacielska w nocy, ale niewiele kobiet ucieszy się na widok dwojga obcych ludzi w swoim domu o pierwszej nad ranem. Była niska, miała może metr pięćdziesiąt, i czubkiem głowy nie sięgała Jakeo'wi do piersi. Niewielki wzrost nadrabiała tuszą. Jeffrey ocenił, że ma co najmniej czter-

dzieści kilogramów nadwagi. Stojąc obok siebie, państwo Valentine wyglądali jak żywa liczba dziesięć.

Podobnie jak jej mąż, Myra Valentine nie zadawała wielu pytań. Kiedy zostali sobie przedstawieni, zaprowadziła Jeffrey'a i Sarę do pokoju gościnnego w sposób tak sprawny, jak można było oczekiwać po nauczycielce angielskiego w liceum, wręczyła Sarze ręcznik i gąbkę oraz szybko zmieniła pościel na świeżą. Gdy Jeffrey zaproponował jej pomoc, groźnie zmarszczyła brwi, tak że poczuł się jak uczeń przyłapany na

Szum prysznicza ucichł. Z głębi domu doleciały inne odgłosy. Brzęk garnków i patelni. Ktoś włączył radio, ściszywszy głos. W łazience zawarczała suszarka do włosów. Sara się nie poruszyła. Zawsze miała mocny sen. Kiedyś powiedziała mu, że to po ciężkiej praktyce w szpitalu, gdzie ucięcie sobie krótkiej drzemki było prawdziwą sztuką. Dwa lata temu przespała huragan, który on z niepokojem obserwował przez okno, obawiając się, że rosnący na podwórzu dąb z trzaskiem runie na ich dom.

Jeffrey wstał, wyciągnął ręce nad głowę i poczuł, jak kręgosłup, trzeszcząc, usiłuje przybrać inny kształt od wymuszonego przez składane krzesło. Łupało go w głowie i wciąż czuł na swojej skórze i włosach odór dymu wczorajszego pożaru. A także zmieszany z tym zapach Sary, który pobudził jego ciało. Gdyby znajdował się teraz w jakimś innym miejscu, a nie w domu Jake'a Valentine'a, wróciłby do łóżka i zrobiłby z tym coś.

A tak wyjął trochę czystych rzeczy, układając je w równy stosik na brzegu łóżka, tak rozpaczliwie marząc o prysznicu, że niemal czując krople ciepłej wody na plecach. W motelu Sara po prostu wepchnęła wszystko do walizki. Teraz Jeffrey poskładał jej koszule i wygładził dzinsy, żeby nie były takie pogniecione.

Frontowe drzwi otworzyły się i zamknęły, a Jeffrey ponownie podszedł do okna i zerknął przez szparę w zasłonie. Myślał, że Jake Valentine zamierza wymknąć się z domu, lecz ujrzał tego chudego młodzieńca stojącego na podwórzu przed domem, wspartego pod boki i z miną udzielnego władcy spoglądającego na ulicę. Szeryf miał na sobie zabawnie kusą welurową podomkę nie sięgającą mu nawet do kolan,

a kiedy się pochylił, by podnieść poranną gazetę, Jeffrey skrzywił się na widok jego białej tylnej części ciała.

Valentine wetknął gazetę pod pachę, podchodząc do zaparkowanego przed domem samochodu. Miał na nogach brązowe tenisówki i skarpetki, a idąc w kierunku samochodu sąsiada, pozostawiał wyraźne ślady na trawie. Zajrzał do tyłu, gdzie - jak Jeffrey podejrzewał - pijak wciąż odsypiał noc, a potem rozejrzał się po ulicy i wrócił do domu.

Jeffrey zasunął zasłony, nie chcąc, by światło zbudziło Sarę. Kiedy jednak się odwrócił, zobaczył, że się spóźnił.

Leżała na boku, obserwując go.

- Jak spałeś?
- Jak dziecko.
- Dzieci nie śpią, siedząc na metalowych krzesłach.
- Wolą drewniane? - Uśmiechnął się na jej niewyraźną minę i usiadł obok niej na łóżku. - Dobrze się czujesz?
- Lepiej - mruknęła. - Co robimy? Ujął jej dłoń.
- Wciąż chcesz się mnie trzymać?
- Taa.

Nie był zbyt zadowolony z tego, że chciała z nim zostać, ale byłby głupcem, gdyby tego nie wykorzystał.

- Miałem nadzieję, że powiesz nam coś o tym gościu, który wpadł do nas wczoraj wieczorem.
- O Boydzie Gibsonie? - Sara usiadła i oparła się o wezglowie. - Sądzisz, że Jake poprosi mnie o wykonanie sekcji?
- Założę się, że tak.

Valentine będzie chciał mieć ich na oku, a nie ma na to lepszego sposobu, jak zatrzymać ich przez cały dzień w kostnicy. Jednego szeryf zapewne nie przewidział: że Jeffrey nie miał żadnych oporów przez pozostawieniem Sary samej w kostnicy.

- Chcesz, żebym ją przeprowadziła? - zapytała Sara.
- Czemu nie - odparł. - Może coś się wyjaśni.

Zniżyła głos do szeptu.

- Na przykład odciski palców Leny na jej nożu?

Byłby mniej zaskoczony, gdyby kopnęła go w twarz.

- Ta rękoność jest bardzo charakterystyczna - wyjaśniła Sara. - Widziałam u niej ten nóż.

- Przepraszam - rzekł, wiedząc, że powinien powiedzieć jej o tym kilka godzin temu. - Chyba nie chciałem myśleć o tym, w jaki sposób mógł się tam znaleźć.

- Nie chcę małżeństwa, w którym będziemy przed sobą ukrywali pewne rzeczy. Robiliśmy tak kiedyś i nie wyszło nam to na dobre.

- Masz rację - przyznał i poczuł się jeszcze gorzej przez to, że dała się tak łatwo ułagodzić. Stwierdził, że musi przeprosić ją jeszcze raz. - Naprawdę mi przykro.

- To mogła być samoobrona - podsunęła.

- Nieźle - powiedział z krzywym uśmiechem. Trudno mówić o samoobronie, kiedy ofiara została dźgnięta w plecy. - Myślisz, że sekcja da nam coś użytecznego?

- Wiesz, że nie lubię gdybania - skarciła go. - Jednak z tego, co widziałam wczoraj w nocy, sprawa wygląda prosto: pchnięcie nożem w plecy, prosto w serce, śmierć zapewne nastąpiła natychmiast. - Wzruszyła ramionami. - Czy to naprawdę istotne, czy został uderzony w głowę, zanim go zabito, albo co jadł na kolację?

- A badania toksykologiczne?

- Wyniki będą za kilka miesięcy, a nawet wtedy, co nowego może z nich wyniknąć?

- Nic nowego - przyznał Jeffrey. - Tatuż mówi nam, że mamy do czynienia z białym rasistą. Wiemy również, że był w barze, zanim wybuchł pożar, ponieważ widzieliśmy go tam.

- Myślisz, że to on podłożył ogień?

Jeffrey potrząsnął głową.

- Wydawało mi się, że pożar zaczął się na zewnątrz. Ponadto jestem pewien, że ten facet szukał czegoś w barze, kiedy go zobaczyliśmy. To pewnie jak diabli, że nie chciał stamtąd wyjść bez tego czegoś.

- Narkotyki mogłyby wyjaśniać jego zachowanie.

- Ale nie motywy - przypomniał Jeffrey. Starał się ułożyć sobie cały dzień, wymyślić, co może zrobić, żeby przybliżyć się do celu, którym było ustalenie, na co natknęła się Lena, i pomoc jej w wypłataniu się z tego. - Chcę wpaść do domu Hanka i sprawdzić, czy tam czegoś nie znajdzie.

- Najpierw podrzuć mnie do kostnicy, to zacznę sekcję.
Musiał spróbować.

- Gdybyś wyjechała stąd do pierwszej, zdążyłabyś wrócić do Grant na kolację.

- Albo znaleźć dla nas lepszy hotel - odparowała. - Pamiętam, że pół godziny jazdy stąd widziałam jakieś miasteczko, w którym był nie tylko bar i poczta. Może tam miałiby jakiś pokój.

- Wiesz, że nie chcę cię tutaj. No wiesz, chcę, ale...

Uciszyła go.

- Wiem.

Podłoga na korytarzu zatrzeszczała, lecz tym razem ten ktoś nie wszedł do łazienki.

Sara przyciągnęła kolana do piersi i wygładziła koc tak, żeby zakrywał jej nogi, zanim usłyszeli delikatne pukanie do drzwi.

- Proszę - powiedział Jeffrey.

Jake Valentine zajął przez uchylone drzwi.

- Przepraszam, że przeszkadzam. - Zmienił kuszą podomkę na mundur szeryfa, co było zdecydowanie zmianą na lepsze, chociaż nadal wyglądał, jakby nosił ubranie ojca. - Myra już pojechała do szkoły, ale zostawiła wam na kuchence jaja na boczku, jeśli chcecie.

Jego usta rozciągnęły się w uśmiechu, jakby uszczęśliwiła go sama myśl o żonie robiącej śniadanie.

- Dziękujemy - powiedziała Sara. - To bardzo miłe z jej strony.

Valentine zdjął kapelusz i zwrócił się do Sary.

- Poza tym, proszę pani, miałem nadzieję, że znów nam pani dziś pomoże przy sekcji Boyda. To ten człowiek z zeszłej nocy. Boyd Gibson. Mogę dać pani pieniądze, jeśli...

- To naprawdę zbyteczne - przerwała mu. - Chętnie pomogę.

- Świetnie. - Valentine obracał w dłoniach kapelusz. - Pojadę teraz do Grovera, zabiorę go i podrzucę do kostnicy, żeby dokonał formalnej identyfikacji.

Sara nigdy nie potrafiła ukrywać zdziwienia.

- Jeszcze nie powiedział mu pan o jego synu?

Valentine przestał się bawić kapeluszem.

- Grover jest na drugiej zmianie w fabryce - powiedział jej, jakby to go usprawiedliwiało. - Pomyślałem, że pozwo-

łę mu spokojnie skończyć pracę i przespać się, zanim mu powiem o Boydzie.

Sara kiwnęła głową, ale z wyraźną dezaprobatą. Szczególnie w takim małym miasteczku, gdzie plotki szybko się rozchodzą, policjant powinien pierwszy skontaktować się z rodziną, żeby dowiedziała się prawdy, a nie słuchała pogłosek. Jest wystarczająco źle, kiedy trzeba powiedzieć rodzicom, że ich dziecko nie żyje, lecz jest jeszcze trudniej, jeśli znało się ofiarę, a także jej rodzinę.

- Może mógłby pan pojechać do jego ojca z Jeffreyem - zaproponowała.
- Jestem pewna, że pan Gibson będzie pytał, jak zginął jego syn, a Jeffrey był ostatnią osobą, która widziała go żywego.

Valentine uśmiechnął się krzywo, jakby rozważał tę propozycję, najprawdopodobniej usiłując znaleźć jakiś powód do odmowy.

- Hmm, nie potrzebuje pani dziś pomocy męża przy sekcji?

Udała zdziwioną tym pytaniem. Przecząco pokręciła głową.

- Raczej nie - powiedziała niewinnie.

- Możesz przesłuchać mnie po drodze - podsunął Jeffrey.

- Przesłuchać?

- Co do ostatniej nocy - wyjaśnił Jeffrey. - Zakładam, że będzie ci potrzebne moje oświadczenie w kwestii tego, co się stało. Spalonego baru. Trupa wrzuconego przez nasze okno.

- Taak - przyznał Valentine. - W porządku. - Spojrzał na zegarek. - No to lepiej jedźmy.

- Daj mi tylko dziesięć minut na szybki prysznic - powiedział Jeffrey, biorąc swoje ubranie z łóżka. - Zaraz będę gotowy.

Jeffrey nie wiedział, czy to ze względu na niego, ale Jake Valentine był upiornie ostrożnym kierowcą. Zwalniał przed każdym skrzyżowaniem, a na przedmieściu stanął nawet na jednym zielonym świetle, mówiąc Jeffreyowi, że „zmienia się bardzo szybko”. Lubił mówić, a Jeffrey trzymał język

za zębami, kiwając tylko głową, gdy jechali, by powiedzieć Groverowi Gibsonowi, że jego syn został zadżgany.

Po półgodzinie nieustannej paplaniny Valentine znużył się opowiadaniem o pogodzie i wyczynach miejscowych absolwentów liceum przyjeżdżających do domu na ferie. Ani razu nie poruszył tematu ich wycieczki ani nie snuł żadnych przypuszczeń co do tego, kto mógł zabić Boyda Gibsona. Jeffrey wiedział, że nawet Jake Valentine zbadał na odciski palców rękojeść noża sterczącego z pleców zabitego. Z pewnością zeskanował wszystkie, jakie znalazł, i przesłał do laboratorium stanowego w celu identyfikacji. Jeśli nie przedstawi tego jako bardzo pilne, w co Jeffrey poważnie wątpił, wyniki otrzyma dopiero za kilka dni.

- Byłeś już kiedyś w takiej sytuacji? - zapytał Jeffrey.

- W jakiej?

- Takiej, że znalazłeś ofiarę - odparł Jeffrey. - Ten Boyd Gibson. Mówiłeś, że chodziłeś z nim do liceum.

- Obracaliśmy się w różnych kręgach.

- Ty wśród koszykarzy, a on wśród pakerów?

- O rany - zaśmiał się Valentine. - Największym rozczarowaniem mojego ojca było to, że nie byłem dobrym koszykarzem. - Zerknął na Jeffreya. - Na ostatnim roku UGA tato grał w stanowej. Podczas ostatniej połowy sam zdobył trzydzieści siedem punktów. Ja jestem dobry tylko w zmienianiu żarówek i zdejmowaniu skrzynek z górnej półki.

- Dlaczego zostałeś szeryfem?

- Och. - Zbył pytanie machnięciem ręki. - Po prostu pomyślałem, że trzeba coś robić.

- To chyba zbyt niebezpieczna praca, żeby podejmować ją pod wpływem kaprysu, zważywszy na to, że twój poprzednik został wypędzony z miasta.

- Spadł na cztery łapy.

- To brzmi tak, jakby zwinął w porę manatki.

Valentine przeszył Jeffreya wzrokiem.

- Chcesz mi powiedzieć, żebym zrobił to samo?

- Mówię ci, że to niebezpieczne zajęcie dla kogoś, kto nie wkłada w nie serca.

Valentine zwolnił i skręcił w wąską szutrową drogę.

- Może cię zaskoczę, komendancie.

- Wiesz, co mnie zaskakuje? - spytał Jeffrey, czując,

jak temperatura w samochodzie opada, gdy wjechali w cień szpaleru drzew. - Zaskakuje mnie to, że nie masz żadnych pytań.

- A jakie powinienem mieć?

- Zaczniemy od tego, dlaczego moja podwładna uciekła - odparł Jeffrey. - Kto sprawił, że znikł Hank Norton? Kto zamknął jego bar? Kto podkłada ogień? Kto zabił twojego kumpla z liceum?

Valentine zwolnił i zatrzymał samochód. Zaparkował i obrócił się do Jeffreya. Ten uświadomił sobie dwa fakty. Pierwszy, że znajdują się na zupełnym odludziu, a drugi, że z nich dwóch tylko Jake Valentine ma broń.

Kropla potu spłynęła mu po plecach.

Valentine oparł dłoń o dolną część kierownicy, tak że jego palce znajdowały się zaledwie kilka centymetrów od broni.

- Wyglądasz na zdenerwowanego, komendancie.

- Chcę wiedzieć, dlaczego się zatrzymałeś.

- Aby odpowiedzieć na twoje pytania - rzekł Valentine. - Cóż, chodźmy się przejść.

Otworzył drzwi i wysiadł. Jeffrey siedział jeszcze przez chwilę, czując, jak mocno bije mu serce. Droga, na której się zatrzymali, była niewiele lepsza od polnej drogi i z obu stron porośnięta gęstym lasem. Oprócz Sary nikt nie wiedział, że oni tu są, a jej Valentine mógłby podać wiele wymówek, gdyby Jeffrey nie wrócił.

Szeryf stał na drodze, dwa metry od samochodu. Skinął na Jeffreya.

- Chodź, komendancie.

Jeffrey otworzył drzwi. Zostawił swoją broń w bagażniku Sary, zamkniętą razem z walizką. Myślał, że jada tu powiedzieć ojcu Boyda, że jego syn nie żyje, a nie uganiać się za złymi facetami.

- Robi się chłodniej - zauważył Valentine.

- Taak - przyznał Jeffrey.

Wysiadł z samochodu i poczuł, że zrywa się wiatr. Rano nałożył lekką kurtkę na bawełnianą koszulkę, ale nie zapiął zamka. Chciał, by szeryf myślał, że ma kurtkę rozpiętą, żeby łatwiej sięgnąć po broń.

Zamknął drzwiczki samochodu. Droga była usłana su-

chymi liśćmi, a pochylone nad nią drzewa zasłaniały światło. Byłoby tu pięknie, gdyby nie kielkujące w umyśle Jeffreya podejrzenie, że został tu zwabiony w jakimś celu.

- Tędy. - Valentine ruszył drogą, czekając, aż Jeffrey go dogoni.
- Nie planowałem spaceru - powiedział Jeffrey
- Ale to taki piękny dzień na spacer. Może chcesz zapiąć kurtkę.
- Nie muszę - zapewnił go Jeffrey.

Valentine wyciągnął rękę i zerwał jasnopomarańczowy liść z nisko zwieszanej gałęzi. Obracał go w palcach, mówiąc.

- Mieszkają tu porządni ludzi. Naprawdę prości. Większość z nich chce tylko chodzić do pracy, wracać do domu do żony i dzieci, mieć pod koniec tygodnia trochę pieniędzy na kilka piw i oglądanie meczu w telewizji.

Jeffrey trzymał ręce spuszczone wzdłuż boków. Mając broń, chodzisz w pewien sposób, jakbyś nosił rewolwery na biodrach.

- Okręg Grant niewiele się różni od tego.
- Pewnie tak.

Valentine pozwolił, żeby Jeffrey wysunął się przed niego. Zrobił to nieznacznie, ale Jeffrey wiedział, że szeryf wypatruje charakterystycznego wybrzuszenia kabury pod jego kurtką.

- Myślę, że w większości miasteczek jest tak samo. Polityka i tym podobne bzdury zaciemniają obraz, ale wszyscy mamy takie same cele, czy na południu Georgii, czy na południu Francji lub Timbaktu. Chcemy się czuć bezpieczni. Chcemy, by nasze dzieci chodziły do dobrych szkół i miały możliwości, jakich my nie mieliśmy. Chcemy żyć swoim życiem i mieć poczucie, że kontrolujemy nasze przeznaczenie.

Teraz mówił jak zupełnie inna osoba - znikły gdzieś niedbałe gesty i szkolny slang.

- Do czego zmierzasz, Jake?

Posłał Jeffreyowi leniwy uśmiech.

- Tędy.

Wskazał na wąską ścieżkę, biegnącą przez las.

- Co tam jest?

- Sam zobacz.

Tym razem Valentine objął prowadzenie, a Jeffrey poszedł za nim, czując, jak włosy jeżą mu się na głowie, gdy coraz głębiej wchodzili w las. Ścieżka nie wyglądała na uczęszczaną. Opadała w dół i Jeffrey zwolnił, zwiększając odległość dzielącą go od szeryfa. Valentine zdawał się tego nie zauważać. Szedł dalej, wciąż obracając w dłoni liść. Dopiero kiedy dotarł do niewielkiej polany, zatrzymał się i zaczął na Jeffreya.

- Spójrz na to - rzekł Valentine.

Wskazał na wysoką skałę z widocznym w niej otworem. Pod otworem znajdowała się długa plastikowa rura. Ściekała do niej strużka wody.

- To naturalne źródło - powiedział zdziwiony Jeffrey.

Nie zastanawiając się, co robi, przyklęknął i sprawdził. Popatrzył na szeryfa, czekając na jego ruch.

- Tam. - Valentine podał mu rękę i pomógł wstać. - Ta rura biegnie tam, w dół zbocza.

Ruszył naprzód wzdłuż rury. Las zaczął rzednąć, aż zeszli po zboczu na otwartą przestrzeń, gdzie stał opuszczony barak. Jeffrey ocenił, że przeszli zaledwie kilkanaście metrów, zanim dotarli do dużego plastikowego zbiornika z wodą pitną. Jeffrey słyszał, jak ścieka do zbiornika, i zobaczył grubszą plastikową rurę biegnącą do baraku na środku polany.

- Wodociąg - wyjaśnił Valentine. - Doprowadza wodę do domu. Zimna jak diabli jeśli chce się wziąć prysznic, ale fajnie ją mieć, nie uważasz?

- Taak - przyznał Jeffrey.

Zobaczył zaparkowanego przed barakiem sfatygowanego forda. Z dachu do słupa biegł długi przewód. Gdyby nie mała antena satelitarna sterująca z dachu, mogłoby to być domostwo z czasów Wielkiego Kryzysu.

- Doprowadzono tu prąd dopiero kilka lat temu. Władzom zajęło to całą wieczność. Grover sam musiał wykonać większość roboty.

- To tutaj mieszka ojciec Boyda Gibsona?

- Oczywiście. A myślałeś, że gdzie cię zabieram?

Valentine zdjął kapelusz i otarł czoło rękawem. Pocił się

tak samo jak Jeffrey, który nagle pojął, że Jake Valentine był równie spięty jak on podczas tej przechadzki przez las.

Szeryf wskazał na rozsypujący się drewniany stół piknikowy na skraju lasu. Najwyraźniej stał tam już dłuższy czas, gdyż niemal zasłaniały go łodygi kudzu.

- Kiedyś ja i Boyd siadywaliśmy tu i paliliśmy ziele. Wiecznie chodziliśmy na wagary i mieliśmy kłopoty. To jego brat, Larry, był sportowcem. Ja i Boyd byliśmy mięśniakami. - Milczał chwilę, rozmyślając i patrząc na drewniany stolik. - Stary Boyda nienawdził mnie. No wiesz, jak też za nim nie przepadałem. Biciem wpędził żonę do grobu, a potem zabrał się do synów. Mnie też raz pobił, bo winił mnie za to, że Boyd zaczął ćpać. Może miał rację. - Potarł szczękę, jakby na wspomnienie ciosu. - Może sam się oszukuję, bo na pewno za dużo piję, ale myślę, że z narkotykami jest tak, że niektórzy mogą je brać i przestać. Ja próbowałem wszystkiego: koki, speedu, kwasu. Było fajnie, ale potem poznałem Myrę, a ona tego nie znosiła, więc przestałem. Boyd tego nie potrafił. Zaczął brać amfę i szprycować się, czego ja zawsze się obawiałem, bo cholernie boję się zastrzyków. Jak Boyd zaczął wpuszczać sobie to gówno w żyły, nie mógł już przestać. Ty i Sara macie dzieci?

Ta nagła zmiana tematu zaskoczyła Jeffreya.

- Staramy się.

- Myra mówi, że nie wyda dziecka na świat, nie mając pewności, że będzie miało ojca.

Jeffrey i Sara rozmawiali o tym wiele razy.

- Praca policjanta jest niebezpieczna, ale z tego powodu nie można żyć w zawieszaniu.

Valentine kiwnął głową, znów patrząc na drewniany stół. Jeffrey dostrzegł początki łysiny na czubku jego głowy. To wyjaśniało, dlaczego wciąż nosił kapelusz. Ojciec Jeffreya był patentowanym dupkiem, ale Jeffreya pocieszał fakt, że jego stary umarł, mając bujną czuprynę.

- Myra i ja - rzekł Valentine - znamy się od szkoły średniej, no wiesz, tak jak się wie, kto jest zły, a kto dobry. Jej rodzina sprowadziła się do naszego miasteczka, kiedy byłem w drugiej klasie. Dziewczyna z wielkiego miasta. - Zaśmiał się z czegoś. - Myra była dobra, jeśli chcesz wiedzieć. Naprawdę wierząca i bogobojna. Była bardzo zdziwiona, kiedy

wylądowałem w tym samym college'u co ona, chociaż byłem tylko głupim ćwokiem mającym skończyć w fabryce opon. Musiałem cholernie się starać, żeby przekonać ją, że nie jestem tylko głupkiem uganiającym się za kawałkiem dupy. - Znów zachichotał. - To było dziesięć lat temu, a ona wcale się nie zmieniła. Boże, jest śliczna. Bystra jak diabli i umie mnie ustawić, czego chyba często potrzebuję. Nie mam pojęcia, jak wyglądałoby moje życie bez niej. Pewnie kiepsko. Może siedziałbym w więzieniu, zamiast dowodzić posterunkiem. Równie dobrze to ja, a nie Boyd, mogłem wlecieć wczorajszej nocy przez wasze okno.

Jeffrey założył ręce na piersi, zastanawiając się, czy słyszy prawdę czy też starannie obmyśloną bajeczkę mającą osłabić jego czujność. Valentine nie był szczególnie wylewny przez kilka ostatnich dni, a teraz opowiadał historię swojego życia jak na spowiedzi.

Valentine wyprostował się i włożył kapelusz.

- Chciałeś wiedzieć, kto podkładał ogień, kto przepędził Hanka i doprowadził do zamknięcia jego baru? - Obejrzał się na nędzny domek, jakby sprawdzając, że nikt nie słucha. - Odpowiedź na te pytania brzmi: Boyd Gibson. To on stał za ladą, sprzedając piwo i amfę, kiedy wpadli ci z ATF. Co do tego, kto go zadźgał, mam swoje podejrzenia, ale będę musiał o wiele bardziej ci ufać, zanim ci je wyjawię.

- Czy to on podpalił escalade?

- Nie byłbym zdziwiony.

- Dlaczego moja detektyw uciekła?

- Myślę, że jest równie uparta i arogancka jak jej szef. Aresztowałem ją, ponieważ uważam, że jest w to zamieszana po uszy. Zamierzam ją znaleźć i niech mnie szlag, jeśli znów pozwolę jej uciec.

- Toczysz przegraną walkę - rzekł z doświadczenia Jeffrey.

- No cóż... - Szeryf wzruszył ramionami. - Zobaczymy.

- Kto tym rządzi? - zapytał Jeffrey. - Kto kieruje skinami?

- Gdybym znał odpowiedź na to pytanie, ty i ja pewnie nigdy byśmy się nie spotkali. - Na twarz Valentine'a znów powrócił ten leniwy uśmiešek. - W każdym razie, komendancie, muszę cię ostrzec, że kiedy ostatni raz widziałem

Grovera Gibsona, groził, że mnie zatłucze, jeśli jeszcze raz postawię nogę na jego ziemi.

Myśl o tym, że ktoś mógłby skopać tyłek młodemu szeryfowi, niespecjalnie zmartwiła Jeffreya.

- Może więc powinieneś wezwać jakieś wsparcie. Naprawdę nie jestem tutaj oficjalnie.

- Tak też pomyślałem, kiedy wsiadłem bez broni do mojego radiowozu. - Mrugnął do Jeffreya, a potem ruszył w kierunku domu, mówiąc: - Mam nadzieję, że twoja śliczna żona naprawdę jest lekarzem. Mam przeczucie, że będzie mnie trzeba pozszywać.

LENA

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Deacon Simms był jednym z tych mężczyzn, którzy zawsze wyglądają staro i o krok w tyle za światem, nawet mając dwadzieścia lat. Lena podejrzewała, że Deacon uważał się za buntownika. Sądził, że kiedy jedzie swoim starym harleyem do baru, a siwy warkocz obija mu się o plecy, rzuca wyzwanie społeczeństwu. Wciąż wyglądał w każdym calu na Anioła Piekieł z czasów swej młodości: Gęste wąsy. Flaga konfederatów na opinającej brzuszysko koszulce. Skórzane kowbojskie ochraniacze na wyblakłych dżinsach.

Nawet w latach siedemdziesiątych wyglądał jak uwięziony w pętli czasu stary hipis, którego powolny sposób mówienia i kojarzenia dowodził, że skutki nadużywania marychy utrzymują się jeszcze przez wiele lat. Tak jak Hank, Deacon był członkiem AA, AN oraz każdego innego stowarzyszenia abstynentów, jakie chciało go przyjąć. Tylko w przeciwieństwie do Hanka - proszę, Boże, spraw, żeby tak było - Deacon nie żył.

Pochylając się teraz nad jego ciałem na strychu Hanka, Lena domyśliła się, że Deacon został śmiertelnie pobity. Twarz miał koloru śliwki, a zapadnięte policzki pokryte zaschniętą krwią. Przecięta warga rozerwała wąż, który zwisał jak źle przyklejony. Deacon nie umarł od razu. Lena nie była lekarzem, ale w kostnicy Sary Linton widziała dość zwłok, by wiedzieć, że sińce nie powstają, jeśli serce nie pompuje krwi. Gdyby miała zgadywać, powiedziałaby, że stary nie żyje od tygodnia, może dziesięciu dni. Jak długo czekał na śmierć? Czy wpełznął go tutaj oprych ze swastyką? Albo Hank?

Po znalezieniu sztywniaka trzeba wykonać szereg regulaminowych czynności. Lena poznała je wszystkie podczas

drugiego tygodnia nauki na akademii policyjnej, gdy uczono ważnych rzeczy, których nie chcieli marnować na kadetów odpadających w pierwszym tygodniu.

Po pierwsze ogrodzić taśmą miejsce zbrodni, a potem wykonać telefony. Zgodnie z prawem koroner musi orzec zgon danej osoby, nawet jeśli zwłoki są tak rozłożone, że od smrodu pieką oczy. Do koronera należy decyzja, czy śmierć nastąpiła w podejrzanych okolicznościach czy nie. Deacon Simms był tak zwanym prostym przypadkiem, wymagającym natychmiastowego telefonu do szefa, który następnie wzywał wydział zabójstw. Następnie trzeba było zabezpieczyć dowody, zrobić zdjęcia, dokładnie zbadać i zebrać odkurzaczem wszystkie mikroślady, jakie mógł pozostawić zabójca. Dopiero potem można było zabrać ciało w celu wykonania sekcji i przejrzeć dowody, żeby wykryć zabójcę.

Na strychu Hanka ktoś zauważyłby szeroki ślad w szczurzych odchodach i kurzu, ciągnący się od wjazdu do miejsca ostatniego odpoczynku Deacona, i wywnioskowałby, że ciało zostało tam zawleczone. Może zauważono by ustawione przed ciałem pudła i założono, że został tam ukryty i pozostawiony na śmierć. Z pewnością zobaczono by głębokie cięcia na jego dłoniach i przedramionach, świadczące, że usiłował się bronić przed kimś uzbrojonym w bardzo ostry nóż. Brak odzieży wskazywał na to, że mogło być na niej coś, co zdaniem zabójcy mogło do niego doprowadzić. Albo sprawca czerpał jakąś chorą przyjemność z bicia sześćdziesięcioletniego mężczyzny i pozostawienia go nagiego na strychu, żeby umarł.

Najbardziej niepokojące było trofeum zabójcy - skrawek skóry usunięty znad lewego sutka Deacona. Rana była otoczona zakrzepłą krwią, ale nie była śmiertelna. Zabójca chciał tylko tego kawałka skóry o wymiarach pięć na pięć centymetrów, który wprawnie oddzielił od reszty ciała. Wyblakłe tatuaże otaczające ranę sugerowały, co mogło się znajdować na wyciętym kawałku. Lena nigdy przedtem nie widziała Deacona bez koszuli, lecz doskonale wiedziała, jakie obrazki ozdabiała jego pierś. Deacon należał do Aniołów Piekieł, pierwszych siewców nienawiści.

Ktoś wyciął jego swastykę.

Dobre było w tym jedynie to, że ten brakujący kawałek

skóry dowodził, iż Hank nie był zamieszany w śmierć Deacona. Ci dwaj sprzecznali się niemal codziennie, lecz Hank nigdy nie skrzywdziłby jedyne go człowieka na świecie, którego mógł nazwać swoim przyjacielem. Pomimo wszystkich ponurych myśli, jakie Lena pozwoliła sobie snuć przez kilka ostatnich dni, teraz wiedziała bez cienia wątpliwości, że Hank nigdy z rozmysłem nie zraniłby nikogo oprócz siebie. Nie był mordercą.

Ta myśl nasunęła jej oczywiste pytanie: co robił Hank, kiedy ktoś śmiertelnie pobił Deacona i zostawił go na strychu, żeby umarł?

Musiała znaleźć Hanka. Miejskowa policja założyła, że jej wuj miał coś wspólnego ze śmiercią Deacona. Zobaczą zdesperowanego narkomana oraz ofiarę gwałtownej śmierci i wyciągną oczywiste wnioski. Nawet Jeffrey z trudem uwierzyłby w niewinność Hanka. Chciałby wiedzieć, przez ile dni Hank mieszkał w tym domu ze zwłokami nad głową. Chciałby czegoś konkretniejszego niż brakujący kawałek skóry na dowód niewinności Hanka. Lena nie mogła dać mu takiego dowodu. Zaginięcie Hanka nie poprawiało sytuacji. Uciekasz, jeśli masz coś do ukrycia.

A może Hank ukrywał się przed kimś. Może krył się przed Leną.

Na czworakach wyczołgała się ze strychu, a potem opuściła się na kuchenne krzesło. Chwyciła stojące przy włączniku pudło i przeciągnęła je tam, gdzie było. Kiedy skończyła, wzięła szmatę i starła ślady swoich brudnych palców z krawędzi klapy. Zniosła krzesło z powrotem do kuchni, wyłączyła wszystkie światła oprócz tego nad kuchennym zlewem i zamknęła za sobą drzwi.

Jadąc swoją celicą przez miasteczko, czuła się jak przestępczyni. Do licha, była nią. Nie tylko nie zgłosiła śmierci Deacona, ale ukryła ciało i wytarła odciski palców. Mogła sobie wyobrazić, jak siedzi w biurze Ala Pfeiffera i ten stary pierdziel szyderczo się uśmiecha, kiedy ona mówi mu, co się stało. Al znalazłby Hanka. Sprowadziłby go i postawił mu zarzut morderstwa, zanim Lena zdążyłaby otworzyć notes i poszukać adwokata.

Część światła przed barem paliła się, gdy Lena wjechała na parking, na którym nie było żadnych samochodów.

Założyła, że zapala je włącznik czasowy, ale potem zobaczyła połączone przewody kilku tanich paneli słonecznych. Żarówki świeciły słabo, bladopomarańczowo i wąpiła, by poświeciły długo. Zanim wysiadła z samochodu, pochyliła się i wzięła latarkę ze schowka na rękawiczki.

Frontowe drzwi wciąż były zaklejone na krzyż taśmą Biura ds. Wyrobów Alkoholowych, Tytoniowych i Broni Palnej. Lena przy świetle latarki sprawdziła, czy taśma nie została rozerwana, po czym poszła na tyły budynku. Czowała, jak włosy jeżą jej się na głowie, gdy przechodziła przez kiepsko oświetlony parking i dalej po żyrowej dróżce wiodącej do biura Hanka. Zwążywszy na to, jaki miała tydzień, nie sądziła, by nawet granicząca z paranoją ostrożność była przesadna.

Poprzednim razem dwoma koszami na śmieci wziętymi z baru zasłoniła dziurę, którą wykopała w ścianie biura. Jeśli się nie wiedziało o jego istnieniu, otwór nie był tak widoczny, jak sądziła. Zerknęła przez ramię i omiotła światłem latarki skraj lasu, zanim odsunęła kosze i weszła do biura.

W środku barak był w takim samym stanie, w jakim go zostawiła. Nie wiedziała, czy to dobrze czy źle, że Hank nie wrócił. Deacon Simms nie żył. Oprócz Charlotte Warren Hank nie miał żadnych innych przyjaciół, do których mógłby się zwrócić. Nie było kanapy w salonie, na której mógłby się przespać, ani żadnego kąta, w którym mógłby się zaszyć.

Na biurku nadal leżała otwarta książeczka czekowa. Lena usiadła i przejrzała rejestr. O ile pamiętała, wszystko było tak jak wtedy, kiedy znalazła listy Charlotte. Mimo to sprawdziła czeki, upewniając się, że żadnego nie brakuje. Następnie ponownie przetrząsnęła biurko, tym razem szukając czegoś, co mogłoby mieć związek z Deaconem Simmsem. Znalazła jedynie zapasowe klucze Hanka, ukryte pod zniszczonym egzemplarzem / *Am the Cheese*.

Lena schowała klucze do kieszeni i przekartkowała książkę, noszącą na grzbiecie pieczęć biblioteki okręgu Elawah. Do okładki od wewnątrz była przyklejona papierowa koperta z tkwiącą w niej kartą. Na karcie widniał podpis „Lena Adams”, nagryzmołony przez nią całe wieki temu. Ta książka była jej potrzebna do wypracowania

z angielskiego. Lena przeczytała ją z przyjemnością, ale nie napisała wypracowania. Kiedy nauczycielka zadzwoniła i powiedziała o tym Hankowi, Lena skłamała, że zgubiła książkę. Hank nie tylko złożył jej skórę, ale kazał zapłacić za książkę z tygodniówki.

A przez cały czas miał ją tutaj, dupek!

Lena rzuciła książkę na biurko, strącając przy tym stos kwitów. Zbierała je, próbując ułożyć z powrotem, gdy zobaczyła stojący na podłodze telefon. Aparat był stary, jeden z tych, które zaczęli produkować zaraz po tym, jak odeszli od obrotowej tarczy. Lena wyciągnęła rękę i przesunęła palcami po przewodzie, szukając automatycznej sekretarki. Domyśliła się, że tak samo jak z prądem, Hank nie zamierzał płacić firmie telekomunikacyjnej za przeciągnięcie linii do baraku. Biegająca tu od baru ocynkowana rurka z przeciągniętym przez nią kablem przedłużacza miała prawie pięć centymetrów średnicy, więc było w niej dość miejsca na dodatkowy przewód.

Wetknęła książeczkę czekową pod pachę i przykleiła, aby wyjść z baraku przez wybitą dziurę. W biurze nie było niczego wartościowego, ale znów zasłoniła otwór śmietnikami.

Tylnie drzwi baru były zamknięte na kłódkę, ale przez Hanka, a nie agentów ATF. Tak samo jak drzwi frontowe, te również były zaklejone na krzyż żółtą taśmą, lecz Lena z łatwością przecięła ją krawędzią klucza. Jednym kluczem otworzyła kłódkę, a drugim, mniejszym, zatrask yale. Metalowe drzwi otworzyły się ze zgrzytem i ze środka buchnął zastały odór papierosowego dymu i piwa.

Podeszwy jej butów cmokały na linoleum, gdy szła przez kuchnię. Coś przebiegło jej po stopie i Lena zastygła, mając nadzieję, że to tylko szczur i że jest sam. Poświeciła sobie latarką, by znaleźć włącznik, oczami duszy widząc stado wściekłych gryzoni gotowych do ataku. W kącie coś zaszeleściło, ale zignorowała to i poszła do głównej sali.

Zakaszła, nie mogąc złapać tchu w tym zaduchu, bez dopływu świeżego powietrza. Idąc, nacisnęła włączniki i któryś z nich uruchomił szafę grającą w połowie piosenki. Wszędzie leżały śmieci i zauważyła kałuże po rozlanych drinkach, które zmieniły się w lepkie plamy na linoleum.

Nie trzeba było detektywa, żeby wydedukować, co się tu stało. Policja wpadła, wygarnęła wszystkich, aresztowała kogo trzeba i wychodząc, zgasiła światła.

Nagle Lena przypomniała sobie coś. Uklękała za barem i opukała podłogę, starając się usłyszeć coś przez dźwięki piosenki. W końcu znalazła to, czego szukała, i wyjęła nóż, żeby podważyć kafelek. Pod nim znalazła pudełko po cygarach, wepchnięte między dwa legary. Tajny skarbczyk Hanka. Lena otworzyła pudełko: było w nim prawie tysiąc dolarów. Zawahała się, nagle czując się jak złodziejka. To były pieniądze Hanka. Czy to kradzież, jeśli je weźmie, żeby nie mógł kupić sobie prochów?

Stanęła na barze i wepchnęła pieniądze za butelkę szkockiej tak taniej, że na jej dnie wytrącił się osad. Zeskoczyła i umieściła pudełko po cygarach z powrotem w skrytce. Jakiś wyjec zawodził balladę country, gdy przycisnęła piętą kafelek, wciskając go na miejsce. Teraz poczuła się lepiej, jakby zrobiła coś, aby pomóc Hankowi, zamiast przyczynić się do jego upadku.

Telefon był za barem, pod kasą, czyli tam gdzie zawsze. Automatyczna sekretarka pod nim sygnalizowała dwanaście połączeń. Lena wcisnęła odtwarzanie i zrozumiała, że najnowsze wiadomości są pierwsze, gdy jej własny głos powiedział: „Hank, tu Lee. Gdzie jesteś?” Była zaskoczona tonem swego głosu, odbijającego się echem w pustym barze, gniewem rozbrzmiewającym w każdym słowie. Czy zawsze rozmawiała z nim z taką złością? Lena potrząsnęła głową: jeszcze jedna sprawa, nad którą teraz nie

Następny telefon był od Nan, kochanki Sibyl. Ton był uprzejmiejszy, ale wiadomość podobna: „Od kilku dni nie mam od ciebie wieści i zaczynam się niepokoić. Proszę, daj mi znać, czy u ciebie wszystko w porządku”.

Następną, dziesiątą wiadomością była głucha cisza i Lena już miała przewinąć taśmę dalej, gdy usłyszała początek nagranego tekstu, od którego ścisnęło ją w dołku.

Georgia, jak niemal każdy inny stan USA, używa elektronicznego systemu obsługi telefonów wykonywanych przez więźniów. Komputerowy głos podał nazwę więzienia i pora-

dził odbierającemu, by się upewnić, czy zna wysokość opłat za połączenie, zanim przycisnie guzik, przyjmując rozmowę. Następnie co dwie minuty ten sam mechaniczny głos włączał się, by przypomnieć odbierającemu, że rozmawia z pensjonariuszem więzienia stanowego. Wygórowane opłaty pomagały sfinansować oprogramowanie monitorujące rozmowy więźniów oraz chroniące postronne osoby przed obciążeniem dwudziestodolarowym rachunkiem za dwuminutową rozmowę.

Wiadomość była standardowa: po podaniu lokalizacji następowała trzysekundowa przerwa, aby dzwoniący mógł podać swoje nazwisko. W ciągu lat pracy, przy różnych sprawach, Lena wysłuchiwała kilku takich rozmów wychodzących z więzienia w okręgu Grant. To zdumiewające, co więźniowie potrafili zawrzeć w tych krótkich, trzysekundowych przekazach. Rzadko podawali swoje nazwiska - raczej traktowali to jak najkrótszą z możliwych sposobność, by ubłagać kogoś, żeby z nimi porozmawiał. Od „mamo, Kocham cię, porozmawiaj ze mną, proszę” po jej ulubione „zabiję cię, suko” od człowieka, który w sądzie uparcie twierdził, że nie stanowi żadnego zagrożenia dla swojej żony.

Maszyna Hanka odtworzyła piątą wiadomość, identyczną jak cztery poprzednie. „To jest płatne połączenie z pensjonariuszem Coastal State Prison. Wciśnij jeden, jeśli chcesz rozmawiać z więźniem...”

Lena oparła dłoń na barze, przytrzymując się go. Słuchała, jak maszyna odtwarza kolejne wiadomości, i ścisnęła ją w gardle, jakby połknęła tłuczone szkło.

Pięć razy ta sama wiadomość, pięć razy usłyszała jego głos. Nie mogła się powstrzymać. Odśluchiwała następną i jeszcze jedną. Wszystkie były takie same. We wszystkich słychać było ten szorstki, beznamiętny głos, wydający się wtórować komputerowemu.

Na wyświetlaczu zapaliła się jedyńka, gdy sekretarka odtworzyła ostatnią wiadomość.

- „To jest płatne połączenie z pensjonariuszem Coastal State Prison. Wciśnij jeden, jeśli chcesz rozmawiać z więźniem...”

Lena wstrzymała oddech, mając nadzieję, że ta będzie

inna, że to wszystko to jakiś chory żart. Jednak nie. Głośnik doskonale odtworzył jego głos, powolny i pewny sposób, w jaki wypowiadał każde słowo - Ethan Green.

Lena chwyciła aparat i rzuciła nim o ścianę.

CZWARTEK

RANO

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

W okręgu Grant Sara miała pomocnika, tak zwanego dienera, który wykonywał mniej istotne prace związane z sekcją zwłok. Carlos katalogował narzędzia chirurgiczne, porządkował wycinki, robił zdjęcia rentgenowskie, sprzątał pracownię i zasadniczo ułatwiał Sarze pracę samą swoją obecnością. Robił notatki, ważył organy i co najważniejsze - jego obowiązkiem było tak zwane „wypychanie flaka”, czyli stanie przy zlewie i oczyszczanie jelit, żeby ich zawartość można było zbadać i zważyć. To zadanie było tak nieprzyjemne, jak sugeruje opis, i powierzenie go komuś innemu było istnym darem

Słowo *diener* oznacza po niemiecku „służący”, ale Sara zawsze uważała Carlosa za swojego asystenta, będącego istotną częścią jej pracy. Gdyby kiedyś zwątpiła w jego wartość, jego nieobecność przy tej sekcji rozwiązałaby wszelkie wątpliwości. Nawet pomoc Jeffrey’a, który poprzedniego dnia zrobił, co było w jego mocy, była lepsza od pracy w pojedynkę. Gdy tylko otworzyła zamrażarkę i zobaczyła Boyda Gibsona leżącego twarzą w dół na tacy, Sara wiedziała, że czeka ją długi i ciężki

Sara miała metr siedemdziesiąt wzrostu i nie była wątłym kwiatusem, ale o mało nie trzasnął jej krzyż, gdy przemieszczała Gibsona na metalowy stół. Jego ciało ważyło chyba tonę, głównie mięśni i tłuszczu. Facet był mocno zbudowany - jej ojciec powiedziałby, że jak hydrant - ale na przemian pchając i ciągnąc, jakoś zdołała wyjąć go z worka i umieścić na stole, nie ruszając tkwiącego w jego plecach noża.

Po wykonaniu zdjęcia rentgenowskiego dokumentującego położenie noża Sara przepchnęła stół z powrotem do

głównego pomieszczenia kostnicy, gdzie zważyła i zmierzyła ciało. Następnie zajęła się butami i ubraniem zabitego. Tenisówki były luźne, zapewne nosił je co najmniej od roku. Dżinsy i bielizna nowsze, ale niewiele. Portfel, nie zawierający niczego niezwykłego, był przymocowany łańcuszkiem do jednej ze szlufek spodni. Przy pasie wisiała skórzana pochwa z ręcznie robionym wzorem identycznym z tym na kościanej rękojeści tkwiącego w niej noża. Rękodzieło nie wzbudziło zachwyty Sary: scena z polowania, przedstawiająca dwa psy wypłaszające z lasu bażanta.

Upewniwszy się, że dziura w koszuli pasuje do rany w plecach Gibsona, starannie rozcięła koszulę, fotografując każdy kolejny ruch. Zważywszy na niemal zabytkowe wyposażenie kostnicy, tak zaawansowany model aparatu cyfrowego był czymś zaskakującym. Poprzedniego dnia zdjęcia robił Jeffrey, ale Sara szybko zaczęła wykorzystywać liczne funkcje aparatu. Makro zoom był lepszy od tego, którego używała u siebie, a duży ekran ciekłokrystaliczny na tylnej ściance pozwalał na szybkie przeglądanie zdjęć i upewnianie się, że jest na nich dokładnie to, co chciała.

Zrobiła kilka zdjęć ubrania rozłożonego na nakrytym papierem stole, a następnie zbadala materiał na obecność mikrośladów. Poza ziemią i kilkoma włosami wyglądającymi na należące do ofiary, na ubraniu Boyda Gibsona nie znalazła niczego ciekawego. Podobnie jego tenisówki marki New Balance były zabłocone, ale nic poza tym. Mimo wszystko pieczołowicie zapakowała w woreczki i opisała każdy przedmiot, szczególnie starannie spisując zawartość portfela zabitego: prawo jazdy wystawione na Boyda Carrola Gibsona lat trzydzieści siedem, jedna karta Delta SkyMiles American Express, jedna Visa Bank of Elawah, dwa zdjęcia psów gończych bluetick coonhound siedzących przy strumieniu i pięć dolarów w gotówce. Albo Boyd Gibson był niezwykle schludnym człowiekiem, albo ktoś przetrząsnął zawartość jego portfela. Sara zanotowała w myślach, żeby wspomnieć o tym Jeffreyowi.

Znów wzięła aparat i sfotografowała nagie ciało, robiąc zbliżenia noża - własności Leny. Kiedy zeszłej nocy zobaczyła tę broń, od razu wiedziała, do kogo należy. Mina Jeffreya potwierdziła jej przypuszczenia. Widziała, że nie chciał dzie-

lic się tą informacją, nie chciał przyznać, że Lena nie była jedynie biernym widzem w tej aferze, w którą się wpakowali.

A co z Hankiem? Trzeba było dwóch osób, żeby wrzucić ciało Boyda Gibsona przez okno motelu. Sara spotkała wujka Leny zaledwie parę razy, ale pamiętała, że Hank Norton był chudy i niezbyt wysoki. Jeśli nie on był współnikiem Leny, to kto? Lena w żaden sposób nie zdołałaby zrobić tego sama.

A może wcale tego nie zrobiła. Sam fakt, że ten nóż należał do Leny, wcale nie oznaczał, że to ona zadźgała tego człowieka. Sara powinna mieć otwarty umysł. Nie wolno jej rozpoczynać sekcji z poczynionymi z góry założeniami, inaczej może nie dostrzec innych możliwości.

Pochyliła się nad ciałem Gibsona, zamierzając zrobić bliższe ujęcie rany klutej. Zmarszczyła brwi, zauważywszy rozbieżność między szerokością noża i rany. Rękojeść noża Leny tkwiła niemal prostopadle do ciała - lekko uniesiona w górę i może kilka cali w lewo, co sugerowało praworęcznego zabójcę, który zaszedł ofiarę od tyłu i pchnął w serce. Jednak wydłużony kształt rany wskazywał, że ostrze weszło pod kątem i z góry. Lena była praworęczna, ale miała zaledwie metr sześćdziesiąt wzrostu. Albo nóż został dopchnięty podczas transportu zwłok, albo Lena weszła na drabinę, żeby

Znając sprawność biura szeryfa w Elawah, Sara była gotowa się założyć o połowę swojej wypłaty, że nóż został dopchnięty w czasie transportu ciała. Zanotowała w myślach, żeby zapytać o to Jake'a Valentine'a. Taka rozbieżność to typowy szczegół, o jakim marzy адвокат pozwanego. Sara będzie musiała bardzo dokładnie opisać tę ranę w swoich notatkach, na wypadek gdyby ta sprawa znalazła się w sądzie. W przeciwnym razie rozszarpia ją w krzyżowym ogniu pytań.

Z drugiej strony sposób, w jaki potraktowano Sarę podczas przesłuchania w sprawie zarzutu niedopełnienia obowiązków, dowodził, że choćbyś był nie wiem jak dokładny i nie wiem jak starannie się przygotował, zawsze znajdzie się jakiś chciwy szakal-advokat, który przeinaczy twoje słowa dla własnych celów.

Sara wymamrotała pod nosem parę epitetów pod adresem prawników, po czym kontynuowała oględziny.

Znalazła kilka skaleczeń i zadrapań na dłoniach - powstały prawdopodobnie podczas upadku na brzegu strumienia za barem Hanka. Ślady oparzeń na ramionach były niewielkie i z pewnością niegroźne dla życia, pominąwszy możliwość zakażenia. Opalone włosy odrosłyby za kilka miesięcy, rzęsy w kilka tygodni. Zadziwiające, ale Gibson miał tylko jeden tatuaż - brzydką czerwoną swastykę, którą Jeffrey pokazał jej poprzedniej nocy. Zazwyczaj ci faceci są pokryci napisami jak ściany toalety. Sara jedną ręką przycisnęła obok tatuażu metalową linijkę, a trzymanym w drugiej aparatem uwieczniła rodzaj i rozmiar tatuażu.

Wyprostowała się, odkładając aparat, by zrobić kolejne notatki. Nie po raz pierwszy pożałowała, że nie ma Jeffrey'a, który pomógłby jej szybciej zakończyć sekcję. Poprzedniego dnia wypracowali sobie rytm pracy, a ponadto chciałyby, żeby tu był choćby po to, żeby podzielić się z nim swoimi uwagami na temat zwłok. Gibson miał na plecach pajęczynę starych blizn, które sugerowały Sarze, że kiedyś został wychłostany pasem lub czymś podobnym. Na prawym udzie miał długą białą bliznę, wyglądającą na ślad po otwartym złamaniu.

Timer wywoływacza rentgenowskiego zabrzęczał, wskazując, że zdjęcia są gotowe, i Sara obejrzała je przy starym podświetlaczu wiszącym przy drzwiach. Ciemne linie opowiadały swoją historię: ślady starego spiralnego złamania lewego przedramienia oraz tylnych odcinków dolnych żeber. Na czaszce były ślady dawno zagojonych pęknięć na linii szwu. Zrośnięcia kości długich wskazywały na złamania sprzed co najmniej dziesięciu lat. Gdyby Sara miała zgadywać, powiedziałaby, że Boyd Gibson był maltretowany jako dziecko.

Znów zajęła się ciałem, mimo woli współczując temu człowiekowi. Ile takich pośmiertnych zdjęć rentgenowskich widziała w Grant? Rzadko się zdarzało, żeby ciało martwego przestępcy nie nosiło śladów maltretowania w dzieciństwie. Jako pediatra musiała się dziwić ludziom z otoczenia małego Boyda Gibsona. Jak udawało mu się ukryć ślady pobić przed nauczycielami, lekarzem, pastorem? Ile razy matka lub ojciec Gibsona tłumaczyli złamane kości i siniaki jego niezdarkością lub chłopcą nierozwagą? Ilu dorosłych wierzyło im, ignorując świadectwo swoich oczu?

Choć maltretowanie w dzieciństwie z pewnością nie uspra-

wiedliwia czynów dorosłego, Sara mimo woli zastanawiała się, czy Boyd Gibson znalazłby się na jej stole, gdyby miał szczęśliwe dzieciństwo.

Oczywiście, na tym świecie jest wielu ludzi, którzy przeżyli znacznie gorsze rzeczy, a mimo to nie zostali nazistami i dilerami. Ani ich mordercami.

Czy Lena popełniła ten okropny czyn? Czy dźgnęła tego człowieka w plecy? Sara jakoś nie uważała tego za możliwe, tak jak nie przypuszczała, by policjantka mogła spalić kogoś żywcem. To prawda, że ta kobieta miała charakterek, ale gdyby Lena Adams zabiła kogoś, zrobiłaby to, patrząc mu w oczy.

Kiepski dowód obrony, ale prawda często bywa dziwna.

Sara skupiła uwagę na narzędziu zbrodni. Ślady proszku na perłowej rękojeści świadczyły o tym, że Jake Valentine już badał je na odciski palców. Wyglądało na to, że żadnych nie znaleziono. Lena wiedziała, że powinna nosić rękawiczki albo wytrzeć narzędzie zbrodni. Czy to wtedy nóż się przemieścił, gdy ścierała z niego swoje odciski palców?

Używając dużego zbliżenia, Sara sprawdziła, czy są jakieś drobne ślady na brzegach rany, które przeoczyli ludzie szeryfa Elawah. Wzrok jej się zamglił, gdy na ekranie pojawiły się ostre detale rękojeści, i na moment odwróciła wzrok.

- Chwileczkę - powiedziała sama do siebie.

Kiedy oderwała wzrok od rękojeści, zobaczyła coś innego. Trzy małe, okrągłe sińce na ramieniu zabitego. Ktoś bardzo silny chwycił Gibsona dostatecznie mocno, żeby został ślad. Z barwy siniaków Sara wywnioskowała, że nastąpiło to bezpośrednio przed śmiercią. Przycisnęła linijkę pod siniakami i zrobiła zdjęcia pod kilkoma kątami. Później, żeby mieć pewność, cal po calu obejrzała zwłoki, szukając innych śladów, które

Przekonana, że zrobiła wszystko, co mogła, Sara zdjęła rękawiczki i przejrzała swoje notatki, upewniając się, że są czytelne i niczego nie można niewłaściwie zinterpretować. Wchodząc do prosektorium, Sara zawsze pamiętała o tym, że wszystko, co zrobi, będzie rozpatrywane przed sądem. A od kiedy oskarżono ją o niedopełnienie obowiązków, była ostrożna w stopniu graniczącym z paranoją.

Wciąż wracała myślami do noża - nie dlatego, że należał

do Leny, o czym zuchwale nie wspomniała w swoich notatkach - lecz dlatego że wciąż niepokoiła ją ta rana. Zdjęła okulary do czytania i przetarła oczy. W przeciwieństwie do poprzedniego dnia przyległy garaż tętnił życiem: sprężarki włączały się i gasły, a do kostnicy wdzierały się spaliny. Nie była zadowolona z tego, że te zapachy są tak silne, nie tylko dlatego, że powodowały ból głowy, ale dlatego że sekcja zwłok to coś więcej niż oglądanie. Pewne zapachy ciała mogą dowodzić różnych rzeczy - od

Idąc w kierunku stojącego na środku sali stołu, Sara założyła okulary ochronne oraz parę nowych lateksowych rękawiczek. Używając igły o dużej średnicy, pobrała próbki krwi i moczu i odpowiednio je oznaczyła. Nogą przysunęła sobie niewielki stołek, tak by pochylić się nad ciałem. Stanąwszy nad Gibsonem, Sara oparła prawą dłoń o jego plecy, a lewą chwyciła rękojeść noża. Już miała go wyjąć, gdy ktoś zapukał do drzwi.

- Halo? - zawołał mężczyzna, nieproszony wchodząc do kostnicy. Zobaczył Sarę, która wciąż zaciskała w dłoni nóż, i cicho gwizdnął. - Mam nadzieję, że chce go pani wyjąć, a nie wbić.

Sara opuściła rękę.

- W czym mogę pomóc?

Mężczyzna posłał jej szybki, łasicowaty uśmiech, pokazując rząd równych, małych zębów. Wyciągnął rękę, ale zaraz zmienił zamiar.

- Fred Bart - przedstawił się. - Wykonuje pani moją robotę.

Sara zeszła ze stołka. Była co najmniej o głowę wyższa od tego mężczyzny, w którym było coś, co natychmiast zaczęło ją drażnić. Mimo to przeprosiła.

- Przepraszam. Szeryf prosił mnie...

Prychnął głośnym śmiechem.

- Tylko żartowałem, słodziutka. Nie przejmuj się.

Dorastając na Południu, Sara często była nazywana słodką, drogą, a nawet dzieciną. Dziadek nazywał ją księżniczką, a listonosz orzeszkiem, ale jakoś udawało im się mówić to w sympatyczny, a nie irytujący sposób, tak że bożonarodzeniowe i urodzinowe kartki do nich podpisywała imionami, jakie jej nadawali. Krótko mówiąc, jest bardzo

cienka granica między tymi, którym uchodzą takie rzeczy, a tymi, którym nie. Fred Bart, w swoim tanim, przyciasnym garniturku i lakierowanych butach, zdecydowanie należał do tej drugiej kategorii.

- Miło mi pana poznać - powiedziała mu Sara, siląc się na uprzejmość. - Właśnie robiłam... - Zamilkła, gdy Bart podniósł jej notatki. - Jeszcze ich nie skończyłam.

- W porządku, kochana. Myślę, że sobie poradzę.

Zaczął czytać, a Sara z trudem powstrzymywała chęć wyrwania mu kartek z ręki. Podparła się pod boki i czekała, kierując laserowy strumień nienawiści prosto w czubek jego łysiejącej głowy. Kępki pozostałych za uszami włosów miały nienaturalny wygląd i przyjrząwszy im się przez długą chwilę, doszła do wniosku, że je farbował.

Bart był co najmniej dziesięć lat starszy od Sary - ten rodzaj faceta, który nigdy nie wybaczy światu tego, że zaczął łysieć przed dwudziestką. Miała wrażenie, że jest typem człowieka, który wini innych za wiele rzeczy, których w sobie nie znosi. Zerknęła na jego dłonie, szukając obrączki, i z zadowoleniem stwierdziła, że przynajmniej żadna kobieta nie musi znosić tego wszystkowiedzącego mądrali.

Kiedy wreszcie skończył czytać jej notatki, posłał jej szybki uśmiech i położył je tam, skąd je wzięł. Oczekiwała jakiejś zjadliwej uwagi na temat jej charakteru pisma, lecz on powiedział tylko:

- Potrzebuje pani pomocy?

- Myślę, że sobie poradzę.

Bart wyjął z szuflady parę rękawiczek. Założył je, mówiąc.

- Mogę przynajmniej pomóc wyjąć ten nóż. Nie wiem, czy kiedyś miała pani z czymś takim do czynienia, ale mają skłonność do utkania w ranie, im dłużej się zwleka z ich wyjęciem.

- Poradzę sobie, dziękuję - odrzekła Sara, nie wiedząc, jak powiedzieć temu dentyście, że ona wie, co robi, nie urywając mu przy tym głowy i nie ciskając jej za okno jak piłkę.

- Żaden problem. - Stał na stołku właśnie opuszczonym przez Sarę. Oburącz chwycił nóż, a potem posłał jej badawcze spojrzenie. Kiedy się nie poruszyła, rzekł: - Nie dam rady tego zrobić, jeśli go nie przytrzymasz, słodziutka.

Nagle uświadomiła sobie, że stoi podparta pod boki, z wydętymi ustami, wyglądając dokładnie jak stereotyp nienawidzącej mężczyzn feministki, który Fred Bart zapewne przechowywał w swoim umyśle, by wyjaśnić, dlaczego jego nieodparty wdzięk nie działa na jakąś kobietę.

Sara oburącz przycisnęła plecy nieboszczyka, a Bart wyjął nóż. Zauważyła, jak łatwo ostrze wyszło z rany. Bart najwyraźniej też to

- Nie tak źle - rzekł, rzucając nóż na tacę przy zwłokach. - Znalezione jakieś odciski palców?

- Musiałby pan zapytać szeryfa. Ja tylko przeprowadzam sekcję.

- Może zechce pani zdjąć je sama - zaproponował, ściągając lateksowe rękawiczki. - Wiem z doświadczenia, że nasz mały kolega Jake nie jest najlepszy w technikach laboratoryjnych.

Rzucił rękawiczki do kosza na śmieci i wyjął paczkę papierosów.

- Wolałabym, żeby pan tu nie palił.

- Jest pani jedną z tych fanatycznych przeciwniczek tytoniu? - zapytał z papierosem zwisającym mu z ust.

Sara zastanawiała się nad tym szczególnym doborem słów, zważywszy na czerwoną swastykę na ramieniu ofiary.

- Po prostu wolałabym, żeby pan tu nie palił - powiedziała spokojnie.

Znów błysnął zębami w uśmiechu i urządził cały spektakl z wyjmowaniem papierosa z ust i wkładaniem go z powrotem do pudełka - tylk- No i co pani znalazła? Coś ciekawego?

Sara wzięła aparat, żeby obfotografować ranę.

- Jeszcze nie.

- Jest pani pediatrą, prawda?

- Zgadza się. - Poczula potrzebę dodania: - A także anatomopatologiem.

- Nie sądziłem, że kogoś jeszcze stać na to, żeby być lekarzem.

Bart zaśmiał się sucho, a Sara nie wiedziała, czy jest taki bystry, czy też wie o oskarżeniu o niedopełnienie obowiązków. Musiałby dobrze poszukać, żeby się o tym dowiedzieć, więc zapewne był to kolejny objaw jej paranoi. Jednak po

tym, przez co przeszła w ciągu kilku ostatnich dni, Sara uważała, że usprawiedliwiony.

Bart obszedł ciało i przystanął przy tatuażu.

- Pasuje - rzekł. - W zeszłym miesiącu miałem tu jednego z tych drani. Skosił słup telefoniczny na drodze numer szesnaście. Zepchnął przy tym z drogi rodzinę w minibusie. - Obrzucił ją spojrzeniem. - Rodzina przeżyła. Tylko potłuczenia i siniaki.

Sara zrozumiała, że jeśli zachowa ostrożność, może uzyskać od niego jakieś informacje.

- Czy skinheadzi są tutaj problemem?

Bart wzruszył ramionami.

- Problemem jest amfa, a skinheadzi razem z nią. Dla mnie to dobrze. - Sara musiała mieć zdziwioną minę, ponieważ wyjaśnił: - Jestem dentystą. Myślałem, że Jake ochoczo to pani wyjaśnił. - Założył ręce na piersi, przy czym ramiona taniego garnituru uniosły mu się do uszu. - Dziesięć lat temu miałem szczęście, jeśli trafiło mi się jedno wypełnienie kanałowe na miesiąc. Teraz robię dwa lub trzy na tydzień. Ściągają do mnie z całego okręgu, czasem z sąsiednich. Koronki, mostki, emaliowanie. Istny boom.

Sara wiedziała, co amfa potrafi zrobić z jamą ustną. Intensywnie zażywający tracili zęby w ciągu roku.

- Interes kwitnie - rzekł Bart. - Wolałbym jednak nigdy nie widzieć żadnego dzieciaka ćpającego to gównem. - Poczerwieniał. - Przepraszam panią za mój język.

Sara nie wiedziała, czy to jego przeprosiny czy wyraźne zatroskanie zmniejszyły jej niechęć..

- Niech mi pani pozwoli pomóc obrócić ciało.

Sara nadal niechętnie akceptowała jego pomoc, ale musiała przyznać, że nie cieszyła jej perspektywa odwracania ciężkich zwłok. Zrobiła kilka zdjęć i zaczęła, aż Bart znów nałożył rękawiczki. Ujął zabitego za ramiona, a Sara za nogi. Ze skrywaną uciechą patrzyła, jak dentysta zмага się z ciężkim ciałem, gdy przetaczali je na plecy. Ponadto dało jej to do myślenia, gdyż jeśli we dwoje z trudem odwracali leżące na stole ciało, to wrzucenie go przez okno wymagało naprawdę ogromnej siły.

- Duży facet, co? - powiedziała.

Bart wzruszył ramionami, ale dostrzegła kroplę potu spływającą mu po policzku.

- Bywało gorzej.
- Mogę to sobie wyobrazić.

Widziała błysk w jego oku, wywołany tą uwagą - zapewne się zastanawiał, czy protekcyjną. Sara pozostawiła go w niepewności i niemal trzepocząc rzęsami, dodała:

- Wielkie dzięki za użyczenie mi siły mięśni.

Instynktownie sięgnął po papierosa, ale powstrzyma się.

- Widzę, że poradziła pani sobie z Berthą. - Wskazał na aparat rentgenowski. - Wciąż proszę władze okręgu, żeby mi go wymienili, i wciąż mi odmawiają.

- Spełnia swoją funkcję - powiedziała Sara.

Jeśli ogląda się dostatecznie dużo seriali telewizyjnych, można by założyć, że każdy wydział policji dysponuje najnowszym sprzętem kryminalistycznym. W rzeczywistości żadne laboratorium w kraju nie może sobie pozwolić na sprzęt za miliardy dolarów, jaki jest używany w przeciętnym czwartkowym thrillerze. Na skromne zasoby stanowe istnieje ogromne zapotrzebowanie i czasem rok trzeba czekać na wynik analizy.

Bart długo oglądał zdjęcia rentgenowskie Boyda Gibsona. Cicho gwizdnął.

- Nie miał dzieciństwa. - Przesunął palcem wzdłuż pieszczeli. - Paskudne złamanie.

- Znał go pan?

Bart odwrócił się i po raz pierwszy, od kiedy wszedł do kostnicy, wydawał się naprawdę na nią patrzeć.

- Tak - odparł ze smutkiem w głosie. - Przyprawiała go jego matka. Zawsze była pokiereszowana. - Wskazał na swoją twarz i Sara zrozumiała, że mówił o maltretowaniu. - Nigdy nie widziałem takich śladów pobicia u niego lub u jego brata, bo ma starszego brata, ale wiele razy wzywałem szeryfa w sprawie Elli. Tak miała na imię. - Odwrócił się plecami do Sary, znów oglądając zdjęcia, a może nie chcąc, by widziała, że jest poruszony. - Była prawdziwą damą. Cichą, bogobojną, dobrą kucharką. Wszystko, czego można chcieć od żony. Pewnie niektórym mężczyznom to nie wystarcza. To pewne jak cholera, że Groverowi nie wystarczało.

Sara zaczęła i zapytała dopiero wtedy, kiedy upewniła się, że skończył.

- Co zrobił szeryf, kiedy pan to zgłosił?

- Wtedy rzucił tu Al - odparł Bart, odwracając się. - Al był dobrym człowiekiem, ale wtedy nie można było wnieść skargi bez zeznania maltretowanej żony, a Ella nie zamierzała powiedzieć złego słowa o Groverze. Nie dlatego, że nadal go kochała, ale wiedziała, co zrobiłby chłopcom, a nie mogła po prostu odejść i szukać pracy, która zapewniłaby im utrzymywanie. - Nadal z nim jest?

- Nie - rzekł, spuszczając głowę. - Umarła na raka, kiedy Boyd miał dziesięć lub jedenaście lat. Nieczęsto go potem widywałem. Grover nie zamierzał marnować na leczenie ich zębów pieniędzy, które mógł wydać na wódkę. - Wskazał na zwłoki. - Oczywiście, ostatnio wciąż go widywałem.

- Jak to?

Bart skierował wzrok na przedramiona Gibsona, poznaczone śladami ukłuć. Były dobrze zagojone, sprzed co najmniej czterech lub sześciu miesięcy. Ponadto Gibson był gruby, a zażywający amfę przeważnie byli bardzo chudzi.

- Nie wygląda, żeby ostatnio brał.

- Taak, przez jakiś czas był czysty. - Bart wzruszył ramionami. - Wielu z nich przestaje na miesiąc, czasem na rok. Potem coś się dzieje i ani się obejrzą, a już wracają do prochów.

- Czy tak się zdarzyło z Boydem?

Bart nie odpowiedział bezpośrednio na jej pytanie.

- Przyszedł jakieś sześć tygodni temu. Nie miał pieniędzy na zabieg, ale rozłożyłem mu płatność na raty. Okropnie cierpiał. Miał zainfekowaną całą jamę ustną. Straciłby resztę zębów, gdybym czegoś nie zrobił.

- Widziałam mostek - powiedziała Sara, pokazując zdjęcie szczęki.

Jeszcze nie zbadała jamy ustnej Gibsona.

- Nie tak źle, jak mogłoby być. - Uśmiechnął się, patrząc na zdjęcie. - Pewnie widuje pani takie rzeczy o wiele częściej niż ja.

- A to co?

- Wszczępy - powiedział szorstko, ale Sara nie wiedzia-

ła, czy drwiąco czy współczująco. - Przychodzą i wiesz, że ich na to nie stać, ale nie możesz odprawić ich z kwitkiem, ponieważ nie po to studiowałaś.

Sara jednocześnie kiwnęła głową i wzruszyła ramionami, nie wiedząc, co powiedzieć. Nie zamierzała dyskutować z tym człowiekiem o fatalnej sytuacji służby zdrowia.

- No cóż. - Bart spojrzał na zegarek, jakby właśnie przypomniał sobie o jakimś ważnym spotkaniu. - W każdym razie chciałem wpaść i upewnić się, że czuje się pani jak u siebie w domu. Proszę dać mi znać, gdyby pani czegoś potrzebowała, dobrze?

- Dziękuję - powiedziała Sara i naprawdę była mu wdzięczna, dopóki nie błysnął zębami w tym łasicowatym uśmiechu.

- Uważaj na siebie, moja droga. Nie chciałbym, żebyś została w to zamieszana.

Poczuła, że uśmiech zastyga jej na twarzy.

- Dziękuję - powtórzyła, lecz Fred Bart już wyszedł.

Sara znów spojrzała na leżącego na stole trupa, jakby ten mógł wygłosić jakiś kwaśny komentarz na temat tego, co zaszło przed chwilą. Oczywiście milczał. Sara zdjęła rękawiczki i wróciła do swoich notatek. Znalazła właściwą stronę i zanotowała, że Fred Bart asystował przy usuwaniu noża. Odnotowała także, że nóż łatwo wyszedł z rany. Bart miał rację co do jednego: zazwyczaj ostrze więźnie w ciele z powodu zakrzepłej krwi lub tkanek sztywniejących wokół metalu.

Odsunęła od siebie te myśli i kontynuowała oględziny, fotografując zagojone ślady po igle, odnotowując obecność kilku zadrapań na pieszczeli. Gibson miał otwarte usta i z łatwością wyjęła mostek uzupełniający brak przednich zębów. Chociaż nie chciała, Sara musiała przyznać, że Bart wykonał dobrą robotę. Dziaśła wygoiły się niemal zupełnie i nic nie wskazywało na to, by mostek był źle dopasowany.

Sprawiła godzinę, zastanawiając się, co zabiera Jeffreyowi i Jake'owi Valentine'owi tyle czasu. Mieli sprowadzić tu ojca Boyda Gibsona, żeby zidentyfikował ciało, tymczasem nie było ich już dwie godziny. Teoretycznie Jake już zidentyfikował zwłoki, lecz z doświadczenia wiedziała, że rodzina zwykle musi zobaczyć ciało.

Zadzwoiła na komórkę Jeffrey, ale nie odebrał. Zostawiła mu wiadomość, lecz gdy przez dwadzieścia minut nie oddzwonił, postanowiła rozpocząć badania wewnętrzne. Kiedy przybędzie ojciec Gibsona, zawsze będzie mogła zakryć ciało, by oszczędzić mu przykrego widoku.

Założyła rękawiczki, wróciła do stołu, wzięła skalpel i zaczęła wykonywać nacięcie w kształcie litery Y. Ponieważ stół, przy którym wykonywała sekcje w Grant, był wyposażony w dyktafon, Sara mimo woli w myślach opisywała każdy swój ruch, tak że otwierając klatkę piersiową lub badając opłucną, słyszała w głowie cichy głosik komentujący każdą

Sprawdziła ranę kłutą serca i znalazła to, czego oczekiwała. Ostrze przebiło lewą tylną ścianę klatki piersiowej i wyszło przednią, powodując niemal natychmiastowy zgon. Zatrzymała się na tym, sporządzając dodatkowe notatki, robiąc zdjęcia i mierząc drogę ostrza, a potem kreśląc szkic tego, co ustaliła.

Nawet bez rany kłutej serce było w kiepskim stanie. Było powiększone przez nadwagę Gibsona, a główne tętnice już wykazywały objawy arteriosklerozy. Gdyby nie zabił go cios nożem, niezdrowy styl życia z pewnością uniemożliwiłby mu dożycie sędziwego wieku.

Chociaż miała już ewidentną przyczynę śmierci, Sara kontynuowała drobiazgową autopsję, starannie ważąc i krojąc organy, pobierając wycinki tkanek. Ostatni posiłek Boyda Gibsona był podobny do tego, który zjedli Jeffrey i Sara: pizza. Wyglądało na to, że preferował pepperoni, ale zrównoważył to, wybierając do niej zdrową sałatkę. Być może palił przy jedzeniu. Sądząc po zabarwieniu i powiększeniu pęcherzyków płucnych, Gibson był nałogowym palaczem. Zważywszy na to, Sara uznała za dziwne, że nie miał w kieszeniach papierosów.

Zanotowała to, zrobiła jeszcze kilka zdjęć i tyle szkiców, że rozboleła ją ręka. Niestety, tym swoim umiłowaniem szczegółów sama się karała. Zanim wskazówki zegarka minęły dwunastą, nie czuła nóg i pękał jej krzyż.

I szczerze mówiąc, Sara nie miała zdolności plastycznych. Jej szkice wyglądały jak rysunek psychopatycznego przedszkolaka.

Zakryła ciało i usiadła, czując każdy krąg szyjny z osobna, gdy spojrziała na sufit w nadziei powetowania sobie tego, że ostatnie dwie godziny spoglądała w dół. Już zaczynała się martwić o Jeffreya, gdy usłyszała podjeżdżający samochód. Jake Valentine otworzył drzwi, jednocześnie w nie

- Przepraszam za spóźnienie - rzekł z niedbałym uśmiechem.

Miał w nozdrzu zwitek papieru toaletowego. Nasada nosa była spuchnięta, a pod lewym okiem rozlewał się spory siniak.

Sara wstała, zaniepokojona.

- Gdzie jest Jeffrey?

Zanim dokończyła to pytanie, jej mąż pojawił się za Valentine'em i zamknął drzwi.

- Drobną sprzeczka - wyjaśnił.

Miał na twarzy taki sam niedbały uśmiech jak szeryf, jakby świetnie się razem bawili.

- Jaka sprzeczka?

Sara czuła się tak, jakby rozmawiała z dwoma niesfornymi chłopcami, i wybuch śmiechu Jeffreya bynajmniej nie rozwiął tego wrażenia. Valentine też się roześmiał, chociaż widząc łzy w jego oczach, wiedziała, że to go zabolowało.

- Grover niespecjalnie ucieszył się na mój widok - powiedział jej.

- Rąbnął Jake'a w nos, gdy tylko otworzył drzwi - wyjaśnił Jeffrey.

Sara zauważyła, że teraz mówił szeryfowi po imieniu. Tylko dwóch gliniarzy może zbliżyć cios wymierzony jednemu z nich.

- Dobrze, że poradziła mi pani, żebym zabrał go dzisiaj ze sobą. Gdyby go tam nie było, pewnie leżałbym teraz na tym stole - powiedział Valentine do Sary.

- Cholera - dodał Jeffrey. - Może obaj leżelibyśmy, gdybyś nie podstawił nogi temu staremu durniowi.

Sara powstrzymała się i nie przewróciła oczami.

- Rozumiem, że pan Gibson nie przyjdzie dokonać formalnej identyfikacji?

- Nie był załamany wieścią o śmierci syna - wyjaśnił Valentine. - Nie byli zżyci. - Wzruszył ramionami i dodał

nieważnym tonem: - Może dotrze to do niego, kiedy wytrzeźwieje.

Jeffrey też spoważniał i powiedział do Sary:

- Był kompletnie pijany. Skuliśmy go i zawieźliśmy na posterunek, żeby się przespał. Wygląda na to, że nie jest tam pierwszy raz.

- Nie - potwierdził Valentine. - I pewnie nie ostatni.

- Zrobiłam kilka zdjęć twarzy zabitego - podsunęła Sara. - Możecie pokazać je ojcu. Może to ułatwi sprawę.

- Odkryłaś coś? - zapytał Jeffrey.

- Niezupełnie.

Podniosła narzędzie zbrodni i umieściła na arkuszu brązowego papieru, żeby je sfotografować. Po raz pierwszy dokładnie przyjrzała się ostrzu i rękojeści. Patrząc na nie teraz, zauważyła dwa fakty: ostrze było wąskie, najwyżej dwucentymetrowe i miało co najmniej dziesięć centymetrów długości. A najważniejsze było to, że w przeciwieństwie do większości składanych noży, jakie Sara widziała, to nie miało ząbków. Było gładkie z jednej i ostre z drugiej strony.

Zadzwonił telefon komórkowy Valentine'a i pomieszczenie wypełniły dźwięki pierwszych taktów *Dixie*. Sprawdził, kto dzwoni, po czym powiedział do nich:

- Pozwolicie, że przeproszę was na chwilę?

Sara zaczęła, aż zamknie za sobą drzwi, po czym wzięła aparat i zaczęła przeglądać zdjęcia.

- Dzwoniłaś do szpitali, żeby sprawdzić, czy do kogoś nie przyjęto Leny lub Hanka? - zapytał Jeffrey.

- W promieniu pięćdziesięciu mil są trzy - odrzekła, przeglądając zdjęcia. - W żadnym nie ma po nich śladu.

- To chyba dobrze - stwierdził, choć widziała, że był rozczarowany.

Gdyby Lena minioną noc spędziła w szpitalu, nie mogłaby zabić Boyda Gibsona.

Sara znalazła zdjęcie, którego szukała.

- To powinno sprawić, że poczujesz się lepiej.

- Co to takiego?

- Spójrz na tę ranę - odparła, znajdując szereg zbliżeń, które zrobiła. - Jest poszarpana na górze i na dole. Wiedziała, że coś się nie zgadza.

Jeffrey spojrział na leżący na stole nóż, a potem znów na

wyświetlacz aparatu. Najwyraźniej wiedział już, do czego Sara zmierza, ale mimo to rzekł:

- W porządku.
- Nóż, ten nóż - Sara wskazała leżący na stole nóż Leny - pozostawiłby ranę o dnie w kształcie litery V i prostokątnym górnym brzegu. Zębate ostrze pozostawia poszarpaną skórę. Górny i dolny brzeg rany Boyda Gibsona jest poszarpany.

Kiwał głową.

- Charakter rany wskazuje, że nóż, który zabił Boyda Gibsona, był obosieczny i ząbkowany.

W jego głosie słyszała podniecenie. Statystyczna większość ofiar zostaje zadżgana nożami o ząbkowanym jednostronnym ostrzu, gdyż takie zazwyczaj znajdują się w kuchennych szufladach. Sara nigdy nawet nie widziała obosiecznego ząbkowanego ostrza, nie mówiąc już o zadanej nim ranie. Jeśli ktoś w Elawah posiada taki nóż, to najprawdopodobniej jest zab Jeffrey bębnił palcami w stół, rozważając ten nowy ślad.

- Założę się, że robiony na zamówienie. A może to wojskowy sprzęt, nie dla cywili. Z pewnością długi trzonek, zapewne pasujący do pochwy... Jak sądzisz, jak długa była klinga?

- Od rękojeści po czubek co najmniej piętnaście centymetrów, a po szerokości rany sądząc, szerokie na najwyżej trzy centymetry. - Wskazała na Gibsona. - Popatrz, jaki jest duży. Klatkę piersiową ma wielką, serce powiększone. Znalazłam ranę wlotową i wylotową w lewej komorze. - Ponownie wskazała nóż Leny. - To ostrze mogło przebić serce od tyłu, ale w żaden sposób nie mogłoby przejść przez nie i klatkę piersiową. Nie jest na to dostatecznie długie: cały nóż ma najwyżej dwanaście centymetrów długości.

- Ktoś z miejscowych musi robić taki sprzęt. - Jeffrey nie zdołał powstrzymać uśmiechu. - Razem z rączką piętnastocentymetrowy nóż musi mieć od dwudziestu do dwudziestu trzech centymetrów. Facet, którego widzieliśmy przed szpitalem, miał przy pasie wielki nóż. Zostawił go w samochodzie, zanim wysiadł.

- To nic niezwykłego, że mężczyźni noszą noże - przy-

pomniła Sara. - Mój ojciec do pracy zawsze nosi nóż przy pasie.

- Kiedy ostatni raz sprawdzałem, twój ojciec nie miał wielkiej swastyki na ramieniu - skontrował Jeffrey. - Ktokolwiek to zrobił, próbował zrobić Lenę. Nic dziwnego, że uciekła.

- A może był przywiązany do swojego noża i nie zamierzał go tracić. - Podeszła do stołu, na którym leżały zapakowane w foliowe torebki przedmioty znalezione przy Gibsonie. - Spójrz na jego nóż. Nie kupił go w pierwszym lepszym sklepie. Dał za niego sporo pieniędzy. Nie jest to coś, czego pozbywasz się bez żalu.

Drzwi się otworzyły i stanął w nich Valentine. Przytrzymał je stopą, jakby nie zamierzał zabawić tu długo.

- Dzwonił dyrektor liceum - rzucił z wściekłością.

Jeffrey i Sara spojrzeli po sobie.

- I?

- W jednej z tymczasowych klas znalazł kilka koców i pustych opakowań po chipsach. - Potrzęsnał głową i tak mocno zacisnął zęby, że jego szczeka wyglądała jak wykuta z granitu. - Wygląda na to, że odkryliśmy, gdzie nocowała twoja detektyw. - Uśmiech Jeffreya wyprowadził go z równowagi. - Moja żona pracuje w tej szkole, ty pierdolcu.

- Cóż, nie przejmowałbym się tym tak bardzo, Jake - pocieszył go Jeffrey. - Jestem pewien, że to nie Myra pozwoliła jej tam spać.

Valentine zacisnął wargi, wyraźnie usiłując wymyślić jakąś ciętą odpowiedź.

- Idź do diabła - tylko tyle zdołał w końcu wykrztusić, po czym odwrócił się na pięcie i wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

LENA

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Dwa lata temu Jeffrey rzucił Lenie w twarz nakaz aresztowania Ethana Greena, każąc jej go przeczytać.

Oczywiście nigdy tego nie zrobiła. Udawała, że przegląda dokument, łapiąc co piąte lub szóste słowo, po czym odrzuciła mu pismo z wojowniczym warknięciem:

- I co?

Jeffrey naświetlił jej w skrócie główne przestępstwa Ethana: kradzież samochodu, napad z zamiarem morderstwa, zmuszanie do czynów nierządnych, gwałt. Żadne z tych słów do niej nie dotarło - Lena wciąż myślała o Ethanie jak o dwóch różnych osobach, z których jedna ją kochała, a druga chciała ją zabić. To rozdwojenie jaźni nie było dla niej niczym dziwnym, gdyż w tym czasie Lena myślała o sobie w taki sam sposób.

Sibyl nie żyła od roku, gdy Lena poznała Ethana. Mieszkała w akademiku, pracując w ochronie miasteczka akademickiego i starając się przeżyć każdy kolejny dzień, nie pakując sobie kuli w łeb. Ethan robił pracę magisterską. Niestrudzenie chodził za Leną, niemal ją zamęczając.

Kilka miesięcy później Lena wróciła do pracy w policji i wprowadziła się do Nan Thomas. Ethan wciąż był w jej życiu - Ethan był jej życiem. Jego akta policyjne przez cały czas były w jej toyocie, dobrze ukryte za zmieniaczem płyt kompaktowych w bagażniku. Lena nie chciała, żeby Nan przypadkiem je znalazła. Prawdę mówiąc, nie chciała trzymać ich w domu, w którym kiedyś mieszkała Sibyl. Było wystarczająco źle, kiedy spał tam

Lena przeszła po zachwaszczonym pasie ziemi między motelem a barem, po chrzęszczącym pod obcasami szkle i innych śmieciach zmiecionych z szosy. Idąc do swojego

samochodu, minęła recepcję. Chociaż nocne powietrze było chłodniejsze, Lena wciąż się pociła, jakby znów siedziała w dusznym domu Hanka.

Kradzież samochodu. Napad z zamiarem morderstwa.

Teczka była dokładnie tam, gdzie schowała ją przed dwoma laty, z czarnymi śladami bieżnika plamiącymi pieczęć stanu Connecticut na pożółkłej obwolucie. Lena wyjęła ją i z niewiadomego powodu czuła potrzebę ukrycia jej pod koszulą, gnając po schodach do swojego pokoju. Nikt jej nie obserwował. Nie musiała ukrywać teczki. Jednak miała poczucie winy. Wciąż czuła się tak, jakby ktoś, gdzieś, patrzył na nią z dezaprobatą.

Może lepiej byłoby nie wiedzieć. Ethan mógł dzwonić do Hanka z prośbą o pieniądze lub wsparcie, a może po prostu chciał skontaktować się z Leną. Wyprowadziła się od Nan i miała teraz nowy numer telefonu. Czy wysyłał listy na adres Nan? Czy Nan chowała je przed nią w nadziei, że zerwie ich kontakty?

Lena zawiesiła na drzwiach tabliczkę „Nie przeszkadzać”. Zasunęła zastony i usiadła ze skrzyżowanymi nogami na łóżku, przyciskając teczkę do piersi. Czuła bicie swego serca, łomoczącego o grube akta, a kartonowa okładka lepiła się do jej spoconej skóry.

Powoli wyjęła dokumenty spod koszuli. Przesunęła dłonią po okładce, dotykając okrągłej pieczęci. Namacała krawędź i otworzyła teczkę, aby ujrzeć to, czego już nigdy nie chciała zobaczyć: patrzącego na nią Ethana.

Policyjne zdjęcie zostało zrobione kilka lat przed tym, zanim Lena poznała Ethana, kiedy miał osiemnaście lat. W czasie ich znajomości nosił krótko obcięte włosy, lecz na zdjęciu był wygolony na łyso. Z drwiącym uśmiechem spoglądał w obiektyw, a tabliczka w jego dłoni była przekrzywiona, jakby nie chciało mu się trzymać jej prosto. Miał na sobie koszulkę z krótkimi rękawami. Teraz już ich nie nosił - a może przestał ukrywać swoje tatuaże po powrocie do więzienia. Tam były bardzo przydatne.

ETHAN ALLEN GREEN vel ETHAN ALLEN WHITE vel ETHAN ALLEN MUELLER.

Lena pamiętała, jak Ethan wyjaśnił jej pochodzenie swojego nazwiska. Byli w jego pokoju w akademiku, ściśnięci na jego łóżku. On leżał na plecach, a ona obejmowała go, żeby nie spaść z wąskiego łóżka. Ethan był niski - zaledwie kilka centymetrów wyższy od Leny - lecz miał mięśnie jak wykute z granitu. Wtuliła głowę pod jego pachę i dźwięk jego głosu wibrował jej w uszach.

W latach amerykańskiej rewolucji, powiedział jej, Ethan Allen był przywódcą chłopców z ugrupowania Green Mountain, którzy walczyli o niepodległość Vermontu. Podczas wojny Allen ze swoim oddziałem zajął brytyjski fort. Według jednych był genialnym dowódcą, według innych ignorantem i zimmokrwistym mordercą.

Pomyślała wtedy, tak samo jak teraz, że to przybrane nazwisko do niego pasuje.

Zmuszanie do czynów nierządnych. Gwałt.

Lena niewiele wiedziała o życiu Ethana sprzed jego przeprowadzki do okręgu Grant. Ojciec Ethana zostawił go, gdy chłopak był mały. Matka, zagorzała rasistka, wyszła za mąż za niejakiego Ezekiela White'a, kaznodzieję. Porzuciwszy swoją rodzinę skinów, Ethan zmienił nazwisko na Green. Lena nie miała pojęcia, dlaczego nie wrócił do nazwiska Mueller - jego biologicznego ojca. Ethan nie lubił o nim mówić.

Kiedy Lena poznała Ethana, ten twierdził, że bardzo stara się zmienić. Lena zaakceptowała to, a nawet szanowała. Z czasem wmówiła sobie, że nie umawiałby się z nią, gdyby trwał przy swoich dawnych przekonaniach. Miała latynoskie pochodzenie - co było widać. Dzieliła pokój z lesbijką - i nie jakąś tam lesbijką, tylko kochanką swojej siostry. Ethanowi zdawało się to nie przeszkadzać. Był bardziej niż serdeczny wobec Nan. Twierdził, że kocha Lenę i chce dzielić z nią całe jej życie. Powiedział, że związek z nią jest jedyną dobrą rzeczą, jaką zrobił w swoim życiu. To, że płynące z jego usta słowa tak ostro kontrastowały z ciosami jego pięści, było czymś, o czym nie pozwalała sobie myśleć.

WZROST: 165 CM WAGA: 80 KG PŁEĆ: MĘSKA KOLOR
WŁOSÓW: CIEMNOBLOND KOLOR OCZU: NIEBIESKI RASA:
BIAŁA

Rasa. Jego przywilej skóry, jak to nazywał. Jego białe dziedzictwo.

TATUAŻE

Było ich tyle, że o niektórych Lena nawet zapomniała. Funkcjonariusz, który dokonał aresztowania, sfotografował je wszystkie, odnotowując ich pochodzenie i symbolikę. Lena obejrzała fotografie i po raz pierwszy dokładnie przyjrzała się tatuażom. Zawsze odwracała wzrok lub zamykała oczy, gdy zdejmował ubranie. Mimo to niektóre z tych obrazków utkwiły jej

Szereg esesmanów na jego lewej piersi salutował wizerunkowi Hitlera na prawej. Poniżej była duża czarna swastyka falująca na jego umięśnionym brzuchu. Lewe ramię pokrywały sceny batalistyczne ukazujące żołnierzy z karabinami, w czapkach z emblematem SS. Wokół drugiego owijał się wytatuowany drut kolczasty z nikłymi zarysami obozowych baraków w tle.

Jak mogła dotykać tego ciała? Jak mogła pozwolić, żeby dotykało jej ciała?

Lena przewróciła kartkę i znalazła następne zdjęcie. Gęste, ciemnoblonde włosy Ethana zakrywały kolejne tatuaże. Na podstawie wygolonej czaszki widniał napis *Sig Heil*. Na czubku głowy następna czarna swastyka.

Obok zdjęcia ktoś dopisał wyjaśnienie: „Hitlerowskie pozdrowienie na potylicy zwykle nadawane po sześciu latach aktywnego uczestnictwa. Swastyka na głowie to zwyczajowy symbol przywódców North Conn, grupy skinheadów”.

Ostatnie zdjęcie ukazywało zbliżenie spodniej części jego lewego ramienia. Tuż przy nasadzie bicepsa była litera A z kreską obok. A-minus. Na odwrocie zdjęcia policjant napisał wyjaśnienie: „Członkowie Waffen SS, batalionów śmierci pilnujących obozów koncentracyjnych, mieli wytatuowaną pod pachą grupę krwi. W ugrupowaniach białej siły oznacza rangę generała”.

Lena nigdy nie pytała o tę literę pod pachą Ethana, nigdy nie chciała poznać prawdy o jego przeszłości. Teraz stanęła z nią oko w oko i ta prawda ją obezwładniła. Każde zdjęcie było jak policzek.

Oto ojciec jej dziecka, które zostawiła w jakimś koszu na odpadki w klinice w Atlancie. Oto człowiek, z którym dzieliła całe dwa lata swego

Po tym jak Ethan wrócił do więzienia, Lena próbowała bez powodzenia związać się z innym mężczyzną. Greg Mitchell był z nią kilka lat wcześniej i wyglądało na zrządzenie losu, gdy ponownie pojawił się w jej życiu mniej więcej wtedy, kiedy zniknął z niego Ethan. Nie udało im się jednak. Ona nie była tą osobą co kiedyś, co w pierwszej chwili Greg uznał za zaletę. Później niemal zaczął się jej bać.

Lena od początku usiłowała ukryć przed Gregiem swoje prawdziwe ja, mroczną naturę i kanciasty charakter. Trzymała emocje na wodzy w takim stopniu, że przez większość wspólnie spędzanego czasu czuła się jak pusta skorupa. Ich seks był katastrofą. Po Ethanie nie umiała już być z delikatnym mężczyzną, nie wiedziała, jak go całować, pieścić i otrzymywać od niego przyjemność zamiast bólu.

Czy gdyby Angela Adams była w pobliżu, gdyby była matką swoich córek, zamiast zostawić je Hankowi, czy Lena związałaby się z Ethanem? Czy jej defekt, ten pociąg do jego przemocy i okrucieństwa, nigdy by się nie objawił? A może skończyłaby tak jak Charlotte Warren, mieszkając w Reese, wychowując dwójkę dzieci i czekając, aż mąż wróci z pracy, żeby podać mu kolację?

Rejestr przestępstw Ethana liczył prawie trzydzieści stron. Większość notatek była napisana suchym, lakonicznym stylem doświadczonego policjanta, który wiedział, że nie należy pisać za dużo, inaczej jakiś parszywy adwokat poprzekręca wszystko i rzuci ci w twarz podczas procesu. Jednak Lena umiała czytać między wierszami i przeglądając wykaz kolejnych aresztowań, zaczęła tworzyć sobie wyraźny obraz życia Ethana z czasów, kiedy się jeszcze nie znali.

Zaczął wcześniej, po raz pierwszy zatrzymany w wieku trzynastu lat. Ukradł jakieś ubrania z miejscowego sklepu Belka. Jako piętnastolatek został aresztowany za próbę kradzieży samochodu. Obie sprawy przekazano sądowi dla nieletnich. Dwukrotnie dostał wyrok z zawieszeniem. Jednak to nie mogło być wszystko. Nie przechodzisz od kradzieży ubrań do kradzieży samochodów. Musiało coś być w międzyczasie.

Lena wiedziała, że na każde wykryte przestępstwo przypadają cztery popełnione i niewykryte. Założyłaby się o sporą sumkę, że Ethan zwinął co najmniej dziesięć samochodów, zanim został złapany na gorącym uczynku.

Potem miał czysty rejestr aż do ukończenia siedemnastu lat. Wtedy oskarżono go o wykorzystanie seksualne nieletniej. Dziewczyna miała piętnaście lat. Dwa tygodnie później oskarżenie wycofano. Z lakonicznego raportu Lena wywnioskowała, że rodzice pokrzywdzonej nie chcieli, by zeznawała przed sądem. To było często spotykane i zapewne rozsądne. Świat chciałby wierzyć, że jest inaczej, lecz każdy gliniarz powie wam, że nie ma niczego strasniejszego - i potencjalnie rujnującego życie kobiecie - od długiego procesu o gwałt.

W raporcie odnotowano: „Podejrzany ma tatuaże i insygnia niebezpiecznej sekty neonazistowskiej. Sugerowana obserwacja przez FBI”.

Ethan miał dziewiętnaście lat, gdy został aresztowany za napaść. W czasie bójki użył noża, co zakwalifikowano jako napaść z zamiarem zabójstwa. Ofiara została mocno pokaleczona, ale odmówiła współpracy z policją, więc zarzut został zmieniony i Ethan znów uniknął więzienia.

Minęły trzy lata, zanim policja stanu Connecticut znowu usłyszała o Ethanie Greenie. Lena sądziła, że stało się to wtedy, gdy Ethan skończył studia i zaczął przygotowywać pracę magisterską. Zapewne właśnie to w Ethanie przerażało ludzi najbardziej: był bystry, a nawet uzdolniony. Stanowił żywe przeciwieństwo stereotypowego tępego białego rasisty. Kiedy Lena go poznała, starał się dostać na studia doktoranckie w Grant Tech i zapewne udało mu się to, gdyby nie został aresztowany.

Dziwne, ale zarzutem, który policja stanu Connecticut w końcu zdołała udowodnić Ethanowi, było wystawianie czeków bez pokrycia. Wypisał czek w A&P na ponad dwadzieścia osiem dolarów, mając na koncie zaledwie dwanaście dolarów. Następnego dnia pokrył debet, ale świadome wystawianie czeków bez pokrycia jest przestępstwem. Tego rodzaju zarzut wskazywał na to, że policja tylko czekała, żeby go na czymś przyłapać. Miliony ludzi każdego dnia robią takie rzeczy. I nikt ich nie łapie, chyba że na to czeka.

Ethan jednak został przyłapany. Czekają go dziesięć lat odsiadki w więzieniu federalnym, gdyby sędzia był w złym humorze.

Lena odwracała kartkę, żeby zobaczyć, co było dalej, gdy zadzwonił telefon. Drgnęła, rozsypując papiery na łóżku. W pierwszej chwili pomyślała, że przecież nikt nie wie, że ona tu jest, ale zaraz przypomniała sobie o Hanku. Wyciągnęła rękę, żeby podnieść słuchawkę, ale rozmyśliła się i pozwoliła telefonowi dzwonić. Jedną z fotografii upadła na podłogę i Lena pochyliła się, chcąc ją podnieść. Zastygła na widok pobitej kobiety leżącej w kałuży krwi.

Lena nie podniosła zdjęcia. Patrzyła na nie z daleka, rejestrując sińce na udach dziewczyny i zakrwawioną twarz. Czerwone otarcia na przegubach i kostkach wskazywały na to, że została związana tak, że leżała z szeroko rozłożonymi rękami i nogami.

Ostatnia dziewczyna Ethana.

Czarna.

Telefon przestał dzwonić, gdy Lena patrzyła na fotografię. W pokoju zapadła głucha cisza. Zrobiło się jeszcze duszniej. Dziewczyna ze zdjęcia musiała być śliczna, jej skóra miała kolor mlecznej czekolady. Tak jak Lena, miała długie, kręcone włosy, które sięgałyby jej do ramion, gdyby nie były ściągnięte z tyłu i zlepione krwią.

Evelyn Marie Johnson, lat dziewiętnaście. Studentka college'u. Sopran w chórze kościelnym. Lena przeczuciła akta, szukając innych zdjęć. Ominęła strony z ponurymi fotografiami z miejsca zbrodni i znalazła szkolne zdjęcie ofiary. Było olśniewające. Jedwabiste czarne włosy, ładnie wykrojone usta, wielkie piwne oczy. Mogłaby być modelką.

Lena znalazła raport z miejsca zbrodni. W pobliżu ciała znaleziono ślady opon. Odlewy posłano do laboratorium i ustalono, że pasują do opon pikapa GMC rocznik 1989 będącego własnością Ethana. Wyszedł za kaucją i czekał na wyrok za wystawienie czeku bez pokrycia. Poszedł na ugodę, zgodnie z którą miał uniknąć więzienia, jeśli złoży zeznania obciążające zabójców.

Według siostry ofiary Evelyn została zabrana z domu w środku nocy przez czterech białych mężczyzn. Siostra

ukryła się w szafie, ponieważ zobaczyła swastyki na ich łysych głowach i wiedziała, co oznaczają te tatuaże.

Ethan zeznał, że został sterroryzowany i zmuszony do zabrania tych mężczyzn do domu Evelyn. Rok wcześniej próbował opuścić szeregi groźnego ugrupowania neonazistowskiego zwącego się Kościołem Wybranych Żołnierzy Chrystusa, ale nie pozwolono mu na to. Jeden z jego dawnych przyjaciół pozostał tamtej nocy w samochodzie, trzymając Ethana na muszce, podczas gdy pozostali weszli do domu i porwali Evelyn. Następnie zmusili Ethana, żeby zawiózł ich do lasu. Sznurem do bielizny przywiązali mu ręce do kierownicy, a kluczyki rzucili na siedzenie pasażera. Siedział tam i patrzył, jak tamtych pięciu zgwałciło Evelyn i pobiło ją na

Ethan twierdził, że potem wsiedli do zaparkowanego na polanie jeepa i odjechali. Ponadto utrzymywał, że przez co najmniej godzinę zębami rozwiązywał węzły sznura, którym przywiązano mu ręce do kierownicy. Kiedy się uwolnił, nie wysiadł z samochodu, nie podszedł do swojej dziewczyny, ponieważ wiedział, że ona już nie żyje.

Zamiast tego pojechał do domu.

Telefon znów zaczął dzwonić, a serce waliło Lenie jak młotem. Zamknęła teczkę drżącymi rękami, czując się tak, jakby wypuściła z niej jakieś zło, które będzie ją ścigać jak wściekłe zwierzę i nie spocznie, dopóki jej nie dopadnie. Taki na pozór był Ethan: nieustępliwy, dziki, przebiegły. Powiedział Lenie, że nigdy nie pozwoli jej odejść, a ona pozbyła się go, wyrzuciła ze swojego życia i odesłała z powrotem do więzienia, z którego wyszedł.

Czy Ethan kontaktował się z Hankiem, żeby dobrać się do niej?

Powinna dać temu spokój. To wszystko nie miało z nią nic wspólnego. Zamknęła ten okres życia, którego częścią był Ethan. Z jakiegokolwiek powodu wydzwaniał do Hanka, to nie jej interes. To nie wyjaśniało, kto zabił jej ojca i matkę. Nie tłumaczyło, dlaczego wuj okłamywał ją przez te wszystkie lata ani dlaczego wpędzał się do grobu

Lena podniosła słuchawkę, żeby uciszyć to dzwonięcie.

- Co tam?
- Tu Rod.

- Kto?
- Rod - powtórzył głos. - Z recepcji.

Marchewkowłosy idiota.

- Czego chcesz?
- Ktoś wydzwania i sprawdza, czy jesteś.

Lena ponownie otworzyła teczkę i rozrzuciła kartki i fotografie, szukając nazwy więzienia.

- Mężczyzna czy kobieta?
- Kobieta - odparł. - Powiedziałem jej, że wyszłaś. Domyśliłem się, że skoro nie odbierasz, to nie chcesz, żeby ci przeszkadzano. Pasuje ci?

Lena znalazła numer, którego szukała.

- Możesz zwolnić linię?
- Ja tylko...

Gdyby jej głupia komórka działała w tym miejscu, już by się rozłączyła.

- Prosiłam, żebyś zwolnił linię - powiedziała głośno i wyraźnie.
- Chwilę.

Chłopak żałośnie westchnął, dając do zrozumienia, że wyświadcza jej przysługę. Usłyszała trzask, a potem sygnał wolnej linii. Drżącymi palcami wybrała międzymiastowy numer. Wstała i spojrzała na stojący przy łóżku zegar. Było po północy.

Odebrał automat. Nagrany głos kazał jej czekać na wiadomość, ponieważ ta ostatnio się zmieniła. Lena nacisnęła klawisz „zero”, ale nic się nie stało. Nacisnęła go jeszcze kilka razy i telefon zaczął dzwonić. Po dwudziestu trzech dzwonekach uprzejmy męski głos powiedział:

- Więzienie Coastal State.

Lena spojrzała pod nogi i zobaczyła leżącą na podłodze fotografię.

- Halo?

- Tu detektyw Lena Adams z policji okręgu Grant. - Dwukrotnie podała numer swojej odznaki, żeby go zanotował. - Z samego rana muszę się spotkać z jednym z waszych więźniów. - Znów nie odrywała oczu od szkolnego zdjęcia Evelyn, jej kręconych czarnych włosów i ciepłego uśmiechu idealnie wykrojonych warg. - To pilne.

**CZWARTEK
PO POŁUDNIU**

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Jeffrey bębnił palcami po kierownicy, a siedząca obok niego Sara rozmawiała przez telefon komórkowy. Boyd Gibson nie został zabity nożem Leny. Jeffrey w głębi duszy wiedział, że ona nie mogła zabić tego człowieka. Najwyraźniej ktoś usiłował zrobić ją w morderstwo. To z powodu tego kogoś Lena uciekła ze szpitala. Była policjantką do szpiku kości. Wystarczył jej jeden rzut oka na Jake'a Valentine'a, by wiedziała, że szeryf jest w stanie rozwikłać tę zagadkową zbrodnię, tylko jeśli ktoś poda mu rozwiązanie na talerzu. Dlatego uciekła. A teraz próbowała znaleźć dla niego to rozwiązanie.

Jedynym problemem było wyjaśnienie, w jaki sposób morderca zdobył nóż Leny. Ona nosiła ten nóż od dawna. Niemożliwe, żeby oddała go bez walki. Ktokolwiek odebrał Lenie ten nóż, mógł ją przy tym zranić. Czy dlatego ukrywała się w szkole? Jeffrey powinien był pojechać z Valentine'em i zbadać koce, które znaleźli. Jeśli była na nich krew, to Lena mogła mieć znacznie większe problemy, niż przypuszczał.

- W porządku. - Sara miała na kolanach jego notes i zapisała w nim coś, mówiąc do telefonu: „Dobrze, w porządku”. Widząc strzałki, które kreśliła, wiedział, że słucha wskazówek, i miał nadzieję, że zdoła je odcyfrować, kiedy ruszą. Sara miała najbrzydszy charakter pisma ze wszystkich znanych mu osób.

- Dzięki - powiedziała w końcu, zamykając telefon. A do Jeffreya: - Mniej więcej za czterdzieści minut będzie Holiday Inn.

Na samą myśl o czystym, porządnym hotelu, uśmiechnął się.

- Rozwijamy się.

- Najwyższy czas. - Sara zapięła pas. - Nie mogę się doczekać, kiedy stąd wyjadę.

Przekręcił kluczyk i silnik ożył, mrużąc.

- Powiedz mi coś - zaczął Jeffrey, wskazując na wyświetlacz nawigacji satelitarnej na tablicy rozdzielczej. - Czy to urządzenie ma pamięć?

- Adres Hanka, tak?

Zaczęła włączać opcje, szukając adresu. Jeffrey kręcił głową, obserwując ją. Nienawidziła telefonu komórkowego, ledwie dotykała komputera, a w odtwarzaczu DVD potrafiła jedynie nacisnąć przycisk odtwarzania, ale jakimś cudem opanowała nawigację satelitarną dostatecznie dobrze, żeby sprawnie wykorzystywać jej możliwości.

Jeffrey wyjechał z parkingu i skierował się w stronę miasta.

- To w pobliżu szkoły - powiedział. - Z łatwością można tam dojść.

Sara znalazła współrzędne. Błyszczący kobiecy głos kazał mu się przygotować do skrętu w prawo za sto metrów. Zdaniem Jeffreya projektanci popełnili poważny błąd, wybierając głos dla tego urządzenia. Nic bardziej nie denerwuje mężczyzny niż słuchanie, jak kobieta mówi mu, jak ma jechać.

- W walizce mam mapę, którą kupiłam w całodobowym sklepie - powiedziała Sara. - Centrum miasta to po prostu duży prostokąt z lasem w środku. Założę się, o co chcesz, że biegnie tam mnóstwo ścieżek.

Jeffrey uwielbiał jej sposób rozumowania.

- Ścieżek, którymi Lena mogła się dostać ze szpitala do Hanka tej nocy, kiedy uciekła.

- Albo których używa przez ostatnie dni, żeby pozostać niezauważona.

Jeffrey zaczął, aż komputer skończy mówić mu, że ma skręcić w lewo.

- Masz coś przeciwko temu, żebyśmy to sprawdzili, kiedy dojedziemy do domu Hanka?

- Oczywiście, że nie.

Słuchając poleceń, Jeffrey minął śmietnisko i liceum - oba bardzo podobne do siebie. Zobaczyli sąd i bibliotekę okręgu Elawah - przysadziste gmachy z lat pięćdziesiątych,

jak wszystkie publiczne budynki w mieście. Skręcił w lewo w Corcoran Court i już wiedział, gdzie są.

- Możesz to wyłączyć? - zapytał Sarę, wskazując na system nawigacji satelitarnej.

Nacisnęła przycisk, pokręciła pokrętką i blaszany głos ucichł w połowie zdania. Cisza była niewiarygodnie miła.

Jeffrey podjechał pod dom Hanka. Radiowóz, który widział tutaj dzień wcześniej, zniknął. Jeffrey się domyślił, że Valentine ściągnął wszystkich swoich ludzi, żeby przeszukali szkołę.

- To tu.

- Wygląda... - Sara nie dokończyła.

Niewiele dobrego można było powiedzieć o tym miejscu. Dom Hanka był chyba najgorszą rudera w okolicy.

- Nie ma jego samochodu - powiedział Jeffrey. Sara uniosła brwi.

- Kazałeś go szukać?

- Zostawiłem to Jake'owi.

- Czy skrzynka na listy tak wyglądała, kiedy byłeś tu poprzednio?

- Tak. - Zauważył, że nadał była przyklejona taśmą do słupka, a jej drzwiczki trzymały się na włosku. - Petarda - rzekł, rozpoznając rodzaj zniszczeń.

Jako dzieciak, Jeffrey z dwoma kolegami podłożyli w Halloween petardy chyba we wszystkich skrzynkach na listy w okolicy. Niestety, nie byli dostatecznie sprytni, by zatrzeć za sobą ślady. Szeryf po prostu zapukał do drzwi trzech jedyńskich domów, które miały nietknięte skrzynki.

Jeffrey wysiadł i obszedł samochód, by otworzyć drzwi Sarze.

Wysiadła i spojrzała na dom Hanka, marszcząc brwi.

- Myślisz, że zawsze tak wyglądał?

Jeffrey spojrzał na zarośnięty chwastami ogródek przed domem, na plamy surowego drewna przezierające spod obłazącej farby.

- Chyba tak.

- Zaczynam się zastanawiać...

- Nad czym?

- Może gdzieś w takim domu mieszka matka naszego dziecka - rzekła z przygnębieniem.

Nie myślał o tym: adopcja była dla niego oazą spokoju, w której chronił się przed nazbyt przygnębiającymi myślami. Jednak Sara miała rację. Ludzie z dobrych domów i ustabilizowanych rodzin zwykle nie oddają swoich dzieci do adopcji. Co nie oznaczało, że są lepsi od biedaków, lecz po prostu dostatecznie zamożni, aby zapłacić komuś za wychowanie dzieci, jeśli nie chcieli robić tego sami.

- O Boże. - Sara zakryła rękami usta i nos. – Czujesz ten smród?

Jeffrey kiwnął głową, nie chcąc otwierać ust w obawie, że zwymiotuje. Niepotrzebnie wyciągnął rękę, żeby powstrzymać ją od wejścia na frontowe schody.

- Czy to zwłoki?

Miał cholerną nadzieję, że nie.

- Zaczekaj tu.

Odór był tym okropniejszy, im Jeffrey bardziej zbliżał się do domu. Przystanął, widząc, że frontowe drzwi zostały rozbite i naprędce naprawione taśmą klejącą. Wyglądała na nową.

Jeffrey spojrzał na Sarę.

- Zostań tam, dobrze?

Kiwnęła głową, a on podniósł rękę, żeby zapukać w drzwi. Zatrzęsły się, ale taśma nie puściła. Zapukał nieco mocniej i po sposobie, w jaki drzwi zadygotały, odgadł, że zostały zaklejone również od środka.

Po chwili, nie doczekawszy się żadnej reakcji na pukanie, odwrócił się do Sary.

- Co o tym sądzisz?

- Sądzę, że gdyby mnie tu nie było, wyważyłbyś te drzwi już dziesięć minut temu.

Miała rację. Mocne kopnięcie tuż poniżej klamki wyważyło drzwi. Futryna była uszkodzona, wpust zamka całkowicie znikł. Ostre jak noże kawałki metalu sterczały w miejscach, gdzie metalowe okucie zostało oderwane od drewna. Jeffrey wyjął broń i skinął głową na Sarę, żeby nie ruszała się z miejsca, po czym wszedł do środka.

Stanął w salonie i rozejrzał się. Okien chyba nigdy nie otwierano i odór papierosowego dymu oraz gnijącego mięsa zapierał dech. Wszędzie leżały śmieci - opakowania po

pizzy i jedzeniu na wynos, brudna bielizna, sterty gazet i tygodników wyglądających na wilgotne od gorąca.

Wszystko to było niczym w porównaniu ze smrodem. W trakcie blisko dwudziestu lat pracy jako stróż prawa Jeffrey wąchał różne przykre zapachy, lecz żaden nie mógł się równać z odorem, jakim był przesiąknięty dom Hanka Nortona. I z każdym krokiem było gorzej. Jeffrey nie wiedział, czy to smród rozkładających się zwłok czy śmieci sprawiał, że żołądek podchodził mu do gardła. Pot zaczął spływać mu po całym ciele w jakiejś instynktownej reakcji obronnej organizmu, który chronił się przed chorobą.

W domu były dwie sypialnie; jedna z nich najwidoczniej należała do Leny i jej siostry. W drugiej na podłodze leżał materac, a z komody wysypywały się ubrania, jakby przetrząsał ją złodziej. Źródło smrodu Jeffrey znalazł w łazience. Miska toaletowa była rozbita na dwie części i odsłaniała ściek. Podłogę pokrywały zaschnięte fekalia. O ścianę stał oparty młot i Jeffrey domyślił się, że ktoś, może Hank Norton, użył *go* do rozbicia toalety.

Kaszłąc, wycofał się na korytarz. Instynktownie zaczerpnął tchu, ale nie było tu świeżego powietrza, które oczyściłoby mu płuca. Po jego lewej znajdowały się wahadłowe drzwi, zapewne do kuchni.

- Hank? - zawołał. - Hank Norton, czy kimkolwiek jesteś, policja!

Żadnej odpowiedzi. Jeffrey spojrział pod nogi, sprawdzając, co mu chrzęści pod podszewkami. Doszedł do wniosku, że solone krakersy.

- Hank?

Jeffrey powoli oparł czubek buta o wahadłowe drzwi. Otworzył je pchnięciem, z wycelowaną przed siebie bronią. Zobaczył kuchnię, największe pomieszczenie w tym domu. Stare metalowe szafki, zardzewiały żeliwny zlew. Jeffrey otworzył na oścież drzwi kuchni i pomyślał, że tutaj odór nie jest tak straszny - a może po prostu zaczynał się do niego przyzwyczajać.

- Jeff?! - zawołała Sara.

Po głosie wywnioskował, że stoi w drzwiach wejściowych.

- Nie wchodź tu - ostrzegł.

- Nic ci nie jest? - zapytała Sara.

- Nie - odparł, próbując otworzyć okno nad zlewem.

Zacięło się i musiał wepchnąć broń do kabury, żeby otworzyć je obiema rękami. Stał przy oknie, wdychając świeże powietrze. Chwasty z tyłu domu były wyższe niż od frontu, ale od razu zobaczył leżące na ziemi ciało.

Lena.

Pobiegł do tylnych drzwi i otworzył je szarpnięciem. Przed drzwiami stały sterty pudeł, zagradzając przejście. Jeffrey odrzucił je kopniakiem i broszury rozleciały się na wszystkie strony.

- Saro! - zawołał. - Chodź tutaj! - Dobiegł do ciała i zamarł. Pomylił się. To nie była Lena. To był Hank Norton. Mężczyzna był wycieńczony, miał zapadnięte policzki. Na rękach miał niezagojone ślady po igle. - Saro! - ponownie zawołał Jeffrey, klękając przy nim. - Z tyłu domu! - Jeffrey przycisnął ucho do piersi Hanka, usiłując sprawdzić, czy mężczyzna oddycha. Nic nie usłyszał. - Saro! - zawołał jeszcze raz, ale ona już stała w drzwiach.

Ujrzał ulgę na jej twarzy, kiedy zobaczyła, że nic mu nie jest, a potem zdumioną minę, gdy zauważyła ciało. Opadła na klęczki i odepchnęła go.

- W takim stanie go znalazłeś?

Jeffrey kiwnął głową, wyjmując telefon komórkowy, żeby wezwać ambulans.

- Czy on żyje?

- Ledwie. - Odciągnęła Hankowi powieki, sprawdzając źrenice. Jeffrey widział czarne wybroczyny w twardówce. I strużki zaschniętej krwi płynącej z ust i uszu. - Hank? - zapytała, podnosząc głos. - Tu Sara Linton, znajoma Leny. Słyszysz mnie? - Zdecydowanie poklepała go po twarzy. - Hank? Chcę, żebyś otworzył oczy.

Jeffrey właśnie podawał dyspozytorce adres Hanka, gdy Sara uciszyła go, podnosząc rękę. Przycisnęła ucho do piersi nieprzytomnego.

- Przestał oddychać.

Jeffrey kończył mówić, gdy Sara rozpoczęła masaż serca.

- Ambulans powinien tu być najpóźniej za dziesięć minut.

Kiwnęła głową i nachyliła się, żeby zacząć sztuczne oddychanie. Wstrząśnięty Jeffrey odciągnął ją.

- Saro, nie! Jest zakrwawiony.
- Nie mogę czekać, gdy on...
- Spójrz na niego, Saro. To narkoman, który się szprycuje.
- Lena ma tylko jego.

Znów pochyliła się nad Hankiem, uciskając jego pierś, tłocząc krew przez serce. Jeffrey wiedział, że w tym momencie właściwie nie myślała o Hanku. Myślała o Jimmym Powellu i innych pacjentach, którym nie mogła pomóc. Pamiętała o tym, co czuła, kiedy ich traciła.

- Przynieś zestaw reanimacyjny z bagażnika - powiedział jej Jeffrey. Zawahała się, więc dodał: - Ja się nim zajmę.

W końcu pozwoliła mu zająć swoje miejsce. Położył prawą dłoń na lewej i nasadą uciskał pierś Hanka, odliczając w przerwach.

Sara pobiegła do drzwi, ale najpierw rzuciła:

- Nie przestawaj uciskać.

Jeffrey czuł, jak pot spływa mu po plecach, gdy pochylał się nad Hankiem, wydzielającym silny kwaskowaty odór. Nie mógł uwierzyć, że Sara bez zastanowienia pochyliła się, żeby przycisnąć wargi do zakrwawionych ust Hanka. Patrząc na niego, nikt nie mógł mieć cienia wątpliwości, że ten facet nie przejmował się tym, co pakuje sobie w żyły. Sara mogła się czymś od niego zarazić, i po co? Żeby umarł jutro a nie dziś?

W chwili gdy Jeffrey doszedł do wniosku, że jego wysiłki są daremne, Hank zabulgotał i na jego ustach wykwitły pęcherzyki krwawo zabarwionej śliny. Jeffrey usiadł w kucki, patrząc, jak stary otwiera oczy i usiłuje złapać oddech. Zobaczył Jeffrey'ego i niemal niedostrzegalnie potrząsnął głową, jakby nie mógł pojąć, po co go sprowadzono z powrotem, dlaczego kogoś obchodzi jego los.

Sara wypadła z domu z zestawem reanimacyjnym w rękę.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział Jeffrey do Hanka, ujmując jego suchą, woskową dłoń. - Nic ci nie będzie.

LENA

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Lena już kiedyś była w więzieniu stanowym Coastal. Tuż po tym jak Jeffrey aresztował Ethana za naruszenie zasad zwolnienia warunkowego, pojechała do więzienia, myśląc, że powinna stawić czoło Ethanowi, opowiedzieć mu, jak go wrobiła, zdradziła, pokazała największy palec, jaki mogła. Siedziała w samochodzie na parkingu dla odwiedzających przez prawie dwie godziny, robiąc w myślach spis wszystkich aktów przemocy, jakich się wobec niej dopuścił: rozbite wargi, połamane palce, naciągnięte nadgarstki.

Nieproszony przyszedł obraz ich dwojga w łóżku. Nigdy nie myślała o seksie z Ethanem w romantycznych kategoriach, ale bywały chwile, może nie tak nieliczne, kiedy przytulała się do niego i trzymała go w ramionach. On kochał ją równie namiętnie, jak nienawidził, a ona często odpłacała mu taką samą miarką. Siedząc w samochodzie zaparkowanym przed więzieniem, czuła mrowienie na wspomnienie jego rąk, warg i języka.

Ledwie zdążyła wysiąść z toyoty i nie wymiotować w wozie. Dzień odwiedzin był bardzo popularny wśród więźniów. Kobiety i dzieci ustawiały się w kolejkach przed drzwiami, chcąc zobaczyć swoich mężczyzn. Wszystkie się odwróciły, gdy Lena wymiotowała na asfalt. Zrobiła to tak gwałtownie, że miała wrażenie, że ktoś rozciął jej brzuch nożem. Kiedy tylko zdołała, zawlokła się z powrotem do samochodu i z podkulonym ogonem wróciła do Grant.

Jednak tym razem było inaczej. Musiało być inaczej. Jeśli nie mogła stawić czoła Ethanowi dla siebie, to powinna zrobić to dla Hanka. Ethan dzwonił do niego nie bez powodu i Lena nie zamierzała opuścić więzienia Coastal, dopóki się nie dowie, co właściwie między nimi zaszło.

Zanim tego ranka opuściła motel, włożyła spodnie i wyprasowaną lnianą koszulę. Zrobiła makijaż i uczesała się, żeby wyglądać jak panująca nad sytuacją policjantka, a nie przestraszona kobieta.

Pojechała do więzienia uzbrojona w kłamstwa i nic poza tym. Jej Glock został schowany pod materacem w pokoju motelowym, a składany nóż pod przednim fotelem samochodu. Zostawiła nawet telefon komórkowy na umywalce, żeby się naładował. Zabrała tylko dokumenty i pomadkę do ust.

Powiedziała dyrektorowi, że prowadzi śledztwo w sprawie gróźb wygłaszanych przez jednego z oprychów Ethana na wolności. Dyrektor okazał się nadzwyczaj chętny do współpracy. Dał jej wykazy rozmów telefonicznych Ethana i rejestr odwiedzających. Ponadto zaoferował jej pełną pomoc, jaką więzienie może służyć w sprawie przeciwko jednemu z jego najniebezpieczniejszych pensjonariuszy.

W wykazach rozmów nie było niczego obciążającego. Jediną osobą, do której dzwonił, był Hank. Nie miał żadnych gości. Od chwili osadzenia nie pisał ani nie otrzymał żadnego listu. Oczywiście, to wszystko niczego nie dowodziło. Lena wiedziała, że Ethan jest dostatecznie sprytny i ma dość charyzmy, żeby namówić kogoś do odwalania za niego brudnej roboty. Według dyrektora jego gang nie był najliczniejszy ani najsilniejszy, ale dzięki silnej psychice Ethana zajmował wysoką pozycję w więziennym łańcuchu pokarmowym. Lena była gotowa w to uwierzyć. Nie widziała Ethana od prawie roku, a mimo to serce zaczęło jej bić mocniej, gdy tylko zajechała na więzienny parking.

Jeden ze strażników zaprowadził ją do sali konferencyjnej, używanej do spotkań więźniów z adwokatami. Jej zdaniem to pomieszczenie bardziej przypominało pokój przesłuchań - miało niewiele więcej niż trzy metry na cztery, sufit z plamami zacieków i grube kraty w małych okienkach. Stół był przyśrubowany do podłogi, a przez jego środek biegła namalowana czerwona linia, jakby rozdzielająca dobrych od złych. Lekkie krzesła z niełamliwego plastiku wyrządziłyby niewielkie szkody, gdyby ktoś nimi rzucił lub próbował użyć jako broni. Strażnikom nie było wolno podsłuchiwać rozmów między więźniami a ich prawnikami,

tak więc do ściany był przymocowany pierścień, do którego przykuwano najniebezpieczniejszych pensjonariuszy.

- On jest bardzo niebezpieczny - powiedział Lenie dyrektor. - Niechętnie zostawiam panią samą w zamkniętym pomieszczeniu z tym

Następnie zaczął wyliczać dokonane w więzieniu przestępstwa o które podejrzewano Ethana: bójki na dziedzińcu, handel narkotykami, maltretowanie współwięźniów, spowodowanie u jednego z więźniów ciężkich oparzeń twarzy w pralni. Wprawdzie niczego nie udało mu się udowodnić, ale dyrektor wiedział, kto jest za to wszystko odpowiedzialny.

Lena poprosiła, żeby przykuto Ethana do pierścienia w ścianie. Strażnik powiedział jej, że to standardowa procedura w wypadku niebezpiecznych więźniów.

Usiadła przy stole i czekała, wytyczając słuch. W końcu usłyszała trzask odsuwanej zasuwki. Nie ruszyła się z miejsca, udawała, że czyta leżące przed nią dokumenty, usiłując opanować drżenie rąk. Usłyszała brzęk łańcuchów i szuranie nóg.

- Czego ta cizia ode mnie chce?

Głos Ethana: jak rozżarzone ostrze w jej uszach.

- Zamknij się, kurwa, i siadaj.

To strażnik, zwalisty mężczyzna, który zdawał się trochę za bardzo lubić swoją pracę.

Lena odchyliła się na krześle i założyła ręce na piersiach. Nie odrywała oczu od piersi Ethana, widząc tylko rozmazaną pomarańczową plamę więziennego uniformu, gdy strażnik sadzał go na krześle i przykuwał do ściany. Ethan sprawdził zasięg łańcuchów. Mógł oprzeć dłoń o stół, ale nie sięgnąłby ani centymetr dalej.

Teraz Lena zrozumiała, po co jest ta czerwona linia. Łańcuchy nie pozwalały Ethanowi za nią sięgnąć.

- Zastuka pani w drzwi, kiedy pani skończy – powiedział Lenie strażnik.

Zaczekał, aż kiwnie głową. Kilka minut wcześniej dyrektor pokazał jej guzik alarmowy pod stołem. Położyła dłoń na podołku, skąd z łatwością mogła go dosięgnąć.

Strażnik wyszedł i zamknął drzwi na zasuwę. W drzwiach nie było judasza, a w pokoju żadnych kamer, które pozwa-

łałyby strażnikom sprawdzić, że nic jej nie jest. Lena była zdana na siebie. Ethan cmoknął.

- Co za przyjemna niespodzianka.

Spojrzała na jego spoczywające na stole dłonie. Knykcie miał czerwone, jeden skaleczony.

- Po co dzwoniłeś do Hanka? - zapytała.

- Nawet nie potrafisz spojrzeć mi w oczy - powiedział intymnym szeptem.

Miał rację. Zmusiła się, by napotkać jego spojrzenie.

- Dlaczego próbowałeś dodzwonić się do Hanka?

Zacisnął wargi i odchylił się do tyłu.

Czyjego oczy zawsze były takie niebieskie? Jak lód, tylko zimniejsze.

- Stęskniłem się za starym - powiedział.

- Nawet go nie znasz.

- Myślałem, że znam ciebie.

Lena pozwoliła narastać ciszy - nie dlatego, że tego chciała, ale nie wiedziała, co powiedzieć.

- Wiesz, jak tu jest? - zapytał.

- I nie chcę wiedzieć. Przyszedłem tu powiedzieć ci, żebyś odczepił się od Hanka.

Czy naprawdę? Nawet nie wiedziała, gdzie jest jej wuj. Hank mógł teraz leżeć z twarzą w jakimś rynsztoku. Mógł być NN na stole w jakiejś kostnicy.

Łańcuchy Ethana brzęknęły o stół, gdy splótł dłonie przed sobą. Okowy na jego nadgarstkach były z hartowanej stali, a łańcuch, którym był przykuty do ściany, tak gruby, że do jego przecięcia potrzebny byłby palnik. Pomimo to Ethan wydawał się panować nad sytuacją. Lena nie umiała nawet spojrzeć mu w oczy. Popatrzyła na jego ramiona i zobaczyła, że wzbogacił swoje tatuaże. Teraz na drutach kolczastych wisały ciała wycieńczonych więźniów o otwartych z przerażenia ustach.

- Pamiętasz Shawna Cable'a?

Pokręciła głową.

- Był na moim roku w Grant Tech. Niski facet, kędzierzawy.

Ponownie przecząco pokręciła głową, ale pamiętała. Ethan i on tworzyli zespół na ćwiczeniach. Shawn korzystał z umiejętności Ethana.

- Teraz pracuje w BASF, w sekcji powłok przemysłowych.
Lena patrzyła na drut kolczasty na jego ramieniu.

- To mogła być moja posada - rzekł Ethan. – Jednak twój szef mnie przymknął i teraz siedzę tutaj.

Lena otworzyła usta, by bronić Jeffrey'a, ale zamknęła je, pojawiając się, że obciążałaby siebie.

- Skończyłem z tym - powiedział, pokazując tatuaże. - Skończyłem z tym życiem i zaczynałem nowe z tobą.

- Nowe życie, w którym mnie biłeś.
- Ty też czasem mnie biłaś.

Lenę ścisnęło w gardle, tak że z trudem mogła oddychać. Rzeczywiście, zdarzało jej się go uderzyć. Nie mogła tylko stać i zbierać ciosy. Czasem nawet sama prowokowała te bójkę.

- Kochałem cię - powiedział Ethan. - Kochałem cię, a ty mi to zrobiłaś.
Odzyskała głos.

- Evelyn Johnson też kochałeś?

Tym razem cisza między nimi była inna i kiedy Lena odważyła się spojrzeć mu w twarz, Ethan patrzył na swoje skute ręce.

- Nie mówiłeś mi, że była czarna.
- Bo nie pytałaś.

Teraz rozmawiali jak normalni ludzie i to jeszcze bardziej wytrącało ją z równowagi. Starła się pamiętać, kim on naprawdę jest, ale widziała tylko siedzącego przed nią człowieka ze spuszczonej oczami i zgarbionymi ramionami. Kochała go. Nie mogła zapomnieć o tym, że kiedyś go kochała.

- Co jej się stało? - zapytała.
- Nagrywasz to?
- A jak myślisz?

Znów się na nią gapił i Lena poczuła się uwięziona przez jego spojrzenie, nie mogąc przerwać kontaktu wzrokowego.

- Rozepnij bluzkę.
- Pieprzę cię.
Uniósł brew.

- Kiedyś to robiłaś, mała. - Na jego twarzy pojawił się uśmiech, który znała: to wrócił dawny Ethan. – Rozepnij bluzkę. Zobaczmy, czy masz podsłuch.

- Powiedziała ci, że nie.

- I mam ci uwierzyć na słowo? - Uśmiechnął się krzywo. - Nie ma mowy, Lee. Kiedy zaufałem ci ostatnio, wylądowałem tutaj. Pokaż mi, że nie masz podsłuchu, inaczej zawołam tamtą małpę, żeby zabrał mnie z powrotem do mojej klatki.

Gmerała przy guziku bluzki, usiłując zmusić palce do działania. Robiąc to, zerkła na drzwi, jakby w obawie, że strażnik może w każdej chwili wrócić. Pociła się w tym małym pokoju i powietrze ochłodziło jej skórę, gdy rozpięła bluzkę do pasa.

- Nie mam podsłuchu - powiedziała. - Zadowolony?

Wzruszył ramionami z uśmiechem, który zmroził jej krew w żyłach.

Lena zaczęła zapinać bluzkę, ale on jeszcze nie skończył.

- Wiesz, ile nocy onanizowałem się do upadłego, myśląc o pieprzeniu ciebie?

Zrezygnowała z zapinania bluzki, tylko zacisnęła ją pod szyją.

- Dlaczego dzwoniłeś do Hanka? - zapytała drżącym głosem.

- Rozchyl jeszcze bluzkę.

- Nie.

- Rozchyl, to powiem ci, co chcesz wiedzieć.

- Nie.

Zaczął wstawać.

- No to zawołaj strażnika, ponieważ nie mam nic więcej do powiedzenia.

- Ethan...

- Hej! - zawołał i jego głos odbił się głośnym echem w niewielkiej przestrzeni. - Strażnik!

- Zamknij się - syknęła, jakby kiedykolwiek udało jej się go od czegoś powstrzymać.

Uśmiechnął się do niej tym samym uśmiechem, jaki posyłał jej, zanim ją pobił. Wycelował w nią palec, pokazując, że ma rozchylić bluzkę.

Słowa uwięzły jej w gardle. W oczach stanęły łzy.

- Powiedz mi, dlaczego dzwoniłeś do Hanka.

- Znasz warunki. Coś za coś.

Obrzuciła go gniewnym spojrzeniem, wściekła na niego i na siebie. To on był w kajdanach. To on był przykuty do ściany. A jednak to ona czuła się w pułapce.

- Rozchyl - zachęcał.

Drżącymi rękami powoli rozchyliła bluzkę. Miała na sobie stary biustonosz, czarny, z koronką i zapięciem na środku.

- Stanik też - powiedział.

- Nie.

Znał ją tak dobrze - wiedział, kiedy naciskać, a kiedy ustąpić.

- Wyprostuj ramiona.

Spojrzała na drzwi i zrobiła, co kazał.

- Jezusie, wyglądasz tak dobrze.

Ethan pochylił się do przodu, najdalej jak pozwalały mu łańcuchy. Ręce trzymał pod stołem, a ona odwróciła głowę, patrząc na metalowe drzwi i próbując nie słuchać, co robi.

Cicho jęknął, kończąc. Usłyszała, jak zapina zamek i prostuje się na krześle. Zaciśnęła bluzkę, starając się nie wyobrażać sobie zadowolonego wyrazu jego obrzydliwej twarzy.

- Powiedz mi coś - rzekł. - Tak z ciekawości, kiedy zadzwoniłaś do swojego szefa tamtego ranka, kiedy wyszedłem, siedziałaś czy stałaś?

Lena pokręciła głową.

- No, mała. Siedziałaś czy stałaś?

Ponownie pokręciła głową, przypominając sobie tamten dzień. Jego ręka tłumiąca krzyk w jej gardle, gdy rzucił ją na łóżko. Tłumiona odraza, z jaką pocałowała go na do widzenia i życzyła miłego dnia.

- Jakie to ma znaczenie? - Zmusiła się do wypowiedzenia tych słów.

- Chcę wiedzieć - nalegał. - Kiedy posłałaś mnie na dziesięć lat do tej piekielnej dziury, siedziałaś na łóżku, na którym dopiero co cię pieprzyłem, czy stałaś obok niego?

Powstrzymała dreszcz, gdy jego słowa przywołały tamte chwile.

- Dostałeś, czego chciałeś - powiedziała mu, już pewnymi palcami zapinając bluzkę. - Powiedz mi, dlaczego chciałeś skontaktować się z Hai- W porządku - rzekł, nachylając się. - Przysuń się.

Pochyliła się do przodu, czekając. Uśmiech na jego twarzy powinien ją ostrzec, ale mimo to poczuła zdziwienie, gdy usłyszała jego głośny śmiech.

- Ty głupia suko - powiedział, kręcąc głową, jakby nie mógł uwierzyć, że dała się tak nabrać. - Myślisz, że zamierzam ci coś powiedzieć? - Nagle przestał się śmiać. - Wypieprzaj stąd. Niedobrze mi się robi na twój widok.

Lena była wstrząśnięta własną głupotą.

- Powiedziałeś...

Walnął pięściami o stół, aż łańcuchy zabrzęczały o metal.

- Powiedziałem: wypieprzaj stąd, suko.

Lena wstała, podniosła leżące przed nią dokumenty i cofała się, aż dotknęła plecami ściany.

Z uśmiechem satysfakcji przewiesił rękę przez oparcie krzesła.

Nie wyszła. Czekała, pragnąc go zranić, upokorzyć równie okropnie, jak on ją upokorzył.

- Wiesz co, Ethan?

- Co, dziecino?

- Naprawdę się cieszę, że tu dzisiaj przyszedłam.

- Taak? - Pomacał swoje krocze. - Ja też, dziecino.

- Nie. - Mocno przycisnęła dokumenty do piersi, jakby to była zbroja. -

Widzisz, naprawdę źle się z czymś czułam. - Zamilkła, patrząc na jego szyderczo wykrzywioną twarz, chcąc zapamiętać każdy moment. - Pamiętasz, jak ci powiedziałam, że chyba jestem w ciąży?

Wyprostował się na krześle. Teraz zwróciła jego uwagę.

- Powiedziałam ci, że to był fałszywy alarm, ale nie był.

Rozchylił wargi, ale nic nie powiedział.

- A potem powiedziałam ci, że muszę pojechać do Macon na kurs dokształcający - ciągnęła. - Tylko że to nie było w Macon, Ethan. Byłam w Atlancie. Teraz to ona się uśmiechała. - Wiesz - co tam robiłam, dziecino?

Zacisnęła zęby.

- Zamknij się.

- Wiesz, co robiłam, Ethan? Złotko?

Skoczył na nią, ale łańcuchy odrzuciły go z powrotem pod ścianę.

- Zabiję cię, kurwa! - wrzasnął, pryskając śliną z ust. -
Ty przeklęta kurwo!

Wszystkie mięśnie jego ciała dygotały z wysiłku, gdy szarpał łańcuchy. Był jak wściekły pitbull, gotowy prędzej się udusić, niż powstrzymać chęć ataku.

Lena zastukała w drzwi.

- Pomyśl o tym, co zrobiłam - powiedziała mu. - Pomyśl, co zrobiłam z twoim dzieckiem, kiedy następnym razem będziesz się onanizował do upadłego.

Strażnik otworzył drzwi. Spojrzał na Ethana, a potem na Lenę, najwidoczniej wyczuwając napięcie.

- Koniec rozmowy?

- Tak - powiedziała Lena, jeszcze raz zerknąwszy na Ethana. - Koniec rozmowy.

Lena trzymała się, dopóki nie wyjechała z parkingu i nie znalazła się na drodze do międzystanowej. Wspomnienie Ethana wzbudzało w niej obrzydzenie, poza tym czuła się jak potwór z powodu nieczułego sposobu, w jaki mówiła o ich dziecku. Opuszczając tamten pokój, idąc korytarzem do wyjścia i wiedząc, że Ethan nie może za nią pójść, czuła się silna, niezwyciężona. Potem wróciły do niej jej własne słowa i głupota, jaką okazała, pozwalając mu znowu namówić ją na to, czego chciał, zupełnie ją

Zanim dotarła do granicy okręgu Elawah, była wyczerpana. Raz po raz przypominała sobie, jak dała się podejść Ethanowi. Zawsze czerpał chorą przyjemność z takich gier. Mogła go sobie wyobrazić, jak z tym szyderczym uśmiechem dzwoni do Hanka, uradowany perspektywą dręczenia starego człowieka. Ethan zawsze wykorzystywał innych ludzi, żeby dostać się do Leny - czy to grożąc Nan, czy próbując zastrzelić Jeffrey'a. Lena nawet nie była pewna, czy Hank odsłuchiwał wiadomości na automatycznej sekretarce. Nawet gdyby, co go, kurwa, obchodził Ethan Green? Kilka takich wiadomości nie wystarczyłoby, żeby Hank znów zaczął brać. Musiało być coś jeszcze, coś, czego Lena jeszcze nie dostrzegła - i przeczuwała, że wszystko to jest powiązane z handlarzem prochami z wytatuowaną czerwoną swastyką, którego widziała pod domem Hanka.

Hank powiedział, że ten człowiek zabił jej matkę. Gdzie to zrobił? Kiedy? Jak?

Wizyta w więzieniu była stratą czasu. Lena zmarnowała cały dzień, podążając za fałszywym tropem, zamiast szukać informacji o Angeli Adams. Musiała coś znaleźć: świadectwo urodzenia, akt ślubu, akt zgonu, ostatni znany adres. Albo numer ubezpieczenia społecznego, który doprowadziłby ją do zeznań podatkowych. A z zeznań podatkowych miałyby adres, miejsce zatrudnienia - coś, czym mogłaby przycisnąć Hanka. Lena była coraz bardziej pewna, że jej matka jest kluczem do tego wszystkiego. Hank stracił kontrolę nad sobą z jakiegoś powodu. Gdyby Lena wiedziała, co naprawdę stało się z jej matką, dlaczego Hank okłamywał ją przez tyle lat, mogłaby stawić mu czoło i zmusić, by skorzystał z pomocy. Jadąc stanową autostradą wiodącą do Reese, zaczęła układać plany.

Czas porozmawiać z miejscową policją. Pieprzyć Ala Pfeiffera i jego lubieżne łapy. Lena nie była już zastraszoną nastolatką bojącą się mandatu. Była detektywem policji okręgu Grant. Z samego rana pójdzie do szeryfa i zażąda kopii raportów z dochodzenia w sprawie śmierci jej ojca. Jeśli Pfeiffer odmówi, ona zadzwoni do Jeffrey, niech ten porozmawia z nim po męsku. Jeżeli Jeffrey zażąda wyjaśnienia, dlaczego Lena chce mieć te akta, wciśnie mu jakiś kit o tym, że chce uznać tę historię za zamkniętą. Od kiedy Jeffrey ponownie ożenił się z Sarą, znów miał w życiu dość estrogenów, by uwierzyć w takie bajki.

Lena mogła jeszcze pojechać do szpitala i spróbować znaleźć metrykę matki. Gdyby to się nie udało, mogła wrócić do Hanka i poszukać u niego. Wzdrygnęła się na myśl o ponownym wejściu na strych i ciele Deacona Simmsa. Nie miała jednak innego wyjścia. Hank pod jednym względem nigdy się nie zmienił: nigdy niczego nie wyrzucał, czy był to rachunek za prąd z 1973 roku czy gazeta z opisem eksplozji *Challenger*. Gdzieś w tym domu, pod stertami samopomocowych broszur, brudnych ubrań i pudeł innego syfu, musiały być informacje o jej matce.

Lena ruszyła za samochodem jadącym przed nią: zjechała z autostrady i skierowała się do śródmieścia Reese. Minęła motel, ale nie zatrzymała się, bo myśl o tym ciemnym, pustym pokoju była nie do zniesienia. Bezwiednie

zdecydowała, że wieczorem przetrząśnie rzeczy Hanka. Weźmie kilka worków na śmieci i robiąc to, będzie wyrzucała wszystkie śmieci.

Może znajdzie jakiś sposób, żeby pozbyć się ciała Deacona.

Gdy mijala liceum, samochód przed nią gwałtownie zahamował i Lena pospiesznie zakreśliła kierownicą, usiłując uniknąć zderzenia. Uderzyła głową o kierownicę, gdy samochód wpadł w poślizg i zatrzymał się na przeciwnym pasie ruchu. Celica znieruchomiała, o mało nie wpadłszy do rowu. Serce stanęło Lenie w gardle, gdy jej mózg przetrwał to, co się stało. Poczula strumyk krwi spływający ze skroni i otarła ją, otwierając równocześnie drzwi.

Przed nią stał biały escalade.

Lena sięgnęła pod fotel i chwyciła składany nóż. Otworzyła ostrze i z nożem w ręku wysiadła z samochodu.

Uliczne światła prawie ją oślepiły, a może od uderzenia mąciło jej się w głowie. Była słaba i oszołomiona, a w skroniach waliło jej jak młotem. Zmrużyła oczy, próbując zajrzeć do środka samochodu. Okienko z tyłu opadło z mechanicznym warkotem. Na tylnym siedzeniu siedziała Charlotte Warren. Usta miała zaklejone taśmą. Oczy szeroko otwarte z przerażenia.

Diler Hanka wysiadł z samochodu, zostawiając otwarte drzwi. Lena zacisnęła dłoń na rękojeści noża, gotowa go użyć, ale mężczyzna po prostu chwycił ją za włosy i rzucił jak worek mąki w kierunku cadillaca.

- Wsiadaj - powiedział.

W ręku trzymał jej nóż. Musiała go upuścić. Zobaczyła, jak złożył ostrze i schował nóż do tylnej kieszeni spodni.

Lena odsunęła się od samochodu, ale popchnął ją z powrotem w kierunku otwartych drzwi. Charlotte wydała zduszony okrzyk i Lena zobaczyła, że obok niej siedzi drugi mężczyzna. Ten nosił czarną kominiarkę. Na rękach miał chirurgiczne rękawiczki. Trzymał broń przytkniętą do głowy Charlotte. Jego uśmiech sprawił, że przeszedł ją dreszcz.

- Wsiadaj - powiedział.

Nie ruszyła się.

Przycisnął lufę do skroni Charlotte.

- Wsiadaj albo zabiję ją od razu.

Lena wsiadła.

**CZWARTEK
WIECZOREM**

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Jeffrey siedział na frontowych schodach domu Hanka Nortona i studiował plan śródmieścia Reese. Sara pojechała karetką z Hankiem, żeby opiekować się nim podczas jazdy do szpitala. Jeffrey, nie pytając, wiedział, że zostanie z nim, aż jego stan się ustabilizuje. Sara rozpoczynała pracę zawodową jako lekarz pogotowia. Nie odejdzie od łóżka Hanka, dopóki nie będzie pewna, że ten jest w dobrych rękach.

Dzięki temu Jeffrey miał mnóstwo czasu na przeszukanie domu. Najpierw otworzył wszystkie okna, które dały się otworzyć, w nadziei że powietrze w domu się oczyści. Czekając na ten cud, sprawdził szopę na tyłach. Poza szczerzymi odchodami i około setką pudeł z papierami tak starymi, że zaczęły się rozkładać, nie znalazł niczego. Stary pikap chevrolet był pusty, a jego podłoga tak przerdzewiała, że ławka spadła na ziemię.

Ubranie Hanka leżało pod płotem. Ze sposobu, w jaki spodnie, koszula i bielizna zostały rzucone na trawnik, Jeffrey odgadł, że stary zdejmował je, idąc przez podwórze. Kiedy sanitariusze podnieśli Hanka i umieścili go na noszach, Jeffrey sprawdził trawę w miejscu, gdzie leżało ciało. Ucieszył go wynik oględzin. Kiedy zobaczył leżącego w trawie Hanka, pomyślał, że wuj Leny leżał tam parę dni, czekając, aż ktoś go znajdzie. Gdyby przeleżał tam przez noc, ziemia pod nim byłaby sucha.

Jeffrey nie spieszył się i chodził po podwórzu, gdy nagle poczuł pod stopami miękką, wilgotną ziemię nad szambem. Najwyraźniej fekalia cofnęły się do domu. Ten, kto potraktował miskę klozetową młotkiem, zepsuł syfon i nieczystości popłynęły z powrotem do domu. Hydraulik wypompuje zawartość szamba, a później jakiś biedny drań będzie

musiał wziąć łopatę i zająć się resztą. Zdaniem Jeffreya najlepiej byłoby wynająć buldożer i zrównać ten przeklęty dom z ziemią.

Odczekawszy pół godziny, zdołał wejść do środka, nie dusząc się. Nawet przy otwartych oknach odór gnijącej żywności i przyciągane przezeń rozmaite owady sprawiały, że Jeffrey krztusił się co chwilę, aż rozboleło go gardło. Czuł się dziwnie, zaglądając do dawnej sypialni Leny. Jak większość rodziców, Hank niewiele zmienił po wyprowadzce dziewczyn i jak większość dzieci, Lena i Sibyl zostawiły tu bambetle, których nie chciały brać ze sobą. Kiedy Jeffrey otworzył szufladę i zobaczył w niej bieliznę Leny, postanowił przejść do pokoju Hanka.

Przeglądając jego rzeczy, miał wrażenie, że ten dom jest przeszukiwany nie po raz pierwszy. Nie wiedział, czy przetrząsała go Lena czy ktoś inny. Był natomiast pewien, że kiedy oderwał taśmę, którą były zaklejone frontowe drzwi, uszkodzenia futryny wyglądały na świeże.

Lena wiedziała, jak wyważyć drzwi kopniakiem. Potrafiła także przeprowadzić dokładną rewizję. Świadomość, że mogła zrobić którąś z tych rzeczy w domu wuja, nie była pocieszająca. Jeffrey wiedział, że Lena się ukrywała, śpiąc w szkole, przynajmniej do niedawna, ale co robiła za dnia? Dlaczego nadal była w Reese?

Jeffrey przestał się zastanawiać, o co chodzi Lenie, gdy jego poszukiwania zakończyły się w kuchni. Być może sterty broszur Anonimowych Alkoholików na stole oraz pusta strzykawka, którą znalazł pod krzesłem, miały ironiczny wydźwięk, ale Jeffrey nie był w nastroju do żartów. Wytrzeł krzesło i usiadł przy stole, zastanawiając się, co skłania człowieka do zrobienia sobie czegoś takiego. To było zwyczajne

Nie znalazłszy w domu nic prócz bezgranicznego smutku, Jeffrey zamknął okno w kuchni i obszedł resztę domu, aby się upewnić, że wszystko jest tak, jak było. Wziął rolkę taśmy izolacyjnej, którą znalazł w kuchni, i zakleił nią drzwi łazienki, starając się uszczelnić szpary. Okno w niej było otwarte na oścież, ale wątpił, by nawet najbardziej zdesperowany złodziej odważył się wdrzeć do domu przez to obrzydliwe pomieszczenie.

Przez następne pół godziny zmagał się z drzwiami wejściowymi. Obojętnie, co robił, metalowa taśma odstająca od futryny uniemożliwiła zamknięcie drzwi. Jeffrey próbował ją przytrzymać, co skończyło się otarciami czubków palców, jakby szorował je papierem ściernym. W końcu znalazł w kuchni śrubokręt i jego płaskim końcem przytrzymał sterzący pasek tak, że zdołał zamknąć drzwi.

Zamierzał opuścić dom kuchennymi drzwiami, ale zamykając je, doznał dziwnego wrażenia, że coś przeoczył. Jeszcze raz obszedł dom, zapalając wszystkie światła i sprawdzając we wszystkich pomieszczeniach, czy coś rzuca mu się w oczy. Atakował go tylko smród. Hank musiał przenosić się z pokoju do pokoju, usiłując uciec przed odorem rozkładu, aż skończył w kuchni. Jeffrey wrócił do salonu. Oddychał ustami, starając się nie zadławić tym smrodem, gdy zauważył obraz nad kanapą.

To musiała być matka Leny. Miała taką samą oliwkową cerę i przenikliwe spojrzenie. Jej włosy były trochę krótsze, ale uczesane tak samo jak Leny teraz. Jej szyja była równie łabędzia i patrząc na obraz, Jeffrey odgadł, że jej właścicielka miała sposób bycia, jaki niektóre kobiety uważają za wyzywający, a większość mężczyzn za seksowny. Wyobrażał sobie, jakie wrażenie robiła na miejscowych. Potrzeba było arogancji policjanta, żeby zignorować tę dumnie uniesioną brodę i złośliwe rozbawienie w oczach.

Jeffrey w końcu opuścił dom Hanka, odblokowując automatyczny zatrzask, by zamknąć kuchenne drzwi. Zostawił pozapalane światła w nadziei zniechęcenia włamywaczy, a może myśl o powrocie do tego przygnębiającego domu sprawiła, że nie chciało mu się ich gasić.

Stwierdził, że ceregiele się skończyły. Jakaś kobieta została spalona żywcem. Do Jeffreya strzelano. Jakiś mężczyzna został zasztyletowany i wrzucony przez okno ich motelowego pokoju. Hank Norton leżał umierający w szpitalu.

Czas znaleźć Lenę.

Jeffrey usiadł na frontowych schodach i studiował mapę, aż znalazł szlak, którego szukał. Sara miała rację, że to miasto zostało zbudowane na planie dużego prostokąta z lasem w środku. Przez ten las wiodły ścieżki, skróty używane od lat. Może nawet był tam jakiś fort lub naprędce wzniesiony

schron, w którym dzieciaki paliły trawkę i uprawiały seks. Kiedy Jeffrey był nastolatkiem, miał taką kryjówkę. Z łatwością można było założyć, że w Reese też taka była.

Jeffrey dał Sarze swój telefon komórkowy, ponieważ w jej komórce wyładowała się bateria. Poszedł do bmw i odłączył aparat od ładowarki, wsunął do kieszeni i zamknął samochód, po czym ruszył w kierunku wylotu ulicy. Zważywszy na obecny stan Hanka, stary w żadnym razie nie mógł pomóc Lenie umknąć przed policją. Tak więc Lena była sama, co oznaczało, że opuściła szpital na piechotę. Patrząc na mapę, Jeffrey znalazł ścieżkę, którą mogła pójść ze szpitala do domu Hanka. Założył, że poszła tam przede wszystkim po pieniądze. Ktoś przewrócił dom do góry nogami. Tym kimś równie dobrze mogła być Lena.

Jeffrey bardzo wątpił, by radiowóz, który Jake Valentine przysłał tutaj w noc ucieczki Leny, zdołał ją odstraszyć. Podwórce za domem łączyło się z podwórkami sąsiadów. Lena z łatwością mogła się dostać do środka tylnym wejściem, niezauważona przez nikogo. Jeśli w radiowozie siedział Don Cook, to zapewne rozwiązywał krzyżówki i chrupał krakersy, podczas gdy ona przetrząsała dom.

Tracił resztę dziennego światła, stojąc tam i rozmyślając o tym wszystkim. Idąc ulicą, zdjął marynarkę i podwinął rękawy. Minął liceum, zastanawiając się, gdzie Lena będzie spała teraz, kiedy nie może już nocować w jednej z klas. Bar Hanka spłonął, ale Jeffrey pamiętał, że Valentine mówił mu, że taśma policyjna na drzwiach była przecięta. Jeffrey pokręcił głową, myśląc, że jeśli Lena ukrywała się w barze przez cały ten czas, kiedy on i Sara byli w motelu tuż obok, to chyba ją zabije.

W tym wszystkim był tylko jeden pewnik, a mianowicie taki, że Lena będzie musiała znaleźć jakieś schronienie. Będzie potrzebowała pożywienia, ubrania, wody. Jeffrey spojrział na słońce i pożałował, że nie wziął wody do picia. Oczywiście, biorąc pod uwagę stan tego domu, rozsądniej było nie spożywać tam niczego.

Na szczycie wzgórza ponownie wyjął mapę i upewnił się, że dobrze idzie. Zobaczył ślady opon w miejscu, gdzie o mało się nie zderzyły dwa samochody, i odgadł, że jakieś dzieciaki o włos uniknęły skasowania swoich bryk.

Skrecając w lewo, słyszał pojazdy przejeżdżające autostradą. Rozległe pole po prawej prowadziło do gęstego lasu i Jeffrey zastanawiał się, czy to ten sam las, który zaczyna się za motelem. Ponownie sprawdził na mapie i zobaczył, że tak. Lena mogła przejść tędy z domu Hanka do baru. Szpital znajdował się ledwie kilka przecznic dalej.

Tak jak się spodziewał, przez pole wiodło wiele krzyżujących się ścieżek. W lesie było chłodniej i włożył marynarkę. Nigdzie nie było widać żadnych kryjówek ani innych śmieci, jak niedopałki papierosów i butelki po piwie. Jeffrey nadal widział przezierające przez gałęzie słońce i pilnując, by znajdowało się po jego prawej ręce, poszedł prosto w kierunku motelu. Co chwilę spoglądał na zegarek, żeby nie stracić poczucia czasu, który zawsze zwalnia, gdy sądzisz, że zablądziłeś.

Jeffrey zaczął się już trochę denerwować, gdy usłyszał szum strumienia, który poprzedniej nocy widział za barem Hanka. Przez moment bawił się myślą, że może znajdzie to, co upuścił Boyd Gibson, lecz zanim doszedł do brzegu strumienia, zdecydowanie przestał liczyć na taki cud.

Zobaczył pokój, który wynajmowali z Sarą. Ktoś niezbyt zręczny zasłonił wybite okno dużym kawałkiem sklejki. Drzwi były otwarte na oścież i Jeffrey zajrzał do środka, upewniając się przy okazji, że zabrali wszystkie swoje rzeczy. Pokój wyglądał dokładnie tak, jak go zostawili, ale z jakiegoś powodu nie budził już takiego obrzydzenia. Może dlatego, że Jeffrey spędził kilka godzin w domu Hanka. Zastanawiał się, jak znosiła to Lena.

- Kurwa - zaklął pod nosem.

Lena wcale tego nie znosiła. Na pewno nie została w tym domu. Nie była fanatyczką czystości, ale nikt zdrowy na umyśle nie spałby w takim chlewie.

Jeffrey potruchtał do recepcji. Nocny recepcjonista poszedł do domu, lecz nastolatek o pomarańczowych włosach siedział za kontuarem i grał na komputerze. Nawet nie oderwał oczu od ekranu, wduszając kciukami prz: - Co jest?

- Czy w tym tygodniu zatrzymał się tu ktoś, kobieta mniej więcej taka wysoka. - Jeffrey pokazał ręką przybliżony wzrost Leny. - Brązowe włosy, piwne oczy...

- Mówi pan o Lenie?

Chłopak nadal nie odrywał oczu od ekranu.

Jeffrey sięgnął za kontuar i wyrwał mu z ręki joystick.

- Daj mi klucz do jej pokoju.

- Szeryf już sprawdzał... - Chłopak najwyraźniej pojął, że to nie ma znaczenia. Pospiesznie wręczył Jeffreyowi uniwersalny klucz, mówiąc: - Pokój czternaście. To na piętrze.

Jeffrey pobiegł po schodach. Wepchnął klucz do zamka i gwałtownie otworzył drzwi pokoju Leny, jakby się spodziewał, że ona tam stoi i czeka na niego z wyjaśnieniami.

Nie stała.

Zamknął za sobą drzwi i upuścił klucz na plastikowy stolik. Przybory toaletowe Leny stały równo ustawione przy umywalce, jej ubrania nadal były złożone w walizce. Jeffrey nie miał pojęcia, czego - jeśli czegoś w ogóle - brakowało, ponieważ nie wiedział, co zapakowała. Mimo to otworzył wszystkie szuflady, sprawdził zawartość nocnej szafki, a nawet zajrzał pod umywalkę.

Nie znalazł niczego oprócz zardzewiałego śrubokręta, który wpadł pod klimatyzator przy oknie.

Jeffrey usiadł na łóżku, próbując zebrać myśli. Nigdy nie widział, by Lena nosiła torebkę, ale noszenie torebki nie pasowało do tej pracy. Będzie musiał zapytać o to Sarę. A może trzeba będzie spytać Valentine'a, ponieważ to on już sprawdził ten pokój. Z drugiej strony nie ma potrzeby informować szeryfa, że tym razem okazał się szybszy.

Jeffrey wstał, podniósł materac i znalazł resztki czegoś, co zapewne było kilkoma chipsami, ale nic poza tym. Puścił materac, który dmuchnął na niego powietrzem. Wprawdzie jego zmysł powonienia był w zrozumiałe kiepskiej formie po wizycie w domu Hanka Nortona, ale Jeffrey mógłby przysiąc, że poczuł delikatny zapach naoliwionej broni. Zdjął materac i przykłęknął, aby obejrzeć materiał zakrywający sprężyny. Ciesząc się, że nikt go nie widzi, zaczął obwąchiwać cienką bawełnę i nagle przerwał, słysząc dźwięk klucza wkładanego do zamka.

Wstał, zanim otworzyły się drzwi. Pokojówka na jego widok zastygła, groźnie marszcząc brwi.

- Co tu, kurwa, robisz? - zapytała.

- Możesz wrócić za kilka minut?

- A możesz odłożyć ten materac na miejsce? – Jeffrey się nie kwapił, więc wzięła się pod boki. - Nie będę tu stała cały dzień, proszę pana.

Wyjął odznakę i pokazał jej. Zmrużyła oczy, czytając wytłoczony małymi literkami napis. Nie zrobił na niej wrażenia.

- Okręg Grant. Na oko jakaś zasrana dziura. Pan od materaców sprawdza, czy ludzie nie oderwali etykiet?

Jeffrey odłożył materac na miejsce w nadziei podtrzymania rozmowy.

- Widziała pani tę kobietę, która tutaj mieszkała?

- Tę, która dała dyla Jake'owi? - Zachichotała, wchodząc do pokoju. - I pomyśleć, że głosowałam na tego pajaca.

- Lena jest moją przyjaciółką - powiedział do pokojówki. - Próbuję jej pomóc.

- O, szlachetny rycerz. - Wyjęła z kieszeni ścierkę i zaczęła wycierać telefon na nocnym stoliku, mamrocząc: - Musiała dużo korzystać z telefonu. Cały w tłustych paluchach.

Miała pochyloną głowę, ale spojrzała na Jeffreya, jakby się dziwiła, dlaczego jeszcze tu jest.

- Dzięki za pomoc - powiedział do niej, chociaż wcale mu nie pomogła.

Był w połowie schodów, gdy uświadomił sobie, że pokojówka być może okazała się bardziej pomocna, niż zamierzała. W pokoju nie widział telefonu komórkowego Leny, więc może był w jej samochodzie. Frank Wallace, jego zastępca, mógł sprawdzić wykazy rozmów i ustalić, z kim rozmawiała tamtej nocy, zanim spłonął escalade, a może nawet potem. Ponadto mógł nakazać poszukiwania mercedesa Hanka, a może nawet wykorzystać swoje układy w drogówce i poprosić, by wypatrywali Leny. Tak samo jak telefon Jeffreya, komórka Sary też nie łąpała zasięgu w hotelu, więc będzie musiał zadzwonić do Franka w drodze powrotnej.

Jeffrey przystanął na najniższym stopniu schodów. Chryste, co z niego za idiota. Jeśli on nie miał zasięgu w hotelu, to Lena też. Znow potruczał do recepcji. Tym razem chłopak czekał przy kontuarze, gotowy służyć pomocą.

- Znalazł pan coś? - zapytał.

Jeffrey odpowiedział pytaniem na pytanie.

- Czy detektyw Adams dzwoniła gdzieś, kiedy tu była?
- Przeprowadziła rozmowę międzymiastową, zanim wyszła.

Jeffrey z własnego doświadczenia wiedział, że motel liczy pięćdziesiąt centów za minutę połączenia lokalnego i dwa dolary za minutę rozmowy międzymiastowej.

- Chcę zobaczyć rejestr wszystkich jej rozmów.

Nastolatek zdjął z drukarki plik papierów.

- Była tylko jedna - wyjaśnił. - Kierunkowy dziewięć, jeden, dwa.

Numer wydawał się znajomy.

- To Savannah.
- Tak, chyba tak.

Jeffrey chwycił stojący na kontuarze telefon i wybrał numer.

LENA

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Taśma izolacyjna zasłaniała Charlotte dolną część twarzy, więc Lena widziała tylko parę błyszczących, przerażonych oczu. Kobieta trzęsła się ze strachu, a taśma tłumiła jej łkanie. Jadąc terenówką po ciemnej drodze, Lena spojrzała w lusterko, usiłując bezgłośnie przekazać Charlotte, żeby się trzymała, że ona znajdzie jakieś wyjście. Chociaż nie miała pojęcia, w jaki sposób mogłyby uciec.

Wytatuowany, który uderzył Lenę, jechał za nimi jej celicą. Nie miała pojęcia, dokąd jadą i po co. Prowadziła samochód, bo choć nie widziała twarzy zamaskowanego mężczyzny na tylnym fotelu, wiedziała, że nie żartuje-Sposób, w jaki trzymał broń, powiedział jej wszystko, co chciała wiedzieć. Broń była przedłużeniem jego ręki. Nie wahałby się jej użyć.

Lena pomyślała o Evelyn Johnson i Ethanie wiozących ją swoją furgonetką na leśną polanę, gdzie została zamordowana. Czy Ethan patrzył w lusterko i widział strach w jej oczach, wiedząc, że nic nie może zrobić? Czy sam był równie przestraszony? Czy też wiercił się na fotelu, walcząc z rosnącym podnieceniem na myśl o tym, co ma się stać?

- Skręć tutaj - rzucił mężczyzna w masce i Lena wykonała rozkaz, skręcając w Laskey Street, biegnącą za szkołą. W jego głosie nie było pośpiechu i wydawało się, że nie ma żadnego konkretnego planu. Jeśli dobrze widziałaś kazał jej zataczać szerokie kręgi wokół liceum. – Następna w prawo - rz. Lena znowu spojrzała na Charlotte.

- Dlaczego to robicie? - zapytała go.
- A jak myślisz?
- Przysłał was Ethan?

- A kto to taki?

- Jeśli przysłał was Ethan, to jest sprawa między nim a mną. Charlotte nie ma z tym nic wspólnego. Nawet nie widziałam się z nią od liceum.

- Skarbie, nie wiem, o czym mówisz.

Nie wiedziała, czy mówił prawdę, czy tylko się z nią drażnił. Czy jechali za nią od więzienia, czy czekali, aż znów pojawi się w mieście? W jej pokoju motelowym nie było niczego, co powiedziałyby im, dokąd się udała. Protokół aresztowania Ethana został ponownie ukryty za zmieniaczem płyt w bagażniku jej toyoty. Jediną wartościową rzeczą w tym pokoju był jej glock, a tego najwyraźniej nie potrzebowali.

Lena zerknęła przez ramię. Mężczyzna był niski, ale dobrze zbudowany. Siedział swobodnie, z szeroko rozchylonymi nogami, trzymając lewą rękę na oparciu tylnego siedzenia, z bronią wycelowaną w kark Charlotte.

- Na co się patrzysz? - zapytał.

- Kim jesteście? - zapytała Lena.

Czy maska oznaczała, że zamierzał je puścić? Widziała już jego wredną gębę, chociaż może nie miało to znaczenia, gdyż jego przykrywkę i tak diabli wzięli dwa dni temu, przed domem Hanka.

Rozejrzała się za czymś - czymkolwiek - czego mogłaby użyć jako broni. Poza kluczami i styropianowym kubkiem na półeczkach nie było nic. Zsunęła dłoń po kierownicy i dotknęła knykciami kubka. Jego zawartość była zimna - zapewne woda.

- Jedź dalej - nakazał mężczyzna. - Tam znowu skręć w prawo.

Lena zignorowała go i pojechała prosto. Zacmokał jak na zbuntowane dziecko, ale nie powiedział nic więcej.

Zasada numer jeden w wypadku porwania to nie pozwolić napastnikowi zmienić twojej lokalizacji. Jeśli napadł cię na parkingu, to walcz, jak możesz, żeby na tym parkingu pozostać. Nie wsiadaj do samochodu i nie pozwól się zaciągnąć gdzie indziej. Kiedy zdobędzie kontrolę nad tobą i sytuacją, będzie mógł robić, co chce. Nie będzie odwrotu.

Lena zwolniła. Obserwowała jadącą za nimi toyotę i zastanawiała się, w co wpakowała siebie i Charlotte.

- Naprawdę przeciągasz strunę, no nie? – powiedział mężczyzna.
Lena zatrzymała samochód. Odwróciła się twarzą do niego.

- Czego od nas chcecie? Dlaczego Charlotte jest tutaj?
Tylne drzwi obok Charlotte otworzyły się. Stał w nich mężczyzna z czerwoną swastyką.

- Daj jej trochę zachęty - powiedział ten z bronią w ręku - żeby wiedziała, że nie żartujemy.

Oprych sięgnął do tylnej kieszeni spodni. Lena przygotowała się na to, że wyjmie broń i zastrzeli je obie, lecz on wyjął zwinięty plastikowy woreczek.

- Co robicie? - zapytała Lena, ale już wiedziała, gdyż mężczyzna rozwinął woreczek i wyjął napelnioną strzykawkę.

Charlotte przedzej od Leny zrozumiała, co się stanie. W panice przeżyła skrupowane ręce, usiłując stawiać opór, gdy oprych postukał palcem w strzykawkę i wycisnął z niej odrobinę płynu. Szarpała się rozpaczliwie, gdy złapał ją za ramię, i nagle Lena doznała wrażenia, że coś w Charlotte pękło. Przestała się opierać i podstawiła rękę, czekając na zastrzyk.

- Nie... - zaczęła Lena, ale było już za późno.

Mężczyzna nacisnął tłoczek. Charlotte zamknęła oczy i z jej gardła wydobyło się ciche westchnienie. Ten w masce oparł broń o policzek Charlott - Podoba jej się to, nie sądzisz?

Lena czuła spływające po policzkach łzy. Ile dzieci miała Charlotte? Tamtego dnia widziała jedno z nich w bibliotece, dziewczynkę, chyba nawet jeszcze nie miała trzynastu lat.

- Proszę - powiedziała Lena. - Puśćcie ją.

- Może jeszcze pojeździsz? - zaproponował mężczyzna. Skinął na swojego sługusa, który zatrzasnął drzwi. Lena wrzuciła bieg i nadepnęła pedał gazu. Jeździła bez celu, zataczając koła. Toyota podążała tuż za nimi. Charlotte głośno jęknęła. Oczy uciekły jej w głąb czaszki i osunęła się na drz: - Co jej podaliście? - zapytała Lena.

- Coś, co łagodzi.

- Nie rozumiem - powiedziała Lena. Teraz nie ukrywała łez. - Dlaczego to robicie? Co wam zrobiła Charlotte?

- Chcesz, żebym opowiedział ci bajkę, Lee?

Zwrócił się do niej zdrobnieniem, którym nazywali ją tylko przyjaciele i członkowie rodziny. Lena ustawiła lusterko tak, że nie pokazywało Charlotte, tylko porywacza.

Przez otwór maski widziała jego białe zęby.

- Zastanawiasz się, dziecinko?

Skoncentrowała się na tym głosie, rozpaczliwie usiłując go umiejscowić. Bez żadnego akcentu, głęboki, niemal tak głęboki jak głos Jeffreya. Lena gorączkowo przypominała sobie wszystkich mężczyzn, których знаła od dziecka. Hank nie miał przyjaciół. Kiedy brał, zawiódł ich lub odepchnął. Kiedy przestał brać, nie umiał nawiązać nowych przyjaźni. Znał Deacona Simmsa i kilka osób ze spotkań AA, ale to wszystko. Wieczory spędzał w domu lub w barze.

- Wiesz co - powiedział mężczyzna - kiedy zobaczyłem cię wtedy przed domem Hanka, pomyślałem: ależ ładna kobieta.

Czy to on był w escalade stojącym przed domem Hanka? Szyby terenówki były przyciemnione. Lena skupiła uwagę na mężczyźnie ze swastyką i nie zwróciła uwagi na pasażera.

- Jesteś bardzo podobna do matki, kiedy była w twoim wieku. Wiedziałaś o tym?

- Nawet nie wiedziałam, że moja matka dożyła mojego wieku.

- Och tak, Angie żyła znacznie dłużej, niż powinna.

Hank powiedział, że to mężczyzna, którego widziała przed domem, zabił Angelę Adams. Czy mówił o tym człowieku, który teraz trzymał broń wycelowaną w głowę Charlotte Warren?

- Ty zabiłeś moją matkę? - zapytała Lena. Odwróciła się. - Hank powiedział, że ją zabiłeś.

Zaśmiał się.

- Hank mówi różne rzeczy. Już niedługo przestanie je wygadywać, za dużo ćpa. Powiedz mi, skarbie, chcesz się założyć? Może się założysz, jak długo jeszcze pociągnie? - Jego śmiech był jak suchy kaszel, bez odrobiny wesołości. - Szczerze mówiąc, byłbym zdziwiony, gdyby nadal oddychał po tym gównie, które Clint dał mu dzisiaj.

Clint, pomyślała Lena. Teraz знаła imię oprycha.

- Pozwól, że opowiem ci o twojej mamie - rzekł mężczyzna w masce. - Chcesz dowiedzieć się czegoś o twojej mamie?
- Tak.
- Cóż... - Udał, że się zastanawia. - Jak już powiedziałem, jesteś jak ona. Takie same ładne włosy, piękne oczy. Miała cudowne usta. Nie wdam się w szczegóły, ponieważ jesteś jej dzieckiem, ale wystarczy powiedzieć, że mogłaby zessać i połknąć skórę z piłki bejsbolowej. - Zachichotał. - Oczywiście, Angie nie zawsze była taka. W liceum była sztywna jak kij. Głęboko wierząca, jak jej matka. Trzeba by łomu, żeby ją otworzyć. Tutaj.
- Co?
- Skręć tutaj - odparł, pokazując trawnik obok szkoły.
- Tu nie ma drogi.
- Wciąż zapominam, że jesteś policjantką - rzekł. - No już, wjedź na trawnik. Nikt cię nie aresztuje.

Lena mocniej chwyciła kierownicę, gdy koła zjechały z szosy na pobocze. Trochę wody z kubka opryskało jej nogę, gdy skierowała samochód na równy teren.

- Jedź dalej.

Pokazał, że ma przejechać przez otwartą bramę na boisko.

Lena jechała najwolniej jak mogła. W lusterku zobaczyła, że celica parkuje na jednym z miejsc dla seniorów. Zatem taki mieli plan? Zabić Lenę i Charlotte przed szkołą? Nie rozumiała, dlaczego on wciąż mówił, skoro chciał je zabić.

- Jeszcze kawałek - powiedział. - Przez bramę i na boisko. - Nachylił się, zawadzając ręką o ramię Leny. - Daj mi ten kubek, dobrze? Przez całe to gadanie zachciało mi się pić.

Zahamowała i zrobiła, co kazał, starając się nie dotknąć jego dłoni. Podając mu kubek, wyczuła zapach jego zawartości. Zdecydowanie nie była to woda, ale nie zdołała rozpoznać tej woni. Kubek był cięższy, niż powinien być.

- Dziękuję. - Usiadł wygodnie, trzymając kubek na wysokości piersi. - Wyglądasz, jakbyś chciała mnie o coś zapytać.

Przeszła do sedna sprawy.

- Skąd znałeś moją matkę?
- Była taka jak Charlotte - odparł. - Daj im posmakować, a zrobią wszystko, co zechcesz.

- Posmakować czego? - zapytała Lena. - Prochów?

Popatrzyła na Charlotte. Kobieta leżała bezwładnie, cicho, z lekko rozchylonymi ustami, jakby słuchała jakiejś innej rozmowy. Czyżby skłamała, mówiąc o swoim alkoholizmie? Czyżby była również narkomanką?

- Zatrzymaj na tej białej linii - rozkazał mężczyzna.

Lena zatrzymała samochód, ale nie wyłączyła silnika. W oddali zobaczyła nadchodzącego Clint'a. Z widocznym wysiłkiem niósł ciężkie wiadro, odchylając ciało na bok. Zamiast podejść do samochodu, postawił je na bocznej linii i stanął tam, jakby czekając na wezwanie.

Lena zobaczyła w lusterku, że zamaskowany mężczyzna wpycha broń za pasek dżinsów. W prawej ręce trzymał kubek, a lewą położył na karku Charlotte.

Teraz Lena mogła uciec. Mogła wyskoczyć z samochodu. Clint był gruby i powolny. Mogłaby wbiec do lasu obok stadionu i zniknąć w ciemności. Mogłaby walić do czyichś drzwi, aż otworzyliby jej i pozwolili skorzystać z telefonu.

- Chcesz odejść? - zapytał mężczyzna, jakby czytał w jej myślach. - Czy chcesz zostać i usłyszeć, co mam do powiedzenia?

Już wyciągnęła rękę i zacisnęła palce na klamce. Puściła ją i odwróciła się do niego.

- Mów - zażądała.

- Gdybym chciał cię zabić - zaczął - już byś nie żyła. Wiesz o tym.

- Tak.

- Twoja przyjaciółka przez te wszystkie lata była ładną dziewczyną lecz gdy przychodzi czas, to trudno.

- Nie rób jej krzywdy - poprosiła Lena. - Ona ma dzieci. Jej mąż...

- Tak, to smutne. Jednak sami dokonujemy wyborów.

- Nazywasz to wyborem? - warknęła Lena. - To jest wybór, kiedy jakiś pierdolony nazistowski dupek wbija ci igłę w rękę?

Znów się uśmiechał.

- Jesteś taka do niej podobna, Lee. Taki sam ostry język

i gorący temperament. Cóż, Sibyl była bardziej... no, pewnie wiesz, jaka była twoja siostra. Naprawdę cicha, zawsze zatopiona w myślach. Niech mnie diabli, jeśli wiem, po kim miała tę głowę. Oniemiałem ze zdziwienia, kiedy się dowiedziałem, że dostała pełne stypendium na Georgia Tech.

Zdawał się wiedzieć o nich wszystko, a jednak Lena nigdy wcześniej go nie spotkała.

Tylko co takiego naprawdę wiedział? Każdy, kto poszedłby za Hankiem i Leną do sklepu spożywczego, wiedziałby, że nazywał ją Lee. Kiedy Lena dostała to stypendium, w gazecie był o tym artykuł na całą pierwszą stronę. A co do szczegółów z życia Angeli Adams... te mógł wymyślić. Ta historia, którą opowiedział o jej matce, mogła być. tak samo zmyślona jak te, które opowiadał jej Hank, gdy była dzieckiem.

- Zastanawiasz się nad tym? - zapytał mężczyzna.
- Powinnam cię rozpoznać?
- Skarbie, teraz masz tylko patrzeć i uczyć się. - Podniósł kubek, jakby w toaście. - Zamierzam ci pokazać, co się dzieje z ludźmi, którzy nie pilnują własnych spraw.

Wylał zawartość kubka na Charlotte i Lena teraz rozpoznała ten zapach. Płyn do zapalniczek.

- Co ty...

Otworzył drzwi. Usłyszała cichy trzask i ze srebrnej zapalniczki, którą trzymał w dłoni, trysnął płomień. Wychodząc z samochodu, rzucił zapalniczką w Charlotte, a Lena rzuciła się ku niej, krzycząc „nie” i próbując

Nie zdążyła. Zapalniczka upadła na kolana Charlotte, płyn zapalił się od płomienia i Lena instynktownie cofnęła się, gdy kobieta stanęła w ogniu.

Charlotte zaskowyczała jak zwierzę, miotając się w spowijających ją płomieniach.

- Nie - jęknęła Lena. Nie mogła jej pomóc, nie mogła nic zrobić, mogła tylko patrzeć, jak Charlotte płonie. - Nie!

Samochód wypełnił dym i odór palonego mięsa. Lena rzuciła się do drzwi, próbując je otworzyć. W końcu zdołała znaleźć klamkę i wypadła z wozu. Z impetem runęła na ziemię i poczuła przeszywający ból w ramieniu, gdy gramoliła się na nogi.

Pojawił się Clint. To, co wzięła za wiadro, okazało się kanistrem z paliwem. Odepchnął Lenę i zaczął polewać nim terenówkę.

Skoczyła na niego, machając rękami, drapiąc go po twarzy i bełkocząc z wściekłości. Clint rąbnął ją pięścią w skroń tak mocno, że zatoczyła się i zemdlilo ją z bólu. Żołądek podszedł jej do gardła, zgięła się wpół i zwymiotowała na trawę.

W samochodzie coś eksplodowało. Lena opadła na kolana i na czworakach usiłowała odpełznąć od pojazdu, zanim wybuchnie zbiornik paliwa. Dym i gorąco nie pozwoliły jej na to. Upadła na bok, charcząc. Usłyszała dźwięk, który nie mógł wydobywać się z ludzkich ust: przeraźliwy pisk. Charlotte. Jeszcze żyła, nadal świadoma płomieni, które trawiły jej

Lena przetoczyła się na brzuch, wiedząc, że jest za późno, by pomóc Charlotte, że musi odczołgać się jak najdalej od samochodu. Próbowwała się poruszyć, lecz ciało odmówiło jej posłuszeństwa. Nagle ktoś chwycił ją za pasek spodni i odciągnął w kierunku trybun. Samochód ponownie eksplodował, tak głośno, że musiał to być zbiornik paliwa. Wybuch odrzucił ją na ławki i uderzyła głową o metal. Usłyszała głucho dudnienie - to kanister upadł obok niej.

Clint przygniatał ją swoim ciałem, a jego twarz była tuż przy jej twarzy.

- Żyjesz?

Lena zaczęła kaszleć, mając wrażenie, że płoną jej płuca. Ledwie mogła oddychać pod jego ciężarem.

- Dlaczego? - zdołała wykrztusić. - Dlaczego to robicie?

Podniósł się, strzepnął pył z rąk i nóg z taką miną, jakby wyszedł z kościoła i nie mógł zrozumieć, dlaczego jest taki brudny.

- Dlaczego? - powtórzyła ochryplym z żalu głosem.

W blasku ognia widziała jego twarz i to, że spoglądał na nią jakby z litością.

- Nic ci nie mogę powiedzieć, Lena. Będziesz musiała zapytać Hanka.

**CZWARTEK
WIECZOREM**

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Sara siedziała przed okręgowym szpitalem Elawah i czuła przez dzinsy zimno cementowej ławki. Miała dość szpitali, dość powolnego tempa, w jakim wszystko się w nich działo. Nic dziwnego, że ludzie byli tacy cięci na opiekę zdrowotną. Badania toksykologiczne, analiza krwi, prześwietlenie - wszystko trwało dwukrotnie dłużej, niż powinno, a potem trzeba było zadzwonić po lekarza, wezwać farmaceutę, znaleźć pielęgniarkę. Wszystkie te powolne machinacje miały jedynie kryć tyłki wszystkich po kolei na wypadek popełnienia błędu: dostarczenia niewłaściwych wyników analiz, podania niewłaściwego leku, postawienia niewłaściwego rozpoznania. Tymczasem pacjent cierpiał. To było potwornie irytujące.

Jedyną pociechą było to, że Hank nawet nie był świadomy zwłoki: podczas krótkiego przejazdu do szpitala był nieprzytomny, a kiedy przyjmowali go i przenosili na oddział intensywnej terapii, jego stan niewiele się zmienił. Mimo to Sara nie obiecywała sobie zbyt wiele. Jego ciało trawiła infekcja. Serce było osłabione po latach zażywania narkotyków, a ponadto miał średnio zaawansowane stadium rozedmy płuc.

Najbardziej niepokoiły ją ślady otarć na przegubach i kostkach Hanka. Na pierwszy rzut oka zdawały się pasować do innych skaleczeń i obrażeń. Bliższe oględziny ujawniły, że to ślady sznura. Skośne ułożenie śladów na nadgarstkach świadczyło o tym, że ręce przywiązano mu z daleka od ciała. Natomiast nogi związano razem. Co więcej, niedawno został pobity. Miał złamane dwa żebra i paskudny siniak na brzuchu w miejscu, gdzie ktoś go mocno uderzył lub kopnął.

Zadziwiająco, ale największym problemem, z jakim musieli się uporać, były objawy abstynenckie. Z sobie wiadomych powodów Hank gwałtownie odstawił amfę i w odpowiedzi jego ciało kompletnie się zbuntowało. Jego narządy wewnętrzne przestawały działać, rozpoczynając kaskadową reakcję prowadzącą do śmierci.

Podczas stażu w szpitalu Grady'ego Sara widziała wielu bezdomnych narkomanów przechodzących przez izbę przyjęć. Niewiele różnili się od żywych trupów - stan ich zdrowia był tak fatalny, że było zadziwiające, iż jeszcze mogli ustać na nogach. Zapalenie płuc, żółtaczka, szkorbut, skrajne odwodnienie... Minęły lata, od kiedy zajmowała się tymi beznadziejnymi przypadkami, więc była tak wstrząśnięta stanem Hanka, kiedy zobaczyła go leżącego na podwórku, że przez moment nie mogła się ruszyć.

Jedynie, co była w stanie dla niego zrobić tego wieczoru, to pomóc mu dostać się do szpitala. Jeśli jego stan pozostanie stabilny przez tę noc, z samego rana zostanie przewieziony do większego szpitala.

Na parking zajechał srebrny samochód. Sara z przygnębieniem zobaczyła, że to nie jej bmw. Jeffrey powinien tu być w każdej chwili i czekała na niego niecierpliwie. Dzwonił do niej wcześniej i powiedział, że przeszukał pokój hotelowy Leny i dowiedział się, że dzwoniła do więzienia stanowego Coastal. Według rejestrów Lena odwiedziła Ethana Greena tego samego dnia, gdy spłonęła terenówka. Ten fakt musiał mieć jakieś znaczenie, ale Jeffrey nie chciał rozmawiać o tym przez telefon. Powiedział, że zaczeka w motelu, aż oddzwoni do niego dyrektor więzienia, a potem odbierze Sarę

Słuchając go, wiedziała, że obojętnie, co powie dyrektor, Jeffrey już postanowił osobiście odwiedzić Ethana. Sądził, że groźby i zastraszanie podziałają na więźnia, ale Sara wiedziała lepiej. Tacy jak Ethan Green nie kładą uszu po sobie, kiedy im się grozi. Zwijają się jak grzechotniki i szykują do ataku.

Poprzedniej nocy Sara obiecała sobie, że niezależnie od tego, co Jeffrey zrobi, ona zostanie przy nim. Po szesnastu latach wiedziała, że jej mąż nie potrafi stać z boku i czekać, aż ktoś inny uratuje człowieka uwięzionego w płonącym bu-

dynku. Sara musiała zaakceptować go i wspierać, ponieważ to właśnie jego dobroć najbardziej ją pociągała. Stanie na uboczu nie leżało w jego charakterze.

Szklane drzwi izby przyjęć rozsunęły się i wyszedł przez nie Fred Bart, klepiąc się po kieszeniach.

- Cześć, słodziutka - zawołał, zauważywszy siedzącą na ławce Sarę.

Znalazł papierosy, posłał jej żalony uśmiech i schował je z powrotem do kieszeni.

- Pogrążona w myślach? - zapytał, usiadłszy obok niej, nie czekając na zaproszenie. - Wygląda, że będzie padać, no nie?

Sara spojrzała na nocne niebo i uświadomiła sobie, że ma rację.

- Tak.

- Jest tu moja siostra. - Wyprostował ramiona i pokazał w uśmiechu równe, drobne, białe zęby. - Jestem wujkiem!

Klepnął ją po ramieniu zbyt poufałym gestem, ale Sara nie zaprotestowała, bo wyglądał na tak szczęśliwego.

- Pierwszy raz?

- Trzeci! - wykrzyknął radośnie. - Pewnie jako pediatra widuje pani mnóstwo małych dzieci. Czy przywykła pani do tego, jakie są maleńkie? No wie pani, takie malutkie.

- Nie - przyznała Sara, oderwana od smętnych rozmyślań przez jego radosne wynurzenia.

- Miała pani swoje dzieci?

- Nie.

- Cóż, naprawdę polecam - poradził entuzjastycznie. - Ja mam cztery byłe żony i żadnego dzieciaka. Proszę mnie źle nie zrozumieć, fajnie rozpuszczać maluchy mojej siostry, ale to nie to samo co mieć swoje. - Spojrzał na parking i dodał ze smutkiem w głosie: Moi rodzice nie żyją. Teraz jesteśmy tylko Sissy i ja.

Sara zacisnęła wargi, zastanawiając się, kiedy została najlepszą przyjaciółką Freda Barta.

- Jednak Jake pochodzi z licznej rodziny - wyznał.

- Ach tak?

- Ma cztery starsze siostry. Jego młodszy brat Tom zmarł jakieś sześć lat temu. Przedawkował.

- Nie wiedziałam.

- Jake był tym strasznie przybity. Myślę, że dlatego wstąpił do policji. Potem zobaczył, co się dzieje, że nikt nie chce naprawdę zająć się tym problemem. Postanowił ubiegać się o posadę szeryfa. Żeby coś z tym zrobić.

Sara zastanawiała się, czy oczekiwał od niej, że zacznie to notować. Najwyraźniej Fred Bart próbował przez nią przekazać wiadomość Jeffreyowi. Jake to porządny gość, pomyślała. Przyjęłam do wiadomości.

- No nic - rzekł Bart, klepiąc się w kolano i wstając. - Podrzucić panią gdzieś?

- Czekam na męża - powiedziała mu, znów zadając sobie pytanie, jak długo jeszcze będzie musiała czekać na Jeffreya.

Mrugnął do niej.

- Szczęściarz.

- Powtórzę mu to.

- Proszę bardzo.

Bart uśmiechnął się, znów odsłaniając drobne, białe zęby. Poszedł w kierunku zielonego pikapa, a Sara pomachała mu, zanim wróciła do budynku.

Ignorując kwaśną minę rejestratorki, Sara poszła do niszy, w której stały dystrybutory. Nagle poczuła się tak głodna, że zjadłaby konia z kopytami. Dobrze się składało, gdyż konina wydawała się głównym składnikiem większości oferowanych przekąsek.

Zadzwonił telefon komórkowy Jeffreya, więc wyjęła z kieszeni aparat.

- Gdzie się podziewasz? Jestem głodna - powiedziała zamiast powitania.

Telefon chwilę milczał i Sara już miała się rozłączyć, gdy usłyszała głos Leny.

- To ja.

Zaskoczenie na moment sparaliżowało Sarę. Zglupiała i rozejrzała się wokół, jakby w obawie, że Jake Valentine nagle wyskoczy z lasu i wyrwie jej z ręki telefon.

- Gdzie jesteś? - spytała Lena.

- W szpitalu. Z Hankiem.

Lena nie odpowiedziała od razu.

- Wszystko z nim w porządku?

- Nie. - Sara rozejrzała się, szukając zaciszniejszego

miejsca, ale w końcu zdecydowała, że najlepiej zostać tutaj i nie ryzykować utraty sygnału. - Znaleźliśmy go na podwórku za domem. Ktoś go związał i pobił. Potem zostawił go, żeby umarł.

- Może on chce umrzeć.

Sara nie mogła uwierzyć własnym uszom.

- Niektórzy twierdzą, że ty też - odparowała. - Jeffrey wie o Ethanie.

- Ethan nie jest w to zamieszany.

- Naprawdę myślisz, że Jeffrey ci uwierzy? Jutro zamierza pojechać do więzienia. Nie mogę go powstrzymać. Jeśli coś się stanie, to będzie twoja wina. Słyszysz, co mówię? Twoja wina.

- Powiedz mu... - zaczęła Lena. - Powiedz, że pojechałam powiedzieć Ethanowi, że poddałam się aborcji.

Sara otworzyła usta ze zdziwienia.

- Do tej pory już by się urodziło - powiedziała chrapliwym szeptem Lena. - Może ty i Jeffrey moglibyście je wychowywać.

Sara oparła się o jeden z dystrybutorów. Czuła się tak, jakby ktoś uderzył ją w brzuch.

- Wiem, że nie możesz mieć dzieci, Saro - ciągnęła Lena. - Nie wkurza cię to. co zrobiłam? Nie złości cię to, że zaszłam w ciążę, chociaż tego nie chciałam?

Łzy napłynęły Sarze do oczu. Nie powinna była zaczynać tej gry, ponieważ nie miała serca, by w nią grać.

- Hank zawiózł mnie do kliniki - ciągnęła Lena. - Wetknęli we mnie to metalowe coś i wycięli je.

- Proszę, przestań - błagała Sara.

- Zastanawiam się, jak wyglądało, kiedy je wyjęli - zapytała. - Musisz wiedzieć, jak wyglądało, prawda? Jesteś lekarzem. Przez cały czas masz do czynienia z dziećmi.

Sara czuła, że zaraz się rozpłacze.

- Jak możesz być taka okropna?

- Powtórz Jeffreyowi wszystko, co mówiłam - poleciła Lena. - Powiedz mu, że wszystko, co myślałaś i mówiłaś o mnie, to prawda, Saro. Nie jestem dobrą osobą. Nie warto mnie ratować. Wracaj do domu. Wracaj do domu i zabierz ze sobą Jeffreya.

- Wiem, co próbujesz osiągnąć. - Sara otarła oczy wierz -

chem dłoni, rozgniewana tą próbą manipulacji. Nie zamierzała znów zostać mimowolną współniczką Leny. - Nie uda ci się to. Nie poprowadzisz mnie na sznurku.

- Wcale nie chcę - powiedziała jej Lena. - I nie chcę cię tu. Nie chcę tu Jeffreya. Nie obchodzi mnie, czy Hank przeżyje, czy umrze. Chcę tylko, żebyście oboje wrócili do domu i zapomnieli o moim istnieniu.

- Wciąż próbujesz mną manipulować, Leno? - zapytała Sara. - Nie jestem dla ciebie partnerką. Nie wiem, jak się w to gra.

Lena milczała. Sara usiłowała usłyszeć coś w tle, cokolwiek, co zdradziłoby kryjówkę Leny. Słyszała tylko zawodzenie, przypominające skowyt rannego psa. To płakała Lena.

Sara powiedziała stanowczo, próbując przejąć kontrolę:

- Gdzie jesteś? Przyjedziemy po ciebie.

Nie odpowiedziała, tylko płakała.

- To już za długo trwa. Musisz nam pozwolić przyjechać po ciebie.

- Widziałas ją?

- Czy widziałam...

Lena zaczęła szlochać.

- Tę kobietę... w samochodzie...

Sara poczuła w gardle ten sam odór co podczas wykonywania sekcji.

- Zajęłaś się nią?

- Tak - powiedziała Sara. - Oczywiście, że się nią zajęłam.

- Cierpiała.

- Wiem.

- Cierpiała, a wszystko przez mnie.

- Kim była?

- Była czyjąś matką - krzyknęła Lena. - Czyjąś żoną. Czyjąś przyjaciółką. - Głos uwiązł jej w gardle. - Czyjąś kochanką.

- Dlaczego to robisz?

- Ponieważ na to zasługuję! Miałaś rację. Wszystko, czego się dotknę, trafia szlag. Wynoście się stąd, zanim będzie za późno.

- Za późno na co?

- Chcesz, żeby to samo spotkało Jeffreya?
- Co ty...
- Po prostu wynoście się stąd! - wrzasnęła i przerwała połączenie.

Sara przycisnęła telefon do piersi, nie mogąc się ruszyć. Serce jej waliło. Jeffrey. Bała się, że coś - ktoś - dopadnie Jeffreya. W ułamku sekundy pamięć podsunęła jej obraz zwęglonego ciała leżącego na stole sekcyjnym, tylko tym razem był to Jeffrey, spalony Jeffrey. Miała łzy w oczach. Trzęsła się jak liść.

- Doktor Linton? - zapytał Don Cook.

Miał na sobie mundur zastępcy szeryfa. W ręku trzymał kapelusz.

- Tak - odparła, usiłując wziąć się w garść, zastanawiając się, jak długo ten człowiek tu stał.

- Wszystko w porządku?

- Tak - powiedziała, pragnąc, by głos jej tak nie drżał. Na moment zamknęła oczy, próbując przegnać ten okropny obraz.

- Jestem Don Cook. Spotkaliśmy się zeszłej nocy. - Zaczekał, aż kiwnęła głową. - Pani mąż prosił mnie, żebym przyszedł i zabrał panią do aresztu. Popatrzyła na niego sceptycznie.

- Nie dzwonił do mnie.

Zastępca wzruszył ramionami.

- Powiedziano mi, że mam panią zawieźć do aresztu. Jake i pani mąż czekają tam na panią.

Pokazała mu telefon, który trzymała w dłoni.

- Pozwoli pan, że najpierw do niego zadzwonię.
- W porządku.

Wycofał się w głąb holu, zostawiając ją samą. Sara spojrzała na telefon Jeffreya, zastanawiając się, co robić. Kiedyś awersja do nowoczesnych urządzeń była dla niej źródłem dumy, ale teraz czuła się jak zacofana idiotka. Wiedziała, że aparat Jeffreya przechowuje w pamięci numery telefonów, ale nie miała pojęcia, czy wybieranie nowego kasuje numer ostatniego rozmówcy czy nie. Jeśli Lena dzwoniła z aparatu, który można zlokalizować, nie chciała skasować tego połączenia. Cook wystawił głowę zza rogu.

- Wszystko w porządku?
- Zostawiłam mu wiadomość - skłamała.
- Dobrze. Gotowa?

Sara skinęła głową. Machnął swoim kapeluszem w kierunku wyjścia, pokazując jej, żeby poszła przodem. Na zewnątrz zobaczyła zaparkowany przed wejściem ambulans. Sanitariusze, którzy przywieźli Hankę, opierali się o ścianę i palili papierosy. Zobaczyli Sarę i przyjaźnie do niej pomachali.

Radiowóz Cooka stał zaparkowany na miejscu dla inwalidów. Zastępca obszedł go, by otworzyć jej drzwi po stronie pasażera. Na fotelu leżały zmięte torebki po fast foodzie i puszki po dietetycznej coli.

- Przepraszam za ten bałagan. Ma pani coś przeciwko temu, żeby pojechać z tyłu?

Sara poczuła, że włosy na głowie stają jej dęba. Albo była bardzo sprytna, albo przesadnie podejrzliwa.

- Ma pan coś przeciwko temu, że pojedę ambulansem? - Zobaczyła jego zdziwioną minę i wypróbowała jeden ze swoich zabójczych uśmiechów. - Pojadę z nimi.

Szybko namówiła sanitariuszy. Sara znacznie ułatwiła im życie podczas jazdy do szpitala i obaj chętnie się zrewanżowali. Ponadto areszt znajdował się zaledwie trzy minuty jazdy od szpitala. Sara głupio się czuła, siedząc między dwoma krzepkimi sanitariuszami, ale już dawno nauczyła się ufać swoim instynktom.

Don Cook wjeżdżał na parking, gdy ambulans już odjeżdżał. Zmarszczył brwi na widok Sary machającej na pożegnanie sanitariuszom.

Wysiadł, mamrocząc:

- Wóz nie jest aż tak brudny

Sara powstrzymała się i przeprosił go. Bez słowa weszła za nim do budynku.

- Biuro szeryfa jest tam, na górze - powiedział jej, pokazując palcem. - Chyba że chce pani, żeby ktoś inny powiedział pani, gdzie jest.

- Nie, dziękuję.

Sara weszła po schodach, czując na sobie jego spojrzenie. Wchodząc, usłyszała rozmawiające dzieci. W holu trzy buzie spojrzały na nią znad kolorowanek. Dzieci siedziały na pod-

łodze, z szeroko rozłożonymi nogami i skupionymi minami. Rysowały kredkami. Na drugim końcu pomieszczenia była nastoletnia dziewczynka. Jej ponura mina dowodziła, że nie jest zadowolona z tego, że ma się nimi opiekować.

Sara rozejrzała się za ich matką, ale najwyraźniej jej tu nie było. Już miała zapytać o to te dzieciaki, gdy otworzyły się drzwi i zobaczyła w nich Jeffreya.

- Chodź tutaj - powiedział. I zauważywszy jej zatroskaną minę, dodał: - Nic im nie będzie.

Idąc do niego, Sara przestąpiła nad jednym z dzieciaków.

- Muszę z tobą porozmawiać - szepnęła.

Uciszył ją, pokazując, że ma się pospieszyć. Kiedy zamknęli za sobą drzwi, nie dopuścił jej do głosu.

- Mamy zgłoszenie o zaginięciu.

- Kobiety?

- Jej mąż przyszedł dwadzieścia minut temu. Larry Gibson.

- Krewny?

- Brat Boyda Gibsona. Valentine mówi, że jest czysty.

Zmarszczyła brwi, zastanawiając się, od kiedy Jeffrey zaczął wierzyć Jake'owi Valentine'owi na słowo.

- Jak dawno zaginęła ta kobieta? - zapytała.

- W sobotę.

- Nie znalazłam obrączki na palcu - powiedziała Sara, choć wiedziała, że metal mógł się stopić w pożarze. - Jeśli jego żony nie ma od sześciu dni, dlaczego tak długo zwlekał z pójściem na policję?

- Zdarzało jej się znikać - odparł. - Miała problemy z alkoholem, przez pewien czas brała amfę. Jest nauczycielką. Te dzieci w poczekalni są jej.

- Chryste — szepnęła Sara. Nauczycielka z trojgiem dzieci. Co powiedziała Lena? Matka. Żona. Przyjaciółka. Kochanka.

Zaniepokojony Jeffrey położył dłoń na jej ramieniu.

- Źle się czujesz?

- Miałeś telefon. - Wcisnęła mu komórkę do ręki. - Od kogoś, kogo znasz.

Zaczął przewijać ekrany.

- Kazałem Frankowi ustalić, skąd dzwoniło. - Mówił

o lokalizacji telefonu Leny. - Od poniedziałku z tego numeru wykonano tylko jedno połączenie. Do mnie do hotelu.

- Powiedziała... - zaczęła Sara ze ściśniętym gardłem. - Powiedziała, że to samo, co stało się z tą kobietą w samochodzie, może się przydarzyć tobie.

- Powiedziałyby wszystko, żeby skłonić nas do wyjazdu. - Jeffrey zmarszczył brwi, patrząc na telefon. - Numer zarezerwowany. Zapewne znajdzie się w moich wykazach rozmów, ale dopiero za dzień lub dwa.

- Jeffrey...

- Najpierw zajmijmy się zaginioną nauczycielką - zaproponował. - Będzie dobrze. W porządku?

Kiwnęła głową, chociaż nie było w porządku. Mimo woli znów zobaczyła Jeffreya na stole prosektoryjnym. Czując ściskanie w dołku, poszła za nim korytarzem. W uszach dźwięczały jej ostrzegawcze słowa Leny.

Chcesz, żeby to samo spotkało Jeffreya?

Szeryf siedział za swoim biurkiem. Ślęczał nad jakąś kartką, zapewne wypełniając formularz zgłoszenia zaginięcia, a siedzący przed nim mężczyzna podawał mu dane.

- Jest przeciętna - mówił, jednocześnie zły i przestraszony. - No nie wiem, Jake... opisz swoją żonę. Nie wiem, ile ma wzrostu. Nie wiem, ile waży. Jest przeciętna.

- W porządku, Larry - uspokajał go Valentine. - Posłuchaj, milion razy widziałem ją w kościele. I powiem ci, że jesteś ślepy, jeśli o nią chodzi. Bez urazy, kolego, ale to ładna kobieta. Mam rację?

Tamten zaśmiał się ze zdziwieniem, jakby zapomniał o tym szczególe. Z ukłuciem smutku Sara przypomniała sobie sekcję, którą przeprowadziła na bracie tego mężczyzny. A jeśli kobieta w escalade była żoną Larry'ego Gibsona?

- Facet nie może nie zauważyć takiej ładnej kobiety - mówił Valentine.

- Na oko ma jakieś metr sześćdziesiąt osiem. Jako wagę wpisujemy sześćdziesiąt. W prawie jazdy zapewne jest pięćdziesiąt pięć, ale wiesz, jakie są kobiety. - Podniósł wzrok znad formularza, zobaczył Sarę i mrugnął do niej. Nie było to znaczące mrugnięcie, raczej dawał jej w ten sposób znać, że po prostu wykonuje swoją pracę. Tak czy inaczej, udało mu się. Larry Gibson zaczął się uspokajać.

- Twoim zdaniem waga może być? - spytał go Valentine.
Larry pokiwał głową.

- Tak, chyba ma sześćdziesiąt kilo. I teraz sobie przypomniałem, że ostatni raz widziałem ją około drugiej. Zawiozła dzieciaki do kina, a po powrocie zadzwoniła do swojej matki. Słyszałem, jak mówiła, że musi wpaść i sprawdzić, co u niej słychać.

- Cóż - rzekł szeryf. - Wygląda na to, że musimy zapytać jej matkę.

- Nie pojechała - wyjaśnił Larry. - Wzięła kąpiel i kiedy spytałem ją, czy zamierza pojechać do matki, powiedziała, że nie, że obiecała odwiedzić ją jutro.

Valentine cmoknął, kręcąc głową.

- Nie mogła się zdecydować.

- Właśnie, to samo jej powiedziałem - zgodził się Larry. - Potem stwierdziła, że mogłaby pójść na spacer, a ja na to, że może później, bo o drugiej trzydzieści jest mecz i czy chce, żebym zrobił coś wcześniej, bo chcę go obejrzeć.

- Georgii z Alabamą? - zapytał Valentine, zapewne żeby ustalić czas. - Człowieku, to był dobry mecz.

- Tak.

- Słyszałeś, jak wychodziła?

- Tak - powtórzył. - Tuż przed zakończeniem pierwszej połowy usłyszałem trzask zamykanych drzwi. Domyśliłem się, że wyszła na spacer.

- Nie mogło to być któreś z dzieci?

- Były w kinie na tym horrorze o Halloween, który tak reklamowali w zeszłym tygodniu w gazetach.

Valentine zanotował to w formularzu.

- Zatem przed drugą połową. Czyli około czwartej, nie sądzisz?

- Czwarta. Tak.

Sara spojrzała na Jeffreya, ale on uważnie przysłuchiwał się rozmowie. Zastanawiała się, czy umiejętność Valentine'a wydobywania takich szczegółów od zatroskanego męża wywarła na nim równie duże wrażenie jak na niej. Szeryf wyraźnie lubił ukrywać swoje umiejętności.

- Co tam masz? - zapytał.

Larry położył na biurku małą metalową kasetkę. Była

stara, spod obłazącej niebieskiej farby widać było szary podkład. Wieko było zamknięte na zardzewiały zamek, ale Larry otworzył ją z łatwością.

- Chciałem ci pokazać - rzekł, demonstrując zawartość.

Sara nachyliła się i zobaczyła zaśnieżoną srebrną łyżeczkę z wygiętą rączką oraz kilka nieużywanych strzykawek. Folia aluminiowa, kilka oderwanych filtrów papierosowych i gazowa zapalniczka dopełniały zestawu narkomana.

Larry odwrócił się, jakby dopiero teraz zauważył, że Sara i Jeffrey stoją obok.

- Nie brała już od sześciu miesięcy - wyjaśnił. - Przyniosłem to, żeby pokazać... - odwrócił się do Jake'a. - Pokazać tobie, Jake. Gdyby znów brała, gdyby dlatego zniknęła, wzięłaby to ze sobą. Jest tu paczuszka. - Sięgnął do kasetki i wyjął torebkę z brudnobiałym proszkiem. - W żadnym razie nie zostawiłaby tego, gdyby znów zaczęła brać. Przecież wiesz.

- Panie Gibson - zaczął Jeffrey. - Nie chcę się wtrącać, ale dlaczego tak długo pan zwlekał ze zgłoszeniem zaginięcia żony?

Larry zaczerwienił się i spuścił głowę.

- Nie chciałem narobić jej kłopotów. W pierwszej chwili pomyślałem, że znów zaczęła brać. Zacząłem się rozglądać po domu i patrzeć, czy coś zabrała. Wszystkie jej ubrania zostały. Zostawiła nawet torebkę - Popatrzył na Sarę, mówiąc: - Kiedy poprzednio uciekała, zawsze zabierała coś ze sobą, zazwyczaj coś, co mogła sprzedać. Telewizor, odtwarzacz DVD, iPod... ale nigdy nie zostawiała torebki. Kobiety nie ruszają się bez torebek.

Sara skinęła głową, jakby mogła mówić w imieniu jego żony.

Larry znów zwrócił się do Valentine'a:

- Zacząłem dzwonić, porozmawiałem z jej matką i ciotką Lizzie. Chyba miałem nadzieję, że ona zaraz wróci. Zawsze wracała. Nie chciała zostawić dzieci. Ten narkotyk... - Pokazał torebkę z proszkiem, którą trzymał w dłoni. - To robi dziwne rzeczy z mózgiem. Nie pozwala trzeźwo myśleć.

Ona czasem nie wiedziała, co robi. To wszystko. Musiała po prostu się temu poddać, a potem wracała i wszystko znów było dobrze.

- Gdzie jest jej samochód, Larry? - zapytał Valentine.

- Widzisz, to ta druga sprawa. Jej samochód wciąż stoi w garażu. Jeśli poszła na spacer... - Potarł twarz rękami. - Zadzwoń do szkoły i powiedz, żeby ktoś ją zastąpił, że ma grypę. Nie sądzę, żeby Sue mi uwierzyła. - Przełknął ślinę i lzy stanęły mu w oczach. - To nie może być ona w tym samochodzie na boisku, Jake. No wiesz, przecież nieraz uciekała. To nie może być ona. Nie wiem, co bym zrobił, gdyby... - Jego głos stał się piskliwy, błagalny. - Jutro chowamy Boyda. Myślałem, że na pewno wróci, kiedy się o tym dowie. Boyd miał problemy, ale jakoś sobie radził. Pomagał Charlotte, kiedy była w dołku...

- Mogę to obejrzeć? - zapytał Valentine, już biorąc kasetkę.

Ostrożnie ułożył jej zawartość na bibularzu. Końcem długopisu odsunął na bok strzykawkę, a potem torebkę z narkotykiem i pozostałe drobiazgi. Sara nie widziała tam niczego, co miałyby jakąkolwiek wartość dla kogoś, kto nie jest policjantem lub narkomanem. Valentine najwyraźniej podzielał jej zdanie. Postukał palcem w dno kasetki, a potem wziął otwieracz do listów i podważył nim plastikową wyściółkę. Kasetka była tak stara, że wyściółka rozpadła się na kawałki.

- No - powiedział Valentine. - A co to takiego?

Sara nie widziała, co znalazł, dopóki tego nie wyjął. Dwie kartki jasnoniebieskiego papieru złożone na pół.

Valentine rzucił na nie okiem, po czym podał je Jeffreyowi, wyraźnie nie przejmując się odciskami palców. Sara przeczytała je przez ramię Jeffreya. Były to stare podania o wydanie świadectwa urodzenia. Obecnie wydawali je lekarze, ale w latach siedemdziesiątych rodzice nadal mogli sami wpisywać wszystkie niezbędne informacje. Mieli sześć dni na wybór imienia, a następnie powinni złożyć podanie w rejestracji szpitala. Rejestratorka weryfikowała poprawność danych, po czym przesyłała je do biura stanowego.

Najwyraźniej mieli przed sobą podania, które matka Le-

ny napisała po urodzeniu bliźniaczek. Angela Adams złożyła na dole strony swój podpis drobnym kobiecym charakterem pisma. Sara nie dostrzegła w tym niczego nadzwyczajnego, dopóki nie spojrziała na pole z napisem „nazwisko ojca”. Kobieta podała, że był nim Henry „Hank” Norton.

LENA

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Lena leżała na brzuchu, ukryta w trawie, robiąc zdjęcia rozsypującego się magazynu u stóp wzgórza. Przez ostatnie czterdzieści osiem godzin udokumentowała wszystko: podjeżdżające samochody, przekazywane przez okienka pieniądze, odbierane prochy. Wieczorem robiło się tu tłoczno. Nikt nie obawiał się schwytania. Mieli włączone radia, w których z głośników niosły się porykiwania rapu lub country. Dzieciaki przyjeżdżały na rowerach. Pary przychodziły pieszo. W pewnej chwili w pobliżu przejechał radiowóz, co wywołało przelotne zamieszanie, minimalny niepokój, lecz przeważnie handel kwitł w najlepsze.

Ten magazyn był istną fabryką pieniędzy.

Podjechał biały sedan i wysiadł z niego jakiś mężczyzna. Spod podeszew jego butów unosiły się obłoczki kurzu, gdy przechodził przez parking. Lena fotografowała go cały czas, dopóki nie wszedł do budynku, zatraskując za sobą drzwi.

Odłożyła aparat, sprawdziła godzinę i sporządziła kolejną notatkę w dzienniku.

22.15 - CLINT przyjeżdża białym sedanem. Wchodzi do budynku.

Lena leżała na wznak, czekając, aż przyjdzie Jeffrey, gdy usłyszała mężczyzn klócących się na końcu korytarza. Poprzedniej nocy na boisku mężczyzna w kominiarce nazwał tego z czerwoną swastyką Clintem. Teraz, leżąc w szpitalu, natychmiast rozpoznała chrapliwy głos Clinta, niosący się echem po holu. Czarna Maska też nie był trudny do zidentyfikowania. Jego głos był łagodny, niemal kojący, gdy mówił: „Clint, posłuchaj mnie. Musimy się jej pozbyć”. Clint się nie zgodził, powiedział coś o tym, że potrzebuje pozwolenia na

zabiciu policjantki. W końcu stanęło na niczym, chociaż ci dwaj debatowali nad tym jeszcze przez prawie dziesięć minut według radia z budzikiem stojącego przy jej łóżku. Lena leżała bezsilna, z przegubami obolałymi od szarpania pasów, z których ze wszystkich sił usiłowała się uwolnić.

W końcu tamci dwaj poszli w kierunku windy, szurając ciężkimi buciorami po płytkach posadzki.

Do tego czasu Lena była już zrana potem. W co wpakował się Hank? Ci ludzie spalili Charlotte żywcem. Śmiertelnie pobili Deacona Simmsa. Było tylko kwestią czasu, zanim zdecydują, że pozostawienie Leny przy życiu było błędem. I kogo jeszcze przy tym zabiją? Kogo jeszcze Lena narazi na niebezpieczeństwo przez to, że nie umie odwrócić głowy?

Sara. Biedna Sara. Ucieczka z łazienki w szpitalnym pokoju okazała się śmiesznie łatwa. Ubranie znalazła na dole w pralni, a za duże tenisówki w szafce pielęgniarki. Był tam też portfel i kilka kart kredytowych, ale zostawiła je, natomiast wzięła śrubokręt ze stojącej w kącie skrzynki z narzędziami. Potem ruszyła skrótem przez las za szpitalem, biegnąc najszybciej, jak mogła w luźnych tenisówkach. Nie wiedziała, ile ma czasu, ale na pewno mało.

Zamek w jej pokoju motelowym dał się łatwo otworzyć śrubokrętem, który rzuciła na stół, zamknąwszy za sobą drzwi. Była spocona po biegu przez las. Zdjęła fartuch i włożyła swoje ubranie oraz buty. Wzięła telefon komórkowy i ładowarkę. Jej glock był pod materacem, gdzie schowała go poprzedniego dnia. Klucze do baru Hanka leżały na toalecie. Zawahała się dopiero, opuszczając pokój. Wbiegła do środka, zanim drzwi się zamknęły, i chwyciła jeszcze jedną potrzebną jej rzecz.

Po drodze do baru wrzuciła fartuch i buty do śmietnika. Dwa tysiące dolarów należące do Hanka wciąż tkwiły za butelką taniej szkockiej. Tym razem bez skrupułów wzięła te pieniądze.

Znów szybki trucht przez las i wróciła do domu Hanka. Zapasowy kluczyk do mercedesa był na kółku z kluczami, które zabrała z jego biura. Silnik zaskoczył przy trzeciej próbie. Radiowóz szeryfa okręgu Elawah skręcał w prawo w ulicę, przy której stał dom Hanka, gdy Lena skręcała w lewo, kierując się w przeciwną stronę. Spojrzała na

zegar na desce rozdzielczej, gdy Reese małało we wstecznym lusterku. Minęło dopiero dwadzieścia osiem minut, od kiedy opuściła szpital. Zanim słońce wstało o poranku, zamelinowała się w przydrożnym motelu za granicą stanu Floryda.

Padła na łóżko, ale była zbyt zmęczona, by zasnąć. Dopiero teraz wszystko zaczęło do niej docierać - to, co widziała, co zrobiła.

I wtedy demony zaczęły pożerać ją żywcem.

Lena została w łóżku przez prawie dwanaście godzin, wstając tylko wtedy, gdy wzywała ją natura. Za każdym razem gdy zamykała oczy, widziała Charlotte siedzącą na tylnym fotelu escalade i czekającą, aż strawią ją płomienie. Jak się szamotała, niczym zamknięte w pudle zwierzę, kopiąc nogami w oparcie fotela Leny... myśl o tym była nie do zniesienia.

Lena pragnęła nie czuć niczego. Czy nie tak powiedziała Charlotte, gdy ostatni raz rozmawiały w szkolnej przyczepie? Co zrobiła potem? Zapewne przeprowadziła ostatnią lekcję, a potem poszła do domu, przygotować kolację dla dzieci. Pocałowała męża, kiedy wrócił z pracy do domu. Może tamtego wieczoru razem obejrzeli na sofie jakiś film. Miała wtedy przed sobą niecałe dwadzieścia cztery godziny życia. Jak je spędziła? Co robiła Charlotte tamtego ranka, kiedy przyszli po nią źli faceci?

Lena zaczęła ponownie czytać listy Charlotte. Wróciła po nie do motelu, wiedząc, że nie może ich tam zostawić. Teraz stały się dla niej cenne, te miłosne listy mówiące tyle samo o Sibyl, co o kobiecie, która je napisała. Charlotte była miłą, dobrą osobą. Nieważne, jakie błędy popełniła w życiu, nie zasłużyła na to, żeby umrzeć taką straszną śmiercią.

To Lena powinna być na tylnym siedzeniu tamtego samochodu. To ona popełniała błędy. Ona zasłużyła na karę.

Dlaczego nie zabili mnie?

Właśnie o to pytała Jeffreya, kiedy do niego dzwoniła. Była głupia, myśląc, że opuści miasto. Nawet Sara Linton wiedziała, że Jeffrey nigdy by jej nie zostawił. Słuchając jego głosu w słuchawce, czuła się tak, jakby ktoś wbijał jej nóż w brzuch. Chciała powiedzieć mu wszystko - gdzie jest, co się przydarzyło Charlotte, jak Hank okłamywał ją przez

tyle lat - ale spanikowała w chwili, gdy usłyszała jego głos. Ludzie, którzy zabili Charlotte, mogli podsłuchiwać. Mogli zlokalizować jej komórkę przez wieże przekaźnikowe. Mogli zabić Jeffrey'a, gdyby za dużo wiedział.

Musieli przez cały czas ją śledzić, od kiedy przyjechała do miasta. Ależ była głupia. Ktoś mądry zachowałby się zupełnie inaczej. Zatrokana siostrzenica tylko rzuciłaby okiem na wuja i wezwałaby ambulans. Dobra przyjaciółka zostawiłaby Charlotte Warren w spokoju. Porządny człowiek skoczyłby w ogień za Charlotte i raczej zginąłby razem z nią, niż siedział, patrząc z boku.

Może Lena zrobiłaby to, gdyby nie pojawił się szeryf. Jake Valentine. Co za głupie nazwisko. Chyba zdawał sobie z tego sprawę, ponieważ ze zmieszaniem pochylił głowę, kiedy się jej przedstawiał, i Lena zobaczyła coś, co zapewne niewielu ludzi widziało na oczy: początki łysiny na czubku jego głowy. Valentine dostrzegł, że Lena to zauważyła, i zarumienił się, potarł to miejsce i pospiesznie nałożył kapelusz.

Jakby tuż za nim nie płonął escalade z martwą kobietą w środku.

Nie rozmawiała z nim, nie powiedziała ani słowa. Z początku dlatego, że była w szoku. Siedziała na ławce boiska, mając zamęt w głowie, ale nie od tego, czego można by się spodziewać. Wspominała mecze i inne imprezy. W szkole Lena zawsze trzymała z rozrabiakami, którzy nigdy nie siadali w pierwszym rzędzie. Zawsze zajmowali miejsca w ostatnim, skąd mogli zaczepiać cheerleaderki albo, jeszcze lepiej, zeskoczyć na dół i wymknąć się po cichu.

Tamtej nocy siedziała jednak w pierwszym rzędzie, opierając nogę o kanister po benzynie, i patrzyła, jak płonie escalade. Buchał od niego tak intensywny żar, jakiego jeszcze nigdy nie czuła. Chociaż siedziała ponad trzydzieści metrów od niego, skóra piekła ją jak od oparzenia słonecznego. Bolało ją gardło, jakby napiła się kwasu, i kiedy Jake Valentine stanął przed nią, próbując wyrwać ją z odrętwienia, nie była w stanie wykrztusić słowa.

- Co on ci zrobił? - zapytał Valentine, a Lena nie wiedziała, co miał na myśli, więc milczała.

Usiadł obok niej na ławce i patrzył, jak płonie samochód.

- Widzę, że zostałaś pobita. Takiego siniaka nie można sobie nabić, padając.

Lena spoglądała na płomienie, patrzyła, jak tańczą na dachu auta. Zbiornik paliwa eksplodował jakiś czas temu i chociaż słyszała już głos tego mężczyzny, nie rozumiała, co mówi.

- Cokolwiek ci zrobił, musisz teraz mi o tym powiedzieć - powiedział szeryf. - Jeśli to była samoobrona...

Lena spojrzała na niego ze zdziwieniem, gwałtownie obróciwszy głowę. Otworzyła usta, poczuła, jak powietrze wdziera się jej do gardła, a skwar płonącej terenówki szybko wysusza ślinę.

Zamknęła usta i zapatrzyła się w ogień.

Trzeba przyznać, że Jake Valentine nie założył jej wtedy kajdanek. Przynajmniej za to Lena była mu wdzięczna. Ethan lubił jej kajdanki, lubił podkradać się do niej i zatykać dłonią jej usta, śmiertelnie ją przerażając. Jeszcze bardziej lubił ją bić i Lena uznała za ironię losu to, że Jake Valentine pomógł jej wsiąść do jednego ze stojących w pobliżu radiowozów, uważając ją za maltretowaną kobietę, która wyszła z siebie, a nie diabolicę sprowadzającą śmierć na wszystkich wokół niej.

Jeffrey. Musi go namówić, żeby opuścił miasto, zanim wszystko zepsuje.

Na dole, pod opuszczony magazyn podjechał motocykl Harley-Davidson, z tłumikiem warczącym i ryczącym jak rozgniewany smok. Lena przycisnęła oko do wizjera aparatu. Wyłączyła ekran ciekłokrystaliczny ponieważ świecił, a ponadto musiała oszczędzać baterię. Trudno znaleźć miejsce, by podładować baterie, jeśli nie wiesz, gdzie będziesz spać.

Skuliła się, gdy błyskawica rozświetliła nocne niebo. Już od wczesnego popołudnia parne powietrze zapowiadało deszcz. Lena nie bała się, że zmoknie, ale że ją zobaczą. Ci ludzie z pewnością nie lubili być szpiegowani.

Silnik harleya zawył na wysokich obrotach i zgasł. Motocyklista był jednym z niewielu ludzi, którzy weszli do budynku i nie wyszli natychmiast z woreczkiem prochów. Chociaż przyjechał na motocyklu, nie był ubrany jak Anioł Piekieł. Oczywiście, motor nie był jego - należał do Deacona Sim-

msa. Lena rozpoznała tego harleya, jak tylko go zobaczyła. Motocyklista był mniej więcej w jej wieku, gładko ogolony, z włosami krótko ostrzyżonymi na rekruta. Nosił wyblakłe dżinsy i elegancką koszulę pod motocyklową kurtką. Zawsze zostawiał swój kask na siedzeniu motocykla. Kilkakrotnie widziała, jak przeglądał się w lusterku zamocowanym na kierownicy, zanim wszedł do środka.

Z oczywistego powodu nazwała go Harley, ale wiedziała, że ma jakieś nazwisko, które zapewne budzi strach u wielu ludzi. Było coś w tym, jak inni trzymali się od niego z daleka, co kazało jej przypuszczać, że jest raczej jednym z przywódców niż szeregowym żołnierzem.

Harley był jej podejrzanym numer jeden, szcurem, który doprowadził ją do gniazda. Pierwsze, co zrobiła, kiedy dwa dni temu wróciła do Reese, to poszukała Hanka. Długo jechała z Florydy. Zanim dojechała do miasta, dochodziła północ. Zaparkowała mercedesa trzy przecznice od domu Hanka i resztę drogi pokonała pieszo. O mało nie zwymiotowała od smrodu, kiedy weszła tylnymi drzwiami. W pierwszej chwili pomyślała, że źródłem tego odoru jest Deacon Simms, nadal leżący na strychu, lecz zajrzawszy do łazienki, przekonała się, że nie. Ubikacja została rozbita. Dom był opuszczony. Nie było tu nikogo, tylko smród, brud i przygnębienie.

Lena poddała się. Hank znikł. Charlotte nie żyła. Lena była uciekinierką. Dwa dni wcześniej dwaj mężczyźni na korytarzu spierali się, czy ją zabić czy nie, a Ethan... kto wie, w jaki sposób był w to zamieszany Ethan?

Wyszła na zewnątrz pomyśleć. Siedziała na jednym z pudeł ustawionych na ganku z tyłu domu, kiedy usłyszała warkot motocykla. Hałas musiał obudzić wszystkich na ulicy, ale nikt nie otworzył okna, by narzekać. Wstała, słysząc, że motor wjechał na podjazd i zaparkował przed domem Hanka. Po odgłosie poznała motocykl Deacona, ale wiedziała, że on na pewno już na nim nie jeździ.

Jak najciszej przekradła się do starego chevroleta stojącego na podwórku. Wślizgnęła się pod samochód, czując, jak jego przerdzewiała podłoga drapie jej plecy, gdy zaskrzypiała otwierana brama.

Czujnik włączył lampę na szczytowej ścianie domu. Har-

ley zamruął w ostrym świetle, wyraźnie rozzłoszczony. Clint wszedł za nim i zamknął bramę.

- Nie wróciłby tu - powiedział nerwowo. - Dajmy prochom zrobić swoje. Przecież on nie przestanie się szprycować.

- To byłaby zbyt bezbolesna śmierć, nie sądzisz? - powiedział zwięźle Harley, z nosowym akcentem mieszkańca Nowej Anglii.

Clint był wyraźnie zdenerwowany.

- Zostawmy to, człowieku. W tym domu nikogo nie ma.

- Bardzo chciałbym z nim pogadać i dowiedzieć się, co właściwie spodziewał się osiągnąć.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.

- A ja sądzę, że nie przyjęto cię do organizacji, żebyś myślał. - Clint był o wiele silniejszy niż Harley, ale drgnął, gdy ten chwycił go za ramię. - Znałeś Nortona przez jakiś czas.

Clint pokręcił głową, wyraźnie wiedząc, do czego tamten zmierza.

- Wykonywałem moją robotę. Robiłem dokładnie to, co mi kazałeś.

- Przez wiele lat byłeś jego dobrym znajomym.

- Nie. To nieważne. Nikogo nie traktuję ulgowo.

- To dlaczego siostrzenica Hanka Nortona wciąż żyje?

- Kazałeś nam nie zabijać gliniarzy - ostrożnie powiedział Clint. - Wydałeś taki rozkaz.

- A teraz mamy na głowie dwoje gliniarzy: jedną, która uciekła, i drugiego, który chce wiedzieć dlaczego.

- Przepraszam. Powiniennem to przewidzieć.

- Dobrze, że poczuwasz się do winy, Clint, ale twój brak inicjatywy wyjaśnia, dlaczego nie awansujesz w organizacji. - Harley odwrócił się i ruszył w stronę drzwi. - Zobaczmy, czy przynajmniej to zrobisz jak należy.

- To nie moja wina, jeśli...

Harley nic nie powiedział, lecz wyraz jego twarzy musiał być bardzo wymowny.

- Przepraszam pana - powtórzył Clint z lękiem i szacunkiem. - Możemy wejść tylnymi drzwiami.

Obaj weszli do domu Hanka. Lena usłyszała trzask przewracanych mebli i tłuczonego szkła, dochodzący z ko-

lejných pomieszczeń. Stare powiedzenie mówi, że są dwa rodzaje ludzi: przywódcy i pozostali. Harley był przywódcą, ale Ethan też. Ci dwaj w żadnym razie nie mogli ze sobą współpracować. Obaj nie przyjmowali rozkazów od nikogo. Obaj nie liczyli się z nikim. Umieść ich w jednym pomieszczeniu, a zobaczysz najbardziej zażartą walkę kogutów w swoim

Otworzyły się kuchenne drzwi. Harley wyszedł z domu i sprężyście zbiegł po schodach.

Natomiast Clint ocierał usta wierzchem dłoni, jakby wymiotował.

- Znajdź gliniarzy - rzucił przez ramię Harley. - Oboje. Dowiedz się, co wiedzą, a jeśli udzielą właściwych odpowiedzi, przekonaj ich, żeby udali się w swoją stronę.

- A jeśli udzielą niewłaściwych odpowiedzi?

- Inicjatywa, Clint. - Harley ponownie klepnął go w ramię i skłonił głowę, jakby się modlił. - „O boże zemsty, daj nam ujrzeć twoją boską sprawiedliwość!”

Clint miał niewyraźną minę, ale stał w milczeniu, aż Harley podniósł głowę. Potem odczekał jeszcze kilka sekund, zanim poprowadził go z powrotem do bramy.

Gdy tylko poszli, Lena wyslizgnęła się spod furgonetki. Wypadła z podwórka na tyłach domu i pobiegła tak szybko, że miała wrażenie, że zaraz pęknie jej serce. Znalazła mercedesa, otworzyła wszystkie okna i pojechała, nasłuchując warkotu motocykla, kilkakrotnie cofając wóz, zanim znalazła harleya stojącego na czerwonym świetle przed biblioteką. Przed motocyklem stał biały sedan i domyśliła się, że za jego kierownicą siedzi Clint.

Zapaliło się zielone światło i sedan skręcił w lewo. Harley pojechał prosto, a ona za nim. Miała zgaszone światła i jechała wolno, trzymając się z daleka, żeby jej nie zauważył. Zwykle do śledzenia używa się dwóch pojazdów, ale Lena nie miała nikogo do pomocy. Trzymała się najdalej, jak mogła w nadziei, że kierowca motocykla nie jest jednym z tych, którzy nieustannie spoglądają w lusterko. Ona z pewnością spoglądała. Clint z łatwością mógł zawrócić, by sprawdzić, czy harley nie jest śledzony.

Nie zrobił tego jednak, przynajmniej tak jej się zdawało. Droga za nią pozostała pusta. Kiedy zobaczyła, że motocykl

podjeżdża pod jakiś opuszczony magazyn, pojechała dalej, aż na szczyt wzgórza, gdzie znalazła miejsce, z którego mogła niepostrzeżenie obserwować, co się dzieje na dole.

Przez dwie noce obserwowała ten magazyn, podzemuując w szkole przed długą powrotną drogą do motelu za granicą stanu, gdzie odpoczywała w dzień. Na drugą noc zabrała ze sobą aparat. Przez obiektyw mogła lepiej widzieć, kto wchodzi i wychodzi z budynku - dotychczasowi podejrzani oraz kilku nieoczekiwanych. To ci nieoczekiwani sprawili, że po raz pierwszy od kiedy przybyła do Reese, dostrzegła możliwość wyplątania się z tego. Musiała tylko usunąć Jeffreya i Sarę z linii ognia, a potem wykonać swój

Na motel, aparat cyfrowy i benzynę Lena wydała tysiąc sto dolarów z awaryjnego funduszu Hanka. Zamierzała znaleźć gdzieś całodobowy punkt Kinko i zrobić zdjęcia z karty pamięci aparatu. Odbitki są tanie, a ona starannie dokumentowała wszystkich wchodzących do tego opuszczonego magazynu i wychodzących z niego.

Najwyraźniej Hank dowiedział się czegoś o tych facetach i ich działalności. Clint powiedział to, kiedy widziała go pod domem wuja. Z wyraźną mściwą satysfakcją mówił o upadku Hanka, a nie pragnie się zemsty bez powodu. Widocznie Hank próbował wejść do gry, nie mając żadnych atutów, i ktoś zdemaskował jego blef albo uderzył w jego najsłabszy punkt - uzależnienie. Hank z pewnością próbował walczyć, ale przegrał tę walkę, kiedy znów zaczął brać.

Lena nie była tak słaba jak jej wuj, przynajmniej jeśli chodziło o narkotyki. Chciała jedynie uwolnić się od tego wszystkiego, nie pragnęła sprawiedliwości, pieniędzy ani zemsty, choć Bóg wie, że Charlotte i Deacon na nią zasłużyli. Lena nie mogła myśleć o nich, ponieważ musiała chronić żywych. Charlotte miała rodzinę. Trzeba myśleć o Hanku, Sarze i Jeffreyu. Lena nie mogła sobie pozwolić na blefowanie. Nieważne, czy stał za tym Ethan czy ktoś inny. Z samego rana zamierzała wyłożyć karty na stół.

Jeśli dobrze to rozegra, może zdoła ocalić życie kilku osób. A jeśli przy tym straci swoje, to trudno.

PIĄTEK

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Jeffrey zapomniał, jak to jest, zbudzić się i poczuć jak człowiek. Chociaż nie łudził się, że Holiday Inn w Beulah w stanie Georgia jest panteonem higieny, wystarczyło mu to, że hotel wyglądał na czysty. Prześcieradła były bielutkie, poduszki grube i zachęcające. Dywan nosił ślady dokładnego odkurzenia i nie kleił się do podeszew, kiedy po nim szedł. Przynoszone przez obsługę do pokoju posiłki były gorące i świeże. Personel sprawiał wrażenie zadowolonego ze swojej pracy - a przynajmniej żadna z pokojówek go nie skłęła. A najlepsze było to, że łazienka była bliska ideału: strumień wody z prysznica był tak silny, że mógł zedrzeć skórę z osła, a toaleta splukiwała się bez złowieszczonego bulgotania.

Sara najwidoczniej była tego samego zdania. Spała tak mocno, że zbudził ją, aby się upewnić, że nic jej nie jest. A potem, ponieważ już nie spała, namówił ją, żeby nie zasypiała przez chwilę. A potem jeszcze dłużej. Zanim słońce zajrzało przez szparę w zasłonach, leżała wyczerpana, z nogą przerzuconą przez jego udo i głową na jego piersi. Jeffrey pogładził ją po ramieniu, nie mogąc wrócić do rzeczywistości bez pomocy Sary. Nie potrafił tego zdefiniować, ale ostatnio coś się w niej zmieniło. Ich seks stał się bardziej intensywny i tego ranka w pewnej chwili Jeffrey miał wrażenie, że ona ściska go tak mocno bardziej ze strachu niż z napiętności.

Eksplozja w barze Hanka przeraziła ją. Do diabła, jego też przeraziła. Jeffrey wciąż myślał o tym, co powiedział mu Jake Valentine, że jego żona nie chce mieć dziecka, dopóki nie będzie pewna, że jej mąż będzie przy niej, żeby je wychowywać. Kiedy był w wieku Valentine'a, Jeffrey uśmiełby się, gdyby ktoś mu powiedział, że pewnego dnia zaadoptuje

dziecko. Zawsze zakładał, że zwiąże się z Sarą, ale nigdy nie myślał, że razem stworzą rodzinę. W jakiś sposób stała mu się przez to jeszcze bliższa, jakby w ich życiu było coś ważniejszego od codziennego wychodzenia do pracy i leżenia w łóżku w weekendy. Czy tak się czuł Hank Norton, kiedy wziął Lenę i Sibyl? Czy jako ich krewny odczuwał ten związek jeszcze mocniej?

Telefon komórkowy Jeffreya leżał na nocnym stoliku. Ponownie sprawdził, czy bateria jest naładowana do pełna. Całą noc padał rzęsisty deszcz, głośno stukając w okna jak próbująca wejść czarownica. Teraz Jeffrey przez grube zasłony widział jasno świecące słońce. Miał nadzieję, że nowy dzień przyniesie wyjaśnienie. Musiał podjąć decyzję, czy spróbować pomóc Lenie, czy zabrać żonę i wrócić do domu.

Kiedy poprzedniego wieczoru jechali do hotelu, Sara powtórzyła swoją rozmowę z Leną. Starła się to ukrywać, ale było oczywiste, że Lena dotknęła ją do żywego. Jeffrey nie wiedział o tym, że Lena przerwała ciążę. To, że Lena rzuciła ten fakt w twarz Sarze, wystarczyłoby, żeby odwrócił się od niej na zawsze. Dziwne, ale to Sara kazała mu dostrzec, co kryje się za zasłoną tych słów. Pracowała z dziećmi i uważała, że przykre zachowanie Leny miało skłonić ich do opuszczenia miasta. Jedną z ostatnich uwag, jakie wypowiedziała w związku z tym, była sugestia, że może tym razem mądrze byłoby posłuchać Leny.

Oboje nie mogli wykluczyć możliwości, że Hank Norton jest biologicznym ojcem Leny. Wychowany w środkowej Alabamie Jeffrey znał kilka żartów związanych z określeniem „wujek-tato”, ale teraz nie było się z czego śmiać. Co zrobiłaby Lena, gdyby się o tym dowiedziała? A może już wiedziała? Czy dlatego nie odezwała się od chwili, gdy Valentine znalazł ją na boisku? Czy śmierć Charlotte Warren miała jakiś związek z niewiadomym pochodzeniem Leny?

Larry Gibson dostarczył kilka informacji odnośnie do związków jego żony z Leną. Charlotte była przyjaciółką Sibyl, siostry Leny, gdy wszystkie trzy chodziły do liceum. Jak większość szkolnych przyjaciół, ta również osłabła z biegiem lat, ale najwidoczniej została odnowiona, inaczej Lena nie znalazłaby się na tym boisku.

Jeffrey spoglądał na cienie na suficie, słuchając, jak Sara oddycha. Zaczęła mu drętwieć ręka, więc wysunął ją spod niej i wstał z łóżka. Zegar pokazywał siódmą szesnaście, ale Jeffrey czuł się tak, jakby spał dziesięć godzin. Poprosili o pokój na najwyższym piętrze hotelu, bo choć nie powiedzieli tego głośno, oboje uważali, że dobrze będzie wiedzieć, że nikt nie wrzuci ciała przez okno na dziesiątym piętrze. Wolny był tylko mały apartament - oczywiście drogi, ale Jeffrey chętnie zapłacił.

Apartament nie był tak luksusowy, jak się widuje w telewizji. Tak naprawdę były to dwa przyległe pokoje połączone rozsuwanymi drzwiami. W drugim pokoju zamiast łóżka była kanapa z dwoma fotelami i telewizor. Jeffrey włączył go i wyciszył dźwięk. ESPN przez prawie dziesięć minut pokazywał dwie gadające głowy ludzi, którzy stali na jakimś boisku, zanim przeszedł do wiadomości sportowych i zrzucania trzydziestu kilogramów nadwagi. Zmienił kanał i przez kilka minut oglądał przewijające się w stopce informacje, po czym zmienił kanał na MSNBC. Podawali prawie te same wiadomości, więc przełączał dalej, przelatując po kolei wszystkie kanały, aż dotarł do Discovery Channel, na którym jakiś gość trzymał rękę wepchniętą po pachę w krowi tyłek.

Jeffrey nie chciał blokować swojej komórki, więc podniósł słuchawkę stojącego przy łóżku telefonu i użył karty kredytowej, aby sprawdzić wiadomości nagrane na automatycznej sekretarce w domu. Nie było żadnych, więc rozłączył się i zadzwonił na posterunek. Wprowadził kod i uzyskał dostęp do swojej służbowej poczty głosowej. Miał sześć wiadomości, w tym trzy od burmistrza, który chciał wiedzieć, dlaczego Jeffrey nie dopadł nastoletnich chuliganów, przewracających kosze na śmieci na całej ulicy. Dwie następne były od radcy prawnego, pytającego o szczegóły różnych spraw przekazywanych do sądu. Ostatnia była od Franka Wallace'a, który powiedział Jeffreyowi, że odsłuchał wszystkie poprzednie wiadomości i zajął się wszystkim, w tym aresztował grupkę chłopców za przewracanie śmietników na całej ulicy burmistrza. Frank chciał, by jego szef wiedział, że przywódcą tych chuliganów był nie kto inny jak nastoletni syn burmistrza. Jeffrey z uśmiechem odłożył słuchawkę na widełki.

- Hej.

Sara stała w drzwiach. Narzuciła na siebie jego koszulę, ale nie zapięła jej i rozchylający się materiał ukazywał wszystkie te części jej ciała, które najbardziej lubił. Bez przekonania spróbował powstrzymać wydobywający się z jego gardła pomruk zachwyty.

Uśmiechnęła się i, podchodząc do niego, owinęła się ciasno połami koszuli.

- Powinieneś spać.

- Ty też.

Usiadła przy nim, upychając koszulę pod uda i krzywiąc się na widok włączonego telewizora.

- Co to jest, jakaś zwierzęca pornografia?

Wyłączył odbiornik.

- Chcesz wrócić do łóżka?

- Chcę wrócić do domu.

- Ja też chcę, żebyś wróciła do domu.

Powoli odwróciła się twarzą do niego. Oparła się plecami o poręcz kanapy.

- Pozwól mi to zrobić - zaproponowała. - Prędzej porozmawia ze mną niż z tobą.

Ethan. Tak dobrze umiała czytać w jego myślach, że czasem to przerażało Jeffreya.

- Nie pozwolę mojej żonie iść do więzienia.

- Twojej żonie - powtórzyła, unosząc brwi. - Jestem twoją własnością?

Nie oczekiwała odpowiedzi. Tak, była jego własnością. Każda jej cząstka należała do niego.

Jeffrey położył jej stopy na swoim podołku i zaczął je masować.

- Nie wiesz, jakie są więzienia, Saro. Pełne brudu i przemocy.

- Myślisz, że wywołam bunt więźniów?

Roześmiała się, ale Jeffrey wiedział swoje.

- Ryzykujesz za każdym razem, kiedy tam wchodzisz - powiedział. - Strażnicy rządzą tam tylko dlatego, że więźniowie im na to pozwalają. To może się zmienić w mgnieniu oka, szczególnie jeśli jest coś, czego chcą. Wszystko może się zdarzyć, szczególnie w wypadku kogoś takiego jak Ethan, który nie ma nic do stracenia.

- Ma mnóstwo do stracenia - odparowała. - Dostał tylko dziesięć lat. Co dwa lata ma możliwość zwolnienia warunkowego. Zawsze istnieje możliwość, że zdoła zwieść komisję i wyjść wcześniej. Nie będzie ryzykował utraty tej szansy tylko po to, żeby mnie dostać.

- To nie ciebie chce dostać - przypomniał jej Jeffrey.

Oboje wiedzieli, że w dniu, w którym posłał Ethana do więzienia, namalował tarczę strzelniczą na swoich plecach. Zaciśnęła wargi.

- Proszę, nie jedź - powiedziała cicho.

- Nie pojedę, jeśli mi obiecasz, że dziś wrócisz do Grant. Znowu uniosła brwi.

- A kiedy zadzwonię do ciebie wieczorem i powiesz mi, że mnie okłamałeś i byłeś w tym więzieniu, co wtedy?

Przesunął palcami po podbiciu jej stopy.

Mówiła dalej spokojnie i rozsądnie.

- Powiedziałam ci, że będę cię wspierać, ale to szaleństwo. Nie wiesz nawet, czy Ethan jest powiązany z tym, co się dzieje z Leną. Podała bardzo wiarygodny powód swojej wizyty.

- To zbyt wiele zbiegów okoliczności - rzekł, zastanawiając się, dlaczego ona na niego nie krzyczy. Wiedział, jak ignorować jej wybuchy gniewu, ale nigdy nie umiał radzić sobie z nią, kiedy tak logicznie argumentowała. - Sam muszę to sprawdzić.

- Rozumiem - powiedziała. - Tylko czy naprawdę myślisz, że Ethan Green usiądzie i otworzy przed tobą serce? Jeśli wie, dlaczego Lena ma kłopoty, sądzisz, że powie ci o tym? - Teraz wydawała się go błagać. - On cię śmiertelnie nienawidzi, Jeffrey. Najchętniej zabiłby cię, a dwie minuty temu sam mówiłeś, że więzienia są pełne przemocy. Strażnicy nie panują nad więźniami. Co będzie, jeśli jeden z nich postanowi odwrócić głowę, kiedy będziesz szedł korytarzem? Co będzie, jeśli Ethan ma broń i zechce sam cię zabić?

- Dziecino, niechętnie to mówię, ale gdyby Ethan Green chciał mnie zabić, już leżałbym w ziemi. - Łzy stanęły jej w oczach. - Lena nie chce mówić - ciągnął. - Ktoś musi udzielić mi odpowiedzi.

- I myślisz, że Ethan Green poda ci je na srebrnym

talerzu? I kto tu teraz jest naiwny? - Sara wyprostowała się i ujęła jego dłoń. - Proszę, nie jedź.

Jeffrey spojrział na swoją dłoń w jej ręce. Chociaż Sara od lat nie była na sali operacyjnej, nadal miała dłonie chirurga. Jej palce były długie i delikatne, ale także silne. Gdyby w tym momencie ktoś wszedł do ich pokoju i poprosił Jeffreya o opisanie najważniejszych cech Sary, zaczęłyby od jej dłoni.

- Nie zabiorę cię do więzienia - rzekł.
- Zatem zamierzasz zostawić mnie tutaj?
- Podrzucę cię do szpitala - powiedział jej. - Wiem, że chcesz sprawdzić stan zdrowia Hanka. Zobaczę się z Ethanem i wrócę po ciebie. Dobrze?

Sara nie chciała na niego spojrzeć.

Jego komórka zaczęła wibrować, podskakując na ławie. Jeffrey też podskoczył, złapał telefon i sprawdził numer dzwoniącego.

- Tolliver - powiedział, odbierając.
- Tu Jake - powiedział Valentine. - Lena jest tutaj. Właśnie się zgłosiła.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Przez większą część przejazdu do Reese Sara rozmawiała przez telefon, usiłując zlokalizować Hankę Nortona. Zgodnie z obietnicą z samego rana przeniesiono go ze szpitala okręgu Elawah do większego. Jedynym problemem było to, że nikt nie wiedział do którego. Sara sprawdziła we wszystkich okolicznych placówkach, które przyszły jej na myśl. W końcu udało jej się połączyć ze szpitalem świętego Ignacego, rejonowym szpitalem oddalonym o prawie godzinę jazdy i leżącym dokładnie w przeciwnym kierunku niż więzienie stanowe Coastal. Pielęgniarka z intensywnej terapii opisywała Sarze stan pacjenta, gdy przed areszt podjechał Jeffrey

- Dziękuję - powiedziała Sara. Rozłączyła się i przycisnęła telefon do piersi. - Jego stan jest stabilny.

Jeffrey zaparkował samochód.

- To dobrze, prawda?

Sara kiwnęła głową, choć wcale nie była tego taka pewna. Jako lekarz wiedziała, że ozdrowienie pacjenta nie zależy tylko od procedur medycznych. Wsparcie rodziny często mobilizowało chorego, a nawet dawało powody, by żyć. Hank Norton był w stanie krytycznym. Jeśli myślał, że jest sam, jeśli Lena nie zrobiła, co w jej mocy, żeby zająć się wujem, to on może się poddać.

Jeffrey wysiadł z samochodu i obszedł go, żeby otworzyć drzwi Sarze. Wstając, posłała mu wymuszony uśmiech, ale nie puściła jego ręki, kiedy szli w kierunku baraku, w którym mieścił się areszt.

Podczas całej tej krótkiej podróży widziała, że Jeffrey chce jej coś powiedzieć, tak jak wiedziała, że to pragnienie wypływa raczej z poczucia winy niż potrzeby zrozumienia.

Ze swojej strony Sara nie chciała słyszeć wykrętów. Jeffrey postanowił pojechać do więzienia stanowego w chwili, gdy zobaczył ten numer telefonu na rachunku motelowym Leny. Wszystko, co mówił teraz, było próbą usprawiedliwienia tej decyzji. Sara czuła, że musi go popierać, ale to pewne jak diabli, że nie była tym uszczęśliwiona.

- Ten szpital jest oddalony od twojej trasy o godzinę jazdy - powiedziała mu.

Jeffrey otworzył przed nią szklane drzwi.

- Wiem.

Za kontuarem stał Don Cook, ale w przeciwieństwie do poprzedniego razu, nie udawał wyluzowanego staruszka. Zastępca siedział sztywno wyprostowany, z rękami założonymi na piersi i wyraźnie wściekły.

Jeffrey posłał mu wesoły uśmiech.

- Przyszliśmy się zobaczyć z Leną Adams.

- Wiem, po co przyszliście - warknął.

Usłyszeli kroki na schodach. Jake Valentine zszedł na dół i przystanął na widok Jeffrey'a i Sary. Znow miał na sobie mundur, ciasno zapięty pas z pistoletem i równo nałożony na głowę kapelusz. Sara spodziewała się, że szeryf będzie zadowolony z siebie, mając Lenę znow pod swoją opieką, tymczasem wyglądał na cholernie wkurzonego.

- Pani. - Dotknął runda kapelusza, a potem rzekł do Jeffrey'a: - Została zwolniona.

- Co takiego? - zawołali jednocześnie Sara i Jeffrey.

Valentine zmrużył oczy, jakby nie kupował ich reakcji.

- Jej cwany prawnik przekonał sędziego, żeby ją wypuścić. Jest wolna, ma się tylko stawić na rozprawie o usiłowanie ucieczki. Don, zechcesz ją przyprowadzić? - powiedział do swojego zastępcy.

Don niespiesznie się podniósł, dając do zrozumienia wszystkim obecnym w tym pomieszczeniu, że nie jest zadowolony z ostatnich wydarzeń, po czym wyszedł stalowymi drzwiami prowadzącymi do cel.

- Co się stało, Jake? - zapytał Jeffrey, gdy tylko zastępca wyszedł.

- Nie posiedziała nawet dziesięciu minut, gdy zadzwonił do mnie sędzia i poprosił, żebyśmy omówił z nim nakaz aresztowania. Ponownie. - Valentine urwał, jakby musiał

się opanować. - Odrzucił wszystkie początkowe zarzuty i jeszcze mnie przy tym zjechał. Musiałem go prosić, żeby postawił jej zarzut ucieczki. Gdybym nie wydał tyle pieniędzy na jej poszukiwania, zapewne oddaliłby i ten. - Położył dłoń na kolbie pistoletu. - Powiesz mi, co się dzieje?

- Nie mam pojęcia tak samo jak ty - odparł Jeffrey.

Valentine podszedł do frontowych drzwi i popatrzył na parking. Zaczęła opadać szara mgła. Obejrzał się na Jeffreya i Sarę, po czym skupił uwagę na bmw.

- Ten wózek musiał cię kosztować ładną sumkę. Sara zjechała się.

- Lekarze nieźle zarabiają - wyjaśnił Jeffrey.

- Owszem, zarabiają - przyznał Valentine.

Stał odwrócony do nich plecami i Sarze przypomniał się nagły cios, który szeryf próbował zadać Jeffreyowi tamtej pierwszej nocy przed szpitalem. Widocznie jej mąż też o tym pomyślał, ponieważ stanął przed Sarą.

- Dlaczego pozwoliłeś sędziemu ją zwolnić? - zapytał Valentine'a. - Mogłeś z nim walczyć. Mogłeś interweniować wyżej, wezwać Biuro Śledcze.

- Wierz mi, brałem to wszystko pod uwagę. - Valentine odwrócił się. - Potem dostałem wiadomość.

- Jaką wiadomość?

Sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyjął złożoną kartkę papieru.

Jeffrey wziął ją i rozwinął. Zaglądając mu przez ramię, Sara zobaczyła, że na kartce jest tylko jedno zdanie napisane drukowanymi literami: ZOSTAW TO ALBO UMRZESZ.

Valentine wziął kartkę z powrotem i złożył.

- Nie mam żadnych wątpliwości, co mam zrobić. Nie zamierzam skończyć jak Al Pfeiffer, robiąc w gacie za każdym razem, gdy ktoś zapuka do drzwi

Jeffrey był równie wstrząśnięty jak Sara.

- I zamierzasz to zostawić? Pozwolisz, żeby tym facetom uszło to na sucho? Dwie osoby nie żyją, Jake. Charlotte Gibson była nauczycielką w szkole Myry.

- Ty chcesz mnie pouczać, kiedy twoją panią detektyw reprezentuje największy adwokat od narkotyków w promieniu trzech okręgów. - Z niesmakiem pokręcił głową. - Wygląda

na to, że trafnie to nazwałem, kiedy się poznaliśmy, no nie? - Zrobił kilka kroków w kierunku Jeffreya, zmniejszając dzielącą ich odległość. - Na wypadek gdybyś się zastanawiał, kwestionuję twoją rzetelność, szefie. Chcesz spróbować i wdeptać mnie w ziemię teraz, czy zaczekasz, aż odwrócę się plecami?

Jeffrey zignorował wyzwanie.

- Czas skończyć tę zabawę, Jake. Powinieneś wezwać Biuro Śledcze.

- Wezwałem - odparł Valentine. - Nazwijmy to ostatnią rzeczą, jaką zrobiłem jako szeryf.

- Chwileczkę - powiedział Jeffrey. - Złożyłeś rezygnację?

Valentine skinął głową.

- To chyba była przedostatnia czynność. Ostatnią było wypuszczenie twojej detektyw i sugeruję, żebyś jak najszybciej wywiózł ją z miasta i zapomniał o istnieniu tego miejsca. - Spojrzał Jeffreyowi przez ramię. - O wilku mowa.

Lena stała w otwartych drzwiach, a za nią gniewnie zmarszczony Cook. Na twarzy miała ciemne sińce. Jej oczy były przekrwione, ale zabłyśły gniewnie na widok Jeffreya i Sary.

- Co oni tu robią?

Jeffrey zignorował ją.

- Wyjdźmy na zewnątrz i dokończmy naszą rozmowę - powiedział do Valentine'a.

- Z przyjemnością.

Szeryf ochoczo otworzył drzwi.

Sara obserwowała ich przez szybę. Mgła zmieniła się w siąpiący deszcz, lecz oni nie zwracali na to uwagi. Jeffrey został na chodniku, a Valentine wyszedł na parking, żeby jeszcze raz popatrzeć na samochód Sary. Poczula wstyd zmieszany z gniewem, że tak skupił się na tym przeklętym wozie. Jeśli szeryf sądzi, że Jeffrey bierze, to może sobie przeczytać ich zeznania podatkowe.

Za nią trzasnęły zamykane stalowe drzwi. Don Cook wyszedł. Lena i Sara zostały same. Natychmiast doznała wrażenia, że ściany napierają na nią.

Lena powiedziała zwięźle i stanowczo:

- Musisz natychmiast zabrać stąd Jeffreya.

- Z tym nie będzie problemu - odparła Sara, obserwując swojego upartego męża stojącego na deszczu. – Jeffrey zamierza zobaczyć się z Eth - Nie możesz mu na to pozwolić.

Roześmiała się z niedowierzaniem.

- Nie wiem, czy pamiętasz swoją krótką tyradę sprzed kilku dni w szpitalu, Leno, ale najprędzej można nakłonić Jeffreya do zrobienia czegoś, mówiąc mu, żeby tego nie robił. Groźby bardzo w tym pomagają.

Lena wymamrotała coś pod nosem. Sara usłyszała wystarczająco dobrze, a mimo to zapytała:

- Słucham?

- Nic.

- Jeśli chcesz mamrotać, to nie rób tego tak wyraźnie.

Lena podeszła i zatrzymała się kilka kroków od niej.

- Powiedziałaś, że chyba ocipiał i nie myśli trzeźwo - powtórzyła. - Musisz zabrać go stąd w cholerę. Natychmiast.

- I jak proponujesz to zrobić?

- Powiedz mu, że ma wyjechać.

Sara potrząsnęła głową.

- Boże, ty chyba zgłupiałaś albo zupełnie nie znasz się na ludziach.

- Myślisz, że obrażanie mnie załatwi sprawę?

- Co załatwi? - zapytała Sara. - Wskrzеси kobietę, która została spalona żywcem? Ożywi mężczyznę, któremu wbito nóż w plecy? Zmieni fakt, że twój wuj stoi jedną nogą w grobie?

Lena zacisnęła wargi i z nienawiścią spojrzała na Sarę.

- Oszczędź sobie tych teatralnych póz. W klinice patrzy tak na mnie każdy dzieciak, któremu robię zastrzyk. – Sara podparła się pod boki. - Powiedz mi, Leno, czy Charlotte Gibson była twoją przyjaciółką?

Sara wciąż przesywała ją gniewnym wzrokiem, ale Sara widziała, że jej opór słabnie.

- Była?

- Tak - odpowiedziała w końcu.

- Jeśli ona była twoją przyjaciółką, to strach pomyśleć, co przydarzy się twoim wrogom.

Lena odwróciła oczy.

- Próbuję ochronić was oboje - powiedziała łagodnie. - Potrzebny mi dzień, tylko jeden dzień. Uwierzcie mi na słowo i wynieście się z miasta.

- Ściągnęłaś nas tutaj i wpakowałaś w to... w to... gówno, bo nie ma na to lepszego słowa, a teraz uważasz, że wystarczy zwyczajne „bo jak tak mówię”, żeby to zakończyć? - Sara znów spojrzała na parking i zobaczyła, że Valentine z Jeffreyem idą do drzwi. - Czy Ethan jest w to zamieszany?

Lena spoglądała na Sarę, jakby usiłowała wymyślić najlepszą odpowiedź, która wyrze pożądaną skutek.

- Szybko! - warknęła Sara. Valentine był kilka kroków od drzwi, a Jeffrey tuż za nim. - Czy Ethan jest w to zamieszany?

- Nie wiem. - Lena jednocześnie pokręciła głową i wzruszyła ramionami. - Zapewne nie. Nie wiem.

- Co się stanie, kiedy Jeffrey się z nim zobaczy? Co to zmieni? Będzie lepiej czy gorzej?

- Nie...

Valentine otworzył drzwi. Jeffrey wszedł za nim do środka.

Lena nie traciła czasu.

- Trzymaj się z daleka od Ethana - powiedziała do Jeffreya.

Najpierw popatrzył na Sarę, jakby sprawdzał, po czyjej ona jest stronie. Sara powtórzyła wcześniejszy gest Leny, kręcąc głową i wzruszając ramionami. Może Lena jednak znała się na ludziach. Oczywiście, Sara właściwie nakreśliła jej linię postępowania: najłatwiej nakłonić do czegoś Jeffreya, mówiąc mu, żeby tego nie robił. Jeśli Lena tak bardzo chciała, żeby opuścił miasto, to wycieczka do więzienia zajmie mu właśnie cały dzień.

- Ethan nie ma z tym wszystkim nic wspólnego - powiedziała mu Lena.

Posłał jej ten zawadiacki uśmiech, którego Sara tak nienawidziła.

- Ach tak?

- Zajmę się wszystkim - powiedziała mu Lena. - Po prostu wyjedź, Jeffrey. To nie twój interes.

Nadal się uśmiechał, lecz powiedział ostrzegawczo:

- Czyżbyś była moim szefem, Leno? Czy tak się dzieje, kiedy ważny adwokat od narkotyków pociąga za sznurki?

Lena wbiła wzrok w podłogę. Sara próbowała odwrócić uwagę męża.

- Czy samochód Leny nadal stoi na policyjnym parkingu? - spytała szeryfa.

Valentine skinął głową.

- Mógłby pan nas tam zawieźć?

To żądanie wyraźnie zaskoczyło Valentine'a.

- Ja... hm...
- Dziś rano zostawiłam samochód Hanka przed jego domem - wtrąciła Lena. - Możemy go wziąć. Będzie bliżej.

Sara nie czekała, aż Valentine znajdzie jakąś wymówkę.

- Lena i ja pojedziemy samochodem Hanka do szpitala - powiedziała do Jeffreya. - Możesz zabrać mnie stamtąd, kiedy skończysz.

Jeffrey zacisnął zęby. Ruchem głowy wskazał drzwi i Sara wyszła za nim na zewnątrz. Mgła wróciła, nadając wszystkiemu ponury wygląd. W milczeniu szedł do samochodu. Jej telefon komórkowy był w schowku na rękawiczki. Włączył aparat.

- Dojazd tam zajmie mi kilka godzin - powiedział, patrząc na wyświetlacz. - Zapewne godzinę samo wypełnianie papierów. - Wręczył jej telefon. - Zadzwoń do ciebie, kiedy będę wracał, dobrze?

Jeffrey nie lubił publicznego okazywania uczuć, ale pocałował ją w policzek, a potem w usta. Złapała go za kołnierz i wtuliła twarz w jego szyję.

- Nie wiem, co się dzieje między tobą i Leną - powiedział - ale obiecuj mi, że pojedziecie prosto do szpitala. - Kiwnęła głową, ale to mu nie wystarczyło. Uniósł jej twarz ku swojej twarzy. - Masz być matką mojego dziecka, Saro. Obiecuj mi, że nie będziesz się narażać.
- Obiecuję - powiedziała mu. - Pojedziemy prosto do szpitala. Będę tam, dopóki po mnie nie przyjedziesz.

Pocałował ją ponownie, zanim ją puścił.

- Wszystko będzie dobrze, no nie? - Obszedł samochód i stanął przy drzwiach od strony kierowcy. - Zobaczymy się za kilka godzin. Wieczorem będziemy w domu.

Sara patrzyła, jak wsiada do samochodu, wspominając tamten ranek sprzed sześciu miesięcy, kiedy zostawił ją stojącą na podjeździe jej rodziców. Lena zadzwoniła kilka minut wcześniej i pojechał aresztować Ethana Greena za naruszenie zakazu posiadania broni. Teraz, stojąc przed aresztem, Sara czuła wzbierający w niej ten sam lęk - ten sam niepoohamowany strach ogarniający jej serce niczym mroczny cień za każdym razem, gdy myślała, jak okropne byłoby jej życie bez Jeffreya.

Gdy wyjeżdżał tyłem na ulicę, Sara modliła się do Boga, żeby tym razem wszystko zakończyło się tak samo. Żeby tej nocy - tak jak wtedy - mogła zwinąć się przy nim w łóżku i słuchać jego rytmicznego oddechu, gdy będzie zasypiał.

Sara i Lena pojechały na tylnym siedzeniu radiowozu Valentine'a. Zaproponował im fotel pasażera, ale Lena odmówiła, a Sara naprawdę nie miała ochoty siedzieć obok niego. Niewielki szacunek, jakim z początku darzyła Valentine'a, zupełnie znikł, gdy szeryf zrezygnował ze swojej posady po otrzymaniu listu z pogrózkami. Sara nie mogła nie dostrzec ironii losu w tym, że na miejscu Myry Valentine błagałaby męża, aby złożył rezygnację. Zastanawiała się, czy kiedyś przyjdzie taki dzień, gdy nie będzie jej martwiło to, że Jeffrey tak dobrze wykonuje swoją pracę.

Zapewne w jego pożegnalny wieczór przed odejściem na emeryturę.

Zapiszczały hamulce, gdy Valentine zatrzymał samochód przed domem Hanka. Sara zmarszczyła brwi na widok stojącego na podjeździe mercedesa. Samochód wyglądał na starszy od Leny.

Valentine wysiadł z radiowozu. Otworzył drzwi Lenie, a potem poszedł zrobić to samo z drzwiami Sary. Wydawało się, że z ulgą zrzekł się swoich obowiązków i wrócił do zwyczajnego życia. Zastanawiała się, co Jeffrey powiedział mu na parkingu.

Deszcz przestał padać, ale niebo wciąż było zachmurzone. Lena spojrzała na dom wuja.

- Dlaczego palą się wszystkie światła? - zapytała.
- O co chodzi? - spytał Valentine.

- Światła są zapalone - powiedziała Lena z napięciem w głosie. - Rano się nie paliły.

Sara nie wiedziała, dlaczego to ma jakieś znaczenie.

- Jesteś pewna? - zapytała.

- Tak - powiedziała, ale zaraz dodała: - Nie. Nie pamiętam. - Znow popatrzyła na dom. - Hank nie chciałby, żeby wszystkie światła się paliły.

- On ledwie kontaktuje - przypomniała jej Sara. - Jestem pewna, że rachunek za prąd to jego najmniejsze zmartwienie.

Lena ruszyła w kierunku domu.

- Sprawdzę to.

- Chwileczkę, proszę pani. - Valentine wybiegł przed nią, przytrzymując pistolet, żeby nie obijał mu się o biodro. - Wejść tam i

Lena nie czekała razem z Sarą. Zamiast tego obeszła należącego do Hanka mercedesa, zaglądając do środka, a nawet pod podwozie, roztaczając aurę graniczącą z paranoją podejrzliwości.

Sara poszła za nią.

- Co się dzieje? - zapytała.

- Mieliśmy umowę - powiedziała Lena jakby do siebie.

- Jaką umowę?

Lena stała po drugiej stronie samochodu, patrząc, jak Jake Valentine odrywa taśmę, którą były zaklejone drzwi, i próbuje je otworzyć.

- Czego szukałaś pod samochodem? - zapytała Sara, wszystkimi zmysłami wyczuwając, że coś jest nie tak. - Z kim zawarłaś tę umowę, Leno?

- Hej! - zawołał Valentine. - Gdyby coś się stało... - Zaśmiał się. - Znacie numer dziewięć, jeden, jeden? - Nie czekając na ich odpowiedź, pchnął ramieniem drzwi. Lena głośno wciągnęła powietrze, jakby szykowała się na coś. Valentine pomachał do nich. - Wszystko w porządku - rzekł, przyciskając dłoń do boku. - Nic mi nie jest.

Krew wsiąkała w materiał koszuli w miejscu, gdzie metalowe okucie futryny skaleczyło mu bok. Szeryf przyciskał ręką ranę, a po chwili spojrzął na swoją zakrwawioną dłoń. Po obfitym krwawieniu Sara poznała, że rana jest głęboka, ale trzymał fason.

- Nic mi nie będzie - zapewnił. - Zostańcie tutaj, a ja zajrzę do środka.
Lena zaczęła, aż zniknie, a potem otworzyła tylne drzwi samochodu Hanka. Sięgnęła pod fotel, przez cały czas obserwując dom.

- Co robisz? - zapytała Sara.

Lena cicho zamknęła drzwi samochodu. Najwyraźniej szukała czegoś pod siedzeniem, ale do Sary powiedziała tylko:

- To skaleczenie wyglądało na dość paskudne.
Deszcz znów zaczął padać. Sara podniosła rękę i osłoniła oczy dłonią.

- Powiesz mi, co się tu, do diabła, dzieje?

Lena uśmiechnęła się, jakby Sara powiedziała coś głupiego.

- Chyba rano nie zauważyłam, że światła są zapalone - powiedziała. - W radiowozie Jake'a powinna być apteczka.

Podeszła do samochodu Valentine'a i pociągnęła dźwignię otwierającą bagażnik. Klapa uniosła się i Sara zobaczyła przymocowaną do podłogi śrutówkę. Obok niej była niebieska kasetka, którą mąż Charlotte Gibson przyniósł na posterunek.

Sara przypomniała sobie ukryte pod wyściółką podania o wystawienie świadectw urodzenia, w których Angela Adams wymieniła brata jako ojca swoich dzieci. Sara z trudem powstrzymała chęć odepchnięcia Leny, gdy ta sięgnęła do bagażnika i wyjęła kasetkę.

Mimo to Sara nie mogła nie spróbować.

- To dowód - powiedziała.

Lena otworzyła kasetkę, zanim Sara zdążyła wymyślić jakiś sposób, żeby ją powstrzymać.

Sara zdusiła westchnienie ulgi. Kasetka była pusta. Nawet wyściółką znikła. Deszcz zabębnił o metalowe dno.

- Skąd on to ma? - zapytała Lena.

- Przyniósł ją mąż Charlotte Gibson.

Lena potrząsnęła głową.

- To nie ma sensu.

- Wszędzie czysto - zawołał Valentine z drzwi domu. Zszedł z ganku, trzymając się za bok. Wyraźnie cierpiał.

Zobaczył metalową kasetkę i zapytał Lenę: - Widziała to pani już wcześniej?

Lena przecząco pokręciła głową i ostrożnie zamknęła wieko.

- Miała pani jakiś szczególny powód, by grzebać w moim bagażniku? - spytał Valentine, chowając pistolet do kabury.

Apteczka była przyklejona z boku. Sara wyjęła ją, mówiąc:

- Sądziłyśmy, że może pan tego potrzebować.

Odjął dłoń od boku, odsłaniając miejsce, gdzie metal przeciął koszulę i rozciął ciało.

- Chyba będę potrzebował czegoś więcej niż tylko plastra, pani doktor. Ta rana krwawi jak cholera.

- Kiedy ostatnio miał pan szczepienie przeciwężcowe? - spytała niechętnie Sara.

- Nadepnałem na gwóźdź, kiedy miałem dwanaście lat.

Sara spojrzała na dom, wzdrażając się na myśl o wejściu do środka. Nie miała także ochoty wracać do jego biura, ale nie mogła zostawić go stojącego tak na deszczu. Poszła w kierunku frontowych schodów.

- Musi pan dostać następny zastrzyk przeciwężcowy. Pozszywam pana najlepiej, jak się da, a potem będzie pan mógł sam pojechać do szpitala.

- Sam pojechać? - powtórzył z wyraźną obawą.

- Za dwie minuty - powiedziała, wiedząc, że powinna zaproponować mu podwiezienie.

Valentine zmarszczył brwi.

- Nienawidzę szpitali.

- Jak każdy - odparła, prowadząc go do kuchni. Sara była córką hydraulika, więc znała zapach kanalizacji, ale nigdy nie czuła czegoś równie paskudnego jak to. - Oczyszczę ranę i dobrze się jej przyjrzę.

- Czy to będzie bolało?

- Zapewne - przyznała, otwierając pchnięciem wahadłowe drzwi do kuchni. Wszędzie leżały śmieci, ale zlew był pusty, a światło było jasne. Sara postawiła apteczkę na stercie broszur AA leżących na kuchennej szafce, po czym zapytała Lenę: - Możesz mi znaleźć jakieś czyste szmaty?

Lena zmarszczyła brwi.

- Jak czyste mają być?

Nie czekała na odpowiedź. Postawiła metalową kasetkę na stole i wyszła na korytarz. Wahadłowe drzwi zamknęły się za nią z cichym świstem.

- Czy miałabym powód do niepokoju z powodu braku rękawiczek? - ściszone głosem zapytała Sara Valentine'a.

- Co? - zapytał, a potem jednocześnie zaczerwienił się i roześmiał. - Och nie, proszę pani. Jestem zdrow jak ryba.

- W porządku - powiedziała, nie wiedząc, czy może mu zaufać. Odkręciła kran i umyła ręce mydłem w płynie Orange Glo. - Proszę zdjąć koszulę. Mogę przynajmniej powstrzymać to krwawienie.

Położył na stole pas z pistoletem i zaczął rozpinać koszulę.

- Jest tak źle, jak myślę?

- Zaraz zobaczymy.

Sara otworzyła apteczkę i ucieszyła się na widok dużych rolek gazy i przylepca zamiast typowych plastrów.

- Nienawidzę zastrzyków - ciągnął Valentine. Wróciła Lena, niosąc w ręku kilka szmat. Ostrzegł je: - Nie powtarzajcie tego nikomu, ale zdarzyło mi się zemdleć na sam widok strzykawki.

- Mnie też - powiedziała mu Sara.

Rozerwała opakowanie z gazą, a on wzdrygnął się jak dziecko. Zawsze zdumiewała ją to, jak nerwowi stają się policjanci w kontakcie ze wszystkim, co kwestionuje ich niezwykłość. Ten człowiek z trudem rozpiął koszulę.

- Mam panu pomóc? - zapytała go.

- Och, do diabła.

Valentine dał sobie spokój z guzikami i ściągnął koszulę przez głowę, krzywiąc się, gdy rozciągnął sobie przy tym brzegi rany.

- Ostrożnie - ostrzegła Sara, odrobinę za późno.

Spojrzał na krew spływającą za pasek dżinsów i zażartował:

- Nie będę potrzebował transfuzji ani niczego takiego, co?

- Och, nie sądzę - powiedziała Sara, przyciskając do rany kawałek gazy.

- A gdyby nawet, to z pewnością znajdziemy jakichś dawców w areszcie.

- Nie jestem pewien - rzekł Valentine. - Mam rzadką grupę krwi.

Krew zaczęła się już przesączać przez gazę. Sara wyciągnęła rękę po szmaty, lecz Lena nie podała jej ich. Stała nieruchoma jak głaz.

- AB minus - powiedziała głosem ledwie głośniejszym od szeptu. - Ma grupę krwi AB minus.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

W więzieniu stanowym Coastal Jeffrey oddał swoją broń strażnikowi za grubą metalową kratą. Od kiedy znalazł się nieuzbrojony w lesie z Jakiem Valentine'em, trzymał broń pod ręką. Zeszłej nocy, nawet gdy kładł się spać, położył ją na nocnym stoliku, zamiast wepchnąć pod materac, tak jak zwykle. Nagle uświadomił sobie, że jeśli dojdzie do adopcji, będzie musiał znaleźć jakieś lepsze miejsce na przechowywanie broni. Na myśl o tym uśmiechnął się.

- Jeszcze coś? - zapytał strażnik, wyjmując magazynek z glocka i sprawdzając komorę.

- To już wszystko.

Mężczyzna kiwnął głową, zanotował numer seryjny broni i wręczył Jeffreyowi rewers.

Inny strażnik otworzył pierwszą z dwóch bramek, mówiąc: „Tędy”.

Kiedy obaj znaleźli się w służbie i pierwsze drzwi zostały zamknięte, strażnik otworzył drugie i przeszli przez nie.

Strażnik, którego identyfikator na piersi głosił „Applebaum”, wyglądał dokładnie na tego rodzaju człowieka, jaki może pracować w takim miejscu jak więzienie stanowe. Wysoki i barczysty, maszerował swobodnym krokiem świadczącym, że nie boi się niczego.

- Zdaje się, że kilka dni temu poznał pan jedną z moich podwładnych - zagadnął go Jeffrey.

- Nie - odparł strażnik. - Dopiero co wróciłem z urlopu.

Zatrzymał się przed następnymi drzwiami. Te były otwierane z centrum obserwacyjnego. Applebaum wymamrotał coś do swojej krótkofalówki i drzwi się otworzyły.

- W aktach Greena nie było niczego o narkotykach - powiedział Jeffrey.

Applebaum pokręcił głową.

- Jego chłopcy ich nie dotykają. Jeśli ktoś do nich należy i przyłapią go na używaniu lub sprzedawaniu, lepiej byłoby mu uciekać z gołym tyłkiem przez druty, niż czekać, aż oni się z nim rozprawią. - Potrząsnął głową. - Mieliśmy tu takiego skinheada, może siedemnasto- lub osiemnastoletniego, który po osadzeniu tutaj przyłączył się do paczki Greena. Jednak nie potrafił się nie szprycować i dał się przyłapać. Widział, że chcą go załatwić, więc zrobił nóż z grzebienia i zakiestrował sobie pod prysznicem.

Jeffrey wiedział, że kiestrowanie to w więziennym slangu wepchnięcie sobie czegoś do odbytu.

- I co się stało?

- Wzięli szczotkę i wepchnęli mu ten grzebień głębiej. Lekarz, który robił sekcję, mówił, że znalazł kawałki plastikowego grzebienia nawet w jego migdałkach, kiedy go otworzył.

- Green to zrobił?

- Kazał zrobić - przyznał Applebaum, zatrzymując się przed kolejnymi zamkniętymi drzwiami. - Ktoś, kto zaszedł tak wysoko, nie brudzi sobie rąk.

- Chyba że spadnie.

Strażnik roześmiał się, wyjmując klucz i otwierając drzwi, za którymi był pokój przesłuchań.

- A J-Lo przyleci do Georgii i zrobi mi loda w swoim prywatnym odrzutowcu. - Wprowadził Jeffreya do pokoju przesłuchań i powiedział rzeczowo: - Niech pan nie dotyka więźnia. Niech pan nie podchodzi do niego bliżej jak na metr. Widzi pan tę linię na stole? Skuty nie powinien dosięgnąć poza nią, ale nigdy nie wiadomo.

- Nie chcę, żeby był skuty.

- Rozkaz dyrektora.

- Nie boję się Ethana Greena.

Applebaum odwrócił się.

- Posłuchaj, człowieku, ja się go boję jak cholera i ty też powinienes.

Jeffrey kiwnął głową, rozumiejąc go.

- Przyprawadźcie go.

Applebaum wyszedł, a Jeffrey usiadł przy stole naprzeciw metalowego pierścienia przymocowanego do ściany. Usłyszał

głosy na korytarzu i wstał, nie chcąc dawać Ethanowi przewagi wzrostu. Potem uznawszy, że wygląda, jakby przyszedł tu z kapeluszem w ręku, podszedł pod przeciwległą ścianę i oparł się o nią z rękami w kieszeniach.

Drzwi się otworzyły i szurając nogami, wszedł Ethan wraz z Applebaumem i trzema innymi strażnikami. Nie odrywał oczu od Jeffreya, gdy Applebaum i pozostali prowadzili go w kierunku krzesła. Usiadł, przewiercając wzrokiem Jeffreya, gdy przykuwano go do ściany.

- Będziemy tuż za drzwiami - powiedział Applebaum.

Czterej strażnicy wyszli, zabierając ze sobą cały tlen z pomieszczenia.

Łańcuchy na rękach Ethana brzęknęły o krawędź stołu, gdy splótł dłonie przed sobą.

- Boisz się usiąść naprzeciw mnie? - zapytał Ethan.

- Przy guziku alarmowym? Niespecjalnie.

Ethan drwiąco wykrzywił usta, ale skinął głową, jakby Jeffrey zdobył punkt. To było to, czego tak bardzo obawiała się Sara - głupie zawody w sikaniu, które szybko mogły się przerodzić w zacięte zmagania.

Jeffrey oderwał się od ściany i podszedł do wolnego krzesła. Odsunął je na pół metra od stołu i usiadł, szeroko rozkładając nogi i opierając dłonie na udach.

Ethan prychnął, odchylając się do tyłu na krześle.

- Będziesz się tak gapił na mnie cały dzień, komendancie? Zakochałeś się czy co?

- Chcę wiedzieć, co robiłeś z Leną.

Ethan zrobił wulgarny gest.

- Pieprzyłem się.

- Wiem, że wydzwaniłeś do Hanka - powiedział Jeffrey. Widział połączenia w wykazie rozmów Ethana. - Dlaczego?

- Żeby ściągnąć tu Lenę. - Młasnął. - Podziałało, no nie?

- Jedyne problem to ten, że taki numer udaje się tylko raz.

- Mam inne plany. - Wyciągnął ręce, pokazując otaczające ich mury. - Pewnego dnia stąd wyjdę, a kiedy to nastąpi, znajdę ją.

- Ona wpakuje ci kulę w łeb.

- Umrze, zanim zdąży to zrobić - odparował Ethan. - Pieprzyłeś ją kiedyś, komendancie?

Jeffrey nie odpowiedział.

- Wiem, że chciałeś. Widziałem, jak czasem na nią patrzyłeś.

Jeffrey nadal nie reagował.

- Pozwól, że coś ci powiem - rzekł Ethan, pochylając się. - Ona może wyglądać na twardą, ale pod tym wszystkim jest taka słodka. Wiesz, co mam na myśli? - Uśmiechnął się z satysfakcją. - Dobry towar.

Jeffrey zachował spokój. Ethan najwyraźniej sądził, że trafił w czuły punkt, ale Lena nigdy nie pociągała Jeffreya. Nigdy nie miał siostry, ale wyobrażał sobie, że jego uczucia do Leny są braterskie.

- Musisz tylko trochę ją stłuc - ciągnął Ethan. - A potem przechylić i... Sapiąc, napał na stół.
- Przechylić, tak? - Ze smutkiem pokręcił głową Jeffrey. - Myślę, że przestajesz tu z nieodpowiednimi ludźmi, koleżko.

Ethan chwycił się za krocze i potrząsnął.

- Tutaj jest twój koleżka, lachociągu.
- Walcz lub dawaj - rzekł Jeffrey. - Tak tutaj mówią, prawda? Musisz walczyć albo dawać. - Spojrzał na więźnia, na jego ręce. - Nie wyglądasz mi na takiego, który walczy.

Ethan zaśmiał się.

- Widzisz te tatuaże, dziwko? - Mówił o swastykach i pełnych przemocy obrazach, które miał wytatuowane na skórze. - Nikt mnie tutaj nie tknie, człowieku.
- Pewnie - rzekł Jeffrey. - Słyszałem, że razem ze swoimi przyjaciółkami założyliście tu własną grupę cheerleaderek. Co to dokładnie oznacza? Chcę powiedzieć, że wiem, że nosicie jednakowe mundurki, ale chyba nie siedzicie po całych dniach, zaplatając sobie warkoczyki. Robicie sobie nawzajem manikiur? A może robicie sobie lewatywy i rozmawiacie o tym, jak biały człowiek będzie rządził światem?
- Uważaj, synu.
- Na kogo? Na bandę punków niekochanych przez tatusiów? Jezu Chryste, nadajecie się do programu Oprah. Daj spokój.

- Pieprzę tę czarną sukę.
- Pieprzę to, pieprzę tamto - przedrzeźniał go Jeffrey, wstając. - Lena miała rację. To tylko strata czasu.
- Co mówisz? - Ethan zmrużył oczy. - Co powiedziała Lena?
- Przysłała mnie tu - rzekł Jeffrey. - Chciała, żebym zobaczył, jaką stałeś się żalostną dziewczynką.
Ethan gapił się na niego, zastanawiając się, czy to prawda. Powoli opadł na krzesło.
- Nie, człowieku. Ona cię nie przysłała.
- Ależ tak - rzekł Jeffrey. Stał przy drzwiach, opierając się o nie ramieniem. - Powiedziała, że spiknąłeś się z Bractwem.
Ethan z odrazą skrzywił usta.
- Co?
- Z Bractwem Prawdziwej Białej Skóry - wyjaśnił Jeffrey. - Powiedziała, że spiknąłeś się z nimi, żeby uratować swój tyłek.
- Kurwa - warknął, praktycznie wypluwając z siebie to słowo. - Z tymi cipami? Oni handlują amfą.
Jeffrey wzruszył ramionami.
- I?
- Amfa to diabeł białego człowieka. - Ethan nachylił się i mówił gwałtownie: - Nie daję się takiego gówna swoim. Pieprzy ci umysł, robi niewolnikiem. To część spisku czarnuchów, chcących zawładnąć Ameryką.
- Naprawdę tak myślisz? - zapytał Jeffrey, wracając do stołu. Oparł dłoń o metalowy blat i nachylił się blisko czerwonej linii. - Widzisz, poznałem kilku tych dupków z Bractwa i nie wydają mi się wcale różnić od ciebie Ethan zaśmiał się.
- Marnujesz powietrze, którym oddychasz. Myślisz, że zadaję się z tymi matkojebcami? Powiedziałem ci, oni sprzedają amfę swoim. Palą to gówno jak czarnuchy swój crack. Niech się sami pozabijają. Trzeba ich zetrzeć z powierzchni tej pieprzonej planety, żeby prawdziwa biała rasa mogła zająć ich miejsce.
Jeffrey utrzymywał kontakt wzrokowy, nadal pochylając się nad stołem. Ethan powiedział, że dzwonił do Hanka, żeby Lena przyjechała się z nim zobaczyć. Jeśli taki był jego

plan, to wypalił. Tylko jakie miał powiązania z Elawah? Jak Ethan pasował do handlu amfą, którą bracia Fitzpatrickowie przerzucali przez południową Georgię i na wybrzeżu? Jeffrey znał na pamięć rejestr przestępstw Ethana. Nigdy nie zarzucano mu posiadania narkotyków. Żadne badanie moczu nie wykazało ich obecności, od chwili umieszczenia w poprawczaku aż do czasu zwolnienia warunkowego w okręgu Grant. Nawet strażnik Applebaum twierdził, że Ethan nie ma nic wspólnego z narkotykami. Czyżby Lena mówiła prawdę? Czy Ethan po prostu zadzwonił w nieodpowiedniej chwili?

Jeffrey podniósł się od stołu.

- Skończyliśmy.

Ethan nie pozwolił mu mieć ostatniego słowa.

- Uważasz się za wielkiego faceta ze spluwą, Tolliver, ale wiesz, kim jesteś? Jesteś gównem na moim bucie. Wiesz, że Lena podrzuciła mi tę broń. Wiesz, że mnie wystawiła. Myślisz, że reprezentujesz Prawo i Porządek, ale złamałeś prawo, człowieku. Jesteś równie zły jak te pedały w Iraku, ci matkojebcy z Abu Gharib, którzy myślą, że mogą olać konwencję genewską, ponieważ podnieca ich możliwość pomalowania jakiegoś pierdolonego Araba jego własnym gównem. Jesteś równie zły jak oni, człowieku, może gorszy, bo nie jesteś tysiąc mil od domu, żrąc żarcie z puszek i zakopując swoje gówno na pustyni. Rano mnie przymknąłeś, a wieczorem uwalileś się do wyra, pewnie zerznąłeś żonę i zasnąłeś snem sprawiedliwego, ale wiesz co, matkojebcu? Jesteś równie zły jak oni wszyscy.

Jeffrey nie odpowiedział, ponieważ Ethan w dużej mierze miał rację. Jeffrey wiedział, że Lena podłożyła tę broń, w tej samej chwili, gdy wyjął ją z plecaka Ethana. Ten nazista umiał się obchodzić z bronią palną. A nawet najbardziej niedoświadczony dupek nie wrzuciłby naładowanej broni do plecaka, żeby potruchać z nią do pracy.

Mimo to, nawet wiedząc o tym, Jeffrey aresztował go i rzeczywiście spał tamtej nocy snem sprawiedliwego, ponieważ wiedział - po prostu wiedział - że miejsce Ethana Greena jest za kratami. Ethan bił i torturował. Lena nie była dostatecznie silna, żeby go powstrzymać, ale Jeffrey z pewnością mógł to zrobić. Został policjantem właśnie dla-

tego, że na świecie byli tacy ludzie jak Ethan Green i Lena Adams. Jego zadaniem było bronić słabszych przed silnymi i nigdy nie był tak pewien swojej słuszności jak wtedy, kiedy zatrzęsła kajdanki na przegubach Ethana. Jeffrey podniósł rękę, żeby zapukać w drzwi.

- Dzięki za przemowę, Ethan. Naprawdę świetnie się bawiłem, ale teraz muszę wracać do domu, do mojej żony.

- Dostanę cię - powiedział groźnie Ethan. - Poczekaj tylko.

- Kiedy będę się najmniej tego spodziewał, tak?

- Nigdy nie zostawię jej w spokoju.

- Nie masz wyboru.

- Wyjdę stąd. Tylko poczekaj, człowieku. Wyjdę stąd i Lena powita mnie z otwartymi ramionami.

- Jeśli tego się spodziewasz, to czeka cię szok.

- Ona nie może beze mnie żyć - rzekł Ethan, wstając na tyle, na ile pozwalały mu łańcuchy. - Część mnie jest w niej.

Jeffrey uśmiechnął się, a potem powiedział jedno z najokrutniej szych słów, jakie kiedykolwiek padły z jego ust.

- Nie powiedziała ci? Myślałem, że po to tu przyszła, Ethan. Powiedzieć ci, że wycięła tę część ciebie.

Jeffrey oczekiwał zdziwienia i nienawiści, lecz na twarzy nazisty zobaczył tylko smutek. Ethan powoli opadł na krzesło. Kiedy zaczął mówić, Jeffrey musiał wyęczać słuch, żeby go usłyszeć.

- Wyjedziemy razem - mówił. - Lena i ja. Znajdziemy sobie gdzieś plażę. Przez cały dzień będziemy leżeć w słońcu i pieprzyć się całą noc. Będziemy razem do końca życia.

- Taak. - Jeffrey ponownie zastukał w drzwi. - Przyślij mi kartkę, koleś.

Ethan gwałtownie poderwał głowę.

- Pilnuj swojej skrzynki.

Jeffrey złapał się za krocze, kopiując wcześniejszy wulgarny gest Ethana.

- Pilnuj tego, ty głupi dupku.

Więzień nie powiedział nic więcej. Siedział przy stole, trzymając na nim splecione dłonie, ze zwieszoną głową, zapewne marząc o swoim wymyślanym życiu na jakiejś plaży, z Leną.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Lena zobaczyła tatuaż pod lewym ramieniem Jake'a Valentine, kiedy szeryf ściągał koszulę przez głowę. Tuż pod bicipsem widniały litery AB, a obok nich kreska. AB minus. Przypomniała sobie wyjaśnienie na odwrocie zdjęcia w aktach Ethana: „Oznacza rangę generała w ruchu białej siły”. Jej wargi poruszyły się i słowa same wyszły z jej ust.

- AB minus - powiedziała. - Ma grupę krwi AB minus.
- Co? - spytała Sara.

Lena była oszołomiona, ale poczuła gwałtowny wzrost adrenaliny. Rzuciła się do leżącego na stole pasa z bronią, ale Valentine miał dłuższe ręce i z łatwością ją uprzedził.

Sara podniosła ręce do góry i zaczęła się cofać do drzwi.

- Nie ruszaj się - rozkazał Valentine, mierząc w nią. - Lena, podejdź do niej, żebyś widział was obie.

Lena nie ruszyła się z miejsca. Jak to możliwe? Nigdy nie widziała Jake'a Valentine'a przy magazynie. Nie znajdował się na jej zdjęciach ani w notatkach.

- Powiedziałem, żebyś podeszła do niej.

Złapał ją za ramię i popchnął w kierunku Sary. Potem sięgnął za siebie, wymacał kajdanki przy pasie i rzucił je Lenie.

- Załóż je sobie i jej - rozkazał. - Ciasno. Nie jestem taki głupi, na jakiego wyglądam.

- Nie - powiedziała z sercem w gardle. - To nie w porządku. Zadzwoń do swojego szefa.

- A kto jest moim szefem?
- Clint.

Roześmiał się.

- Ten gnojek? Clint nie umiałby dowodzić jednoosobową armią.
- Rozmawiałam z nim dziś rano. Mieliśmy umowę.
- Masz rację - przyznał Valentine. - Mieliśmy. Trzymasz dziób na kłódkę i wszyscy są zadowoleni. Jednak to było, zanim otworzyłaś swój pieprzony pysk i wciągnęłaś w to ją. - Mówił o Sarze. - Teraz rób, co powiedziałem, i załóż te kajdanki, a ja się zastanowię, co z tym zrobimy.

Lena zrobiła, co kazał, i zapięła kajdanki na swoim lewym przegubie, a na prawym Sary. Wiedząc, że Valentine ją obserwuje, zostawiła luzu tylko na palec.

Przysunął krzesło.

- Siadaj - powiedział do Leny. Kiedy to zrobiła, rzekł do Sary: - Skończ opatrywać mi bok, żebym się nie wykrwawił.

- Nie - odparła Sara. - Nie zamierzam ci pomóc.

- Widziałaś, co przydarzyło się Charlotte - przypomniał jej Valentine. - Chcesz, żeby to samo przytrafiło się twojej przyjaciółce? Możesz patrzeć, jak płonie, zanim przyjdzie twoja kolej.

- Zrób to - powiedziała Lena do Sary. - Zatamaj krwawienie.

Sara niechętnie zaczęła opatrywać ranę w jego boku. Rozcięcie było głębokie, lecz strużka krwi płynęła coraz wolniej. Lena nie była ekspertem, ale nawet ona widziała, że Sara nie przykłada się do pracy. Gdyby Lena zdołała dopaść go pomimo wycelowanego w jej głowę pistoletu, mogłaby wbić palce w tę ranę, aż po wnętrzości.

- Au - jęknął Valentine, gdy Sara mocno przytrzymała palcem gazę. - Zrobiłaś to specjalnie.

- Co zamierzasz z nami zrobić, Jake? - zapytała Sara. - Chcesz zrobić nam krzywdę? Dobrze się zastanów, z kim zamierzasz zdrzeć.

Błysk w jego oczach zdradził, że trafiła w czuły punkt. Lena domyśliła się, że w ciągu kilku ostatnich dni szeryf przekonał się, że Jeffrey nie jest kimś, z kim warto zadzierać. Jeśli Valentine był dostatecznie sprytny, żeby to zrozumieć, to na pewno wiedział, co Jeffrey zrobiłby z każdym, kto zagroziłby Sarze.

- Jeffrey cię zabije - powiedziała mu Sara. - Nieważne, co zrobisz, gdzie się ukryjesz. Zabije cię.

Valentine wyjął z kieszeni telefon komórkowy i kciukiem wybrał numer.

- Ja nie robię ludziom krzywdy - wyjaśnił, przykładając telefon do ucha.

- Clint, to ja. Pamiętasz, co miałeś mi przygotować w umówionym miejscu? - Słuchał przez chwilę. - Tak, teraz jestem w tym drugim miejscu. Zrobimy to tutaj. - Kiwnął głową. - Nie, coś się zmieniło. Wymyślmy na to inny sposób. Powiem ci, kiedy tu przyjedziesz. - Popatrzył na Sarę, prawie z żalem. - I powiedz naszemu koledze, że jego obecność też jest niezbędna, żeby złagodzić.

Zamknął aparat, przyciskając go do uda, i wrzucił z powrotem do kieszeni.

- Co chcesz z nami zrobić? - zapytała Sara.

- Na razie chcę, żebyś usiadła - powiedział jej Valentine, kopniakiem przysuwając drugie krzesło. - Już.

Sara zawahała się, ale widocznie zrozumiała, że nie ma wyjścia. Usiadła na krześle, kładąc rękę na stole, tak by Lena mogła położyć na nim swoją. Drugą rękę trzymała zaciśniętą w pięść na podolku i Lena zobaczyła, że jej nie doceniała. Jeśli Sara dostrzeże okazję, będzie walczyła na śmierć i życie.

- Clint pracuje dla ciebie? - zapytała Lena, próbując odwrócić jego uwagę.

Valentine usiadł na kuchennej szafce, krzywiąc się z bólu.

- Wielu ludzi dla mnie pracuje.

Harley, pomyślała Lena. On nie pracuje dla nikogo. Kiedy tego ranka spotkała się w magazynie z Clintem, to zdjęcia Harleya wytrąciły go z równowagi. Krew odpłynęła mu z twarzy i drżącymi rękami podniósł słuchawkę, żeby zadzwonić. Cicho wyjaśnił komuś na drugim końcu linii, że Lena chce wymienić zdjęcia i notatki za ich życie. Tylko tego chciała - nie pieniędzy, nie prochów, niczego tylko ich życia. Oryginały zatrzyma sobie jako zabezpieczenie i chłopcy ze swastykami dalej będą mogli robić swoje.

Clint nie rozmawiał długo. Głównie kiwał głową, nie odrywając oczu od Leny, a w pustym magazynie jego strach był wyraźnie wyczuwalny. Rozłączył się i powiedział, żeby

oddała się w ręce szeryfa, a będący na ich liście płac sędzia uwolni ją od wszelkich zarzutów. Lena zakładała, że Clint dzwonił do Harleya. Może jednak rozmawiał z Jakiem Valentine'em? Czyżby to szeryf przez cały czas pociągał za sznurki?

- Do diabła, muszę łyknać aspirynę.

Valentine zsunął się z blatu i zaczął otwierać kuchenne szafki.

Lena wiedziała, gdzie jest apteczka ze środkami przeciwbólowymi, ale nie zamierzała mu powiedzieć. Stał plecami do nich obu i kątem oka Lena zauważyła, że Sara kładzie dłoń na metalowej kasetce i przysuwają bliżej.

- Co miałeś na myśli, mówiąc o „złagodzeniu”? - zapytała Lena.

Zajrzał do ostatniej szafki.

- Wkrótce się przekonasz, moja droga.

Sara przysunęła kasetkę tam, gdzie chciała ją mieć.

- Rozluźnił ci się bandaż - powiedziała do Valentine'a.

Spojrzał na opatrunek i westchnął.

- Popraw go - zażądał i podszedł do niej. Zaczęła podnosić ręce, ale powstrzymał ją, przykładając jej lufę do głowy. - Przytrzymam ją tak, żebyś nie próbowała chwycić tej metalowej kasetki i uderzyć mnie nią w głowę.

Sara ponownie przykleiła mu opatrunek.

- Jeffrey cię zabije.

Powiedziała to obojętnie, nie grożąc, ale stwierdzając oczywisty fakt.

Valentine zaczekał, aż skończy, po czym chwycił kasetkę, pchnął nogą wahadłowe drzwi i cisnął pudełko w głąb korytarza.

Oparł się o blat.

- Jak się domyśliłaś? - zapytał Lenę. - Skąd wiesz o tatuażu?

Po tym pytaniu zrozumiała, że Ethan nie był zamieszany w to, co się tu działo, a Hank zaczął znów brać tylko z siebie wiadomych powodów. Charlotte i Deacon byli ofiarami innej wojny. W tym, co działo się w tym domu teraz, chodziło o Jake'a Valentine'a i wartą miliony dolarów amfetaminę przechodzącą przez ten okręg.

- Hitlerowscy żołnierze z Waffen SS mieli grupę krwi

wytatuowaną w tym samym miejscu - wyjaśniła na użytek Sary. - To oznacza, że Jake stoi wysoko w hierarchii.

- Tak wysoko, jak tylko można - pochwalił się.

- Rzadko się spotyka taki tatuaż - skomentowała Lena. - Zazwyczaj ozdabiają się swastykami i wszystkim, co im przyjdzie do głowy. - Odwróciła się do Sary, chcąc ją uspokoić. - Widziałaś kiedyś skinheada? No wiesz, takiego prawdziwego? Oglądałaś jego tatuaże?

Sara spojrzała jej w oczy. Obie wiedziały, że badała Ethana.

- Nie.

- Dlaczego ty masz tylko jeden tatuaż? - zapytała szeryfa Lena.

Zachichotał.

- Żartujesz sobie? Myra zabiłaby mnie, gdybym przyszedł do domu wydziargany jak jakiś kretyn z cyrku. - Postukał się w pierś. - Ważne, co jest tutaj.

- Twoja żona wie? - zapytała Sara głosem zdradzającym zdziwienie.

Valentine zmierzył ją wzrokiem, ale nie odpowiedział. Zwrócił się do Leny.

- Mogłaś się z tego wyplątać. Wiesz o tym? Ale ty musiałaś wszystko spieprzyć. Wkurzyłaś niewłaściwych ludzi, złociutka. Powinnaś pilnować własnych spraw.

Lena powstrzymała chęć splunięcia mu w twarz.

- Dlaczego zabiliście Charlotte?

- Żebyś wiedziała, co czeka ludzi, którzy za dużo mówią.

- Ona nic nie mówiła.

- Wiem z doświadczenia, że narkomani są nieobliczalni.

- Ona nie była narkomanką.

- To co robiła w zeszły weekend, kupując amfę z twoim wujem?

Lena spuściła głowę, żeby Valentine nie widział jej miny. Charlotte... biedna Charlotte.

- Co Hank miał z tym wszystkim wspólnego?

- Spojrzał przez okno, kiedy nie powinien - wyznał Valentine. - Ubijałem w motelu mały interes z kilkoma wspólnikami. On i ten jego głupi barman zaczęli zadawać pytania, myśleli, że wjadą na białych koniach i oczyszczą

miasto. - Wzruszył ramionami. - To chyba rodzinne, nie słuchać ostrzeżeń.

- Al Pfeiffer - ciągnęła Sara. - To dlatego wyjechał z miasta? To ty wrzuciłeś mu przez okno bombę zapalającą?

Valentine tylko wzruszył ramionami.

- Różne rzeczy się zdarzają.

- Cook też w tym siedzi? - zapytała Lena.

- Don? - prychnął szeryf. - Don nic nie wie. Trzyma się kurczowo biurka, czekając na emeryturę.

- I dlatego się ubiegał o posadę szeryfa? - spytała Sara.

Valentine drwiąco się uśmiechnął.

- Przecież musiałem mieć jakiegoś kontrkandydata, no nie? - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Biednemu staremu Cookiemu uderzyło to do głowy. Naprawdę myślał, że może wygrać.

Ktoś zapukał do drzwi.

- Kto tam? - zawołał Valentine.

- To ja - odpowiedział głos.

Valentine odepchnął się od blatu i otworzył drzwi, przez cały czas trzymając broń wycelowaną w kierunku Sary i Leny. Clint stanął w drzwiach, trzymając duże kartonowe pudło.

Zobaczył Lenę i potrząsnął głową.

- Jesteś gorsza od twojego pieprzonego wuja, wiesz? Musisz wszędzie wścibiać swój nos.

- Mieliśmy umowę.

- Taak - przyznał Clint, sięgając do pudła.

Na samym wierzchu leżała przesyłka FedExu. Rzucił ją Lenie. Poznała swój charakter pisma na paczce zaadresowanej do Franka Wallace'a na posterunku policji w Grant. Nadała tę paczkę zeszłej nocy z punktu Kinko, myśląc, że gdyby coś źle poszło, Frank miałby dość dowodów, żeby pozamykać ich wszystkich. Oryginały i zapiski były schowane pod przednim fotelem mercedesa należącego do Hanka. Teraz jej zabezpieczenie diabli

- Śledziliśmy cię, od kiedy przyjechałaś do miasta - powiedział Clint. - Myślisz, że Charlotte przypadkowo była z nami tamtej nocy, kiedy zepchnęliśmy twój wóz z drogi?

Lena otworzyła usta, ale nic nie powiedziała.

- Mogłaś odejść spokojnie za kilka tygodni. Zastrzyk

i list z wyjaśnieniem, że popełniłaś samobójstwo z żalu po śmierci wuja. - Zerknął na Sarę i ze smutkiem pokręcił głową. - Tobie też prawie się udało.

- Przestań tracić czas i bierz się do roboty – warknął Valentine.

Clint postawił pudło na blacie i podszedł do kuchenki. Zepchnął broszury Hanka z palników i spróbował pokręteł. Żaden z palników nie zasyczał, zapewne dlatego, że Hank nie używał kuchenki od dwudziestu lat. Mimo to Clint nie rezygnował. Przekręcił jedno z pokręteł, nachylił się i powąchał. Zadowolony, wyjął pudełko zapalek i zapalił jedną. Zahuczał płomień i gaz zaczął się palić. Zgasił go i wypróbował pozostałe. Dwa zapaliły się równie łatwo jak pierwszy, ale musiał zdjąć żeliwną kratę i paznokciem oczyścić czwarty, zanim zaczęło z niego uchodzić dość gazu, żeby się zapalił.

- Co robicie? - zapytała Sara Valentine'a.

Nie odpowiedział, wyjmując z przyniesionego przez Clinta pudła różne przedmioty i układając je na kuchennym blacie. Aceton, alkohol skażony, amoniak, ług.

- Kurwa - syknęła Lena. - Amfa. Chcą gotować amfę.

- Nie martw się - powiedział jej Valentine, otwierając i zamykając szafki, aż znalazł kubki do kawy. Były stare, ręcznie zrobione w Meksyku i tak kruche, że Hank używał ich tylko przy specjalnych okazjach. Podniósł jeden z nich i uśmiechnął się. - Nie pogotuje się długo.

Oczywiście. Kiedy składniki robią się zbyt gorące, fajans pęknie. Płyn zapali się w zetknięciu z otwartym ogniem, opryskując chemikaliami lepiącymi się jak stopiony wosk do wszystkiego - ścian, wykładzin, skóry. Gotowanie amfy było tak niebezpieczne, że tylko zidiociali od niej narkomani próbowali to robić, a wywołane przez nich eksplozje powodowały poważne wypadki i straty materialne. Władze większości stanów uważały laboratoria produkujące metamfetaminę za broń masowej zagłady i ubiegały się o fundusze na ich likwidację na podstawie ustawy o bezpieczeństwie

- Czy właśnie tym zajmowaliście się w motelu? - zapytała Lena. - Hank zobaczył, jak gotowaliście amfę?

- Mówiłem wam, że spotkałem się z kilkoma wspólni-

kami - odparł Valentine, wyjmując z kartonowego pudła zbiorniczki z płynnym gazem. - Kilka bardzo ważnymi współnikami.

- Z kim? - naciskała. - Z Meksykanami? Skinheadami?

Valentine przerwał rozpakowywanie pudła, rozszoszczony.

- Chcesz poznać całą historię? Chcesz wiedzieć, co się stało?

Teraz, kiedy miała odpowiedź w zasięgu ręki, Lena nie była pewna, czy chce ją usłyszeć.

Valentine zaczął się odwracać, ale powstrzymała go.

- Tak. Chcę wiedzieć, co się stało.

Oparł się o blat, podtrzymując dłonią łokieć tej ręki, w której trzymał pistolet.

- Hank próbował mnie obejść, zwrócić się do stanowych.

- Do Biura Śledczego? - spytała.

Dlaczego Hank poszedł do GBI, zamiast zwrócić się do niej? Oczywiście, nie chciał jej w to mieszać. Przez całe życie usiłował trzymać Lenę z dala od kłopotów, a ona równie usilnie pakowała się w sam ich

- Na szczęście - ciągnął Valentine - poszedł do kogoś, kto był naszym przyjacielem, do kogoś gotowego przenieść się na północ i wziąć długi urlop.

- Uśmiechnął się z zadowoleniem. - Nie było trudno znów uzależnić Hanka. Wiesz, że zaledwie dwudziestu dwu na stu uzależnionych od amfetaminy zrywa z nałogiem? I większość nigdy nie przestaje jej pragnąć. To chyba dowód przewagi umysłu nad materią. Clint przeprowadził z nim kilka rozmów, zrobił mu kilka zastrzyków. Wkrótce Hank zaczął mu płacić.

- Wiedzieliście, że jestem policjantką? - zapytała Lena. - Wiedzieliście, że przyjadę zobaczyć, co z Hankiem?

- Oczywiście, że wiedzieliśmy o tobie - powiedział. - Jak myślisz, w jaki sposób go złamaliśmy? Bał się, że przyjedziesz i coś ci się stanie. Szczerze mówiąc - wzruszył ramionami - nie mogę uwierzyć, że ten stary pierdziel jeszcze żyje. To gówno, które dawał mu Clint, mogło zabić konia. Pierwszy stopień czystości. Powinien umrzeć kilka tygodni temu. Myśleliśmy, że przyjedziesz tu już na jego pogrzeb.

- Jak mogliście... - zaczęła Sara, lecz w tym momencie otworzyły się tylne drzwi.

Fred Bart był równie zaskoczony, widząc Sarę i Lenę, jak one, widząc jego. Wprawdzie zajęło jej to trochę czasu, ale Lena w końcu odgadła, kim był zabójca Charlotte. Bart praktykował w Reese już wtedy, gdy była dzieckiem. Trudno zapomnieć dentystę, który ma nienaturalnie małe zęby.

- Nie ma mowy - powiedział Bart. - Na to się nie pisałem.

- Wtaszcz swoje dupsko do środka - rozkazał Valentine, pokazując mu drogę lufą pistoletu.

- Przyniosłem dawkę dla jednej - powiedział Bart. - Clint nie mówił...

Clint rzucił się na niego.

- Co mówiłem, ty głupi kutasie?

Valentine nie zwracał na nich uwagi.

- Masz jeszcze jakieś pytania? - zwrócił się do Leny.

Otworzyła usta, aby odpowiedzieć, a on uderzył ją kolbą w skroń.

Zobaczyła wszystkie gwiazdy i straciła równowagę. Nie upadła na podłogę tylko dlatego, że była przykuta do Sary.

- Lena!

Sara próbowała wciągnąć ją z powrotem na krzesło. Lenie dzwoniło w uszach. Usłyszała głos Valentine'a.

- Zajmij się lekarką. Tyle jestem winien jej mężowi.

- Nie! - wrzasnęła Sara, szarpiąc się do tyłu i pociągając za sobą Lenę.

Clint doskoczył do niej i złapał ją w niedźwiedzi uścisk. Wlekli Lenę po podłodze, gdy Sara szamotała się, walcząc o życie. Valentine chwycił ją za przegub skutecznej ręki i Lena zobaczyła, jak Fred Bart robi jej zastrzyk.

Po kilku sekundach Sara przestała stawiać opór. Ze szklistymi oczami opadła na podłogę obok Leny. Ta przyłożyła palce do jej szyi, szukając tętna.

- To tylko środek uspokajający, moja droga - wyjaśnił Bart. - Coś, co łagodzi. Nic jej nie będzie.

Valentine wyjął z kieszeni klucze od kajdanek.

- Tak, nic jej nie będzie, dopóki nie umrze. - Wręczył Bartowi pistolet, mówiąc: - Strzel jej w głowę, jeśli się ruszy.

Bart wziął broń z taką samą wprawą jak tamtej nocy, kiedy siedział obok Charlotte na tylnym siedzeniu escalade.

- Co ty chcesz zrobić, Jake? Nie pisałem się na to wszystko. Ja nie krzywdzę niewinnych ludzi.

- Owszem, jeśli musisz. - Valentine przekręcił klucz kajdanków Sary i jej ręka bezwładnie opadła na podłogę. - Zabierz ją na korytarz, żebym już nie musiał na nią patrzeć - powiedział do Clinta.

Ten się uśmiechnął.

- I zaraz tu wracaj - rozkazał Valentine. - Nie dobieraj się do niej albo utnę ci twojego przeklętego kutasa.

Bart na moment oderwał wzrok od Leny. Przesunęła się w stronę drzwi, a on błyskawicznie wycelował broń w jej głowę.

- Nie próbuj tego, złotko. Oboje wiemy, do czego jestem zdolny.

Lena usiadła na krześle. Kajdanki wciąż zwisały z jej przegubu, więc przesunęła w palcach łańcuch, myśląc, że może posłużyć jej za broń. Zaciśnęła w dłoni zimny metal, jak kastet. Jeśli któryś z nich podejdzie dostatecznie blisko, uderzy go najmocniej, jak potrafi, nie zważając na wycelowaną w jej twarz broń. Lepiej umrzeć od kuli, niż spłonąć żywcem jak Charlotte.

Clint wrócił i wahadłowe drzwi zakołysały się za nim. Zanim znieruchomiały, Lena zdążyła dostrzec leżącą na korytarzu Sarę.

- Jake, co my tu robimy? - zapytał Bart.

Valentine sięgnął do kartonu i z pudełka po lekarstwach wyjął garść pustych opakowań po plastrach na odciski.

- Robimy amfę.

Rozrzucił puste opakowania po kuchennym blacie, a na stole rozsypał zapalki. W pudełku było wszystko, czego potrzebował: rurki, lejki, filtry. Te także wysypał na stół.

- Dlaczego te dziewczyny są tutaj, Jake? - zapytał Bart. - Mówiłem ci po Charlotte, że skończyłem z takim gównem.

- Z niczym nie skończysz, dopóki ci nie powiem.

Bart nadal trzymał broń wycelowaną w Lenę.

- Nie chcę brać w tym udziału.

Valentine zachichotał, otworzywszy szafkę pod zlewo-

zmywakiem. Były w niej nagromadzone przez lata butelki ze środkami czyszczącymi. Odgarnął je na bok.

- Kurwa, mogliśmy użyć tych.
- Tak nie można, Jake - powiedział Bart. - Po prostu nie można.

Al nigdy nie robił takich rzeczy. Nigdy nie ruszał niewinnych ludzi.

- Al zarabiał grosze. My stworzyliśmy tu prawdziwą organizację, Fred. Nie możemy zawieść naszych.

Valentine sięgnął pod zlew i chwycił rurę odpływową. Zaparł się i pociągnął z całej siły.

- Ani drgnie.

Clint stał beczynnie.

- Co mam teraz zrobić?

Valentine pokazał mu pojemniki z rozpuszczalnikami stojące na kuchennym blacie.

- Zmieszaj je. Przygotuj wszystko.

Clint zaczął otwierać butelki i wlewać ich zawartość do fajansowych kubków Hanka. Bart spróbował jeszcze raz.

- Jake...

- Przestań skamleć, Fred. - Valentine jęknął, wstając. - Kurwa mać, jak boli! - zaklął, przyciskając d bok. - A ty wcale się tym nie przejmujesz, Fred. - Valentine złapał się blatu, pozostawiając na nim krwawy dłoń. - Spójrz na mój cholerny bok. Rozciąłem go sobie o te dumne drzwi.

Bart spojrzał na zakrwawiony bandaż.

- Przeżyjesz.
- Dzięki za troskę.

Valentine wytarł usta wierzchem dłoni. Pocił się. Wziął spod zlewu pojemnik z wybielaczem i z trzaskiem postawił go na stole.

- To szaleństwo, człowieku - rzekł Bart. - Co chcesz zrobić?
- Przykujemy ją do zlewu, a potem wysadzimy tę budę w diabły.

Bart pokręcił głową.

- Znajdą kajdanki w...
- Tak, z pewnością odnotuję to, kiedy będę wypełniał

raport - przerwał mu Valentine. - Para policyjnych kajdanków.

- A co z produkcją? - Nerwowo spojrzał na Lenę. - Wyczyściłeś magazyn?

- Opróżniony. Zabrali się do tego, jak tylko pokazała się z tymi zdjęciami.

- Wszystko gotowe - oznajmił Clint, wskazując stojące na kuchennym blacie fajansowe kubki.

Już unosiły się z nich cienkie smużki dymu zmieszanych odczynników.

- Ile to potrwa? - zapytał Valentine.

Clint wzruszył ramionami.

- Kubki są bardzo cienkie. Powiedziałbym, że minie dziesięć, może dwadzieścia minut, zanim popękają od gorąca. Kiedy płyn się wyleje, wybuchnie jak bomba atomowa. Jednak lepiej wynieść się stąd, jak tylko postawisz te kubki na kuchence. Z tymi rzeczami nigdy nie wiadomo. Te chemikalia nie są stabilne.

Valentine poklepał go po plecach za dobrze wykonaną robotę.

- Słyszę cię, chłopcze.

- Niedobrze mi od tego gówna - powiedział Bart. - Myślisz, że jej mąż tak to puści? - Machnął lufą pistoletu w kierunku korytarza. - Przynajmniej zastrzel ją, żeby nie cierpiała. - Spojrzał na Lenę, lecz z mniejszym współczuciem. - Zastrzel je obie. Co ci szkodzi okazać odrobinę litości?

Valentine rozlewał wokół aceton.

- Szkodzi, bo kule zostałyby w ciałach, Fred. Mogę ukryć kajdanki, ale nie kule przed promieniami rentgena. Nawet gdybyś je wyjął, widać, gdzie kula trafiła w kość. Noże też pozostawiają ślady, więc nawet o tym nie myśl, Clint. - Potrząsnął głową, mówiąc do Barta: - Myślałem, że wykonałeś już dość sekcji, by wiedzieć, jak jest. Po prostu przykujemy ją do rury odpływowej i wyniesiemy się stąd w diabły.

Lena w końcu odzyskała głos.

- Co powiecie Jeffreyowi?

Uśmiechnął się do niej.

- Powiemy, że Deacon Simms gotował amfę w kuchni Hanka, a ty i Sara zaskoczyłyście go.

Nawet nie udawała zaskoczonej tym, że ciało Deacona miało być znalezione w zgliszcach. To miało sens.

- Jeffrey wie, że tu byłeś.

- Dowie się, że was podwiozłem - odparł Valentine, wylewając amoniak na ług. - Ponadto dowie się, że potem pojechałem do domu i zjadłem obiad z żoną, zanim wróciła do szkoły.

- Domyśli się, dlaczego złożyłeś rezygnację tego samego dnia, gdy zginęła jego żona.

Bart uważnie przysłuchiwał się tej rozmowie. Lena zauważyła, że zeszywniał.

- Złożyłeś rezygnację? - zapytał.

- Tak - powiedziała Lena, zaciskając w dłoni kajdanki, czekając, aż podejdzie bliżej. - Don Cook powiedział mi, że Jake dziś rano złożył rezygnację. Powiedział, że otrzymał list z pogrózkami i opuszcza to miasto, żeby nie skończyć jak Al Pfeiffer.

- Ona kłamie - rzekł Valentine. - Złożyłem rezygnację, ale...

- Powiedział, że opuszcza miasto - powtórzyła Lena. - Spójrz na te rzeczy, Fred. - Wskazała lejki i chemikalia. - Mieli wszystko przygotowane. Jak myślisz, dlaczego?

- Nie słuchaj jej - ostrzegł go Valentine.

Lena mówiła dalej, dopasowując kolejne fragmenty układanki. Valentine musiał być cholernie zadowolony z siebie. Lena przekazała mu zdjęcia z obserwacji. Niektóre z nich, pokazane właściwym ludziom, ukazałyby Freda Barta jako organizatora całej tej operacji.

- Chcieli cię wrobić, Fred. Planowali to cały czas, czekali tylko na odpowiedni moment, żeby cię odstrzelić. - Pokręcił głową, więc dodała: - Tylko pomyśl, Fred. Popatrz, co się tu dzieje. Jeffrey będzie szukał wyjaśnienia, kogoś, kogo obwini za śmierć żony. Nie widzisz, że Jake robi z ciebie kozła ofiarnego? Ty będziesz tym wyjaśnieniem.

- Nie słuchaj tych bzdur - powiedział Valentine, ale Lena widziała, że trafiła. Był wyraźnie zdenerwowany. Mimo woli zerknął na pistolet. - Daj spokój, Fred. Zrobiło się trochę gorąco i...

Lena i Valentine skulili się, gdy Bart nacisnął spust. Lena instynktownie zasłoniła głowę rękami i luźno zwisa-

jące kajdanki uderzyły ją w twarz. Popatrzyła, spodziewając się ujrzeć zabitego Jake'a Valentine'a, ale to Clint został zastrzelony. Bart był znakomitym strzelcem. Wpakował mu kulę prosto między oczy.

Wydawało się, że Clint pojął to jako ostatni. Stał tam, patrząc pustym wzrokiem i chwiejąc się lekko przez co najmniej dwie sekundy, zanim runął do tyłu na wahadłowe drzwi. Otworzyły się, gdy na nie upadł, i łańcuch, którym jego portfel był przypięty do pasa, brzęknął o deski.

- Czemu to, kurwa, zrobiłeś?! - krzyknął Valentine. - Na miłość boską, Fred. On był człowiekiem Jerry'ego. - Tupnął w podłogę. - Będziesz musiał to wyjaśnić, ty głupi dupku.

Bart trzymał broń wycelowaną w jego pierś.

- Myślisz, że nie wiem, co chciałeś zrobić?

- Co?

- Ona ma rację - rzekł Bart. - Ty nigdy w życiu nie gotowałeś amfy, a Clint stał zbyt wysoko w hierarchii, żeby bawić się tym głównem.

- To nie...

- Co chciałeś zrobić z tym wszystkim? - zapytał, pokazując chemikalia i lejki. - Zamierzałeś zostawić mnie w bagnie, kiedy ty wymknąłbyś się z miasta z tą swoją grubą żoną.

Valentine zacisnął pięści.

- Nie waż się mieszać w to Myry.

- Al i ja utrzymywaliśmy porządek w tym mieście, oddzielaliśmy dobrych od złych przez trzydzieści lat. Ty nie dbasz o to, co jest dobre, a co złe. Rozdajesz prochy jak cukierki.

- Grunt to forsa, człowieku.

- Jakim kosztem?

- Nie przejmowałeś się tym, kiedy co tydzień brałeś ode mnie kupę kasy.

- Jakbym miał jakiś wybór - warknął dentysta. - Byłeś nikim, zwykłym szczyłem, zanim wżeniłeś się w tę rodzinę. Wtedy nagle zrobiłeś się wielką figurą i zacząłeś się nadymać, jakbyś był kimś ważnym. Tymczasem byłeś zwyczajnym palantem.

- Może to był mój pomysł, żeby wrzucić Boyda przez okno do pokoju w motelu! - wrzasnął Valentine. - Co ty na

to, Fred? Jeszcze jeden twój wspaniały pomysł, taki sam jak spalenie nauczycielki na szkolnym boisku. To od tego zaczęła się ta cała zadyma. - Valentine wyglądał na zadowolonego z siebie. - Ty i te twoje głupie metody. Myślałeś, że możesz zastraszyć ludzi tak jak kiedyś, a tylko dolałeś benzyny do ognia. A ja próbuję posprzątać po tobie ten bałagan. I kto tu jest palantem?

- Wiesz, dlaczego trzymali mnie tutaj? - zapytał Bart. - Zadałeś sobie kiedyś pytanie, dlaczego nie sprzedali mi biletu w jedną stronę na bagno? Ponieważ ni cholery ci nie ufali, ty chuderlawy dupku.

Valentine zachichotał.

- Jeśli tak dobrze ich znasz, to wiesz, czym dla nich jest rodzina.

- Sądzę, że z przyjemnością się ciebie pozbędą, oto co myślę.

- A ja myślę, że teraz tylko ja stoję pomiędzy tobą a śmiercią.

- Podejdźcie do zlewu - rozkazał Bart. - Oboje.

- Poczekaj no... - zaczął Valentine.

Bart postrzelił go w nogę.

- Kurwa! - wrzasnął Valentine. - Jezu Chryste, co ty wyprawiasz, do diabła?

Bart schylił się i podniósł łuskę.

- Powiedziałem, żebyście oboje podeszli do zlewu. - A kiedy Lena się nie ruszyła, kopnął jej krzesło. - Mogę zrobić ci większą krzywdę, niż postrzelić, moja droga.

Wstała i podeszła do zlewozmywaka. Valentine ścisnął zakrwawioną nogę, piniąc się.

- Myślisz, że to ci ujdzie płazem?

- Myślę, że będę miał bardzo dużo kul do wydłubania z twojego ciała w kostnicy, jeśli zaraz nie podejdziesz to tego zlewu i nie przełożysz ręki za rurę.

- Sądzisz, że możesz przywrócić dawne czasy? W grę wchodzi zbyt duże pieniądze, Fred. Poślą cię do piachu.

- Zamknij się - rozkazał Bart, kopiąc go w tę nogę, w którą go postrzelił.

- Ja pier...! - wrzasnął Valentine.

Kolana ugięły się pod nim i upadł.

- Ty też - rzekł Bart, wskazując lufą Lenę. - Na podłogę.
Powoli uklękała.

- Nikomu nie powiedziałam, że to ty byłeś w tym samochodzie –
powiedziała. - Milczałam cały czas.

- Wiem, złotko - powiedział Bart. - To naprawdę ładnie z twojej strony.
- Puść mnie - błagała. - Wypuść mnie i Sarę, to nikomu nie powiemy.
Bart błysnął w uśmiechu tymi swoimi paskudnymi zębami.

- Zabawne jest to, Lena, że gdyby chodziło tylko o ciebie, uwierzyłbym
ci. Naprawdę. Jednak pani doktor nie potrafi kłamać. Może próbowałaby, ale
nie umiałaby dochować tajemnicy.

- Zrobi to.
Pokręcił głową.

- Jake, sięgnij tam i przeciągnij kajdanki za rurą.
- Ty skurwysynu - wymamrotał Valentine, łapiąc Lenę za rękę i
przeciągając kajdanki za wygiętą rurą.

- Teraz je zaciśnij - polecił Bart. - Mocniej.
Valentine tak mocno zacisnął kajdanki, że poczerwieniał mu przegub.

- Znajdą cię - ostrzegł Barta. - Znajdą cię i wyrwą ci wnętrzności przez
odbyt.

Bart był już przy kuchence. Maksymalnie odkręcił palniki i kolbę
pistoletu porozbijał gałki. Upewniwszy się w ten sposób, że nie da się ich
zakręcić, wziął fajansowe kubki i poustawiał je na zapalonych palnikach.

- Umrzesz za to - ostrzegwał Valentine. - Myślisz, że zabicie mnie ujdzie
ci na sucho? Jestem pieprzonym generałem Bractwa Prawdziwej Białej
Skóry. Jego zemsta spadnie na ciebie jak gniew białego Boga.

- Tak, tak - odparł Bart. - A ciebie będzie pieprzył największy czarny
kutas w piekle.

Podniósł nogę i kopnął Valentine'a w twarz. Kopniak nie był silny, lecz
głowa Valentine'a była na wysokości dna zlewozmywaka. Ze złowieszczym
trzaskiem uderzył potylicą o żeliwną krawędź. Osunął się na podłogę,
brocząc krwią.

Bart przyklęknął i przetrząsnął mu kieszenie, cały czas celując w pierś Leny.

- Nie rób tego - prosiła. - Proszę, nie rób tego.

Znalazł telefon komórkowy Valentine'a i zmiażdżył go obcasem taniego buta.

- Naprawdę mi przykro, moja droga - powiedział.

- Taak - mruknęła Lena, myśląc o tym, że gdyby miała wolne ręce, udusiłaby go. - Słuchaj, nie ma problemu. Rozumiem.

Bart potrząsnął głową i jego oczy przybrały nieobecny wyraz.

- Jesteś taka sama, jak była twoja matka. Wiesz o tym?

Była. Lenę ścisnęło w gardle i zupełnie straciła wolę walki.

- Co się z nią stało? - spytała. - Proszę. Muszę to wiedzieć.

- Była jedną z tych dobrych, którzy przeszli na złą stronę. złotko. - Bart wstał i sprawdził kubki na kuchence. - Teraz jest w lepszym miejscu. - Wskazał na pomieszczenie i całą tę sytuację. - Mam nadzieję, że to przyniesie ci spokój.

- Spokój? - powtórzyła. - Żartujesz sobie, do cholery! Myślisz, że oddajesz mi przysługę, zabijając mnie?

Bart rzucił broń na stół.

- Przykro mi, dziecino.

Otworzył drzwi i cicho zamknął je za sobą.

- Ja pier...! - wrzasnęła Lena, kopiąc Valentine'a w nogę

Z jękiem przetoczył się na bok. Zobaczyła czubek jego rozbitej głowy.

Teraz dobrze widziała placek łysiny. Ta od słaniała fragment czegoś, co mogło być tylko wytatuowaną na głowie czerwoną swastyką.

- Sara! - krzyknęła Lena, wiedząc, że nie będzie odpowiedzi. - Sara!

Wychyliła się najdalej, jak mogła, by spojrzeć nad ciałem niezwywego Clint'a. Sara wciąż leżała, nieobecnym wzrokiem patrząc na Lenę.

Lena przeciągnęła rękę Valentine'a za rurą, stękając z wysiłku. Był zupełnie bezwładny, jakby była przykuta do głazu. Ciągnąc i popychając, zdołała wciągnąć go do szafki, tak że rękę po łokieć miał za rurą. Mamrotał coś, prosząc, żeby przestała i pomogła mu, ale Lena zignorowała jego błagania

zapiernając się nogami o szafkę i chwyciwszy go oburącz za nadgarstek, ciągnęła ze wszystkich sił, o mało nie wyrwijając sobie rękę ze stawów. Kiedy wciągnęła go do szafki, odchyliła się maksymalnie do tyłu i z całej siły kopnęła w rurę.

- Na pomoc! - wrzeszczała, kopiąc raz po raz, przy czym czasem jej noga ześlizgiwała się i trafiała w ramię Valentine'a. - Na pomoc!

- Lena... - wyszeptał Valentine, wyciągając do niej rękę. - Proszę...

Pokój wypełniła rzadka mgła i Lena zaczęła kaszleć. Wygięła rurę, ale ta wciąż trzymała - była chyba jedyną rzeczą, jaką Hank wymienił w tym rozpadającym się, zasranym domu. Wrzeszcząc z wściekłości, kopła rurę, aż posiniaczyła sobie nogę tak, że ledwie mogła ją unieść.

- Na pomoc! - zawołała jeszcze raz, wiedząc, że nikt nie przyjdzie.

Bart wystrzelił dwukrotnie, ale nikt nie pospieszył im z pomocą. To była dzielnica klasy pracującej. W piątkowy rano mieszkańców nie było w domach - a przynajmniej nie było nikogo, kogo zaniepokoiłyby te hałasy.

Broń. Lena zobaczyła ją leżącą na stole pod ścianą. Rzuciła się do niej i o mało nie wyrwała sobie ręki ze stawu. Nie zdołała dosięgnąć stołu. Przetoczyła się na plecy i spróbowała zaczepić stopami o nogę stołu, żeby go przyciągnąć. Zawadziła o metalową nogę dużym palcem i znieruchomiła, słysząc trzask pękającego szkła. Nad stołem uniosła się chmura białego dymu. Jakiś płyn zaczął kapać na podłogę i skwiercząc jak smażony boczek, przeżerał linoleum. Co jej wpadło do głowy? Tylko wypuściła w powietrze więcej oparów. A nawet gdyby zdołała dosięgnąć broni? Nie mogła tu wystrzelić. Powietrze już było od nich gęste. Płomień wystrzału wysadziłby w powietrze cały dom.

- Nie, nie, nie - dyszała. Usiadła i usiłowała zebrać myśli. - O Boże, proszę.

Jeszcze raz szarpnęła kajdankami i wrzasnęła z bólu. Jej przegub był siny i zakrwawiony. Bolał tak, że chyba miała złamaną rękę.

- Nie - szepnęła, kaszłąc.

Poczuła przeszywający ból w płucach. Miała wrażenie, że są pełne waty. Odkaslnęła, próbując je oczyścić, ale na

próżno. Siegnęła i odkręciła kran, a potem podstawiła dłoń i przemyła sobie wodą usta i oczy.

Przez tyle lat modliła się w tym domu, żeby nie umrzeć tutaj, żeby jakoś wydostać się z tego okropnego miasta i zrobić coś ze sobą, a teraz była tu, uwięziona w domu Hanka, gdzie miały się ziścić jej najgorsze obawy.

Lena powstrzymała szloch. Jeffrey to wyjaśni. Nie dopuści, żeby ten pieprzony dentysta wykonał sekcję jego żony. Ściągnie stanowych, żeby obejrzeni ciała. Odkryją rozbitą czaszkę Valentine'a. Może z Leny zostanie tyle, by zauważyli sińce na podeszwach jej stóp i zmasakrowany przegub.

Przegub.

Nagle Lena znalazła wyjście z sytuacji.

Wyciągnęła ręce, usiłując złapać Clinta za nogawkę spodni lub but, cokolwiek. Nie mogła dosięgnąć. Położyła się płasko na brzuchu, z ręką jak najdalej wyciągniętą za głowę i spróbowała przyciągnąć go nogami. Był ciężki, ale zdołała ścisnąć obunóż jego stopę i przyciągnąć go bliżej, po czym zaczepić swój but o łańcuch łączący jego portfel z paskiem. Napięła mięśnie brzucha i wrzeszcząc z wysiłku, przyciągała ciało. Usiadła, wyciągnęła rękę i w końcu zdołała chwycić nogawkę jego spodni i przysunąć ciało dostatecznie blisko, żeby dosięgnąć noża, który miał u pasa.

Spojrzała na Valentine'a. Patrzył na nią ze strachem w oczach.

Nie traciła czasu na namysły, tylko wzięła nóż i wbiła w jego przegub. Valentine otworzył usta, ale nie krzyknął. Wydał z siebie przenikliwy skowyt, który zdawał się trwać wiecznie. Lena próbowała go nie słyszeć, ponownie wbijając nóż, usiłując znaleźć miękkie miejsce, gdzie ścięgną łączą kości. Żołądek podszedł jej do gardła i o mało nie zemdląła z obrzydzenia, gdy krew obryzgała jej twarz. Kajdanki tak mocno wpijały się w jego przegub, że nie mogła się zamachnąć z obawy, że stępi lub złamie nóż. Przestała, usiłując złapać oddech i nie zwymiotować. Usłyszała bulgotanie gotujących się na kuchence płynów.

- Proszę... - szepnął Valentine. - Nie, Boże, proszę...

Odsunęła na bok resztki rozbitego telefonu komórkowego, mocno przycisnęła jego rękę do podłogi i oparła nóż o przegub.

- Nie - błagał coraz głośniejsz Valentine, widząc, co zamierza zrobić. - O Boże! O Boże! Nie!

Lena wstała i przydepnęła nóż butem, aż obosieczne ostrze wbiło się w podeszwę. Oparła się czołem o kuchenny blat, żeby utrzymać równowagę, po czym przeniosła cały ciężar ciała na jedną nogę, z chrzęstem wbijając nóż w przegub Valentine'a.

- Nie! - zaskomlił jak zwierzę, wierzgając nogami.

Naciskała butem na ostrze, napierając całym ciężarem swego ciała, aż nóż przeciął tkanki.

Kajdanki zwiślały z jej przegubu, z tkwiącą w nich niczym wyrwany żąb dłońią Valentine'a. Były tak mocno zaciśnięte, że z nich nie wypadła. Lena wstała i dłoń klepnęła ją w udo. Zakrztusiła się dymem, który gęstniał coraz bardziej. Piekły ją oczy i traciła orientację.

W rozgrzanych kubkach na kuchence wrzały płyny. Spróbowała zakręcić kurki, lecz pozostały z nich tylko stalowe trzpienie, które nie chciały się obracać. Pomieszczenie wypełniły chmury czarnego dymu. W oddali zobaczyła, że Sara zdołała usiąść. Poruszyła wargami, ale nie próbowała wstać i wydostać się z płonącego domu.

Lena chwiejnie ruszyła ku niej, zawadziła o stół i strąciła na podłogę pudełko z zapalkami. Spojrzała na nie i zauważyła, że wszystkie były pełne i miały poodrywane draski. Ręka pulsowała jej boleśnie i Lena uświadomiła sobie, że skaleczyła ją o rozbite szkło. Poczła dziwny odór i przeszywający ból. Kwas. Oparła dłoń o rozbitą butelkę z kwasem. Otworzyła usta, lecz nie miała w płucach dość powietrza, żeby krzyknąć, gdy gwałtownie cofnęła rękę.

- Lena... - wołał Valentine za jej plecami. - Proszę...

Ruszyła naprzód, oddalając się od jego głosu. Miała wrażenie, że skóra spływa jej z kości dłoni, ale szła dalej, zmuszając nogi, by niosły ją ku Sarze, chociaż wszystkie działające jeszcze zmysły nakazywały jej ruszyć w przeciwną stronę.

Zakasłała, krztusząc się dymem, a gorąco zamkniętego pomieszczenia parzyło jej skórę. Dobrze to wszystko obmyślił. Kuchnia stała się marzeniem szalonego naukowca i koszmarem każdego policjanta.

Baterie litowe. Jodyna. Rozpuszczalnik do farb. Ług.

Niektóre ze składników używanych do produkcji metylo-amfetaminy zostały wykorzystane przy sporządzaniu bomby, którą wysadzono Murrah Building w Oklahoma City.

Musiała dotrzeć do Sary, zanim dom wyleci w powietrze, musiała wyprowadzić ją na zewnątrz.

- Sara! - krzyknęła Lena, chwiejnie idąc korytarzem. Przykucnęła przed nią, złapała pod pachy i spróbowała ją podnieść. - Na pomoc! - zawołała, czując skurcz w nogach, gdy opierała ją o ścianę.

Teraz dym był już tak gęsty, że nic nie widziała. Czowała cieknące po policzkach łzy, wyciśnięte przez drażniące opary. Coś huknęło w kuchni, jakby ktoś otworzył szampana lub strzelił z korkowca. Lena zarzuciła sobie rękę Sary na ramiona i powlokła ją do frontowego wyjścia. Zobaczyła smugę światła wpadającą przez szparę niedomkniętych drzwi.

- Proszę, Saro - błagała. - Proszę, pomóż mi. Nie mogę cię podnieść.

Sara zaczęła niezdarnie poruszać nogami. Lena pociągnęła ją naprzód i szarpnięciem otworzyła drzwi. Oślepiło ją światło. Poczowała, jak kajdanki i to, co wciąż w nich tkwiło, uderzyły o framugę drzwi, gdy wypychała Sarę na zewnątrz.

Obie upadły bezwładnie u podnóża schodów, ale Lena nie zamierzała tam leżeć. Złapała Sarę pod pachy i idąc tyłem, przeciągnęła przez podwórze i na ulicę. Dotarły do chodnika po drugiej stronie, gdy nagle powietrze zmieniło się. Jakby cały tlen został wessany do domu, a w następnej chwili powrócił gorącym podmuchem. Lena usłyszała eksplozję, dopiero leżąc na ziemi i osłaniając Sarę własnym ciałem. Potem poczuła żar, okropne gorąco, które oparzyło jej skórę.

Leżała na Sarze. Zużyła całą adrenalinę czy cokolwiek to było, co pozwoliło jej wydostać się wraz z Sarą z tego domu. Jakoś zdołała przetoczyć się na bok i upaść na plecy.

W oddali wycie syreny oznajmiało, że wreszcie nadchodzi pomoc. Lena zamknęła oczy, pozwalając sobie na ulgę, a potem radość, że uszła z życiem. Usiadła z trudem, kaszląc i plując krwią. Dłoń bolała ją tak, że ledwie mogła oddychać. Starła się na nią nie patrzeć, nie widzieć strawionego przez

kwasy ciała. Nagle zauważyła puste kajdanki, zwisające z jej przegubu. Rozejrzała się, a potem powiodła wzrokiem po ulicy, aż do drzwi. Nic.

Sara spróbowała usiąść, ale opadła z powrotem na trawnik. W głębi ulicy Lena zobaczyła radiowóz biura szeryfa okręgu Elawah, z dużą szybkością wyjeżdżający z zakrętu.

- Co się stało? - wymamrotała Sara, przyciskając palce do oczu. - Lena, co się stało?

- Wszystko w porządku - powiedziała jej Lena. - Już po wszystkim.

- Nic ci nie jest? - zapytała Sara. Wciąż zachowywała się jak lekarz, choć nie mogła się ruszyć.

Radiowóz z piskiem zatrzymał się przed nimi. Lena próbowała wstać, gdy wysiadł z niego Don Cook. Nogi nie chciały jej słuchać, a dłoń paliła ją żywym ogniem.

- Co się tu dzieje, do diabła? - zapytał zastępca szeryfa.

Lena czuła w ustach smak krwi. Ścisnęła ją w dołku i ledwie mogła mówić.

- Fred Bart - powiedziała Cookowi. - Musisz znaleźć Freda Barta.

Sara zdołała usiąść. Położyła dłoń na plecach Leny i kazała jej głęboko oddychać. Lena spróbowała to zrobić, ale zakrztusiła się krwią. Zaniosła się kaszlem.

Usłyszała jeszcze głos Sary.

- Wezwij karetkę!

Potem straciła przytomność.

PONIEDZIAŁEK

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Nick Shelton nie wyraził się dostatecznie precyzyjnie, kiedy powiedział Jeffreyowi, że Biuro Śledcze stanu Georgia może wkroczyć tylko wtedy, jeśli poproszą ich o to miejscowe organa ścigania. Był jeden wyjątek od tej reguły: kiedy miejscowe organa ścigania były tak skorumpowane, że biuro stanowe nie miało innego wyjścia, jak wkroczyć i zrobić porządek. Nie ma lepszego dowodu korupcji niż próba wysadzenia policjantki i żony komendanta policji w wytwórni metamfetaminy, tak więc stanowe Biuro Śledcze spadło na okręg Elawah jak rój rozwścieczonych szerszeni.

Jeffrey był w połowie drogi między więzieniem stanowym Coastal a Reese, gdy zadzwonił jego telefon komórkowy. Nie znał numeru dzwoniącego, ale natychmiast rozpoznał głos.

- U mnie wszystko w porządku - powiedziała mu Sara, nie tracąc czasu na wstępy.

Słyszac to, zamarł, gdyż nie mówisz, że u ciebie wszystko w porządku, jeśli wcześniej nie było bardzo nie w porządku.

Sara dzwoniła do niego z ambulansu i syrena w tle konkurowała z jej głosem. Opisała mu wszystko, co pamiętała, jak Valentine sięgnął po broń, a Bart wstrzyknął jej coś, co ją odurzyło. Zanim skończyła opowiadać, Jeffrey tak mocno zaciskał zęby, że ledwie mógł mówić. Podczas gdy on pieprzył głupoty z Ethanem Greenem, Sara była w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Nigdy sobie nie wybaczy tego, że zostawiła ją samą z Valentine'em. Gdyby nie to, że szeryf już nie żył, Jeffrey znalazłby go i zabił.

Dwie godziny później, kiedy wreszcie dotarł do szpitala Sara wydawała się bardziej przejmować Leną niż sobą. Niepokoiła, się czy chirurg plastyczny jest dostatecznie dobry

by zoperować oparzenia na jej dłoni, i obawiała się rozwoju infekcji w płucach, pewna, że pulmonolog nie wie, co robi. Nerwowo przechadzając się tam i z powrotem, wyrażała te obawy, aż Jeffrey złapał ją i przytrzymał.

- Nic mi nie jest - powtarzała mu długo po tym, jak zrozumiał, że te słowa kierowała bardziej do siebie niż do niego.

Nawet kiedy wiozł ją z powrotem do Grant, wciąż mówiła mu, że czuje się świetnie. Załamała się dopiero wieczorem. Powiedział jej, że wraca do Reese, żeby pomóc Nickowi Sheltonowi przesłuchać Freda Barta. Nie prosiła go, żeby nie jechał, ale rankiem czuł się jak przestępca, gdy wymykał się z domu, zanim się zbudziła.

Jeffrey podjechał pod areszt okręgu Elawah, obiecując sobie, że naprawdę po raz ostatni widzi to miejsce na oczy. Na parkingu przed budynkiem stała furgonetka HAZMAT, a funkcjonariusze kręcili się wokół, pijąc kawę. Po wybuchu w domu Hanka ewakuowali sąsiadów w promieniu pół mili, żeby oczyścić teren z toksycznych odpadów. Z szeryfa zostały tylko próbki DNA, które znaleźli na podwórku, oraz odcięta dłoń.

Jake Valentine. Jeffreyowi robiło się niedobrze, ilekroć o nim pomyślał. Teraz, kiedy Valentine nie żył, odkryli różne interesujące fakty. Jego skromny dom w mieście najwyraźniej był zasłoną dymną. Szeryf miał dużą posiadłość nad jeziorem, z przycumowanymi tam dwiema łodziami motorowymi. Nie był notowany, ale jego brat - tak. David Valentine został śmiertelnie pchnięty nożem w bójce z konkurencyjnym gangiem skinheadów, lecz sądząc po rejestrze jego przestępstw, zaszedł wysoko w Bractwie. Podpalenie, gwałt, napaść z użyciem niebezpiecznego narzędzia, próba

Valentine najwyraźniej wyciągnął wnioski z błędów brata i starał się nie rzucać w oczy. Poza zatrzymaniem za pijaństwo w publicznym miejscu podczas nauki w college'u w policyjnych rejestrach nie było nic, co wskazywałoby na to, że był skinheadem i handlarzem, przez którego ręce przechodziły narkotyki warte miliony dolarów. Brakującym kawałkiem łańcucha była Myra, jego żona. Myra Valentine, z domu Fitzpatrick, była młodszą siostrą Jerry'ego i Carla Fitzpatricków, przywódców Bractwa Prawdziwej Białej Ra-

sy. Ich rodzice przenieśli się do Elawah, po tym jak w ich rodzinnym mieście w New Hampshire dano im wyraźnie do zrozumienia, że nie życzą sobie, by zamieszkiwali tam zabójcy policjantów. Myra polubiła Reese na tyle, by tu zostać. Jake Valentine wzenił się we wpływową rodzinę, która - jak większość wpływowych rodzin - znalazła zajęcie dla cwanego szwagra.

Nick wysłał pismo do siedziby Bractwa w New Hampshire, domagając się przesłuchania Myry. Nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

Jeffrey nigdy do końca nie ufał Jake'owi Valentine'owi, lecz tak się uwziął, by obwiniać o wszystko Ethana, że zostawił Sarę i Lenę same z szeryfem. Teraz nie wiedział, czy się złościć, czy wstydzić swojej ślepoty. Przypomniał sobie słowa Grovera Gibsona tamtego dnia, kiedy Jeffrey i Valentine udali się do jego chaty w lesie, aby mu powiedzieć, że jego syn nie

- Ty mu to zrobiłeś! - wrzasnął Grover i z pięściami rzucił się na szeryfa. - Ty go zabiłeś!

Valentine tak zręcznie to ukartował, uprzedzając Jeffreya, że Grover obwinia go o uzależnienie syna od narkotyków. Tak więc Jeffrey stanął w obronie szeryfa.

Teraz nie mógł o tym myśleć, bo doprowadzało go to do szału. Powinien się skupić na Fredzie Barcie. Przebiegły dentysta był jedynym, którego można było ukarać, a wyglądało na to, że będzie się zażarcie bronił. Był w swoim gabinecie, wypełniając ubytek w zębie, gdy Don Cook w końcu zaczął go szukać. Bart się upierał, że zupełnie przypadkowo pacjentem na fotelu był jego adwokat. Nick był pewien, że Jeffrey pomoże mu złamać dentystę. Jeffrey nie podzielał jego optymizmu. Okręg Elawah stał na sekretach liczących dziesięciolecia. Miasto kwitło, odwracając głowę. Jeffrey bardzo wątpił, by ktoś zdołał to zmienić, szczególnie Fred Bart.

Hol aresztu był jeszcze mniejszy, niż Jeffrey pamiętał. Don Cook zapewne był w biurze szeryfa na górze, wybierając nowe meble. Nick siedział przy jego dotychczasowym biurku, przerzucając jedno z czasopism łowieckich zastępcy. Podniósł głowę i zobaczył Jeffreya.

- Wyglądasz koszmarnie, człowieku.

- Sara nie jest uszczęśliwiona tym, że tu jestem.

- Przywyknie - rzekł Nick, ale Jeffrey nie był tego pewien. - Naprawdę jestem wzburzony z powodu Boba Burga. Zgarnęli go zeszłej nocy.

Jeffrey też tak się czuł. Miał Burga za jednego z dobrych facetów, tymczasem agent GBI od lat brał łapówki.

- Mówi coś?

- Ani słowa - odparł Nick. - Bob nie jest głupi. Wie, że przez jakiś czas nie wyjdzie z mamra, i nie zamierza wydać żadnego cholernego skinheada.

- Nie znalazłeś żadnego dowodu na to, że Hank się z nim kontaktował?

- Człowieku, Bob nie prowadził dziennika. A nawet gdyby, musiałby zeznawać, a tego nie zrobi. Ci pieprzeni naziści są wszędzie. Bob i tak przez resztę życia będzie spał z otwartymi oczami.

Jeffrey pomyślał, że zawsze to coś.

- Co z Leną?

- Dobrze - odparł, rad ze zmiany tematu. - Muszą zająć się jej płucami, ale w połowie przyszłego tygodnia powinna wrócić do domu. - I dodał: - Wczoraj w nocy przywieźli ją do tego samego szpitala, w którym leży Hank.

- I co z nim?

- Lepiej. Jednak niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło. A co z Bartem, powiedział już coś?

- Gównu - wymamrotał Nick, wstając od biurka. - Nie robi nic innego, tylko mówi. Ten duppek myśli, że zdoła się ze wszystkiego wykręcić. Twierdzi, że Lena musiała być odurzona chemikaliami i wszystko pokręciła. Jego adwokat mówi, że Bart powie nam wszystko, co wie na temat Valentine'a, jeśli ograniczymy zarzuty do nieudzielenia pomocy.

Jeffrey roześmiał się po raz pierwszy od kilku dni.

- Naprawdę myśli, że zdoła się z tego wywinąć?

- Jego prawnik napomknął, że zgodzi się na wyrok z zawieszeniem i nadzór sądowy.

Jeffrey znów się uśmiechnął. Nagle nie mógł się doczekać spotkania z Fredem Bartem. Nick spowaźniał.

- Chcę, żebyś przyjrzał się temu prawnikowi. Coś się tu szykuje.

- W porządku - zgodził się Jeffrey. - Masz wszystko?

Nick wręczył mu akta, po czym sięgnął pod blat biurka i wcisnął przycisk otwierający drzwi. Jeffrey poszedł za nim na tyły budynku, myśląc, że choć minęło zaledwie kilka dni, wszędzie już unosi się aura zaniedbania. Don Cook nie nadawał się na szefa, a potrzebny był ktoś o mocnej osobowości i dużym doświadczeniu, aby pomóc miastu odzyskać równowagę po zdradzie Valentine'a. Jeffrey dawał Cookowi najwyżej dwa miesiące, zanim ustąpi, przejdzie na emeryturę i przez resztę życia będzie

Przed niewielką salą konferencyjną stała kamera cyfrowa na statywie. Nick zapukał knykciami w drzwi i otworzył je.

- W końcu - powiedział Bart, jakby się ucieszył na ich widok.

Jeffrey rzucił na stół akta otrzymane od Nicka, po czym wyciągnął rękę i przedstawił się adwokatowi Barta. Ten nie podał swojego nazwiska, a po drogim garniturze i modnej fryzurze Jeffrey poznał, że prawnik lepiej się czuje w Atlancie niż w okręgu Elawah.

Nick pokazał kamerę.

- Poczekajcie tylko, aż ją ustawię.

Pogwizdując pod nosem, umieścił statyw u szczytu stołu, robiąc to tak powoli, jakby miał mnóstwo czasu. Jeffrey wiedział, że agent chce wyprowadzić dentystę z równowagi, ale na niego też to działało. Zanim Nick skończył, Jeffrey o mało nie zaczął wiercić się na krześle.

Nick usiadł obok niego, naprzeciw Barta i jego adwokata.

- Jestem Nick Shelton z Biura Śledczego stanu Georgia - powiedział do kamery. - Obok mnie siedzi komendant policji okręgu Grant, Jeffrey Tolliver, który poprowadzi przesłuchanie. Zgadza się, chłopcy?

Prawnik skinął głową. Był krępy mężczyzną o krótko ściętych włosach. Jeffrey zastanawiał się, czy ma coś wytatuowane na czaszce.

- Możemy mieć to już za sobą? - rzekł Bart.

Jeffrey otworzył leżące na stole akta. Rozłożył zdjęcia, które znaleźli w teczce na biurku Jake'a Valentine'a. Sądząc po zwęglonych resztkach w koszu, tych zdjęć było więcej, ale

Valentine postarał się, żeby zrobione przez Lenę fotografie obciążały tylko Freda Barta i Boyda Gibsona. Szeryf mówił prawdę, kiedy powiedział Jeffreyowi, że wezwał Biuro Śledcze. Poczta głosowa biura Nicka zarejestrowała wiadomość pozostawioną przez niego godzinę przed tym, zanim Jeffrey i Sara przybyli do aresztu. Valentine z udawanym przygnębieniem opisał sprawę umoczonego w narkotykach dentysty.

Fred Bart ledwie spojrział na fotografie. Były ziarniste, ale wyraźne. Jeffrey postukał palcem w środkową, ukazującą Freda Barta z Boydem Gibsonem, palących papierosy przed jakimś opuszczonym magazynem. Na drugim planie finalizowano sprzedaż narkotyków. Inne zdjęcie pokazywało Barta w jego jaguarze, przekazującego gruby plik banknotów Boydowi Gibsonowi. Wszystkie zdjęcia wskazywały na Freda Barta jako głównego organizatora, a Gibsona czyniły jego pomocnikiem.

- Oczwisty fotomontaż - wypalił Bart.

- Jestem pewien, że znajdziesz eksperta, który powie to sądowi - przyznał Jeffrey.

Jake Valentine wykonał dobrą robotę, wrabiając dentystę. Gdyby Lena nie zobaczyła tatuażu pod pachą szeryfa, nikt nie kwestionowałby dowodów ani przyczyny śmierci Barta, zabitego przez Clintona Jonesa w prymitywnym laboratorium produkującym metamfetaminę.

- Na twoje konto w banku w piątek rano wpłynęło ponad dwieście tysięcy dolarów - powiedział mu Jeffrey.

- Byłem w moim gabinecie z pacjentami. Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

- Mówisz o tym gabinecie, w którym znaleziono dość prochów, by uspać stok dla narciarzy? - I po chwili dodał: - Jake przygotował pokazowe aresztowanie dla Biura Śledczego.

Bart powoli pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

Jeffrey wyjaśnił mu to bez ogródek.

- Grozi ci kara śmierci.

- Mój klient pomaga, jak może - wtrącił adwokat.

- Z zimną krwią zastrzelił człowieka na oczach policjantki.

- Była odurzona - zaprotestował Bart, zgodnie z przewidywaniami Nicka. - Przy takim stężeniu chemikaliów w pomieszczeniu dziwię się, że w ogóle pamięta, że tam była. Wiecie, co zrobiła Jake'owi. Odcięła mu dłoń! To nie jest zachowanie trzeźwo myślącej osoby.

Jeffrey uważał, że to zachowanie kogoś, kto nie chce umrzeć.

- Wstrzyknąłeś mojej żonie środek uspokajający.

- Jake zrobiłby jej krzywdę, gdybym jej nie uśpił. Wiem, co mówię. Był niebezpiecznym człowiekiem.

Prawnik zeszywniał. Jeffrey nie zauważyłby tego, gdyby go nie obserwował.

- A w jaki sposób chroniłeś Charlotte Warren na tylnym siedzeniu escalade? - zapytał Jeffrey Barta.

- Już mówiłem pańskiemu przyjacielowi, że to nie byłem ja - upierał się Bart. - Tamtej nocy byłem w domu i oglądałem telewizję.

- Lena jest gotowa cię zidentyfikować.

Bart się uśmiechnął.

- O ile mi wiadomo, sprawca tamtej zbrodni był zamaskowany.

- Owszem - przyznał Jeffrey. - Jednak maska niczego nie ukrywa, jeśli ktoś ma kły jak łasica.

Bart mimo woli zakrył dłonią usta.

- Opowiedz mi o Boydzie Gibsonie - powiedział Jeffrey.

Prawnik wyraźnie nadstawił ucha na dźwięk tego nazwiska. Czy Fred Bart był jedyną osobą w tym pokoju, która nie zdawała sobie sprawy z tego, że facet pracuje dla kogoś innego? Jeffrey z przyjemnością podwinąłby mu rękawy i obejrzał tatuaże.

- Boyd Gibson? - powtórzył pytanie.

Bart mówił powoli, ledwie poruszając wargami, jakby mógł ukryć swoje zęby.

- Jake powiedział mi, co się stało - rzekł. - Clint i Boyd nigdy się nie zgadzali, ale Jake trzymał ich w ryzach. Kazał im spalić bar Hanka. Lena spędziła tam trochę czasu, a Jake'owi nie podobało się, że weszła w mieście. Próbował ją wypłoszyć.

- I co? - zachęcił Jeffrey.

- Cóż, Jake powiedział, że rozlali benzynę wokół baru. Clint rzucił zapalniczkę, a wtedy Boyd zaczął krzyczeć, że Hank trzymał tam sporo pieniędzy, pod podłogą czy gdzieś.

- I wbiegł do płonącego budynku, żeby zabrać forszę? - spytał Jeffrey, myśląc, że jeśli Bart mówi prawdę, to on ryzykował życie, by uratować jednego z najgłupszych skurwieli na świecie.

Bart kiwnął głową.

- W tym momencie pojawił się pan. Boyd uciekł i spotkał się w lesie z Clintem. Pokłócili się o coś. Mówiłem już, że byli zapalczywi. - Bart zamilkł, dla lepszego efektu. - W każdym razie Clint w końcu zadźgał Boyda.

- I co potem?

- Potem musiał powiedzieć o tym Jake'owi.

- A co z nożem?

- Clint nie chciał rozstawać się ze swoim nożem, bo to był drogi nóż, więc posłużył się innym, który... znalazł. - Dentysta rozłożył ręce i wzruszył ramionami. - Rozumiecie, usłyszałem tę historię z ust Jake'a, więc nie mogę potwierdzić jej prawdziwości.

- Taak - mruknął Jeffrey. - Rozumiem. - Założył ręce na piersi. - Czy Jake mówił, kto wpadł na pomysł, żeby wrzucić ciało Boyda do mojego pokoju w motelu?

- On. Jake myślał, że jeśli przestraszy pańską żonę, wyjedziecie z miasta.

- A co z Charlotte Gibson?

- Jake zaniepokoił się, ponieważ rozmawiała z Leną.

- Dlatego ją spalił?

- Tak. Jake lubił takie ostrzeżenia.

- Naprawdę?

- Tak.

Jeffrey przypomniał sobie, co Lena powiedziała o ostatnich słowach Barta do Valentine'a i ich wzajemnej niechęci. Dentysta uzupełniał swoje dochody handlem metamfetaminą, kiedy jeszcze Valentine był w pieluchach. Był w tym mieście ważną figurą, dopóki Myra nie poślubiła swojego chłopaka z college'u.

- Jeśli dobrze zrozumiałem - podsumował Jeffrey, licząc na palcach trupy. - Clint Jones zabił Boyda Gibsona, Jake zabił Charlotte, a ty oczywiście byłeś tak miły, że zastrze-

lifeś Clinty... Zapewne w samoobronie? Domyślam się, że pozostawienie Leny i Sary w płonącym domu było z twojej strony drobnym przeoczeniem?

- Wiem, że nie powinienem zostawiać tam tych kobiet, ale byłem przerażony. Jake ma wpływowych przyjaciół. Uciekłem, ponieważ się przestraszyłem. Biorę za to na siebie pełną odpowiedzialność.

- Miło mi słyszeć, że bierzesz za coś odpowiedzialność.

Bart próbował się bronić:

- Zadzwoiłem do biura szeryfa i zgłosiłem to anonimowo.

Nick najwyraźniej już to słyszał.

- Odsłuchaliśmy wszystkie taśmy z piątku, Fred. Niczego tam nie ma.

- Musicie szukać dalej - upierał się Bart. - Dzwoniłem z budki przy Stop 'n' Save. Na aparacie powinny być moje odciski palców.

Jeffrey nie wątpił, że na telefonie będą odciski palców Barta. Ten miał mnóstwo czasu na zapewnienie sobie alibi, kiedy Lena i Sara walczyły o życie.

- A co z pozostałym ciałem?

- Pozostałym ciałem? - powtórzył Bart. - Jakim ciałem?

Wyglądał na równie zdziwionego jak Sara i Lena. Obie przysięgały, że w domu Hanka nie widziały nikogo innego, tymczasem w zgłiszcach w pobliżu pokoju na tyłach domu znaleziono szczątki jakiegoś mężczyzny.

- W zgłiszcach domu Hanka Nortona znaleziono szkielet. Koroner twierdzi, że należał do mężczyzny w podeszłym wieku, prawdopodobnie po sześćdziesiątce.

Bart spojrział na swoje dłonie.

- Nic o tym nie wiem.

- Nic nie wiesz o wielu sprawach - rzucił Jeffrey. - Myślę, że siedzisz sobie i główkujesz jak szalony, próbując znaleźć jakąś odpowiedź na każde pytanie, tymczasem nie masz pojęcia, jak głębokie jest bagno, w które wpadłeś.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

Jeffrey spojrział na Nicka. Obaj wiedzieli, że Bart jest zbyt arogancki lub zbyt głupi, by zrozumieć, że jego życie skończyło się w tej samej chwili, gdy zastrzelił Clintę Jonesa i kazał Jake'owi Valentine'owi wejść pod zlew.

- No dobra - westchnął Nick. Oparł się o blat stołu i wstał.
- Co robicie? - jęknął Bart.
- Pakujemy się - powiedział mu Nick, składając statyw. - Ty nie masz zielonego pojęcia o niczym, Tonto, a mam przeczucie, że Lone Ranger zaraz ruszy z powrotem do corralu, zając się swoimi pieseczkami.

Prawnik zachichotał.

- Dobrze powiedziane.
- Bez urazy, koleś - powiedział do niego Nick - ale naprawdę mamy nadzieję, że to nie zajdzie dalej, niż musi.

- Sądzę, że ponieśliśmy już wystarczająco poważne straty. - Prawnik przesunął po stole pozostawione przez Valentine'a zdjęcia Freda Barta. - Wydaje mi się, że macie tu przygniatające dowody winy. Z pewnością wystarczające, aby skazać winnego. - Wstał i powiedział do Jeffreya: - Bardzo mi przykro, że pańska żona ucierpiała. - I po namyśle dodał: - I z powodu pańskiej detektyw też, oczywiście.

Jeffrey zrozumiał go, ale chciał mieć jasność.

- Jeżeli będą już bezpieczne.

- Będą.

Prawnik odwrócił się by odejść, ale Bart złapał go za rękę.

- Powiedziałeś, że pójda na ugodę! - wrzasnął. - Mówiłeś, że...

- Zabierz ręce - warknął adwokat i wyrwał mu się.

Bart chyba w końcu zrozumiał, że prawnik nie jest po jego stronie, że był tu tylko po to, żeby się upewnić, czy dentysta nie stanowi zagrożenia dla ludzi, którzy naprawdę opłacają jego usługi.

Ze swej strony prawnik wyglądał na zadowolonego z tego, że maskarada jest zakończona. Ukłonił się Nickowi, a potem Jeffreyowi.

- Panowie mi wybaczą.

- Co ty robisz? - zapytał Bart. - Jesteś moim adwokatem! Dokąd idziesz?

Mężczyzna opuścił pokój, nie oglądając się za siebie. Bart stał za stołem, załamując ręce jak kobieta.

- Siadaj, Fred - powiedział do niego Nick.

Tamten opadł na krzesło.

- Chcę zawrzeć ugodę - wymamrotał. - Muszę zawrzeć ugodę.
 - Witaj w klubie tych, którzy wyjęli głowę z tyłka - pogratulował mu Nick, drwiąco klaszcząc w dłonie. - Jaką to umowę zamierzasz zawrzeć, chłoptasiu?
 - Jakąkolwiek - błagał Bart. - Powiedzcie tylko, co chcecie usłyszeć.
 Nick pokręcił głową.
 - Chcemy, żebyś podał nam kilka nazwisk, Fred. Problem w tym, że ty ich nie znasz.
 - Znam je! - zaskrzeczał Bart. - Znam wszystkie!
 - Na przykład?
 - Na przykład... - Bezgłośnie poruszał wargami. - Tylko powiedzcie. Mówcie, kogo chcecie, a ja go wskażę!
 - Rymuje się ze Spitzpatrick. Zbladł.
 - Nie - rzekł. - Tego nie mogę zrobić.
 Nick wzruszył ramionami.
 - Posłuchaj, chłopie, daliśmy ci dość sznura, by powiesić węża. To nie moja wina, że nie umiesz zawiązać węzła.
 - Oni mnie zabijają - wykrztusił Bart. - Oni... gorzej. Oni nie tylko zabijają ludzi... oni... - Urwał, spazmatycznie łapiąc oddech. - Proszę... - jęki Jeffrey wstał, a Nick otworzył drzwi.
 - Nie! - błagał Bart. - Nie możecie mnie tak zostawić.
 Nick nie zdołał się oprzeć.
 - Nie martw się, chłopie. Wyjeżdżając z miasta, będzie my przejeżdżać obok Stop 'n' Save, to zadzwonimy pod dziewięć, jeden, jeden.

Jeffrey czuł niesmak, przejeżdżając obok liceum okręgu Elawah. Powinien być zadowolony, rzucając Freda Barta na pożarcie wilkom, tymczasem źle się z tym czuł. Fred Bart zostawił Sarę, żeby spłonęła, a Jeffrey głęboko wierzył w zasadę oko za oko. Był także policjantem i wiedział, że stan ma odpowiednie procedury dla najbardziej zasługujących na to przestępców. Co za różnica, czy czekać dziesięć lat, aż zostaną odrzucone wszystkie apelacje, czy pozwolić by zajęło się nim Bractwo?

Różnica polegała na tym, że Bractwo stawalo się silniejsze z każdym odebranyim życiem. Oni nie zaprowadzą Barta do sterylnejo pokoju, żeby zrobić mu śmiertelny zastryk. Sprawią, że będzie błagał o darowanie życia. Będą go bić, torturować - tak że w końcu zacznie z utęsknieniem czekać na śmierć. Fred Bart będzie przestroją dla każdego łotra i głupca: Kto zadziera z Bractwem, zapłaci za to najwyższą cenę.

Mimo to wciąż powracały do niego słowa Ethana Greena i Jeffrey mimo woli zastanawiał się, czy ten młody człowiek nie zobaczył prawdziwego Jeffreya, który ukrywał się za swoją odznaką i odwracał głowę. Jeffrey przysięgał chronić i bronić wszystkich, nie tylko tych, którzy jego zdaniem na to zasługiwali. Miał przestrzegać zasad, a nie tworzyć je samemu.

Powinien opiekować się słabymi i chronić ich przed silniejszymi. Fred Bart z pewnością nie wyglądał na silnego, kiedy Jeffrey i Nick zostawiali go płaczącego w pokoju przesłuchań. Osunął się na kolana i błagał o pomoc.

Jeffrey uświadomił sobie, że minął motel. Zawrócił i podjechał przed recepcję w chwili, gdy sprzątaczką wychodziła z jednego z pokojów. Stała i patrzyła, jak wysiada z samochodu.

- Muszę zabrać rzeczy z pokoju numer czternaście - powiedział do niej.
- Są spakowane - odparła kobieta, odchodząc.

Jeffrey odgadł, że powinien pójść za nią. Złapał drzwi recepcji, zanim zdążyła puścić mu je w twarz.

- Dzięki - powiedział.

Weszła za kontuar, drapiąc się po rękach przez koszulę z długimi rękawami.

- Trzeba zapłacić za niewykorzystane dni - powiedziała mu.

Jeffrey spojrział na klucze wiszące na tablicy za jej plecami i zauważył, że najwyżej trzy pokoje są zajęte.

- Mielicie ostatnio duży ruch?
- Posłuchaj, dupku. Nie ja ustalam przepisy.

Roześmiał się i wyjął portfel.

- Ile?

Podrapała się po szyi, kalkulując, na ile może go naciągnąć.

- Sto dolców.
- A może dwadzieścia?
- A może pięćdziesiąt?

Jeffrey zapłacił jej, chociaż poważnie wątpił, by te pieniądze trafiły do kasy. Patrząc na tę kobietę, domyślił się, że ma przed sobą rzadki przypadek: uzależnioną od amfy, która dożyła czterdziestki.

- Jak się ma dziewczyna? - zapytała.
- Lena?
- Taak, ona.
- W porządku.

- Dobrze - powiedziała kobieta. Wyjęła spod kontuaru torbę i popchnęła ją do Jeffrey'a. - To są jej graty. Weź je i wypieprzaj stąd.

Przez chwilę przyglądał się jej twarzy, arogancko uniesionej brodzie.

- Jeszcze kilka dni poleży w szpitalu świętego Ignacego - powiedział powoli.

- Świetnie. Na to idą moje podatki.

- Płacisz podatki? - Posłała mu to paskudne spojrzenie, do którego powinien się już przyzwyczać. - Wiesz co, twoja córka czasem też tak na mnie patrzy.

- Ja nie mam córki.
- Lena jest do ciebie podobna.

Angela Adams mruknęła coś pod nosem, poddając się. Miała w kieszeni pięćdziesiąt dolarów i potrzebę wzięcia dawki.

- Ma głowę w tyłku tak samo jak ja. Nie poznała własnej matki, kiedy stała tuż przed nią.

Jeffrey też ledwie połączył postać z olejnego obrazu wiszącego nad kanapą w salonie Hanka Nortona ze stojącą przed nim kobietą. Zdradziła ją ta lekko uniesiona broda - nawet po tylu latach wciąż miała to wyzywające spojrzenie. Angela kiedyś była piękna, lecz amfa zabrała jej to, tak samo jak zabrała ją jej córeczkom.

Mimo to Jeffrey próbował być miły.

- Czasem nie dostrzega się tego, czego się nie szuka.

- Myślisz, że nie wiem, jak wyglądam? - Skubała krawędź laminowanego blatu. - Z Hankiem w porządku?

Jeffrey dopasował kolejny fragment układanki.

- Hank był z tobą przez cały ten czas, kiedy znikł. Prawda?

- Ten głupi pierdoła powinien być mądrzejszy. Wystarczyły trzy dni, a byliśmy gotowi się pozabijać. - Skubnęła wrzód na szyi. - Drań po prostu poszedł sobie pewnego ranka. Pewnie wrócił do swojego domu.

- Jest na odtruciu - powiedział jej Jeffrey. - Już oczyścili jego organizm z amfy.

- Zawsze o nie dbał - powiedziała i zaraz się poprawiła: - O nią.

- Znaleźliśmy podania o wydanie świadectw urodzenia z wpisanym nazwiskiem Hanka.

- Widziała je?

- Nie - odparł Jeffrey. - Zagięły w zamieszaniu.

Uśmiechnęła się żałośnie.

- Głupia cipa ze mnie. Pomyślałam, że będzie mu łatwiej wziąć dziewczynki i wychowywać je. O mało go przeze mnie nie aresztowali. - Znów zaczęła rozdrapywać wrzód. Popłynęła krew. - To ja wciągnęłam Hanka w narkotyki. Powiedział ci o tym?

- Nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

- Kiedy Cal, ich ojciec, został zabity, nie mogłam sobie z tym poradzić. Ciężarna, gruba, udęczona, samotna. Potem do tego wszystkiego rozboleł mnie ząb. Poszłam do tego głupiego łysego pierdoły, Freda Barta. On powiedział, że ma dla mnie coś, co złagodzi. - Gniewnie spojrzała na Jeffreya, jakby ją potępił. - Dokonałam wyboru.

- Lena chciałaby cię zobaczyć.

- Większość ostatnich dwudziestu lat spędziłam w więzieniu. Myślisz, że policjantka chce mieć matkę więźniarkę?

Jeffrey z pewnością nie chciał takiego ojca, jakiego miał, ale rodziców się nie wybiera.

- Znam Lenę od dawna. Chciałaby cię zobaczyć.

- Myślisz, że chce zobaczyć to? - zapytała Angela, podwijając rękaw.

Jeffrey skrzywił się, widząc, co ukłucia igieł zrobiły z jej skórą przez te wszystkie lata.

- Pracuję tutaj - powiedziała Angela. - Zarabiam tyle, że jakoś wiązę koniec z końcem. Nie potrzebuję w moim życiu niczego, co by je skomplikowało.

- Nie wiem, czy Lena zgodziłaby się z tym.
- Tak, no cóż... - Spuściła rękaw. - Naprawdę ni cholery mnie nie obchodzi, co myślisz, dupku. Zejdź mi z oczu.

Wyszła zza kontuaru, kierując się do drzwi. Jeffrey spodziewał się, że wyjdzie, ale zatrzymała się.

- Jesteś jej matką - spróbował. - Nic tego nie zmieni.

Stała plecami do niego, trzymając dłoń na klamce szklanych drzwi.

- Chcesz wiedzieć, co ze mnie za matka? - Z obrzydzeniem potrząsnęła głową. - Obiecałam, że zostawię je w spokoju, ale byłam bez grosza i trzęśłam się tak, że aż bolało. Pojechałam do domu i błagałam Hankę o pieniądze. Dał mi je, a wtedy... - Nabrała tchu. - Cofałam, nie patrząc, gdzie jadę, i potrafiłam ją, na oczach jej siostry i tej grubej dziewczynki z sąsiedztwa. Wiesz o tym? Wiesz, że oślepiłam własną córkę?

Jeffrey nie potrafił ogarnąć ogromu takiego poczucia winy.

- Następnego dnia zgarnęły mnie gliny. Miałam na koncie kilka innych sprawek: parę czeków bez pokrycia i wcześniejszych wykroczeń. Sędzia potraktował mnie surowo. Hank i ja doszliśmy do wniosku, że będzie lepiej, jeśli dziewczynki uznają mnie za zmarłą, zamiast wiedzieć, kim naprawdę jestem.

- Mimo wszystko...
- Panie, oddanie tych dzieci było moim jedynym dobrym uczynkiem w życiu. Niech mi pan tego nie odbiera.

Pchnęła drzwi i wyszła, zostawiając Jeffreya samego z rzeczami Leny.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Lena siedziała na wózku przy łóżku Hanka, zdrową dłonią trzymając go za rękę. Skórę miał suchą, a palce sztywne jak patyki. Nie patrzył na nią, nie odwzajemniał jej spojrzenia. Z początku myślała, że jest wściekły, ale powoli uświadomiła sobie, że się wstydzi. Gdyby coś powiedział, to zapewne o tym, że zgubiła go duma. Był taki pewny siebie po tym, jak wyrwał się ze szponów nałogu, a wystarczył jeden zastrzyk, żeby znów go uzależnić. Jego ciało było spustoszone przez narkotyki, które zażył. Leki przepisane przez lekarzy robiły, co mogły, aby zwalczyć objawy głodu, ale nic nie było w stanie wyrwać go z depresji.

Przeważnie oboje trwali tak, Lena - trzymając go za rękę, Hank - spoglądając przez okno, dopóki nie przyszła pielęgniarka i nie kazała im odpocząć. Lena niewiele mówiła, gdyż tak naprawdę nie było o czym mówić.

- Jest dobrze? - spytała pielęgniarka. Przyszła sprawdzić wszystkie rurki i aparaty, do których był podłączony Hank.

Była miłą kobietą, lecz jej uprzejmość była wymuszona, a jej głos mógłby zbudzić umarłego.

- Świetnie - odrzekła Lena i rozkaszała się.

Pielęgniarka spojrzała na nią z troską.

- Wykonałaś poranne ćwiczenia oddechowe?

- Tak, proszę pani - odpowiedziała Lena.

Kobieta uśmiechnęła się, klepiąc dłoń Hanka.

- Widzi pan, jaką miłą ma pan siostrzenicę, panie Norton?

Do Hanka mówiła jeszcze głośniejszym głosem, zapewne dlatego, że nigdy nie odpowiadał.

- Jak twoja ręka? - zapytała Lenę.

Lena uniosła grubo obandażowaną prawą dłoń.

- Dobrze. Lekarze mówią, że będzie w pełni sprawna.
- Oczywiście - powiedziała nieustraszenie optymistyczna pielęgniarka. - Jeszcze tylko kilka minut z wujkiem, dobrze? Oboje potrzebujecie odpoczynku. - Ostrzegawczo pogroziła palcem. - Sprawdź was!

Drzwi zamknęły się za nią z cichym stukiem.

- Hałaśliwa jak diabli - wymamrotał Hank.

Lena poczuła taką ulgę, słysząc, jak mówi, że nie mogła odpowiedzieć.

- Naprawdę wykonałaś te ćwiczenia, dziewczyno? - zapytał szorstko.
- Tak.
- Nigdy nie wiedziałem, kiedy kłamiesz.
- Ja też.

Hank zrobił głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze.

- Opowiedz mi o mojej matce - powiedziała.

Uśmiechnął się.

- Którą historię chcesz usłyszeć?

Myślał, że chce bawić się w tę starą grę, którą Sibyl i Lena wymyśliły, kiedy były małe.

- Prawdziwą, Hank. Tę, w której ona żyła.

Oczy przez cały czas miał załzawione, więc nie wiedziała, czy teraz płakał.

- Zawsze was kochała. Nigdy nie przestała.
- Oślepiła Sibyl.

Jeśli był zaskoczony, to nie była tego w stanie zauważyć. Wciąż miał odwróconą głowę.

- Przyjechała do domu prosić o pieniądze. Odchodziła od zmysłów, kiedy to się stało. Wyszedłem i wziąłem to na siebie, kiedy przyjechała policja. Powiedziałem, że to moja wina. Nie mogłem pozwolić, żebyście nienawidziły własnej matki. Chciałem, żebyście ją kochały, kochały wspomnienie o niej.
- Co się z nią stało? - zapytała Lena. - Jak umarła?

Gwałtownie odwrócił głowę. Był wyraźnie zaskoczony tym pytaniem.

Miał w oczach lęk, jakby nie potrafił zdecydować, co jej powiedzieć.

- W porządku - uspokoiła go. - Nie obwiniam cię. Nie gniewam się. Chcę tylko znać prawdę. Powiedz mi prawdę.

Hank z trudem przełknął ślinę. Zaciśnął wargi, jakby

powstrzymując wrywające się z ust słowa. Nigdy nie lubił wspomnień, może dlatego, że żadne z nich nie były dobre.

- Hank, powiedz mi - zachęcała Lena. - Powiedz mi to, a nigdy więcej cię nie zapytam. Myślę, że po tym wszystkim zasłużyłam na to, by wiedzieć, jak umarła moja matka.

Zapatrzył się w sufit, jakby zbierał myśli. Kiedy wreszcie odpowiedział, mówił tak cicho, że ledwie go słyszała.

- Wypadek samochodowy.

- Fred Bart powiedział mi, że ona jest w lepszym miejscu.

Hank znów milczał, zastanawiając się nad tym.

- Utrata waszego ojca, a potem okaleczenie twojej siostry... - Przełknął ślinę, najwyraźniej walcząc z nawałem emocji. - Jestem samolubny, Lee. Tylko ty mi zostałeś i nie mogę... - Zająknął się. - Nie mogę cię stracić.

Lena mocniej ścisnęła jego dłoń, chcąc dać mu znać, że już nigdy go nie opuści.

- Kiedy widzieliśmy się w twoim domu, powiedziałeś, że to tamten człowiek, Clint Jones, zabił moją matkę.

- Dostarczał jej - powiedział Hank. - Dostarczał nam obojgu.

Lena usiadła prosto, usiłując wymienić obraz Angeli-aniola, jaki miała w głowie przez tyle lat, na nowy, Angeli-narkomanki. Czy jej matka była równie uzależniona jak Hank? Czyjej ręce były równie pokłute, a rysy twarzy zmienione? Lena wzdrygnęła się na samą myśl, niemal żałując, że zapytała.

- Amfa po prostu... - Pokręcił głową. - Umierasz w chwili, gdy zaczynasz ją brać. Osoba, którą jesteś, którą możesz być, znika w tym momencie, kiedy płyn rozchodzi się po twoich żyłach. Od tej chwili nie żyje - Jak to się stało? Jak umarła?

Zamknął oczy, a pierś unosiła mu się i opadała przy każdym oddechu.

- Za szybko wjechała na Taylor Bridge - powiedział, nie patrząc na nią - i uderzyła w słup telegraficzny. Złamała sobie kark. Lekarz powiedział, że zginęła natychmiast.

Lena była wzywana do wielu takich wypadków samochodowych. Niezmiennie kryła się za nimi jakaś ponura historia.

Ścisnął palcami jej dłoń.

- Nigdy by was nie zostawiła, gdyby wiedziała, jakim kiepskim będę opiekunem. Myślała, że zajmę się wami.

- Zająłeś się. Robiłeś, co mogłeś.

- Nie wybaczasz mi - rzekł. Był słaby, ale ścisnął jej dłoń najmocniej, jak potrafił. - Nigdy mi nie wybaczasz.

Lena nie mogła się powstrzymać. Nie po tym wszystkim, co się stało, nie po tym wszystkim, co zrobił dla niej i Sibyl.

Zerknął na nią i szybko odwrócił wzrok.

- Lepiej już idź, zanim wróci ta pielęgniarka. Na jej widok żałuję, że odzyskałem przytomność.

- Dobrze - powiedziała, wypuszczając jego dłoń. Oboje nie umieli mówić o swoich uczuciach. - Zadzwoń do mnie, gdybyś mnie potrzebował, dobrze?

Lena powoli wyszła z jego pokoju potwornie zmęczona. Nie wyobrażała sobie, że można czuć takie zmęczenie. Lekarze mówili jej, że to z powodu płuc, które nie dostarczają dość tlenu. Lena uważała, że powodem jest to, że przez cały dzień leży w szpitalu, nie mając nic do roboty poza użalaniem się nad sobą.

Jej pokój znajdował się tuż obok pokoju Hanka i już na korytarzu usłyszała dzwoniący telefon. Przyspieszyła kroku i podniosła słuchawkę w połowie kolejnego dzwonka.

- To płaćna rozmowa z pensjonariuszem więzienia stanowego Coastal - poinformował ją nagrany na taśmie głos. Lena nie tyle usiadła, ile opadła na łóżko. Zaczekała, aż głos z taśmy ucichnie, i z mocno bijącym sercem usłyszała: - Tu Ethan Green.

Lena ramieniem przycisnęła słuchawkę do ucha i wdusiła przycisk, akceptując połączenie. Zapadła cisza, co trzy sekundy przerywana cichym piskiem, by przypomnieć im, że czas płynie.

- Jak się masz? - powiedział.

Lena rozejrzała się po pokoju, czując się tak, jakby ktoś ją obserwował.

- Po co do mnie dzwonisz? - zapytała. - Ja nie chcę z tobą rozmawiać.

- I dlatego odebrałaś telefon?

- Już się rozłączam.

- Wiem, co się stało.

Już wyciągała rękę, żeby się rozłączyć, ale zatrzymała ją w powietrzu, słysząc te słowa. Oczywiście, Ethan dowiedział się o wszystkim. Jego siatka dostarczała mu wiadomości szybciej niż środki masowego przekazu.

- Pamiętasz ten ból zębów, który mi dokuczał, kiedy się widzieliśmy? - Wiedziała, że nie oczekuje od niej odpowiedzi. - Nie przejmuj się nim - powiedział. - Zastosowałem odpowiednie leczenie. Już nie będzie bolało.

Pomyślała o Fredzie Barcie, o tym, jak dentysta wyszczerzył w uśmiechu swoje paskudne zęby, zanim podpałił Charlotte.

- Dobrze - powiedziała, zanim zdążyła się powstrzymać.
- Nikt nie zrobi krzywdy mojej dziewczynie. Rozumiesz?
- Nikt poza tobą - przypomniała mu. Zachichotał.
- To prawda, Lee. Nikt poza mną.

Oddychała coraz szybciej. Jej dłoń wciąż wisiała nad widełkami, gotowa przerwać tę rozmowę, ale nie była w stanie tego zrobić.

- Napiszę do ciebie - powiedział jej łagodnie, kusząco. - Napiszę do ciebie, a ty mi odpiszesz, dobrze, dziecino?

- Nie - odparła, słysząc w swoim głosie błagalne nutki. Spróbowała zebrać siły. - Już nie chcę cię w moim życiu.

- Myślisz, że to takie łatwe? Myślisz, że zdołasz się ode mnie uwolnić? - Znowu się roześmiał z jej naiwności. - Wyjdę stąd, zanim się obejrzysz, Lee. A wtedy zaczniemy od nowa. Tylko ty i ja. Dobrze?

Potrząsnęła głową, nie mogąc znaleźć słów.

- Śpij dobrze, dziecino. Będę myślał o tobie.

Lena odłożyła słuchawkę, wciąż słysząc jego głos i czując jego obecność w pokoju. Kto dopadnie ją pierwszy - Ethan czy Harley? Obaj zawsze wyrównywali rachunki. Żaden z nich nie pozwalał, by ktoś wziął nad nimi górę. Czy zostanie śmiertelnie pobita lub za kilka tygodni obudzi się, a ktoś nieznajomy wbije jej igłę w żyłę, mówiąc, żeby się nie opierała, że będzie łatwiej, jeśli po prostu się podda? Lena miała nadzieję, że to drugie. Modliła się do Boga, żeby już nigdy więcej nie zobaczyć Ethana Greena.

Spojrzała na sufit, gdzie cienie tańczyły na białych panelach. Ethan wciąż tu był - wypełniając każdy kąt tego pokoju, każdy zakamarek jej duszy. Położyła się na łóżku, a jego mroczna obecność unosiła się nad nią, aż zmęczenie wzięło górę i w końcu zapadła w głęboki sen bez snów.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Sara siedziała na frontowym ganku, rozmawiając przez telefon z matką. Jeffrey zadzwonił pół godziny wcześniej, że właśnie przekracza granicę okręgu Grant, ale wiedziała, że nie poczuje się bezpieczna, dopóki on nie wróci do domu. Powiedział jej, że muszą o czymś porozmawiać, i Sara domyśliła się, że o tym, co niepokoiło ją przez kilka ostatnich dni. Dłużej tak nie wytrzyma. Coś trzeba zrobić. Matka sprawiała wrażenie rozgoryczonej.

- Słuchasz mnie?
- Tak, mamo - skłamała Sara.
- Powiedział mi, że naprawił ten automatyczny spryskiwacz. Połowa roślin uschła.
- Jestem pewna, że nie zrobił tego specjalnie.
- Jesteśmy w domu już prawie tydzień, a jeszcze nie udzielił mi wiarygodnego wyjaśnienia.
- Jestem pewna, że chciał naprawić ten spryskiwacz.
- Saro - zaczęła Cathy i Sara przygotowała się na wykład. Zdziwiła się, gdy matka powiedziała: - Chcesz, żebym przyjechała? Mogę tam być za pięć minut.

Sara kochała matkę, ale przez ostatni tydzień Cathy była z nią praktycznie dwadzieścia cztery godziny na dobę. Sara potrzebowała samotności, żeby pomyśleć.

- Jeffrey wkrótce będzie w domu.
- Twój głos brzmi tak obojętnie. Czy chodzi o ten pozew?
- Nie - odparła Sara, lecz sam dźwięk tego słowa wywołał przykry posmak w jej ustach.

Buddy Conford zadzwonił dwa dni temu, by powiedzieć Sarze, że Global Indemnity poszło na ugodę z Powellami. Rodzice dostaną za śmierć syna dwa miliony dolarów, co led-

wie wystarczy na pokrycie opłat za hospitalizację i badania Jimmy'ego. Buddy próbował żartować, że rzadko się zdarza, by firma ubezpieczeniowa naprawdę płaciła rachunki za leczenie, ale Sara nie była w nastroju do żartów.

- Zatem nie chodzi o ten pozew?

- Mamo...

Cathy najwyraźniej miała dość.

- Saro Anno Linton, jestem twoją matką i wiem, kiedy coś cię niepokoi.

Sara głośno wypuściła powietrze przez zaciśnięte zęby. Cathy trafiła w samo sedno sprawy.

- Miałaś jakąś wiadomość od agencji adopcyjnej?

- Tak - powiedziała.

Pracownica opieki społecznej zostawiła jej nagraną wiadomość tego ranka, kiedy Sara była w domu rodziców. Wróciła do siebie i zobaczyła migającą czerwoną lampkę automatycznej sekretarki, ale dopiero po trzech godzinach zdecydowała się nacisnąć odtwarzanie. Z tego samego powodu nie zaglądała do skrzynki na listy i nie odsłuchiwała poczty głosowej. Tak długo czekała na wiadomość, że gdzieś tam jest dla nich dziecko, ale teraz, gdy ta chwila była już blisko, nie była w stanie jej odebrać.

- I co? - nalegała Cathy. - Co powiedziała?

- Powiedziała, że mają dziewięciomiesięcznego chłopca - odparła Sara.

- Mieszanego pochodzenia, azjatyckiego i afroamerykańskiego.

- Och, kochanie, to cudownie.

- Ach tak? - zapytała Sara, czując, że pęka jej serce. Już sam dźwięk tych słów przywołał obraz kremowej skóry i kręconych włosów oraz tego, jak jego stopki będą pasowały do jej dłoni. - Co mam robić, mamo, zajmować się cały dzień dzieckiem, wiedząc, że w każdej chwili może zadzwonić telefon i obcy głos powie mi, że mój mąż nie żyje?

- Nie bądź śmieszna - warknęła Cathy. - Policjanci mają rodziny, Saro. Hydraulicy też mają rodziny. Ryzykujesz za każdym razem, gdy siadasz za kierownicą samochodu lub idziesz na pocztę. Nie możesz zrezygnować z życia dlatego, że coś może się stać.

- Jeffrey jest taki uparty - argumentowała. - Nigdy mnie nie słucha.

- Witaj w małżeństwie, złotko. Przykro mi, ale nie zorganizujemy dla ciebie parady.

Sara podniosła dłoń do szyi, usiłując wydobyć z siebie słowa, które musiały paść.

- A co jeśli... - spróbowała. - Co jeśli... - Podparła brodę dłonią, w końcu wyrażając swoje najgorsze obawy. - Co jeśli nie będę umiała się nim zająć, mamo? Co będzie, jeśli zachoruje lub się zrani, a ja nie...

- To nie twoja wina, że Jimmy Powell umarł na białaczkę - powiedziała delikatnie, lecz stanowczo jej matka.

- A jeśli moje dziecko zachoruje?

- Wiem, że udajesz, że nie wierzysz w takie rzeczy, lecz kiedy weźmiesz dziecko na ręce, zrozumiesz, że to dar od Boga. I jak długo masz ten dar, cenisz go, nosisz przy sercu i robisz, co możesz, żeby go nie stracić.

- Ja po prostu nie mogę...

Sara myślała o Jimmym Powelle takim, jakiego widziała go ostatni raz. Jego oczy zabłyśły, gdy Sara weszła do jego szpitalnego pokoju. Zawsze ją lubił. Miała być dla niego kimś w rodzaju jego sympatii. Nie było mu przeznaczone ukraść jakiejś dziewczynie całusa po szkole ani pokochać się na tylnym siedzeniu samochodu ojca. Nigdy nie będzie miał żony ani dziecka. Jego matka nie zostanie babcią. Przez resztę życia Beckey Powell będzie miała tylko pamiątki przypominające jej zmarłego syna. Inne dzieci pójdą do szkoły. Inne rodziny pojedą razem na wakacje. Beckey będzie miała tylko pusty kalendarz i dni bez Jimmy'ego ciągnące się przed nią jak otchłań bez dna.

- Co powiedziałaś tej pracownicy opieki społecznej? -nieco łagodniej zapytała Cathy.

- Powiedziałam, że muszę porozmawiać z Jeffreyem.

- Zadzwoń do niej zaraz i powiedz, że chcecie wziąć to dziecko.

- Mamo, nie wiem...

- Ale ja wiem - przerwała jej Cathy. - Odkładam słuchawkę, żebyś mogła do niej zadzwonić. - Zamilkła, po czym dodała: - Zadzwoń do mnie potem, dobrze? Chcę wiedzieć wszystko o moim pierwszym wnuku.

Rozłączyła się, ale Sara nie zadzwoniła. Teraz, kiedy została sama, nie była w stanie logicznie rozumować. Wciąż

przeskakiwała myślami od Jimmy'ego Powella do Jeffreya i dziecka, które na nich czekało. Siedziała nieruchomo, patrząc na ulicę, aż pod dom podjechało jej bmw.

Jeffrey pomachał do niej przez szybę, posyłając jej płuśmiej. Przez telefon mówił jej, że musi jej coś powiedzieć, coś ważnego. Decyzja nie należała tylko do niej. Może on też miał wątpliwości.

Sara postawiła telefon na schodach i poszła do samochodu.

Otworzył drzwi, mówiąc:

- Rany, mam dosyć jeżdżenia. - Zobaczył jej minę i zapytał: - Co się stało?

- Dzwonili z agencji adopcyjnej.

Pokonał dzielącą ich odległość i porwał ją w ramiona.

- Dziecko! - wykrzyknął. - O Boże, Saro. - Okręcił ją w powietrzu. - Nie mogę w to uwierzyć. Nie mogę uwierzyć... - Śmiał się, usiłując złapać dech. - To dziewczynka czy chłopiec?

- Chłopiec.

- Ha! - powiedział i znów ją okręcił.

Sara też się roześmiała, zarażona jego entuzjazmem.

- Zakręci mi się w głowie.

Postawił ją na ziemi i ujął jej twarz w dłonie.

- Mam chłopca! - Pocałował ją. - To jest to, Saro. To początek naszego nowego życia. - Znów ją pocałował, tym razem mocniej. - Boże, kocham cię.

Widziała łzy w jego oczach i radość wywołaną tą wiadomością. Nagle wszystkie jej wątpliwości znikły, straciły znaczenie. Chciała mieć dziecko z tym mężczyzną, niczego w życiu nie pragnęła bardziej, jak wychowywać je razem z nim.

- Możemy go odebrać dzisiaj? Teraz? - zapytał.

- Jutro - powiedziała, śmiejąc się z jego niecierpliwości. - Musimy pojechać do agencji i rozpocząć formalności adopcyjne.

- Papierki - jęknął, ale wciąż się uśmiechał. - O Boże, Saro. Tak bardzo cię kocham.

Dotknęła dłonią jego policzka.

- Wiem.

Znów się zaśmiał, na całe gardło.

- Co robimy teraz?
- Powiedzieli, że już wysłali formularze - odparła. - Zajrzyj do skrzynki.
Ja do nich zadzwonię.
Była w połowie podjazdu, gdy zawołał do niej:
- Hej, mamuśka!
Sara odwróciła się i zaczerwieniła.
- Cii - ostrzegła go. - Sąsiedzi.
- Zadzwoń do wszystkich! - zawołał. - Będziemy rodzicami!
Otworzył skrzynkę. Błysnęło. Jeffrey poleciał do tyłu, koziołkując w rozdartym wybuchem powietrzu.
Sara biegła do niego, zanim jej umysł ogarnął to, co się stało.
Bomba. Ktoś podłożył bombę do ich skrzynki na listy.
- Jeffrey! - jęknęła, padając przy nim na kolana.
Wszędzie leżały kawałki metalu, a w powietrzu fruwały listy. Zobaczyła jego rozerwaną pierś - kości, mięśnie, bijące serce.
- Na pomoc! - wrzasnęła. - Niech mi ktoś pomoże!
Otworzył usta i pociekła z nich krew. Jego prawa ręka leżała na asfalcie, wyrwana ze stawu. Zacisnęła palcami ranę, rozpaczliwie próbując zatrzymać krwotok. Krew przeciekała jej między palcami, moczyła dłonie.
- Nie - szepnęła Sara. - Nie.
- Ty... - powiedział, szcękając zębami. Przycisnęła swoje wargi do jego warg, całując usta, twarz.
- Och, mój kochany... mój kochany...
- Ty... - szepnęła, na oślep wyciągając ku niej rękę.
Widziała w jego oczach ból i wiedziała, że uchodzi z niego życie.
- Nie opuszczaj mnie - błagała, ściskając jego dłoń. - O Boże, Jeffrey, proszę, nie opuszczaj mnie.
- Ty...
- Nie - błagała, pragnąc, by się trzymał. - Proszę! Kocham cię. Kocham.
- Dlaczego zawsze się z nim droczyła, nigdy nie mówiła mu tych słów? - Jeffrey, kocham cię.
- Zawsze...
Pocałowała go znowu i poczuła w ustach smak jego krwi. To nie może się dziać. On nie może jej opuścić.

- Zawsze... - spróbował, dławiąc się krwią. - Zawsze... tylko...
- Zawsze tylko co, kochanie? Zawsze co?
- Ty... - wyszeptał, krztusząc się. - Zawsze... tylko... ty...

Jego ciało zwiotczało. Krew przestała tryskać z ramienia.

Sara uświadomiła sobie, że pojawili się sąsiedzi. Stali wokół niej, nie wiedząc, co robić. Krzyknęła, każąc im odejść. Nie chciała, żeby oglądali go w takim stanie, żeby ktoś go dotykał. Przyjechała karetka, potem policja: jego ludzie i przyjaciele. Krzyczała na nich, prosząc, żeby odeszli. Podniosła Jeffrey'a i trzymała go w ramionach, nie pozwalając im podejść. Trzymała go tak, płacząc jak dziecko, aż przyszła jej matka i namówiła Sarę, żeby pozwoliła im go zabrać.

PODZIĘKOWANIA

Dziesięć lat temu, kiedy szukałam agenta, który by mnie reprezentował, zaglądałam na koniec różnych książek, sprawdzając, komu dziękują autorzy. Zakładałam, że autor nie dziękuje swojemu agentowi, jeśli go nie lubi. Pamiętając o tym, waham się, czy podziękować mojej agentce, Victorii Sanders, ponieważ chcę ją mieć tylko dla siebie. Wy wszyscy trzymajcie się z daleka, słyszycie?

Jest jeszcze wiele innych osób, którym chcę podziękować za pomoc: Kate Miciak, Susan Sandon i Kate Elton - jak zawsze - były nieocenione. Chciałabym także podziękować moim wydawcom z firmy Bantam: Sharon Propson, Susan Corcoran i Barb Burg. Zadeedykowałam im tę książkę, ponieważ są naprawdę najlepszym zespołem w tej branży, i co więcej, bezinteresownie zjadły za mnie miriady Tim Tamów. Dziękuję Betsy Hulsebosch, Cynthii Lasky i Carolyn Schwartz. Zespół marketingowy Bantam zasługuje na najwyższe pochwały - moja jest zaledwie ziarnkiem ryżu w bezmiarze słanym przez wdzięcznych autorów. Paolo Pepe... znów tego dokonałeś. Kelly Chian, dziękuję, że nie przyleciałaś do Atlanty, żeby mnie udusić. Jesteś gwiazdą. Jest tyle osób z sieci sprzedaży, niektórych z nich miałam przyjemność poznać, jak również innych, dokonujących dla mnie wspaniałych rzeczy za kulisami. Chcę podziękować im wszystkim za ich nieustające wsparcie. Sądzę, że muszę wyróżnić Lisę George za wypicie Kool-Aid. I ostatnie, lecz nie najmniej ważne podziękowania składam Nicie Taublib i Irwynowi Applebaumowi.

RMB, dziękuję ci za to, że byłeś wiernym korespondentem. Billu Burgess, jesteś niezrównany. Erin O'Reilly, jestem ci wdzięczna za twoje 10. DT, jesteś jednym z ostat-

nich wielkich ludzi renesansu. Jestem zaszczycona, będąc twoją przyjaciółką. Dziękuję DM, AE, DL i PB za wspaniałe wsparcie. Beth i Jeff z Cincinnati Media zrećnie zarządzali moją stroną internetową. W kwestiach medycznych ogromnie pomocny znów był David Harper, M.D. Niewielu ludzi wysłucha cię, jeśli rozpoczniesz rozmowę słowami: „Chcę spalić kogoś żywcem...” Z mojej rodziny pragnę podziękować mojemu ojcu za to, że za młodu nauczył mnie ważnych rzeczy, oraz DA - jak zawsze, jesteś moim

Sue Kuryłowicz była zwyciężczynią konkursu „Get Slaughtered!”, zdobywając wątpliwy zaszczyt umieszczenia jej nazwiska w tej książce. Sue, skarbie, sama chciałaś być zła...

Napisałam krótką notatkę do moich czytelników, którą można znaleźć pod www.KarinSlaughter.com/letter. Proszę mieć na uwadze, że zawiera ona najważniejsze fakty tej powieści, tak więc nie czytajcie jej przed przeczytaniem książki, żeby nie zepsuć sobie przyjemności, dobrze?

Napisałam również dodatkowy rozdział, który można znaleźć pod www.KarinSlaughter.com/bonuschapter.